



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

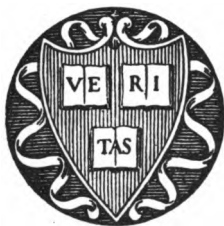
Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Pisma Henryka Sienkiewicza

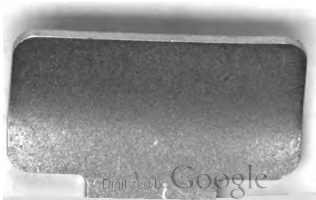
Henryk
Sienkiewicz

5 1123.1.1

HARVARD COLLEGE
LIBRARY



FROM THE FUND OF
FREDERICK ATHEARN LANE
OF NEW YORK
Class of 1849



PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA


v

PISMA,
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM V



LATARNIK
NIEWOLA Tatarska — JAMIOŁ — BARTEK
ZWYCIĘZCA — NA JEDNĄ KARTĘ



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

4

Henryk Sienkiewicz

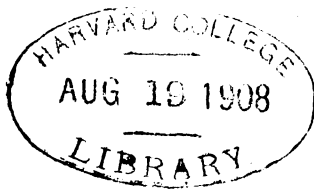
LATARNIK
NIEWOLA Tatarska — JAMIOŁ
BARTEK ZWYCIĘZCA
NA JEDNĄ KARTĘ

WYDANIE PIĄTE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Solan 7/23.1.1



Lane fund

Дозволено Цензурою.

Варшава 13 Октября 1898 года.



I
LATARNIK

LATARNIK ¹⁾

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinvall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został splukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tem prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów, idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste lawice i zasy, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem słońcem wodach, prawie

¹⁾ Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J. Horain, w jednej ze swoich korespondencyj z Ameryki.

niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróznionym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinvall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywozący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morgę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterystą schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr. Izaak Folkombridge był w niemałym kłopotcie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianie następcą zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiu-

dziesiąt albo i więcej, ale czerstwý, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, pleć spaloną jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubieć siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadru spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępú starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem białem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą *pleny*.

(Plenami nazywają niezmierne stopy między New-Yorkiem a Kalifornią).

— *All right!* Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie znalazłem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy?

— Sir! — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— *Well!* — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarcz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem *Good bye!*... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

— *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przyływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do czarnego małego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczyty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napępiało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto, mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tulactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak

okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwają się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrwał kolki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tulaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indyach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wewnątrz Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się po lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce Indian i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między

Bahia i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawnannie i — został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito“. Wreszcie przybył do Aspinvall — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wyspie? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tem objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę maniakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tem mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość indyana i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilka nacięć bagnietem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które ukazywano mu jako środek ratunku, i krzyknąć: pardon. Tak samo nie poddawał się i w nieszczęściu. Laź pod górę tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce

dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grana.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach, zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugimi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się — począł tracić energię. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacyi. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłuła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach, lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąs, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największem ludzkim szczęściem jest — tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny za-

wodów, że myślał o tem, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem, niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasyczał się, przekonywał. Mogłoby się здаwać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dał owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, polyskujące różowo w świetle latarni. Przyływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste lawice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło, potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania — i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiął mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych

latarek, powieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhuwane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem miłsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosobniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół-grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie zgodzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człkiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czem styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych, określonych kształtów. Niebo: to jest ogół, woda: to drugi,

a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciąglem zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną różnicę. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtanem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły się nasycić nigdy obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiem, turkusowem tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiozł podróżnych i towary do Aspinvall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinvall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni, domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym, kamiennym bulwarku. Zrana lekki, wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty. Ruch w porcie ustawał:

mewy kryły się w szczyby skał, fale słaby i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmaconej niczem ciszy. Żółte piaski, z których odplynęły fale, lśniły naksztalt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękanie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwało, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnem szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegóżby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i utrwał go w tem przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i z samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptactwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływają. fala osadziła na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni chodził na ryby, któremi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnemi tłustemi

roślinkami, sączącemi lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przeźroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinvallu. Dalej, między Aspinvall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwony opar wyziewów — las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znalazł zblizka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonkę, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zblizka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże; kołyszące się naksztalt lianów na drzewach; znalazł owe sennie jeziora leśne, przepelnione drętami i rojące się od krokodyłów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczech, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwio-

zercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na owe *matos*, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę zrana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na pierśiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika“. — „I nie heretyk, chociaż *Yankee!*“ Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub newyorskiego „Heralda“, pożyczanego u Folcombridge’a — i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź przywożąca mu codzien żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianej na brzegu i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powo-

dem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnacyę. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Żył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem. Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Nie rozumował nad tem, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tem ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tem pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres „Skawiński Esq.“ wypisany na grubem, żaglowem płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrział i położył napowrót, przyczem ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni — książka była polska. Co to miało znaczyć!? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarnicznej kariery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula Heraldzie o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensyi, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinvall, na jego wieży, wśród jego

samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów: cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświetlona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem wojując w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczka, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki, i w awanturczym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem większą też skwapliwością i z tem żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dzieć coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary Aspinvallskie wybiły piątą popołudniu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukolysany. Nadbrzeżne fale zaledwie belkotały zcicha, rozplywając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinvallu i cudne grupy palm. Naprawdę

było jakoś uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

„Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...“

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę,
Ofiarowany martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...“

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczone włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We lkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... On poprostu tym wielkim płaczem prze-

praszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z tą samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz „wracał cudem” — więc się w nim serce rwało. Chwile mijaly jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojnie o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wraskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku: w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...

.....
.....

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni Częstochowy” zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem”. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Za-

szumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabelkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta „pamiętasz?” On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwiają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światelkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś, w tej swojej wiosce stał nocą na widecie; teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma pogląda płonącemi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha!” To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbys: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rzeško,

zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójda inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra, jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns — chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliznie, szczęściem nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinvall do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i po morzach, by się nad nim znęcać

do woli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.



II

NIEWOLA TATARSKA

NIEWOLA Tatarska

Urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego.

I.

Pacholę, jadąc przodem, albo-li też za mną, porzękiwało na teorbaniku, a mnie żalność i tęsknota za Marysią ścisnęły serce — i im dalej od niej odjeżdżałem, tem ją miłowałem goręcej. Przychodziły mi wówczas na myśl słowa: „post equitem sedet atra cura“, lecz gdy w tak wielkiem fortuny mojej uszczupieniu z J. W. Tworzyńskim mówić, ani mu się wypowiadać z afektów nie śmiałem, nie pozostało mi nic innego, jak szablą na fortunę zarobić i gloria militari się przyozdobiwszy, dopieroż przed nim stanąć. Bóg mi, ani Marychna moja serdeczna nie mogli wziąć za złe, zem tego wprzód nie uczynił. Gdyby mi ona kazała w ogień albo też w wodę skoczyć, albo zgola krew przelać, Ty, Jezu Chryste, który patrzysz w serce moje, widzisz, że byłbym to uczynił. Ale jednej rzeczy, nawet dla wdzięcznej dziewczeczki mojej nie mogłem poświęcić, a to honoru szlacheckiego. Fortuna moja była żadna, lecz zasię krwi zacność wielka, a po ojcach jakoby testamentem miałem przykazane,

bym wiecznie uważyl, iż gardło jest rzeczą moją i one wolno mi na szwank podawać, ale *integra* rodu *dignitas* jest puszczoną przodków, którą mam oddać, tak jak ją wzięłem: *integram*. — Wieczny odpoczynek racz ojcóm moim dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Choćby J. W. Tworzyański dziewczeczkę swą oddać mi się był zgodził, nie miałbym jej gdzie wprowadzić, gdyby zaś bacząc na szczupłość mej fortuny w dumie swej *pauperem*, albo zgoła szarakiem mnie nazwał, tedybym się w rozumieniu o wyborności rodu mego czuł dotknięty i pomścićbym się na nim musiał — czego, gdy on jest ojcem mojej Marysi, Panie Boże nie dopuść.

Owóż i nie zostało, jak jechać na kresy. Rzędziki, pasy i co było lepszego po ojcach, częścią zastawiwszy, częścią przedawszy, zebrałem dukatów ważnych trzysta, które zaraz na prowizyę J. W. Tworzyańskiemu oddałem, potem łzami i ciężkiem wzdychaniem pożegnawszy Marysię, przez noc gotowałem się do drogi, a nazajutrz oba z pacholkiem obróciliśmy konie ku Wschodowi.

Wypadło jechać na Zaslów, Bar do Haysynia. Po zamkach, dworach lub karczmach na noclegi stawając, dotarliśmy wreszcie do Umania, za którym step już otworzył się przed nami równy, bujny, głuchy. Pacholek, jadąc przodem, coraz to w teorbanik uderzał i pieśń śpiewał, a mnie się zdawało, że przedemną leci, jako ptak, za którym gonię: sława — a za mną jako drugi ptak: tęsknota. Jechaliśmy do stanniicy, zwanej Mohylna, gdzie czasu swego J. W. ojciec mój, pułkownik, z chorągwią pancerną strażował, którą był własnym sumptem

na wojnę z bisurmany wystawił; ale do Mohylnej jest bardzo daleko, bo, chwalić Boga, Rzeczpospolita szeroko rozsiadła się po ziemi, i oprócz tego, trzeba tam jechać przez stepy, na których dzień i noc myszkują Tatarzy i różni lotrzykowie, więc i szyi własnej strzedz wypada. Po drodze dziwowałem się wszystkiemu, jako, że pierwszy raz na Ukrainie będąc, same nieznane spotykałem sprawy i rzeczy. Ziemia to wojenna, lud też w niej twardszy niż u nas i hardziejczy, a w chłopie fantazyja taka, jakiej szlachcicby się nie powstydzil. Gdy osadą przyjeżdżasz, choć pozna, żeś urodzonym, ledwie ci czapki uchyli, a w oczy prosto patrzy. W każdej chacie jest tam i szabla i rusznica, a niejeden chłop w ręku obuszek nosi, właśnie jako gdzieindziej szlachcic. Zawzięta też natura jest w tych ludziach i nawet — za co ich szablą już karała i jeszcze pokarzę — z komisarzów Rzeczypospolitej niewiele sobie robią, taka bliskość pogaństwa i ciągła wojenna gotowość wyrobiły w nich animusz. Rolą niezbyt chętnie się parają, a jeśli któremu i płuży gospodarka, woli na swoim, niż na pańskim osiadać. Za to do pocztów dworskich, albo i pod lekkie znaki Rzeczypospolitej chciwie się zaciągają i żołnierz, zwłaszcza do zwiadów i harców z nich wyborny, choć i w polu *non obtrectant*, ale krzyk uczyniwszy, na nieprzyjaciela jako w dym idą, siekąc i koląc. Każda ich osada podobniejsza jest do taboru, niż do wsi; — koni mnóstwo trzymają, które na stepie zimą i latem się pasą, a tak są ściśle, jak tatarskie. Wielu z nich także na *insulae* Dnieprowe ucieka i tam w siczy żywot jakoby zakonny, ale wojenny i wcale rozbójniczy prowadzą, na których to

ich swawolach wiele ucierpiała i cierpieć jeszcze będzie, póki ich nie poskromi, miła ojczyzna nasza. Na miejscu jakowemu szlachcicowi, a choćby i możnemu panu, trudno ich utrzymać, albowiem raz wraz się zrywają i w puste stepy, których tam dowolna, idą na własnej woli osiadać. Konstrukcją ciała są zarówno, jak i *moribus* od naszych chłopów odmienni; gdyż wysocy są i krzepcy, cerę mają śniadą, do tatarskiej podobniejszą, wąsy tak jak u Wołochów czarne, lby zaś, modę od pogaństwa przyjąwszy, gola, na samym tylko czubie srogi oseledec zostawując. Co widząc i rozważając, dziwowałem się bardzo i tej ziemi i wszystkiemu, co w niej jest, a jakom ją nazwał wojenną, tak i powtórzę, że krainy dla zbrojnego i konnego ludu przygodniejszej, próżnoby po całym świecie szukać. Gdy jedni zginą: drudzy ze wszech stron nadciągają i po wszystkich szlakach, tak właśnie jakoby stada ptaków ciągną, a w onej pustoszy stepowej łatniej usłyszeć niżli skowronka nad glebą, huk samopalów, szcęk szabel, rzenie koni, furkotanie chorągwi na wietrze i krzyki żołnierskie. Chodzą tam także, jak również na Podolu i Wołyniu, stare dziady, których wszyscy wielce szanują. Ci ślepi będąc, na lych grają i pieśni rycerskie *cantant*, przez co animusz i czułość na sławę bardzo kwitnie. Żołnierz też tam widząc, że co dziś żyją, jutro gniją, na żywot własny, jakby na złamany grosz nie baczy, szafując krwią, jako magnat złotem — i więcej o piękną śmierć, niżli o życie lub dostatki dba doczesne. Inni wojnę nad wszystko umiłowawszy, choć nieraz z wielkiej krwi pochodząc, w ustawicznej żołnierce prawie dziczeją i na bitwę, jakoby właśnie na wesele,

z radością wielką i śpiewaniem idą; ale czasu pokoju przykrzą sobie wielce, nie znajdując zaś ujścia dla swych wojennych umorów, spokojności powszechnej zagrażają. Tych straceńcami zowią. Gdy człowiek tam zginie, wszyscy poczytują to za rzecz zwyczajną i nawet najbliżsi nie bardzo go płaczą, mówiąc, że lepiej przystoi mężowi na stepie, niżli w łożnicy jako niewieście konać. Jakoż tam jest najlepsza rycerska szkoła i zaprawa. Gdy pułk jaki młody w stannicy rok, albo-li też dwa postoi, tak się jako turecka szabla wyostrzy, że potem ani rajtaryą niemiecką, ani janczary furyi jego w równej liczbie się nie ostoją, a cóż dopiero inny podlejszy żołnierz, jako naprzykład wołoski, lub wszelaki najemnik. O zwadę tam łatwo i tej unikać należy, gdyż cała ziemia roi się mężami zbrojnymi. Jadąc z pacholkiem, napotykalismy to poczty dworskie, więc panów Potockich, Wiśniowieckich, Kisielów, Zbarażskich, Jazłowieckich i Kalinowskich w różnych czarnych, czerwonych i pstrych barwach, to wojska komputowe, to chorągwie królewskie. Konie owych żołnierzyków szły po brzuchy w trawach, prycając, jakoby płynęły we wodzie; rotmistrze oganiali chorągwie, jako psy owczarskie stada, kozacy bili w kotły, dęli w surmy i piszczalki, lub śpiewali pieśni, czyniąc gwar tak srogi, że bywało i przeszli i zniknęli, a jeszcze wiatr niósł od ich strony rozhovor, jakoby właśnie od burzy dalekiej. Między pułkami ciągnęły także maże: czumackie, skrzypiące przeraźliwie, od których konie nam się ploszyły. Czumakowie owi, jedni sól z Limanu nad Euxinem biorą, drudzy aż do Palus Meotis z pomiędzy sprośnych pogan wracają lub z Moskwy, inni wino mł-

dawskie na Sicz wiozą, a żórawim ordynkiem jedni za drugimi ciągnąc, czasem łańcuch na milę w stepie tworzą. Napotykalismy także tabuny wołów, wszystko jednej siwej maści o wielkich porozginanych rogach. Te słoczywszy się, idą tak ciasno, iż kupę zbitą czynią i tylko lby rogate chwieją im się w obie strony. Za stanicą kisielową zaszła nam drogę rota z pod poważnego znaku usarskiego. Ludzie byli w pełnej zbroi i taki szum szedł od ich skrzydeł, jakby od orłowych. Oczuśmy obaj z wyrostkiem nie mogli od nich oderwać, choć i trudno było patrzeć, bo słońce na zbrojach okrutnym blaskiem raziło powieki, a ostrza u podniesionych w górę kopij błyskały jakoby płomyki jarzących świec, pozawieszane w powietrzu. Ale serce nam rosło, usarze ci bowiem więcej byli podobni do roty królów, niżli do żołnierzy, taka w nich *auctoritas* i taki majestat bojowy. Za stanicą kraj stał się głuchszy. Często po stepie błyskały nocami ogniska gońców kozackich, do różnych stanic rozsyłanych, lub też chłopów na pustkowie uciekających. Nie zbliżalismy się do nich, własne mając zwyczaj niecić ognisko. Inni też czasem do nas przychodzili, bądźto zgłodnieli, bądź zablakani w stepie, a raz zbliżył się dziwny jakiś człek z twarzą całkiem zarosłą i do wilczej szczęki podobną. Ujrawszy go pacholę, krzyczeń od wielkiego strachu poczęło, a ja sam, sądząc mieć sprawę z wilkołakiem, sięgnąłem już po szablę, by go ściąć. Gdy jednakże owo monstrum, miasto zawyc, pochwaliło Chrystusa, dałem mu spokój. Potem nieznamy opowiedział się Tatarem z pochodzenia, ale katolikiem, czemum się nawet dziwił, bo ci, co są na Liwie, koranu się trzymają.

Ów zaś dla żony wiarę zmienił, a później służąc jako vexillifer w swoim ściahu, dla znajomości tatarskiego języka, z listami do Ordy od hetmanów litewskich był wysyłany. Ale przecie pacholłkowi markotnò było z nim spać przy jednym ogniu. Częściej też noce spędzaliśmy samowtór śpiąc, albo i nie śpiąc, by na konie dawać baczenie. Nieraz ukladłszy się na trawie, patrzyłem w gwiazdki migocące w niebiesiech, rozważając sobie w duchu, że ta, co najserdeczniej na mnie mruga, to właśnie moja Marysia. I *in luctu* miałem takową otuchę, że ona gwiazdka nigdy nie zaświeci innemu, ale wiary mi dochowa, mając serce uczciwe i duszę tak czystą, jak kropla łzy wyplakanej w modlitwie przed Bogiem. Czasem przychodziła do mnie we śnie, właśnie jakoby żywa, a niejakię nocy przyszedłszy, rzekła, iż się za mnie modli i że jako jaskółka za mną poleci przez niebieskie przestworza, a zmęczy się, to na mojej glewił spocznie, a wciąż świegotać będzie do nieba o sławę i szczęście dla mnie. Potem rozplynęła się w parę, ja zaś, gdym się zbudził, myślałem: anioł był koło mnie, a co mnie przytem dziwiło, to, że i konie strzygąc uszami, prychały mocno, jakby czuły kogoś wedle siebie. Uważając takie zjawienie za znak łaski Bożej i zachętę w imprezach, ślubowałem N. P. Maryi i św. Aleksemu, memu patronowi, by łaskę ich i nadal zachować, nigdy grzechem śmiertelnym się nie zmazać. Modliłem się też onej nocy aż do świtania, czyli do pory odjazdu. Ruszaliśmy zwykle w dalszą drogę przed wschodem słońca, który to fenomen wcale w tamtych stronach piękniejszy jest, niż u nas, bo gdy pierwsze promienie strzelą na równinę

zroszoną chłodem nocy, to cały step dla mnogości kwiecia wygląda jakby bisior perlami tkany. Stąd radość jest wszelkiemu stworzeniu. Dopieroż kuropatki, przepiórki, pardwy i inni ptacy stepowi smyrgając w gąszczy, strącają one perły na ziemię. Ptactwa moc jest nieprzebrana w tej krainie. Napotkaliśmy co dnia to dropie chytne, to żórawie misterne. Te siedząc na ziemi, wyciągnąwszy szyje długie jakoby dzidy do góry, straż koło mogił w ordynku odprawują, gdy zaś po niebie z gęganiami okrutnem lecą, to tak wysoko, że ich okiem nie sięgnąć. Czumakowie wielce je szanują, bo w locie kształtem krzyż święty przypominają. Żołnierze też licząc je szablami, szczęście sobie z ich liczby wróżyć zwykli, ale według mojego rozumu, to niema nic do rzeczy, bo co komu Pan Bóg w miłosierdziu swoim ma dać, to i tak da. Z innych ptaków są tu wrony, kruki, jastrzęby i orłowie, którzy pod zorzę wieczorną wielkie korowody nad mogiłami czynią, to siadając wieńcem na jakowej mogile, to zrywając się bez racyi z łopotem i krakaniem tak ogromnem, a żałośliwem, że uszy sobie zatykać trzeba. Zorze wieczorne czerwienią się tu mocniej, niż u nas, a to z tego powodu, iż wiele krwi chrześcijańskiej rozlewają poganie, która to krew idzie do nieba i czerwieni się, wołając o pomstę. Mogiły też tu, jak okiem sięgnąć, pokrywają całą krainę, a w nich leżą rycerze, czekając dnia sądu. Inni wszakże twierdzą, że rycerstwo to śpi tylko, ale rozbudzi się, gdy wyprawa wszystkich królów chrześcijańskich na pogan zostanie otrąbiona — co, czy prawdą jest, nie wiem, ale tak mniemam, iż może się zdarzyć, bo w mocy Bożej jest wszystko.

Ziemia to jest męzów walecznych, którą kopytami końskimi depcą Polacy, Kozaki i Tatarzy w ustawicznym harcu, jedni za drugimi zbrojno się uganiając. A tak całe pokolenia, jako one figurki w papierowym zapustniem teatrum ukazują się i nikną. Wielu tam także dobrej szlachty na mieszkanie przychodzi i ci chłopca z Korony lub też miejscowego uzbierawszy, całe osady zakładają; bo choć tam żywot pod ciągłą grozą wojenną wieść trzeba, przecie taką już dał Pan Bóg narodowi naszemu fantazyę, że niebezpieczeństwa miasto go zrazić, lepem mu są właśnie i ponętą. Jakoż, gdy pacholę szlacheckie do lat dojdzie, trudno je w domu przy gospodarce, albowi też na szkolnej ławie utrzymać, bo się jako białozór do lotu zrywa na kresy. Niejeden tam szyję traci, ale inny chudopacholek na pana wychodzi, jak już wielu wyszło, których dzieci na zamkach swoich żyją, poczty trzymają i senatorskie godności w Rzeczypospolitej piastują. Po bożej też to jest myśli rycerskiemu człeku z roli i wojny na pana wyrastać, a przytem przez takie osadzanie stepu, potęga Rzeczypospolitej się pomnaża. Z Mazurów, który to naród bardzo jest mnożny, i tak się właśnie jako pszczoły w ulu roi, najwięcej tam ludzi przychodzi. Ci step pługami orzą i w rolników chętnie się zmieniają, a w czasie wojny kupą idą, jeden za drugiego zginąć gotowy...

Rozważając sprawy one, bardzom się radował, bom rozumiał, że albo w bitwie polegnę, na co szlachcic, żołnierz chrześcijański zawsze *paratus* być winien — i wówczas koronę niebieską otrzymam — albo milej ojczyźnie znaczne posługi oddawszy, ród mój do dawnego

splendoru powrócę i ojców moich w niebie uraduję. Oni też do fortuny dochodzili nie faldrowaniem po dworach, ani krzykiem na sejmikach, ale krwią, życia fundamentem, a co dzierżyli, to od Rzeczypospolitej dzierżyli i dla niej też nie żalowali, jako J. W. dziad i J. W. ojciec mój, z których kaźden okrytą chorągiew na wojnę z bisurmany wystawił. Niech im za to Bóg da w niebie światłość wiekiustą, boć przystoi, aby fortuna, co z szabli przysła, w szablę przetopiona została. A mnie choć tam serce za Marysią boli i w trzosie wiatr świszczę, przeciem dziedzicem jest sławnego imienia i wielkiej ambicyi słacheckiej, kwoli której po nocach jakoby trąby i głosy jakieś słyse, co na mnie wołają: „Imię nieskalane zachowaj, ojcom dorównaj, złam się, nie zęgnij!” Ty, Boże, tak mnie błogosław, jako imię przechowiwam: ojcom dorównam i pierwej się złamę, niż zęgnę.

I tom sobie także przedsię zamięrzył, że da-li mi Bóg szczęsnej chwili doczekać i po Marysię jechać, to przyjadę, ale nie w drelichu, jeno w złotogłowi, i nie w podartej czapce, ale w piórach strusich, i nie z jednym pacholkiem, ale z poczem i buzdyganem w ręku, jako paniątko po panienkę, jako możny rycerz po senatorskie dziecko. A wtedy bez ujmy dla honoru rodu mego J. W. Tworzyańskiemu do nóg padnę, boć mu się nie jako panu o fortunę, ale jakc ojcu o dzieweczkę poklonię. W ubóstwie zaś zgłosiębym się po nią zaniechał, choćby mi się i dusza rozdarła, gdyż jeśli miłując ją, żonę moją prągnę z niej uczynić, to na to, by w dostatku przed jej kochanemi stopkami proch zdmuchiwać, nie zaś, aby je miała bose na ciernistej drodze żywota zakrwawić.

Coraz lepsza otuchà wstępowała mi w serce w miarę, jakeśmy się z pachołkiem głębiej w step zapuszczali. Jeno smętno tam było, bo pusto, ale tak przestrono, że czleku się zdaje, że jest onym orłem albo jastrzębiem. Trawy coraz wyższe po bokach końskich ci się kładą, jakby cię ze czcią witały, i szelést wielki sprawując, zdają się mówić: witaj żołnierzyku boży! Im dalej jednak, tem niebezpieczniej, bo Mohylna jest ostatnią strażnicą chrześcijańską, żołnierz też tam codziennie do komunii świętej przystępuje, aby być zawsze na śmierć gotowym. Tatarzy to większymi oddziałami, to pojedynkiem ciągle się koło onej stannicy kręcą, choć, gdy ich większa liczba przychodzi, łączo czlek doświadczony pozna, albowiem nocami okrutnie wilcy za nimi wyją; gdy zaś kosz większy idzie, to całe stada za nim ciągną, wiedząc, że na szlaku najdą dowolna ludzkiej i końskiej padliny. Inni mnieją, że bestye te tatarskiego mięsa nie jedzą, przyjaciółmi Tatarów będąc, którzy dla swej drapieżności i szpetnego pogaństwa, snadnie z dzikimi bestyami mogą być porównani.

Ale w tem myszkowaniu dziwne im się także trafiają przygody, bo gdy Kozacy obok chorągwi pancерnej w stannicy stojący, którego z nich ułowią, żadnego miłosierdzia nad nim nie mają i okrutnie z nimi zbytują. W nocy raz obaczywszy płomień wielki na stepie i ludzi koło niego, przybliżyłem się z pachołkiem, chcąc wiedzieć, coby byli za jedni, a gdyby Bóg zdarzył, to i kilka strzałeczek między nich wypuścić. Ale byli to właśnie Kozacy ze stannicy, którzy drzewo srogie na stepie zapaliwszy, powiązanych Tatarów żywcem w ogień rzucali, tak

każdym, jakoby worem rozmachując. Owi Alły swego wzywali napróżno, od tych zaś, którzy się już piekli, swąd wielki rozchodził się po stepie, a kozaczkowie jako złe duchy w ogniu skacząc, oddawali się radości. Kazałem im zaraz tej swawoli poniechać i jeńców, jako się godzi, szablami poprostu pościnać, na co odrzekli: umykaj, aby znać i tobie tak nie było. Dopiero poznawszy we mnie ślachcica, pozdejmowali czapki, a dowiedziawszy się, że do pułkownika pod znak jadę, wieść mnie do stannicy się podjęli. Jechaliśmy tedy przez resztę nocy kupią i bez przygody, a po drodze jeden jeszcze dziw widziałem. Oto pewne miejsce na stepie całkiem było świecącemi insektami pokryte, które koło św. Jana są i u nas, ale nie w takiej liczbie. Tam zaś, jako okiem sięgnąć, tak migotały wśród ciemności na trawie, że rzekłbyś, kawał nieba z gwiazdkami jasnemi się oberwał i leży jak żyw na stepie. Świtaniem dopiero owe gwiazdki świecić przestały, ale też i do stannicy nie było już daleko, jako i pianie kurów świadczyło, których wielką moc żołnierze, miłując ich wdzięczne śpiewanie, utrzymują. Wkrótce potem, gdy rozwidniło się jeszcze lepiej, ujrzelśmy przy zorzy kilkanaście zórawi studziennych, a wiatr przyniósł do nas szczekanie psów i rzenie koni. Bliżej też ostrokołów usłyszałem pieśń: *Salve janua salutis*, która het po rosie się rozlegała, a była najgłośniejsza, bo ją trzystu towarzystwa, klęcząc na majdanie pod gołem niebem śpiewało. Przyjechawszy, udałem się zaraz do J. W. Piotra Koszyca, możnego ślachcica z Litwy, który tam pułkownikował i był żołnierz doświadczony, bo w długiej żołnierce tak go pocięto, iż powiadano

o nim, że mu poganie cały alkoran szablami na gębie wypisali. Rycerz to był wszelkich fortelów świadom i wielce Rzeczypospolitej zasłużony. Ten, jako jeszcze z ś. p. rodzicem moim miał znajomość, przyjął mnie zgoła jakby własnego syna i tegoż jeszcze dnia do znaku zapisał. Rzekli mi potem inni, iż w porę przybywam, gdyż wkrótce szarańcza od strony Krymu się wyroi. Jakóż dowiedziałem się, że groźby były wielkie i że po wszystkich stanicach grano larum, rycerstwo zaś w największej bacznosci było utrzymywane.

II

Szliśmy, jako zwyczajnie komunikiem, gdyż kosz w ten tylko sposób dopędzonym być może. Gdyśmy we trzy godzin po południu za małe wzgórza, które pogańskimi mogiłami zowią, się dostali, szczęśliwem dla nas zdarzeniem, tumany, które całkiem od rana step zasłaniały, opadły nagle, przy samej ziemi się trzymając. A chociaż jeszcze kosza dojrzeć nie było można, przecie po gwarze i ryku bydła, który ze mgły wychodził, poznaliśmy, iż stał niedaleko, kozacy też wysłani na zwiady pod same wozy się podkradli i kilkunastu jeńców zlapanych arkanami sprowadzili tak srodze zbitych i poturbowanych, że choć zaraz na męki wzięci, *sanguinem* tylko miasto słów *oribus* wyrzucali. Dowiedział się jednak od nich J. W. wojewoda, że to jest kosz największy, w którym brat hana osobą się swoją znajdował i wielu znacznych murzów; odliczywszy zaś tych tatarów, którzy koni zapaśnych, wozów, jeńców i taboru pilnować muszą, ci, którzy do bitwy użyci być mogli, czterekroć tylko liczniejsi od naszych wojsk byli. Co usłyszawszy wojewoda, zaraz począł nas na owych pagórkach do rozprawy szykować, nam zaś radość wielka wstąpiła w serce, albo-

wiem wiedzieliśmy, że w tej proporcji i liczbie tylko czterokroć większej, tatarzy mocy naszej oprzeć się nie mogą; ponieważ zaś tabor, a zwłaszcza wielka ilość wołów powolnych utrudniała im ucieczkę, przeto już ujęć przed naszymi szablami nie byli w stanie. Wiedzieli też i oni dobrze o nas i innej rady nie mając, także do bitwy po swojemu ustawiać się poczęli, cośmy zaraz poznali po odgłosie wielkiego bębna, który oni biał zowią i za święty poczytując, głosu jego we wszystkim słuchają. Wraz też i mgła poczęła rzednąć tak dalece, że coraz większą ilość buńczuków nad koszem się wznoszących oko dojrzeć mogło — a potem całkiem znikła. Wtedy ujrzelśmy czarne mrowie pogaństwa, koń przy koniu i mąż przy mężu kupą zbitą w kształcie sierpa stojących. Od której kupy zaraz harcownicy stadami poczęli się odrywać i latać na wszystkie strony. Inni tuż pod same choregwie nasze podlatali, łącząc nas, wrzeszcząc okrutnie, machając rękami i wyzywając tych, którzyby gonić się z nimi chcieli. Ale wojewoda Kozakom tylko wyjechać pozwolił, aby szyk przez ten czas do zupełnego ładku przywieść, co też i wprędce się stało, bo żołnierz po większej części był stary, doświadczony i sprawny bardzo. Stojąc więc w gotowości, patrzyliśmy na harce i dziwne szarwarki Kozaków, którzy sobie najlepiej w pojedynkę z tem plugastwem radzić umieją. Goniono tedy na jeńca i albo na ostre, ale choć chcieliśmy bardzo wiedzieć, jak pierwszy trup głową padnie, nie można było tego rozpoznać, bo padło odrazu kilka na wszystkie strony... Przywłókł też stary essaul kozacki jednego murzę, którego na arkan złapał, pod same nogi wojewody,

ale już zaduszonego, bo go włókł z półtorej staj, przy-
czem i twarz mu się całkiem o osty stepowe podarła.
Wzięliśmy jednak to sobie za dobrą wróżbę, a wojewoda,
któremu też już pilno było, kazał w surmy i kotły ude-
rzyć, krzycząc: „poczynać! poczynać!“ Orda odpowiedziała
wrzaskiem okrutnym, które to odgłosy słysząc harco-
wnicy zaraz umknęli z pola, na którym usarya miała teraz
po staremu iść z całą nieprzyjacielską potęgą w zawód.

Wszystko wojsko stało, jako się rzekło, na wzgórzach,
gotowe wraz zerwać się na nieprzyjaciela, ale podobało
się fantazyi J. W. wojewody, starym obyczajem jedną
chorągiew jako sokoła z obręczy naprzód puścić, aby ta,
łamiąc wszystko po drodze, postrach i zamieszanie w szy-
kach nieprzyjacielskich rozniosła. Widzieliśmy tedy tę
chorągiew, idącą pod wodzą Babskiego, jak na dłoni, ile
że spuszczać się zwolna po pochyłości, przechodziła tuż
koło nas. Ale gdy ukosem przeszli, konie wzięły już im-
pet największy, aż ziemia gięła się pod nimi, usarze
pochylili się w kulbakach i złożyli kopie. Powietrze war-
czało srodze, a wiatr uderzył od nich na nas tak mocny,
że aż pióra zatrzęsły się nam na szyszakach. Tak szli
naprzód z szumem od skrzydeł i kitajek, właśnie jakoby
burza, i znać było, że co im się oprze, to zetrą. Rotmi-
strze mieli rozkaz pomocy im żadnej nie dawać, póki by
sobie gościńca na wylot przez pogan nie przebili. Pa-
trzeliliśmy na nich długo, bo ze dwie staje lecieli, a ku-
rzawa, ile że szli murawą, nie była wielka. Po naszych
choregwiach, które jeszcze stały, cichość zrobiła się taka,
że słychać było bzykanie much i bąków. Każden tylko
oczy za tamtymi wytrzeszczał, a czasem koń zarżał lub

krew wietrząc, szyję wyciągnął i chrapy otworzywszy, stękał żałośnie. W koszu, między poganami zrobiło się wrzenie niemałe, a potem podnieśli krzyk: *Alla! Alla!* i wnet chmara strzał, jakoby ulewa lunęła na usarzy, dzwoniąc po pancerzach i harnaszach. Od nich też doszło wołanie: „Jezus, Marya!“ co było znakiem, iż wnet kopiami zderzą. Jakoż z pomocą Bożą dopadli i zderzyli z takim impetem, że pogaństwo rozwalilo się na dwie połowy, jakoby drzewo klinem rozszczepione, oni zaś szli środkiem, niby ulicą. Dopieroż ulica ta zawarła się z tyłu za nimi i mrowie pokryło ich zupełnie. Widzieliśmy tylko straszne kotłowanie, a czasem koncerz błysnął, a czasem, gdy koń wspiał się pod mężem, ramię zbrojne; to znów proporczyk podleciał w górę, jak ptak, i spadł na dół. Z majdanu, gdzie nie było darni, wstała straszna kurzawa, a w niej kłębiło się i wrzało. Huk samopałów, wrzask okrutny i krzyki uszy nam prawie rozdzierały. U nas też szmery poczęły chodzić przez całe chorągwie, bo trudno było ustać na miejscu. Rwali się ludzie, a konie osadzały się na zadach. Poczęto mówić litanie za konających, gdy wtem wyrostek pewien ślachecki, zamiast: „zmiłuj się nad niemi“, krzyknął: „widzę jeszcze proporce!“ Wtedy żołnierze jednym głosem wołać poczęli, by i im też skoczyć za tamtymi było dozwolono. Zapal wielki i niepowstrzymany ogarnął całe szyki. Niektórym skry szły z oczu, inni od ochoty na krew pogańską, tak się właśnie jako panny płonili; inni, młodszy, służy okwite roniąc i ręce ku niebu wyciągając, powtarzali: „Puście, abyśmy braciom naszym na ratunek iść mogli!“ Ale pułkownik, ciszę wielką groźnie nakazawszy,

rzekł: „iż nie przystoi rycerstwu, jako byle jakiej milicyi, bez komendy uderzać i zbytaniem łakomstwem cierpliwości rycerskiej kazić, co jeśliby który uczynił, końmi włóczony będzie“. Patrzyliśmy więc znów w milczeniu na onych ginących i na cały kosz, który się jako olbrzymi wąż, żeleźce w brzuchu mający, poruszał i wil z boleści, pragnąc zdusić onę choregiew, która w nim już tkwiła.

Tymczasem słońce zaszło i zorze rozpały się na niebie, ale znać na komendę nie trzeba już było długo czekać, bo nagle druga choregiew stoczyła się za pierwszą, niosąc zniszczenie, za nią trzecia i czwarta. Pod nawałą mężów zbrojnych i koni poczał się kosz kolebać i widać było, że bezecny Mahomet runie w proch u stóp przeczystej Maryi. Wtem armata, której sześć sztuk nadciągnęło właśnie za nami, zagrała z majestatem i powagą wielką, łamiąc kulami końce kosza. Rotmistrze u nas poczęli starym obyczajem rękawy zawijać i buzdrganami groźnie potrząsać. Kolera bojowa uderzyła nam do głowy, jakoby wino. Jaki taki wykrzyknął imię swego patrona, więc slyszalesz ustawnie: Święty Pietrze! Święty Janie! Święty Macieju! jaki taki świętych poniechawszy, wołał: „Bij, morduj!“ Ja, grzeszny sługa Boży, akt strzelisty odmawiać począłem, a gdym go skończył i ku Maryi myśl się podniosła, to cud stał się nademną, bo nagle jaskółeczka jakowaś nad sterczącemi glewiami kółkiem się zakręciwszy, nagle na mojej usiadła i trzepiąc skrzydelkami, jęła powtarzać: „ciwit! ciwit!“ jakoby się za mnie modliła. Więc zaraz moc jakaś weszła w kości moje, aż włosy zjeżyły mi się pod helmem. A wtem i czas nadszedł. Od wojewody przypadł służbowy i buń-

czukiem machnął, wnet rotmistrze do szeregów przypadli, pułkownik krzyknął: „Bij psuoraty, w imię Boże!“ Konie osadziły się na zadach i powietrze zaświstało nam w uszach.

Wsparliśmy też okrutnie pogan, którzy powstrzymać nas nie mogąc, jako kłos zżęty pod kopyta końskie padali. Przewracaliśmy po drodze, ludzi, konie, namioty, osi trokoły. Trzask łamanych kopii huczenie armat zgłuszył. Konie kwiczały w ciżbie. Po skruszeniu kopii, gdy nowe ómy nas opadły, poszło na szable i koncerze. Niejeden odłamkiem glewii grzmocił, lub pięścią zbrojną duszę z ciał wypędzał. Pióra usarskie ze skrzydeł i hełmów tysiącem wzbily się w powietrze. Gorąco od stłoczenia ludzi i koni zatykało dech w gardzieli. Dopieroż poszły wrzaski ochryple, jęk tratowanych ludzi, pisk, świst szabel i strzał. Opór poganie dawali okrutny, ale już słabli, coraz gęstszym trupem padając, i terror jął ich ogarniać. W zgiełku i zaślepieniu nie wiedzieli gdzie uciekać, wyjąc więc i rękoma głowy zasłaniając, pod cięciami mieczów marli. Konie z jeźdzcami przez furę zdruzgotane, stopy drgające potworzyły, a my po ciałach onych i krwawej oślizgłości, siekąc szliśmy przez tłumy ku wozom, skąd lament jeńców pobranych, płacz przeraźliwy niewiast i wołanie ku niebu się roziegało. Rzeź trwała już w ciemności, póki nie błysnęła luna od wozów, gdy je kozactwo zapaliło. Dym i skry buchały kłębami, a w tych skrach i dymie bydło w taborze żałośnym rykiem napęliło powietrze; potem zasię tabór rozerwawszy, woły, owce, kozy, konie bez jeźdzców i wielbłądy zdziczałe ze strachu rozbiegały się jako uragan po stepie. Przy wozach

największe powstało zamieszanie. Jedni łup w zgiełku brali, drudzy pęta jeńcom cięli, którzy ręce wolne poczuwszy, łamali palące się wozy i żagwiami gromili nieprzyjaciół. Szlochanie niewiast wściekłość tem większą w żołnierzach wzbudziło, więc i ci, którzy padając na twarz, ręce ku pętom wyciągali, pod mieczem marli. Znaczne oddziały, które z taboru wyrwać się nie mogły, choć o miłosierdzie wyły, w pień wycięto. Za tymi, które wymknęły się z pogromu, pogoń poszła, a z nią i ja skoczyłem. Przed jednym uciekały całe tłumy; ręka od cięć mdlała, konie we krwi się ślizgały, dech ustawał w piersiach końskich. W ciemności cięto na oślep. Aż koń podemną pyskiem krew wyrzuciwszy, padł na murawę, a wraz i mnie jakoby sen zaczął ogarniać, bo mi krew ciurkiem uchodziła. Siadłszy, chciałem się Bogu, albo Najświętszej Pannie polecić, gdy wtem step zakręcił się ze mną, *lucida sidera* podskoczyły na niebie i zemdląłem.

.



III.

...Poganin wedle języka naszego, jest jak gdyby bydlę albo pies nieczysty, albowiem co jest nieczystego u ludzi, to i Bogu nie miło. A choć się bisurmanie lepszymi od chrześcijan powiadają, przecie w głębi sumienia sami o swej nieczystości wiedzą i gorliwie zmyć onę pragną, siedm razy na dzień wodą swe członki oblewając, czegoby przedsię czynić nie potrzebowali, gdyby ztwardziałość ich w grzechu mniejszą była. U żadnego też narodu niewola tak ciężką nie jest, a to dla ich okrucieństwa i z tej przyczyny, że kościołów i księży katolickich u nich niema; gdy więc któremu z jeńców w grzech śmiertelny popaść przychodzi, ten w chwili śmierci, nie mogąc dostać rozgrzeszenia, potępionym snadnie być może. Z jeńcami srodze się też obchodzą, co się i z przygód moich pokaże. Mają oni jedno święto zwane Bimek-bairon, przed którymto czasem post miesiąć cały zachowują. Mahomet też, prorok ich, aby bezecność swoją pozorami justycyi koloryzować, kazał im dnia tego niewolnikom zmniejszać lata niewoli, wysłuchonym swobodę dawać, wszystkim zaś wyznaczać, do jakowego terminu służyć mają i obietnic pod przysięgą

dotrzymywać. A mają się te przysięgi odprawować we dwie godzin po północy, gdy ksiądz ich na wieżę, albo-li tam gdzie wieży niema, na wzgórze wejdzie i pocnie, palce w uszy włożywszy, wołać: *Lai Lacha i Lalach Mahomet Rossulach esse de Miellai, Lala i Lalach!* Przysięgają więc wtedy na książeczki zwane Hamaeli, na których szabla Alego, Mahometowego pomocnika u spodu jest wyobrażona, którą Delfikari zowią. Komu tedy na tę książeczkę przysięgną, bez pochyby przysięgę zdzierzą, ale tak są w oszukaństwie zaprawni, że nietylko niewolników, ale i Boga swego oszukują, przysięgając na książeczki, które z mydła weneckiego *efficiuntur*. Taką przysięgę, mówią, pierwszy deszcz rozpuszcza i dlatego nic słowem ich wierzyć nie można.

Jenców do Azyi, która zgoła jest inną częścią świata, sprzedają; pozostałym trzód strzedz każą, do robót ich używają, surowcem z byczej skóry biją i głodem morzą. Sami próżnowanie umiłowawszy, ledwo się do obmywania podnoszą, a przez resztę dnia na czerepach końskich, pokrytych kobiercami, siedzą i ręce beczynnie na brzuchu trzymają, co najwięcej to się w prawo i w lewo kiwając. Na muzykę tylko bardzo są łakomi i głosu piszczałek po całych dniach słuchać zwykli. Tych po dwie w gębę włożywszy, palcami na nich, jako na fletni przebierają. Prócz tego mają też multanki, kotły końską skórą obciążnięte, cymbały, tudzież krążki miedziane, wielki brzęk czyniące, i kije długie, grzywą zdobne, a dzwoneczkami okryte. Gdy na tych wszystkich instrumentach grać poczną, taki stąd powstaje harmider, że psi wyją, oni zaś, ciesząc się, mówią, że i ich uszom

ślodycz stąd przychodzi i choroby różne przed owymi głosami precz od nich umykają. Pijaństwo jest u nich wielkie, bo choć wina pić im nie wolno, przecie się ko- bylem skisłem mlekiem zalewają, które gorzej niżli wino do głowy idzie. A wtedy źli są i okrutni, tak, że jeńców zabijają, mękami ich wpoprzd zmorzywszy. Z chrześci- jańskich narodów, Gemueńczykowie i Wenecyanie z nimi handlują, do różnych miast, które jeszcze starożytni, *sci- licet Graeci* budowali, na nawach swych przybijając. Ci im nad wszystko lampki pergaminowe różnych kolorów przywożą, które oni lojem baranım napuściwszy i świe- czki zapalone włożywszy, na grobach i kościołach swych w nieskończonej liczbie wieszają i wonnościami kadzą. Od onych świateł białych, różowych, zielonych i mo- drych, jakoby w powietrzu nocą wiszących, cudny jest widok, który każde oczy mógłby uradować, gdyby na chwałę Bożą był obrócony.

Ale oni właśnie wtedy sprosności dopuszczają się największych. Księża ich są zarazem czarownikami i ze złymi duchami w komitywę wchodzą. Gdy wyprawa wyj- dzie na rabunek, oni to noce ciemne czynią, a dniem mgły wielkie podnoszą, aby kosz przed pogonią mógł ujsć bezpiecznie. Ludu na Perekopie i w całym Cherso- nesie nie masz tyle, ile w Rzeczypospolitej mniemają, ale co jest, to wszystko do wojny się używa, nie zaś ze stanu tylko ślacheckiego. Na głód, chłód i trudy bardzo są wytrzymali, bo z młodu goło chodzą, od czego też skóra staje się na nich czarną. W bitwie jednak zbroj- nym mężom dostać nie umieją, z której to przyczyny wojna ich na fortelach więcej, niżli na męstwie polega,

i na tem, by napaść, złupić i co prędzej uciekać. Szczególniej na widok pancernych serce tracą, mówiąc, że nawet i w czarach niema sposobu, aby się ich impetowi oprzeć. Każda też chorągiew usarska napsuje ich w bitwie cztery i pięć razy tyle, ile sama liczy towarzyszków. Niewoli u kozaków gorzej śmierci nie pragną; ale potykać im się z nimi łatwiej. Tak też mniemam, że Rzeczpospolita, gdyby chciała, mogłaby snadnie cały Krym zawojować, z Wenecją w przymierze wszedłszy, któraby floty swoje na Pontus Euxinus wysłała, aby tureckich z pomocą nie dopuścić. Ale ponoś są u nas i tacy, którzy harce na stepie więcej, niżli bezpieczeństwo Rzplitej ceniąc, nie radziby, by się to stać miało. Tych Boże w ich ślepotcie oświeć...

Żywot tatarów i obyczaj bydlęcy jest i przy swojej gospodarce, albo raczej próżnowaniu, z głoduby im umierać przyszło, gdyby nie rabunek, który im bogactw wielkich dostarcza. Temu-to bogactwa owe zawdzięczają, które u nich widziałem, jako to: niezliczone trzody bydła, kóz płochych, koni ścigłych, wielbłądów byle co jedzących i owiec tłustych. Inny też pod namiotami albo w kamiennym rozwalonym ałusie trzyma złotogłów, pasy, rzędy końskie, kielichy, kobierce, broń sadzoną, korzenie i wonności, a wszystko bez ładu na kupę nałożone. Z których-to skarbów nijakiego pożytku nie mają, bojąc się, by z nich hanowi lub turkom, którym są podlegli, płacić nie przyszło. Sami w tołubach baranich, ~~w~~wełną do góry chodzą. Ale co któren ma, to chowa, i bogatym się powiada, od czego inni też go szanują. O miastach, któreby sami zbudowali, nie słyszałem, a te, co są, to

z dawnych czasów pochodzą; Chersonesus bowiem drzewiej bardzo był zamieszkały, dopóki osad i mieszkańców tamtejszych różni pogaństwo nie starli, kilka jednak miast zostało dosyć ogromnych i bardzo pięknych, ale oni i w nich barbarzyński żywot, jakoby w niechlujnych koczowiskach pędzą. Mnie zaś z wielą innymi zaprowadzili do pewnej osady, Kizlich zwanej, nad sam brzeg morski, gdzie strumień słony i mały *ad mare profundum* się sączy. Domy są tam budowane z ruin jakiegoś miasta, które, jak twierdzą, jeszcze Sauromati zburzyli. Ale kilka budowli jest bardzo pięknych, choć znacznie pokrzuszonych, które dawniej świątyniami były, dziś zaś tatarowie do nich owce i konie na noc zaganiają, jedną tylko w minaret obróciwszy. Z ziemi także wykopują czasem kamienne figury, tak misternie rzeźbione, jakoby żywe. Tym dzieci tatarskie na głowach siadają, lub kamieniami członki tłuką. Za mną też dzieciaki owe gruzem i nieczystością rzucali, wołając: *gaur! gaur!* Ale znośłem to cierpliwie, zwłaszcza iż Aga Sukyman, jakoby po naszymu rzec: Salomon, miasta tego *praefectus*, który mnie omdlałego znalazł i pojmał, z początku przystojnie się ze mną obchodził. Czynił to dlatego, iż zbroję piękną i szablę sadzoną na mnie wzięwszy, za znacznego w narodzie naszym mnie poczytał i okupu się wielkiego spodziewał. Ja zaś bacząc, że szlachcicowi nawet i w niewoli i przed nieprzyjacielem zmyślać nie przystoi, wręczem mu to negowałem. Rzekłem więc, że jakkolwiek z przedniego rodu pochodzę, przecie fortuny żadnej nie posiadam i z okupem nikt po mnie jechać nie będzie. Czemu on w chytrłości swej nie wierząc, tak do mnie po rusku

mówił: „Ej, wy Lachowie! każdy z was się chudopacholkiem powiada i okupu nie zaręcza, by was katować, za co sobie rozkoszy wielkie od waszego Boga w niebie obiecujecie“. Owo więc i do Azji, jako wielu innych mnie nie sprzedał i prawie wolność mając zupełną, codzień nad brzeg chodziłem. Tam *in rupibus* siadłszy, wpatrywałem się w dalekość morską, jako turkus błękitną, i myślom wodze puszczałem. Często też rzewnie płakał, bom rozumiał dobrze, że dola moja zamknięta już jest i przez nieszczęście przypieczętowana, ani bowiem o posługach rycerskich dla milej ojczyzny, ani o sławie, ani o Marysi myśleć nie mogłem. Przeto smutki ogarnęły mi duszę i cierpienia toczyły serce i okrutna tęsknota wychodziła ze mnie ku Rzeczypospolitej i ku wszystkiemu, com w niej utracił. Wolejby był na świat nie przychodził, wolej w bitwie zginął, wolejby mnie Sukyman odrazu na męki wydał, bo przynajmniej palmębym otrzymał i dusznemi oczyma ujrzał to, za czem cielesne tęskniły. W boleści, końcam boleści nie widział. Co piątku, który to dzień u tatarów jest niedzielą, gdy inni jeńcowie wypoczynek od pracy i mąk mieli, siadaliśmy przy strumieniu, w płakaniu sobie wzajem pomagając, a często śpiewaliśmy psalm: *Super flumina Babylonis*. Tak nam dzień schodził na rozpamiętywaniu i rozmowach o ojczyźnie, z których duszom pociecha była niemała. Zdarzyło się przytem, iż między jeńcami, którzy w Kizlich jarzmo niewoli dźwigali, sam jeden szlachcicem byłem; przeto rząd nad nimi niejako sprawując, ukrzepiałem ich dusze, aby nie znalazł się taki, któryby odstąpieniem od wiary prawdziwej, niedolę swą okupić pragnął.

Jakoż Bóg tego nie dopuścił. Mając też u tatarów dla spodziewanego okupu powagę, ulgi niejaki innym jeńcom przynosić usiłowałem. Czasem tedy część strawy swej najgłodniejszym udało mi się oddać, czasem w robocie pomagałem, wody spragnionym przynosiłem, za ujmę sobie tego nie poczytując, gdyż, jeśli Pan Bóg prostych ludzi w urodzeniu i krwi upośledził, przecież koronę w niebie im obiecał, a przez to ich młodszymi braćmi naszymi stworzył, którym od stanu rycerskiego należy się obrona i opieka. Oni też z pokorą całowali moje ręce, chociażem im mówił, że niewolnikiem tylko na równi z nimi jestem, i że godzina taka może nadejść, w której mnie w większej jeszcze nędzy i upodleniu, niż sami są teraz, oglądać będą. Czemu nie chcieli dać wiary, mówiąc: „Dla Boga! nie może to być!“ Alem ja wiedział, że będzie, gdy Sukymanowi na okup sprzykrzy się czekać daremnie, i gotowałem się na wszystko najgorsze, co ciało spotkać mogło, gdyż dusza utraciwszy szczęście, była już w męce i boleści.

Jakoż Sukyman jednego dnia przyszedł do mnie i mówi: „Źle czynisz, iż za łaskawość moją niewdzięcznością się wyplacasz, gdyż jako gościa cię traktuję, a ty znać w uporze trwasz, bacz tedy, abym cię pod kolana moje nie zgiał“. A tu wraz zamysły swe objawił i żądał, bym do Rzplitej o tysiąc czerwonych złotych pisał, za którebym wolność mógł otrzymać. Czego ja uczynić nie mogłem, a to raz, iż tylko trzysta czerwonych złotych miałem, do których niewiele co z prowizyi przyrosło; powtóre, bałem się, aby J. W. Tworzyński *magnanimitate sua*, z własnej szkatuły za mnie płacić nie

chciał, coby ambicyi mojej przeciwnem było. Gdy jednak Pan spuścił strach w kości moje przed gniewem Sukymana, rzekłem mu, aby chwile męki odwlec, iż woli jego posłusznym być muszę. Jakoż dałem mu list, ale do jednego proboszcza, którego pod Kamieńcem miałem znajomym. Temu niewolę moją opisawszy, prosiłem go, aby modlił się o wspomóżenie dla mnie, które tylko z niebiesiech przyjść mogło. Uradowany w chciwości swej Sukyman, pismo owo przez tatarów, idących na jarmark do Suczawy wyprawił, dokąd także dworzanie od magnatów naszych po bakalie wyprawiani bywają. Sam zaś łaskawszym się jeszcze na mnie uczynił i do alusu swego, którego w całym mieście najpiękniejszym był, mnie zaprosił. Był to zaś możny poganin i w narodzie swym bardzo był poważany, tak dla swego męstwa, jak i dla fortuny, która w jednym tylko go upośledziła, a to, iż z wielu żon żadnego syna nie spłodził, a córek pięć. Najstarszą z nich Illę, wielce dla jej urody miłował. Przyszło mi ją często widywać, albowiem tatarowie nie trzymają niewiast swych, tak jak turcy w zamknięciu, ani też oblicza im pokrywać nie każą. Która też do stołu przychodziła, z początku ze strachem na mnie i ciekawością, jakby właśnie na jakoweś monstrum spoglądając. Potem zasię, gdy przyrodzona jej dzikość poskromioną została, często nie rzekłszy ni słowa, buklę ze skisłem mlekiem ku wargom moim pochylała, lub gałkę z ryżu i baraniego łoju ukrećwiwszy, w gębę mi takową na znak swej przychylności kładła. Czemu Sukyman nietylko się nie przeciwił, ale i sam to czynił, gdyż obcując ze mną codzien, wielce mnie polubił i czę-

stokroć do porzucenia smutków namawiał. Przemennie też i innym jeńcom lepiej się działo, albowiem Illa wszelkiej żywności obficie im dostarczała:

Z takowej przyczyny oni pokochali ją, i gdy wedle cysterny przechodziła, całowali szaty jej, orędowniczką swoją ją zowiąc. Poganka też owa nietylko gładkie oblicze, ale i miłosierne serce miała, tak, iż nieraz żał się robiło pomyśleć, że dla błędów wiary swej, zgola potępioną być musi. Ku mnie zaś coraz więcej serca okazywała. Bywało, siadłszy skulona w kącie ałusu i tyftykiem się z głową owinąwszy, po całych godzinach na mnie w milczeniu jako kot jarzącymi oczyma spoglądała. Spytałem ją tedy raz, czego się tak we mnie wpatruje, ona zaś rękę na czole, na wargach i na piersi położywszy, do nóg się moich pochyliła i rzekła: „Bakczy, niewolnicą twoją być pragnę“. I wraz uciekła, a mnie tymczasem żądz grzeszne opadły, od których w żarliwej modlitwie obrony szukać musiałem. Tego jednak jeszcze dnia przyszedł do mnie Sukyman i tak się odezwał: „Zwiodłeś mnie listem swoim, za co powinienbym cię katować, gdy jednak Allah synami mnie nie pobłogosławił, nad młodością i urodą twoją litość mam. Przeto ci powiem, iż jeśli błędy wiary swej porzucisz i proroka naszego przyjmiesz, Illę, która cię miłuje, dam ci, synem cię swoim uczynię i wszystko co mam, twoje będzie“. Więc od wielkiego zdumienia pary zrazu z ust puścić nie mogłem, ale ochłonąwszy, odrzekłem mu, iż i szatan Chrystusa kusił, królestwa mu różne z góry ukazując.

Rozgniewany temi słowy, ryknął, jakoby zwierzy dziki; zaraz szaty, jakie na sobie miałem, zwlec mi kazal

i wyszedł. Co gdym uczynił, symarę zgrzebną mi niewolnik kalmuk przyniósł i wodę trzodom groźnie nosić polecił. A tak pamiętam, iż było to w poniedziałek, gdym do posług onych wzięść się musiał. Chodziłem w górę do strumienia, który u morza był słony, ze skórzanymi workami i tam wodę czerpiąc, do cysterny kamiennej ją wlewałem. Tataraki, które prać chusty do strumienia także chodziły, poszczyły mnie psami. Wieczorem nie poszedłem jako poprzednio do ałusu, ale spać się między wielbładami układałem, a żem się uznoił, Bóg mi sen zaraz zesłał. Nagle zbudziwszy się, jakowaś figurę wiotką, ku mnie w świetle miesiąca idącą, spostrzegłem. Przeżegnałem się, myśląc, iż ducha widzę, ale to była Illa, która naczynia z wodą i oliwą niosła. Potem nogi moje obmywszy i namaściwszy, w podłe mnie w kuczki siadła, po dawnemu w milczeniu mi się przypatrując, z oczu zaś jej wielkie srebrne krople spływały. Rzekłem tedy: „Illo, czemuś przyszła?“ Ona zaś poczęła szemrać cicho, miesiącowi źrenice swe mokre oddając: „Bakczy, czemu mną pogardziłeś?“ I od płakania więcej mówić nie mogła. Wówczas poruszało się we mnie ku niej serce i chciałem ją do łona mego garnąć, ale zaraz Marysia bieluchna stanęła przedemną i grzeszna myśl precz odleciała. Rzekłem więc, że mężem jej choćby dla jej wiary być nie mogę, która w oczach moich tem jest dla duszy ludzkiej, czem plugawa rdza na żelazie; ale więcej jej dać mogę, niżli wszystko, co od ludzi spotkać ją mogło, a to chrzest święty, któren ją z grzechu pierwородnego obmyje i zbawienie jej zapewni. Ona jednak w ślepcie swej przejrzeć nie mogąc, z desperacją wielką za głowę

się rękoma ulapiwszy, jak przyszła, tak i odeszła. Na drugi dzień powróciłem do swojej pracy, która tem cięższą była, że jeść skąpo mi dawali. Napotkałem też i Sukymana. Ten rzekł: „Zegnę cię“. Na co odpowiedziałem: „Ciało moje tylko zegniesz, gdyż wiedz, że duszę, ślachcicem będąc, mam nieugiętą“. Co usłyszawszy, ze zgrzytaniem zębów się oddalił. Tak mnie Bóg skarał za ów symulowany list, bo gdybym go nie pisał, nie byłbym tak srodze Sukymana, odrzuciwszy jego córkę, przeciw sobie podniecił.

W piątek przyszli, jako zwykle, niewolnicy rozmyślać, smutne pieśni śpiewać i rany myć. Ujrawszy mnie w mojem upodleniu, z rzewliwym płaczem do nóg mi przypadli, krzycząc: „Majestat pański został poharbiony!“ Alem ja tak nie mniemał, gdyż Chrystus, choć z królewskiego rodu będąc, większą jeszcze poniewierkę cierpiał, chcąc przez to stanowi ślacheckiemu okazać, że godność krwi zacnej nie cierpieniem, jedno strachem przed cierpieniem się kała. Jeńcowie zaś, wiedząc o kondycjach, jakie mnie Sukyman dawał, wołali: „Udaj, panie, że proroka przyjmujesz, co jeśli pozorne będzie, duszy swej nie zgubisz, a tak synem możnego Sukymana zostawszy, i sobie i nam ulgę przyniesiesz, bo twoimi niewolnikami będziemy“. Wtedy rzekłem im, iż gdy tak radzą, psom blizkimi być muszą, albowiem szczeniem przeciw Bogu gęby swe plugawią, nie rozumiejąc, że nie godzi się bić choćby pozornie pokłonów przed fałszywymi proroki. Na to rzekli: „Głowy my tu wszyscy położymy“ — i w desperacyi trwali, Bóg bowiem nieurodzo-

nym ludziom odmówił honoru i baczniejszymi ich na wygody doczesne uczynił...

Usłyszawszy o tem *praefectus* Sukyman, bardzo się rozgniewał i głodem zgiąć mnie postanowił. Zabić bowiem, ani sprzedać mnie nie chciał, bo mnie sam dawniej miłował i dla Illy tego uczynić nie mógł, która, jako się później dowiedziałem, gdy się przeciw szyi mej odgrzązał, szat jego z wielkimi prośbami się czepiała, w tej nadziei ojca utrzymując, iż umysł mój kwoli ich chęciom wkrótce się zmieni. Przyszły tedy na mnie czasy wielkich utrapień i przewidywana godzina męki wybiła. Ale gdym pomyślał o ojcach moich, o sławie i o nieskazitelności imienia, które mnie zostawili, moc wielka wstąpiła w serce moje. Jedno więc o tem myślałem, by słacheckiemu stanowi, którego *dignitatem* w sobie nosilem, i który jest Rzeczypospolitej fundamentem, czemkolwiek w niewoli swej hańby nie przynieść. Rzekł mi Sukyman, chcąc, abym się shańbił: „Z psami wolno ci jadać i to, co im rzuca, brać możesz“. Nie chcąc, aby się to stało, żywilem się tylko szarańczą, którą na piaskach morskich znajdowałem. Często też z początku żywność przy mnie przez jakąś niewidomą rękę kładzioną była, w czem domyślałem się Illy. Ale później strzeżono jej, aby tego czynić nie mogła. Inne zaś czarownice tatarskie, nietylko, że miłosierdzia nademną nie miały, ale raz zbiły mnie kijankami tak, iż całe moje ciało sine było. Jeśli więc szarańczy zabrakło, głód cierpiałem. Czasem mi także niewolnicy figi po tatarskich ogrodach zbierane przynosili, ale gdym ujrzał, że chłosty za to otrzymują, kazałem im tego poniechać. Spoglądali na mnie ze łzami,

powtarzając: „Panie nasz, na co ci przyszło!“ Niewola też, nietylko moja, ale wszystkich, sroższą się stała, gdyż tatarowie wielką złością ku nam zapłonęli. Jeden zasię kozak niebożatko, imieniem Fedko, na pól był wbity, na którym drugiego dnia dopiero, powtarzając: *Chrystu! Chrystu!* umarł. Nocą zdjąwszy go z pala, pogrzebaliśmy ciało w piaskach morskich, o śmierć równie piękną Boga prosząc, za którą Fedko pewnie w niebie przez Ojca Przedwiecznego był nobilitowany i purpurą okryty i do chwały najwyższej wyniesiony.

Rychło i ja już z ziemską powłoką moją rozstać się myślałem, albowiem miesiąc upłynął, jak się szarańczę żywilem, która coraz rzadszą w piaskach była. Wy-chudłem i zczerniałem srodze i nogi chwiały się już podemną. Wory, gdym je w strumieniu napelniał, dzwi-gałem z jęczeniem, aż wreszcie na barłogu podle zagrody dla wielbłądów siadłszy, ruszać się więcej nie mogłem. To one bestye, serca lepsze od pogan mając, wyciągały do mnie szyje swe zgięte przez płot i prychnając nozdrzami, litowały się nademną. Wszelako raz w nocy, nawpół we śnie, znowu *Ilę* widziałem, która wody i jedzenia mi przyniosła. Dla osłabienia wielkiego sypiałem i we dnie, a Bóg w miłosierdziu swem sny mnie o milej ojczyźnie zsyłał i Marysia przychodziła do mnie także, cała w bieli i z anielskimi skrzydłami na plecach, któremi od spie-koty głowę moją osłaniała. Ona przychodziła zawsze w południe, w skwar wielki, a nad wieczorami, gdym bywał najslabszy, słyszałem różne śpiewania z nieba do-chodzące. Podobno czas jakiś byłem bez przytomności, bom świata ziemskiego nie widział, ale potem zdrowie

wróciło, gdyż ujrzałem znów kupę barłogu, zagrodzenie dla wielbłądów i głowy onych zwierząt, ku niebu powyginane. Pewnego razu Sukyman przechodząc koło mnie, rzekł: „Poznaj moc sług proroka!” — na co odpowiedziałem: „Poznaj cierpliwość sługi Chrystusa“.

Tymczasem nadeszło drugie święto: Czaczuk bayron. Tatarowie, gdy noc zapadła, pozapalali owe wspomniane lampki weneckie, któremi całe miasto ozdobili; potem lucywo każdy w rękę dierzając, na drogi wyszli i gromadami chodzili. A było to w pełnię samą. Więc oni ku miesiącowi oczy zwróciwszy, wołali wielkimi głosami do swego Boga i do swego proroka, bo taki u nich obyczaj, by przez całą noc chodzić i modlić się. Jałmużny wielkie też dnia tego czynią; więc niewolnicy usiedli także rzędami wedle drogi i o co który prosił z żywności albo szat, to i otrzymał. Innym także lata służby zmniejszyli, a niejakiego essaulę, któren z wody tatarskie dziecko wyciągnął, wolnością obdarowali, bo mało co im się godzi w ten dzień odmawiać. Z tego powodu radość wielka między niewolnikami była, gdyż żaden głodu nie cierpiał, ani plag nie otrzymał, ani śmiercią był karany. Sukyman przechodził koło barłogu, na którym leżałem, a wedle niego szła Illa, ale bardzo dumnie, gdyż wcale na mnie nie spojrzała. Wszelako placek jęczmienny z kosa wzięwszy, rzuciła mi go, w inną stronę spoglądając, któren w pobliżu siedzący niewolnik kałmuk porwał. Sukyman zaś myślał, iż razem z innymi będę zebrał, i byłby mi wonczas nie odmówił. Ale choć zdawna nie już w gębę nie brałem, nie zdało mi się rzeczą godną ślachcica na równi z pospółstwem ręce wyciągać i wo-

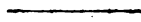
lałem głód, co mi szarpał wnętrzności, powietrzem tłumić. Mówił tedy Sukyman do innych: „Zaprawdę, żelazną duszę ma ten nieużyty człowiek i znać, trzebaby go prosić, aby nad sobą miał litość, gdyż pychę swą nad wszystko przekłada“. I nie wiedział o tem poganin, że wtedy właśnie dusza moja w prochu i osłabieniu największem kładła się przed Panem, bo męka była prawie odemnie silniejsza. W nocy jednak ktoś znowu żywność koło mnie położył, którą chciwie zjadłszy, poczułem się mocniejszy. Zwlokłem się zaraz z barlogu i choć ręce i nogi mi drżały, począłem na nowo nosić wodę do cysterny. Szarańczy też Bóg przez dni następne zesłał obfitość, a przytem głód mnie przyuczył jeść plugastwo morskie, które w kształcie swym szpetne, złe przecie nie jest. Żyłem tedy jako ptak z dnia na dzień, a gdym po brzegu morskim chodził, każda fala przynosiła do nóg moich one ślimaczki marne, tak nimi jakby orzeszkami grzechocąc.

Noce zaczęły być chłodne bardzo. Innym niewolnikom w ałusach chronić się dozwolono, ja zaś na moim barlogu sypiać musiałem, ale litościwe wielbłądy kładły się koło mnie ciałami swemi i oddychaniem mnie rozgrzewając. Myślałem, że zimy nie przetrzymam, i to była jedna nadzieja moja, bo innej przed sobą nie miałem. Ach! miła matko, miła ojczyzno, jakoże mi za tobą tęskno było — i za tobą dziewczeczko moja, której nie widząc, nietylko miłować nie przestałem, ale pragnąłem więcej, jako wody w znoju, jako chleba w głodzie, jako śmierci w męce...

Wszelako Opatrzność różnymi sposobami czuwa nad

tymi, których doświadcza. Gdyby bowiem nie nędza i poniewierka, w jakiej żyłem, mógłby mnie Sukyman do Carogrodu lub do Galaty sprzedać, gdzie są wielkie niewolników targowiska, a teraz z powodu onej mizeryi, niktby mnie i darmo wziąć nie chciał, bo więcej do konającego czleka lub do Łazarza, niż do rycerza byłem podobny. Mniejsza, iż tylko smolna symara okrywała nagie członki moje, ale chudość moja żyjącym kościotrupem mnie czyniła, a przytem włos bujny wyrósł mi na brodzie i głowie, skóra popękała na całym ciele i pokryła się strupami i liszajami od wielbłądów. Inni za trędowatego mnie mieli i nawet w niewolnikach obrzydliwość wzbudzać począłem. Ale już ciało swe, powłokę marną, która jak każda odzież zedrze się i w szmaty popada, za grzechy moje ofiarował, bo tylko dwie rzeczy trwale być mają, a to dusza nieśmiertelna i honor, który na urodzeniu się fundując, tak pryncypalnym jest dla niej przymiotem, jako właśnie światłość dla gwiazd niebieskich.

.



IV.

...Nadeszła wiosna i znowu cieplejsze słońce oświeciło nędzę moją. Tak zaś już do niej przywykłem, że prawie zapomniałem, iż są szczęśliwi ludzie na świecie. Bociany, pliszki, jaskółki i skowronki leciały stadami ku północy, a ja im mówiłem: Ptaszyny marnie! ach! mówcie Rzeczypospolitej i wszelkim stanom: że jako szlachcic patryota wytrwał, i choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptany, przed Panem moim tylko płaczę, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem*. Koniec mej nędzy był jeszcze daleki, ale wiosna owa zmiany i wróżby nowe przyniosła i dziwnych zapowiedzi była pełna. Na niebie nad Krymem zjawiała się różga gniewu Bożego, kometa, i sinem okiem mrugając, trzęsła ogonem na zatracenie Krymowi i pogaństwu. Przerażeni Tatarowie z gwarem, brzękaniem i krzykiem po nocach chodząc, chmury strzał zapalonych z łuków ku niebu cisnęli, aby zestrążyć onego ptaka złej wróżby. Księża im post ogłosili, czarnoksiężnicy przepowiadali plagi. Strach padł na serca ludzkie i nie był strach daremny,

bo wieści doszły, że nad Palus Maeotis wybuchła zaraza. Wyprawy miały iść tej wiosny do Rzeczypospolitej dwoma szlakami i nie poszły. Ludzie kupami na ulicy stojąc, rozmawiać głośno nie śmieli, a jedno oczy ku wschodowi zwracali, skąd miał „czarny dziw“, jako go zwali, nadlecieć. Coraz to nowe wieści krążyły między ludem, aż wreszcie gruchnęło po Kizlich, iż mór już się w stolicy chanowej pokazał. Sam Chan ze stolicy uciekł. Jedni mówili, że się w góry, które są na południu, z żonami swemi schroni, inni, że do Kizlich, gdzie wiatry morskie czyszczą powietrze, przyjedzie.
. , Przybył tedy Chan za poradą wróżbitów do Kizlich, pędząc przed sobą trzody okrutne, aby miał co jeść z dworem swoim. Praefectus Sukyman ze czcią go wielką podejmował, a ludzie na twarzy przed nim padali, bo go niewolnicy owi prawie za Boga i powinowatego ciałom niebieskim mają. Ordy nie wiele było przy nim, jedno dwór i tysiąc Dasakaków i nieco hoźów i agów w żółtych tołubaćh, bo obawiano się, aby w wielkiem nagromadzeniu ludzi łatwiej nie okazała się zaraza. Wędrowała ona po Krymie, głównie w tej części, którą Jenikalską zowią. Tam rzuciwszy się na jakowe miejsce, wzięła pogłównę, a inne alusy minęła całkiem, gdzie zaś przeszła, tam nawet ptastwo padało. Ale do Kizlich o dwa dni drogi najbliższej przysła. Dziękował tedy Bogu Chan za ocalenie i szcudrze wróżbitów obdarzył, a wielu też niewolnikom wolność darował. Ale właśnie, gdy inni *fructa* łaski jego zbierali, na mnie przysła ostatnia próba.
.

Pewnego razu przejeżdżając podle barłogu, na którym leżałem, bardzo blisko przyjechał, a spojrzawszy na mnie, pytał Sukymana, coby to był za człowiek tak nędzny. Ten, co odrzekł, nie wiem, widziałem jedno, że długo ze sobą rozmawiali i widać Sukyman na niewdzięczność i zatwardziałość moją się skarżał, gdyż w końcu rzekł głośno: „Spróbuj go, panie!“ Czem zaciekawiony Chan sam ku mnie koniem ruszył. Wnet dwa czaukczy lecieli przed nim krzycząc: „Na twarz psie niewierny!“ alem tego nie uczynił, choć mnie długimi trzcunami po głowie bić poczęli. Więc on władca zbliżywszy się pytał: „Czemu przedemną na twarz upaść nie chcesz?“ Odpowiedziałem mu: „Panie, jeśli ślachcicowi przed własnym królem tego czynić się nie godzi, jakże chcesz, abym przed obcym i poganinem to czynił“. Tu Chan, odwróciwszy ode mnie twarz rzekł: „Roztropnie mówiłeś Sukymanie“. A potem do mnie: „Gdybym ci wybór dał, albo cześć mi oddać i na twarz upaść przede mną, za co wolnością byłbyś obdarzony, albo śmiercią okrutną umrzeć — cobyś wybrał?“ Na to odrzekłem, że niewolnikowi wybierać nie przystoi, niechże więc uczyni ze mną co zechce, niech jednak baczy, że każdy najpodlejszego stanu człowiek, może śmierć okrutną zadać, ale majestat monarszy w woli Boga swoje *initium* mając, wtedy Stwórcy najpodobniejszym się staje i najlepiej swą potęgę oznajmia, gdy nie śmierć, ale życie dawa. On zastanowiwszy się nad mojami słowy, tak potem mówił: „Jeśli niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać, ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał“.

Odrzekłem: „Ciało moje jest tylko w niewoli“. Co słysząc tatarowie aż pobledli, ale on był cierpliwy, gdyż nie próżno nazywano go Roztropnym. Namysliwszy się tedy odjechał, ale odjeżdżając powiedział agom i czaukczom swoim: „Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni“. Więc potem miałem spokój przez dwa dni i jeść mi przynosili. Inni zaś przychodzili nawet do mnie mówiąc: „Pan nasz cię nie zapomni; ale gdy do łaski cię wyniesie, nie zapominaj o nas“.

Tak niewolnictwo upodliło serca tych ludzi, że w przewidywaniu zmiany fortuny mojej, jeszcze mnie na barłogu leżącego już sobie kaptowali. Ja zaś cieszyłem się w duszy, bom myślał, iż może wolność, a z nią i szczęście moje odzyszczę. Po dwóch dniach Chan przejeżdżając, znowu ku mnie konia zwrócił: „Rozważałem — rzecze — słowa, któreś rzekł, w mądrości mojej i na wagach sprawiedliwości je położyłem. Znalazłeś za twoje męstwo łaskę u mnie; mów tedy czegośbyś pragnął, abym dla cię uczynił?“ — Odpowiedziałem, że w wolnym zrodzonym stanie, wolność najmilszym by mi była fruktem łaski jego. On spytał: „A gdy ci jej odmówię?“ — „Tedy daj śmierć“ — odrzekłem. On znowu się zastanowił, ile że chciał, żeby wszyscy podziwiali i sławili mądrość jego, iż nic bez namysłu nie przedsięwzię. A przez ten czas serce było we mnie jakoby młotem. Namysliwszy się, mówił: „Giaurze! nie naciągaj łuku zbyt mocno, aby zaś nie pękł i ręki ci nie zranił; przeto ci powiem ostatnie słowa: zółty tołub ci dam, do dworu cię mego wezmę,

dostatkami nagrodzę i koniuszym moim uczynię, odmiany wiary nie wymagając; byleś rzekł, iż z dobrej woli służyć mi będziesz“. Wtedy zadrgało mi serce zrazu radością wielką, ale wnet pomyślałem, że to pokusy są może szatańskie, a potem jeszcze: co rzeknę ojcom moim, gdy mnie spytają: czem byleś na świecie? Żali rzeknę owym rycerzom w boju poległym: koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim. I okrutny strach mnie zdjął przed tem ojców pytaniem, większy niżeli przed męką i śmiercią; wyciągnąwszy tedy do Chana ręce, wołałem: „Panie! woli ty mojej nie żądaj, bo wola z duszy wychodzi, dusza zaś nietylko wiary jest pamiętna, lecz i stanu, w którym na świat przyszła, a stan ów od ojców wzięwszy, muszę im go odnieść nieskalanym.“ „Niewolniku! złamałeś łuk“ — rzekł Chan, i już widziałem, że godzina nadeszła, bo gniew począł występować na jego oblicze, ale się opamiętał i takimi do Sukymana ozwał się słowy: „Mądry Sukymanie! Zaprawdę w lasce za daleko z tym psem zaszedłem, a teraz ci przykazuję, byś go złamał koniecznie; ale nim życie mu weźmiesz, do tego męką go doprowadź, by nawet u twoich nóg w pokorze się czołgał.“

Wtem odjechał, a mnie zaraz z rozkazu Sukymana, kałmukowie porwawszy, przywiązali do pała. Co było ludu i niewolników, wszystko się zbiegło, aby patrzeć, jakie mi męki będą zadawane. Ja zaś duszę ku Bogu ze wszystkich sił wyteżywszy, o to najwięcej Go błagałem, by mi sił dodał i upodlić się nie pozwolił. I wraz poczułem, że modlitwa została wysłuchana, bo

duch mocny na mnie wionął. I pomyślałem, że przedstawiciel jest tej siły krzyża, co się nie zgina, że ja tu poseł jest Rzeczypospolitej, na mękę od stanów delegowany, że ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowym *moriturus* i powołany, abym fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, prochem pokryty, głodem wychudły, bezsilny, taki niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat poglądał. Kałmukowie zaś mnie siec surowcem poczęli i wkrótce krwią spływałem. Pytali mnie tedy: „Padniesz twarzą?” Odpowiadałem: „Ślachcicem polskim jestem”. Wtedy ci siekli mnie na nowo, inni zaś ognia wolnego pod nogami memi zapalili, abym się piekąc, prędzej o litość zawołał. Jakoż począłem ustępować, ale nie duszą, jedno ciałem, bo omdlałość wielka rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna bladła w oczach. Dopiero widząc, że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitej: „Widzisz że ty mnie i słyszysz?” Aż tu nagle, jakoby przez całe stepy i Pererekop, doszedł mnie głos: „Widzę!” — w dalekościach coś się ćmić poczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkim obliczem wypłynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nade mną i poczułem, że lecę na rękę onej niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: „Nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach! Rycerzu, rycerzu w boju mężny, w męce cierpliwy, Chrystusów

Palladzie cichy, krwawej ziemice synu wierny, witaj
w spokoju, witaj w szczęściu — w weselu, w weselu!“...
I tak lecieliśmy ku niebiosom, a com tam ujrzał, tego
już grzeszne usta moje ziemskim uszom opowiedzieć
nie mogą.
.



V.

.....
.....
...Wóz skrzypiał pode mną i wiatr obwiewał mnie świeży a chłodny. Otwieram oczy — Kizlich nie widzę: step jedno, step jak morze. Więc przymknąłem powieki, myśląc, że sen mi jasleczka jakoweś wyprawuje. Spojrzę znowu: twarz starą Chimka, marszałka Tworzyańskich przy sobie widzę, a za nim luzaków kilku. Ten zasię mówi: Bogu niech będzie chwała, jużes nam waćpan oprzytomniał. — Pytam: gdzie jadę? — Do Rzeczypospolitej — Wolnym jest? — Wolny. — Kto mnie wykupił? — Panienska. — Gdy rzekł „panienka,“ tedy coś, jakby ogromne płkanie porwało mi się z piersi, ręce wyciągnąłem, omdlałem.

Wóz skrzypiał pode mną. Gdym oprzytomniał dzień później, wszystko mi Chimek powiadał. Oto J. W. Tworzyański na lepszy już świat z tego lichego się przeniósł, a Marysia dziedziczką jego zostawszy, przy wuju swym prałacie mieszkała. Tam ich wieść o mojej niedoli i mękach doszła, tam ona wujowi do nóg padłszy,

afekt ku mnie wyznała i z wolą jego od Sukymanowej mocy mnie wykupiła

Chimek Chana już w Kizlich nie zastał, któren, gdy zaraza przeszła, do miasta zwanego Eupatoria wyjechał, a Sukyman za umarłego mnie mając, za trzysta czerwonych złotych, co ze mnie zostało, odprzedał.

Chimek też myślał, że raczej umarłego dowiedzie, bo przez dwie niedziele o bożym świecie nie wiedziałem, ale przecie Bóg mi życie powrócił.

Co wszystko słysząc i wyrozumiawszy, że za przyczyną dziewczki mojej z niewoli pogańskiej zostałem wykupiony, rzewnie płakałem i takie sobie w duszy śluby czyniłem, aby dziewczkę oną miłosierną miłować i strzedz po wiek żywota mego. I teraz mi się zdało, jakoby mój pobyt w Krymie i niewola u Sukymana i wycierpiane męki snem były. Takto Opatrzność sprawy świata tego urządza, iż *in tempore* wszystko mija, a jedno *in memoria* zostaje, z tą wszelaką odmianą, iż im srozsze były przygody, tem o nich wspomninać milej. A w ten sposób nietylko *acti labores* ale i *dolores jucundi* się stają. Że zaś czleka stanu rycerskiego Bóg czasem ciężko dojmie, to mu i sił doda, a jeśli życia pozbawi, to i tak nagrodi. Mnie zaś aniola wybawiciela w Maryi mojej zesłał i pohańbić mi się w próbach nie pozwolił..

Jedno gdym się w nocy budził, albo rano zaświtał, ocuciwszy się ze spania, powtarzałem sobie, że do ojczyzny jadę i Marysię widzieć będę. Co myśląc, na koń zaraz chciałem siadać, ale Chimek nie pozwalał, ile że siły żadnej jeszcze we mnie nie było. Leżałem tedy na znak na wozie, jakby wór jaki, — i tak dojechaliśmy

do Mohylnej. Tam, gdy mnie starzy towarzysze ujrzeli, sypnęli się ku mnie jakby pszczoły z ula wołając: „Wiemy o tobie, wiemy! wiemy! witaj towarzyszu miły!“ — i patrząc na nogi moje, na których węgielki gęsto osiadły, łzami się zalewali, a jeden drugiemu powtarzał: „Czołem przed nim, bo ten jest rycerz między nami najprawdziwszy!“ Potem zaczęli mnie dawać, co który miał, albo z łupów zdobył: więc bachmaty z rzędami, namioty jedwabne, szable drogimi kamieniami sadzone, cekiny włoskie i tureckie, tyftyki, olstra, handziary bogate, naczynia srebrne albo zgoła złote, błamy sobole, a inny turkusów garść lub rubinów, a inny zapięcia dyamentowe, tak, że na kilka tysięcy czerwonych złotych skarbów mi zsypali, które na pięć wozów trzeba było zabierać. Co czynili z dobrego serca, ale tem łacniej, iż na wojnę właśnie szli, na kozaków, Łoboda bowiem i Nalewajko poczęli rozruch na Ukrainie, za który Żółkiewski ich gromił. Potem jechaliśmy dalej. Często różne oddziały wojska nas spotykały, a niektórzy żołnierze zbliżając się pytali: „Kogo wieziecie?“ Na co Chimek odpowiadał: „Ślachcica w niewoli poszczerbionego.“ Po których słowach nietylko każdy zostawiał nas w spokoju, ale jeszcze, czem kto mógł, darzył. Spotkał też nas za Kijowem i sam Żółkiewski, który pochód na Perejasław symulując, przez Dniepr się przepawić pragnął. Usłyszawszy ów wojownik sławny, co mnie w niewoli spotkało, rzekł: „Mniejszych starostwami nagradzają, o czem do króla Jegomości pisać będę“. I pierścień mnie kosztowny podarował, który dotąd na palcu noszę. Serce mi też rosło na widok jego wojsk, te bowiem

lubo nieliczne i ustawiczną pogonią znużone, tak były sprawne i ochocze, że w żadnej bitwie nieprzyjacieli pola im dotrzymać nie mógł.

Patrząc na tych ludzi poczerniałych od wiatru, którzy sypiali na murawie stepowej, nie jadaliby po dwa i trzy dni, nie zrzucali nawet i na noc pancerzy, rany prochem zasypywali, a przecież fantazyą mieli bohaterką, uczulem się pokorny i myślałem: nie słusznym się w pychę wzbijał i o zasługach moich wiele mniemał, gdy ci w trudach-takowych, nic sobie z nich nie robią i jeszcze śpiewają, weseli, jakby nie rozumiejąc, iż są bohaterami. O! jakże mnie żal było, że nie mogłem na konia sieść, ani pancerza i kopii dźwignąć, ani z nimi jeździć! ale jeszcze sobie węgielki ze skóry obłupywać musiałem. Rozkoszy też wielkie były w onczas na Ukrainie dla wszelkiej duszy rycerskiej. Co noc było widać łuny, a słychać surmy bojowe. Żółkiewski jako orzeł z panem Potockim wojewodą kamienieckim po stepach krążył, Rożyński książę koło Pawłowczy gromił, Jazłowiecki harce zwodził, Nalewajko, Łoboda i Sasko z czernią jako wilcy pomykali jarami. Raz też mnie czern pijana winem mołdawskim opadła. Tym po staremu Chimek rzekł, iż ślachcica poszczerbionego wiezie, oni zaś iskier wielkie mnóstwo, aby mnie w nocy poznać poczęli krzesać i do Kremskiego mnie zawiedli. Tam gdy łuczywo rozpalili, poznał mnie jeden kozak essaul, którego ze mną w Krymie był i na Czaczuk-bayron został uwolniony. Począł tedy krzyżeć: „Pane! pane!” a potem: „Świętego to lacha wiozą!” i do nóg moich przypadł, a gdy zaś Kremskiemu opowiedział, jako im w niewoli poma-

galem, inni też, z czapkami do mnie przyśli, których zaraz zgromilem, iż w posłuszeństwie Rzeczypospolitej nie trwają. — Kremski zaś nietylko, że gardła mi nie odjął, ani też nic mi nie zabrał, ale jeszcze obdarzwszy, strażę mi dodał. Takto w mężu wojennym nieprzyjaciel nawet rany i męstwo uczyć potrafi, za co wreszcie Bóg pewno Kremskiego zbawieniem wynagrodził, który też nie był takim Rzplitej nieprzyjacielem, za jakiego go mieli...

Na całej Ukrainie, ba w całej Rzplitej wrzało jakby w ulu i dużo klęsk Bóg na ziemie nasze spuścił, ile że przy wojnie szła i piekielica zaraza. Gdy *animus* innemi sprawami był zajęty, mało kto na nią zważał; ale ja ją własnymi oczyma z wozu oglądałem. Szła ta zaraza nie lawą, ale jako i w Krymie, miejscami ludzi napadając, pojedyncze miasteczka, wsie i osady zabierała. Byli też tu i owdzie burmistrze powietrzni mianowani, a po osadach kupy się gnoju paliły, dymiąc smrodliwie i obficie, którego zapachu zaraza znieść nie może. Nocami parobcy smolni pilnowali onych kup, by nie zgasły. Lud w przewidywaniu klęsk procesy czynił, na których chorągwie z trupiami głowami bywały noszone. Bóg przytem ślepotę jakowąś na ludzi spuścił, bo i zgody między możnymi nie było, którzy miasto na koń siadać, jako poprostu i ućciwie można było uczynić, sejmy sprawami swemi mącili. Nieprzyjaciel gromadził się na granicach, a siły były dziwnie rozstrzelone; w czem zawsze było nieszczęście nasze, bo gdyby wszystka szlachta i możni do boju zgodnie się zerwali, tedyby *orbis terrarum* przed nami zadrzeć musiał. Co mówię dlatego, że

nie masz żołnierzy, którzyby kopijnikom naszym opór dać mogli, a jakom widział potem i janczarów tureckich i piechotę szkocką i szwedzką rajtaryą przez nich łamaną, tak twierdzą, iż przyrodzenie hojniej nas w wojenną sposobność, niżeli innych opatrzyło. My jednak stawiamy tysiąc ludzi, gdzie inni stawiają dziesięćkroć.

Czemu się zaś tak dzieje, tego arkanów chyba w woli Bożej szukać trzeba, gdyż każdemu łatwiejszem się powinno wydawać na koń sieć, niż zawieruchy językiem czynić. I chwała stąd większa i zabląkanie *animi* mniejsze i zasługa doskonalsza i zbawienie pewniejsze.

Człowiek przechodzi jako podróźny po świecie, więc o siebie nie powinien dbać, jedno o Rzeczpospolitą, która jest i ma być nieustającą. Amen.

.
.



VI.

.
.
. . Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmier-
telny, bądź pochwalony w dziełach Twoich. Kędy oczy
moje łzami zalane obróć, tam Cię widzę, a kędy Cię
widzę, tam Cię wyznawam. Tyś na firmamencie ognie
niebieskie zawiesił, Tyś słońcu z morza wstawać każąc,
dzień na górach i dolinach czynisz. Na chwałę Twoją
bory szumią i trzody po polach dzwonią; na chwałę
Twoją wojska po stepach ze rżeniem koni jeżdżą i wszelka
ziemska rzeczpospolita cześć ci oddawa. A iżś mnie
sługę swego opuścił i szczęścia mnie pozbawił i w tem
bądź pochwalony: Na wojnach zbiegł wiek żywota mego
i w trudzie pobielaly mi włosy. Tam, Panie, gdzie
działa ogniem śpiewaly majestat Twój, a w dymach
grzmiało imię Twoje, tam byłem. I na Multanach i na
Inflanciech płynęła krew moja, a dziś jestem stary
i przygasłe źrenice ku ziemi się już zwracają, a ciało
wiecznego spoczynku pragnie. Nie ziemskie dobra, nie
bogactwa, honory i godności na tamten świat ze sobą
poniosę, bom oto ubogi jest jak byłem. Ale Ci, Panie,

tarcz moją pokażę i powiem: „Patrz — nie splamiona, to jedno krwią moją. Imię-m nieskalane przechował, ducham nie poddał — gnąc się z bólu — przeciwnie się nie złamał“.

Na tem kończą się urywki z pamiętnika Aleksego Zdanoborskiego. Okazuje się z tej kroniczki, iż ów „książę niezłomny“, który koniuszym tatarskim nie chciał zostać, życie miał bólów pełne. Zgodnie z duchem czasu do imienia wielce był przywiązany. Z Maryą, jak to z po-
bieżnej wzmianki końcowej widać, rozdzieliły go losy. Zapewne też wcale się już nie ożenił. Jakoż ze wszystkiego domyślać się godzi, iż ślachciec ten umarł bezpotomnie i był ze swego rodu ostatnim.

III.

„JAMIOŁ“

JAMIOŁ.

OBRAZEK WIEJSKI

W miasteczku Łupiskórach, po pogrzebie Kalikstowej były nieszpory, a po nieszporach zostało jeszcze kilkanaście bab w kościele, by. odśpiewać resztę pieśni. Była godzina czwarta po południu, ale że w zimie o czwartej mrok zapada, w kościele więc było ciemno. Szczególniej wielki ołtarz tonął już w głębokim cieniu. Dwie jeszcze tylko świece paliły się koło cyboryum, ale migotliwe płomyki ich zaledwie trochę rozświecały zło-cenia drzewiczek, i nogi zawieszzonego wyżej na krzyżu Chrystusa, przebite ogromnym gwoździem. Główka tego gwoździa wyglądała jak wielki punkt błyszczący w ołtarzu. Z innych świec, dopiero co pogaszonych, snuły się pasemka dymu, napelniając miejsce za stalami czy-sto kościelnym zapachem wosku.

Dziad i mały chłopak kręcili się przed stopniami ołtarza. Jeden zamiatał, drugi ścierał ze stopni dywan. W chwilach, w których baby przestawały śpiewać, sły-chać było gniewliwy szept dziada, wymyślającego na

chłopaka, albo stukanie do zasutych śniegiem okien wróbli, którym było na dworze zimno i głodno.

Baby siedziały w ławkach, bliżej drzwi wchodowych. Byłoby tam jeszcze ciemniej, gdyby nie kilka łożówek, z pomocą których właścicielki książek ułatwiały sobie czytanie. Jedna z tych łożówek oświetlała dosyć wyraźnie, przytwierdzoną do następnej ławki chorągiew, wyobrażającą grzeszników wśród płomieni i wśród szatanów. Na innych chorągwiach nie można było rozpoznać malowideł.

Kobiety nie śpiewały, ale raczej mruczały sennymi i zmęczonymi głosami pieśń, w której ustawicznie powtarzały się słowa:

„A kiedy przyjdzie skonania godzina,
Uproś nam, uproś u Twojego syna...”

Ten kościół pogrążony w cieniu, chorągwie sterzące przy ławkach, stare o pożółkłych twarzach kobiety, — migotliwe, jakby pogięzione pomroką, światełka — wszystko to było nad wszelki wyraz posępne, a nawet poprostu straszne. Ponure słowa pieśni o skonaniu znajdowały w tem tło właściwe.

Czasem też przestawano śpiewać; jedna z bab stawała w ławce i poczyniała mówić drżącym głosem: „Zdrowaś Marya łaskiś pełna” — i inne podchwytowały: „Pan z Tobą etc.,” ale że to dzień był pogrzebu Kalikstowej, każde więc „Zdrowaś Marya” kończyło się słowami: „Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci.”

Córka Kalikstowej, Marysia, siedziała w ławce obok

jednej starej kobiety. Na grób świeży jej matki padał tam teraz właśnie śnieg miękki i cichy, ale dziewczyna nie miała jak dziesięć lat, więc zdawała się nie rozumieć ani swej straty, ani litości jaką mogła obudzać. Twarzyczka jej o dużych niebieskich oczach miała w sobie dziecinny spokój a nawet obojętną jakąś pogodę. Malowało się na niej trochę ciekawości i nic więcej. Otworzywszy usta, patrzyła z wielką uwagą na chorągiew, na której było malowane piekło z grzesznikami, potem patrzyła w głąb kościoła, a potem jeszcze na okno, w które stukwały wróble.

Oczy jej pozostały bezmyślne. Tymczasem baby poczynaly mrużyć sennie po raz dziesiąty:

„A kiedy przyjdzie skonania godzina...“

Dziewczyna kręciła kosmyki swoich jasnych włosów, zaplecione z tyłu w dwa warkoczyki nie większe od mysich ogonów: widocznie się jej nudziło. Następnie jednak uwagę jej zajął dziad.

Dziad wyszedł na środek kościoła i jął pociągać za węzłowaty sznur zwieszający się z sufitu. Dzwonił za duszę Kalikstowej, ale czynił to zupełnie mechanicznie, gdyż widocznie myślał przytem o czem innem.

Dzwonienie owo było także znakiem, że nieszpory skończone. Baby powtórzywszy ostatni raz prośbę o lekkie konanie, wyszły na rynek, jedna z nich prowadziła za rękę Marysię.

— Kulikowa! — spytała druga — a co będzieta robić z dziewczyną?

— A co mam robić? Jedzie do Leszczyniec Woj-

tek Marguła, co go przysłali na pocztę, to ją odwiezie. A bo co?

— A coże ona będzie robić w Leszczyńcach?

— Moiście wy! To co i tu. Skąd jest niech tam jedzie. A choć i we dworze, to sierotę przygarną i w krendencie się pozwolą przespać.

Tak rozmawiając szły przez rynek do szynku. Mroczyło się coraz bardziej. Czas był zimowy, cichy, niebo zawleczone chmurami a powietrze przesiąknięte wilgocią i mokrym śniegiem. Z dachów kapala woda, na rynku zaś leżało błoto urobione ze śniegu i słomy. Miasteczko o domach nędznych i poodrapywanych wyglądało tak posepnie jak i kościół. Niektóre okna połyskiwały światłem; ruch już ustawał, w szynku tylko grała oberka katarynka.

Grała na wabia, bo w środku nie było nikogo. Baby weszły, napiły się wódki, przyczem Kulikowa dała i Maryśce pół kieliszka, mówiąc:

— Napij się, boś sierota. Nie zaznasz dobroci.

Słowo: sierota, przywiodło babom na myśl śmierć Kalikstowej. Kapuścińska mówiła:

— Do was Kulikowa! napijta się! O moi drodzy! jak ją ten paralus trzasnął, tak ci ani zipnęła. Nim do brodziej przyszedł spowiadać, już była zimna.

Kulikowa na to:

— Mówiłam ja zdawna, że ona cienko przedzie. Zeszłej niedzieli przyszła, a ja powiadam: — Ej Kalikstowo, Kalikstowo, oddajcie lepiej Maryskę do dwora. A ona powiada: jedną córuchną mam i nie dam. Ale markotno jej było i zaczęła słochać, a potem do kancelaryi

poszła, do wójta, żeby papiery mieć co do „kolomni” na porządek. Zapłaciła cztery złote i groszy sześć. Ale powiada: dla dziecka nie żałuję. Moiście wy! A oczy to miała wytryscone, i po śmierci jeszcze lepiej wytryszczała. Co jej chcieli zamknąć to nie mogli. Mówili że i po śmierci na dziecko patrzyła.

— Napijwa się na ten żal półkwaterek!

Katarynka wciąż grała oberka. Baby poczęły się się trochę rozmarzać. Kulikowa powtarzała żalonym głosem: „chudziatko! chudziatko!” a Kapuścińskiej przysła z kolei na myśl śmierć nieboszczyka jej męża.

— Jak umirol — mówiła — to ci tak wzdychoł, tak wzdychoł, tak wzdychoł — i rozciągając coraz bardziej głos weszła mimowoli w śpiew, ze śpiewu w takt katarynki, a w końcu porwała się za boki i zupełnie już na nutę oberka poczęła śpiewać:

„Wzdychoł, wzdychoł, wzdychoł,
Oj ta dana — wzdychoł!”

Nagle rozplakała się rzewnie, dała kataryniarzowi sześć groszy i napiła się jeszcze wódki. Kulikową również porwało rozczenie, ale skierowała je ku Marysi.

— Pamiętaj, sierotko — rzekła — co ci mówił dobrodziej, kiej ci materkę śniegiem przysypywali, że jamiol (anioł) je nad tobą.

Tu zatrzymała się nagle, spojrzała naokoło jakby zdziwiona, a potem dodała z nadzwyczajną energią:

— Kiej mówię, że jamiol, to jamiol!

Nikt nie przeczył. Marysia, mrugając swojemi biednymi głupimi oczkami, wpatrywała się uważnie w babinę. Kulikowa mówiła dalej:

— Tyś je sierotka, to złemu od ciebie zasię! Nad sierotami je anioł. On je dobry. Na, masz dziesięć groszy. Choćbyś i piechotą do Leszczyniec poszła to trafisz, bo on cię zaprowadzi.

Kapuścińska zaczęła śpiewać:

„W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie.
Pod jego pióry — uleżysz bezpiecznie.“

— Cichoście — zawołała Kulikowa. A potem znów do dziewczyny:

— Ty głupia, wiesz kto je nad tobą?

— Jamiol — odrzekło cienkim głosem dziecko.

— Sieroteńko-że ty, jagodko ty, robaczku ty Boży! Jamiol ze skrzydłami — mówiła w zupełnem już rozczuleniu Kulikowa i porwawszy dziewczynkę, poczęła ją przyciskać do swej poczciwej choć pijackiej piersi.

Dziewczyna rozplakała się teraz. Może w tej ciemnej główce i w sercu, które nie umiało nic jeszcze rozeznąć, budziło się jakieś rozeznanie w tej chwili.

Szynkarz spał już w najlepsze za szynkwasem, na knotach lojówek narosły grzyby: kataryniarz przestał grać, bo go bawiło to, co widział.

Nastala cisza, którą przerwało nagle chlupotanie końskich nóg w błocie przed drzwiami i jakiś głos, który zawołał na konie:

— Prrr!

Do szynku wszedł Wojtek Marguła z zapaloną latarką w rękę, postawił latarkę, począł „zabijać“ ręce, by je rozgrzać i wreszcie rzekł do szynkarza:

— Dajta-no półkwaterek!

— Marguła, kasztanie — zawołała Kulikowa — weźmiesz dziewczynę do Leszczyniec.

— Juści wezmę, bo mi i kozeli — odparł Marguła.

Potem, przypatrzwszy się obydwom kobietom dodał:

— Aleśta się porznęły jak...

— Ażeby cię zara sparło! — odrzekła Kulikowa.

Kiedy ci mówię ostrożnie z dzieckiem, to ostrożnie. Ona je sierota. Ty wiesz głąbie kto nad nią je?

Wojtek nie uznał za stosowne odpowiadać na pytanie i postanowił widocznie podnieść inny przedmiot, podniósł bowiem przedewszystkiem półkwaterek i zaczął:

— Wciorności wam...

Ale nie skończył, bo wypił wódkę, skrzywił się, splunął i stawiając z niezadowoleniem miarękę, rzekł:

— Dyć to sama woda. Dajta-no drugiej z tej innej flaszki.

Szynkarz nalal mu z innej. Wojtek skrzywił się jeszcze mocniej.

— E! araku ta nie mata?

Margule groziło widocznie także samo niebezpieczeństwo jak i babom, ale że w tym samym właśnie czasie we dworze w Łupiskórach, właściciel przygotowywał do jednego z pism obszerny i wyczerpujący artykuł: „O prawie propinacyi dla dworów, jako o podstawie ustroju społecznego“, a zatem Wojtek przyczyniał się tylko niechcący do wzmocnienia fundamentów społecznych, a to tembardziej, iż propinacya, chociaż w miasteczku, była istotnie dworską.

Przyczyniwszy się tak z pięć razy z rzędu, zapo-

mniał wprawdzie latarki, w której świeczka zgasła, ale wziął nawpół śpiącą dziewczynę za rękę i rzekł:

— Chodźże zmoró!

Kobiety posnęły również w kącie, nikt więc nie pożegnał Marysi. Poprostu: matka jej została na cmentarzu w Łupiskórach, a ona jechała do Leszczyniec.

Wyszli, siedli, Marguła krzyknął na konie: „wišta“ i pojechali. Sanie sunęły z początku dosyć ciężko po miasteczkowem błocie, ale potem zaraz wydobyli się na pola białe i rozległe. Jechać było daleko, śnieg nie szumiał prawie pod płózami: czasem tylko koń parsknął; czasem zdaleka, zdaleka doszło szczekanie psów.

Jechali, jechali. Wojtek poganiał konie i śpiewał pod nosem: „Pamiętas psia jucho, coś mi obiecowoł.“ Ale wkrótce umilkł i zaczął „żydy“ wozić. Kiwnął się w prawo, lewo. Śniło mu się, że go w Leszczyńcach tłuką po karku, za to, że zgubił kobiałkę z listami, więc, od czasu budził się przez pół i powtarzał: „wciorności!“ Marysia nie spała, bo jej było zimno. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na białe pola, które jej co chwila zasłaniały ciemne plecy Marguły. Myślała też przytem, że „matula pomerli,“ a tak myśląc, wyobrażała sobie doskonale bladą i chudą twarz matuli o wytrzeszczonych oczach — i odczuwała półświadomie, że ta twarz była kochana bardzo, że jej niema i nie będzie w Leszczyńcach już nigdy. Przecież widziała na własne oczy jak ją zasypali w Łupiskórach. Przypomniawszy to sobie, byłaby się rozplakała z żalu, ale że zziębły jej nogi i kolana, więc rozplakała się z zimna.

Mrozu wprawdzie nie było, ale powietrze stało się

przenikliwe, jak zwykle w odwilży. Wojtek-bo miał przynajmniej w żołądku spory zapas poczerpniętego w łupiskórkim szynku ciepła. Właściciel Łupiskórk słusznie przecie zauważył, „że wódka w zimie rozgrzewa, a ponieważ jest ona jedyną pociechą naszego ludu, odejmując przeto większym posiadaczom możność wyłącznego pocieszenia ludu, odejmuje się im i wpływ na lud.“ Wojtek w tej chwili tak był pocieszony, że go nic zasmucić nie mogło.

Nie zasmuciło go nawet i to, że konie doszedłszy do lasu, naprzód zwolniły zupełnie kroku, choć droga była w lesie lepsza, a następnie ruszywszy w bok przewróciły sanie w rów przydrożny. Rozbudził się wprawdzie, ale nie rozumiał dobrze co się stało.

Marysia poczęła go trącać.

— Wojtek!

— Czego skrzeczysz?

— Przewróciliśwa.

A Wojtek spytał „skłonkę?“ i usnął na dobre.

Dziewczyna siadła przy saniach, skuliła się jak mogła i siedziała. Ale twarz zmarzła jej wkrótce zupełnie, więc poczęła trącać śpiącego:

— Wojtek!

Nie odpowiadał.

— Wojtek, chcę do chałupy.

A po chwili znowu:

— Wojtek, bo pójdę piechotą...

Nakoniec poszła. Zdawało się jej, że do Leszczyńiec jest bardzo blisko. Zresztą знаła drogę, bo co niedziela chodziła nią z matką do kościoła. Ale teraz mu-

siała iść sama. W lesie śnieg mimo odwilży leżał wysoki, ale za to noc była bardzo jasna. Blask od śniegu łączył się z blaskiem światła chmur, więc drogę było widać jak w dzień. Marysia, zapuszczając wzrok w ciemny las, mogła bardzo daleko dojrzeć pnie rysujące się wyraźnie, czarno i spokojnie, na białym podkładzie. Widziała również dokładnie rzuty śniegowe do pni przez całą długość przywarle. Jakiś ogromny spokój był w lesie, który dziecku dodawał otuchy. Na gałęziach leżała złódź obfita, a z niej spływały krople wody, rozbijając się ze słabym szmerem o gałęzie i gałązki. Ale to był jedyny szmer. Zresztą na okół cicho, cicho, biało, milcząco, głucho!

Wiatr nie wiał. Uśnieżone kiści nie poruszały się najmniejszym ruchem. Spało wszystko zimowym snem. Mogło się zdawać, że śniegowy obrus na ziemi i cały las milczący a przytrząśnięty i blade chmury na niebie, to wszystko jakaś biała jedność — martwa. Tak bywa w czasie odwilży. Jedyną żywą istotą, poruszającą się jak mały czarny punkcik wśród tych milczących wielkości, była Marysia. Dobry, pocziwy las! Te krople, które opuszcza topniejąca złódź, to może lzy nad sierotą. Drzewa takie wielkie a takie litośne nad małością. Oto samo jedno, takie słabe, biedne, wśród śniegu, nocy i lasu, brnie sobie z ufnością jakby nigdy nic! Noc jasna zdaje się troskać o nią. Jest w tem jakaś wielka słodycz, gdy coś, co jest małym i bezsilnym oddaje się i powierza tak zupełnie ogromnej sile. W ten sposób wszystko może istnieć na woli Bożej. Dziewczyna szła już dość długo i zmęczyła się wreszcie. Przeszkadzały jej ciężkie, za wielkie buty, w których jej małe

nóżki zesuwały się ustawicznie. Ciężko było wyciągnąć takie ogromne buciska ze śniegu. Przytem i rękoma nie mogła swobodnie poruszać, bo w jednej wyciągniętej sztywnie, trzymała z całej siły ową dziesiątkę, którą dostała od Kulikowej. Bała się jej upuścić w śnieg. Zaczynała chwilami płakać głośno, a potem urywała nagle, jakby się chcąc przekonać, czy kto płaczu nie słyszy. Owszem, las słyszał. Topniejąca złódź szemrała jednostajnie a jakoś żalśnie. Prócz tego, może jeszcze ktoś słyszał. Dziecko idzie coraz wolniej. Czyżby miała zbłądzić? Gdzietam! droga jakby biała, szeroka, zwięzająca się w dali wstęga, leży wyraźnie między dwoma ścianami ciemniejszych drzew. Dziewczynę począł ogarniać sen niepokonany.

Zeszła i siadła pod drzewem. Powieki opadały jej na oczy. Przez chwilę myślała, że po białości śniegowej matula idzie ku niej od strony cmentarza. Nikt nie szedł. Dziecko było jednak pewne, że ktoś przyjść musi. Kto? — Anioł. Przecie stara Kulikowa mówiła, że „jamiol“ jest nad nią. — Marysia знаła go. W chałupie u matuli był jeden malowany z „leliją“ w ręku i ze skrzydłami. Przyjdzie niezawodnie. Złódź jakoś zaczyna szemrać mocniej. To może jego skrzydła strącają więcej kropel. — Cicho! istotnie ktoś idzie; śnieg choć miękki szeleści wyraźnie, kroki zbliżają się i zbliżają ciche ale szybkie. Dziecko podnosi z ufnością senne powieki.

Co to?!

Szara jakaś trójkątna głowa o sterczących uszach, przypatruje się dziecku pilnie... straszna, ohydna...

IV.

BARTEK ZWYCIĘZCA

BARTEK ZWYCIĘZCĄ.

L

Bohater mój nazywał się Bartek Słowik, ale ponieważ miał zwyczaj wytrzeszczać oczy, gdy do niego mówiono, przeto sąsiedzi nazywali go Bartek wylupiasty. Ze słowikiem istotnie mało miał wspólnego, natomiast jego przymioty umysłowe i prawdziwie homeryczna naiwność zjednały mu także przydomek: Głupi Bartek. To ostatnie było najpopularniejsze i zapewne samo jedno tylko przejdzie do historii, chociaż Bartek nosił jeszcze czwarte urzędowe. Ponieważ wyrazy: człowiek i słowik nie przedstawiają dla ucha niemieckiego żadnej różnicy, a Niemcy lubią w imię cywilizacji przekładać barbarzyńskie słowiańskie nazwy na bardziej kulturny język, przeto w swoim czasie przy spisach wojskowych miała miejsce następująca rozmowa:

— Jak się nazywasz? — pytał Bartka oficer.

— Słowik.

— Szloik?... Ach! ja. Gut.

I oficer napisał „Mensch“.

Bartek pochodził ze wsi Pognębina, której-to nazwy wsi jest bardzo wiele w Księstwie Poznańskim i innych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Był on, nie licząc gruntu, chałupy i paru krów, właścicielem srokatego konia i żony Magdy. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności mógł sobie żyć spokojnie i zgodnie z mądrością zawartą w wierszu:

„Koń srokacz — żona Magda,
Co ma Bóg dać — to i tak da“.

Jakoż życie jego układało się zupełnie, jak Bóg dał i dopiero gdy Bóg dał wojnę, Bartek zafrasował się niepomału. Przyszło zawiadomienie, że trzeba się było stawić, trzeba było porzucić chałupę, grunt i zdać wszystko na babską opiekę. Ludzie w Pognębinie byli wogóle dosyć biedni. Bartek zimą, bywało, chodził do fabryki i tem sobie w gospodarstwie pomagał — teraz zaś co? Kto wie, kiedy się wojna z Francuzem skończy? Magda, gdy przeczytała kartkę powołującą, poczęła kłać: — Ażeby ich nawidziło! żeby olśnęli... Chociażes głupi... jednak mi cię żal; Francuzy też ci nie przepuszczą; głowę utną, albo co!...

Czuł Bartek, że kobieta sprawiedliwie mówi. Francuzów bał się jak ognia, a przytem i jemu było żal. Co jemu Francuzi zrobili? po co on tam pójdzie i dlaczego, na tę straszną obczyznę, gdzie niema jednej duszy życziwej. Jak się w Pognębinie siedzi, to zdaje się, ot, ni tak, ni owak, jak zwyczajnie w Pognębinie; a jak każą iść, dopiero się widzi, że wszelako tu lepiej, niż gdzie-indziej: ale już nic nie pomoże — taka dola, trzeba iść. Bartek uściskał babę, potem dziesięcioletniego Franka,

potem splunął, przeżegnał się i wyszedł z chałupy, a Magda za nim. Nie żegnali się zbyt czule. Ona i chłopak szlochali, on powtarzał: „No, cicho — no!” i tak znaleźli się na drodze. Tu dopiero ujrzeli, że w całym Pogonibinie działo się to samo, co u nich. Cała wieś wyległa: droga zapchana powołanymi. Idą oni do stacyi kolejowej, a baby, dzieci, starcy i psy odprowadzają ich. Powołanym ciężko na sercu, kilku tylko młodszym fajki wiszą z gęby; kilku już pijanych na początek; kilku śpiewa ochryplymi głosami:

„Skrzyneckiego ręce i złote pierścienie,
Już nie będą wymachiwać siablą na wojence*.

Jeden też i drugi Niemiec z Pogonibińskich kolonistów śpiewa ze strachu *Wacht am Rhein*. Cały ów tłum pstry i różnobarwny, wśród którego połyskują bagnety żandarmskie, posuwa się opłotkami ku końcowi wsi z krzykiem, gwarem i rwetesem. Baby trzymają swoich „żołnierzyków“ za kark i lamentują; jakaś staruszka pokazuje żółty ząb i wygraża pięścią gdzieś w przestrzeń. Inna klunie: „niech wam Pan Bóg policzy nasze płakanie;“ słyhać wołania: „Franku! Kaško! Józek! bądź-ta zdrowi“. Psy szczekają. Dzwon na kościele dzwoni. Proboszcz sam odmawia modlitwy za konających, bo przecie nie jeden z tych, co teraz idą na stacyą, nie wróci. Wojna ich bierze wszystkich, ale wojna ich nie odda. Pługi porzewieją na polach, bo Pogonibin wypowiedział wojnę Francyi. Pogonibin nie mógł zgodzić się na przewagę Napoleona III i wziął do serca sprawę o tron hiszpański. Odgłos dzwonu przeprowadza tłumy, które już wyszły

z opłotków. Mijają figurę: czapki i pikielhauby lecą z głów. Kurz złoty wstaje na drodze, bo dzień jest suchy i pogodny. Po dwóch stronach drogi, zboże dojrzewające szeleści ciężkim kłosem i gnie się pod wietrzykiem, który od czasu do czasu dmucha łagodnie. W niebie błękitnem tkwią skowronki i każdy świergoce jakby się zapamiętał.

Stacya! — Tłumy jeszcze większe. Są tu już powołani z Krzywdy Górnej, Krzywdy Dolnej, z Wywłaszczyńiec, z Niedoli, Mizerowa. Ruch, gwar i zamieszanie! Ściany na stacyi oblepione manifestami. Wojna tu „w Imię Boga i Ojczyzny“. Landwera pójdzie bronić swych zagrożonych rodzin, żon, dzieci, chat i pól. Francuzi widocznie szczególnie zawzięli się na Pognębin, na Krzywdę Górną, na Krzywdę Dolną, na Wywłaszczyńce, Niedolę i Mizerów. Tak przynajmniej wydaje się tym, którzy czytają afisze. Przed stacyą przybywają coraz nowe tłumy. W sali dym z fajek napelnia powietrze i przesłania afisze. W gwarze trudno się zrozumieć; wszyscy chodzą, wołają, krzyczą. Na peronie słyhać komendę niemiecką, której gwałtowne słowa brzmią krótko, twardo, stanowczo.

Rozlega się dzwonek; świst! zdala słyhać gwałtowny oddech lokomotywy. Coraz bliżej, wyraźniej. To wojna zdaje się przybliżać.

Drugi dzwonek! Dreszcz przebiega wszystkie piersi. Jakaś kobieta poczyna krzyczeć: „Jadom! Jadom!“ Woła ona widocznie swego Adama, ale kobiety podchwytną wyraz i wołają; „jadą“. Głos jakiś przeraźliwszy nad inne dodaje: „Francuzi jadą“, i przez jedno mgnienie oka panika ogarnia nietylko kobiety, ale i przyszłych boha-

terów Sedanu. Tłum zakolysał się. Tymczasem pociąg staje przed stacją. We wszystkich oknach widać czapki z czerwonymi lampasami i mundury. Wojska widocznie jak mrowia. Na węglarkach czernieją posępne, podługowate ciała armat; nad otwartymi wozami jeży się las bagnatów. Widocznie kazano żołnierzom śpiewać, bo cały pociąg aż dygoce od silnych głosów męzkich. Jakaś siła i potęga bije od tego pociągu, którego końca nie dojrzeć.

Na peronie poczynają formować rekrutów; kto może, żegna się jeszcze; Bartek machnął łapami jakby skrzydłami wiatraka, oczy wytrzeszczył.

— No, Magda! bywaj zdrowa!

— Oj! moje biedne chłopisko!

— Już mnie nie obaczysz więcej!

— Już cię nie obaczę więcej!

— Niéma rady nijakiej!

— Niechże cię Matka Boska strzeże i chroni...

— Bądź zdrowa: chałupy pilnuj.

Kobieta uchwyciła go za szyję z płaczem.

— Niechże cię Bóg prowadzi.

Nadchodzi ostatnia chwila. Pisk, płacz i lament kobiet zagłusza przez kilka minut wszystko: „Bądźta zdrowi! Bądźta zdrowi!“ Ale owoż żołnierze są już oddzieleni od bezładnego tłumu: już tworzą czarną zbitą masę, która zwiera się w kwadraty, prostokąty i poczyna poruszać się z tą sprawnością i regularnością ruchów maszyny. Komenda: „siadać!“ Kwadraty i prostokąty przelamują się w środku, wyciągają się wążkami pasami ku wagonom i giną w ich wnętrzu. W dali lokomotywa świszcze i rzuca kłęby siwego dymu. Teraz

oddycha jak smok, zionąc pod siebie strumienie pary. Lament kobiet dochodzi do najwyższego stopnia. Jedne zasłaniają oczy fartuchami, inne wyciągają ręce ku wagonom. Łkające głosy powtarzają imiona mężów i synów:

— Bądź zdrów Bartek! — woła z dołu Magda. —
A nie leż tam gdzie cię nie poślą. Niech cię Matka Boska... Bądź zdrów! O dla-Boga!

— A chałupy pilnuj — odzywa się Bartek.

Korowód wagonów drgnął nagle; wozy stuknęły jedno o drugie i ruszyły.

— A pamiętaj, że masz żonę i dziecko — wołała Magda drepzcząc za pociągiem. Bądź zdrowy, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Bądź zdrowy...

Pociąg poruszał się coraz prędzej, wioząc wojowników z Pognębina, z obydwóch Krzywd, z Niedoli i Miserowa.



II.

W jedną stronę wraca ku Pogńębinowi Magda z tłumem bab i płacze, w drugą stronę świata rwie w siwą dal pociąg, najeżony bagnetami, a w nim Bartek. Siwej dali końca nie widać. Pogńębina też ledwo dojrzeć. Lipa tylko szarzeje i wieża na kościele się złoci, bo po niej słońce igra. Wkrótce i lipa rozplynęła się, a złoty krzyż wyglądał tylko jak punkt błyszczący. Dopóki ten punkt świecił, patrzył na niego Bartek, ale gdy i on zniknął, frasunkowi chłopu nie było miary. Zdjęła go niemoc wielka i czuł że przepadł. Zaczął tedy patrzeć na podofficera, bo już prócz Boga nikogo więcej nie było nad nim. Co się teraz z nim stanie, to już w tem głowa kaprała; sam Bartek już nic nie wie, nic nie rozumie. Kapral siedzi na ławce i trzymając karabin między kolanami pali fajkę. Dym co chwila, jakby chmura zasłania mu twarz poważną i markotną. Nietylko Bartkowe oczy patrzają na tę twarz, patrzają na nią wszystkie oczy ze wszystkich kątów wagonu. W Pogńębinie lub Krzywdzie, każdy Bartek lub Wojtek jest sobie pan, każdy musi myśleć o sobie, za siebie, ale teraz od tego kapral. Każe im się patrzeć na prawo, będą patrzeć na prawo, każe na lewo

to na lewo. Każdy pyta się wzrokiem: „no? a co z nami będzie?“ on sam zaś tyle wie, ile i oni, i radby także, aby kto starszy dał mu pod tym względem jakie rozkazy lub objaśnienia. Zresztą chłopci boją się pytać wyraźnie, bo teraz jest wojna z całym aparatem sądów wojennych. Co wolno, a czego nie wolno, nie wiadomo. Przynajmniej oni nie wiedzą, a straszy ich dźwięk wyrazów, takich jak *Kriegsgericht*, których dobrze nie rozumieją, ale tembardziej się boją.

Jednocześnie czują, że ten kapral potrzebniejszy im jeszcze teraz, niż na manewrach pod Poznaniem, bo on jeden wie wszystko, on za nich myśli, a bez niego ani rusz. Tymczasem zaciężył mu widocznie karabin, bo go rzucił Bartkowi do trzymania. Bartek porwał skwapliwie za broń dech wstrzymał, oczy wylupił i patrzy w kaprała, jak w tęczę, ale mała mu i z tego pociecha.

Oj, coś źle słyhać, bo i kapral jak z krzyża zdjęty. Na stacyach śpiewy i krzyki; kapral komenderuje, kręci się, laje, żeby to starszym się pokazać, ale niechno pociąg ruszy, cichną wszyscy i on cichnie. Dla niego także świat ma teraz dwie strony; jedna jasna i zrozumiała, to jego izba, żona i pierzyna; druga ciemna, ale to zupełnie ciemna, to Francya i wojna. Zapał jego jak i zapał całej armii chętnieby zapożyczył chodu od raka. Wojowników pognebińskich ożywiał duch tem widoczniejszy, że siedzący nie w żołnierzach, ale każdemu na ramieniu. A ponieważ każdy żołnierz dźwigał na ramionach tornister, płaszcz i inne wojskowe przybory, więc wszystkim było nader ciężko.

Tymczasem pociąg fukał, huczał i leciał w dal. Co

stacya, przyczepiano nowe wagony i lokomotywy. Co stacya, widać było tylko pikelhauby, armaty, konie, bagnety piechurów i chorągiewki ułanów. Zapadał zwolna pogodny wieczór. Słońce rozlało się w wielką czerwoną zorzę, wysoko na niebie unosiły się stada drobnych lekkich obłoków, o brzegach poczerniałych od zachodu. Pociąg wreszcie przestał brać ludzi i wagony na stacyach, trząsł się tylko i leciał naprzód w ową jasność czerwoną, jakby w morze krwi. Z otwartego wagonu, w którym siedział Bartek z pognębińskimi ludźmi, widać było wsie, sioła i miasteczka, wieżyczki na kościołach, bociany poprzeginanane jak haki, stojące jedną nogą na gniazdach, chałupy osobne, sady wiśniowe. Wszystko to migotało przelotem, a wszystko czerwone. Żołnierze poczęli szeptać między sobą tem śmieiej, że podoficer, podłożywszy sakwy pod głowę, zasnął z porcelanową fajką w zębach. Wojciech Gwizdała, chłop z Pognębina, siedzący wedle Bartka, trącił go łokciem.

— Bartek, słuchaj-no?

Bartek zwrócił ku niemu twarz z zamysłonemi, wylupiastemi oczyma.

— Czegoż patrzysz jak ciele, co idzie na rzeź — szeptał Gwizdała — ale ty nieboże idziesz na rzeź, i pewnikiem...

— Oj, oj! — jęknął Bartek.

— Boisz się? — pytał Gwizdała...

— Co się nie mam bać...

Zorza stała się jeszcze czerwiejsza, więc Gwizdała wyciągnął ku niej rękę i szeptał dalej:

— Widzisz tę jasność? Wiesz, głupi, co to jest? To

krewni. Tu jest Polska, niby nasz kraj: rozumiesz? A hen tam daleko, gdzie się tak świeci, to właśnie Francya...

— A prędko zajadzie wam?

— Albo ci pilno? Mówią, że okrutnie daleko. Ale nie bój się: Francuzi wyjdą naprzeciw...

Bartek zaczął pracować ciężko swoją pogłębińską głową. Po chwili spytał:

— Wojtek?

— Czego?

— A na ten przykład, co to za naród te Francuzi?

Tu uczoność Wojtka ujrzała nagle przed sobą dół, w który łatwiej jej było wlecieć z głową, niż wylecieć napowrót. Wiedział, że Francuzi, to są Francuzi. Słyszał coś o nich od starszych ludzi, którzy mówili o nich, że zawsze wszystkich bili: nakoniec wiedział, że to jacyś bardzo obcy ludzie: ale jak to wytłómaczyć Bartkowi, aby on wiedział, jak dalece obcy.

Przedewszystkiem tedy powtórzył pytanie:

— Co to za naród?

— A juści.

Trzy narody były znane Wojtkowi: w środku „Polaki“, z jednej strony „Moskale“, a z drugiej „Niemcy“. Ale Niemców były różne gatunki. Chcąc więc być jasnym więcej, niż ścisłym, rzekł:

— Co to za naród Francuzi? Jak ci powiedzieć: musi takie Niemcy, tylko jeszcze gorsze...

A Bartek na to:

— O, ścierwa!

Do tej pory żywił względem Francuzów jedno tylko uczucie, to jest uczucie nieopisanego strachu. Teraz do-

piero poczuł ku nim ten pruski landwerzysta wyraźniejszą patryotyczną niechęć. Jednakże nie wszystko jeszcze zrozumiał należycie i dlatego spytał znowu:

— To Niemcy będą z Niemcami wojować?

Tu Wojtek jak drugi Sokrates, postanowił pójść drogą porównań i odparł:

— Albo to się twój Łysek z moim Burkiem nie gryzą?

Bartek otworzył usta i popatrzył chwilę na swego mistrza.

— O, prawda...

— Przecie i Austryjacy Niemcy — prawil Wojtek — a czy się nasi z nimi nie bili? Toć stary Świerszcz opowiadał, że jak był na onej wojnie, to Sztejnmecc krzyczają na nich: „Dalej chłopcy na Niemców!” Tylko, że z Francuzami nie tak łatwo!

— O la Boga!

— Francuzy nigdy żadnej wojny nie przegrały. Taki, jak się do ciebie przyczepi, to się nie wykpiasz, nie bój się! Każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy nasz, a brody to ci mają jak żydy. Inszy też jest czarny, jak dyabeł. Takiego jak zobaczysz, to poleć się Bogu!

— No, to poco my do nich pójdziema? — pyta zdesperowany Bartek.

Filozoficzna ta uwaga nie była może tak głupią, jak zdawało się Wojtkowi, który widocznie pod wpływem urzędowych natchnień, pospieszył z odpowiedzią:

— Jabym też wolał nie iść. Ale nie pójdziemy my, to przyjdą oni. Niema rady. Czytales, co stało drukowane? Dycht najgorzej zawzięte na naszych chłopów. Lu-

dzie gadają, że ony dlatego takie łakome na tutejsze grunta, bo chcieli wódkę przemycać z Królestwa, a rząd nie daje, i z tego jest wojna: no, rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć — rzekł z rezygnacją Bartek.

Wojtek mówił dalej:

— Na baby ci też łakome, jak pies na sperkę...

— A toby na ten przykład i Magdzie nie przepuścili?

— Ony i starym nie przepuszczają!

— O! — krzyknął Bartek takim tonem, jakby chciał powiedzieć: — jeżeli tak, to będę walił!

Jakoż wydało mu się, że tego już nadto. Wódkę niechby jeszcze sobie z Królestwa przemycali, ale do Magdy im zasię. Teraz mój Bartek jął na całą tę wojnę patrzeć ze stanowiska własnego interesu i poczuł jakąś otuchę na myśl, że tyle wojska i armat występuje w obronie zagrożonej przez bałamuctwo francuzkie Magdy. Pięści mu się zacisnęły mimowolnie i strach przed Francuzami pomięszal się w jego umyśle z nienawiścią do nich. Przyszedł do przekonania, iż niema już chyba rady, że trzeba iść. Tymczasem jasność niebieska zgasła. Ściemniło się. Wagon na nierównych relsach począł się kołysać mocno, a w takt z jego ruchami kiwały się na prawo i lewo pikelhauby i bagnety.

Upłynęła jedna godzina i druga. Z lokomotywy sypały się miliony iskier, które jak długie złociste kresy i wężyki krzyżowały się ze sobą w ciemnościach. Bartek długo nie mógł zasnąć. Jak owe iskry po powietrzu, tak w głowie jego skakały myśli o wojnie, o Magdzie, Po-

gnębinie, Francuzach i Niemcach. Zdawało mu się, że choćby chciał, nie mógłby się podnieść z tej ławki, na której siedział. Usnął wreszcie, ale nie zdrowym pólsem. I zaraz nadleciały widziadła: ujrzał najprzód, jak jego Łysek gryzie się z Wojtkowym Burkiem, aż sierć z nich leci. On cap za kij, żeby ich pogodzić, aż nagle widzi co innego: koło Magdy siedzi Francuz czarny, jak święta ziemia, a Magda kontenta śmieje się i szczyrzy zęby. Inni Francuzi kpią z Bartka i pokazują na niego palcami... To zapewne lokomotywa trajkoce, ale jemu się zdaje, że to Francuzy wołają: Magda! Magda! Magda! Magda! Bartek w krzyk: stulta pyski złodzieje! puszczejta babę! A oni: Magda! Magda! Magda! Łysek i Burek szczekają, cały Pognębin woła: nie daj baby! On czy skrępowany, czy co? Nie! rzucił się, targnął, powrozy pękły, Bartek Francuza za leb i nagle...

Nagle wstrząsa nim silny ból, jakoby gwałtownego uderzenia. Bartek budzi się i zrywa na równe nogi. Cały wagon rozbudzony, wszyscy pytają, co się stało? A to biedaczysko Bartek złapał podoficera przez sen za brodę. Teraz oto stoi wyciągnięty jak drut, dwa palce przy skroni, a podoficer macha rękami i krzyczy jak wściekły:

— *Ach Sie! Dummes Vieh aus der Polakei! Hau' ich den Lümmel in die Fresse, dass ihm die Zähne sektionsweise aus dem Maule herausfliegen werden!*

Podoficer aż ochrypl z wściekłości, a Bartek ciągle stoi z palcami przy skroni. Inni żołnierze gryzą wargi, by się nie śmiać, ale boją się, gdyż z ust podoficera padają jeszcze ostatnie strzały: *Ein polnischer Ochse! Ochse aus Podolien!* Nakoniec ucichło wszystko. Bartek

usiadł napowrót na dawnem miejscu. Czuł tylko, że policzki poczynają mu jakoś nabrzmiwać, a lokomotywa jak na złość, powtarza ciągle:

— Magda! Magda! Magda!

Czuł też wielki jakiś żal...

III.

Ranek! Rozpierzchłe, blade światło oświeca twarze senne i zmęczone z niewywczasu. Na ławkach śpią w nieładzie żołnierze: jedni z głowami popuszczanemi na piersi, drudzy z zadartemi w tył. Wstaje jutrzienka i zalewa różowością cały świat. Jest świeżo i rzeźwo. Żołnierze budzą się. Promienny ranek wydobywa z cienia i mgły jakąś nieznaną im krainę. Hej! a gdzie teraz Pognębin, gdzie Wielka i Mała Krzywda, gdzie Mizerów? To już obczyzna i wszystko inne. Naokół wzgórze porosłe dębina, w dolinach domy kryte czerwoną dachówką z czarnymi krzyżownicami w białych ścianach, domy piękne jak dwory, obrosłe winem. Gdzieniegdzie kościoły o spiczastych wieżach, gdzieniegdzie kominy fabryczne z pióropuszami różowych dymów. Tylko ciasno tu jakoś, różni brak i łąnów zbożowych. Ludzi za to mrowie. Migają wsie i miasta. Pociąg nie zatrzymując się, mija mnóstwo pomniejszych stacyj. Coś się musiało stać, bo wszędy widać tłumy. Słońce wychyla się zwolna z za wzgórze, więc jeden i drugi Maciek poczyna głośno pacierz. Za ich przykładem idą inni; pierwsze promienie kładą blask na chłopskie twarze, modlące się i poważne.

Tymczasem pociąg zatrzymuje się na głównej stacyi. Tłum ludzi otacza go natychmiast: są już wieści z placu boju. Zwycięstwo! zwycięstwo! Depesze przysły od kilku godzin. Wszyscy oczekiwali klęsk, więc gdy zbudzono ich pomyślną wieścią, radość nie zna miary. Ludzie nawpół ubrani poopuszczali domy, łózka i pospieszyli na stacyą. Z niektórych dachów powiewają już chorągwie, a ze wszystkich rąk chustki. Do wagonów donoszą piwo, tytoń i cygara. Zapal jest nieopisany, twarze rozpromienione. *Wacht am Rhein* huczy jak burza. Niektórzy płaczą, inni padają sobie w objęcia. *Unser Fryc* pobił na głowę! wzięto armaty, chorągwie. W szlachetnym zapale tłumy oddają żołnierzom wszystko, co mają. Otucha wstępuje w serca żołnierzy i zaczynają śpiewać także. Wagony drżą od mocnych męzkich głosów, a tłum słucha z zadziwieniem słów niezrozumiałych pieśni. Pognębińscy śpiewają: „Bartoszu! Bartoszu! oj nie traćwa nadziei“. *Die Polen! die Polen!* powtarza tłum sposobem objaśnienia i kupi się koło wagonów, podziwiając postawę żołnierza, a zarazem umacniając się w radości opowiadaniem anegdot o strasznem męztwie tych polskich pułków.

Bartek ma rozpuchnięte policzki, co przy jego złotych wąsach, wylupiastych oczach i ogromnej kościstej postawie czyni go strasznym. Podziwiają go też jak osobliwsze zwierzę. Jakichto Niemcy mają obrońców! Ten dopiero sprawi Francuzom! Bartek uśmiecha się z zadowoleniem, bo i on jest kontent, że Francuzów pobili. Nie przyjdą już przynajmniej do Pognębina, nie zbałamucą Magdy i nie zaborą gruntu. Uśmiecha się tedy,

ale ponieważ twarz boli go mocno, więc krzywi się zarazem i naprawdę jest straszny. Je za to z apetytem homerycznego bohatera. Kiszki grochowe i kufle piwa znikają w jego ustach jak w czeluści. Dają mu cygara, fenigi: bierze to wszystko.

— Dobry jakiś naród te Niemiaszki — mówi do Wojtka, a po chwili dodaje. — A widzisz, że Francuzów pobili!

Ale sceptyczny Wojtek rzuca cię na jego wesołość. Wojtek wróży jak Cassandra:

— Francuzy zawdy naprzód dają się pobić, żeby zbałamucić, a potem jak się wezmą, aż wióry lecą.

Wojtek nie wie o tem, że zdanie jego podziela większa część Europy, a jeszcze mniej o tem, że cała Europa myli się z nim razem.

Jadą dalej. Wszystkie domy jak okiem sięgnąć, pokryte chorągwiemi. Na niektórych stacyach zatrzymują się dłużej, bo wszędy pełno pociągów. Wojsko ze wszystkich stron Niemiec spieszy wzmocnić zwyciężkich współbraci. Pociągi poubierane w zielone wieńce. Ułani zatykają na lance bukiety kwiatów, darowywane im po drodze. Między tymi ulanami większość także Polaków. Nieraz słyhać z wagonu do wagonu rozmowy i nawoływania:

— Jak się mata chłopcy! a gdzie Pan Bóg prowadzi?

Czasem z przelatującego po sąsiednich relsach pociągu zaleci znajoma piosnka:

Z tamtej strony Sandomierza

Mówi panna do żołnierza...

A wtedy Bartek i jego kamraci podchwytyją w lot:

Panie żołnierz chodź pokochać.
Jeszcze nie jadł — Bóg ci zapłaci!

O ile z Pogonębina wszyscy wyjechali smutni: o tyle teraz pełni są zapału i ducha. Pierwszy pociąg z pierwszymi rannymi przybywający z Francyi, psuje jednak to dobre usposobienie. Staje on w Deutz i stoi długo, by przepuścić te, które spieszą na plac boju. Ale nim wszystkie przejdą przez most do Kolonii, potrzeba kilku godzin czasu. Bartek leci razem z innymi oglądać chorych i rannych. Niektórzy leżą w zamkniętych, inni dla braku miejsca w otwartych wagonach i tych można widzieć dobrze. Po pierwszym spojrzeniu, duch bohaterski Bartka ulatuje znowu na ramię.

— Chodźże tu Wojtek! — woła z przerażeniem — widzisz ino, ile te Francuzi napsowały narodu!

I jest na co patrzeć! Twarze blade, zmęczone; niektóre zczerniały od prochu lub bólu, powalane krwią. Na odgłosy ogólnej radości, ci odpowiadają tylko jękami. Niektórzy klną wojnę Francuzów i Niemców. Usta spieczone i zczerniały wołają co chwila wody; oczy poglądnęły jak błędne. Tu i owdzie między rannymi widać zeszytniałą, twarz konającego, czasem spokojną z błękitnymi sińcami naokół oczu, czasem wykrzywioną przez konwulsyę, z przerażeniami oczyma i wytrzeszczonymi zębami. Bartek po raz pierwszy widzi krwawe owoce wojny. W głowie jego znów powstaje zamęt, patrzy jak odurzony i stoi w tłoku z otwartymi ustami; popychają go na wszystkie strony;

żandarm daje mu kolbą w kark. On szuka oczyma Wojtka, odnajduje go i mówi:

— Wojtek, bój się Boga! o!

— Będzie tak i z tobą.

— Jezu Marya! I to się ludziska tak mordują. Toć, jak chłop chłopa pobije, to go żandarmy biorą do sądu i karzą!

— No, a teraz ten lepszy, kto więcej ludzisków napsuje. Cóżże głupi myślał, że będziesz prochem strzelał, jak na manewrach, albowi też do tarczy, nie do ludzi!

Tu okazała się widocznie różnica między teorią a praktyką. Nasz Bartek był przecie żołnierzem, chodził na manewry i musztry, strzelał, wiedział, że wojna od tego by się zabijać, a teraz jak zobaczył krew rannych, nędzę wojny, zrobiło mu się tak jakoś niedobrze i ckliwo, że ledwie się mógł na nogach utrzymać. Nabral znów uszanowania dla Francuzów, które zmniejszyło się dopiero wtedy, gdy przejechali z Deutz do Kolonii. Na centralnym Bahnhofie ujrzeli poraz pierwszy jeńców. Otaczało ich mnóstwo żołnierzy i ludu, który patrzył na nich z dumą, ale jeszcze bez nienawiści. Bartek przedarł się przez tłum, rozpychając go łokciami, spojrzał na wagon i zdziwił się.

Gromada piechurów francuzkich w podartych płaszczach, małych, brudnych, wynędzniałych, napelniała wagon jak śledzie beczkę. Wielu z nich wyciągało ręce po szczupłe datki, jakimi obdzielał ich tłum, o ile strażnie stawiały przeszkody. Bartek wedle tego co słyszał od Wojtka, zgola inne o Francuzach miał wyobrażenie

Duch z ramienia wstąpił mu napowrót w piersi. Obejrzał się, czy Wojtka niema. Wojtek stał obok.

— Cóżes gadał? — pyta Bartek. — Dyc to chmyzy. Jakbym jednego bez leb lunął, toby się ze czterech wywróciło.

— Musi jakoś zmarnieli — odrzekł również rozczarowany Wojtek.

— Po jakiemu oni szwargocą?

— Juści nie po polsku.

Uspokojony pod tym względem Bartek, poszedł dalej wzdłuż wagonów.

— Straszne kapcany! — rzekł skończywszy przegląd wojsk liniowych.

Ale w następnych wagonach siedzieli żuawi. Ci więcej dali Bartkowi do myślenia. Z powodu, że siedzieli w wagonach krytych nie można było sprawdzić, czy każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy zwyczajny człowiek, ale przez okna widać było długie brody i marsowate, poważne twarze starych żołnierzy o ciemnej cerze i błyszczących groźnie oczach. Duch Bartka znowu skierował się ku ramionom.

— Te straszniejsze — szepnął cicho, jakby się bał, by go nie słyszeli.

— Jeszcześ nie widział tych, co się nie dali wziąć — odparł Wojtek.

— Bójże się Bogal!

— Obaczysz.

Napatrzywszy się żuawom, poszli dalej. Zaraz przy następnym wagonie Bartek rzucił się w tył jak oparzony.

— O, rety! Wojtek, ratuj!

W otwartem oknie widać było ciemną, prawie czarną twarz turkosa z przewróconemi białkami oczu. Musiał być ranny, bo twarz wykrzywiła mu się cierpieniem.

— A co? — rzecze Wojtek.

— To złe, nie żołnierz. Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu.

— Spójrzj ino, jakie on ma zębiska.

— A niech go wciornaści! ja tam nie będę na niego patrzył.

Bartek umilkł, po chwili jednak spytał:

— Wojtek!

— Czego?

— A żeby takiego przeżegnać, czyby nie pomogło?

— Pogany na świętą wiarę nie mają wyrozumienia.

Dano znak do siadania. Po chwili pociąg ruszył. Gdy ściemniło się, Bartek widział ciągle przed sobą czarną twarz turkosa i straszne białka jego oczu. Z uczuć, które w tej chwili ożywiały tego pognebińskiego wojownika, nie wiele możnaby wyróżyć o jego przyszłych czynach.

IV.

Bliższy udział w walnej rozprawie pod Gravelotte, początkowo przekonał Bartka tylko o tem, że w bitwie jest się na co gapić a niema co robić. Z początku bowiem kazano stać i jemu i jego pułkowi z karabinem u nóg, u stóp wzgórza pokrytego winogradem. Zdała grała armaty, zbliżka przelatywały pulki konne z tętentem, od którego ziemia się trzęsła, migotały to chorągiewki, to kirasyerskie miecze! Nad wzgórzem po błękitnem niebie przelatywały z sykiem granaty w kształcie białych obłoczków, potem dym napelniał powietrze i zasłonił horyzont. Zdawało się, że bitwa, jak burza, przechodzi stronami, ale trwało to niedługo.

Po pewnym czasie dziwny jakiś ruch powstał koło Bartkowego pułku. Poczęły koło niego stawać inne pulki, a w przerwy pomiędzy nimi nadbiegały co koń wyskoczy, armaty, które wyprzęgano na gwałt i obracano paszczami ku wzgórz. Cała dolina napelniała się wojskiem. Teraz na wszystkie strony grzmią komendy, latają adjutanci. A nasi szeregowcy szepcą sobie do ucha: „oj! będzież nam, będzie!” lub pytają jeden drugiego z niepokojem: „czy to już się zacznie?” „Zapewne już.”

Oto zbliża się niepewność, zagadka, może śmierć... W dymie, który zasłania wzgórze, wre coś i kotłuje się strasznie. Słychać coraz bliżej basowy huk dział i stukotanie karabinowego ognia. Zdala dochodzi jakby niewyraźny jakiś trzask, to kartaczownice już słychać. Nagle, jak hukną dopiero co postawione armaty, aż ziemia i powietrze zadygotały razem. Przed Bartkowym pułkiem zasyczało strasznie. Spojrzą: leci niby róża jasna, niby chmurka, a w tej chmurce coś syczy, śmieje się, zgrzyta, rzy i wyje. Chłopi wołają: granat! granat! Tymczasem pędzi ten ptak wojny, jak wichur, zbliża się, spada, pęka! Huk straszny rozdarł uszy, łoskot jakby się świat walił, i pęd, jakby od uderzenia wiatru! Zamieszanie powstaje w szeregach, stojących w pobliżu armat, rozlega się krzyk i komenda: „szlusuj!“ Bartek stoi w pierwszym szeregu, karabin przy ramieniu, łeb do góry, broda podpięta, więc zęby nie kłapią. Nie wolno drgnąć, nie wolno strzelać. Stać! Czekać! Aż tu leci drugi granat, trzeci, czwarty, dziesiąty! Wichur zwiewa dym z wzgórza. Francuzi już spędzili z niego baterie pruskie, już postawili swoje i teraz zieją ogniem na dolinę. Co chwila z gęstwy winogrodu wyskakują długie, białe rzuty dymu. Piechota pod zasłoną armat zstępuje coraz niżej, by rozpocząć ręczny ogień. Są już w połowie wzgórza. Teraz widać ich doskonale, bo wiatr odrzuca dymy. Czy winograd zakwitł makiem? Nie, to czerwone czapki piechurów. Naraz nikną między wysoką łożyną winną, nie widać ich: gdzieś tylko wieją trójkolorowe chorągwie. Ogień karabinowy rozpoczyna się szybki, gorączkowy, nieregularny, wybuchający nagle

w coraz innych miejscach. Nad tym ogniem wyją ciągle granaty i krzyżują się w powietrzu. Na wzgórzu czasem wybuchną okrzyki, którym z dołu odpowiada niemieckie; „hurra!“ Armaty z doliny huczą nieprzerwanym ogniem. Pułk stoi niewzruszony.

Sfera ognia poczyną go jednak z kolei obejmować. Kule bzykają niby muchy, niby bąki zdaleka, lub przelatują ze strasznym świstem w pobliżu. Coraz ich więcej: oto świszczą koło głów, nosów, oczu, ramion, idą ich tysiące, miliony. Dziw, że jeszcze ktoś stoi na nogach. Nagle tuż za Bartkiem odzywa się jęk. „Jezu!“ potem: „szlusuj!“ znów: „Jezu!“ „szlusuj! Wreszcie jęk już nieprzerwany, komenda coraz spieszniejsza, szeregi ściskają się, świst coraz częstszy, nieustający, okropny. Zabitych wyciągają za nogi. Sąd Boży!

— Boisz się? — pyta Wojtek.

— Co się nie mam bać!... — odpowiada nasz bohater, szcękając zębami.

A jednak stoją obaj i Bartek i Wojtek, i nawet do głowy im nie przychodzi, że możnaby zemknąć. Kazali im stać i kwita! Bartek kłamie. Nie boi on się tak, jakby tysiące innych bało się na jego miejscu. Dyscyplina panuje nad jego wyobraźnią, a wyobraźnia nie maluje mu nawet tak okropnem położenia, jak ono jest. Bartek jednak sądzi, że go zabiją i powierza tę myśl Wojtkowi.

— Dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją! — odpowiada rozdrażnionym głosem Wojtek.

Słowa te uspokajają Bartka znacznie. Zdawałoby się, że głównie chodziło mu o to, czy się dziura w nie-

bie nie zrobi? Uspokojony pod tym względem stoi cierpliwiej, czuje tylko okropne gorąco i pot zlewa mu twarz. Tymczasem ogień staje się tak straszny, że szeregi topnieją w oczach. Zabitych i rannych niema już kto wyciągać. Chrapanie konających miesza się ze świstem pocisków i hukiem wystrzałów. Po ruchu trójbarwnych chorągwi widać, że ukryte w winnicy piekury zbliżają się coraz bardziej. Stada kartaczy dziesiątkują szeregi, które poczyna ogarniać rozpacz.

Ale w odgłosach tej rozpaczycy czuć pomruk zniecierpliwienia i wściekłości. Gdyby kazano im iść naprzód, poszliby jak burza. Nie mogą tylko ustać na miejscu. Jakiś żołnierz zrywa nagle czapkę z głowy, ciska ją z całą siłą o ziemię i mówi:

— Raz kozie śmierć!

Bartek doznaje znów na te słowa tak znakomitej ulgi, że prawie zupełnie przestaje się bać. Bo jeżeli raz kozie śmierć, to właściwie o nic wielkiego nie chodzi. Jest to filozofia chłopska, lepsza od każdej innej, skoro dodaje otuchy. Bartek zresztą wiedział, że raz kozie śmierć, ale miło mu to było usłyszeć i mieć zupełną pewność, zwłaszcza, że bitwa zaczęła się zmieniać w pogrom. Oto pułk, nie wystrzeliwszy ani razu, jest już do połowy zniszczony. Tłumy żołnierzy z innych rozbitych pułków przebiegają koło niego w nieładzie, tylko ci chłopcy z Pogńębina, Krzywdy Wielkiej, Krzywdy Małej i Mizerowa, trzymani żelazną pruską dyscypliną, stoją jeszcze. Ale i w ich szeregach czuć już pewne wahanie się. Za chwilę pękną karby dyscypliny. Ziemia pod ich nogami staje się już mięka i ślizka od krwi, której surowy

zapach miesza się z wonią dymu. W niektórych miejscach szeregi nie mogą się zewrzeć, bo trupy czynią w nich przerwy. U nóg tych ludzi, którzy jeszcze stoją, druga połowa leży we krwi, w jękach, w konwulsjach, w konaniu, lub w ciszy śmierci. Oddechem braknie powietrza. W szeregach powstaje szmer.

— Na rzeź nas przywiedli!

— Nikt nie wyjdzie!

— *Still! polnisches Vieh!* — odzywa się głos oficera...

— Dobrze ci za moim kołnierzem...

— *Steht der Kerl da!*

Nagle jakiś głos poczyna mówić:

— Pod Twoją obronę...

Bartek podchwytuje natychmiast:

— Uciekamy się Święta Boża Rodzicielko!

I wkrótce chór polskich głosów na tem polu zagłady woła oto do Patronki Częstochowskiej: „Naszemi prośbami nie racz gardzić!“ A z pod nóg wtórują im jęki: „O Maryo, Maryo!“ I wysłuchała ich widocznie, bo w tej chwili na spienionym koniu przybiega adjutant, rozlega się komenda: „do ataku broń! hurra, naprzód!“ Grzebień bagnetów pochyła się nagle, szereg wyciąga się w długą linię i rzuca się ku wzgórzom szukać bagnetem tych nieprzyjaciół, których nie mogły dostrzedz oczy. Wszelako od stóp wzgórza dzieli naszych chłopów jeszcze ze dwieście kroków i przestrzeń tę muszą przebyć pod morderczym ogniem... Czy nie wyginą do reszty, czy się nie cofną? Wyginąć mogą, ale się nie cofną, bo komenda pruska wie na jaką nutę grać tym polskim chłopom do ataku. Wśród ryku dział, wśród karabino-

wego ognia, dymu i zamieszania i jęków, głośniejszym nad wszystkie trąby i trąbki biją w niebo hymnem, od którego każda kropla krwi skacze w ich piersiach: „Hurra!“ odpowiadają Maćki. „Póki my żyjemy!“ Ogarnia ich zapal, płomień bije im na twarze! Idą jak burza przez zwalone ciała ludzkie, końskie, przez złomy armatnie. Gina, ale idą z krzykiem i śpiewem. Już dobiegają krańca winnicy, nikną w zaroślach. Śpiew tylko brzmi, czasem błysnie bagnet. Na górze wre ogień coraz straszniejszy. Na dole trąbki wciąż grają. Salwy francuskich strzałów stają się spieszniesze, jeszcze spieszniesze, gorączkowe i nagle...

Nagle milkną.

Tam na dole stary wilk wojny, Steinmetz, zapala porcelanową fajkę i mówi z akcentem zadowolenia:

— Im tylko to grać! Doszli zuchy!

Jakoż po chwili jeden z dumnie powiewających trójbarwnych sztandarów, podskakuje w górę, pochyla się i niknie...

— Nie żartują! — mówi Steinmetz.

Trąby grają znowu tenże sam hymn. Drugi pułk poznański idzie w pomoc pierwszemu.

W gęstwinie wre bitwa na bagnety.

Teraz Muzo śpiewaj mojego Bartka, aby potomość wiedziała co czynił. Oto i w jego sercu strach, niecierpliwość, rozpacz zlały się w jedno uczucie wściekłości; a gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim, jak drut żelazny. Włos stanął mu dębem, z oczu skry poszły. Zapomniał o świecie, o tem, że „raz kozie śmierć,“ i chwyciwszy w potężne łapy

karabin, skoczył z drugimi naprzód. Dobiegłszy wzgórza przewrócił się z dziesięć razy na ziemię, stłukł sobie nos, powalał się ziemią i krwią, która mu z nosa pociekła, i biegł naprzód, wściekły, zziąjany chwytając w otwarte usta powietrze. Wytrzeszczał oczy, by w gestwinie zobaczyć jak najprędzej jakiegoś Francuza i dojrzał ich wreszcie trzech naraz przy chorągwi. Byli to turkosi. Ale czy myślicie, że Bartek się cofnął? Nie! onby teraz samego Lucypera brał za rogi! Dopadł już do nich, i oni z wyciem rzucili się ku niemu: dwa bagnety, jak dwa żądła, już, już tykają jego piersi, a mój Bartek jak złapie karabin z cienkiego końca, niby kłonicę, jak machnie, jak poprawi... Wrzask tylko odpowiedział mu straszny, jęk — i dwa czarne ciała poczęły drgać konwulsyjnie na ziemi.

W tej chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, podbiegło na pomoc z dziesięciu towarzyszy. Bartek jak furja rzucił się na wszystkich razem. Dali ognia, błysnęło, huknęło! i jednocześnie w kłębach dymu zagrzmiął chrapliwy ryk Bartka:

— Chybiliście!

I znów karabin w jego ręku zatoczył łuk straszliwy, znów jęki odpowiedziały ciosom. Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego z wściekłości olbrzyma, i czy się Bartek przesłyszał, czy też wolali coś po arabsku, dość że wyraźnie mu się zdawało, iż z ich szerokich warg wychodzi krzyk:

— „Magda! Magda!“

— Magdy wam się chce! — zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w tej chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu w pomoc. Wśród gęstwiny winogrodu zawiązała się bitwa ścieśniona i tłumna, której wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał, jak burza. Osmalony dymem, obłany krwią, podobniejszy do zwierzęcia, niż do człowieka, nie pamiętny na nic, każdym uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwalal głowy. Ręce jego poruszały się straszną szybkością maszyny, siejącej zniszczenie. Dotarłszy do chorążego, chwycił go żelaznymi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzch, twarz nabrzmiała, zaharczał, i ręce jego puściły drzewce!

— Hurra! — krzyknął Bartek i podniósłszy chorągiew, zakolysał nią w powietrzu.

Ten-to wznoszący się i opadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

Ale mógł go widzieć tylko przez jedno mgnienie oka, bo w drugim, Bartek tą samą chorągwią strzaszał już jakąś głowę nakrytą kepi ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli już naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar; schował go w zanadrze, i schwyciwszy w obie ręce drzewce, rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów, wyjąc nieludzkimi głosami, uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórza armatom, za nimi zaś biegli Maćki, krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnietami.

Żuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

— Hurra! — krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat. Zawiązała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W tej chwili też drugi pułk poznański nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwiane drzewce w potężnych łapach Bartka, zmieniły się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną drogę w ścieśnionych szeregach francuskich. Przerażenie też zaczęło ogarniać żuawów i turkosów. W miejscu, w którym walczył Bartek, pierzchali. Po chwili pierwszy Bartek siedział już na armacie, jak na pognębińskiej kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzedz go na niej, on już siedział na drugiej, przy której znów obalił chorążego z chorągwią.

— Hurra Bartek! — powtórzyli żołnierze.

Zwycięstwo było zupełne. Zdobyto wszystkie kartaczońnice. Pierzchająca piechota, wpadłszy po drugiej stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

Bartek zdobył jednak w pogoni trzecią jeszcze chorągiew.

Trzeba go było widzieć, gdy zmęczony, oblany potem i krwią, sapiąc jak miech kowalski, zstępował teraz wraz z innymi ze wzgórza, dźwigając na ramionach trzy chorągwie. Francuzi! hej! co on sobie z nich robił! Obok niego szedł podrapany i pokiereszowany Wojtek, więc Bartek do niego:

— Cóżes gadał? Toć to robactwo: siły w kościach nijakiej niema. Podrapały ta mnie i ciebie, jak kociaki, ale i tyła. A com którego lunął, to ci o ziemię...

— Kto cię wiedział żeś ty taki zawzięty — odparł

Wojtek, który widział czyny Bartka i począł patrzeć na niego zgoła innemi oczyma.

Ale któż tych czynów nie widział. Historia, cały pułk i większość oficerów. Wszyscy spoglądali teraz na tego olbrzymiego chłopca, o rzadkich płowych wąsach i wylupiastych oczach z podziwem. — *Ach! Sie verfluchter Polake!* — powiedział mu sam major i pociągnął za ucho, a Bartek aż mu trzonowe zęby pokazał z radości. Gdy pułk znów stanął u stóp wzgórza, major pokazał go pułkownikowi, a pułkownik samemu Steinmetzowi.

Ten obejrzał sztandary i kazał je zabrać, poczem począł oglądać Bartka. Mój Bartek stoi znów wyciągnięty jak struna i prezentuje broń, a stary generał patrzy na niego i kręci głową z zadowoleniem. Nakoniec zaczyna coś mówić do pułkownika. Słychać wyraźnie słowo: *Unteroffizier*.

— *Zu dumm, Excellenz!* — odpowiada major.

— Sprobujmy — mówi jego Ekscelencya, i zwracając konia, zbliża się do Bartka.

Bartek sam już nie wie, co się z nim dzieje. Rzecz niesłychana w pruskiej armii: generał będzie rozmawiał z szeregowcem. Jego Ekscelencyi przyjdzie to tem łatwiej, że umie po polsku. Zresztą szeregowiec ten zdobył trzy sztandary i dwie armaty.

— Skąd jesteś? — pyta generał.

— Z Pognębina — odpowiada Bartek.

— Dobrze. Imię twoje?

— Bartek Słowik.

— *Mensch...* tłumaczy major.

— Mens! — powtarza Bartek.

— Wiesz za co bijesz Francuzów?

— Wiem, Celencyjo...

— Powiedz!

Bartek poczyna się jękać: „Bo... bo...“ Nagle słowa Wojtka przychodzą mu szczęśliwie na pamięć, wybucha więc prędko, by nie przekreścić:

— Bo to także Niemcy, tylko ścierwa gorsze!

Twarz starej Ekscelencyi poczyna tak drgać, jakby jego Ekscelencya miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Po chwili jednak jego Ekscelencya zwraca się do majora i mówi:

— Miałeś pan słuszność.

Mój Bartek, kontent z siebie, stoi ciągle jak struna.

— Kto wygrał dziś bitwę? — pyta znowu generał.

— Ja, Celencyo! — odpowiada bez wahania Bartek.

Twarz Ekscelencyi poczyna znów drgać.

— Tak, tak, ty! A oto masz nagrodę...

Tu stary wojownik odpina krzyż żelazny z własnej piersi, następnie schyla się i przypina go Bartkowi. Dobry humor z generała drogą zupełnie naturalną odbija się na twarzach pułkownika, majorów, kapitanów aż do podoficerów. Po odjeździe generała, pułkownik daje ze swej strony Bartkowi dziesięć talarów, major pięć i tak dalej. Wszyscy powtarzają mu, śmiejąc się, że wygrał bitwę, skutkiem czego Bartek jest w siódmym niebie.

Dziwna rzecz. Jeden tylko Wojtek nie bardzo jest z naszego bohatera zadowolony.

Wieczorem, gdy zasiedli obaj przy ognisku i gdy

szlachetna twarz Bartka zapchana była kiszka grochową, tak dokładnie jak sama kiszka grochem. Wojtek ozwał się tonem rezygnacyi:

— Oj ty Bartek, głupi jesteś, bo głupi...

— Albo co? — mówi przez kiszka Bartek.

— Cóżes ty czleku nagadał generalowi o Francuzach, że ony Miemcy?

— A sameś prawil...

— Ale trzeba ci było zmiarkować, że general i oficyery też Miemcy.

— To i co z tego?

Wojtek poczał się jakoś jąkać...

— To, że choć ony Miemcy, ale nie trzeba im tego mówić, boć to zawdy nieładnie...

— Toć ja na Francuzów powiedziałem nie na nich...

— Ej, kiedy bo to...

Wojtek uciał nagle, widocznie sam chciał także co innego powiedzieć, chciał oto wytłómaczyć Bartkowi, że przy Niemcach nie należy źle mówić o Niemcach, ale jakoś mu się język poplątał!...

V.

W jakiś czas potem królewsko-pruska poczta przywiozła do Pognębina list następujący:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego święta Rodzicielka! Najukochańsza Magdo!“ Co u ciebie słyhać? Dobrze ci w chałupie pod pierzyną, a ja tu wojuję okrutnie. Byliśma koło wielkiej fortecy Miecui i była bitwa i takemci Francuzów spral, że się cała infanterya i artyleryja dziwowały. I sam jeneral się dziwował i powiedział, że bataliję wygrał i dał mnie krzyż. A teraz to ci mnie i oficery i unteroficery bardzo szanują i po pysku mało co biją. Potem pomaszrowaliśma dalej i była druga batalia, jeno zabaczyłem jak się to miasto nazywa, i teżem pral i czwarty sztandar wziąłem, a jednego największego pułkownika od kirasyerów tom przetrącił i do niewoli zabrałem. A jak będą nasze pułki odsyłać do domu, to mi unteroficer radził, żebym napisał „ryklamacyą“ i ostał się, bo na wojnie tylko spać gdzie niema, ale zreć ile wytrzymasz, i wino w tym kraju jest wszędzie, bo naród bogaty. Jakeśma palili jedną wieś, tośma i dzieciom i babom nie przepuścili, i ja też. Kościół ci się spalił do cna, bo

ony są katoliki i ludzi się popiekło niemało. Idziema teraz na samego cesarza i będzie koniec wojny, a ty pilnuj chałupy i Franka, bo niechbyś nie pilowała, to-bym ci chyba giry poprzetrącał, żebyś wiedziała, com za jeden. Bogu cię polecam.

Bartłomiej Słowik.“

Bartek widocznie zasmakował w wojnie i począł patrzeć na nią, jak na właściwe sobie rzemiosło. Nabral wielkiej ufności w siebie i do bitwy teraz szedł, jakby się zabierał do jakiej roboty w Pognębinie. Na piersi jego, po każdej rozprawie leciały medale i krzyże, a choć podoficerem nie został, powszechnie miano go za pierwszego szeregowca w pułku. Był zawsze karny, jak dawniej, i posiadał ślepe męstwo człowieka, który nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Męstwo to nie płynęło już tak, jak w pierwszych chwilach z wściekłości. Teraz źródłem jego była praktyka żołnierska i wiara w siebie. Przytem olbrzymie jego siły wytrzymywały wszelkie trudy, pochody i niewczasy. Ludzie marnieli obok niego, on jeden trwał niespożycie, tylko dziczał coraz bardziej i stawał się coraz sroższym pruskim żołdakiem. Począł on teraz nie tylko bić Francuzów, ale i nienawidzić ich. Pozmieniały się też i inne jego pojęcia. Stał się żołnierzem-patryotą i uwielbiał ślepo swoich przywódców. W następnym liście pisał do Magdy:

„Wojtka na dwoje rozerwało, ale od tego jest wojna, rozumiesz? On też był kiep, bo powiadał, że Francuzy, to Niemcy, a ony są Francuzy a Niemcy to nasi.“

Magda w odpowiedzi na obydwa listy, nawymyślała mu, co wlażło:

„Najukochańszy Bartku, pisała, przed ołtarzem świętym mi poślubiony! Ażeby cię Bóg pokarał. Tyś sam kiep poganinie, kiedy naród katolicki na współkę z kasztanami mordujesz. To nie rozumiesz, że kasztany są lutry, a ty katolik im pomagasz. Chce ci się wojny, walkoniu, bo możesz nic nie robić, jeno się bić, pić i innych poniewierać i nie pościć i kościoły palić. A bodaj ciebie w piekle za to palili, że się jeszcze tem chwalił i ni na starych, ni na dzieci nie masz wyrozumienia. Pamiętaj, baranie na to, co w świętej wierze jest pisane złotemi literami od początku świata do dnia sądu ostatecznego dla polskiego narodu, w którym dniu Bóg najwyższy nie będzie miał dla takich capów wyrozumienia i pohamuj się, Turku jeden, żebym ci tego twojego lba nie rozbiła. Pięć talarów ci posyłam, choć mi tu bieda, bo sobie rady dać nie mogę i gospodarstwo się marnuje. Ściskam cię najukochańszy Bartku.

Magda“.

Morały w liście tym zawarte, małe na Bartku zrobiły wrażenie: „Baba służby nie rozumie, myślał sobie, a wtrąca się.“ I wojował po staremu. Odznaczał się w każdej niemal bitwie, tak, że w końcu padły nań oczy jeszcze od Steinmetzowych dostojniejsze. Nakoniec, gdy zniszczone pułki poznańskie odesłano w głąb Niemiec, on za radą podoficera podał „reklamacyą“ i został. Skutkiem tego znalazł się pod Paryżem.

Listy jego pełne były teraz lekceważenia dla Francuzów. „W każdej bitwie tak ci ździerają jak zajęce,“ pisał do Magdy. I pisał prawdę. Ale oblężenie niezbyt przypadło mu do smaku. Pod Paryżem trzeba było le-

żeć po całych dniach w podkopach i słuchać huku dział, częstokroć sypać szańce i moknąć. Przytem żal mu było swego dawnego pułku. W tym, do którego przeniesiono go teraz, jako ochotnika, otaczali go po większej części Niemcy. Po niemiecku umiał on trochę, bo się jeszcze w fabryce nieco poduczył, ale tak sobie piąte przez dziesiąte. Teraz począł się wprawiać szybko. Nazywano go jednak w pułku *ein polnischer Ochs*, i tylko jego krzyże straszliwe i pięści zasłaniały go przed dotkliwymi żartami. Wszelako po kilku bitwach zyskał sobie szacunek u nowych towarzyszy i począł się z nimi zżywać powoli. W końcu uważano go za jednego ze swoich, ile że cały pułk okrył sławą. Bartek poczytywałby sobie zawsze za obelgę, gdyby go kto nazwał Niemcem, ale za to sam siebie, w przeciwstawieniu do Francuzów, nazywał *ein Deutscher*. Zdawało mu się, że to zupełnie co innego, a przytem nie chciał uchodzić za gorszego niż inni. Zaszedł wszelako wypadek, który dałby mu wiele do myślenia, gdyby myślenie wogóle było łatwiejsze dla tego bohaterskiego umysłu. Oto pewnego razu kilka kompanij jego pułku wykomenderowano przeciw wolnym strzelcom, zrobiono na nich zasadzkę i strzelec w nią wpadli. Ale tym razem Bartek nie ujrzał czerwonych czapek pierzchających po pierwszych strzałach, oddział bowiem składał się ze starych żołnierzy, rozbitków jakiegoś pułku, legii zagranicznej. Otoczeni bronili się zacięcie, a wreszcie rzucili się, by bagnetem utworować sobie drogę przez opasujący krąg pruskiego żołdactwa. Bronili się z taką zaciętością, że część ich przebiła się przez wojska, szczególnie zaś nie dawali się brać

żywcem, wiedząc jaki los czeka pochwyconych wolnych strzelców. Kompania w której służył Bartek, pochwyliła też dwu tylko jeńców. Wieczorem umieszczono ich w izbie, w domu leśnika. Nazajutrz mieli być rozstrzelani. Straż kilku żołnierzy stanęła przy drzwiach, Bartka zaś postawiono w izbie pod wybitem oknem, razem ze związanymi jeńcami.

Jeden z jeńców był to niemłody człowiek, ze siwiejącymi wąsami i twarzą obojętną na wszystko; drugi wyglądał na dwadzieścia kilka lat; jasne wąsy zaledwie sypały mu się na twarzy, podobniejszej do twarzy panny niż żołnierza.

— Ot i koniec — rzekł po chwili młodszy — kula w łeb i koniec!

Bartek drgnął, aż karabin zadzwieczał mu w rękę: młody chłopak mówił po polsku...

— Mnie tam już wszystko jedno — odrzekł zniechęconym głosem drugi — dalibóg, wszystko jedno. Natęrałem się już tyle, że mam dosyć...

Bartkowi serce biło pod mundurem coraz żywiej...

— Słuchajno — mówił dalej stary — niema rady. Jeśli się boisz, to myśl o czem innem, albo się połóż spać. Życie jest podle! Jak mi Bóg miły, tak wszystko jedno.

— Matki mi żal! — odparł głucho młodszy.

I widocznie chcąc stłumić wzruszenie, lub oszukać samego siebie, począł gwizdać. Nagle przerwał i zawołał z głęboką rozpaczą:

— Niechże mnie piorun trzaśnie! Nawetem się nie pożegnał!

— Toś uciekł z domu?

— Tak. Myślałem: pobiją Niemców, będzie Poznańczykom lepiej.

— I ja tak myślałem. A teraz...

Stary kiwnął ręką i dokończył coś zcicha, ale resztę jego słów zgłuszył mu szum wiatru. Noc była zimna. Drobny deszcz zacinał od czasu do czasu falami, poblizki las czarny był jak kir. W izbie wicher świstał po kątach i wyl w kominie jak pies. Lampa umieszczona wysoko nad oknem, aby jej wiatr nie zgasił, rzucała sporo migotliwego światła na izbę, ale stojący pod nią tuż przy oknie Bartek pogrążony był w ciemności.

I może lepiej, że jeńcy nie widzieli jego twarzy. Z chłopem działy się dziwne rzeczy. Z początku ogarnęło go zdziwienie i wytrzeszczał na jeńców oczy i starał się zrozumieć co mówią. Toż oni przyszli bić Niemców, żeby Poznańczykom było lepiej, a on bił Francuzów, żeby Poznańczykom było lepiej. I tych dwóch jutro rozstrzelają! Co to jest? Co on biedak ma o tem myśleć? A żeby się tak ozwał do nich? Żeby im powiedział, że on swój człowiek, że mu ich żal. Nagle złapało go za gardło. I co on im powie? czy ich wyratuje? To i jego rozstrzelają! Hej, rety! co się z nim dzieje? Żal go tak dusi, że nie może ustać na miejscu.

Jakaś straszna tęsknota nadlatuje na niego, aż het gdzieś z Pognębina. Nieznany gość w żołdackiem sercu, litość, krzyczy mu w duszy: „Bartku! ratuj swoich, to swoi“, a serce wyrывa się do domu do Magdy, do Pognębina i tak się rwie, jak nigdy przedtem. Dosyć mu tej Francyi, tej wojny i bitew. Coraz wyraźniej słyszy głos: „Bartku, ratuj swoich!“ Ażeby ta wojna pod zie-

mię się zapadła! Przez wybite okno czernieje las i szumi jako pognębińskie sosny, a w tym szumie woła coś znowu:

„Bartku, ratuj swoich!”

Cóż on zrobi?

Ucieknie z nimi do lasu, czy co? Wszystko co tylko pruska dyscyplina zdołała w niego wszczepić, odrazu wzdryga się na tę myśl... W Imię Ojca i Syna! Tylko się przed nią przeżegnać. On żołnierz, ma dezertować? nigdy!

Tymczasem las szumi coraz mocniej i wicher świszcze coraz żałośniej.

Starszy jeniec odzywa się nagle:

— A to wiatr jakby jesienią u nas...

— Daj mi pokój... — rzecze pognębionym głosem młodszy.

Po chwili jednak powtarza kilkakrotnie:

— U nas, u nas, u nas! O Boże! Boże!

Głębokie westchnienie zlewa się z poświstem i jeńcy leżą znów cicho...

Bartka poczyna febra trząść...

Najgorzej, gdy sobie człowiek nie zdaje sprawy z tego, co mu jest. Bartek nic nie ukradł, a tak mu się zdawało, jakby co ukradł i jakby się bał, że go złapią. Nic mu nie grozi, a przecie boi się czegoś okrutnie. Oto nogi dygocą pod nim, karabin ciąży mu strasznie i coś go dusi, jakby jaki wielki płacz. Za Magdą, czy za Pognębinem? Za obojgiem, ale i tego młodszego jeńca, tak mu żal, że sobie rady dać nie może.

Chwilami zdaje się Bartkowi, że śpi. Tymczasem

zawierucha na dworze jeszcze się powiększa. W poświ-
ście wiatru mnożą się dziwne wołania i głosy.

Nagle Bartkowi każdy włos staje dębem pod pi-
kelhaubą...

Oto wydaje mu się, że tam gdzieś w ciemnych,
mokrych głębiach boru, ktoś jęczy i powtarza: „u nas,
u nas, u nas!”

Bartek wzdryga się i uderza kolbą w podłogę, by
się rozbudzić.

Jakoż przychodzi do przytomności... Ogląda się:
jeńcy leżą w kącie, lampa migoce, wiatr wyje, wszystko
w porządku.

Światło pada teraz obficie na twarz młodego jeńca.
Ście twarz dziecka albo dziewczyny. Ale oczy ma przy-
mknięte, słomę pod głową i wygląda jakby już umarły.

Jak Bartek Bartkiem, nigdy go tak nie nurtował
żał. Wyraźnie ściska go coś za gardło, wyraźnie płacz
mu idzie z piersi.

Tymczasem starszy jeniec obraca się z trudnością
na bok i mówi:

— Dobranoc Władek...

Następuje cisza. Upływa godzina, z Bartkiem coś
naprawdę źle. Wiatr gra jak organy pognębińskie. Jeńcy
leżą cicho, nagle młodszy podnosi się trochę z wysileniem
i woła:

— Karol?

— Co?

— Śpisz?

— Nie...

— Słuchaj! Ja się boję... Mów, co chcesz, a ja się będę modlił...

— To się módl!

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Łkanie przerywa nagle słowo młodego jeńca... wszelako słyhać jeszcze przerywany głos:

— Bądź... wola... Twoja!..

— O, Jezu! wyje coś w piersiach Bartka! O, Jezu!..

Nie! on już nie wytrzyma dłużej! Chwila jeszcze, a krzyknie: „Paniczu! toć ja chłop!...” potem przez okno... w las... Niech się dzieje co chce!

Nagle od strony sieni dają się słyszeć miarowe kroki. To patrol a z nim podoficer. Zmieniają strażę!

Nazajutrz Bartek od rana był pijany. Następnego dnia także...

* * *

Ale w dalszych dniach przyszły nowe pochody, porytaczki, marsze... i miło mi oznajmić, że nasz bohater wrócił do równowagi. Po owej nocy zostało mu tylko trochę zamilowania do butelki, w której zawsze można znaleźć smak, a czasem i zapomnienie. Zresztą w bitwach bywał jeszcze okrutniejszy, niż dotąd, zwycięstwo szło w jego ślady.

VI.

Znów upłynęło kilka miesięcy. Było już dobrze z wiosny. W Pogńebinie wiśnie w sadzie kwitły i pokryły się bujnym liściem, a na polach zieleniała ruń obfita. Pewnego razu Magda siedząc pod chałupą, obierała na obiad marne kielkowane kartofle, zdalniejsze dla trzody niż dla ludzi. Ale był to przednówek, bieda zajmowała trochę do Pogńebina. Znać ją było i z twarzy Magdy, poczerniałej i pełnej frasunku. Może też dla rozpędzenia go, kobieta przymykając oczy, śpiewała cienkim, wytężonym głosem:

Oj, mój Jasieńko na wojnie! oj! listy pisze do mnie,
Oj, i ja też do niego — oj! bom żoneczka jego.

Wróble na czereśniach świergotały, jakby ją pragnęły zagłuszyć, a ona śpiewając spoglądała w zamysleniu to na psa śpiącego na słońcu, to na drogę przechodzącą koło chałupy, to na steczkę idącą od drogi przez ogród i pola. Może i dlatego poglądała Magda na steczkę, że wiodła ona na przelaj do stacy i tak Bóg dał, że tego dnia nie spoglądała na nią naprzóno. W dali uka-

zała się jakaś postać i kobieta przysłoniła oczy ręką, ale nie mogła nic dojrzeć, bo ją blask ślepił. Łysek tylko rozbudził się, podniósł głowę i szcękając krótko, począł węszyć nadstawiając uszu i przekręcając leb na obie strony. Jednocześnie do uszu Magdy doszły niewyraźne słowa pieśni. Łysek zerwał się naraz i całym pędem skoczył ku zbliżającemu się człowiekowi. Wówczas Magda przybladła trochę.

— Bartek, czy nie Bartek!

Wstała nagle, tak, że aż nieculka z kartoflami potoczyła się na ziemię: teraz już nie było wątpliwości. Łysek tam skakał aż do piersi przybyłego. Kobieta rzuciła się naprzód, krzyknawszy z całej siły z radości:

— Bartek! Bartek!

— Magda! to ja! — wołał Bartek przykładając dłoń do ust i przyspieszając kroku.

Otworzył wrota, zawadził o zaworę, mało nie upadł, aż się zatoczył, i padli sobie w objęcia.

Kobieta poczęła mówić szybko:

— A ja myślała, że już nie wrócisz... Myślałam: zabili go!... Cóż ci? Pokaż się. Niech się napatrzę! Bardzo zmizerowany! O Jezus! Oj ty kapcanie!... Oj najmilszy!... Wrócił! wrócił!...

Chwilami odrywała ręce od jego szyi i patrzyła na niego i znów je zarzucała.

— Wrócił! Chwała bądź Bogu... Mój ty Bartczy-sko kochane!... Cóżes?... Chodź do chałupy... Franek w szkole! Niemczysko trochę dzieciom dopieka. Chłopak zdrów. Ino ślepie na wierzchu ma jak ty. Oj, czas ci wracać! Bo ani rady. Bieda, mówię bieda!... Chałupsko

się psuje. Do stodoły bez dach leci. Cóżes? Oj Bartku! Bartku! Że też ja jeszcze ciało twoje oglądam! Co ja tu miałam kłopotów z sianem!... Czemierniccy mi pomagali, ale bogać! I cóżes ty zdrów? Oj raduję ja ci się, raduję! Bóg cię strzegł. Chodź do chałupy. O dla-Boga, coś niby Bartek, niby nie Bartek! A tobie co? Rety?

Magda w tej dopiero chwili spostrzegła długą szramę, ciągnącą się przez twarz Bartka, przez lewą skroń, policzek, aż do brody.

— At nic... Kiryser mnie ta pomacał, ale i ja jego też. W szpitalu byłem.

— O Jezu!

— Ej, mucha.

— A chudys jak ta śmierć.

— *Ruhig!* — odrzekł Bartek.

Był rzeczywiście wychudły, zczerniały, obszarpany Prawdziwy zwycięzca! Przytem chwiał się na nogach.

— Cóżes ty, pijany?

— Ti... słabym jeszcze.

Był słaby, to pewno! ale był i pijany, bo przy jego wycieńczeniu, jedna miarka wódki wystarczała, a Bartek na stancyi wypił ich coś cztery. Ale za to miał animusz i minę prawdziwego zwycięzcy. Takiej miny nigdy przedtem nie miewał.

— *Ruhig!* — powtórzył. — Skończyliśmy *krieg!* teraz ja pan, rozumiesz? A to widzisz? — Tu ręką wskazał na krzyże i medale. Wiesz com za jeden? — *Hę? links, rechts! Heu! Stroh!* siano! słoma! słoma siano! *halt!*

Ostatnie *halt!* wrzasnął tak przeraźliwie, że kobieta odskoczyła o kilka kroków.

— Cóżes ty oszalał?

— Jak się masz Magda! Kiedy ci mówię: jak się masz? to jak się masz?... A po francuzku umiesz, głupia?... *Musiu, musiu!* kto *musiu?* ja *musiu!* wiesz?

— Człeku, co z tobą jest?

— Tobie co do tego! *Was? done diner?* rozumiesz.

Na czole Magdy zaczęła się zbierać burza.

— Po jakimu ty belkoczesz? Cóżto, nie umiesz po polsku? To-ci kasztan! Sprawiedliwie mówię! Co z ciebie zrobili!

— Daj mnie jeść!

— Ruszaj do chałupy.

Wszelka komenda robiła na Bartku wrażenie, któremu żadną miarą oprzeć się nie mógł. Usłyszawszy tedy: „ruszaj!“ wyprostował się, ręce wyciągnął wzdłuż bioder i zrobiwszy pół-obrotu, pomaszzerował we wskazanym kierunku. Na progu dopiero ochłonął i począł patrzeć na Magdę ze zdumieniem.

— No, co ty Magda? co ty?...

— Ruszaj! Marsz!

Wszedł do chałupy, ale upadł na samym progu. Wódka teraz zaczęła mu naprawdę uderzać do głowy. Zaczął śpiewać i oglądać się po chałupie za Frankiem. Powiedział nawet: *morgen Kerl!* choć Franka nie było. Następnie roześmiał się, dał jeden krok nader wielki, dwa bardzo małe, krzyknął: hurra! i legł jak długi na tapczanie. Wieczorem zbudził się trzeźwy, wypoczęty, przywitał się z Frankiem i wyprosiwszy u Magdy kilka-

naście fenigów, odbył tryumfalny pochód do karczmy. Sława jego czynów poprzedziła go już w Pognębiniu, gdyż niektórzy żołnierze innych kompanii tegoż samego pułku, wróciwszy wcześniej opowiadali jego przewagi pod Gravelotte i Sedanem. Obecnie gdy się wieść rozeszła, że zwycięzca jest w karczmie, wszyscy dawni towarzysze pospieszyli go zobaczyć.

Siedzi więc nasz Bartek za stołem, niktby go teraz nie poznał. On taki dawniej potulny, bije oto pięścią w stół, puszy się jak indyk i gulgoce jak indyk.

— A pamiętacie chłopcy, jakem tedy Francuzów sparł: co powiedział Steinmecz?

— Co nie mamy pamiętać.

— Gadali za Francuzami, straszili, a to jest mdły naród, *was?* Ony salatę jedzą jak zające, to i umykają jak zające. A piwa to-ci nie piją, ino dycht wino.

— Juści.

— Jakeśma palili jaką wieś, to ony ręce składały i zaraz krzyczały: *pitié! pitie!* to niby znaczy, że dadzą picie, że im co ino dać spokój. Aleśma nie zważali.

— To to można zrozumieć jak ony szwargoczą? — spytał młody parobczak.

— Ty nie rozumiesz, boś głupi, a ja rozumiem. *Done dipe*, rozumiesz?

— Co zaś gadacie?

— A Paryż widzieliście? Tam-ci były batalie jedna za drugą. Ale w każdej pobiliśma. Ony komendy dobrej nie mają. Tak też ludzie mówili. Płot, powiadają u nich też dobry, ale kolki kiepskie. I oficerzy kiepskie, i generaly kiepskie, a z naszej strony dobre.

Maciej Kierz stary, mądry gospodarz z Pognębina począł kiwać głową.

— Oj wygrały Niemcy straszną wojnę, wygrały, a myśma im pomogli; ale co nam z tego przyjdzie, Bóg jeden wie.

Bartek wytrzeszczał na niego oczy.

— Co gadacie?

— Toż Niemcy i tak nie chcieli nas szanować, a teraz to ci nosy pozadzierały, jakby i Boga już nad nimi nie było. I będą jeszcze gorzej nas poniewierać, albo już poniewierają.

— A nieprawda! — rzekł Bartek.

W Pognębiniu stary Kierz miał taką powagę, że cała wieś myślała wedle jego głowy i zuchwalstwem było mu przeczyć, ale Bartek był teraz zwycięzcą i sam powagą.

Wszelako oni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a nawet z pewnem oburzeniem.

— Cóż ty z Maciejem będziesz się spierał?... Cóż ty?...

— Co mi-ta Maciej! Ja nie z takimi gadałem, rozumita! Chłopcy! czy nie gadałem ze Steinmecem *was?* A kiej Maciej zmyśla, to zmyśla. Tera nam będzie lepiej.

Maciej popatrzył chwilę na zwycięzcę.

— Oj, ty głupi! — rzekł.

Bartek uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie kieliszki i kufle.

— *Still der Kerl da! Heu, Stroh!*...

— Cicho, nie wrzeszcz! Spytaj się, głupi jegomości, albo i pana.

— Albo jegomość na wojnie był? albo pan był? A ja byłem. Nie wierzta chłopcy. Tera ci nas zaczną szanować. Kto batalię wygrał? Myśma wygrali. Ja wygrałem. Tera o co ci poproszę, to dadzą. Bym chciał dziedzicem we Francyi ostać, to ostanę. Rząd dobrze wie, kto najlepiej prał Francuzów. A nasze pułki były najlepsze. Tak pisało w rozkazach. Tera Polaki górą: rozumiała?

Kierz machnął ręką, wstał i poszedł. Bartek i na polu politycznem odniósł zwycięstwo. Młodzi, którzy z nim zostali, patrzyli teraz w niego jak w tęczę; on mówił:

— A ja czego bym nie chciał, to dadzą. Żeby nie ja, to no! Stary Kierz jest kiep: rozumiała. Rząd każe bić, to bić! Kto mnie będzie poniewierał? Niemiec? A to co?

Tu znów pokazał na krzyże i medale.

— A za kogo prałem Francuzów? Nie za Niemców, co? Ja tera lepszy jak Niemiec, bo żaden Niemiec niema tyle tego. Piwa dajta! Ze Steinmecem gadałem i z Podbielskim gadałem. Piwa dajta!

Zwolna zabierało się na pijatykę. Bartek począł śpiewać:

„Trink, trink, trink!

Wenn in meiner Tasche

Noch ein Thaler klingt“.

Nagle wydobył z kieszeni garść fenigów.

— Bierzta! ja teraz pan... Nie chceta? Oj nie takich my pieniędzy we Francyi nabrali, ino że poszło.

Mało-to my nie napalili, ludzi nabili... Bóg wie nie kogo... francirerów...

Humor ludzi pijanych miewa nagle zmiany. Nadspodziewanie Bartek zgarnął pieniądze ze stołu i począł wołać żałośnie:

— Boże! bądź miłościw grzesznej duszy mojej.

Następnie podparł się obuma łokciami na stole, głowę ukrył w łapy, i milczał.

— Co ci jest? — spytał któryś z pijanych.

— Com im winien — mruknął ponuro Bartek. — Sami leźli! Ino mi ich było żal, bo swojaki oba. Boże, bądź miłościw! Jeden był jak ta zorza rumiana. Nazajutrz to ci był blady jak chusta. A potem to ci ich jeszcze żywych przysypali... Wódki!

Nastąpiła chwila posępnej ciszy. Chłopi spoglądali jeden na drugiego ze zdziwieniem.

— Co on prawi? — spytał któryś.

— Ze sumieniem cości gada.

— Bez tę wojnę człowiek pije — mruknął Bartek.

Napil się wódki raz i drugi. Chwilę posiedział w milczeniu, potem splunął i niespodzianie wrócił mu dobry humor.

— A wyśta gadali ze Steinmecem? a ja gadałem. Hurra! Pijta. Kto płaci? Ja!

— Ty placisz, pijaku, ty! — ozwał się głos Magdy — ale i ja ci zapłacę, nie bój się!

Bartek popatrzył na przybyłą kobietę szklanemi oczyma.

— A ze Steinmecem gadałaś? coś za jedna?

Magda zamiast mu odpowiedzieć, zwróciła się do czułych słuchaczy i poczęła lamentować:

— Oj ludzie, ludzie, widzita mój srom i moją niedołę. Wrócił, ucieszyłam się jak komu dobremu, a on wrócił pijany. I Boga zapomniał i po polsku zapomniał. Położył się spać, wytrzeźwiał, a teraz znowu pije, i moją pracą, moim potem płaci. A skądś wziął tych pieniędzy? Nie mój-że to starunek, nie moja krwawica, co? Oj ludzie, ludzie, nie katolik to już, nie człowiek, to je Niemiec opętany, co po niemiecku szwargoce i na krzywdę ludzką dybie. To jest odmieniec, to jest...

Tu kobieta załala się łzami, następnie podniosła głos o oktawę wyżej:

— Głupi był ale dobry; ale teraz co z niego zrobili? Czekałam-ci go wieczór, czekałam i rano i doczekałam się. Znikąd pociechy, znikąd zmiłowania! Boże mocny! Boże cierpliwy!... Żebyś ty skoławaciał, żebyś do reszty Niemcem ostał.

Ostatnie słowa skończyła tak żałośnie, że prawie śpiewając. A Bartek na to:

— Cichoj, bo cię lunę!

— Bij, utnij głowę, utnij zaraz, zabij, zamorduj — woła natarczywie kobieta i wyciągnawszy szyję, zwróciła się do chłopów:

— A wy ludzie patrzajta.

Ale chłopci poczęli się wynosić. Wkrótce karczma opustoszała, został tylko Bartek i baba z wyciągniętą szyją.

— Cóż tę tchawicę wyciągasz jak gęś — mrucał Bartek. — Chodź do chałupy.

— Utnij! — powtarzała Magda.

— Oto, że nie utnę — odparł Bartek i wsadził rękę w kieszenie.

Tu karczmarz chcąc położyć koniec zajściu, zgasił jedyną świecę. Zrobiło się ciemno i cicho. Po chwili w ciemności rozległ się piskliwy głos Magdy:

— Utnij!

— Oto, że nie utnę — odparł tryumfalny głos Bartka.

Przy świetle księżycy widać było dwie postacie, idące od karczmy ku chałupom. Jedna z nich, idąca naprzód, lamentowała głośno: to była Magda: za nią, ze spuszczoną głową, postępował dość pokornie, zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu.

VII.

Bartek wrócił jednak tak osłabiony, że przez kilka dni nie mógł pracować. Było to wielkie nieszczęście dla całego gospodarstwa, które na gwałt potrzebowało męskiej ręki. Magda radziła sobie jak umiała. Pracowała od ranka do nocy: sąsiedzi Czemierniccy pomagali jej jak mogli, ale swoją drogą wszystko to nie wystarczało i gospodarstwo szło potrochu w ruinę. Było też już i nieco długów zaciągniętych u kolonisty Justa, Niemca, który w Pogonębinie zakupił był w swoim czasie u dworu kilkanaście morgów nieużytków, a teraz miał najlepsze w całej wsi gospodarstwo i gotówkę, którą wypożyczał na dość wysokie procenta. Wypożyczał przedewszystkiem dziedzicowi p. Jarzyńskiemu, którego nazwisko jarzyło się w „złotej księdze“, ale który dlatego właśnie musiał, podtrzymywać splendor domu na odpowiedniej stopie: wypożyczał jednak Just i chłopom. Magda winna mu była od pół roku kilkadziesiąt talarów, które częścią włożyła w gospodarstwo, częścią posyłała w czasie wojny Bartkowi. Byłoby to jednak nic. Bóg dał dobre urodzaje i z przyszłych plonów można było dług spłacić, byle ręk i pracy przyłożyć. Na nieszczęście Bartek pracować

nie mógł. Magda nie bardzo chciała temu wierzyć i chodziła do proboszcza na narady, jakby chłopą rozruszać, a on rzeczywiście nie mógł. Brakło mu oddechu, gdy się cokolwiek strudził i krzyże go bolały. Siadywał więc po całych dniach przed chałupą i palił porcelanową fajkę z wyobrażeniem Bismarka, w białym mundurze i kirasyerskim hełmie na głowie, i spoglądał na świat zmęczonem, sennem okiem człowieka, z którego kości trud jeszcze nie wyszedł. Rozmyślał przytem trochę o wojnie, trochę o zwycięstwach, o Magdzie, trochę o wszystkim, trochę o niczem.

Raz gdy tak siedział, usłyszał zdala płacz Franka. Franek wracał ze szkoły i beczał aż się rozlegało. Bartek wyjął z ust fajkę.

— No, ty Franc! co ci jest?

— Ale, co ci jest?... — powtórzył szlochając Franek.

— Czego beczysz?

— Ale co nie mam beczyć, kiedym dostał po pysku...

— Kto ci dał po pysku?

— Kto, jak nie pan Boege!

Pan Boege pełnił obowiązki nauczyciela w Pogonbinie.

— A on co ma za prawo bić cię po pysku?

— Juści ma, bo dał.

Magda, która okopowała w ogrodzie, przelazła przez płot i z motyką w ręku zbliżyła się do dziecka.

— Cóżś sprawił? — spytała.

— Com miał sprawić. Jenó Boege nawymyślał mi od polskich świń i dał mnie w pysk i powiedział, że jak

teraz Francuzów zwojowały, to nas będą nogami kopać, bo ony najmocniejsze. A ja jemu nic nie zrobiłem, jeno on się pytał, jaka jest największa osoba na świecie, a ja powiedziałem, że Ojciec Święty, a on mi dał w pysk, a ja począłem krzyżeć, a on nawymyślał mi od polskich świań i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały...

Franek począł powtarzać wkółko: „a on powiedział, a ja powiedziałem“, wreszcie Magda zakryła mu twarz ręką, a sama zwróciwszy się do Bartka, począła wołać:

— Słyszysz! słyszysz!... Idź ty wojuj Francuzów, a niech ci dziecko potem Niemiec tłucze, jak tego psa, niech mu wymyśla!... idź ty wojuj... niech ci Szwab dziecko zabija: masz nagrodę... niech ci plucha...

Tu Magda rozczulona własną wymową, zaczęła także płakać do wtóru z Frankiem, a Bartek wytrzeszczył oczy, otworzył gębę i zdumiał — zdumiał tak, iż słowa nie mógł przemówić, a przedewszystkiem zrozumieć tego co się stało. Jakto? A jego zwycięstwa... Siedział jeszcze chwilę w milczeniu, nagle błysło mu coś w oczach, krew rzuciła się do twarzy. Zdumienie, równie jak przestach, częstokroć u prostaczków przechodzi w wściekłość. Bartek zerwał się nagle i wyrzucił przez zaciśnięte zęby:

— Ja się z nim rozmówię.

I poszedł. Niedaleko było. Szkoła leżała tuż za kościołem. Pan Boege stał właśnie przed gankiem, otoczony gromadką prosiąt, między które rozrzucał kawałki chleba.

Był to rosły człowiek, lat około pięćdziesięciu, krzepki jeszcze jak dąb. Nie był zbyt tłusty, twarz tylko miał

bardzo tłustą, a w tej twarzy pływały duże rybie oczy, z wyrazem śmiałości i energii.

Bartek przystąpił do niego bardzo blisko.

— Za co ty mi, Niemcze, dziecko bijesz? *was?* — spytał.

Pan Boege odstał od niego kilka kroków, zmierzyl go oczyma bez cienia bojaźni i rzekł z flegmą:

— Won, polska „turnia!“

— Za co dziecko bijesz? — powtórzył Bartek.

— Ja i ciebie bić, polska „chama“. Teraz my wam pokażemy, kto tu pan. Idź do dyabel, idź na skargę do sąd... precz!

Bartek schwywszy nauczyciela za ramię, począł potrząsać nim silnie, wołając chrapliwym głosem:

— Wiesz, com za jeden? wiesz kto Francuzów spral? wiesz, kto ze Steinmecem gadał? Za co dziecko bijesz szwabska plucho?

Rybie oczy pana Boego wylazły na wierzch, nie gorzej Bartkowych, ale pan Boege był silny człowiek i postanowił jednym zamachem uwolnić się od napaśtnika...

Zamach ten ozwał się potężnym policzkiem na twarzy zwycięzcy z pod Gravelotte i Sedanu. Wtedy chłop stracił pamięć. Głowa Boegego wstrząsnęła się dwoma nagłymi ruchami, przypominającymi ruch wahadła, z tą różnicą, że wstrząśnienia były przerażająco szybkie. W Bartku znów zbudził się straszliwy pogromca turkusów i żuawów. Naprawdę dwudziestoletni Oskar, syn Boegego, chłop równie silny jak ojciec, pospieszył mu z pomocą. Zawięzała się walka krótka, straszna, w któ-

rej syn padł na ziemię, a ojciec uczuł się wyniesionym w powietrze. Bartek, wyciągnąwszy ręce do góry, niósł go sam nie wiedząc dokąd. Na nieszczęście pod chałupą stała beczka z pomyjami, skrzątnie zlewanemi dla święt przez panią Boegową i oto bulknęło w beczce, a po chwili widać z niej było sterzące nogi Boegego i poruszające się gwałtownie. Boegowa wypadła z domu:

— Pomocy, ratunku!

Przytomna kobieta wywróciła natychmiast beczkę i wylała męża wraz z pomyjami na ziemię.

Z pobliskich domów koloniści pospieszyli na pomoc sąsiadom.

Kilkunastu Niemców rzuciło się na Bartka i zaczęli okładać go to kijami, to pięściami. Powstało ogólne zamieszanie, w którym trudno było odróżnić Bartka od wrogów: kilkanaście ciał zbiło się w jedną masę, poruszającą się konwulsyjnie.

Nagle jednak z masy walczących wypadł jak szalony Bartek, dążąc co sił do płotu.

Niemcy skoczyli za nim, jednocześnie jednak dał się słyszeć przeraźliwy trzask płotu i w tejże chwili potężna żerdź zakolysała się w żelaznych łapach Bartka.

Odwrócił się zapieniony, wściekły, wznosił ręce z żerdzią do góry: pierzchli wszyscy.

Bartek sunął za nimi.

Szczęściem nie dogonił nikogo. Przez ten czas ochłonał i począł rejterować ku domowi. Ach! gdyby miał przed sobą Francuzów! Odwrót ten unieśmiertelniałaby historia.

Było tak: napastujący w liczbie blisko dwudziestu

ludzi, zebrawszy się, nacierali na nowo na Bartka. On cofał się z wolna, jak odyniec party przez psiarnię. Chwilami odwracał się i zatrzymywał a wtedy zatrzymywali się i goniący. Żerdź przejmowała ich zupełnym szacunkiem.

Ciskali jednak kamieniami, jeden z tych kamieni zranił Bartka w czoło. Krew zalewała mu oczy. Czuł, że słabnie. Zachwiał się raz i drugi na nogach, opuścił żerdź i upadł.

— Hurra! — krzyknęli koloniści.

Ale nim dobiegli, Bartek podniósł się znowu. To ich wstrzymało. Ten ranny wilk mógł jeszcze być niebezpieczny. Zresztą było to już niedaleko pierwszych chałup i zdążyć widać już było kilku parobków, pędzących co siły na plac potyczki. Koloniści cofnęli się do domów.

— Co się stało? — pytali nadbiegli.

— Niemców krzykę pomacałem — odpowiedział Bartek.

I zemdlął.

VIII.

Sprawa stała się groźną. Gazety niemieckie umieściły nader wzruszające artykuły o prześladowaniach, jakich doznaje spokojna ludność niemiecka od barbarzyńskiej i ciemnej masy, podniecanej przez anti-państwowe agitacje i fanatyzm religijny. Boege stał się bohaterem. On, nauczyciel, cichy i łagodny, krzewiący oświatę na dalekich krańcach państwa: on prawdziwy misjonarz kulturowy wśród barbarzyńców, pierwszy padł ofiarą rozruchu. Szczęściem, że na nim stoi sto milionów Niemców, którzy nie pozwolą, aby i t. d.

Bartek niewiedział jaka burza zbiera się nad jego głową. Owszem, był dobrej myśli. Był pewny, że w sądzie wygra. Przecie Boege mu dziecko pobił, i jego pierwszy uderzył, a potem tyłu na niego napadło! Musiał się przecie bronić. Rozbili mu jeszcze głowę kamieniem. I komu? jemu, którego wymieniały rozkazy dzienne, jemu, który „wygrał“ bitwę pod Gravelotte, który gadał z samym Steinmecem, który miał tyle krzyżów! Nie mieściło mu się to wprawdzie w głowie, jak Niemcy mogli o tem wszystkim nie wiedzieć i tak go pokrzywdzić, również jak nie mieściło mu się i to, jak

Boege mógł obiecywać Pogłębińcom, że ich teraz Niemcy będą nogami kopać, za to, że oni Pogłębińcy, tak dzielnie bili Francuzów ilekroć była sposobność. Ale co do siebie, był pewny, że sąd i rząd ujmą się za nim. Tam przecie będą wiedzieć, co on za jeden i co on na wojnie robił. Choćby nie kto inny, to Steinmetz ujmie się za nim. Przecie przez tę wojnę i zbiedniał i chałupę zadłużył, toć przecie nie odmówią mu sprawiedliwości.

Tymczasem do Pogłębina przyjechali po Bartka żandarmi. Spodziewali się widać straszego oporu, bo przyjechało ich aż pięciu z nabitymi karabinami. Mylili się. Bartek o oporze nie myślał. Kazali mu na brykę sięść: usiadł. Magda desperowała tylko i powtarzała uparcie:

— Oj, trzebaż-ci było tych Francuzów tak wojsować? Maszże teraz biedaku, masz.

— Cichoj! głupia! — odpowiadał Bartek, i uśmiechał się po drodze dość wesoło do przechodzących.

— Ja im pokażę kogo skrzywdzili — wołał z bryczki.

I ze swymi krzyżami na piersiach jechał jak tryumfator do sądu.

Jakoż sąd okazał się na niego łaskawy. Zgodzono się na istnienie okoliczności łagodzących, Bartek osobiście skazany został tylko na trzy miesiące więzienia.

Prócz tego skazano go na zapłacenie stu pięćdziesięciu marek tytułem wynagrodzenia rodzinie Boege i innym „obrażonym na ciele kolonistom“.

„Zbrodniarz wszelako, pisała w sprawozdaniu sądownym *Posener Zeitung*, nietylko po odczytaniu mu wyroku nie okazał najmniejszej skruchy, ale wybuchnął

tak grubijańskimi słowy i tak bezczelnie począł wyrzucać państwu swoje rzekome usługi, iż dziwić się tylko należy, że obecny prokurator nie uformował przeciw niemu nowej sprawy, za obelgi względem sądu i względem niemieckiego plemienia...“

Tymczasem Bartek rozpamiętywał w kozie spokojnie swoje czyny pod Gravelotte, Sedanem i Paryżem.

Popelniliśmy jednak niesprawiedliwość, twierdząc, że i postępek p. Boegego nie wywołał żadnej publicznej nagany. Owszem, owszem. Pewnego dżdżystego poranku, jakiś poseł polski bardzo wymownie dowodził, jak zmieniło się postępowanie z Polakami w Poznańskim, jak za męstwo i ofiary, poniesione przez poznańskie pułki w czasie wojny, należałoby dbać więcej o prawa ludzkości w poznańskiej prowincyi; jak nakoniec p. Boege z Pogńębina nadużywał swej pozycyi nauczyciela, bijąc polskie dzieci, nazywając je polskimi świniami i obiecując, że po takiej wojnie, napływowa ludność będzie kopać nogami aborygenów.

I gdy tak poseł mówił, deszcz sobie padał, a ponieważ takiego dnia senność ludzi ogarnia, więc ziewali konserwatyści, ziewali national-liberalni i socjaliści, ziewało i centrum, bo było to jeszcze przed walką kulturalną.

Wreszcie nad tą „polską skargą,“ Izba przeszła do porządku dziennego.

Bartek tymczasem siedział w kozie, a raczej leżał w szpitalu więziennym, bo od uderzenia kamieniem otworzyła mu się rana, jaką na wojnie otrzymał.

Gdy nie miał gorączki, myślał, myślał jak ów in-

dyk, który zdechl od myślenia. Ale Bartek nie zdechl, tylko nic nie wymyślił.

Czasem jednakże w chwilach, które nauka zwie *lucida intervalla*, przychodziło mu do głowy, że może niepotrzebnie tak „prał“ Francuzów.

Na Magdę za to nadeszły ciężkie godziny. Trzeba było zapłacić karę: nie było skąd wziąć. Ksiądz pognębiński chciał pomódz, ale pokazało się, że w kasie nie miał całych czterdziestu marek. Biedna to była parafia ten Pognębin, a zresztą staruszek nigdy nie wiedział jak mu się pieniądze rozchodzą. Pana Jarzyńskiego nie było w domu. Mówili, że pojechał w konkury do jakiejś bogatej panny do Królestwa.

Magda nie wiedziała co ma począć.

O przedłużeniu terminu nie było co i myśleć. — Cóż więc? Sprzedać konie, krowy? I tak był przednówek, czas najcięższy. Żniwo się zbliżało, gospodarka wymagała pieniędzy, a wyczerpały się już wszystkie. Kobieta ręce łamała z rozpacy. Podala kilka prośb o zmiłowanie do sądu, wymieniając zasługi Bartka. Nie otrzymała nawet odpowiedzi. Termin się zbliżał a z nim i sekwestr.

Modliła się i modliła wspominając gorzko dawne czasy przed wojną, gdy byli zamożni i gdy Bartek zimą jeszcze w fabryce zarabiał. Poszła do kumów pożyczyć pieniędzy: nie mieli. Wojna wszystkim dała się we znaki. Do Justa nie śmiała iść, bo i tak była mu winna, a nie płaciła nawet procentów. Tymczasem Just niespodziewanie sam przyszedł do niej.

Pewnego południa siedziała na progu chaty i nie robiła nic, bo ją siły z rozpacy odeszły. Patrzyła przed

siebie, na goniące się po powietrzu muszki złote i myślała „jakie to ono robactwo szczęśliwe, buja sobie i nie płaci i t. d.“ Czasem wzdychała ciężko, lub z jej pobladłych ust wyrwało się ciche wezwanie: „O Boże! Boże!“ Nagle przed wrotami pokazał się spuszczonego nos Justa, pod którym widać było spuszczonego fajkę: kobieta pobladła. Just ozwał się:

— *Morgen!*

— Jak się macie panie Just?

— A moje pieniądze?

— O mój złocieńki panie Just, bądźcie cierpliwi. Ja biedna co ja zrobię? Chłopa mi wzięli, karę za niego płacić muszę, rady sobie dać nie mogę. Lepiejbym zmarła, niż się mam tak męczyć z dnia na dzień. Poczekajcie, mój złocieńki panie Just.

Rozplakana się i schyliwszy się ucałowała pokornie tłuścą, czerwoną rękę pana Justa.

— Pan przyjedzie, to od niego pożyczę, a wam oddam.

— No, a sztraf z czego zapłacicie?

— Czy ja wiem. Chyba krowinę sprzedam.

— To ja wam pożyczę jeszcze.

— Niech panu Pan Bóg zapłaci, mój złoty panie. Pan choć luter, ale dobry człowiek. Sprawiedliwie mówię! Żeby inne Niemcy były jak pan, toby ich człowiek błogosławił.

— Ale ja bez procentu nie dam.

— Ja wiem, ja wiem.

— To mi napiszecie jeden kwit na wszystko.

— Dobrze złoty panie, Bóg panu zapłaci i tak.

— Będę w mieście to sporządzimy akt.

Był w mieście i sporządził akt, ale poprzednio Magda poszła radzić się proboszcza. Co tu jednak było radzić? Ksiądz mówił, że termin za krótki, że procenta za wysokie i biadał bardzo, że p. Jarzyńskiego w domu niema, bo gdyby był, toby może pomógł. Nie mogła jednak Magda czekać, aż jej sprzedadzą sprzężaj i musiała przyjąć warunki Justowe. Zaciągnęła trzysta marek długu, to jest dwa razy tyle, ile wynosił „sztraf,* boć przecie trzeba było mieć w domu jaki grosz na prowadzenie gospodarstwa. Bartek, który dla ważności aktu obowiązany był stwierdzić go własnym podpisem, podpisał. Magda w tym celu umyślnie chodziła do niego do „karceresu“. Zwycięzca bardzo był pogiębiony, przybity i chory. Chciał on jeszcze pisać skargę i przedstawić swoje krzywdy, ale skargi nie przyjęto. Artykuły *Posener Zeitung* nader nieprzychylnie usposobiły dla niego opinię sfer rządowych! Czyż bowiem władze owe nie powinny były rozciągnąć opieki nad spokojną ludnością niemiecką, „która w ostatniej wojnie tyle złożyła dowodów miłości ojczyzny i poświęcenia?“ Słusznie więc odrzucono skargę Bartka. Ale nie dziw, że go to pogiębiło ostatecznie.

— Już my teraz przepadniemy z krete sem — rzekł.

— Z krete sem — powtórzyła.

Bartek począł namyślać się nad czemś usilnie.

— Krzywda mi się dzieje okrutna — rzekł.

— Chłopca Boege prześladowuje — mówiła Magda. — Chodziłam go prosić, jeszcze mi nawymyślał. Oj! teraz w Pogiębinie Niemcy górą. Ony się teraz nikogo nie boją.

— Pewno, że ony najmocniejsze — rzekł smutno Bartek.

— Jać prosta jestem kobieta, ale to ci powiem: mocniejszy jest Bóg.

— W Nim ucieczka nasza — dodał Bartek.

Chwilę milczeli oboje, potem znowu spytał.

— No, a co Just?

— Żeby Bóg najwyższy dał urodzaj, to może go jakoś zapłaciwa. Może też i pan nam dopomoże, chociaż on sam ma długi u Niemców. Jeszcze przed wojną mówili, że musi Pognębin sprzedać. Chyba, że bogatą pannę weźmie.

— A prędko on wróci?

— Kto go wie. We dworze prawią, że niedługo już z żoną przyjedzie. Niemcy go przycisną, jak wróci, Zawdy te Niemcy! Dyć to lezie jak robactwo! Gdzie się obejrzysz, gdzie się niedopatrzysz, czy na wsi, czy w mieście, Niemcy, za grzechy chyba nasze. A ratunku znikąd!

— Może też co uradzisz, tyś przecie mądra kobieta.

— Co ja zradzę, co? Czy to ja po dobrej woli brała od Justa pieniądze? Na dobrą sprawę, toć ta chalupina, w której siedzimy i też grunt, to już jego. Just lepszy Niemiec od innych, ale on też swoje dobro, nie cudze ma na oku. Nie pofolguje on, jak i innym nie pofolgował. Czy ja taka głupia, czy ja nie wiem po co on mi wtyka pieniądze! Ale co zrobić! co zrobić! — mówiła łamiąc ręce — radź ty, kiedyś mądry. Francuzów umiałeś bić, a co poczniesz, jak ci dachu nad głową nie stanie, albo łyżki strawy do gęby?

Zwycięzca z pod Gravelotte uchwycił się za głowę.

— O Jezu, Jezu!

Magda miała dobre serce; wzruszył ją ten ból Bartkowy, więc rzekła zaraz:

— Cichoj chłopie! cichoj! nie łap się za łeb, skoro ci się jeszcze nie zgoił. Byle Bóg urodzaj da! Żytko ci takie śliczniutki, że aż się ziemię chce całować, pszenica też. Ziemia nie Niemiec, nie ukrzywdzi. Choć to i bez twoją wojnę kiepsko koło roli zrobione, to ci tak rośnie że a!

Pocziwa Magda uśmiechnęła się przez łzy.

— Ziemia nie Niemiec... — powtórzyła raz jeszcze.

— Magda — rzekł Bartek, patrząc na nią swemi wylupiastemi oczyma — Magda!

— Czego?

— A bo tyś jest... niby...

Bartek czuł dla niej wdzięczność wielką, ale nie umiał tego wyrazić.

IX.

Magda naprawdę była tyle warta, ile dziesięć gorszych od niej kobiet. Trzymała trochę krótko swego Bartka, ale przywiązana była do niego prawdziwie. W chwilach uniesienia, jako naprzykład w on czas w karczmie mówiła mu w oczy, że głupi, ale zwyczajnie wolała wszelako, by ludzie inaczej myśleli: „Mój Bartek głupiego udaje, a on je chytry“, mawiała nieraz. Tymczasem Bartek był tak chytry jak jego koń, i bez Magdy nie dałby sobie rady, ani w gospodarstwie, ani w niczem. Teraz oto wszystko było na jej poczciwej głowie i jak zaczęła dreptać, zabiegać, chodzić, prosić, tak i wyprosiła ratunek. W tydzień po ostatnich odwiedzinach w więziennym szpitalu, wpadła znowu do Bartka zadyszana, rozpromieniona, szczęśliwa.

— Jak się masz Bartek, kasztanie — zawołała z radością — wiesz, przyjechał pan! Ożenił-ci się w Królestwie; młoda pani dycht jagódka. A nabrał ci też za nią wszelakiego dobra oj! oj!...

Dziedzic Pogębina ożenił się rzeczywiście, zjechał

z żoną na miejsce i rzeczywiście nabrał za nią sporo „wszelakiego dobra.“

— No i co z tego? — spytał Bartek.

— Cicho, głupi — odrzekła Magda. — O, tom się zadyszała! O Jezu!... Poszłam się pani pokłonić, patrząc: wyszła do mnie jak królowna jaka, młodzusienska, kiej łoński kwiateczek, śliczniuchna jak ta zorza... A to upał a tom się zadyszała!...

Magda podniosła fartuch i poczęła obcierać twarz spoconą. Po chwili mówiła znów przerywanym głosem:

— Suknię-ci miała jak ten chaber niebiesiuchną... Podjęłam ją pod nogi i rączkę mi dała... pocałowałam, a rączki to ci ma pachnące i maluskie jak u dziecka... Dycht jaka święta na obrazku i dobra jest i wyrozumiała na biedę ludzką. Poczęłam ją prosić o poratowanie... Żeby jej Bóg dał zdrowie!... A ona powiada: „Co w mojej mocy, powiada, to zrobię.“ A głosik to ci ma taki, że jak przemówi, to cię aż słodkość ogarnie. Tak dopiero ja poczęłam prawić, jaki to w Pognębinie naród nieszczęśliwy, a ona powiada: „Ej, nie tylko w Pognębinie...“ i dopiero ja się rozbeczałam i ona też. Aż pan nadszedł, zobaczył, że ona płacze i jak ją weźmie całować gęba nie gęba, oczko nie oczko. Panowie nie takie jak wy! Dopiero ona mu powiada: „Zrób co możesz dla tej kobiety.“ A on powiada: „Wszystko na świecie, czego zechcesz.“ Niechże ją Matka Boska błogosławi, ona jagódkę złotą; niech ją na dzieciach błogosławi i na zdrowiu. I zaraz pan powiada: „Zawiniliście ciężko, boście się w niemie-

ckie ręce podali, ale powiada, poratuję was i na Justa dam.“

Bartek począł drapać się w kark.

— Dyć pana też Niemcy mieli w ręku.

— No to co! ale pani bogata. Państwoby teraz wszystkich Niemców w Pognębiniu mogli kupić, to i panu wolno gadać. Wybory, powiada pan, niedługo będą, niech ludzie patrzą by za Niemcami nie głosowali, a na Justa dam i Boegego przykróć. A pani go za to za szyję wziena, a pan się pytał o ciebie, i powiada, jeśli słaby to ja z doktorem pogadam, żeby mu napisał świadectwo jako teraz nie może siedzieć. Jeśli go nie zwolnią całkiem, to powiada, odsiedzi w zimie, a teraz do roboty na żniwa potrzebny. Słyszysz? Wczoraj pan w mieście był, a dziś doktor jedzie do Pognębina z wizytą, bo go pan zaprosił. On nie Niemiec. I świadectwo napisze. W zimie będziesz siedział w karceresie, jak ten król, będzie ci ciepło i zreć darmo ci dadzą, a teraz pójdiesz do dom, do roboty i Justa zapłaciewa, a pan może i nijakiego procentu nie będzie chciał, a jak nie oddamy wszystkiego w jesieni, to u pani wyproszę. Niechże ją Matka Boska... Słyszysz...

— Dobra pani. Niema co! — rzekł rażno Bartek.

— Padniesz-że ty jej do nóg, padniesz, a nie, to ci chyba ten żółty łeb ukreć. Byle Bóg urodzaj da! A widzisz skąd poratowanie? od Niemców? dały ci choć grosz za te twoje głupie mentale? co? dały ci po łbie, i tyła. Padniesz-że ty pani do nóg, mówię.

— Co nie mam paść! — odparł rezolutnie Bartek.

Los zdawał się znowu uśmiechać zwycięzcy. W kilka

dni później zawiadomiono go, że z powodów zdrowia, na teraz zostaje uwolniony z kozy, aż do zimy. Przedtem jednak landrat kazał mu się stawić przed sobą. Bartek stawiał się z duszą na ramieniu. Ten chłop, który z bagnietem w rękę brał sztandary i armaty, począł się teraz bać każdego munduru więcej niż śmierci, począł nosić w sercu jakieś głuche, bezwiedne poczucie, że go prześladują, że mogą zrobić z nim co zechcą, że jest nad nim jakaś siła ogromna, a nieżyczliwa i zła, która gdyby się jej opierał, to go zetrze. Stał więc oto przed landratem, jako ongi przed Steinmetzem wyprostowany, z brzuchem wciągniętym, piersią wydaną naprzód i bez tchu w piersiach. Było także i kilku oficerów: wojna i karność wojenna stanęły Bartkowi w oczach, jakby żywe. Oficerowie patrzyli na niego przez złote binokle z dumą i pogardą, należną prostemu żołnierzowi i polskiemu chłopu od pruskich oficerów; on stał dech wstrzymując, a landrat mówił coś rozkazującym tonem. Nie prosił, nie namawiał, rozkazywał, groził. W Berlinie poseł umarł, nowe wybory rozpisano.

— *Du polnisches Vieh!* spróbuj tylko głosować za panem Jarzyńskim, spróbuj!

Brwi oficerów ściągnęły się w tej chwili w groźne lwie zmarszczki. Jeden ogryzając cygare powtórzył za landratem: „spróbuj!” a w zwyciężkim Bartku dech zamierał. Gdy usłyszał pożądane: „poszedł precz!” zrobił pół obrotu w lewo, wyszedł i odetchnął. Dano mu rozkaz, by głosował za panem Szulbergiem z Krzywdy Wielkiej. Nad rozkazem nie namyślał się, ale odetchnął, bo szedł oto do Pogonębina, bo na żniwa mógł być

w domu, bo pan obiecał spłacić Justa. Wyszedł za miasto. Ogarnęły go łany zbóż dojrzewających. Kłos ciężki z wiatrem o kłos uderzał i szeleściły wszystkie miłym dla chłopskiego ucha szelestem. Bartek słaby był jeszcze, ale słońce go grzało. Hej! jak to na świecie pięknie! myślał sterany żołnierz. I do Pognębina już niedaleko.

X.

Wybory! wybory! Pani Marya Jarzyńska ma ich pełną główkę, nie myśli, nie mówi i nie marzy o niczem więcej.

— Pani dobrodzika, to wielki polityk — mówi do niej sąsiad szlachcic — całując jak smok, jej małe rączki, a wielki polityk rumieni się jak wiśnia i odpowiada ze ślicznym uśmiechem:

— O, my agitujemy, jak tylko możemy!

— Pan Józef będzie posłem! — mówi przekonująco szlachcic, a „wielki polityk“ odpowiada:

— Chciałabym bardzo, chociaż nietylko o Józia chodzi, ale (tu „wielki polityk“ piecze znowu niepolitycznego raka), ale to sprawa ogólna.

— Czysty Bismark! jak Boga kocham! — woła szlachcic i znowu całuje maleńkie rączki, potem radzą oboje nad agitacją.

Szlachcic bierze na siebie Krzywdę Dolną i Mizérów (Krzywda Wielka stracona, bo dziedzicem jej pan Szulberg), a pani Marya ma zająć się przedewszystkiem Pognębinem. Aż jej się główka pali, że odgrywa taką rolę. Jakoż czasu nie traci. Codzień widać ją na wielkiej

drodze między chałupami: sukienka podniesiona w jednej ręce, parasolka w drugiej, a z pod sukienki wyglądają malutkie nóżki, drepczące z zapalem w wielkich ciałach politycznych. Wstępuje do chałup, pracującym ludziom mówi po drodze: „Boże dopomóż!” Odwiedza chorych, ujmuje sobie ludność, pomaga gdzie może. Robiłaby to i bez polityki, bo ma dobre serce, ale dla polityki tembardziej. Czegoby ona nie zrobiła dla tej polityki?! Oto nie śmie tylko przyznać się mężowi, że ma niepowstrzymaną ochotę pojechać na wiec włościański, ułożyła sobie nawet w główce mowę, jaką wypadałoby na wiecu powiedzieć. Co to za mowa! co za mowa! Wprawdzie pewnoby nie śmiała jej wypowiedzieć, ale gdyby wypowiedziała, to no! Za to, gdy do Pognębina doszła wiadomość, że władze wiec rozpędziły, „wielki polityk“ rozbeczał się ze złości w swoim pokoju, podarł jedną chusteczkę i cały dzień miał czerwone oczy. Napróżno mąż prosił jej, by nie „demenowała“ się do tego stopnia. Nazajutrz agitacya w Pognębiniu prowadzona była z większym jeszcze ferworem. Pani Marya nie cofa się teraz przed niczem. Jednego dnia jest w kilkunastu chatach i wymyśla tak głośno na Niemców, że aż mąż musi ją powstrzymywać. Ale niema niebezpieczeństwa. Ludzie przyjmują ją z radością, całują po rękach i uśmiechają się do niej, bo taka jest ładna, taka różowa, że gdzie wejdzie, jasno się robi. Z kolei przychodzi i do chałupy Bartka. Łysek jej nie puszcza, ale Magda daje mu w zapale drewnem w leb.

— O, jasnie pani! moje złoto, moje śliczności, moja jagódka! — woła Magda tuląc się do jej rąk.

Bartek, zgodnie z postanowieniem, rzuca się jej do nóg, mały Franek całuje ją naprzód w rękę, następnie kładzie palec w usta i pogrąża się w całkowitym podziwieniu.

— Spodziewam się — mówi po powitaniach młoda pani — spodziewam się, mój Bartku, że będziecie głosować za moim mężem, nie za panem Schulbergiem.

— O, moja zorzo! — woła Magda — ktoby-ta za Siulbergiem głosował! Niech go tam paralius! (Tu całuje panią w rękę). Niech się jasnie pani nie gniewa, ale człek gdy o Niemcach mówi, to i języka nie może utrzymać.

— Mąż właśnie mówił mi, że zapłaci Justa.

— Niech go Bóg błogosławi! Tu Magda zwraca się do Bartka: czego stoisz jak drąg? On, proszę pani, strasznie niemowny.

— Będziecie za moim mężem głosować — pyta pani — prawda? Wyście Polacy, my Polacy, będziemy się trzymać.

— Łebbym mu ukrećila, żeby nie głosował! — rzecze Magda. — Czegóż stoisz jak drąg? On strasznie niemowny. Ruszże się!

Bartek całuje znowu panią w rękę, ale milczy ciągle i jest ponury, jak noc. W myśli stoi mu landrat.

* * *

Dzień wyborów zbliża się i nadchodzi. Pan Jarzyński pewny jest wygranej. Do Pognębina zjeżdża się sąsiedztwo. Panowie wracają już z miasta, dali już głosy,

i czekać będą teraz w Pogńebinie na wiadomość, którą przywiezie książd. Potem będzie obiad, wieczorem zaś państwo wyjadą do Poznania, a następnie i do Berlina. Niektóre wsie z okręgu wyborczego głosowały jeszcze wczoraj. Rezultat dziś będzie wiadomy. Zgromadzeni wszelako dobrej są myśli. Młoda pani trochę niespokojna, ale pełna nadziei i uśmiechnięta, jest tak uprzejmą gospodynią, że wszyscy zgadzają się, iż pan Józef znalazł prawdziwy skarb w Królestwie. Skarb ten nie może wprawdzie teraz usiedzieć spokojnie na miejscu, biega od gościa do gościa i każe się każdemu po sto razy zapewniać, że „Józio będzie wybrany“. Nie jest ona rzeczywiście ambitną i nie z próżności chce zostać panią posłową, ale wymarzyła sobie w swojej młodej główce, że oboje z mężem mają do spełnienia prawdziwą misję. Serce więc jej bije tak żywo, jak w chwili ślubu, i radość oświeca ładną twarzyczkę. Lawirując zręcznie wśród gości, zbliża się do męża, pociąga go za rękaw i szepcze mu do ucha, jak dziecko, które kogoś przezywa: „pan poseł!“ On uśmiecha się i oboje są nad wszelki wyraz szczęśliwi. Oboje mają wielką ochotę wycalować się porządnie, ale przy gościach nie wypada. Wszyscy zresztą wyglądają co chwila za okno, bo sprawa jest istotnie ważna. Dawny zmarły poseł był Polakiem, i pierwszy to raz dopiero Niemcy stawiają w tym okręgu swego kandydata. Widocznie zwycięzka wojna dodała im odwagi, ale właśnie dlatego zgromadzonym w pognębińskim dworze tembardziej chodzi o to, by ich kandydat był wybrany. Nie brak też jeszcze przed obiadem patryotycznych przemówień, które szczególnie wzruszają młodą panią,

jako do nich nieprzywykłą. Chwilami ma ona napady obawy. A jeśli zrobią jakie malwersacye przy obliczaniu głosów? Ale przecie w komitecie zasiadają nietylko Niemcy? Starsi obywatele tłómaczą właśnie pani, jak się obliczanie głosów odbywa. Słyszała to ona ze sto razy, ale jeszcze chce słyszeć. Ach! bo przecie chodzi tu o to, czy ta miejscowa ludność będzie miała w parlamencie obrońcę czy wroga? Za chwilę się to rozstrzygnie, nawet za małą chwilę, bo na drodze powstaje nagle kłęb kurzu. „Proboszcz jedzie! proboszcz jedzie!“ powtarzają obecni. Pani blednie. Na wszystkich twarzach znać wzruszenie. Są pewni zwycięstwa, a jednak ostatnia chwila przyspiesza bicie serc. Ale to nie proboszcz, to włódarz wraca konno z miasta. Może co wie? Przywiązuje konia do kolka i spieszy do dworu. Goście z gospodynią na czele wypadają na ganek.

— Są wiadomości? Są? Nasz pan wybrany? Co? Chodź tu! Wiesz na pewno? Rezultat ogłoszony?

Pytania krzyżują się i padają jak race, a chłop rzuca czapkę do góry.

— Nasz pan wybrany!

Pani siada nagle na ławce i przyciska ręką falujące piersi!

— Wiwat! wiwat! — krzyczą sąsiedzi. Wiwat! Służba wypada z kuchni. — Wiwat! „Pobite Niemcy! Niech żyje poseł! I pani posłowa!“

— A proboszcz? — pyta ktoś.

— Zaraz tu będzie — odpowiada włódarz — jeszcze reszty obliczają...

— Obiad dawać! — woła pan poseł.

— Wiwat! — powtarzają inni.

Wchodzą znów wszyscy z ganku do sali! Powin szowania panu i pani płyną już spokojniej, sama pani tylko nie umie pohamować radości i bez względów na świadków rzuca mężowi ręce na szyję. Ale nie biorą jej tego za złe; owszem, rozczulenie ogarnia wszystkich.

— No, jeszcze żyjemy! — mówi sąsiad z Mizerowa.

Tymczasem przed gankiem rozlega się turkot i do sali wchodzi ksiądz proboszcz, a z nim stary Maciej z Pogębina.

— Witamy! witamy! — wołają zgromadzeni. No, jaka większość?

Ksiądz milczy przez chwilę i nagle rzuca, jakby w twarz tej powszechnej radości, szorstkie i krótkie dwa wyrazy:

— Szulberg... wybrany!...

Chwila zdumienia, grad pytań przyspieszonych i trwożnych, na które ksiądz odpowiada znowu:

— Szulberg wybrany!

— Jak? Co się stało? Jakim sposobem? Włódarz mówił, że nie! Co się stało?

W tej chwili pan Jarzyński wyprowadza biedną panią Maryą, która gryzie chusteczkę, by nie wybuchnąć płaczem, lub nie zemdleć.

— O, nieszczęście! nieszczęście! — powtarzają zgromadzeni, chwytając się rękami za głowy.

W tej chwili od strony wsi dochodzą jakieś zmaczone głosy, jakby radosnych krzyków. To Niemcy pogębinińscy obchodzą tak radośnie swoje zwycięstwo.

Państwo Jarzyńscy wracają znów do sali. Słyszać

jak przy drzwiach młody pan mówi do pani: „*il faut faire bonne mine*“. Jakoż młoda pani już nie płacze. Oczy ma suche i bardzo silne rumieńce.

— Powiedzcież teraz, jak się to stało — pyta spokojnie gospodarz.

— Jakże się nie miało stać, jaśnie panie — mówi stary Maciej — skoro i tutejsze chłopcy pogrzebińskie głosowali za Szulbergiem.

— Kto taki?

— Jakto, tutejsi?

— A jakże. Ja sam widziałem i wszyscy, jak Bartek Słowik głosował za Szulbergiem...

— Bartek Słowik? — mówi pani.

— A jakże. Teraz-ci go inni wymyślają. Chłop tarza się po ziemi, płacze, baba go wymyśla. Aleć ja sam widziałem jak głosował...

— Ze wsi takiego wyświecić! — rzecze sąsiad z Mizerowa.

— Bo jaśnie panie — mówi Maciej — inni też, co byli na wojnie, to też głosowali, jak i on. Gadają, że im kazali...

— Nadużycie, czyste nadużycie, nieważny wybór, przymus! szachrajstwo! — wołały różne głosy.

Nie wesoly był obiad tego dnia w pogrzebińskim dworze.

Wieczorem państwo wyjechali, ale już nie do Berlina, tylko do Drezna.

Nędzny, przeklinany, sponiewierany i znieawidzony Bartek siedział tymczasem w swojej chałupie, obcy na-

wet dla żony własnej, bo i ta nie przemówiła do niego cały dzień ni słowa.

* * *

Jesienią Bóg urodzaj dał i pan Just, który właśnie objął był w posiadanie Bartkową kolonię, rad był, że wcale niezły zrobił interes.

Pewnego dnia szło z Pognębina do miasta troje ludzi: chłop, baba i dziecko. Chłop był pochylony bardzo, podobniejszy do dziada, niż do zdrowego człeka. Szli do miasta, bo w Pognębiniu nie mogli służby znaleźć. Deszcz padał, baba szlochała okrutnie z żalu za straconą chałupą i całą wsią. Chłop milczał. Na całej drodze pusto było, ani wozu, ani człowieka, krzyż tylko wyciągał ponad nią zmoczone od deszczu ramiona. Deszcz padał coraz większy, gęstszy i ciemniało na świecie.

Bartek, Magda i Franek szli do miasta, bo zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu miał jeszcze w zimie odsiedzieć w kozie za sprawę Boegeo.

Państwo Jarzyńscy bawili ciągle w Dreznie.

v.

NA JEDNĄ KARTĘ

O S O B Y:



Książę Starogrodzki.

Stella, jego córka.

Jerzy Pretwic, narzeczony Stelli.

Karol hrabia Drahomir, przyjaciel Pretwica.

Hrabina Miliszewska.

Jan hrabia Miliszewski.

Antoni Żuk, sekretarz rady powiatowej.

Doktor Józłowicz.

Pani Czeska.

Podczaski.

Służący.



AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia salon z głównymi drzwiami na ogród. W bocznych ścianach drzwi do przyległych pokoi.

SCENA I.

Księżniczka Stella. — Pani Czeska.

Czeska.

Czemuż mi to mówisz dopiero teraz? Doprawdy, moja Steluniu, że mam ochotę gniewać się na ciebie. Jakto? mieszkam o wiorstę drogi, byłam twoją nauczycielką, zanim cię oddali w ręce francuzek i angielek, widuję cię prawie codzień, kocham moje maleństwo z całej duszy i przez całe tygodnie nie zdobyłaś się na powiedzenie mi: jestem narzeczoną. Nie męcz mnie przynajmniej teraz dłużej i mów kto on jest?

Stella.

Zgadnij mateczko!

Czeska.

Skoro mię nazywasz mateczką, nie każ zgadywać.

Stella.

Ale ja chcę, żebyś zgadła, żebyś powiedziała mi naturalnie, że ten, a nie kto inny. Nie uwierzysz, jak mi to pochlebi i jak mnie ucieszy.

Czeska.

A więc hrabia Drahomir.

Stella.

Ach!

Czeska.

A zarumieniłaś się? Prawda, że niedawno tu bawi, ale jaki miły, jaki sympatyczny, jaki wesoly! O, moje stare oczy dobrze widzą, i gdym was zobaczyła razem, zaraz pomyślałam sobie: śliczna para! może co z tego będzie.

Stella.

Nic z tego nie będzie, mateczko, bo... pan Karol jest wprawdzie bardzo sympatyczny, ale narzeczoną moim jest pan Jerzy.

Czeska.

Pan Jerzy Pretwic?

Stella.

Tak. Czy to cię dziwi?

Czeska.

Nie moje drogie dziecko. Niech cię Bóg błogosławi — skądżebym się miała dziwić? Tylko, że ja tak lubię hrabiego Drahomira, więc myślałam, że to on...

Pan Jerzy Pretwic!... O, bynajmniej! wcale mu się nie dziwię, że cię pokochał. Ale to także jakoś prędko się stało! Jakże wy dawno się znacie? bo to ja siedząc w swoim Berwinku, nic nie wiem, co się dzieje w okolicy.

Stella.

Od trzech miesięcy. Mój narzeczony odziedziczył tu majątek po Jazłowieckich i przyjechał, jak pani wie, z bardzo daleka. On był blizki krewny Jazłowieckich, a i sam pochodzi ze znakomitej rodziny. Kochana pani słyszała o Pretwicach.

Czeska.

Nic a nic, Stelko. Co mi tam do heraldyki!

Stella.

Niegdyś, ale to już całe wieki temu, Pretwicowie byli i z nami spokrewnieni. To bardzo znakomita rodzina. O! inaczej papo by się nie zgodził... Otóż pan Pretwic przyjechał tu, objął dobra po Jazłowieckich, poznał się z nami i...

Czeska.

I zakochał się w tobie. Na jego miejscu byłabym też samo zrobiła. To go podnosi w moich oczach.

Stella.

Alboż tego potrzebował?

Czeska.

Nie, koteczku drogi — bądź spokojna. Wiesz, że aż śmieję się ze mnie, że zawsze widzę w ludziach

wszystko najlepsze... Z pięknej rodziny, młody, bogaty, przystojny, dobrze wychowany... tylko...

Stella.

Tylko?

Czeska.

Jakieś ptaszki mi śpiewały, bo nawet nie pamiętam, kto mówił, że trochę do burzy podobny.

Stella.

Bo też życie jego było burzą, ale się w niej ten szlachetny człowiek nie złamał.

Czeska.

To tem lepiej. Słuchaj dziecko: tacy ludzie najlepsi, bo to najprawdziwsi mężczyźni. Im więcej się zastanawiam, tem szczerzej ci winszuję.

Stella.

Dzięki i rada jestem, że wreszcie mówiła z tobą otwarcie. Ja tu istotnie jestem bardzo samotna: papo wiecznie niedomaga, naszego doktora od trzech miesięcy w domu niema.

Czeska.

Dajno pokój z waszym doktorem.

Stella.

Zawsze go nie lubisz?

Czeska.

Wiesz, że nie uprzedzam się do ludzi, ale nie mogę się do niego przekonać.

Stella.

A czy wiesz, że ofiarowano mu katedrę w uniwersytecie, a przytem stara się o mandat poselski. Mateczko! doprawdy jesteś niesprawiedliwa, bo on poprostu poświęca się dla nas. Taki sławny, zamożny już i uczony, a jednak siedzi u nas, choć cały świat przed nim otworem. Byłabym się go z pewnością poradziła...

Czeska.

Miłość, Stelluniu, nie choroba... ale mniejsza tam o niego, niech mu Bóg pomaga. Powiedz-no lepiej, kotku, ale tak szczerze, bardzo ty się kochasz?

Stella.

Widzisz przecie, jak prędko wszystko poszło. Prawda, że i pani Miliszewska przyjeżdżała tu ze swoim synem. Wiedziałam, że o mnie idzie; bałam się, choć niepotrzebnie, żeby i papie nie przyszło to do głowy.

Czeska.

Nie odpowiadasz mi na pytanie...

Stella.

Bo jak tu mówić wyraźnie. Życie pana Jerzego, mateczko, to szereg czynów bohaterskich, poświęceń i niebezpieczeństw. Raz już był prawie zgubiony i nie

żyłby dziś, gdyby go nie wyratował hrabia Drahomir. Ale jak też on go kocha za to! Co chcesz? — Znać na moim narzeczonym odległe pustynie, długą samotność i długie cierpienia. Gdy jednak zacznie rozsnuwać przedemną swe życie, doprawdy, zdaje mi się, że kocham bardzo tego żelaznego człowieka. Żebyś wiedziała, jak on nieśmiało, a jednak serdecznie wypowiedział, co czuje dla mnie, a potem dodał, iż wie, że jego ręce zaszorstkie...

Czeska.

Nie zaszorstkie, bo pocziwe. Po tem, co o nim mówisz, całą mu duszą sprzyjam.

Stella.

A jednak, mateczko, mimo tego wszystkiego czuję się czasem bardzo nieszczęśliwą.

Czeska.

I co to jest, Stelko? dlaczego?

Stella.

Dlatego, że chwilami nie możemy się zrozumieć wzajemnie. Uczucia, mateczko, są dwojaki: jedne jak skały potężne i niewzruszone, drugie jak strumień, w którym się przejrzeć można. Otóż, gdy patrzę na uczucia Jerzego, widzę ich ogrom i niewzruszoność, ale dusza moja nie odbija się w nich jak twarz w przejrzystym strumieniu. Ja go kocham, to prawda, ale chwilami zdaje mi się, że jeszcze mocniej kochałbym mogła, że nie kładę wszystkich sił serca w to przywiązanie, i wtedy to czuję się nieszczęśliwą...

Czeska.

Ależ ja bo tego nie rozumiem prawie. Biorę życie poprostu: kocham, lub nie. Ej Stelko! świat jest tak mądrze urządzone, a Bóg tak dobry, że nic łatwiejszego, jak szczęście. Nie trzeba tylko płać spraw Bożych. Cicho, dziecko! Jesteś zakochana aż strach! Co tam!

Stella.

O! właśnie czego mi było potrzeba, to tej ufności w przyszłość, tego twojego optymizmu. Wiedziałam, że się namarszczysz kochana weredyczko i powiesz: co tam. Zaraz mi trzeźwiej i weselej. Boję się tylko trochę naszego doktora. Ale co to? (*patrząc przez okno*) To nasi panowie: pan Jerzy i hrabia Drahomir!

Czeska.

(*patrząc przez okno*) Ślicznie wygląda twój przyszły; ale i hrabia Drahomir także. Dawno on bawi u Jerzego?

Stella.

(*patrząc przez okno*) Od dwóch tygodni. Pan Jerzy prosił go umyślnie... Idą już.

Czeska.

A serduszko tam: puk, puk?...

Stella.

Nie sprzeciwiaj się, niedobra.

SCENA II.

Pani Czeska — Stella — Jerzy Pretwic — hrabia Drahomir z lewą ręką na temblaku — Służący.

Służący.

(otwierając drzwi) Księżniczka jest w salonie!

Stella.

(witając się) Jakos dziś późno, panie Jerzy?

Jerzy.

Prawda: słońce już zachodzi. Ale nie mogliśmy wcześniej. — Czy panie wiedzą, że w sąsiedniej osadzie był pożar? Pojechaliśmy do ognia.

Czeska.

Słyszałyśmy już. Podobno kilkanaście domów spaliło się zupełnie.

Jerzy.

Ogień wszczął się od rana, a ugaszono go dopiero teraz. Koło dwudziestu rodzin jest bez dachu i bez chleba. Spóźniliśmy się tu jeszcze i dlatego, że Karol miał wypadek.

Stella.

(żywo) Prawda! ręka na temblaku; panie Karolu?

Drahomir.

Doprawdy, nic wielkiego. Gdyby nie było większych ran na świecie, odwagę sprzedawanoby na wszystkich targach. Lekkie draśnięcie...

Stella.

Jakże się to stało, panie Jerzy?

Jerzy.

Gdy się to stało, byłem na drugim końcu ulicy i nie mogłem nic zobaczyć z powodu dymu. Mówiono mi tylko, że Karol wskoczył do płonącego domu.

Stella.

Ach, Boże!

Drahomir.

(śmiejąc się) Uważam, że czyn mój zyskuje na odległości.

Czeska.

Więc niech go pan sam opowie.

Drahomir.

Zawołano przy mnie, że w domu, którego zresztą dach zaczynał się dopiero palić, jest jakaś kobieta. Wtedy ja, sądząc, że owa salamandra, nie lękająca się płomieni, jest może jakąś zaczarowaną pięknnością, przez czystą ciekawość wszedłem do środka. Było tam już trochę ciemno od dymu. Patrząc więc, i przekonywam się ostatecznie, że w niczem nie mam szczęścia, bo moja salamandra jest tylko staruszką żydówką, która pakuje w worek pierze darte. Wśród płatków gęsiego puchu wyglądała na co państwo chcecie, ale nie na wróżkę. Krzyczę tedy, że się pali, ona w ciemności bierze mnie widocznie za złodzieja i krzyczy także, czyli — krzyczymy

oboje. Nakoniec widząc, że niema rady, chwytam w objęcia moją salamandrę i wynoszę ją omdlałą ze strachu. nawet nie oknem ale drzwiami.

Jerzy.

Nie dodajesz tylko, że dach runął i że krokiew uderzyła cię w rękę.

Drahomir.

Kiedy tak, zrywam tamy skromności i dodaję jeszcze, że burmistrz miał do mnie mowę. Zdaje mi się, że mówił coś o pomniku, jaki mi mają postawić w rynku. Niech mi jednak panie wierzą, że ogień ugasił Jerzy ze swymi ludźmi. Myślę, że powinni postawić dwa pomniki.

Czeska.

Wiem, że panowie warcieście jeden drugiego.

Stella.

Chwała Bogu, że nic gorszego nie spotkało pana, panie Karolu.

Drahomir.

Spotkało mnie coś bardzo dobrego, bo współczucie pani.

Czeska.

I moje jest dla pana, dlatego, że z panem Jerzym mam na pieńku.

Jerzy.

Za co, droga pani?

Czeska.

Ej, panie Jerzy, panie Jerzy! (*do Stelli i Drahomira*) Idźcie-no państwo do księcia, a my tu rozmówimy się zaraz.

Stella.

Ej, mateczko, widzę, że chcesz balamucić pana Jerzego.

Czeska.

Cicho psotnico! właśnie mi z tobą iść w zawody. Wiedz jednak, moja przyłaszczko, że każda jesień miała przedtem wiosnę. No, idźcie państwo!

Stella.

(*do Drahomira*) Więc chodźmy. Papo jest w ogrodzie i boję się, czy mu znów nie gorzej. Bieda, że tego doktora niema!

SCENA III.

Pani Czeska — Jerzy — później Stella.

Czeska.

Powinnabym lajać pana, panie Jerzy, tak jak wy-lajałam moją dziewczynkę za tajemnicę. Ale Stelka po-wiedziała mi już wszystko, więc mówię tylko: niech was Bóg błogosławi oboje!

Jerzy.

(*całując ją w rękę*) Dziękuję pani!

Czeska.

Wychowałam tę dziecinę od najmniejszego robaczka i dziesięć lat byłam przy niej, więc wiem, jaki skarb pan bierze. Pan miałeś jej powiedzieć, że twoje ręce zaszorstkie. Odpowiedziałam jej zaraz: nie zaszorstkie, bo pocziwe. Stelka to jednak kwiatek bardzo delikatny; trzeba ją bardzo kochać i osłaniać. Ale pan to potrafi — nieprawda?

Jerzy.

Cóż pani odpowiem? Ile jest w mocy ludzkiej dać szczęścia tej świętej dla mnie istocie, tyle go jej chciałbym zapewnić.

Czeska.

Z całej duszy mówię: Boże błogosław.

Jerzy.

Panna Stella uważa panią za matkę, więc i ja będę tak szczerze mówił jak z matką. Życie moje było bardzo trudne. Była chwila, w której życie to zawisło na nitce. Uratował mnie wtedy Karol, którego czczę i kocham jak brata, ale później...

Czeska.

Mówiła mi Stella. Mieszkałeś pan daleko...

Jerzy.

Byłem wśród pustych stepów, pani, więc nawpół dzikim, wśród obcych, więc bardzo samotnym i za krajem utęsknionym i ze szlachetnego rodu ostatnim.

A przytem, dusza dumna, choć bita nieszczęściem, jak młotem, wstydzi się jęknąć i ból w sobie zamyka, a stąd czuje umęczenie wielkie. Doprawdy, czasem nie było koło mnie jednej żywej istoty...

Czeska.

Bóg był, panie, nad gwiazdami.

Jerzy.

O! to co innego. Ale serce rzucone na ziemię, musi kogoś na ziemi kochać i mieć przy sobie. Więc całą tą potrzebą kochania, prosiłem Boga, by mi pozwolił kogoś kochać. Wysłuchał mnie i dał mi ją. Czy mnie pani rozumie teraz?

Czeska.

O, rozumiem.

Jerzy.

Jak szybko zmieniło się wszystko potem. Odziedziczyłem tu majątek i mogłem doń wrócić; potem poznałem księżniczkę i teraz kocham ją, jak spełnioną prośbę modlitwy, jak zapłatę za niedolę, jak moje serdeczne *wszystko* na świecie. O! bądź pani spokojna.

Czeska.

Będę. Doprawdy, że mi się chce płakać. Mój zacny panie Jerzy, bądź dobrej myśli. Pan jesteś wart Stelki i ona będzie z panem szczęśliwa. Moja złota, kochana Stelunia!...

Stella.

(pokazując się we drzwiach ogrodowych i klaszcząc w ręce) Doskonała nowina! doskonała nowina! Doktor ek za chwilę przyjeżdża; już jest we wsi. Papo zaraz spokojniejszy i w lepszym humorze.

Czeska.

A nie trzpiotować mi się i nie biegać zaprędko! Aż cała różowa ze zmęczenia. Gdzie jest książkę?

Stella.

W ogrodzie, pije kawę. Prosi właśnie, abyście państwo tam przyszli.

Jerzy.

Pójdźmy.

Stella.

(idzie naprzód, potem się zatrzymuje) Ale! Proszę nie mówić doktorowi, co się między nami stało... Chcę mu to pierwsza powiedzieć. Papy prosiłam już o tajemnicę *(wychodzą)*.

SCENA IV.

Józłowicz.

(wchodzi przez drzwi główne) Janie! rzeczy moje na górę, a paczkę, którą zostawiłem w przedsiionku, odesłać umyślnym do pana Antoniego, sekretarza rady powiatowej.

Służący.

(kłaniając się) Słucham pana doktora! *(wychodzi)*.

Józwowicz.

(posuwając się naprzód sceny) Nakoniec!... po trzech miesiącach niebytności... Jak tu zawsze cicho i spokojnie... Za chwilę powitam ich jako przyszły poseł... Sześć lat rzucałem w tę dzielącą nas przepaść pracę żelazną, nocy bezsenne, naukę, sławę, a teraz... zobaczymy. *(podchodzi ku drzwiom ogrodu)* Otóż idą już — nie zmieniła się nic.

SCENA V.

(Przez drzwi ogrodowe wchodzi Stella, pani Czeska, obok nich Jerzy, za nimi Drahomir pod rękę z księciem Starogrodzkim).

Stella.

A! nasz doktor! nasz kochany doktorek! Jak się pan ma, panie Stanisławie? Stęskniliśmy się już do pana.

Czeska.

(kłaniając się chłodno) Szczególniej ksiązę...

Józwowicz.

(całując rękę Stelli) Dobry wieczór, księżniczko! I mnie pilno było już wrócić. Przybywam na dłuższy czas odpocząć trochę. A! i ksiązę! Jakże tam ze zdrowiem?

Ksiązę.

(ściskając go) Kochany chłopcze! Słabym, słabym! Doskonałeś zrobił, żeś przyjechał. Obaczysz sam zaraz, co się ze mną dzieje.

Józwowicz.

Teraz może książę zechce poznać mnie z resztą towarzystwa.

Książę.

A prawda. Doktor Józwowicz, minister moich spraw wewnętrznych? Dobrze powiedziałem — co? bo przecie pilnujesz mego zdrowia. Hrabia Karol Drahomir.

Drahomir.

Nazwisko pana już dziś nie obce nikomu, więc właściwie, ja tylko powinienbym się przedstawić.

Józwowicz.

Panie...

Książę.

(przedstawiając) Pan Jerzy Pretwic, nasz sąsiad. I... *(Stella daje znak ojcu)* i tego... chciałem powiedzieć, i tego...

Jerzy.

Jeśli się nie mylę, i kolega pański ze szkół.

Józwowicz.

Nie chciałem przypominać się pierwszy.

Jerzy.

Witam więc serdecznie dawnego kolegę. Dawne to i czasy, ale żyliśmy blisko. Prawdziwie, szczerze się cieszę, zwłaszcza po tem, co tu o panu słyszałem.

Drahomir.

Jako o dobrym duchu tego domu.

Stella.

O, tak!

Księżę.

Czekajcie, niechno ja swoje o nim powiem.

Jerzy.

Ileżto razy pierwszy uczeń Józwowicz odrabiał zadania za Pretwica.

Józwowicz.

Szczęśliwą pan ma pamięć!

Jerzy.

Szczęśliwą, kolego, bo pamiętam także, że wówczas nie mówiliśmy sobie wzajemnie: pan. Więc jeszcze raz: witam cię serdecznie Stanisławie.

Józwowicz.

Nawzajem.

Jerzy.

Ale pamiętam, że po skończeniu szkół poszedłeś na prawnika.

Józwowicz.

Potem zostałem także doktorem medycyny.

Książę.

No, siadajcie. Czy będziecie stali? Jan! sam tu! światła!

Stella.

Jakto dobrze, że panowie się znają.

Józwowicz.

Szkolna ława, jak bieda, łączy ludzi. Ale potem pozycya ich rozdziela. Jerzy miał świetny los zapewniony, ja zaś musiałem go szukać.

Książę.

A szukał i on, ale guzów.

Drahomir.

W dwóch częściach świata.

Czeska.

To prawdziwie po mężku.

Józwowicz.

Ha! szedł za swym instynktem. Jeszcze w szkołach ujeżdżał konie, strzelał, rąbał się.

Jerzy.

Lepiej, niż uczył?...

Józwowicz.

(śmiejąc się) Tak!... Zwaliśmy go hetmanem, bo też i hetmanił nam w naszych wojnach studenckich.

Drahomir.

Jerzy, poznaję cię...

Czeska.

Ale teraz myślę, że przestanie wojować.

Stella.

Kto wie?...

Jerzy.

Niezawodnie, pani.

Józwowicz.

Co do mnie, byłem najgorszym z jego szeregowych: nie czułem nigdy smaku w takich rozrywkach.

Książę.

Bo też to rozrywki szlacheckie, nie doktorskie.

Józwowicz.

(wesolo) Już zaczynamy się klócić! Mój książę, wy się szczycicie, że wasi przodkowie-rycerze zabijali tłumy ludzi: a żeby książę wiedział, ilu ja już mojemu lekarstwami zabiłem! Zaręczam, że żaden z przodków waszej książęcej mości nie poszczyci się taką liczbą!

Drahomir.

Brawo! doskonale!

Książę.

Co ten niegodziwiec gada! i on jest moim doktorem!

Stella.

Papo! doktorek żartuje.

Książę.

Już ja mu dziękuję za takie żarty. Ale świat się teraz przewraca, to pewna.

Józwowicz.

E, książę! pożyczmy jeszcze ze sto lat! *(do Jerzego)* Pójdź, opowiedz mi, co się z tobą działo. Państwo już znają pewno twoje przygody, a dla mnie one nowe *(odchodzą ku oknu)*.

Książę.

Nie uwierzycie, jakim ja nieszczęśliwy, że się bez tego niegodziwca obejść nie mogę. To syn kowala ze Stanisławowa. Oddawałem go do szkół, bom chciał zrobić z niego oficjalistę, a potem on sam oddał się do uniwersytetu...

Drahomir.

I jest podwójnym doktorem. Rozumny człowiek, dość spojrzeć...

Stella.

Ach! i jaki.

Czeska.

Taki rozumny, że aż się go boję.

Drahomir.

Ale książę musi być rad?

Książę.

Rad, rad!... W głowie mu przewrócili, zrobili z niego jakiegoś demokratę czy sankiulota. Tylko, że

dobry doktor, a jam słaby. Brak mi soków w żołądku
(do *Drahomira*) Wiedziałeś o tem?

Drahomir.

Dawniej już ksiązę skarżył się...

Czeska.

Od dwudziestu lat.

Książę.

Moja Czesiu!.. A to zgryzoty i służba publiczna
stargały mi zdrowie.

Czeska.

Co tam! ksiązę zdrów.

Książę.

(*gniewliwie*) Powiadam żem chory. Stelka! jam
chory — co?

Stella.

Teraz papie będzie natychmiast lepiej.

Książę.

Bo też on jeden utrzymuje mnie na nogach. Stella
także byłaby umarła na serce, gdyby nie on.

Drahomir.

Jeśli tak, to to człowiek bez ceny.

Stella.

O! winniśmy mu wieczną wdzięczność.

Książę.

(przypatrując się Jerzemu) On i Pretwicowi będzie potrzebny. Stelka — co? będzie potrzebny?

Stella.

(ze śmiechem) Papo, skądże ja mogę wiedzieć?

Drahomir.

Doprawdy, zazdroścę nieraz tym żelaznym ludziom, idącym w świat przebojem. W tej walce wyrażają w sobie siłę, która w nas słabnie i zanika, bo nic jej nigdy nie podsyca. Może i my jesteśmy z dość szlachetnego metalu, ale nas przetrawia rdza: oni hartują się w życiu. Jest-to smutna konieczność.

Czeska.

A pan Jerzy?

Drahomir.

Jerzy także przeszedł wiele. Jest jednak między nimi jakaś różnica, którą się czuje, choć określić jej trudno. Spójrzycie państwo na tych dwóch ludzi. Gdy wichry wieją, Jerzy opiera się im jak stuletnie drzewo, a taki człowiek jak doktor opanowuje je i każe im popychać łódź swoją. Jest w tem jakaś większa zdolność do życia, więc i wynik łatwy do przewidzenia, o ile drzewo, choć silne, im starsze, im bardziej burzami starzane, tem musi uschnąć prędzej.

Książę.

Nieraz mówiłem, że schniemy jak stare drzewa. Jakaś tam inna gęstwina wyrasta, ale to tylko krzaki. Jam też już wysechl i schudł przynajmniej na trzy palce.

Stella.

Kto jest dobry, panie Karolu, ten ma prawo do życia; zatem — nie należy wątpić o sobie.

Drahomir.

Ja też nie wątpię, choćby dlatego, że poeta mówi: Świętym jest na ziemi, kto umiał zawrzeć przyjaźń... (*klaniając się Stelli*) ze świętymi.

Stella.

(*grożąc*) Jeśli nie zdobył ich przyjaźni przez po-chlebstwa.

Drahomir.

Niech mi tylko będzie wolno nie zazdrościć do-ktorowi.

Stella.

Przyjaźń nie jest wyłączną, a choć doktora uwa-żam jak brata...

Książę.

Co, Stelka! co ty pleciesz? On taki twój brat, jak ja radykał. Ja go niecierpię, tylko się obejść bez niego nie mogę.

Czeska.

Gdzieżtam książę kogo nie cierpi!

Drahomir.

(*z uśmiechem*) I za cóżby!

Książę.

Za co? Czyż nie mówiłem? Robi z nami co chce, rozporządza się w całym domu jak chce. Nie wierzy w nic, tylko w jakichś tam — w kogo to Stelka — co? A ambitne to przytem jak lichy. Już został profesorem akademii jakby jaki duchowny, a przytem stara się podobno o mandat poselski. He! słyszycie? On będzie posłem, zatem Jaśnie Wielmożnym! ale nie byłbym Starogrodzkim, gdybym na to pozwolił. *(głośno)* Józwowicz!

Józwowicz.

(s pod okna) Co książę rozkaże?

Książę.

Czy to prawda, że ty się starasz o mandat?

Józwowicz.

Do usług księcia.

Książę.

Pani Czeska? słyszałaś pani? Nie przewracaż się teraz świat? — He! Józwowicz!

Józwowicz.

Co, książę?

Książę.

A może ty jeszcze ministrem zostaniesz?

Józwowicz.

Może.

Książę.

Słyszeliście? i ty może myślisz, że ja tobie będę mówił: Jego Ekselencya?

Józwowicz.

Takby wypadalo: wyższy stopień trzeba uczcić.

Książę.

Biorę was na świadki. Józwowicz! czy chcesz żeby mnie żółć zalala?

Józwowicz.

Niech się książę uspokoi. Moja Ekselencya zawsze będzie pilnować Jego oświeconej żółci.

Książę.

A prawda. Irytacja mnie szkodzi. Co — Józwowicz? Szkodzi?

Józwowicz.

Szkodzi na żółć, ale daje apetyt. *(obaj z Jerzym zbliżają się do rozmawiających).*

Stella.

O czemże panowie mówili?

Józwowicz.

Słuchałem, księżniczko, opowiadań Jerzego. Dziwne, straszne rzeczy! Jerzy popełnił tę omyłkę, że przyszedł na świat o dwieście lat zapóźno: Bayardom źle się teraz dzieje na świecie.

Czeska.

Nad wszystkimi jest opatrność!

Drahomir.

I ja w to wierzę.

Józwowicz.

Gdybym był matematykiem, nie przecząc panu, powiedziałbym tylko, że ponieważ w wielu wypadkach nie wiadomo, czemu się równa X., należy sobie samemu radzić.

Księżę.

Co on powiada?

Stella.

O, doktorku! proszę nie mówić tak sceptycznie, bo nie z papą, ale ze mną będzie wojna.

Józwowicz.

Mój sceptycyzm tam się kończy, gdzie zaczynają się słowa pani — więc zdaję się na łaskę.

Stella.

Jaki grzeczny... pan poseł.

S C E N A VI.

Ciż — Służący.

Służący.

Herbata na stole!

Jerzy.

Ja księztwa muszę pożegnać.

Stella.

Jakto? Zawsze musimy pierwsi przypominać, że już późno, a dziś pan tak wcześnie nas opuszcza.

Józwowicz.

(*n. s.*) Dawny kolega na poufalej tu stopie.

Jerzy.

Wybacz, pani! Mnie tu tak dobrze, jak nigdzie, ale dziś koniecznie muszę być w domu. Zresztą zostawiam Drahomira, by mnie zastąpił.

Stella.

Gniewać się, byłoby to wbijać pana w zarozumiałość; proszę się jednak wytłómaczyć.

Jerzy.

Pogorzelcy, pani, są u mnie. Muszę rozporządzić, by mieli co jeść i gdzie się przespać.

Czeska.

(*n. s.*) Umie się zrzec przyjemności dla obowiązku.
(*głośno*) Stelko!

Stella.

Słucham, mateczko!

Czeska.

My jutro zajmiemy się składką dla nich i zawieziemy im trochę odzieży.

Józwowicz.

A więc i ja pojedę z paniami. Będzie to pierwszy wypadek, że nie nędza doktora, ale doktor nędzy poszuka.

Czeska.

Doskonale!

Księżę.

(stukając laską) Pretwic!

Jerzy.

Co księżę rozkaże?

Księżę.

Mówisz, że ta hołota bardzo biedna?

Jerzy.

Bardzo biedna.

Księżę.

Mówisz, że będą marli z głodu — co?

Jerzy.

Prawie, księżę.

Księżę.

Dobrze im tak. To Bóg karze ich za to, że wybierają na posłów *(pokazując na Józwowicza)* takich — ot!

Józwowicz.

(z ukłonem) Jeszcze mnie nie wybrali.

Stella.

Papo!

Książę.

Stelka, co ja chciałem mówić? Aha! Pretwic!

Jerzy.

Słucham księcia.

Książę.

Powiedziałeś, że będą marli z głodu?

Jerzy.

Powiedziałem: prawie.

Książę.

Dobrze! Idźże do kasyera Florkiewicza, żeby dał tysiąc reńskich dla tej hołoty. (*stuka laską*) Niech wiedzą, że ja nie pozwalam obok mnie nikomu umierać z głodu.

Stella.

Drogi, kochany ojczel!

Drahomir.

Wiedziałem, że się tak skończy.

Józwowicz.

Istotnie, to po książęcemu!

Książę.

A tak, panie Józwowicz. *Noblesse oblige!* Rozumiesz Jego Ekscelencyo, panie Józwowicz?

Józwowicz.

Rozumiem, Jaśnie Oświecony książę.

Książę.

(podając rękę pani Czeskiej). A teraz chodźmy na herbatę *(Jerzy żegna się i odchodzi).*

Józwowicz.

Ja także muszę państwa pożegnać. Jestem zmęczony, a przytem mam napisać kilka listów.

Książę.

Dalibóg, myślałby kto, że już został ministrem. A przyjdź-że jeszcze zobaczyć mnie, bo bez ciebie nie usnę.

Józwowicz.

Przyjdę, książę.

Książę.

(mrucząc) Człowiek zaraz zdrowszy i weselszy, jak tylko ten Robespierre przyjechał.

Stella.

Panie Stanisławie, niech się pan zatrzyma jeszcze chwilkę. Ja nie piję herbaty, więc tylko papę posadzę i zaraz powrócę. Mam z panem pomówić.

Józwowicz.

Na usługi księżniczki.

SCENA VII.

Józwowicz sam — potem Stella.

Józwowicz.

Co tu robią ci ludzie, i co ona chce mi powiedzieć? Czyżby... Ale nie! To niemożliwe. Jestem jakiś niespokojny, ale przecie za chwilę wszystko się wyjaśni... Ach, jakież ze mnie głupiec! Ona chce po prostu opowiedzieć, co wie o zdrowiu księcia. To ten księży-cowy wieczór tak mnie rozstraja, że mi tylko wziąć gitarę w rękę.

Stella.

(wchodząc) Panie Stanisławie!

Józwowicz.

Jestem tu księżniczko!

Stella.

Staralam się, żeby pan długo nie czekał. Siadę tu koło pana i pogadamy, tak jak to dawniej, gdy byłem mała jeszcze i słaba, a pan mnie leczył. Pamiętam, że nieraz zdarzało mi się usnąć, a pan mnie na rękę odnosił śpiącą.

Józwowicz.

Pieszczota całego domu była bardzo słaba wówczas.

Stella.

A dziś, jeśli jest zdrowa, to dzięki panu tylko; jeśli coś umie, to również dzięki panu. Jestem sobie rośliną wypielegnowaną ręką pana.

Józwowicz.

Zatem i zasługą i chlubą moją największą. W życiu jakie pędziłem, mało bywało chwil cichych i ciepłych — a spokoju znalazłem w tym domu tylko.

Stella.

Zawsze pan równie dobry — więc też i ja uważam pana jakby starszego brata. Przecie pan się o to nie gniewa?

Józwowicz.

Takie słowa pani, to jedyny uśmiech mego życia. Ja panią nietylko czczę, ale i kocham bardzo głęboko — jak siostrę, jak dziecko własne.

Stella.

Dziękuję. W niczyj rozum i prawość nie ufam tyle, ile w pana, i dlatego chciałam pomówić o ważnych rzeczach. Spodziewam się nawet, że to co powiem, ucieszy pana, jak i mnie cieszy, że pan wynosi się coraz wyżej nad zwyczajnych ludzi. Czy to już pewne, że pan ma zostać posłem?

Józwowicz.

(niespokojnie) Nie! to tylko prawdopodobne. Ale mów pani o tem co jej dotyczy.

Stella.

Więc... Ach, Boże!... Pan jednak nie opuści papy: prawda?

Józwowicz.

(oddychając głęboko) O! pani chce mówić o zdrowiu księcia.

Stella.

Nie. Wiem, że papo ma się teraz lepiej. Doprawdy, nie spodziewałam się, że to tak trudno... Boję się trochę pańskich surowych sądów o ludziach.

Józwowicz.

(z przymusowym spokojem) Nie bierz jednak pani na tortury mojej ciekawości!

Stella.

A więc zamknę oczy i powiem, choć to żadnej pannie nie łatwo. Pan zna oddawna pana Jerzego?

Józwowicz.

(coraz niespokojniej) Znam, pani.

Stella.

Jak on się panu podoba?

Józwowicz.

Co pani zależy na mojem zdaniu?

Stella.

To... to mój narzeczony.

Józwowicz.

(wstając) Narzeczony?...

Stella.

Mój Boże! Więc się panu nie podoba mój wybór?
(chwilą milczenia).

Panie Stanisławie...

Józłowicz.

Chwilę tylko... chwilę... Wybór pani, jeśli wyszedł z jej serca i woli, musi być dobry... Tylko... była to dla mnie wiadomość... niespodziana — więc... przyjąłem ją może za żywo — zbyt żywo. Ale nie mogłem jej przyjąć obojętnie, przez życzliwość dla... domu państwa. Zresztą moje zdanie nic tu nie znaczy. Owszem — winszuję pani i życzę szczęścia — księżniczko. Życzę szczęścia, serdecznie życzę szczęścia.

Stella.

Będę teraz spokojniejsza: dziękuję panu.

Józłowicz.

Wróć pani do papy. Szczęście jakie spadło na dom księżęcy, i mnie trochę zbiło z nóg, bo spadło zbyt niespodzianie. Potrzebuję ochłonąć — potrzebuję oswoić się z tą myślą. W każdym razie winszuję wyborcu — wróć pani do papy.

Stella.

Dobranoc panu. (*We drzwiach zatrzymuje się chwilę, patrzy na Józłowicza niespokojnie i wychodzi.*)

SCENA VIII

Józłowicz.

(*sam*) Zapóźno! zapóźno!..

(*Zasłona spada.*)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia ten sam salon.

SCENA I.

Józwowicz. Antoni.

Józwowicz.

Tutaj, Antoni, tutaj. Będziem się tu mogli rozmówić swobodnie, bo mój pokój odnawiają. Co przynosisz z miasta ?

Antoni.

Dobre nowiny. Za godzinę przybędzie tu deputacya wyborców. Trzeba żebyś im co powiedział — rozumiesz ?... Tak coś o oświacie, drogach, mostach, niesłusznych podatkach od soli i mlewa. Ale przecie ty to wiesz lepiej odemnie.

Józwowicz.

Wiem, wiem; a jak tam mój program ?

Antoni.

Wrażenie ogromne — winszuję ci. Rzecz napisana z chłodem, powagą i naukową ścisłością. Cyfry choć

kłują w oczy, nie znoszą repliki. Dzienniki konserwatywne wściekają się — tembardziej, że nie pozostaje im nic innego, jak plwać.

Józwowicz.

To dobrze. Co dalej?

Antoni.

Przed trzema dniami byłeś jednak na przedmieściu zachwiany, ale dowiedziałem się o tem, zebrałem wyborców i palnąłem mówkę: „Obywatele! — powiadam w końcu — na wszystkie wasze i społeczne biedy, znam tylko jedno lekarstwo: zowie się Józwowicz! Niech żyje postęp!” — Uciałem także trochę konserwatystów, ale umiarkowanie: nazwałem ich tylko pasibrzuchami...

Józwowicz.

Nie można powiedzieć — jak na ciebie, było to umiarkowanie. Ty jesteś dzielny człowiek, Antoni. Jest więc nadzieja zwycięstwa?

Antoni.

Prawie pewna. Zresztą, czy teraz zwyciężymy, czy nie — przyszłość przed nami. A wiesz dlaczego? bo pominąwszy wszystkie wrzaski wyborcze, my jednak, zszedłszy się tu we dwóch i mówiąc o naszych sprawach, nie potrzebujemy sobie parskać śmiechem w oczy jak rzymscy augurowie. Postęp i prawda są po naszej stronie, a każdy dzień robi nową szczyrbę w tym zbutwiałym murze, który kopujemy. My tylko pomagamy wiekom, więc musimy zwyciężyć. Mówię chłodno:

ten lud nasz, ci nasi wyborcy, to jeszcze owce, ale my chcemy z owiec ludzi zrobić i w tem nasza siła. Przeciwny obóz będzie wyl, wściekał się, obrzucał nas błotem, podkopywał, czernił, ale i my mamy ostre zęby. Po naszej stronie słusność, inteligencya, nauka — po ich herby, które myszy jedzą. Co do mnie, gdybym nie czuł, że w zasadach moich leży prawda i postęp, pierwszy olunąłbym na wszystko i poszedł do klasztoru.

Józwowicz.

A jednak jeśli teraz nie wygramy, to będzie fatalne, Antoni.

Antoni.

Jestem pewny, że pobijemy. Między nimi tam popłoch, jakby już po klęsce! Tyś straszny dla nich kandydat! Ale jeden tylko współzawodnik niebezpieczny: Husarski, szlachcic bogaty i popularny. Drugi, Miliszewski, to dla ciebie korzyść. Rozdzielili się tylko stawiając jego kandydaturę. Sam też im to trochę podszeptałem.

Józwowicz.

Raz dostawszy się do sejmu, postaram się o wpływ.

Antoni.

I zagarniesz go. Wierzę, i dlatego nie żałuję pracy. Cha! cha! „Zabrali nam już wszystko — mówił wczoraj w klubie hrabia Hornicki — znaczenie, pieniądze, nawet dobre maniery.* No, ja tam przynajmniej nie zabrałem im dobrych manier. Niech ich tam dyabli wezmą!

Józwowicz.

Istotnie. Dobrych manier im nie zabrałeś.

Antoni.

Ale! mówią w mieście, że twój książę dał tysiąc reńskich na pogorzalców. To może sprawić złe wrażenie dla nas. Trzeba, żebyś i ty co zrobił.

Józwowicz.

Zrobiłem co należało.

Antoni.

A teraz powiem ci jeszcze... Uważaj no, Józwowicz. Wczoraj więc... Ale cóż to jest u licha? ja mówię, a ty myślisz o czem innem.

Józwowicz.

Wybacz. Dotknęło mnie wielkie nieszczęście osobiste. Nie mogę tak swobodnie myśleć jak zwykle.

Antoni.

Cóż znowu?

Józwowicz.

Nie zrozumiałbyś, Antoni!

Antoni.

Proszę cię! jestem furmanem wozu, na którym jedziesz. Powinienem wiedzieć o wszystkim.

Józwowicz.

Nie. Nic ci na tem nie zależy.

Antoni.

Ale zależy na twojej energii, którą zdajesz się tracić. Nie potrzebujemy Hamletów.

Józwowicz.

(ponuro) Mylisz się, Antoni. Nie dałem za wygraną.

Antoni.

Widzę. Zęby jakoś ściskasz mówiąc o tem. Zresztą niech mnie powiesz, jeśli w twoim charakterze leży dawać za wygrane.

Józwowicz.

Może być że nie. Pracuj bym został posłem ...
Dwie gry przegram, jeśli ty przegrasz.

Antoni.

Musieli ci dyabło przypiec, bo strasznie syczysz.

Józwowicz.

Stara historia. Chłop sześć lat nie sypiał, nie jadał, ręce okrwawił, grzbiet zgarbił, a nosił deski na chałupę; po sześciu latach przyszedł pan, kopnął nogą w chałupę i powiedział: tu stanie mój zamek. Jesteśmy dość sceptyczni, żeby się śmiać z tego.

Antoni.

To był prawdziwy pan!

Józwowicz.

Pan z panów: z głową tak wyniosłą, że i nie zauważył, co mu tam pod nogą pękło.

Antoni.

To historia w moim guście. Cóż chłop?

Józłowicz.

Wedle starej tradycyi chłopskiej, myśli o hubce i krzesiwie.

Antoni.

Królewska myśl! Doprawdy zbyt pogardzamy tradycją. Są w niej rzeczy bardzo zdrowe.

Józłowicz.

Dość. Mówmy o czem innym.

Antoni.

(rozglądając się dokoła) Stary dom i okazały? Coby to była za chałupa!

Józłowicz.

O czem mówisz?

Antoni.

O niczem. Józłowicz! czy stary książę ma córkę?

Józłowicz.

Tak. Alboż co?

Antoni.

(śmiejąc się) Hi, hi! Dalibóg, od twego nieszczęścia i twej historii zaleciało mnie damskimi perfumami. Zwietryłem tu jakąś książęcą spódnickę. Poza posłem jest Józłowicz, jak poza frakiem szlafrok. Witajże mi w szlafroku, zakochany pośle! Ach, jak tu pachną perfumy!

Józwowicz.

Sprzedaj na innym targu twoją domyślność. To sprawa osobista.

Antoni.

Albo i nie, bo to znaczy, że ty w sprawy ogólne kładziesz tylko pół duszy. To się na licho zdało. Patrz na mnie: szczują mnie jak psa po dziennikach, wyszydzają w komedjach, a ja o to nie dbam. Powiem ci więcej! czuję, że pozostanę zawsze na dole, choć nie brak mi sił ani inteligencji. Mógłbym pokusić się o pierwsze miejsce w obozie, o buławę, a jednak tego nie robię. Dlaczego? bo znam siebie na wylot, bo wiem, że nie mam statku, powagi, taktu. Byłem i jestem świszczypalką, narzędziem, którem się posługują tacy jak ty, a które jutro może nogą kopną, gdy im przestanie być potrzebne. Ale miłość własna mnie nie zaślepia; o siebie nie dbam; pracuję dla moich przekonań i kwita. Z urzędu wypędzą mnie lada dzień, w domu u mnie często bieda, a choć kocham żonę i moje pędraki, mniejsza o wszystko. Gdy idzie gra, niech idzie, a gdy sprawa przekonań, będę dla niej żył, agitował, burzył. Jam w to włożył całą duszę. A tobie staje w drodze jedna książęca spódniczka! Nie spodziewałem się tego po tobie, Józwowicz. Tfu! pluń na wszystko i chodź z nami.

Józwowicz.

Mylisz się, Brutusie. Nie pragnę męczeństwa, ale zwycięstwa; im zaś więcej węzłów osobistych łączy mnie ze sprawą, tem gorliwiej będę jej służył: umysłem, sercem, czynem, wszystkim co składa człowieka—nie rozumiesz?

Antoni.

Amen! Oczy mu błyszczą jak wilkowi. Poznają cię.

Józłowicz.

Czego chcesz więcej!

Antoni.

E! już niczego. Powiem ci tylko, że nasz program mówi: bij przeciwne zasady, nie ludzi.

Józłowicz.

Niechże twa dziewicza cnota się uspokoi: nie otruje nikogo.

Antoni.

Wierzę. Jednakowoż, jeszcze ci coś powiem: znam cię dobrze, cenię twoją energię, twoją naukę, twój rozum, ale — nie chciałbym ci stanąć na drodze.

Józłowicz.

Tem lepiej dla mnie.

Antoni.

Zresztą jeśli chodzi o panków, to mimo naszego programu, daruję ci ich. — Głów im przecie nie poruwasz.

Józłowicz.

Zapewne. Teraz wracaj i pracuj dla mnie, a raczej dla nas.

Antoni.

Dla nas, Józłowicz. Nie zapominaj o tem.

Józwowicz.

Bez przysięg nie zapomnę.

Antoni.

Więc jakże sobie tu z pankiem poradzisz?

Józwowicz.

Czy wymagasz zwierzeń?

Antoni.

Najprzód nie potrzebuję ich, bo w naszym obozie jest się dosyć domyślnym. Chodzi o córkę księcia i kwita. Ale mnie ciągle wraca myśl, że ty dla niej możebyś i sprawę poświęcił. Pracując dla ciebie, odpowiadam za ciebie, więc bądźmy szczerzy.

Józwowicz.

Bądźmy szczerzy.

Antoni.

Zatem powiedziałaś sobie: wysadzę z siodła pan-ka — i wysadź go. To twoja rzecz, ale ja jeszcze raz pytam: dla nas czy dla księżniczki chcesz zostać po-słem? — to znowu moja rzecz!

Józwowicz.

Kładę ci kartę na stół. Ja, ty i my wszyscy nowi ludzie, mamy to do siebie, żeśmy nie lalki wycięte z pa-pieru i pomalowane jedną farbą. Jest w nas miejsce na przekonania, na miłość, na nienawiść, słowem, jak ci już mówiłem: na wszystko z czego się składa człowiek zupełny. Natura dała mi serce i prawo do życia, więc

pragnę szczęścia; dała mi umysł — więc służę wybranej idei. Co to jedno drugiemu przeszkadza? Czemu księżniczkę przeciwstawiasz sprawie — ty człowiek trzeźwy i rozumny? — czemu frazesem chcesz zastąpić życie? Mam prawo do szczęścia i zdobędę je i będę umiał pogodzić życie z ideą, jak żagiel z okrętem. Tem pewniej popłynę. Zrozumiej mnie. W tem siła nasza, że umiemy pogodzić, i wyższość nad nimi — bo oni właśnie nie umieją żyć. Ile będę wart bez tej kobiety — nie wiem. Nazwałeś mnie Hamletem. Możebym nim został, ale wy nie potrzebujecie Hamletów.

Antoni.

W głowie przewracasz mi jak w młynie i zdaje mi się znowu, że masz słuszność. Jednakowoż dwie walki będziesz prowadził zamiast jednej i siły rozproszysz.

Józwowicz.

Nie! — siły mam dosyć.

Antoni.

Powiedz krótko: ona jest narzeczoną?

Józwowicz.

Tak.

Antoni.

I kocha narzeczonego?

Józwowicz.

Albo się ludzi.

Antoni.

W każdym razie nie kocha ciebie.

Józwowicz.

Jego naprzód muszę usunąć. — Tymczasem, ty leć i pracuj.

Antoni.

(*patrząc na zegarek*) Za chwilę przybędzie do ciebie deputacya.

Józwowicz.

Dobrze. Księżę tu idzie z hrabiną Miliszewską i jej synem, moim współzawodnikiem. Chodźmy.

S C E N A II.

Księżę — Stella — Pani Czeska — Hrabina Miliszewska — Jan Miliszewski — Podczaski — Hrabina.

Hrabina.

Więc mówię księciu, że taka rzecz w głowie się prawie nie chce pomieścić. Świat teraz chyba dziczeje zupełnie.

Księżę.

Ja przecie to samo mówię, pani hrabino. Stella? czy ja tego nie mówię?

Stella.

O! bardzo często.

Hrabina.

(*z cicha do syna*) Siadaj koło księżniczki i baw ją. Jean, puszczaj się!

Jan.

Puszczę, maman!

Hrabina.

Ale to zuchwalstwo przeszło już miarę. Posłałam pana Podczaskiego do wyborców, a oni mówią: „nie potrzebujemy posłów bez głowy“. Dziwi mnie tylko, że to i księcia nie oburza. Do czego to doszło i do czego dojdzie. Ja tu latam, biegam, kręcę się jak muszka, poruszam niebo modłami, a oni śmiają stawiać przeciw kandydaturze mego syna, kandydaturę jakiegoś pana Józwowicza!

Księżę.

Łaskawa pani, co ja mogę na to poradzić?

Hrabina.

I kto jest ten, ten pan Józwowicz? — doktor! Cóż to jest doktor? Jean ma wpływy, znaczenie, stosunki, koligacje; a on co? Skąd się tu wziął, kto o nim kiedy słyszał! Doprawdy nie mogę mówić spokojnie i myśleć, że to chyba koniec świata się zbliża. Nieprawda panie Podczaski?

Podczaski.

(z ukłonem) Tak jest, pani hrabino dobrodziko! Gniew boży!.. nigdy tak często nie grzmiało.

Księżę.

Grzmiało? pani Czeska — co? grzmiało?

Czeska.

Zwyczajnie, jak z końcem wiosny. Co tam!

Hrabina.

(pocichu) Jean, puszczaj się!

Jan.

Puszczam się, maman.

Hrabina.

Zobaczy księżę, że oni Janka nie obiorą posłem jedynie przez nienawiść dla nas, na złość nam. Bo zresztą, czy to Jean nie potrafilby być posłem? czy to on nie skończył nauk w Metz? Mówią, że nie zna kraju i nie rozumie jakichś tam potrzeb. Tu przedewszystkiem trzeba nie pozwolić, by tacy Józwowicze znaczyli coś w kraju. Prawda, mój księżę?

Księżę.

Nie pozwólże mu pani, kiedy on sobie sam pozwoli.

Hrabina.

I otóż właśnie koniec świata, że tacy ludzie mogą sobie pozwalać, co im się podoba. Śmiać mówić, że Jean nie potrafilby być posłem, a pan Józwowicz potrafi. Jean zawsze celował w naukach w Metz. Jean! wszakże celowałeś w naukach i talentach?

Jan.

Celowałem, maman!

Podczaski.

Koniec świata! Święte słowa pani hrabiny.

Stella.

Czemuż pan poświęcał się szczególnie?

Jan.

Ja pani, studyowałem historią herezyi.

Książę.

Studyował kogo, pani Czeska — co?

Hrabina.

Dotychczas nie miewaliśmy między sobą talentów, co oni nam ciągle wyrzucali, a przecie do dyplomacyi potrzeba niemałego talentu.

Podczaski.

Pan hrabia ma nawet i imię dyplomaty.

Książę.

(*n. s.*) No, dalibóg — niebardzo!

Czeska.

Pan hrabia jest małomówny i poważny.

Jan.

Nie pani. Czasem dosyć mówię.

Hrabina.

Co do mnie z góry zapowiadam, że jeśli Janek się nie utrzyma, wyjeżdżam z kraju.

Podczaski.

I sami sobie winę przypiszą.

Hrabina.

Ale jeśli Janek się nie utrzyma, to będzie księcia wina.

Książę.

Moja?

Hrabina.

Jak księżę może pozwolić takiemu panu Józwowiczowi, by współzawodniczył z osobami z towarzystwa? Jak księżę może go trzymać?

Księżę.

Już to co prawda, to nie ja jego, ale on mnie trzyma, bo gdyby nie on, to jabym już dawno (*robi znak ręką*).

Hrabina.

Tembardziej. Więc on księciu w domu potrzebny, a jak będzie siedział w mieście, kto będzie księcia doglądał?

Księżę.

A prawda, Stelka? a prawda?

Hrabina.

Księżę musi mu zakazać. Nie puszcze księcia, póki mi nie przyrzeknie, że mu zakaze. To niesłychana rzecz! Księżę ma przecie prawo, on jest u księcia, księżę go wychował, więc ma nad nim władzę.

Stella.

Droga pani, doktor jest przyjacielem papy. Papa może go tylko prosić, ale i to nie wiem, czy byłoby skuteczne.

Hrabina.

(*s gniewem*) Do tego więc doszło? Więc księżę będzie go popierał, więc zostanie narzędziem w jego rękę i przez niego będzie służył demokracji?

Księżę.

Co? ja służyć demokracji? Stelka — słyszysz? ja służyć demokracji? (*stuka laską*).

Hrabina.

Tak wszyscy powiedzą. Pan Józwowicz jest kandydatem demokracji.

Księżę.

Ale ja nie jestem i kiedy tak, to i jemu nie pozwolę. Mam już tego dosyć, niechże się raz skończy. Już mi te demokracje pana Józwowicza ością stanęły. Niech nie mówią, że jestem narzędziem demokracji! (*dawoni, wchodzi służący*) Prosić tu doktora natychmiast.

Hrabina.

Otóż teraz księżę jest prawdziwym księciem.

Księżę.

Ja służę demokracji!

Stella.

Papo! papo!

Hrabina.

A my tymczasem pożegnamy księcia. Jean zabieraj się. Adieu droga Stello, adieu moje dziecko. (*do syna*) Pocałuj księżniczkę w rękę!

SCENA III.

Ciż — Józwowicz.

Józwowicz.

Przepraszam księcia, jeśli się spóźnił, ale przybyła do mnie deputacya, musiałem z nią skończyć!

Hrabina.

Co, deputacya tu jest? Jean, puszczaj się!

Józwowicz.

(z ukłonem) Niech się hrabia spieszy bo odjadą!

Podczaski.

Padam do nóg jaśnie oświeconego księcia (*Hrabina, Jan i Podczaski wychodzą — za nimi Stella i pani Czeska*).

S C E N A IV,

Józwowicz — Księżę.

(Chwila milczenia).

Księżę.

(stukając laską) Oświadczam panu, że mu zakazuję starać się o mandat.

Józwowicz.

A ja, że nie posłucham zakazu.

Księżę.

Pan mnie do wściekłości doprowadzasz.

Józwowicz.

Księżę mi przyszłość zamykasz.

Księżę.

(w passyi) Ja pana od małego wychowałem.

Józwowicz.

Ja księcia — zachowuję.

Księżę.

Ja dla pana byłem jakby ojcem.

Józwowicz.

Książę! pomówmy spokojniej. Jeśli książę byłeś dla mnie ojcem, ja jestem dlań dotychczas z przywiązaniem synowskiem. Ale ojciec nie powinien synowi zamykać drogi do publicznego zawodu.

Książę.

Publiczne zawody nie dla takich jak waspan.

Józwowicz.

(śmiejąc się) Przed chwilą nazwałeś mnie książę synem.

Książę.

Jak synem, co za synem!

Józwowicz.

Jakie synowstwo, takie posłuszeństwo!

Książę.

·A! wykręca się, wykręca! Stelka? A! niema jej!

Józwowicz.

Mój książę! gdybym istotnie był waszym synem, miałbym tytuł, majątek, słowem wszystko, co książę posiadasz; ale jako człowiek biedny, sam sobie muszę torować drogę i nikt niema prawa mi jej tamować, zwłaszcza, jeśli jest prosta i uczciwa. *(śmiejąc się)* Chyba książę zechcesz mnie adoptować, żeby ród nie zaginął.

Książę.

Co ty pleciesz, Józwowicz, co ty pleciesz!

Józwowicz.

Tylko żartuję. No, drogi książe, przestańmy się irytować, bo to nam szkodzi.

Książe.

A prawda! Irytacja mnie szkodzi. Czemu ty mi u diabła, chłopcze, nie ustąpisz z tem poselstwem?

Józwowicz.

Trzeba się postawić w mojem położeniu. To moja przyszłość.

Książe.

A mnie tymczasem napadają tu, irytują i jeszcze do łózka zapędzą. Zamłodu byłem w tylu bitwach i nie bałem się... Mogę pokazać krzyże; nie bałem się śmierci w bitwie, ale te wasze łacińskie choroby... Czegóż się tak na mnie patrzysz?

Józwowicz.

Patrzę jak zwykle, a co do choroby, powiem księciu, że więcej jej w wyobraźni, niż w rzeczywistości. Organizm jest silny, i z moją pomocą będziem żyć Matuzalowe lata.

Książe.

Jesteś pewny: co?

Józwowicz.

Najpewniejszy.

Książe.

Pocziwy chłopiec! A nie odstąpisz-że ty mnie?

Józwowicz.

Może ksiązę być pewny.

Ksiązę.

No to bądźże sobie posłem, czy dyablem. Stelka! a! niema jej! Dalibóg, że ten Miliszewski, widzisz, głupi: co?

Józwowicz.

Nie mogę przeczyć.

SCENA V.

Ciż. — Stella i pani Czeska.

Stella.

Wchodzę, bom się obawiała, żeby panowie nie posprzeczali się zanadto. Cóż jak się skończyło?

Ksiązę.

A cóż, ten niegodziwiec zrobił co chciał: mało brakowało, a kazałby mi się jeszcze prosić, żeby przyjął mandat.

Józwowicz.

Istotnie, ksiązę raczył zgodzić się na moje zamiary, i pozwolił starać mi się o wybór.

Ksiązę.

Tak, pozwoliłem.

Stella.

(grożąc) Ej doktorku!

Czeska.

Ile to zabiegów i sporów! Czy to nie lepiej, żeby jeden drugiemu ustąpił. Przecie przysłowie nawet mówi: mądry głupiemu ustąpi.

Józwowicz.

Trzymaliśmy się dotąd tej zasady we wszystkich naszych sprawach.

Stella.

Niech papa zejdzie teraz do ogrodu. Pan Jerzy i pan Karol przyjechali. Czekają przy łodziach, bo mamy jeździć po jeziorze. Pan Karol ma tu przyjść po mnie, jak wszystko będzie gotowe.

Księżę.

Pani Czeska, więc chodźmy. *(odchodzi).* Widzi pani, ten Miliszewski... *(odchodzi).*

SCENA VI.

Józwowicz — Stella — później Drahomir.

Stella.

Jak tam zdrowie ojca, kochany doktorze?

Józwowicz.

Jak najlepiej. Ale pani naprawdę pobladła.

Stella.

O! jam zdrowa.

Józwowicz.

Więc chyba trochę smutna.

Stella.

I to nie. Może tylko poważniejsza niż dawniej.

Józwowicz.

Jak zwykle — narzeczona.

Stella.

Tak...

Józwowicz.

Jednakże trzeba się bawić i rozrywać, bo zdrowie tego wymaga.

Stella.

Doprawdy, nie pragnę zabawy.

Józwowicz.

Jeśli nie zabawy, to choć wesołości... Wszyscy tu jesteśmy zbyt zgorzkniali dla pani; często nawet może nie umiemy pani zrozumieć.

Stella.

Wszyscy aż nadto jesteście dobrzy.

Józwowicz.

A przynajmniej troskliwi. Jeśli pani ma chwilę czasu, siądźmy i pomówmy. Niech ta troskliwość wytłómaczy moją śmiałość. Z powagą narzeczonej chodzi zwykle pogoda i szczęście. Kto bez żalu całe serce oddaje, ten nie może tęsknić za niczem i jasno patrzy w przyszłość.

Stella.

W każdej przyszłości jest coś, co chwilami przejąć może niepokojem najodważniejszą duszę.

Józwowicz.

Co takiego, pani?

Stella.

Choćby, że ta przyszłość nadejdzie dopiero.

Józwowicz.

Nazywałaś mnie nieraz pani sceptykiem, a jednak, to ja mówię: kto kocha, ten wierzy.

Stella.

Więc co doktorze?

Józwowicz.

Więc kto wątpi...

Stella.

Panie Stanisławie...

Józwowicz.

Ja nie badam, księżniczko. Chwilami widzę, że pogoda znika z twarzy pani, a zatem dopytuję jak doktor, jak przyjaciel. Uspokój mnie pani. Proszę pamiętać, że pyta człowiek, którego nazwałaś pani także bratem, i który sam jeden wie, jak mu jest drogie szczęście takiej siostry. Nie mam nikogo na świecie: wszystkie uczucia rodzinne związałem z domem waszym. I ja

mam serce, które się troska. Uspokój pani obawy: oto wszystko, czego żądam.

Stella.

Jakie obawy? Ja nie wiem...

Józwowicz.

Obawy, których wypowiedzieć prawie nie śmiem. Od czasu jak tu jestem, oczy moje nie odwracają się od pani, im więcej się wpatruję, tem więcej się lękam. Pani boisz się przyszłości, pani nie patrzysz w nią z ufnością i nadzieją.

Stella.

Niech mi pan pozwoli odejść...

Józwowicz.

Nie, pani. Ja mam prawo pytać, a jeśli pani nie śmiesz spojrzeć w głąb swego serca, to mam prawo i powiedzieć, że to słabość i brak odwagi, a taką grzeszną słabość płaci się później własnem i cudzem szczęściem. I ja cierpię, pytając, ale trzeba — trzeba. Słuchaj mnie, pani, w kim jest choć cień zwątpienia, ten myli się co do natury swych uczuć.

Stella.

Doktorze!... Alboż można się tak mylić?

Józwowicz.

Można. Czasem wziąć można sympatya, współczucie i litość za miłość.

Stella.

Okropna pomyłka!...

Józwowicz.

Którą poznaje się wówczas, gdy serce rwie się w inną stronę. Wówczas powaga narzeczonej jest skrywanym bólem. Jeśli się myślę, przebac mi pani!

Stella.

Panie Stanisławie, ja nie chcę myśleć o takich rzeczach.

Józwowicz.

Zatem, nie myślę się. Nie patrz na mnie pani z przerażeniem, ja chcę cię ratować, dziecko kochane! Gdzie serce twoje? Jeśliś poznała w tej chwili, że nie kochasz Jerzego, to też sama chwila powie ci kogo kochasz. Nie! nie cofnę pytania! Gdzie serce twoje? Na Boga! jeśli to ktoś nierówny ci, on się wzniesie aż do ciebie. Ale nie! i ja już szaleję.

Stella.

Chcę odejść i muszę odejść.

Józwowicz.

(wastępując jej) Nie! nie odejdiesz, póki nie odpowiesz. Kogo kochasz?

Stella.

Doktorze, oszczędzaj mnie — bo inaczej zwątpię o wszystkim... Zlituj się nademną...

Józwowicz.

(gwałtownie) Kogo kochasz!?

SCENA VII.

Ciż — Drahomir.

Drahomir.

Księżniczko!

Stella.

Ach!

Drahomir.

Co to? przestraszyłem panią. Przyszedłem tylko powiedzieć, że czekamy przy łodziach... Co pani jest?

Stella.

Nie! idźmy!

(Drahomir podaje jej rękę, wychodzą).

SCENA VIII.

Józwowicz *(sam).*

(patrząc za odchodzącymi) Aa! ro... zu... niem.

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Tenże sam salon.

SCENA I.

Podczaski wchodzi pierwszy — za nim służący.

Podczaski.

Powiedz doktorowi, że pan Podczaski kłania mu się i czeka na niego w pilnym interesie.

Służący.

Pan doktor bardzo zajęty, bo i księżniczka niezdrowa, ale mu powiem (*wychodzi*).

Podczaski.

(*sam*) Fiu! fiu! hrabina posyła na przedmieścia: „Podczaski leć, Podczaski agituj! Podczaski namawiaj!” a pieniędzy nie daje. Latam, kłaniam się, namawiam, ściskam łyków, aż im oczy wylażą, a jak proszę żeby pożyczyla sto reńskich, to powiada: zobaczymy po wyborach! Tak? A no dobrze! Więc to ja mam babie borgować, nie ona mnie? mam za swoje pić z łykami? — A to wolę pić sam! Do dyaska z ta-

ką służbą! Padam do nóg pani hrabino dobrodziko, całuję stopki. Jeśli ma tak być, to trafię gdzieindziej. Kiepska służba! wolę pójść do doktora. Tacy jak doktor płacą, bo mają rozum. A że on i tak wszystkich za leb weźmie, to człowiek i w znaczeniu się podniesie. Arystokratka, a szlachcicowi stu reńskich nie chce pożyczyc...

SCENA II.

Podczaski — Józwowicz.

Podczaski.

Klaniam panu doktorowi dobrodziejowi, ściele się do stópek pana doktora dobrodzieja!

Józwowicz.

Czem mogę służyć, panie Podczaski?

Podczaski.

Panie dobrodzieju! ja bez ogródek, wprost do materji. Panu dobrodziejowi wiadomo, jakie usługi oddawałem pani hrabinie Miliszewskiej?

Józwowicz.

Trochę.

Podczaski.

Jako były obywatel ziemski... gdyż miałem kolonię...

Józwowicz.

(przerwywając) Po stracie kolonii mieszkasz pan na Łyczakowie i agitujesz pan dla młodego hrabiego Miliszewskiego przeciw mnie.

Podczaski.

Niech Bóg uchroni... To jest panie dobrodzieju, tak było, ale przejrzałem dość wcześnie. Robiło się co mogło. Ma się tam jakieś stosunki między łyka... między mieszczaństwem. Umieją uczcić pochodzenie. Niech jednak pan dobrodziej będzie pewny...

Józwowicz.

Krótko, czego pan żądasz ?

Podczaski.

Bóg widzi, panie dobrodzieju, służyłem pani hrabinie wiernie i wykosztowałem się nie mało, ale przeciw tak rozumnemu człowiekowi jak pan dobrodziej... wszedłszy w sumienie — chybaby ze szkodą kraju, a tego nie chcę.

Józwowicz.

Uznaję pańskie obywatelskie uczucia. Nie chcesz pan być przeciw mnie ?

Podczaski.

Nie chcę, panie dobrodzieju, nie chcę

Józwowicz.

Masz pan słuszność ? Więc za mną ?

Podczaski.

Gdybym się ośmielił służby moje ofiarować...

Józwowicz.

Przyjmuję.

Podczaski.

(*n. s.*) Takich to rozumiem — sto reniów, jak w kieszeni. (*głośno*) Wdzięczność moja.

Józwowicz.

(przerrywając) Moja okaże się po wyborach.

Podczaski.

Po wy-bo-rach?

SCENA III.

Ciż — Jan Miliszewski — później Antoni.

Jan.

Dzień dobry, doktorze! czy tu niema mamy?

Józwowicz.

Nie hrabio, niema mamy.

Jan.

A bo myśmy tu przyjechali oboje, ale mama zaraz poszła do apartamentów księcia, ja trochę zostałem, i teraz nie mogę trafić do apartamentów księcia. *(sposstrzegając Podczaskiego, który się kłaniał od początku sceny)*. A! pan Podczaski, co pan tu robi?

Podczaski.

Padam do nówek pana hrabiego. Ot poradzić się przyjechałem: w nogach strzyka, w głowie strzyka!

Jan.

Czy doktor będzie łaskaw mi pokazać, gdzie są apartamenta księcia?

Józwowicz.

Na lewo, w amfiteatrze.

Jan.

Dziękuję. Ale później, jabym się chciał z doktorem widzieć.

Józwowicz.

Do usług. (*Jan idzie ku drzwiom, we drzwiach potrąca go Antoni*).

Antoni.

Przepraszam.

Jan.

Pardon! (*sakłada binokl, przypatrując mu się z ciekawością, potem odchodzi*).

Antoni.

(*do Józwowicza*) Szukałem cię w twoich pokojach i nie znalazłem, wpadam więc tu, bo mi powiedziano, że tu jesteś. Słuchaj, ogromnie ważne rzeczy! (*sposstrzegając Podczaskiego*). Jak to? pan, nasz przeciwnik tu?

Podczaski.

(*na ucho do Antoniego*) Nie przeciwnik już panie dobrodzieju.

Antoni.

(*patrząc na niego przez chwilę*) A tem lepiej. Ale zostaw nas pan teraz samych.

Podczaski.

(*n. s.*) Oj, źle! (*głośno*) Polecam się pamięci panów dobrodziejów. (*n. s.*) Dyabli wzięli sto reńskich (*wychodzi*).

Antoni.

Czego ten tu chciał?

Józwowicz.

Pieniądzy.

Antoni.

A, ofiarował głosy — domyślam się. Daleś mu ?

Józwowicz.

Nie.

Antoni.

To dobrze. My nie przekupujemy. Agitacya — to co innego. Ale mniejsza o to. Wiesz ? — szczęście, że postawili kandydaturę Miliszewskiego; inaczej byłbyś przypadł, bo większość miałby Husarski. Chociaż on i tak groźny; w niektórych obwodach ma większość.

Józwowicz.

Pobiją nas, Antoni ?

Antoni.

Nie! Od tego jestem. Ufl jakim zmęczony: odpocznąć choć przez pięć minut. (*siada*) O, jak Boga kocham, jakie tu miękkie kanapy. W okręgach Husarskiego trzeba dać pieniędzy na jakie cele publiczne. Masz ty pieniądze ?

Józwowicz.

Mam trochę.

Antoni.

Byle początek — potem uzyskasz od sejmu poparcie. Zafundujemy jaką szkółkę. Ufl jakim ja zmęczony!

Józwowicz.

Zatem masz klucz od biurka, jest tam trochę gotówki i weksle na bank.

Antoni.

Dobrze, ale muszę odpocząć. Tymczasem — co tu u ciebie słychać? Zmizerniałeś, oczy ci wpadły. Musisz się tu gryźć. Dalibóg nie kochałem się w ten sposób w mojej żonie. Mów, przez ten czas odpocznę, ale mów otwarcie.

Józwowicz.

Bądź spokojny, z tobą będę otwarty.

Antoni.

Cóż dalej?

Józwowicz.

To małżeństwo nie przyjdzie do skutku.

Antoni.

Dlaczego?

Józwowicz.

Taki czas przyszedł, że tym ludziom nic się nie udaje.

Antoni.

Na strych mi z twymi pawianami! Cóż ten twój ludożerca? ten Pretwic?

Józwowicz.

Długoby mówić. Księżniczka brała litość i współczucie, jakie dla niego czuła, za coś głębszego. Dziś wie, że go nie kocha.

Antoni.

Dobryś! Doprawdy możnaby powiedzieć, że ściga tych ludzi jakiś fatalizm. To los ras przeżytych.

Józwowicz.

I logika rzeczy nieublagana.

Antoni.

Więc ona nie pójdzie za niego? W gruncie mi ich żal. Niechtam lichu porwie!

Józwowicz.

Poszłaby, choćby słowa miała dotrzymać za cenę życia. Ale tu ktoś trzeci zaplątał się w tę sprawę — hrabia Drahomir.

Antoni.

Co rusz, to hrabia! Więc ona zdradza Jerzego?

Józwowicz.

Kto cię uczył sądzić ludzi, niech ci wróci pieniądze.

Antoni.

Ale prawdę rzekłszy, za te wszystkie wasze salonowe wielkie sprawy nie dałbym pięciu centów.

Józwowicz.

Ona i Drahomir nie rozumieją nawet, że się kochają. Jakaś siła nieprzeparta ciągnie jedno ku drugiemu — jaka? — nie pytają. To dzieci niewinne.

Antoni.

Więc ja o coś spytam. Co ci z tego przyjdzie?

Józwowicz.

Słuchaj demokrato! gdy dwóch rycerzy kocha się w jednej kasztelance, miłość kończy się zwykle dramatycznie, i kasztelanka dostaje się komuś trzeciemu

Antoni.

A rycerze ?

Józwowicz.

Mniejsza o nich, niech zginą.

Antoni.

(deklamując) „Na grobie jego rośnie mech,

Ach! wszak to kurek zdechl!”

Co myślisz, że się stanie ?

Józwowicz.

Nie wiem... Pretwic to człowiek gwałtowny... Nie przewiduję nic, widzę tylko logikę rzeczy, która mi sprzyja i nie będę takim głupcem, by jej wbrew własnemu szczęściu przeszkadzać.

Antoni.

Oh! jestem pewny, że jak będzie trzeba, to ty jej nawet pomożesz.

Józwowicz.

Ha! jestem doktorem. Obowiązkiem moim jest pomagać naturze.

Antoni.

Ot i gotowy program! Znam cię! Przychodzi mi tylko jedna myśl: skąd wiesz, że tak jest, jak mówisz? Może to wszystko koszalki opalki ?

Józwowicz.

Mogę mieć zupełną pewność przez dawną nauczycielkę księżniczki.

Antoni.

Dowiedz się jak najprędzej.

Józwowicz.

Za chwilę pani Czeska tu nadejdzie; prosilem ją o to umyślnie.

Antoni.

To ja zmykam. Wiesz co jeszcze? Nie pomagaj ty zaudto naturze, bo to byłoby...

SCENA IV.

Ciż — Pani Czeska.

Czeska.

(wchodząc) Życzył pan sobie ze mną pomówić?

Józwowicz.

Tak jest.

Antoni.

(kłania się pani Czeskiej, następnie do Józwowicza).

Więc idę po pieniądze i wracam za chwilę. Przyniosę ci kwity.

Józwowicz.

Dobrze. *(Antoni wychodzi).*

Czeska.

Kto jest ten pan?

Józwowicz.

Sternik.

Czeska.

Jakto ?

Józwowicz.

On prowadzi okręt, na którym płynę; zresztą straszliwie poczciwy człowiek.

Czeska.

Nie rozumiem dobrze. O czym pan chciał ze mną mówić ?

Józwowicz.

O księżniczce. Jesteście panie jak matka z córką, zatem pani powinnaś wiedzieć wszystko. Co jej jest ? Ona tai jakieś zmartwienie. Jako doktor, pani, i ja powinienem wiedzieć wszystko, bo żeby leczyć słabości fizyczne, trzeba znać nieraz powody moralne. (n. s.) Duchu Eskulapa, przebacz mi ten frazes!

Czeska.

Mój dobry panie, o co pan pyta ?

Józwowicz.

Mówiłem pani, że księżniczka tai jakieś zmartwienie.

Czeska.

Nie wiem.

Józwowicz.

Oboje zarówno ją kochamy, więc mówmy szczerze...

Czeska.

Jestem gotowa.

Józwowicz.

A zatem, czy ona kocha narzeczonego?

Czeska.

Co pan mówi, doktorze? Inaczej nie byłaby narzeczoną. Doprawdy, że wy wszystko lubicie tak brać na rozum, że czasem więcej niż się powinno mieścić. Kogożby miała kochać? Naturalnie, że skoro jest narzeczoną, to kocha. Ja to uważam za proste, że nawet nie mówię więcej o tem ze Stelką.

Józwowicz.

Powiadasz pani: nie mówię więcej, zatem była mowa poprzednio.

Czeska.

Tak jest. Mówiła mi, że nie wie, czy go dość kocha. Ale bo to mój panie, każda czysta dusza obawia się, czy spełnia jak należy obowiązek. Co też panu mogło przyjść na myśl?

Józwowicz.

(kłaniając się) To tylko chciałem wiedzieć *(n. s.)* Szkoda tu czasu!

SCENA V.

Ciż — Jan Miliszewski.

Jan.

Dotychczas nie mogłem znaleźć mamy. Dzień dobry pani! Może przeszkadzam?

Czeska

Nie, my już skończyliśmy. *(do Józwowicza)* Ona spełni obowiązek: niech pan będzie spokojny.

Józwowicz.

Dziękuję (*Czeska wychodzi*).

Jan.

Doktorze ?

Józwowicz.

Słucham.

Jan.

Ja muszę mówić o rzeczach bardzo delikatnych.

Józwowicz.

Proszę otwarcie.

Jan.

Zróbmy z sobą układ jak dobrzy ludzie. Mama chce, żebym ja został posłem, ale ja nie mam ochoty.

Józwowicz.

Zbytek skromności.

Jan.

Pan to mówi nieszczerze, a ja nie umiem się bronić. Wcalebym się nie starał o to poselstwo, gdyby nie mama. Widzi pan, jest taka rzecz: jak mama chce czego, to musi być. Wszystkie Srokoszyńskie są takie, a mama z domu Srokoszyńska.

Józwowicz.

Pan hrabia ma przecie własną wolę.

Jan.

W tem właśnie bieda, że się tak złożyło, że znowu Miliszewscy zawsze słuchają kobiet. My się tem odznaczamy, panie!

Józwowicz.

Rycerski znak. Ale czem mogę służyć?

Jan.

Oto ja nie będę przeszkadzał w poselstwie.

Józwowicz.

Szczerść za szczerść: pan zamiast przeszkadzać, pomagałeś mi dotąd.

Jan.

Nie wiem jakim sposobem, ale jeśli tak, to niech mnie doktor pomoże z kolei.

Józwowicz.

W czem?

Jan.

To właśnie rzecz delikatna. Ale sekret, doktorze przed mamą.

Józwowicz.

Naturalnie.

Jan.

Mama chce żebym się żenił z księżniczką, a ja, panie, nie chcę...

Józwowicz.

Pan nie chce?

Jan.

Pan się dziwi?

Józwowicz.

Wyznaję...

Jan.

Nie chcę, bo nie chcę. Jak się człowiek nie ma ochoty żenić, no, to się niema ochoty żenić. Pomyśli pan, że się kocham w kim innym? Może. Dość że nie w księżniczce. Naturalnie, że jak mama zawoła: „Jean puszczaj się!” to się puszczam, bo cóż mam robić? Miliszewscy umieli sobie radzić z mężczyznami, ale z kobietami, oho!

Józwowicz.

Nie rozumiem tylko, w czym mogę być pożyteczny...?

Jan.

Doktor przecie wszystko może w tym domu, niech doktor sprawi, ale w sekrecie przed mamą! żebym ja dostał odkosza.

Józwowicz.

Panie hrabio, dla pana co w mocy ludzkiej...

Jan.

Dziękuję.

Józwowicz.

I podejmuję się tem chętniej, że księżniczka jest narzeczoną.

Jan.

A to nie wiedziałem, że mi tu ktoś w drogę wlaził.

Józwowicz.

(*n. s.*) Dobra myśl. (*głośno*). Pan Jerzy Pretwic.

Jan.

A to mnie tu chcieli na dudka wystrychnąć!

Józwowicz.

Pan Pretwic jest zuchwałym człowiekiem. Wyznaję nawet panu, że miałeś słuszność, nazywając sprawę delikatną. Pana Pretwica ludzie boją się, gdy więc pan ustąpisz, świat będzie mógł pomyśleć...

Jan.

Że i ja się boję? A to nie ustąpię! O, mój panie jak widzę, to pan nie zna wcale Miliszewskich. My tylko z kobietami nie umiemy sobie dawać rady, ale żaden Miliszewski nie był tchórzem. Wiem, że ludzie śmieją się ze mnie, ale kto mnie nazwie tchórzem, tego oduczę się śmiać. Ja tu zaraz pokażę, czym tchórz. Cóż to pan Pretwic? Gdzie on teraz jest?

Józwowicz.

W tej chwili w ogrodzie. *(pokazując przez okno)*
Widzi go pan tam nad jeziorem.

Jan.

Do widzenia!

SCENA VI.

Józwowicz sam — potem Antoni.

Józwowicz.

Wielcy ojcowie bezdzietni! Cha! cha!
.

Antoni.

(wbiegając) Jesteś tu? Masz kwity. Czego się śmiejesz?

Józwowicz.

Miliszewski polecał wyzwać na pojedynek Pretwica.

Antoni.

Co znowu? czy oni powaryowali?

Józwowicz.

W pięknym świetle stanie przed nią Pretwic, ten rycerz bez skazy, jeśli będzie miał awanturę z takim głupcem. W pięknym świetle!

Antoni.

To tyś tak nakręcił?

Józwowicz.

Jak powiedziałem ci: dopomagam naturze.

Antoni.

Dopomagajże sobie, a ja zmykam.

Józwowicz.

Bądź zdrow! Albo nie: idę z tobą, nie mogę dopuścić, by awantura poszła zadaleko.

Antoni.

Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że z twoich pieniędzy kupię jeść moim pędrakom. Oddam ci później: pozwalasz?

Józwowicz.

Jak możesz pytać, Antoni? (*wychodzi*).

SCENA VII.

Stella z kapeluszem w ręku i Drahomir.

(wchodzię drzewiami od ogrodu).

Stella.

Zmęczyła mnie trochę przechadzka. Widzi pan, panie Karolu, jaka jestem słaba *(siada)*. Gdzie jest pan Jerzy?

Drahomir.

Z młodym Miliszewskim, który prosił go o rozmowę. Pani zaś Miliszewska traktuje z księciem. Zdaje mi się nawet, że tam odbywa się mała scena. Hrabina nie wiedziała, że pani jesteś narzeczoną i miała podobno inne zamiary. Ale daruj mi pani! ja się śmieję, a pani to sprawia przykrość.

Stella.

I ja miałabym się ochotę śmiać, gdybym nie wiedziała, ile to papie sprawi kłopotu. Zresztą, żal mi pana Miliszewskiego.

Drahomir.

Pojmuję, co może czuć w jego położeniu serce prawdziwie kochające, ale o pana Jana jestem spokojny. Poczieszy się, jeśli mama każe.

Stella.

Czasem można bardzo się omylić na ludziach.

Drahomir.

Czy mowa o mnie, czy o Miliszewskim?

Stella.

Niech będzie o panu. Przedstawiono mi pana z góry, jako zbiór wszystkich doskonałości.

Drahomir.

A pani znalazła zbiór wszystkich wad?

Stella.

Przecie tego nie mówię.

Drahomir.

Ale, myślę. Za to ja nie zawiodłem się: portret pani, jaki mi go odmalowali Jerzy i doktor, zgadza się z rzeczywistością.

Stella.

Jakiż był portret?

Drahomir.

Ze skrzydłami u ramion.

Stella.

To znaczy, że mam tyle powagi co motyl?

Drahomir.

Skrzydła aniołów godzą się z powagą.

Stella.

Prawdziwa przyjaźń powinna prawdę mówić. Proszę o jaką gorzką.

Drahomir.

Czy bardzo gorzką?

Stella.

Jak piolun, albo jak chwilami... życie.

Drahomir.

A więc: nie jesteś pani dobrą dla mnie.

Stella.

Za jakiż grzech mam rozpocząć pokutę?

Drahomir.

Za brak przyjaźni dla mnie.

Stella.

Pierwsza odwołam się do przyjaźni, ale w czymże nie spełniłam jej warunków?

Drahomir.

Bo dzielisz się pani ze mną wesołością, zabawą, śmiechem, a gdy nadleci chwila smutku i goryczy, to gorzkie kwiatki i ciernie zabierasz sobie wyłącznie. Podziel się pani ze mną i taką chwilą, proszę bardzo!

Stella.

Nie chciałam nigdy mącić wesołości pana, to nie egoizm.

Drahomir.

Moja wesołość nie płynie także z egoizmu. Jerzy powiedział mi o pani, gdym tu przybył: „ja umiem tylko patrzeć na nią i modlić się do niej; tyś młodszy, weselszy, staraj się ją rozweselić i zabawić;” więc oto przyniosłem tu całą moją wesołość, jak towar na plecach i złożyłem ją u nóg pani. Ale od pewnego czasu widzę,

że panią męczę tylko, widzę na twarzy pani jakąś chmurkę, podejrzewam jakiś tajony smutek, więc jako druh serdeczny oddałbym życie, żeby go rozproszyć.

Stella.

(cicho) Panie Karolu...

Drahomir.

(składając ręce) Pozwól mi pani mówić. Roztrzępalcem byłem w życiu, alem szedł za głosem serca i sercem pani smutek odgadłem. Odtąd padł cień i na moją wesołość... Alem się przewyciężał. Łzy wyplakanej nic już nie wróci, w drodze jednak do oczu, może ją przyjazna ręka zatrzymać... Więc się przewyciężałem... — by łzy do pani oczu nie puścić. Jeślim pobłądził, jeślim złą drogę obrał, proszę o przebaczenie. Życie się pani złoży, jak bukiet kwiatów, bądź więc pani weselsza, bądź weselsza.

Stella.

(wzruszona, podając mu rękę) Będę przy panu. Grymaśna ze mnie dziewczyna, rozpieszczona i słaba trochę. Sama często nie wiem, co mi jest i czego pragnę. Jam szczęśliwa, doprawdy szczęśliwa. To są chwile przelotne, ale obiecuję poprawę. Nie jedną jeszcze chwilę spędzimy wesoło...

Drahomir.

A więc: co tam! jak mówi pani Czeska. Starajmy się przewyciężyć; będziemy się śmiać, biegać po ogrodzie i płatać psoty mamie i synowi Miliszewskim.

Stella.

Odgadłam tajemnicę pańskiej wesołości i szczęścia: to prawość serca i dobroć.

Drahomir.

Nie, pani. Wielkie ze mnie nic-potem. Byłem tylko dotąd dość spokojny, ale prawdziwe szczęście nie w tem leży.

Stella.

Czasem myślę że go wcale niema na świecie.

Drahomir.

Rozum go nie uchwyci i nie poleci za tą wizyą skrzydlatą. Czasem może ona i przelatuje blisko, ale nim się człowiek obejrzy, nim wyciągnie ręce: bywa zapóźno!

Stella.

Jakież to bolesne słowo: zapóźno.

SCENA VIII.

Ciż — Józwowicz.

Józwowicz.

(wchodzi śmiejąc się) Cha! cha! czy państwo wiecie, co się stało?

Stella.

Coś zabawnego, doktorze?

Józwowicz.

Rzecz okropna, tragiczna, straszna, ale przede wszystkim śmieszna! Miliszewski chciał wyzwąć Jerzego.

Stella.

Mój Boże!

Józowicz.

Śmieję się pani razem ze mną. Gdyby to było coś niebezpiecznego, przeciebyłm pani nie przestraszał.

Drahomir.

Na czemże się skończyło?

Józowicz.

Wicie państwo, że aż się pogniewałem na Jerzego. Wyobraźcie sobie: wziął tę rzecz poważnie.

Drahomir.

Proszę cię, cóż miał robić?

Józowicz.

A tożby dla człowieka, jak Jerzy, wstyd było strzełać się z takim biedakiem!

Stella.

Doktor ma słusność. Nie rozumiem pana Jerzego.

Józowicz.

Niech się nie gniewa nasza księżniczka. Już ich pogodziłem. Jerzy tylko nie wniknął w głąb rzeczy i przyrodzona krewkość go uniosła. Ale teraz, gdy się zastanowił i gdym mu wytłumaczył rzecz całą, zgodził się, że byłoby to co najmniej śmieszne. On ma dużo rozsądku, Jerzy.

Drahomir.

Cóż Miliszewski?

Józwowicz.

Odesłałem go do mamy. To także dobry chłopiec.

Stella.

Jednak pan Jerzy dostanie odemnie burę.

Drahomir.

Niech tylko pani nie będzie zbyt surowa.

Stella.

Panowie się śmieją, a mnie przykro, że panu Jerzemu było trzeba to tłumaczyć. Doprawdy, zaraz mu dam burę (*odchodzi*).

SCENA IX.

Drahomir — Józwowicz.

Drahomir.

Co to za anioł ta księżniczka!

Józwowicz.

Tak. Niema ani jednej skazy na tej kryształowej naturze.

Drahomir.

Musi tak być, skoro ty nawet, doktorze sceptyku, mówisz o niej z takim zapalem.

Józwowicz.

Sześć lat upływa jak tu jestem. Gdym tu przyjechał pierwszy raz, wybiegła do mnie w krótkiej sukience i z główką w papilotach — ot, takie jeszcze maleństwo.

Odtąd przy mnie to rosło. Sześć lat ma swoje prawa, trudno się nie przywiązać.

Drahomir.

Wierzę. *(Po chwili w zamyśleniu)* Dziwne wy jednak macie serca, wy ludzie pracy...

Józwowicz.

Dlaczego?

Drahomir.

Bo... wiem co mi pan możesz powiedzieć o jej towarzyskiej pozycji; ale to nic nie znaczy: serca są równe: więc jakże się to stało, że pan tak blizki księżniczki, umiał tak nad sobą panować i nie... i nie...

Józwowicz.

(przerywając) Co takiego?

Drahomir.

Trudno mi wyrażenie znaleźć.

Józwowicz.

To ja znajdę. Pytasz pan, dlaczego się w niej nie zakochał?

Drahomir.

Cofnąłem się przed słowem zbyt śmiałem.

Józwowicz.

Doprawdy, jeśli tak brak hrabiemu odwagi, to go wyręcę i spytam: a pan?

Drahomir.

Doktorzel

Józwowicz.

Cóż tam za struna liryczna jękla?

Drahomir.

Skończmy tę rozmowę.

Józwowicz.

Jak się podoba, chociaż ja mogę jeszcze mówić spokojnie, i dlatego, żeby zmienić rozmowę, wolę spytać pana: jak sądzisz, czy ona będzie z Jerzym szczęśliwa?

Drahomir.

Co za pytanie! Jerzy ją kocha nad wszystko.

Józwowicz.

Nie wątpię, ale natury ich niezgodne. Jej myśli i uczucia subtelne jak pajęczyna, a Jerzy? Widziałeś pan, jak ją ubodło, że on przyjął wezwanie?

Drahomir.

Czemu pan jej o tem wspomniałeś?

Józwowicz.

Źle zrobiłem. Jerzy więc...

Drahomir.

Jaki on będzie z nią szczęśliwy.

Józwowicz.

Każdy byłby z nią szczęśliwy, i każdemu można

dać radę: (*z naciskiem*) szukaj podobnej. Tak, hrabio szukaj podobnej (*wychodzi*).

SCENA X.

Drahomir.

(*sam*) Szukaj podobnej... A jeśli się znajdzie... zapóźno (*siada ukrywoszy twarz w dłonie*).

SCENA XI.

Stella — Drahomir.

Stella.

(*spostrzegłszy Drahomira, przez chwilę patrzy na niego w milczeniu*). Panie Karolu, co panu jest?

Drahomir.

Pani tu?.. (*chwila milczenia*).

Stella.

(*smieszana*) Ja tu szukam papy... Przepraszam pana, muszę odejść...

Drahomir.

(*cicho*) Odejdź pani... (*Stella odchodzi, we drzwiach zatrzymuje się, waha przez chwilę i smyka*). Trzeba stąd uciekać jaknajprędzej!

SCENA XII.

Drahomir — Księżę — w końcu Józłowicz.

Księżę.

(*wbiegając zadyszany*) Do tej pory mnie dręczyła. O Jezus Marya! A, to ty, Drahomir?

Drahomir.

To ja, mój ksiązę.

Ksiązę.

To mnie wymęczyła, co?

Drahomir.

Kto taki?

Ksiązę.

A pani Miliszewska. Mój drogi, jak jemu być posłem, kiedy on głupi?

Drahomir.

Istotnie, ksiązę.

Ksiązę.

A widzisz! Potem, jako matka, oświadcza mi się o Stelle. Ażem się zachnął. Przecie narzeczona, ale oni nie wiedzieli. O Jezu!

Drahomir.

Jakże ksiązę się uwolnił?

Ksiązę.

Doktor mnie uwolnił. Jak go niema, to hrabina na nim ani suchej nitki, a jak jest, to jak mysz w kącie. To głowa ten Józwowicz? on ma lepszy rozum od nas wszystkich.

Drahomir.

To pewna.

Ksiązę.

Ale i ty masz rozum, Drahomir? — co? masz?

Drahomir.

Jakże tu zaprzeczyć lub potwierdzić? Józwowicz ma inny rozum, mój książę.

Książę.

A widzisz! inny? Ja jego i niecierpię i boję się i lubię, ale mówię ci, życzym bez niego nie mógł; słyszysz?

Drahomir.

Rozumny i poczciwy człowiek.

Książę.

Poczciwy? to dobrze, aleś ty lepszy, boś nie demokrata. Ja ciebie kocham, Drahomir! Stelka, ja jego koch... A, niema jej.

Drahomir.

(całując go w ramię) Dziękuję księciu.

Książę.

Dalibóg, żebym miał drugą córkę, tobym ci ją, tego...

Drahomir.

O! nie mów tak, książę. *(n. s.)* Tak, trzeba uciekać.

Książę.

Chodź na cygaro. Zawołamy tamtych i pogawędzimy trochę. Hej, Józwowicz! Pretwic!

Józwowicz.

(wchodząc) Co książę rozkaże?

Książę.

Pójdź na cygaro, Robespierze! Dziękuję ci, mój chłopcze, żeś mnie od tej hrabiny uwolnił.

Józwowicz.

Idźcie panowie. Ja poślę do Pretwica i zaraz na-
dejdziemy. (*dewni, ukazuje się służący, ksiązę i Drahomir*
wychodzą) Prosić pana Pretwica! (*służący wychodzi*).

Józwowicz.

(*sam*) Antoni miał słuszość! ja pomagam logice.
Ciężko mi jednak podkopywać, bom przywykł łamać...
(*wchodzi Jerzy*).

SCENA XIII.

Jerzy — Józwowicz.

Jerzy.

I ja ciebie także szukałem.

Józwowicz.

Książę nas prosi na cygara.

Jerzy.

Czekaj trochę. Na imię Boże powiedz mi, co to
wszystko znaczy? Stella mieni się w oczach, w powie-
trzu wisi coś ciężkiego: co to znaczy, Józwowicz?

Józwowicz.

To moda. Teraz w modzie melancholia.

Jerzy.

Drwisz ze mnie?

Józwowicz.

Nic nie wiem.

Jerzy.

Wybacz mi. Krew jakoś dziwnie bije mi do głowy; widzę jakąś groźbę nad sobą. Myślałem, że znajdziesz dla mnie słowo uspokojenia; sądziłem, że mi sprzyjasz.

Józwowicz.

Czy wątpisz o tem?

Jerzy.

Daj rękę, a potem słowo jakieś objaśnień, lub rady.

Józwowicz.

Radzić, więcś ty chory?

Jerzy.

(z wysileniem) Doprawdy, igrasz ze mną, jak kot z myszą.

Józwowicz.

Bo się nie znam na przeczuciach.

Jerzy.

Mówileś mi, że ona nie chora?

Józwowicz.

Nudzi się.

Jerzy.

Dziwnie to mówisz i chyba sam nie wiesz, jaki ból zadajesz mi tem słowem.

Józwowicz.

Rozrywaj ją.

Jerzy

Jak? jak?

Józwowicz.

Nie jak wilk jagnię, ale naprzykład tak, jak rozrywa ją Drahomir.

Jerzy.

Ona lubi jego towarzystwo.

Józwowicz.

I on jej. Takie poetyczne dusze przystają do siebie wzajemnie.

Jerzy.

Co ty przez to rozumiesz?

Józwowicz.

(ostro) A ty jak bierzesz moje słowa?

Jerzy.

(wstaje) Ani słowa więcej, rozumiesz mnie, bo ja nie zawsze umiem przebaczać!

Józwowicz.

(wstaje również, zbliża się do Jerzego i patrzy mu w oczy) Sądzę, że chciałeś mnie przestraszyć? Prócz tego, czego chcesz?

Jerzy.

(po chwili walki ze sobą) Pytaj czego chciałem,

bo już nic nie chcę. Znasz ją dawniej odemnie, więc udałem się do ciebie, jako do jej i mego przyjaciela. Odpowiedziałeś mi drwinami. W oczach błyszczą ci nienawiść do mnie, choć nie uczyniłem ci nic złego, a powitałem pierwszy jak dawnego kolegę. Sądź sam! Jabym miał większe prawo spytać: czego chcesz odemnie, gdyby nie to, (*s dumą*) że to mi wszystko jedno (*wychodzi*).

Józwowicz.

Zobaczymy.

SCENA XIV.

Józwowicz — Służący.

Służący.

Umyślny od pana Antoniego przyniósł list.

Józwowicz.

Dawaj. (*Służący wychodzi. Józwowicz patrząc na drzwi, któremi wyszedł Jerzy*) O! i ja już nie panuję nad nienawiścią. Zgniotę cię w proch, i teraz przed niczem się nie cofnę!.. (*rozrywa gorączkowo pieczętkę*) Przekleństwo! muszę tam jechać jeszcze dziś!

SCENA XV.

Józwowicz — Pani Czeska.

Czeska.

(*wchodząc żywo*) Doktorze, szukam pana po całym domu.

Józwowicz

Co się stało?

Czeska.

Stella chora, znalazłam ją w pokoju całą, we łzach.

Józwowicz.

(n. s.) Biedna. (głośno) Spieszę natychmiast!

(wychodzą)

(Zasłona spada.)

(KONIEC AKTU TRZECIEGO.)

AKT CZWARTY.

Tenże sam salon.

SCENA I

Józwowicz — Drahomir.

(Józwowicz, siedząc przy stoliku notuje w katalogu, Drahomir wchodzi później).

Drahomir.

Przychodzę cię pożegnać, doktorze.

Józwowicz.

(wstając nagle) A! pan wyjeżdża?

Drahomir.

Tak jest!

Józwowicz.

Nagle postanowienie. I na długo?

Drahomir.

Dziś wieczór wracam do Świetlenic do Jerzego, jutro zaś wyjeżdżam za granicę.

Józwowicz.

Słowo jeszcze. Mówiłeś już pan komu o tym zamiarze ?

Drahomir.

Dotychczas nikt nie wie. Zamiar mój dopiero przed parą godzinami zmienił się w postanowienie.

Józwowicz.

Nieodwołalne ?

Drahomir.

Nieodwołalne.

Józwowicz.

Więc ani Jerzy jeszcze nic nie wie ?

Drahomir.

Ani Jerzy. Czemu pan o to pyta ?

Józwowicz.

(n. s.) Stało się. Trzeba działać szybko, inaczej, wszystko przepadnie. (*głośno*) Panie hrabio, nie mogę w tej chwili mówić z panem obszerniej, bo za chwilę przybędzie do mnie Antoni w sprawie, od której cała moja przyszłość zależy. Ale słuchaj mnie, zaklinam pana w imię spokoju i zdrowia księżniczki, nie wspominaj o tem nikomu, że wyjeżdżasz: ani jej, ani Jerzemu, ani księciu.

Drahomir.

Nie rozumiem pana.

Józwowicz.

Zrozumiesz mnie pan. W tej chwili nie mogę

powiedzieć więcej. Za pół godziny proszę pana o chwilę rozmowy. Zrozumiesz mię pan: upewniam. Oto i Antoni. Widzi pan, że w tej chwili nie mogę.

Drabomir.

Zatem, do widzenia.

SCENA II

Antoni — Józwowicz.

Antoni.

Jutro rezultat będzie wiadomy. Sprawa gorąca. Masz przygotowaną odezwę?

Józwowicz.

Oto jest. I cóż? i cóż?

Antoni.

Dotychczas wszystko dobrze, ale ci mówię, że sprawa gorąca. Gdybyś był nie przyjechał ostatnim razem, przepadłbyś, bo Miliszewski się usunął, a teraz jego stronnicy za Husarskim. Podczaski nic nie wart. Powiedziałeś świetną mowę w ratuszu. Niech cię piorun trzaśnie! Dziś urządzamy ci owacyę. Programowi twemu nawet nieprzyjaciele oddają słusność! Oh! narzeczcie dobijemy się głosu. Od trzech dni nie sypiam nie jadam, tylko pracuję, a czas mam, bo mi dali dymisją z urzędu.

Józwowicz.

Wypędzili cię z urzędu?

Antoni.

Za agitacją i za sprawę z Husarskim.

Józwowicz.

Znalazłeś na niego jakie środki ?

Antoni.

Kropnąłem mały artykułek. Przynoszę ci go: masz. Wytoczył mi proces i wygra go. Wsadzą mnie do kozy, ale proces skończy się dopiero po wyborach, a artykuł zaszkodził mu przed wyborami.

Józwowicz.

Dobrze.

Antoni.

Ale jak będę w kozie siedział, myśl o mojej żonie i dzieciach. Kocham ogromnie moje pędraki. Mam ich trochę za dużo, ale, natura *lex dura*.

Józwowicz.

Bądź spokojny.

Antoni.

Ty nie uwierzysz, ale ja prawie szczęśliwy jestem. Chwilami mi się zdaje, że nasza prowincya to zatęchła izba, a ja otwieram okno i wpuszczam świeże powietrze. Będziemy pracować, choćbyśmy sobie mieli ręce po łokcie urobić. Wierzę w ciebie, boś ty bestya z żelaza. Dalibóg wzięłeś nas za łeb tak, że aniśmy się spostrzegli.

Józwowicz.

Zginę, albo dwa zwycięstwa odniosę.

Antoni.

Dwa ?

Józwowicz.

Tak, i to drugie dziś jeszcze. Tu, dziś. Wypadki zaskoczyły mnie poniekąd. Fakta zwróciły się przeciw mnie. Plan postępowania na razie musiałem stworzyć przed chwilą.

Antoni.

E! byleśmy tylko tam wygrali. Wiesz co, panie naczelniku naszej partii? Wolalbym, żebyś cisnął do licha to twoje drugie zwycięstwo.

Józwowicz.

I w tem mylisz się, Antoni.

Antoni.

Bo się tu gryziesz, dręczysz. Wychudłeś jak szcypa. Spójrzyj-no w lustro jak wyglądasz.

Józwowicz.

Nic nie szkodzi, gdy tu minę wysadzę, będę spokojniejszy, a mina już gotowa.

Antoni.

Kosztuje cię to jednak.

Józwowicz.

Tak, ale się nie cofnę.

Antoni.

U dyabła! Nie posmól-no tylko bardzo rąk w tym prochu.

SCENA III

Ciż — Stella.

Stella.

(wchodząc spostrzegając Antoniego) A, przepraszam.

Józwowicz.

Pan Antoni, mój przyjaciel. *(Antoni kłania się)*
Co pani rozkaże?

Stella.

Zasadził mnie pan do łóżka, a to tak przykrzy się leżeć. Pani Czeska wyszła do kaplicy, więc ja uciekłam. Czy pan pozwoli?

Józwowicz.

Cóż mam robić księżniczko, choć miałbym ochotę lajać nieposłuszne dziecko. Niedawno tu kto inny prosił także za panią.

Stella.

Kto taki?

Józwowicz.

Hrabia Drahomir; a prosił tak bardzo, iż mu przyrzekłem, że pozwolę pani wstać za godzinę. On się chce podobno z panią rozmówić, choćby później, jak dziś nie będzie mógł.

Stella.

(n. s.) Co to znaczy?

Józwowicz.

O piątej, to jest za godzinę, będzie tu.

Stella.

Dobrze.

Józwowicz.

Teraz proszę wrócić do swego pokoju, bo pani lekko ubrana. (*Stella wychodzi*).

SCENA IV.

Józwowicz — Antoni.

Antoni.

Ach! to więc jest księżniczka. Widziałem ją pierwszy raz.

Józwowicz.

Tak, to ona.

Antoni.

Bardzo ładna. Ale jakies to, jakby ze mgły. Ja, panie, wolę takie kobiety, jak moja żona. Z tej się nie dochowasz tęgich demokratów.

Józwowicz.

Dosyc o tem.

Antoni.

Więc podnoszę kotwicę i plynę. Twoją odezwę rozrzucę jeszcze dziś, a przytem kropnę drugi artykułik o Husarskim. Jeśli mnie mają wsadzić do kozy, to niech już wiedzą za co. Bądź zdrów.

Józwowicz.

A jak spotkasz służącego, powiedz mu, że czekam na hrabiego Drahomira.

SCENA V.

Józwowicz — później Drahomir.

Józwowicz.

Niech więc odjeżdża ten paż złotowłosa, ale niech się z nią pożegna. To pożegnanie będzie czerwoną chorağwią dla buhaja... (*wchodzi Drahomir*). Czekam na pana. Czy Pretwic jest tu?

Drahomir.

Jest u księcia.

Józwowicz.

Siądź, panie hrabio, pomówimy.

Drahomir.

(*niespokojnie*) Słucham.

Józwowicz.

Pan kochasz księżniczkę.

Drahomir.

Panie Józwowicz!

Józwowicz.

Na pański honor — tak, lub nie?

Drahomir.

Bóg chyba ma prawo zadawać mi pytania, których sam sobie zadać nie śmiem.

Józwowicz.

I pańskie sumienie.

Drahomir.

I nikt więcej.

Józwowicz.

Zatem inaczej: i ona pana kocha.

Drahomir.

Milcz pan! O Boże wielki!

Józwowicz.

Załamala się дума! Wiedziałeś pan o tem!

Drahomir.

Nie, nie chciałem wiedzieć.

Józwowicz.

Teraz pan wiesz.

Drahomir.

Więc wyjeżdżam na zawsze.

Józwowicz.

Zapóźno, panie! Poplątałeś jej życie, a teraz opuszczasz ją?

Drahomir.

Na Boga, i cóż mam robić?

Józwowicz.

Wyjechać, ale nie na zawsze i nie bez pożegnania.

Drahomir.

Po cóż dolewać jeszcze kroplę do przepelnionego kielicha?

Józwowicz.

Piękny frazes! Czy pan nie rozumiesz jakie tu światło padnie na nią, gdy wyjedziesz nagle, bez pożegnania i bezpowrotnie? A przytem ona jest chora i pańskiego wyjazdu może nie przeżyje.

Drahomir.

Nie widzę wyjścia...

Józwowicz.

Jest tylko jedno. Wynajdź pan powód, pożegnaj ją spokojnie i powiedz, że wrócisz. Inaczej może to być dla niej cios nad siły. Trzeba jej zostawić nadzieję. Ona nie powinna niczego się domyślać. Potem może oswoi się z nieobecnością pana, może zapomni...

Drahomir.

Niech lepiej zapomni.

Józwowicz.

Dołóżę wszystkich sił by się to stało. Pierwszy rzucę garść ziemi na pańską pamięć.

Drahomir.

Cóż więc mam czynić?

Józwowicz.

Wynaleźć powód, pożegnać ją, zapowiedzieć wszystkim powrót, i wyjechać. Jerzy również niema wiedzieć o niczem.

Drahomir.

Kiedyż mam ją pożegnać?

Józwowicz.

Za chwilę. Już ją uprzedziłem. Ja zajmę Pretwica przez ten czas. Ona tu nadejdzie wkrótce.

Drahomir.

Wszystko się tak składa, że wolałbym mieć kulę w sercu.

Józwowicz.

Nikt nie jest pewny swego jutra. Odejdź pan teraz. (*Drahomir wychodzi*).

S C E N A VI.

Józwowicz — później służący.

Józwowicz.

Jak tu ponuro. Głowa mi pęka (*dawoni, wchodzi służący*). Prosić tu natychmiast pana Pretwica. (*Służący wychodzi*). Głowa mi pęka... ale potem będzie długi spokój...

S C E N A VII.

Józwowicz — Jerzy.

Jerzy.

(*wchodząc*) Czego chciałeś odemnie?

Józwowicz.

Chciałem ci dać niektóre przestrogi co do zdrowia księżniczki.

Jerzy.

Jak ona się teraz ma?

Józwowicz.

Lepiej. Pozwoliłem jej teraz wstać, bo oboje z Drahomirem o to prosili.

Jerzy.

Z Drahomirem ?

Józwowicz.

Tak. On się chce z nią rozmówić. Mają się tu zejść za kwadrans.

Jerzy.

Józwowicz! mnie dusi wściekłość i ból. Drahomir mnie unika.

Józwowicz.

A! ty go przecież nie podejrzewasz ?

Jerzy.

Przysięgam, że się podejrzeniom bronił jak konnający kruk, że gryzł ręce z bólu i rozpacz, że jeszcze się bronię, ale nie mogę dłużej... nie mogę... Oczywistość bije mnie w głowę obuchem. On mnie unika, on! Na miłosierdzie Boże! powiedz mi, że głupi, że dostałem pomieszania zmysłów, bo się rwie wszystko we mnie...

Józwowicz.

Hamuj się. Gdyby nawet kochał księżniczkę, sercem nikt nie włada.

Jerzy.

Dosyć, dosyć! Tyś miał słusność, gdyś imię jego pierwszy raz z jej imieniem połączył. Ja odepchną-

lem wówczas tę myśl, ale żyła ona tu! (*uderza się w piersi*). Ziarno dojrzało teraz. O jaką ja tu rolę grałem straszną i śmieszłą, póki mnie nie przekonała oczywistość...

Józwowicz.

On ci przecie uratował życie.

Jerzy.

By zabrać je wtedy, gdy zacznie mieć wartość jakąś. Zapłacone już, zapłacone męczarnią, zabitem szczęściem, złamaną nadzieją, zniszczoną wiarą w niego, w siebie, w nią. A wiesz ty, ile już dni i nocy upłynęło, jak tłumię w sobie krzyk poprostu rozpaczy...

Józwowicz.

Uspokój się!

Jerzy.

Ja tego człowieka kochałem. Powiedz mi, żem waryat, a uspokoję się. Jakie to straszne, że to on właśnie. Rozum mój się kończy, siły się kończą, a nieszczęście się nie kończy. Pomyśl, że to on właśnie. Wybacz mi wszystko, com ci dawniej powiedział i ratuj mnie: złe myśli przychodzą mi do głowy.

Józwowicz.

Uspokój się — ty się mylisz.

Jerzy.

Pokaż mi, że się mylę, a klęknię przed tobą.

Józwowicz.

Mylisz się. Drahomir wyjeżdża.

Jerzy.

Wyjeżdża!.. (*chwila milczenia*) Boże wielki! więc i ja mogę żyć jeszcze jak każdy człowiek — nie w męczarni i mieć nadzieję?

Józwowicz.

(*zimno i powoli*). Nie wyjeżdża wprawdzie na zawsze. Mówił, że niedługo wróci.

Jerzy.

O! znówu wbijasz mię na krzyż.

Józwowicz.

Zbierz przytomność i nie daj porywać się obłędowi. W każdym razie zyskujesz na czasie. Jeśli cię zachwiał w sercu księżniczki, możesz odzyskać utracone miejsce.

Jerzy.

Nie! stało się! staczam się w przepaść.

Józwowicz.

Wszystko się może rozwiązać z jego wyjazdem.

Jerzy.

(*z wybuchem*) Mówiłeś przecie, że wróci.

Józwowicz.

(*z mocą*) Słuchaj, zgadzam się z tobą, żeś zapłacił Drahomirowi za życie boleścią: Drahomir zdradził i zlał przyjaźń, zabierając ci jej serce; ale odrzucam myśl, że wyjeżdża dlatego, by swą osobę przed twą zemstą uchronić.

Jerzy.

A jej dać czas do zerwania! Tak jest! tak, jam już przeklęty aż do godziny śmierci; już go będę o wszystko posądzał. On ucieka przedemną.

Józwowicz.

Jerzy!

Jerzy.

Niech mi Bóg przebaczy, jeśli się tu stanie z Karolem coś strasznego.

Józwowicz.

Biedny Jerzy!

Jerzy.

Dość, dość. Pójdę go spytać, kiedy wraca. Uratował mi jedno życie, a zabił dziesięć (*chce wychodzić*).

Józwowicz.

Gdzie idziesz?

Jerzy.

Spytać go na jak długo wyjeżdża?

Józwowicz.

Chwilę tylko. O co chcesz pytać, szalony? On może niewinny, ale duma zamknie mu usta i zgubi was obydwóch. Stój tu, bo przejdiesz chyba po moim trupie. Nie boję się ciebie — rozumiesz! Oni za chwilę mają się tu rozmówić. Potrzeba ci dowodów, będziesz je miał. Z ogrodu, z ganku nie będziesz ich słyszał, ale zobaczysz. Przekonasz się własnymi oczyma, i może będziesz żałował słów gwałtownych.

Jerzy.

(po chwili) Zgoda! dobrze. Oby Bóg dał, żeby tam nie było winy. Dziękuję ci, ale ty mnie nie opuszczaj teraz.

Józwowicz.

Słowo jeszcze. Cokolwiek zajdzie, nikczemnym byś był, gdybyś wybuchem przy niej naraził jej życie.

Jerzy.

Zgoda, chodźmy.

Józwowicz.

Powyprowadzam jeszcze wszystkich. Będą tu sami.

Jerzy.

Gdzie pójdziemy?

Józwowicz.

Na ganek ogrodowy.

Jerzy.

Niech Bóg zmiłuje się nademną i nad niemi.

Józwowicz.

Ty masz gorączkę. Trzęsiesz się jak w febrze...

Jerzy.

Ścisnę chustkę ustami. Więc tam, z ganku?

Józwowicz.

Tak, między cyprysami.

Jerzy.

Brak mi tchu. Tu się ktoś zbliża. Chodźmy.

SCENA VIII.

Drahomir — później Stella.

Drahomir.

Ostatni wieczór i ostatni raz. (*Po chwili*) Niech się dzieje wola Boża; niech na mnie spadną wszystkie cierpienia.

Stella.

(*wchodzi*) Doktor mówił mi, że pan się chciał widzieć ze mną.

Drahomir.

Tak, pani, proszę wybaczyć mi moją śmiałość. Ważne powody odwołują mnie na pewien czas do domu. Przyszedłem panią pożegnać.

Stella.

Pożegnać?

Drahomir.

Wyjeżdżam dziś jeszcze do Świetliniec, a jutro dalej (*chwila milczenia*).

Stella.

Tak — trzeba.

Drahomir.

Życie płynęło mi tu jak sen, czas się przebudzić...

Stella.

Wszakże pan mówi, że zobaczymy się jeszcze.

Drahomir.

Jak Bóg pozwoli.

Stella.

Więc daję panu rękę na pożegnanie, a z nią i wieczną przyjaźń. Przyjaźń, jak nieśmiertelnik: to bład kwiatek, ale nie więdnący nigdy. Niech pana Bóg prowadzi i strzeże. Serce... siostry pójdzie za panem wszędzie. Proszę pamiętać...

Drahomir.

Żegnam panią.

Stella.

Żegna pan jak gdyby na zawsze (*oddala się, potem wraca nagle, z łzami w głosie*). Panie Karolu? Dlaczego pan mnie zwodzi, pan odjeżdża na zawsze?

Drahomir.

Pani, miej litość nademną!

Stella.

Pan odjeżdża na zawsze?

Drahomir.

A więc: tak!

Stella.

Ogadłam. Ale to może i lepiej... dla nas obojga.

Drahomir.

O, tak! Są rzeczy których nie można wypowiedzieć, choć się rwie serce. Przed chwilą mówiłaś pani, że będziesz pamiętać; odwołaj ten dar, zapomnij.

Stella.

Nie potrafię (*wybucho płaczem*).

Drahomir.

(z wybuchem) A więc kocham cię aniele, jak szalony, i dlatego uciekam przed tobą i przed sobą samym *(przyciska ją do piersi)*.

Stella.

(budząc się) Boże!.. *(wybiega)*.

SCENA IX.

Drahomir — Józwowicz — Jerzy.

(Jerzy zatrzymuje się z Józwowiczem obok drzwi).

Drahomir.

To ty, Jerzy!

Jerzy.

Nie zbliżaj się do mnie. Widziałem wszystko! Jesteś niczemnik i tchórz!

Drahomir.

Jerzy!

Jerzy.

Złamana przyjaźń, zdeptane szczęście, straconą wiarę w Boga i ludzi, całą pogardę dla ciebie i siebie, rzucam ci w twarz, by nie skalać ręki policzkiem.

Drahomir.

Dosyć!

Jerzy.

Nia zbliżaj się do mnie, bo utracę przytomność i mózgiem twoim obryzgam te ściany. Nie! nie chcę tego, przyrzekłem. Daję ci w twarz niczemniku, czy słyszysz?

Drahomir.

(po chwili walki z sobą) Wobec Boga i ludzi
oświadczam, że krew zmywa takie słowa.

Jerzy.

Krew! *(pokazując na doktora)* Oto świadek twych
słów.

Józwowicz.

Służę panom.

(Zasłona spada.)

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Tenże sam salon.

SCENA I

Józwowicz.

(wchodzi czytając depeszę) „Rezultat dotychczas wiadomy: Józwowicz głosów 613, Husarski 604. Godzina 10-ta: Józwowicz 700, Husarski 700. Godzina 11-ta: Józwowicz 814, Husarski 750. Walka zacięta. Ostateczny rezultat będzie wiadomy o trzeciej“ *(patrzy na zegarek)*.

SCENA II.

Józwowicz — Jerzy.

Józwowicz.

Ty tutaj!

Jerzy.

Cofasz się jak przed widmem.

Józwowicz.

Przecie to dziś?

Jerzy.

Prosto stąd jadę na plac. Mam jeszcze godzinę

czasu. Pojedynek odbędzie się w Dąbrowie na gruntach Miliszewskich, zatem niedaleko.

Józłowicz.

Zabliżko stąd.

Jerzy.

Miliszewski jako świadek nalegał. Zresztą od tego ty jesteś, żeby wiadomość tu przysłała jak najpóźniej.

Józłowicz.

Wszakże doktor Krzycki będzie według umowy na placu?

Jerzy.

Tak jest!

Józłowicz.

Proś go jeszcze raz, by mi przysłał wiadomość natchmiast. Sambym wam towarzyszył, ale muszę tu być.

Jerzy.

Bardzo słusznie. Jeśli zginę...

Józłowicz.

Nie przypuszczaj z góry.

Jerzy.

Są ludzie przekłęci przez los w godzinę urodzenia, dla których jedynym odkupieniem jest śmierć. Ja do takich ludzi należę. Myślałem o wszystkim długo i spokojnie. Bóg widzi, że więcej się życia lękam niż śmierci. Niema dla mnie wyjścia, bo jeśli nawet nie zginę, powiedz mi co będzie wówczas, co mnie czeka, gdy zabiję człowieka, którego ona kocha? Powiedz mi? Będę żył

bez niej i przeklinany przez nią. Czy wiesz, że kiedy wspomnę na moje położenie, kiedy pomyślę o tem co się stało, to zdaje mi się, że jakiś zły duch wmieszał się między nas i tak poplątał to wszystko, że tylko śmierć rozplątać te węzły może.

Józwowicz.

Pojedynek często się kończy raną, skaleczeniem.

Jerzy.

Zelżyłem Drahomira ciężko i takiej obelgi rana nie zmywa. Wierz mi, że jeden z nas zginąć musi. Ale przychodzę mówić ci o czem innym.

Józwowicz.

Słucham cię.

Jerzy.

Prawdę mówiąc, ponieważ nie włem, czy za godzinę żyć będę, przyjechałem popatrzeć jeszcze na nią, bo... bo ją kocham nad wszystko w świecie. Byłem może dla niej zaszorстки, zanieścześnieśliwy, zagłupi, ale... kochałem. Oto niech Bóg, który teraz patrzy w serce moje, potępi mnie na zawsze, jeśli nie pragnął jej szczęścia. Jak mnie tu widzisz, tak w tej chwili jej żal mi najwięcej i cierpię bardzo, gdy myślę o jej przyszłości. Słuchaj! czy zginę, czy nie, ona stracona dla mnie; nie ożeni się z nią i Drahomir, bo nie może żenić się z kobietą, której zabił narzeczonego. Z nas trzech, ty jeden zostaniesz przy niej, strzeż jej, czuwaj nad nią. Oddaję ją, mój skarb jedyny jaki miałem, w twoje uczciwe ręce.

Józwowicz.

(spokojnie) Spelnię wszystko czego żadasz.

Jerzy.

A teraz, ponieważ mogę zginąć, chcę zginąć jak chrześcjanin. Jeśliś miał do mnie urazę, jeśliś względem ciebie kiedy zawinił, przebacz mi! *(ściskają się za ręce— Jerzy wychodzi).*

Józwowicz.

(sam) Tak! Z nas trzech, ja jeden zostanę przy niej.

SCENA III.

Antoni — Józwowicz

Antoni.

(wbiegając szybko) Człowieku, czyś ty zwaryował! Tam każda chwila droga, a ty tu siedzisz. Sprawa chwieje się, porozlepiano nowe afisze, stronnicy Husarskiego łapią ludzi za poły. Na Boga, jedźże ze mną, drożka czeka na dole. Czegoże ty tu siedzisz?

Józwowicz.

Muszę tu zostać. Nie pojedę za nic w świecie, nie pojedę. Niech się dzieje co chce.

Antoni.

A! przysięgam, jeśliś ja się tego spodziewał! Pokaż się choć na chwilę, a wygrasz na pewno! Mnie już płuc i głosu nie staje. Czyś się wściekł? Tam za niego pracują, wrzeszczą, a ten się przyczepił do spódniczki i siedzi. Pięknego posła wybieramy.

Józwowicz.

Antoni! Choćbym miał tam przepaść, krokiem się nie ruszę. Nie mogę i nie pojedę.

Antoni.

...Tak?...

Józwowicz.

Tak jest!

Antoni.

A! no, to rób co chcesz. Dobrze! winszuję (*chodzi po pokoju, po chwili wkłada ręce do kieszeni i staje przed Józwowiczem*). Co to wszystko znaczy?

Józwowicz.

To znaczy, że muszę tu być. W tej chwili Drahomir z Pretwicem stoją naprzeciw siebie z bronią w rękę. Gdyby wiadomość doszła o tem niespodzianie do księżniczki, mogłaby ją życiem przyplacić.

Antoni.

Strzelają się?

Józwowicz.

Na śmierć i życie. Za chwilę będzie tu wiadomość, który z dwóch zginął (*chwila milczenia*).

Antoni.

Józwowicz! kto to wszystko zrobił?

Józwowicz.

Ja! Zgniotłem tych co mi stawali w drodze, i zgniotę zawsze. Masz mnie, jakim jestem.

Antoni.

A no, jeśli tak, to i mnie już nie spieszno. Czy wiesz co ci powiem?

Józwowicz.

Usuń się na chwilę, księżniczka tu nadchodzi (*otwiera drzwi bocznego pokoju*). Wejdz tam.

SCENA IV.

Józwowicz — Stella.

Stella.

Mój doktorze, co się tu dzieje w tym domu?

Józwowicz.

O co pani pyta?

Stella.

Pan Jerzy przyszedł do mnie jakiś wzruszony i żegnał się ze mną; prosił mnie, bym mu przebaczyła, jeśli kiedy względem mnie zawinił.

Józwowicz.

(*n. s.*) Głupiec sentymentalny!

Stella.

Mówił mi, że może na kilka dni zmuszony będzie wyjechać. Mam przecucie, że coś ukrywacie przedemną. Co to znaczy, doktorze? Nie dręczcie mnie dłużej. Taka już jestem biedna, że doprawdy, należy mi się urochę litości.

Józwowicz.

Niech pani się o nic nie troszczy. Cóżby się dziać mogło? Przywidzenie, czyste przywidzenie. Opieka serc troskliwych otacza panią. Skąd takie dziwne przypuszczenia? Niech się pani teraz wróci do siebie i nie przyjmuje nikogo. Za chwilę nadejdę.

Stella.

Więc naprawdę niema nic złego?

Józwowicz.

Ale co znowu! Proszę mi wierzyć, że potrafiłbym usunąć wszystko, coby groziło szczęściu pani.

Stella.

(podając mu rękę) O! panie Stanisławie, szczęście to rzecz zbyt trudna, niechby tylko spokój nas nie opuszczał *(chce odchodzić przez pokój, w którym jest Antoni)*.

Józwowicz.

Tędy księżniczko. W tamtym pokoju czeka ktoś na mnie. Za chwilę przyjdę do pani. Proszę nie przyjmować nikogo. Antoni!

(Księżniczka odchodzi).

SCENA V.

Antoni — Józwowicz — później Służący.

Antoni.

Jestem. Biedne, biedne dziecko!

Józwowicz.

Dla niej nie mogę odjechać. Muszę tu być i nie puszczam do niej wieści z nieszczęściem, bo to mogłoby ją zabić.

Antoni.

Jakto? więc ty, wiedząc o tem, narażasz ją jednak? Kochasz ją i poświęcasz dla siebie?

Józwowicz.

(gorączkowo) Kocham ją i muszę ją mieć, choćby ten dom zwał się nam na głowy.

Antoni.

Człowieku, ty mówisz jak nieprzytomny.

Józwowicz.

Człowieku, ty mówisz jak niedołęga, nie jak mężczyzna. W ustach macie pełno frazesów i siły, a nie umiecie spojrzeć w oczy faktom. Kto śmie powiedzieć: nie masz prawa się bronić?

Antoni.

(po chwili) Bądź zdrow!

Józwowicz.

Dokąd idziesz?

Antoni.

Wracam do miasta.

Józwowicz.

Jesteś zemną, czy przeciw mnie?

Antoni.

Jestem uczciwym człowiekiem.

Służący.

(wchodzi) Posłaniec przyniósł list z Miliszewa.

Józwowicz.

Dawaj. Odejdź! *(rozrywa pieczętkę i czyta)* „Poje-
dynek odbył się. Pretwic nie żyje“. *(po chwili)* A aa!..

Antoni.

Nim odejdę, winienem ci odpowiedź, boś mnie pytał, co znaczy, że się oddalam. Służyłem ci wiernie jak pies, bom wierzył w ciebie. Ty umiałeś mnie użyć a może i zużyć. Wiedziałem, że byłem narzędziem, ale ja o takie rzeczy nie dbam; jednakże teraz...

Józwowicz.

Teraz opuszczasz sprawę!

Antoni.

O ty mnie nie znasz. Cobym robił na świecie gdybym ją opuścił? A zresztą, czy sądzisz, że sprawa to ty jeden? Ja nie opuszczę jej dlatego, że się zawiódł na tobie. Ale chodzi mi o co innego. Byłem tak głupi, że się do ciebie przywiązałem, a teraz żał mi tego, bo jako człowiekowi prywatnemu, muszę powiedzieć ci: przebrałeś miarę, na złe użyłeś tej siły, którą jest w tobie. O! wiem, wiem, możeby dla mnie korzystniej było nie mówić ci tego; może czepiać się ciebie, to przyszłość dla takiego odrapańca jak ja, który nie bardzo ma co w domu dać jeść żonie i dzieciom. Ale nie mogę! dałbóg nie mogę! Goły jestem i goły zostanę, niech więc

przynajmniej mam czyste sumienie. Ot! co! Byłeś mi tak blizki jak i żona i dzieci, bliższym jeszcze! od dziś jesteś tylko cyfrą polityczną, ale w przyjaźni, szukaj kogo innego. Wiesz, zem ja nie skrupulat; człowiek się ociera o ludzi i nie jedno w sobie zetrze: tyś jednak przebrał miarę. Niech mnie powiesz, jeśli nie wolę kochać ludzi niż ich tłuc. Mówią, że uczciwość i polityka to co innego. Gdzieindziej, tak! ale u nas te rzeczy musisz połączyć. Dlaczego to nie mają iść razem? Ja nie opuszczam naszej sprawy, ale z naszej przyjaźni kwita, bo kto mówi, że kocha ludzkość, a czai się i wali podstępem ludzi po lbie, ten jest kłamcą, rozumiesz?

Józwowicz.

Twojej przyjaźni nie będę ciągnął przemocą, ale posłuchaj mnie poraz ostatni. Jeśli zaczniesz się dla mnie czas kłęsk, to zaczniesz się od tego, że tacy ludzie jak ty, przestaną mnie rozumieć. Oto mojemu losowi, moim prawom do szczęścia, mojej przyszłości człowiek ten, który zginął, wszedł w drogę nagle, ślepo, fatalnie i zabrał mi wszystko! Wszedł uzbrojony w dostatki, nazwisko, stosunki i całą tę broń niezwalczoną, którą daje fortuna i urodzenie. Com miał przeciw niemu? z czem mogłem walczyć? co przeciwstawić jego potędze? Nic prócz tego, co jest bronią nowych ludzi, tę trochę inteligencji zdobytej krwawą pracą i wysileniem. Oto wypowiedział mi głuchą wojnę. Bronilem się. Czemu? Bronią, jaką mi dała natura. Gdy nadepczesz robaka, nie bierz mu za złe, że się broni żądłem, bo niema czem

innem się bronić. Gdy masz usunąć kamień leżący na drodze, usuwaj jak chcesz. To prawo ludzkie! Tak jest! postawiłem wszystko na jedną kartę i wygrałem, ale to nie ja, to rozum zwyciężył siłę, nowy czas, dawne wieki. I ty mi to bierzesz za złe? Czego chcesz? jam wierny zasadzie; tylko, że wy się cofacie, ja nie! To jedna strona, a druga? Dla mego szczęścia potrzeba mi tej kobiety, bo ją kocham! dla moich celów, jej majątku i stosunków. Dajcie mi taką broń w ręce, a ja spełnię i przeprowadzę wszystko!.. Czy ty rozumiesz, jaka olbrzymia praca, jakie wielkie cele i plany przedemną? Chcecie, bym rozbił mur ciemnoty, zacofania, lenistwa, żebym tchnął życie w to co zwiędło: ja wołam środków! Nie macie! Więc ja je zdobędę lub zginę. Ale co? Tym wielkim celem, tym wielkim planom, tej jasnej przyszłości, nie tylko mojej, ale ogólnej staje w drodze jeden panek, jeden błędny rycerz, jeden awanturnik, którego całą zasługą, że urodził się z herbem, i ja nie mam prawa go zgnieść? I wy chcecie, bym upadł głową do jego wielmożnych nóg, bym mu wszystko poświęcił? Nie!.. nie znacie mnie! Dość sentymentów. Trzeba siły i ja ją mam, i utoruję sobie i wam drogę, choćbym miał setki takich Pretwiców podeptać.

Antoni.

Nie, Józwowicz! Tyś zawsze robił ze mną coś chciał, ale teraz nie pobijesz mnie. Póki chodziło o przekonania, jam był z tobą; aleś ty zaczepił jakąś zasadę większą od ciebie i odemnie, i trwalszą i niezmienną. Ty mi tego nie wytłomaczysz i sam strzeż

się. Lada powód, a jako człowiek runiesz z całą swoją energią. To siła większa niż twoja; strzeż się, bo z nią przegrasz! Zasady, kochanku, się zmieniają, ale prosta uczciwość zawsze jednaka. Rób co chcesz, ale strzeż się. Co u dyabła! krew ludzka się mści, to także prawo natury. Ty mnie pytasz, czy ja cię opuszczam? Może radbyś, by ci zostawić wolność strzelania do ludzi z za płota, gdy ci to będzie dogadzało. Nie, bratku!.. Odtąd rozpoczyna się między nami ścisły rachunek, bo nie możemy ci ufać. Musisz nam zdać rachunek! Będziesz posłem, ale jeśli myślisz, że my tobie, nie ty nam służyć będziesz, to się mylisz. Cóżes to ty sądził, że szczerble tej drabiny po której się drapiesz, składają się z lajdaków? Hola! My, cośmy cię zrobili posłem, my w których uczciwość nie wierzysz podobno, będziemy cię teraz strzedz i sądzić. Jeśli zbroisz, to zetrzemy cię w proch. Nie sprawa dla ciebie, ale ty dla sprawy. Wybraliśmy cię, teraz służ!

Józwowicz.

(gwałtownie) Antoni!

Antoni.

Spokojnie! Wieczorem masz się stawić w mieście przed wyborcami. Do widzenia... panie Józwowicz!... *(wychodzi)*.

Józwowicz.

(sam) Ten jest pierwszy...

SCENA VI.

Józwowicz — Jan Miliszewski.

Jan.

(ukazuje się w uchylonych drzwiach) Psst!

Józwowicz.

Kto tam jest?

Jan.

To ja Miliszewski. Czy doktor sam?

Józwowicz.

Wejdz pan! No i cóż?

Jan.

Skończone. Ach, doktorze! nie żył i pięciu minut. Kazalem odwieźć ciało do Miliszewa do kościoła.

Józwowicz.

Wszak matki pana niema?

Jan.

Wyprawilem ją do miasta. Dziś są wybory, a mama nie wie, że ja się cofnąłem, więc będzie czekać na wieczorne dzienniki w nadziei, że moje nazwisko znajdzie między wybranymi.

Józwowicz.

Nikt po drodze nie widział?

Jan.

Boję się, że zobaczą krew, krwawil po drodze okropnie.

Józwowicz.

Dziwna rzecz! Strzelał jak mistrz!

Jan.

Doktorze, on umyślnie dał się zabić. Przecie tam byłem, widziałem doskonale; nie położył nawet palca

na cynglu. On wcale nie chciał Drahomira zabić. Sześć kroków, taka blizka meta! Oh! to okropnie patrzeć na cudzą śmierć! — naprawdę wolalbym sam zginąć. Strzelali na komendę: raz! dwa! trzy! Słyszymy strzał, ale jeden. Lecimy, Pretwic postąpił dwa kroki i ukląkł, chciał mówić: krew rzuciła mu się ustami; potem wziął pistolet i strzelił w bok. Myśmy już stali w koło, a on powiada do Drahomira: „Łaskęś mi zrobił, dziękuję. To życie do ciebie należało, boś je uratował. Przebacz — powiada — bracie!” powtórzył jeszcze raz: „Daj rękę” i zaczął konać... (*obciera chustką pot z czoła*). Drahomir rzucił mu się na piersi... O, doktorze! doprawdy to okropne. Biedna panna Stella! co się z nią stanie teraz?

Józłowicz.

Cicho! na miłość boską, przy niej ani słowa! Ona chora.

Jan.

Będę milczał.

Józłowicz.

Opanuj pan wzruszenie.

Jan.

Kiedy nie mogę nóg opanować, bo się podemną trzęsą.

SCENA VII.

Ciż — Książę wsparty na ramieniu Stelli i pani Czeska.

Książę.

Myslałem, że tu i Pretwic jest z wami. Józłowicz, gdzie jest Pretwic?

Józwowicz.

Nie wiem.

Stella.

Czy panu nie mówił dokąd wyjeżdża?

Józwowicz.

Nie wiem.

Czeska.

(*do Jana*) Co panu jest, panie hrabio, pan taki blady.

Jan.

O, wcale nie. To z gorąca.

Księżę.

Józwowicz! Mówił mi Pretwic...

SCENA VIII.

Drzwi otwierają się nagle, wbiega hrabina Miliszewska.

Hrabina.

Jean! gdzie mój Jean? O Boże, co się dzieje! Co za okropność!

Józwowicz.

(*biegnąc ku niej żywo*) Milcz pani.

Stella.

Co się stało?

Hrabina.

Więc to nie ty zabiłeś Pretwica? nie tyś się pojedynkował?

Józwowicz.

Milcz pani!

Stella.

Kto zabity, pani?

Hrabina.

Więc to Drahomir? Steluniu droga, Drahomir za-
bił Pretwica!

Stella.

Zabił! Boże! Boże! co się dzieje!...

Józwowicz.

Księżniczko! to nieprawda!

Stella.

Zabił? (*ślania się i pada*).

Józwowicz.

Zemdlala!... wynieśmy ją do sypialni.

Księżę.

Dziecko mojej

Czeska.

Steluniu!.. (*Księżę i Józwowicz wynoszą Stellę,
Hrabina i Czeska idą za niemi*).

Jan.

(*sam*) O, to okropne! wyprawilem mamę umyśl-

nie do miasta. Któżby się spodziewał, że wróci... (*we drzwiach ukazuje się hrabina*) Mamo, jakże księżniczka?

Hrabina.

Doktor ją cuci. Dotychczas się nie rozbudziła. Jean, wyjeżdżajmy stąd.

Jan.

(*z rozpaczą*) Nie wyjadę. Po co mama wróciła z miasta?

Hrabina.

Po ciebie. Dziś wybory, zapomniałeś.

Jan.

Ja nie chcę być posłem! Po co mama powiedziała tu o śmierci Pretwica?

SCENA IX.

Ciż — Józwowicz.

Hrabina i Jan.

(*razem*) Co tam? co tam?

Józwowicz.

Tam, niema już co robić. (*W pałacowej kaplicy odzywa się sygnaturka*).

Jan.

(*z przest్రachem*) Co to? dzwonek w kaplicy? (*Józwowicz podchodzi naprzód sceny i siada*).

SCENA X.

Ciż — Podczaski.

Podczaski.

(wpadając nagle) Zwycięstwo na całej linii! Depu-
tacya tu jest! *(Głosy za sceną):* „Niech żyje! niech żyje!“

Podczaski.

Wygrana! niech żyje!

Józwowicz.

...Przegrałem strasznie!...

K O N I E C.

SPIS PRZEDMIOTÓW

tomu piątego.

	str.
I. Latarnik	1
II. Niewola tatarska	27
III. Jamioł	81
IV. Bartek zwycięzca	95
V. Na jedną kartę	276

OGNIEM I MIECZEM

I

P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM VI



OGNIEM I MIECZEM

TOM I



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKA.

Henryk Sienkiewicz

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH

TOM I

WYDANIE SIÓDME

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

MANISZEWSKI i MEINHART
KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT
w Lwowie, plac Halicki 3.

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Февраля 1901 г.

ROZDZIAŁ I.

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroiła się z Dzikich pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach; odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastąpiła tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które, podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem, wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. Padły częste deszcze. Step rozmókł i zmienił się w wielką kałużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że — dziw nad dziwy! — w województwie braclawskim i na Dzikich polach zielona ruń okryła stopy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i huczeć, bydło ryczało po zagrodach. Gdy więc

tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi, oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niespokojny umysł i oczy szczególniejszemu ku Dzi-
kim polom, od których łatwiej niżli skądinąd mogło się ukazać niebezpieczeństwo.

Tymczasem na polach nie działo się nic nadzwyczajnego i nie było innych walk i potyczek jak te, które się odprawiały tam zwykle, a o których wiedziały tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny.

Bo takie to już były te pola. Ostatnie ślady osiadłego życia kończyły się, idąc ku południowi, niedaleko za Czehrynem ode Dniepru, a od Dniestru, niedaleko za Umaniem, a potem już hen ku limanom i morzu step i step w dwie rzeki, jakby w ramę ujęty. Na łuku dniewnym, na Niżu, wrzało jeszcze kozackie życie za porohami, ale w samych polach nikt nie mieszkał i chyba po brzegach tkwiły gdzieś „polanki“, jakoby wyspy wśród morza. Ziemia była *de nomine* Rzeczypospolitej, ale pustynna, na której pastwisko Rzeczypospolita Tatarom pozwalała, wszakże, gdy kozacy często bronili, więc to pastwisko było i pobojuwiskiem zarazem.

Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie spamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne widziały, a kto z daleka usłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie, nad jednym kołujące miejscem, to wiedział, że tam trupy lub kości nieopogrzebione leżą... Polowano w trawach na ludzi, jakby na wilki lub suhaki. Polował kto chciał. Człek prawem ścigan chronił się w dzikie stepy, orężny pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, łotrzyk łupu, kozak Tatara, Tatar kozaka. Bywało, że i całe watahy bronili trzód przed tłumami napastników. Step to był pusty i pełny zara-

zem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki ód Dzikich pól, ale i od dzikich dusz.

Czasem też napelniała go wielka wojna. Wówczas płynęły po nim jak fale czambuły tatarskie, pułki kozackie, to chorągwie polskie lub wołoskie; nocami rżenie koni wtórowało wyciom wilków, głos kotłów i trąb mosiężnych leciał aż do Owidowego jeziora i ku morzu, a na Czarnym szlaku, na Kuczmańskim — rzekłbyś powódź ludzka. Granic Rzeczypospolitej strzegły od Kamieńca aż do Dniepru stаницe i „polanki“ — i gdy szlaki miały się zaroić, poznawano właśnie po niezliczonych stadach ptactwa, które płoszone przez czambuły, leciały na północ. Ale Tatar, byle wychylił się z Czarnego lasu lub Dniestr przebył od strony wołoskiej, to stepem równo z ptakami stawał w południowych województwach.

Wszelako zimy owej ptactwo nie ciągnęło z wrzaskiem ku Rzeczypospolitej. Na stepie było ciszej, niż zwykle. W chwili, gdy rozpoczyna się powieść nasza, słońce zachodziło właśnie, a czerwowawe jego promienie rozświecały okolicę pustą zupełnie. Na północnym krańcu Dzikich pól, nad Omelniczkiem, aż do jego ujścia, najbystrzejszy wzrok nie mógłby odkryć jednej żywej duszy, ani nawet żadnego ruchu w ciemnych, zeschniętych i zwiędłych burzanach. Słońce połową tylko tarczy wyglądało jeszcze z za widnokręgu. Niebo było już ciemne, a potem i step zwolna mroczył się coraz bardziej. Na lewym brzegu, na niewielkiej wyniosłości, podobniejszej do mogiły niż do wzgórza, świeciły tylko resztki murowanej stаницy, którą niegdyś jeszcze Teodoryk Buczacki wystawił, a którą potem napady starły. Od ruiny owej padł długi cień. Opodal świeciły wody szeroko rozlanego Omelniczka, który w tem miejscu

skręca się ku Dnieprowi. Ale blaski gasły coraz bardziej na niebie i na ziemi. Z nieba dochodziły tylko klangory zórawi, ciągnących ku morzu, zresztą ciszy nie przerywał żaden głos.

Noc zapadła nad pustynią, a z nią nastąpiła godzina duchów. Czuwający w stanicach rycerze opowiadali sobie w owych czasach, że nocami wstają na Dzikich polach cienie poległych, którzy zeszli tam nagłą śmiercią w grzechu, i odprawują swoje korowody, w czym im żaden krzyż ani kościół nie przeszkadza. To też, gdy sznury, wskazujące północ, poczynaly się dopalać, odmawiano po stanicach modlitwy za umarłych. Mówiono także, że one cienie jeźdźców, snując się po pustyni, zastępują drogę podróżnym, jęcząc i prosząc o znak krzyża świętego. Między nimi traślały się i upiory, które gonily za ludźmi, wyjąc. Wprawne ucho z daleka już rozeznawało wycie upiorów od wilczego. Widywano również całe wojska cieniów, które czasem zbliżały się tak do stanic, że strażę grały larum. Zapowiadało to zwykle wielką wojnę. Spotkanie pojedynczych cieniów nie znaczyło również nic dobrego, ale nie zawsze należało sobie źle wróżyć, bo i człek żywy zjawiał się nieraz i niknął jak cień przed podróżnymi, dlatego często i snadnie za ducha mógł być poczytany.

Skoro więc noc zapadła nad Omelniczkiem, nie było w tem nic dziwnego, że zaraz koło opustoszałej stancyi pojawił się duch czy człowiek. Miesiąc wychynał właśnie z za Dniepru i obielił pustkę, głowy bodiaków i dal stepową. Wtem niżej na stepie ukazały się i inne jakieś nocne istoty. Przelatujące chmurki przesłańaly co chwila blask księżyca, więc owe postacie to wybliskiwały z cienia, to znowu gasły. Chwilami nikły zupełnie

i zdawały się topnieć w cieniu. Posuwając się ku wyniosłości, na której stał pierwszy jeździec, skradały się cicho, ostrożnie, zwolna, zatrzymując się co chwila.

W ruchach ich było coś przerażającego, jak i w całym tym stepie, tak spokojnym napozór. Wiatr chwilami podmuchiwał ode Dniepru, sprawując żaloszny szelest w zeschniętych bodiakach, które pochylały się i trzęsły, jakby przerażone. Nakoniec postacie znikły, schroniły się w cień ruiny. W bladym świetle nocy widać było tylko jednego jeźdźcę, stojącego na wyniosłości.

Wreszcie szelest ów zwrócił jego uwagę. Zbliżywszy się do skraju wzgórza, począł wpatrywać się w step uważnie. W tej chwili wiatr przestał wiać, szelest ustał, zrobiła się cisza zupełna.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst. Zmieszane głosy poczęły wrzeszczeć przeraźliwie: „Halla! halla! Jezu Chryste! ratuj! bij!” Rozległ się huk samopalów, czerwone światła rozdarły ciemność. Tętent koni zmieszal się z szcękami żelaza. Nowi jacyś jeźdźce wyrosli jakby z pod ziemi na stepie. Rzekłbyś burza zawrzała nagle w tej cichej złowroziej pustyni. Potem jęki ludzkie zawtórowały wrzaskom straszonym, wreszcie ucichło wszystko, walka była skończona.

Widocznie rozegrywała się jedna ze zwykłych scen na Dzikich polach.

Jeźdźcy zgrupowali się na wyniosłości, niektórzy po posiadali z koni, przypatrując się czemuś pilnie.

Wtem w ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos:

— Hej tam! skrzesać ognia i zapalić!

Po chwili posypały się naprzód iskry, a potem

buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa, które podróżujący przez Dzikie pola wozili zawsze ze sobą.

Wnet wbito w ziemię drąg od kaganka i jaskrawe padające z góry światło oświeciło wyraźnie kilkunastu ludzi, pochylonych nad jakąś postacią leżącą bez ruchu na ziemi.

Byli to żołnierze ubrani w barwę czerwoną, dworską, i w wilcze kapuzy. Z tych, jeden siedzący na dzielnym koniu, zdawał się reszcie przywozić. Zsiadłszy z konia, zbliżył się do owej leżącej postaci i spytał:

— A co, wachmistrzu, żyje, czy nie żyje?

— Żyje, panie namiestniku, ale charcze; arkan go zdławił.

— Co zacz jest?

— Nie Tatar, znaczny ktoś.

— To i Bogu dziękować.

Tu namiestnik popatrzył uważniej na leżącego męża.

— Coś jakby hetman — rzekł.

— I koń pod nim Tatar zacny, jak lepszego u chana nie znaleźć — odpowiedział wachmistrz. — A ot tam go trzymają.

Porucznik spojrział i twarz mu się rozjaśniła. Obok dwóch szeregowych trzymało rzeczywiście dzielnego rumaka, który, tuląc uszy i rozdymając chrapy, wyciągał głowę i poglądał przerażonemi oczyma na swego pana.

— Ale koń, panie namiestniku, będzie nasz? — wtrącił tonem pytania wachmistrz.

— A ty psiawiaro, chciałbyś chrześcijaninowi konia w stepie odjąć?

— Bo zdobyczny...

Dalszą rozmowę przerwało silniejsze chrapanie zduszonego męża.

— Włać mu gorzalki w gębę — rzekł pan namiestnik — pas odpiąć.

— Czy zostaniemy tu na nocleg?

— Tak jest, konie rozkulbaczyć, stos zapalić.

Żołnierze skoczyli co żywo. Jedni poczęli cucić i rozcierać leżącego, drudzy ruszyli po oczerety, inni rozesłali na ziemi skóry wielbłądzie i niedźwiedzie na nocleg.

Pan namiestnik, nie troszcząc się więcej o zduszonego męża, odpiął pas i rozciągnął się na burce przy ognisku. Był to młody bardzo człowiek, suchy, czarniawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą i wydatnym orlim nosem. W oczach jego malowała się okrutna fantazyja i zadzierzystość, ale w obliczu miał wyraz uczciwy. Wąs dość obfity i niegolona widocznie oddawna broda, dodawały mu nad wiek powagi.

Tymczasem dwaj pacholkiwie zajęli się przyrządzaniem wieczerzy. Położono na ogniu gotowe ćwierci baranie; zdjęto też z koni kilka dropiów, upolowanych w czasie dnia, kilka pardew i jednego suhaka, którego pachol wnet zaczął obłupywać ze skóry. Stos płonął, rzucając na step ogromne czerwone koło światła. Zduszony człowiek począł zwolna przychodzić do siebie.

Przez czas jakiś wodził nabiegłemi krwią oczyma po obcych, badając ich twarze, następnie usiłował powstać. Żołnierz, który poprzednio rozmawiał z namiestnikiem, dźwignął go w górę pod pachy; drugi włożył mu obuszek w dłoń, na którym nieznajomy wsparł się z całej siły. Twarz jego była jeszcze czerwona, żyły jej nabrzmiały. Nakoniec przyduszonym głosem wykrztusił pierwszy wyraz:

— Wody!

Podano mu gorzałki, którą pił i pił, co mu widocznie dobrze zrobiło, bo odjąwszy wreszcie flaszkę od ust, czystym już głosem spytał:

— W czyich jestem rękę?

Naczelnik powstał i zbliżył się ku niemu.

— W rękę tych, co waści salwowali.

— Przeto nie waszmościowie schwycili mnie na arkan?

— Mosanie, nasza rzecz szabla, nie arkan. Krzywdzisz waść dobrych żołnierzków podejrzeniem. Złapali cię jakowis łotrzykowie, udający Tatarów, których jeśliś ciekaw, oglądać możesz, bo oto leżą tam porznięci jak barany.

To mówiąc, wskazał ręką na kilka ciemnych ciał, leżących poniżej wyniosłości.

A nieznajomy na to:

— To pozwólcie mi spocząć.

Podłożono mu wojłokową kulbakę, na której siadł i pogrążył się w milczeniu.

Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i uderzających rysów. Głowę miał ogromną, cerę zawiędłą, bardzo ogorzalą, oczy czarne i nieco ukośne, jak u Tatarów, a nad wązkiemi ustami zwieszał mu się cienki wąs, rozchodzący się dopiero przy końcach w dwie szerokie kiście. Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę. Było w niej coś pociągającego i odpychającego zarazem — powaga hetmańska, ożeniona z tatarską chytrą, dobroć i dzikość.

Posiedziawszy nieco na kulbace, wstał i nad wielkie spodziewanie, zamiast dziękować, poszedł oglądać trupy.

— Prostack! — mruknął namiestnik.

Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy, kiwając głową, jak człowiek, który odgadł wszystko, poczem wracał zwolna do namiestnika, klepiąc się po bokach i szukając mimowolnie pasa, za który widocznie chciał zatknąć rękę.

Nie podobała się młodemu namiestnikowi ta powaga w człeku oderżniętym przed chwilą od powroza, więc rzekł z przekąsem:

— Rzekłby kto, że wasze znajomych szukasz między owymi lotrzykami, albo że pacierz za ich duszę odmawiasz.

Nieznajomy odparł z powagą:

— I nie mylisz się waść i mylisz: nie mylisz się, bom szukał znajomych, a mylisz się, bo to nie lotrzykowie, jeno słudzy pewnego szlachcica, mego sąsiada.

— Tedy widocznie nie z jednej studni pijacie z onym sąsiadem.

Dziwny jakiś uśmiech przeleciał po cienkich wargach nieznajomego.

— I w tem się waść mylisz — mruknął przez zęby. Po chwili dodał głośniejsze:

— Ale wybacz waszmość pan, żem mu naprzód powinnej nie złożył dzięki za *auxilium* i skuteczny ratunek, który mnie od tak naglej śmierci wybawił. Waści męstwo stanęło za moją nieostrożność, bom się od ludzi swoich odłączył, ale też wdzięczność moja wyrównywa waszmościej ochocie.

To rzekłszy, wyciągnął ku namiestnikowi rękę.

Ale butny młodzieńczyk nie ruszył się z miejsca i nie spieszył z podaniem swojej, natomiast rzekł:

— Chciałbym naprzód wiedzieć, jeżeli ze szlachci-

cem mam sprawę, bo chociaż o tem nie wątpię, jednakże bezimiennych podzięków przyjmować mi się nie godzi.

— Widzę w waszmości prawdziwie kawalerską fantazyą — i słusznie mówisz. Powinienem był zacząć od nazwiska mój dyskurs i moją podziękę. Jestem Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcic z województwa kijowskiego osiadły i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Dominika Zaslawskiego.

— A ja Jan Skrzetuski, namiestnik chorągwi pancerniej J. O. Ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

— Pod sławnym wojownikiem waść służył. — Przyjmże teraz moją wdzięczność i rękę.

Namiestnik nie wahał się dłużej. Towarzysze pancerni z góry wprawdzie patrzyli na żołnierzów z pod innych chorągwi, ale pan Skrzetuski był na stepie, na Dzikich polach, gdzie takie rzeczy mniej szły pod uwagę. Zresztą miał do czynienia z pułkownikiem, o czym zaraz naocznie się przekonał, bo gdy jego żołnierze przynieśli panu Abdankowi pas i szablę, z których go rozpasano dla cucenia, podali mu zarazem i krótką buławę o osadzie z kości, o głowie z ślinowatego rogu, jakich zażywali zwykle pułkownicy kozaccy. Przytem ubiór imci Zenobiego Abdanka był dostatni, a mowa kształtna znamionowała umysł bystry i otarcie się w świecie.

Więc pan Skrzetuski zaprosił go do kompanii. Zapach pieczonych mięs jał właśnie rozchodzić się od stosu, lechcąc nozdrza i podniebienie. Pachol wydobyl je z żaru i podał na latercynowej misie. — Poczęli jeść, a gdy przyniesiono spory worek mołdawskiego wina, uszyty z kozłej skóry, wnet zawiązała się żywa rozmowa.

— Oby się nam szczęśliwie do domu wróciło! — rzekł pan Skrzetuski.

— To waszmość wracasz? skądże proszę? — spytał Abdank.

— Zdaleka, bo z Krymu.

— A cóżeś waszmość tam robił? z wykupnem jeździłeś?

— Nie, mości pułkowniku; jeździłem do samego chana.

Abdank nastawił ciekawie ucha.

— Ano to proszę, w piękną waść wszedłeś komi-tywę. I z czemże do chana jeździłeś?

— Z listem J. O. Ks. Jeremiego.

— To waść posłował! O cóż jegomość ksiązę do chana pisał?

Namiestnik popatrzył bystro na towarzysza.

— Mości pułkowniku — rzekł — zaglądałeś w oczy lotrzykom, którzy cię na arkan ujęli — to twoja sprawa; ale co ksiązę do chana pisał, to ani twoja, ani moja, jeno ich obydwóch.

— Dziwiłem się przed chwilą — odparł chytrze Abdank — że jegomość ksiązę tak młodego człowieka posłem sobie do chana obrał, ale po waścinej odpowiedzi już się nie dziwię, bo widzę, żeś młody laty, ale stary eksperyencyą i rozumem.

Namiestnik połknął gładko pochlebne słówko, pokręcił tylko młodego węża i pytał:

— A powiedzże mi waszmość, co porabiasz nad Omelniczkiem i jakeś się tu wziął sam jeden?

— Nie jestem sam jeden, jenom ludzi zostawił po drodze, a jadę do Kudaku, do pana Grodzickiego, któren tam jest przełożonym nad prezydyum, i do którego jegomość hetman W. wysłał mnie z listami.

— A czemu waść nie bajdakiem, wodą?

— Taki był ordynans, od którego odstąpić mi się nie godzi.

— To dziw, że jegomość hetman taki wydał ordynans, gdyż właśnie na stepie w tak ciężkie popadłeś terminy, których, wodą jadąc, pewno byłbyś uniknął.

— Mosanie, stepy teraz spokojne; znam ja się z nimi nie od dziś, a to, co mię spotkało, to jest złość ludzka i invidia.

— I któż to na jegomości tak nastaje?

— Długoby gadać. Sąsiad to zły, mości namiestniku, który substancją mi zniszczył, z włości mnie ruguje, syna mi zbił — i ot — widziałeś waść, tu jeszcze na szyję moją nastawał.

— A to waść nie nosisz szabli przy boku?

W potężnej twarzy Abdanka zabłysła nienawiść, oczy zaświeciły mu posępnie i odrzekł zwolna, a dobitnie:

— Noszę, i tak mi dopomóż Bóg, jako innych rekursów przeciw wrogom moim szukać już nie będę.

Porucznik chciał coś mówić, gdy nagle na stepie rozległ się tętent koni, a raczej pośpieszne chlupotanie końskich nóg po rozmięklej trawie. Wnet też i czeladnik namiestnika, trzymający straż, nadbiegł z wieścią, że jakowis ludzie się zbliżają.

— To pewnie moi — rzekł Abdank — którzy zaraz za Taśminą zostali. Jam też, nie spodziewając się zdrady, tu na nich czekać obiecał.

Jakoż po chwili gromada jeźdźców otoczyła półokręgiem wzgórze. Przy blasku ognia ukazały się głowy końskie z otwartymi chrapami, prychające ze zmęczenia, a nad nimi pochylone twarze jeźdźców, którzy, przyslaniając rękoma od blasku oczy, patrzyli bystro w światło.

— Hej ludzie! kto wy? — spytał Abdank.

— Raby boże! — odpowiedziały głosy z ciemności.

— Tak, to moi mołojce — powtórzył Abdank, zwracając się do namiestnika. — Bywajcie! bywajcie!

Niektórzy zeszli z koni i zbliżyli się do ognia.

— A my śpieszyli, śpieszyli batku. *Sacso s toboju?*

— Zasadzka była. Chwedko zdrajca wiedział o miejscu i tu już czekał z innymi. Musiał podążyć dobrze przede mną. Na arkan mnie ujęli!

— *Spasi Bih! spasi Bih!* A to co za Laszek koło ciebie?

Tak mówiąc, spoglądali groźnie na pana Skrzetuskiego i jego towarzyszków.

— To druchy dobre — rzekł Abdank. — Sława Bogu, całym i żyw. Zaraz będziemy ruszać dalej.

— Sława Bogu! my gotowi.

Nowoprzybyli poczęli rozgrzewać dłonie nad ogniem, bo noc była zimna, choć pogodna. Było ich ze czterdziestu, ludzi rośliych i dobrze zbrojnych. Nie wyglądali wcale na kozaków rejestrowych, co nie pomału zdziwiło pana Skrzetuskiego, zwłaszcza że była ich garść tak spora. Wszystko to wydało się namiestnikowi mocno podejrzanem. Gdyby hetman W. wysłał jmcu Abdanka do Kudaku, dalby mu przecie strażę z rejestrowych, a powtóre z jakiejżeby racyi kazał mu iść stepem do Czehryna, nie wodą? Konieczność przeprowiania się przez wszystkie rzeki, idące Dzikimi polami do Dniepru, mogła tylko pochód opóźnić. — Wyglądało to raczej tak, jakby jmc p. Abdank chciał właśnie Kudak ominąć.

Ale zarówno i sama osoba p. Abdanka zastanawiała wielce młodego namiestnika. Zauważył wraz, że kozacy, którzy ze swymi pułkownikami obchodzili się

dość poufale, jego otaczali czią niezwyčajną, jakby prawego hetmana. Musiał to być jakiś rycerz dużej ręki, co tem dziwniejsze było panu Skrzetuskiemu, że znając Ukrainę i z tej i z tamtej strony Dniepru, o takim przesławnym Abdanku nic nie słyisał. Było przytem w twarzy tego męża coś szczególnego — jakaś moc utajona, która tak biła z oblicza, jak żar od płomienia, jakaś wola nieugięta, znamionująca, że człek ten przed nikim i niczem się nie cofnie. Taką właśnie wolę w obliczu miał księżę Jeremi Wiśniowiecki, ale co w księciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wielkiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu nieznanego nazwiska, zabląkanym w głuchym stepie.

Pan Skrzetuski długo deliberował. Chodziło mu po głowie, że to może jaki potężny banita, który wyrokiem ścigan, chronił się w Dzikie pola — to znów, że to watazka watahy zbójckiej, ale to ostatnie nie było prawdopodobne. I ubiór i mowa tego człowieka pokazywały co innego. Zgoła więc nie wiedział namiestnik czego się trzymać, miał się tylko na baczności, a tymczasem Abdank kazał konia sobie podawać.

— Mości namiestniku — rzekł — komu w drogę, temu czas. Pozwólże podziękować sobie raz jeszcze za ratunek. Oby Bóg pozwolił mi odplacić ci równą usługą.

— Nie wiedziałem, kogo ratuję, przetom i na wdzięczność nie zasłużył.

— Modestya to twoja tak mówi, która jest męstwem równa. Przyjmijże ode mnie ten pierścień.

Namiestnik zmarszczył się i krok w tył odstąpił, mierząc oczyma Abdanka, ten zaś mówił dalej i z ojcowską niemal powagą w głosie i postawie:

— Spójrzyj jeno. Nie bogactwo tego pierścienia,

ale inne cnoty ci zalecam. Za młodych jeszcze lat, w bisurmańskiej niewoli będąc, dostałem go od pątnika, który z Ziemi Świętej powracał. W tem oczku zamknięty jest proch z grobu Chrystusa. Takiego daru odmawiać się nie godzi, choćby z osądzonych rąk pochodził. Jesteś waść młodym człowiekiem i żołnierzem, a gdy nawet i starość bliska grobu, nie wie, co ją przed ostateczną godziną spotkać może, cóż dopiero adolescencya, która mając przed sobą wiek długi, na większą liczbę przygód trafić musi. Pierścień ten ustrzeże cię od przygody i obroni, gdy dzień sądu nadejdzie, a to ci powiadam, że dzień ten idzie już przez Dzikie pola.

Nastąpiła chwila ciszy; słychać było tylko syczenie płomienia i parskanie koni.

Z dalekich oczeretów dochodziło żalosne wycie wilków. Nagle Abdank powtórzył raz jeszcze, jakby do siebie:

— Dzień sądu idzie już przez Dzikie pola, a gdy nadejdzie — *sadywoysia wsij swit bożyj...*

Namiestnik przyjął pierścień machinalnie, tak był zdumiały słowami tego dziwnego męża.

A ten zapatrzył się w dal stepową ciemną.

Potem zwrócił się zwolna i siadł na koń. — Mołojcy jego czekali już u stóp wzgórza.

— W drogę! w drogę! — Bywaj zdrów, druhu żołnierzu — rzekł do namiestnika. — Czasy teraz takie, że brat bratu nie ufa, przeto i nie wiesz kogoś ocalił, bom ci nazwiska swego nie powiedział.

— Więc waść nie Abdank?

— To klejnot mój...

— A nazwisko?

— Bohdan Zenobi Chmielnicki.

To rzaklszy, zjechał ze wzgórza, a za nim ruszyli molojcy. Wkrótce okryły ich tuman i noc. Dopiero gdy odjechali już z pół stajania, wiatr przyniósł od nich słowa kozackiej pieśni:

„Oj wyzwoły Boże nas wsich bidnych newilnykiw,
„Z tiażkoj newoli,
„Z wiry bisurmanskoj, —
„Na jasni zori,
„Na tychi wody,
„U kraj weseluj,
„U mir chreszczennyj. —
„Wysłuchaj Boże u prośbach naszych,
„U nieszczesnych mołytwach,
„Nas bidnych newilnykiw“.

Głosy cichły zwolna, potem stopiły się z powiewem szumiącym po oczeretach.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz z rana, przybywszy do Czehryna, pan Skrzetuski, stanął w mieście w domu księcia Jeremiego, gdzie też miał kęs czasu zabawić, aby ludziom i koniom dać wytchnienie po długiej z Krymu podróży, którą z przyczyny wezbrania i nadzwyczaj bystrych prądów na Dnieprze, trzeba było łądem odbywać, gdyż żaden bajdak nie mógł owej zimy płynąć pod wodę. Sam też Skrzetuski zażył nieco wczasu, a potem szedł do pana Zaćwilichowskiego, byłego komisarza Rzplitej, żołnierza dobrego, którego nie służąc u księcia, był jednak jego zaufanym i przyjacielem. Namiestnik pragnął się go wypytać, czy nie ma jakich z Łubniów dyspozycyi. Książę wszelako nic szczególnego nie polecił; kazał Skrzetuskiemu, w razie gdyby odpowiedź chanowa była pomyślna, wolno iść, tak, aby ludzie i konie mieli się dobrze. Z chanem zaś miał książę taką sprawę, że chodziło mu o ukaranie kilku murzów tatarskich, którzy własnowolnie puścili mu w jego zadnieprzańskie państwo zagony, a których sam zresztą srodze zbił. Chan rzeczywiście dał odpowiedź pomyślną: obiecał przysłać osobnego posła na kwiecień, ukarać nieposłusznych, a chcąc sobie zyskać życzliwość tak wslawionego jak książę wojownika,

posłał mu przez Skrzetuskiego konia wielkiej krwi i szlyk soboli. Pan Skrzetuski, wywiązawszy się z niemalym zaszczytem z poselstwa, które już samo było dowodem wielkiego książęcego faworu, bardzo był rad, że mu w Czechrynie zabawić pozwolono i nie naglono z powrotem. Natomiast stary Zaćwilichowski wielce był zafasowany tem, co działo się od niejakiego czasu w Czechrynie. Poszli tedy razem do Dopuła, Wołocha, który w mieście zajazd i winiarnię trzymał, i tam, choć była godzina jeszcze wczesna, zastali szlachty huk, gdyż to był dzień targowy, a oprócz tego w tymże dniu wypadła w Czechrynie postój bydła pędzonego ku obozowi wojsk koronnych, przyczem ludzi nabierało się mnóstwo. Szlachta zaś gromadziła się zwykle w rynku, w tak zwanym Dzwonickim kącie u Dopuła. Byli tam więc i dzierżawcy Konięcpolskich, i urzędnicy czechryńscy i właściciele ziem pobliskich siedzący na przywilejach, szlachta osiadła i od nikogo niezależna, dalej urzędnicy ekonomii, trochę starszyzny kozackiej i pomniejszy drobiazg szlachecki, bądź to na kondycjach żyjący, bądź na swoich futorach.

Ci i tamci pozajmowali ławy stojące wedle długich dębowych stołów i rozprawiali głośno, a wszyscy o ucieczce Chmielnickiego, która była największym w mieście ewenementem. Skrzetuski więc z Zaćwilichowskim siedli sobie w kącie osobno i namiestnik począł wypytywać, coby to za feniks był ten Chmielnicki, o którym wszyscy mówili.

— To waś nie wiesz — odpowiedział stary żołnierz. — To jest pisarz wojska zaporoskiego, dziedzic Subotowa i — dodał ciszej — mój kum. Znamy się dawno. Bywaliśmy w różnych potrzebach, w których niemało dokazywał, szczególnie pod Cecorą. Żołnierza takiej eks-

peryencyi w wojskowych rzeczach nie masz może w całej Rzeczypospolitej. Tego się głośno nie mówi, ale to hetmańska głowa: człek wielkiej ręki i wielkiego rozumu; jego całe kozactwo słucha więcej, niż kozowych i atamanów, człek niepozabawiony dobrych stron, ale hardy, niespokojny i gdy nienawiść weźmie w nim górę — może być straszny.

— Co mu się stało, że z Czehryna umknął?

— Koty ze starostką Czaplńskim darli, ale to furda! Zwyczajnie szlachcic szlachcicowi z nieprzyjaźni sadła zalewał. Nie jeden on, i nie jednemu jemu. Mówią przytem, że żonę starostce bałamucił, starostka mu kochanicę odebrał i z nią się ożenił, a on mu ją za to później bałamucił, a to jest podobna rzecz, bo zwyczajnie... kobieta lekka. Ale to są tylko pozory, pod którymi głębsze jakieś praktyki się ukrywają. Widzisz waść, rzecz jest taka: w Czerkasach mieszka stary Barabasz, pułkownik kozacki, nasz przyjaciel. Miał on przywileje i jakoś pisma królewskie, o których mówiono, że kozaków do oporu przeciw szlachcie zachęcały. Ale że to ludzki, dobry człek, trzymał je u siebie i nie publikował. Owóż Chmielnicki Barabasza na ucztę zaprosiwszy, tu do Czehryna do swego domu, potem posłał ludzi do jego futuru, którzy pisma i przywileje u żony podebrali — i z niemi umknął. Strach, by z nich jaka rebelia, jako była ostranicowa, nie korzystała, bo repeto: że to człek straszny, a umknął niewiadomo gdzie.

Na to pan Skrzetuski:

-- A to lis! w pole mnie wywiódł. Powiadał się pułkownikiem kozackim ks. D. Zasławskiego. Toć ja jego tej nocy na ściepie spotkałem i od arkana uwolniłem.

Zacwilichowski aż się za głowę porwał.

— Na Boga, co waść powiadasz? Nie może to być.

— Może być, kiedy było. Powiadał mi się pułkownikiem u ks. D. Zasławskiego i że do Kudaku, do pana Grodzickiego od Hetmana Wielkiego jest posłany, alem już temu nie wierzył, gdyż nie wodą jechał, jeno się stepem przekradał.

— To człek chytry jak Ulisess! I gdzieżeś go wać spotkał?

— Nad Omelniczkim, po prawej stronie Dnieprowej. Widno do Siczy jechał.

— Kudak chciał minąć. Teraz intelligo. Ludzi siła było przy nim?

— Było ze czterdziestu. Ale zapóźno przyjechali. Gdyby nie moi, byłiby go słudzy starostki zdławili.

— Czekaj-że waszmość. To jest ważna rzecz. Słudzy starostki mówisz?

— Tak sam powiadał.

— Skądże starostka mógł wiedzieć, gdzie jego szukać, kiedy tu w mieście wszyscy głowy tracą, nie wiedząc, gdzie się podział?

— Tego i ja wiedzieć nie mogę. Może też Chmielnicki zelgał i zwykłych lotrzyków na sług starostki kierował, by swoje krzywdy tem mocniej afirmować.

— Nie może to być. Ale to jest dziwna rzecz. Czy waszmość wie, że są listy hetmańskie, przykazujące Chmielnickiego łapać i *in fundo* zadzierżyć?

Namiestnik nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili wszedł do izby jakiś szlachcic z ogromnym hałasem. Drzwiami trzasnął raz i drugi, a spojrzawszy hardo po izbie, zawołał:

— Czołem waszmościom!

Był to człek czterdziestoletni, niski, z twarzą zapal-

czywą, której to zapalczywości przydawały jeszcze bardziej oczy, jakby śliwy na wierzchu głowy siedzące, ruchliwe — człek widocznie bardzo żywy, wichrowaty i do gniewu skory.

— Czołem waszmościom! — powtórzył głośniejsze i ostrzej, gdy mu zrazu nie odpowiadano.

— Czołem, czołem — ozwało się kilka głosów.

Był to pan Czapliński, podstarości czehryński, sługa zaufany młodego pana chorążego Koniecpolskiego.

W Czehrynie nie lubiono go, bo był zawadyaka wielki, pieniacz, prześladowca, ale miał niemniej wielkie plecy, przeto ten i ów z nim politykował.

Zaćwilichowskiego jednego szanował, jak i wszyscy, dla jego powagi, cnoty i męstwa. Ujrawszy go, wnet też zbliżył się ku niemu, i skłoniwszy się dość dumnie Skrzetuskiemu, zasiadł przy nich ze swoją lampką miodu.

— Mości starosto — spytał Zaćwilichowski — czy wiesz co się dzieje z Chmielnickim?

— Wisi, mości chorąży, jakem Czapliński, wisi, a jeśli dotąd nie wisi, to będzie wisiał. Teraz, gdy są listy hetmańskie, niech jedno go dostanę w swoje ręce.

To mówiąc, uderzył pięścią w stół, aż płyn rozlał się ze szklenic.

— Nie wylewaj waćpan wina! — rzekł pan Skrzetuski.

Zaćwilichowski przerwał:

— A czy go wać dostaniesz? Przecie uciekł i nikt nie wie, gdzie jest?

— Nikt nie wie? Ja wiem — jakem Czapliński! Waszmość, panie chorąży, znasz Chwedka. Owóz Chwedko jemu służy, ale i mnie. Będzie on Judaszem Chmielowi. Siła mówić. Wdał się Chwedko w komitywę z mołojcami

Chmielnickiego. Człek sprytny. Wie o każdym kroku. Podjął się mi dostawić żywym czy zmarłym i wyjechał w step równo przed Chmielnickim, wiedząc, gdzie ma go czekać! — A didków syn przekłęty!

To mówiąc, znowu w stół uderzył.

— Nie wylewaj waćpan wina! — powtórzył z przyciskiem pan Skrzetuski, który dziwną jakąś awersją uczuł do tego podstarościego od pierwszego spojrzenia.

Szlachcie zaczerwienił się, błysnął swemi wypukłemi oczyma, sądząc, że mu dają okazyją, i spojrzał zapalczywie na Skrzetuskiego, ale ujrawszy na nim barwę Wiśniowieckich, zmitygował się, gdyż jakkolwiek chorąży Koniecpolski wadził się wówczas z księciem, wszelako Czehryn zbyt był blisko Łubniów i niebezpiecznie było barwy książęcej nie uszanować.

Książę też i ludzi dobierał takich, że każdy dwa razy pomyślał, nim z którym zadarł.

— Więc to Chwedko podjął się waci Chmielnickiego dostawić? — pytał znów Zaćwilichowski.

— Chwedko. I dostawi — jakem Czapliński.

— A ja waci mówię, że nie dostawi. — Chmielnicki zasadzki uszedł i na Sicz podążył, o czym trzeba pana Krakowskiego dziś jeszcze zawiadomić. Z Chmielnickim niema żartów. Krótko mówiąc, lepszy on ma rozum, tęższą rękę i większe szczęście od waci, który zbyt się zapalasz. Chmielnicki odjechał bezpiecznie, powtarzam waci, a jeśli może nie wierzysz, to ci to ten kawaler powtórzy, który go wczoraj na stepie widział i zdrowym go pożegnał.

— Nie może być, nie może być! — wrzeszczał, targając się za czuprynę Czapliński.

— I co więcej — dodał Zaćwilichowski — to ten

kawaler tu obecny sam go salwował i waścinych sług wygubił, w czym, mimo listów hetmańskich, nie jest winien, bo z Krymu z poselstwa wraca i o listach nie wiedział, a widząc czleka przez lotrzyków, jak sądził, w stepie oprymowanego, przyszedł mu z pomocą. O którym to wyratowaniu się Chmielnickiego wcześniej waci zawiadamiam, bo gotów cię z Zaporozcami w twojej ekonomii odwiedzić, a znać nie byłbyś mu rad bardzo. Nadtoś się z nim warcholił. Tfu do licha!

Zaćwilichowski nie lubił także Czaplińskiego.

Czapliński zerwał się z miejsca i aż mu mowę ze złości odjęło, twarz tylko sponsowiała mu zupełnie, a oczy coraz bardziej na wierzch wylażyły. Tak stojąc przed Skrzetuskim, puszczał tylko urywane wyrazy:

— Jakto! waść mimo listów hetmańskich!... Ja waści... ja waści...

A pan Skrzetuski nie wstał nawet z ławy, jeno wsparłszy się na łokciu, patrzył na podskakującego Czaplińskiego, jak rarog na uwiązanego wróbla.

— Czego się waść mnie czepiasz, jak rzep psiego ogona? — spytał.

— Ja waści do grodu ze sobą... Waść mimo listów... Ja waści kozakami!...

Krzyczał tak, że w izbie uciszyło się trochę. Obecni poczęli zwracać głowy w stronę Czaplińskiego. Szukał on okazji zawsze, bo taka była jego natura, robił burdy każdemu kogo napotkał, ale to zastanowiło wszystkich, że teraz zaczął przy Zaćwilichowskim, którego jednego się obawiał, i że zaczął z żołnierzem, noszącym barwę Wiśniowieckich.

— Zamilknij-no waszeć — rzekł stary chorąży. — Ten kawaler jest ze mną.

— Ja wa... wa... waści do grodu... w dyby! — wrzeszczał dalej Czapliński, nie uważając już na nic i na nikogo.

Teraz pan Skrzetuski podniósł się także całą wysokością swego wzrostu, ale nie wyjmował szabli z pochew, tylko jak ją miał spuszczoną nisko na rapciach, chwycił w środku i podsunął w górę, tak że rękojeść wraz z krzyżykiem poszła pod sam nos Czaplińskiemu.

— Powąchaj no to waść! — rzekł zimno.

— Bij kto w Boga... Służba! — krzyknął Czapliński, chwytając za rękojeść.

Ale nie zdążył szabli wydobyć. Młody namiestnik obrócił go w palcach, chwycił jedną ręką za kark, drugą za hajdawery poniżej krzyża, podniósł w górę rzucającego się jak cyga i idąc ku drzwiom między ławami, wołał:

— Panowie bracia, miejsce dla rogala, bo pobodzie!

To rzekłszy, doszedł do drzwi, uderzył w nie Czaplińskim, roztworzył i wyrzucił podstarościego na ulicę.

Poczem spokojnie usiadł na dawnym miejscu obok Zaćwilichowskiego.

W izbie przez chwilę zapanowała cisza. Siła, jakiej dowód złożył pan Skrzetuski, zaimponowała zebranej szlachcie. Po chwili jednak cała izba zatrzęsała się od śmiechu.

— Vivant Wiśniowiecczycy! — wołali jedni.

— Omdlał, omdlał i krwią oblan — krzyczeli inni, którzy zagłądali przeze drzwi, ciekawi co też pocnie Czapliński. Słudzy go podnoszą!

Mała tylko liczba stronników podstarościego milczała i nie mając odwagi ująć się za nim, spoglądała ponuro na namiestnika.

— Prawdę rzekłszy, w piętkę goni ten ogar — rzekł Zaćwilichowski.

— Kundys to, nie ogar — rzekł, zbliżając się gruby szlachcic, który miał bielmo na jednym oku, a na czole dziurę wielkości talara, przez którą świeciła naga kość. — Kundys to, nie ogar! Pozwól waść — mówił dalej, zwracając się do Skrzetuskiego — abym mu służby moje ofiarował. Jan Zagłoba herbu Wczele, co każdy snadno poznać może, choćby po onej dziurze, którą w czole kula rozbójnicka mi zrobiła, gdym się do Ziemi Świętej za grzechy młodości ofiarował.

— Dajże waść pokój — rzekł Zaćwilichowski; — powiadałeś kiedyindziej, że ci ją kuflem w Radomiu wybito.

— Kula rozbójnicka, jakom żyw. W Radomiu było co innego.

— Ofiarowałeś się waść do Ziemi Świętej... może, aleś w niej nie był, to pewno.

— Nie byłem, bom już w Galacie palmę męczeńską otrzymał. Jeśli lżę, jestem arcypies, nie szlachcic.

— A taki breszesz i breszesz!

— Szelmą jestem bez uszów. W wasze ręce, panie namiestniku.

Tymczasem przychodzili i inni, zabierając z panem Skrzetuskim znajomość i affekt mu swój oświadczając, nie lubili bowiem ogólnie Czaplińskiego i radzi byli, że go taka spotkała konfuzya. Rzecz dziwna i trudna dziś do zrozumienia, że tak cała szlachta w okolicach Czehryna, jak i pomniejsi właściciele słobód, dzierżawcy ekonomii, ba, nawet ze służby Koniecpolskich, wszyscy wiedząc, jako zwyczajnie w sąsiedztwie, o zatargach Czaplińskiego z Chmielnickim, byli po stronie tego ostat-

niego. Chmielnicki bowiem miał sławę znamienitego żołnierza, którego niemałe zasługi w różnych wojnach położył. Wiedziano także, że sam król się z nim znosił i wysoce jego zdanie cenił, na całe zaś zajście patrzano tylko, jak na zwykłą burdę szlachcica ze szlachcicem, jakich to burd na tysiące się liczyło, zwłaszcza w ziemiach ruskich. Stawano więc po stronie tego, kto sobie więcej przychylności zjednać umiał, nie przewidując, by z tego takie straszliwe skutki wyniknąć miały. Później dopiero zapłonęły serca nienawiścią ku Chmielnickiemu, ale zarówno serca szlachty i duchowieństwa obydwóch obrządków.

Przychodzili tedy do pana Skrzetuskiego z kwartami, mówiąc: „Pij, panie bracie! Wypij i ze mną! — Niech żyją Wiśniowiecczy! Taki młody, a już porucznik u księcia. Vivat księżę Jeremi, hetman nad hetmany! Z księciem Jeremim pójdziemy na kraj świata! — Na Turków i Tatarów! — Do Stambułu! Niech żyje miłosciwie nam panujący Władysław IV!“ Najgłośniej zaś krzyczał pan Zagłoba, który sam jeden gotów był cały regiment przepić i przegadać.

— Mości panowie! — wrzeszczał, aż szyby w oknach dzwoniły — pozwałem ja już jegomości sultana do grodu za gwałt, którego się na mnie w Galacie dopuścił.

— Nie powiadajże waćpan lada czego, żeby ci się gęba nie wystrzępiła.

— Jakto, mości panowie? quatuor articuli iudicii castrensis: stuprum, incendium, latrocinium et vis armata alienis aedibus illata, a czyż nie była to właśnie vis armata?

— Krzykliwy z waści głuszec.

— I choćby do trybunału pójde.

— Przestańże wasze...

— I kondemnatę uzyskam i beزعnym go ogłoszę, a potem wojna, ale już z infamisem.

— Zdrowie waszmościów!

Niektórzy wszelako śmieli się, a z nimi pan Skrzetuski, bo mu się z czupryny trochę kurzyło, szlachcic zaś tokował dalej, naprawdę jak głuszc, który się własnym głosem upaja. Na szczęście, dyskurs jego przerwany został przez innego szlachcica, który, zbliżywszy się, pociągnął go za rękaw i rzekł śpiewnym litewskim akcentem:

— Poznajomijże waćpan, mości Zagłobo, i mnie z panem namiestnikiem Skrzetuskim — poznajomijże!

— A i owszem, i owszem. Mości namiestniku, oto jest pan Powsinoga.

— Podbipięta — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno! herbu Zerwipludry...

— Zerwikaptur — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno. Z Psychkiszek.

— Z Mysikiszek — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno. Ne scio, cobym wołał, czy mysie, czy psie kiszki. Ale to pewna, żebym w żadnych mieszkać nie chciał, bo to i osiedzieć się tam nie łatwo i wychodzić nie politycznie. Mości panie, mówił dalej do Skrzetuskiego, ukazując na Litwina: Oto tydzień już piję wino za pieniądze tego szlachcica, któren ma miecz za pasem równie ciężki jak trzos, a trzos równie ciężki jak dowcip. Ale jeśli pił kiedy wino za pieniądze większego cudaka, to pozwolę się nazwać takim kpem, jak ten co mi wino kupuje.

— A to go objechał! — wołała, śmiejąc się, szlachta.

Ale Litwin nie gniewał się, kiwał tylko ręką, uśmiechał się łagodnie i powtarzał:

— Ał, dałbyś waćpan pokój — słuchać hadko!

Pan Skrzetuski przypatrywał się ciekawie tej nowej figurze, która istotnie zasługiwała na nazwę cudaka. Przedewszystkiem był to mąż wzrostu tak wysokiego, że głową prawie powały dosięgał, a chudość nadzwyczajna wydawała go wyższym jeszcze. Szerokie jego ramiona i żylasty kark zwiastowały niepospolitą siłę, ale była na nim tylko skóra i kości. Brzuch miał tak wpadły pod piersią, że możnaby go wziąć za głodomora, lubo ubrany był dostatnio, w szarą opiętą kurtę ze swiebodzińskiego sukna, z wązkimi rękawami, i wysokie szwedzkie buty, które na Litwie zaczynały wchodzić w użycie. Szeroki i dobrze wypchany łosiowy pas, nie mając na czem się trzymać, opadał mu aż na biodra, a do pasa przywiązany był krzyżacki miecz, tak długi, że temu olbrzyiemu mężowi prawie do pachy dochodził.

Ale ktoby się miecza przeląkł, wnetby się uspokoił, spojrzawszy na twarz jego właściciela. Była to twarz chuda, również jak i cała osoba, ozdobiona dwoma zwiśniętymi ku dołowi brwiami i parą tak samo zwisłych konopnego koloru wąsów, ale tak pocziwa, tak szczerą, jak u dziecka. Owa obwisłość wąsów i brwi nadawała jej wyraz stroskany, smutny i śmieszny zarazem. Wyglądał na człeka, którego ludzie popychają, ale panu Skrzetuskiemu podobał się z pierwszego wejrzenia za ową szczerą twarz i doskonały moderunek żołnierski.

— Panie namiestniku — rzekł — to waszmość od księcia pana Wiśniowieckiego?

— Tak jest.

Litwin ręce złożył jako do modlitwy i oczy podniósł w górę.

— Ach, co to za wielki wojownik, co to za rycerz, co to za wódz!

— Daj Boże Rzeczypospolitej takich jak najwięcej.

— I pewno, i pewno. A czyby nie można do niego pod znak?

— Będzie waści rad.

Tu pan Zagłoba wtrącił się do rozmowy:

— Będzie miał księżę dwa rożny do kuchni, jeden z waćpana, drugi z jego miecza, albo najmie waści za mistrza, ale każe na wasanu zbójów wieszać lub sukno na barwę będzie waspanem mierzył! Tfu, jak się waćpan nie wstydzisz, będąc człowiekiem i katolikiem, być tak długim jak serpens, lub jak pogańska włócznia!

— Słuchać hadko — rzekł cierpliwie Litwin.

— Jakże też godność waszeci? — spytał pan Skrzetuski — bo gdyś mówił, pan Zagłoba tak waści podrywał, że z przeproszeniem nic nie mogłem zrozumieć.

— Podbipięta.

— Powsinoga.

— Zerwikaptur z Myszykiszek.

— Masz babo pociechę. Piję jego wino, ale kpem jestem, jeśli to nie pogańskie imiona.

— Dawno waść z Litwy? — pytał namiestnik.

— Ot już dwie niedziele w Czehrynie. Dowiedziawszy się od pana Zaćwilichowskiego, że waść tędy ciągnąć będziesz, czekam, by pod jego opieką księciu moje prośby przedstawić.

— Powiedźże mi waszmość, proszę, bom ciekaw, czemu też taki katowski miecz pod pachą nosisz?

— Nie katowski to, mości namiestniku, ale krzy-

zacki, a noszę bo zdobywczy i dawno w rodzie. Już pod Chojnicami służył w litewskim ręku — tak i noszę.

— Ale to sroga machina i ciężka być musi okrutnie — chyba do obu rąk?

— Można do obu, można do jednej.

— Pokażże wasze.

Litwin wydobył i podał, ale panu Skrzetuskiemu ręka zwisała odrazu. Ni się złożyć, ni cięcia wymierzyć swobodnie. Na dwie ręce poradził, ale jeszcze było ciężko. Więc pan Skrzetuski zawstydzil się trochę i zwróciwszy się do obecnych:

— No, mości panowie — rzekł — kto krzyż uczyni?

— My już próbowali — odrzekło kilka głosów. — Jeden pan komisarz Zaćwilichowski podniesie, ale krzyża i on nie uczyni.

— No, a waćpan? — pytał pan Skrzetuski, zwracając się do Litwina.

Szlachcic podniósł miecz jak trzcinę i machnął nim kilkanaście razy z największą łatwością, aż powietrze warczało w izbie, a wiatr powiał po twarzach.

— A niechże waści Bóg sekunduje! — zawołał Skrzetuski. — Pewną masz służbę u księcia pana.

— Bóg widzi, że jej pragnę, bo mi miecz w niej nie zardzewieje.

— Ale dowcip do reszty — rzekł pan Zagłoba — gdyż nie umiesz waść tak samo nim obracać.

Zaćwilichowski wstał i obaj z namiestnikiem zabierali się do odejścia, gdy naraz wszedł do izby biały jak gołąb człowiek i spostrzegłszy Zaćwilichowskiego, rzekł:

— Mości chorąży, komisarzu, ja tu do pana umyślnie!

Był to Barabas, pułkownik czerkaski.

— To chodźże waszmość do mnie na kwaterę — rzekł Zaćwilichowski. — Tu już się tak ze łbów kurzy, że i świata nie widać.

Wyszli razem, a Skrzetuski z nimi. Zaraz za progiem Barabas spytał:

— Czy niema wieści o Chmielnickim?

— Są. Uciekł na Sicz. Oto ten oficer spotkał go wczoraj na stepie.

— To nie wodą pojechał? Pchnąłem gońca do Kudaku, by go łapano, ale jeśli tak, to napróżno.

To rzekłszy, Barabas zatknął rękami oczy i począł powtarzać:

— Ej! spasi Chryste! spasi Chryste!

— Czego waść trwożysz?

— A czy waszmość wiesz, co on mi zdradę wydarł? Czy wiesz, co to znaczy takie dokumenta w Siczy opublikować? Spasi Chryste! Jeśli król wojny z bisurmanem nie uczyni, to iskra na prochy...

— Rebelią waszmość przepowiadasz?

— Nie przepowiadam, bo ją widzę, a Chmielnicki lepszy od Nalewajki i od Łobody.

— A kto za nim pójdzie?

— Kto? Zaporozę, rejestrowi, mieszczanie, czerń, futornicy — i tacy ot!

Tu pan Barabas wskazał na rynek i na uwijających się po nim ludzi. Cały rynek zapchany był wielkimi siwymi wołami, pędzonymi ku Korsuniowi dla wojska, a przy wołach szedł mnogi lud pastuszy, tak zwani czabanowie, którzy całe życie w stepach i pustyniach spędzali — ludzie zupełnie dzicy, niewyznający żadnej religii — religionis nullius, jak mówił wojewoda

Kisiel. Spostrzegales między nimi postacie podobniejsze do zbójów, niż do pasterzy, okrutne, straszne, pokryte lachmanami rozmaitych ubiorów. Większa ich część przybrana była w tołuby baranie, albo w niewyprawne skóry, wełną na wierzch, rozchelstane na przedzie i ukazujące, choć była to zima, nagą pierś spaloną od wiatrów stepowych. Każdy zbrojny, ale w najrozmaitszą broń: jedni mieli łuki i sajdaki na plecach, niektórzy samopały, albo tak zwane z kozacka „piszczele“, inni szable tatarskie, inni kosy lub wreszcie tylko kije z przywiązaną na końcu szczęką końską. Między nimi kręcili się niemniej dzicy, choć lepiej zbrojni niżowcy, wiozący do obozu na sprzedaż rybę suszoną, zwierzynę i tłuszcz barani; dalej czumacy z solą, stepowi i leśni pasiecznicy, oraz woskoboje z miodem, osadnicy leśni ze smołą i dziegciem; dalej chłopci z podwodami, kozacy rejestrowi, Tatarzy z Białogrodu i Bóg wie kto — włóczęgi — „siromachy“ z końca świata. W całym mieście pełno było pijanych, w Czehrynie bowiem wypadła nocleg, więc i hulatyka przed nocą. Na rynku rozkładano ognie, gdziekolwiek paliła się beczka ze smołą. Zewsząd dochodził gwar i wrzaski. Przerażliwy głos piszczalek tatarskich i bębenków mieszał się z ryczeniem bydła i z łagodniejszymi głosami lir, przy których wtórze ślepcy śpiewali ulubioną wówczas pieśń:

„Sokołe jasnyj
Brate mij ridnyj,
Ty wysoko letajesz,
Ty daleko widajesz“.

A obok tego rozlegały się dzikie okrzyki: „hu! ha! — hu! ha!“ kozaków, tańczących na rynku trepaka, poma-

zanych dziegiem i pijanych zupełnie. Wszystko to razem było dzikie i rozszalałe. Dość było Zaćwilichowskiemu jednego spojrzenia, by się przekonać, że Barabasz miał słuszną, że lada podmuch mógł rozpętać te niesforne żywioły, skłonne do grabieży, a przywykłe do boju, których pełno było na całej Ukrainie. A poza tymi tłumami stała jeszcze Sicz, stało Zaporozże, od niedawna okielznane i w karby po Masłowym stawie ujęte, ale gryzące niecierpliwie munsztuk, pomne dawnych przywilejów, nienawidzące komisarzy, a stanowiące uorganizowaną siłę. Siła ta miała przecie za sobą sympatyę niezmiernych mas chłopstwa, mniej cierpliwego niż w innych Rzplitej stronach, bo mającego pod bokiem Czertomelik, a na nim bezpaństwo, rozbój i wolę. Więc pan chorąży, choć sam Rusin i gorliwy wschodniego obządu stronnik, zadumał się smutno.

Jako człek stary, pamiętał dobrze czasy Nalewajki, Łobody, Kremskiego, znał ukraińskie rozbójnictwo lepiej może niż ktokolwiek na Rusi, a znając jednocześnie Chmielnickiego, wiedział, że on wart dwudziestu Łobodów i Nalewajków. Zrozumiał tedy całe niebezpieczeństwo jego na Sicz uciezki, zwłaszcza z listami królewskimi, o których pan Barabasz powiadał, że były pełne obietnic dla kozaków i zachęcające ich do oporu.

— Mości pułkowniku czerkaski — rzekł do Barabasza — powinienbyś waszmość na Sicz jechać, wpływy Chmielnickiego równoważyć i pacyfikować, pacyfikować!

— Mości chorąży — odparł Barabasz — powiem tylko tyle waszmości, że na samą wieść o ucieczce Chmielnickiego z papierami, połowa moich czerkaskich ludzi dzisiejszej nocy także na Sicz za nim zbiegła. Moje czasy już minęły — mnie mogiła, nie buława!

Rzeczywiście, Barabasz był żołnierz dobry, ale człowiek stary i bez wpływu.

Tymczasem doszli do kwatery Zaćwilichowskiego; stary chorąży odzyskał już trochę pogody umysłu, właściwej jego gołębiej duszy, i gdy zasiedli nad półgarncówką miodu, rzekł raźniej:

— Wszystko to furda, jeśli, jak mówią, wojna z bisurmanem preparatur, a podobno, że tak i jest, bo choć Rzeczpospolita wojny nie chce i nie mało już sejmy królowi krwi napsuły, wszelako król może na swoim postawić. Cały ten ogień można będzie na Turka obrócić, a w każdym razie mamy przed sobą czas. Ja sam pojedę do pana Krakowskiego i zdam mu sprawę i będę prosił, by się jako najbliżej ku nam z wojskiem przytknął. Czy co wskóram, nie wiem, bo chociaż to pan męzny i wojownik doświadczony, ale okrutnie w swoim zdaniu i swoim wojsku dufny. Waść, mości pułkowniku czerkaski, trzymaj w ryzie kozaków — a waszeć, mości namiestniku, po przybyciu do Łubniów ostrzeż księcia, by na Sicz bacznąć obrócił. Choćby mieli co począć — repeto: mamy czas. Na Sicy teraz ludzi nie wiele: za rybą i za zwierzem się porozchodzili i po całej Ukrainie we wsiach siedzą. Nim się ściągną, dużo wody w Dnieprze upłynie. Przytem imię księcia straszne i gdy się zwiedzą, że na Czertomelik oczy ma obrócone, może będą cicho siedzieć.

— Ja z Czehryna choćby we dwóch dniach ruszyć gotowy — rzekł namiestnik.

— To i dobrze. Dwa i trzy dni nic nie znaczą. Waszmość, panie Czerkaski, pchnij też gońców z oznajmieniem sprawy do pana chorążego koronnego i do księcia Dominika. Ale waszmość już spisuj, jak widzę?

powe. Dzicy Zaporozcy tańczyli koło ognisk, rzucając w górę czapki, paląc z „piszczeli“ i pijąc kwartami gorzałkę. Tu i owdzie zrywała się bijatyka, którą uśmierali ludzie starostki. Namiestnik musiał torować sobie drogę rękojeścią szabli i słuchając tych wrzasków i szumu kozaczego, chwilami myślał sobie, że to już rebelia tak przemawia. Zdawało mu się także, że widzi groźne spojrzenia i słyszy ciche zwracane ku sobie klątwy. W uszach brzęczały mu jeszcze słowa Barabasza: „spasi Chryste, spasi Chryste!“ i serce biło mu żywiej.

A tymczasem w mieście czabanowie zawodzili coraz głośniej chorowody, a Zaporozcy palili z samopałów i kąpali się w gorzałce.

Strzelanina i dzikie „u-ha! u-ha!“ dochodziły do uszu namiestnika nawet wówczas, gdy już położył się spać w swojej kwaterze.

ROZDZIAŁ III.

W kilka dni później, poczet naszego namiestnika posuwał się rażno w stronę Łubniów. Po przeprawie przez Dniepr, szli szeroką drogą stepową, która łączyła Czehryn z Łubniami, idąc na Żuki, Semi-Mogily i Chorol. Drugi taki gościniec wiódł ze stolicy książęcej do Kijowa. Za dawniejszych czasów, przed rozprawą hetmana Żółkiewskiego pod Sołonicą, dróg tych nie było wcale. Do Kijowa jechało się z Łubniów stepem i puszczą; do Czehryna była droga wodna — z powrotem zaś jeżdżono na Chorol. Wogóle zaś, owe naddnieprzańskie państwo — stara ziemia połowiecka — było pustynią, mało co więcej od Dzikich pól zamieszkałą, przez Tatarów często zwiedzaną, dla watah zaporoskich otwartą.

Nad brzegami Suły szumiały ogromne, prawie stopą ludzką niedotykane lasy — miejscami po zapadłych brzegach Suły, Rudej, Śleporodu, Korowaja, Orzawca, Pszoły i innych większych i mniejszych rzek i przytoków, tworzyły się mokradła, zarosnięte częścią gęstwina krzów i borów, częścią okryte, pod postacią łąk. W tych borach i bagniskach znajdował łatwy przytułek zwierząt wszelkiego rodzaju; w najgłębszych mrokach leśnych

żyła moc niezmierna turów brodatych, niedźwiedzi i dzikich świń, a obok nich liczna szara gawiedź wilków, rysiów, kun, stada sarn i kraśnych suhaków; w bagniskach i lachach rzecznych bobry zakładały swoje żeremia, o których to bobrach chodziły wieści na Zaporozu, że są między nimi stuletnie starce, białe jak śnieg ze starości.

Na wysokich, suchych stepach bujały stada koni dzikich, o kudłatych głowach i krwawych oczach. Rzeki roiły się rybą i ptactwem wodnem. Dziwna to była ziemia, na wpół uśpiona, ale nosząca ślady dawniejszego życia ludzkiego. Wszędzie pełno popieliszcz po jakichś przedwiecznych grodach; same Łubnie i Chorol były z takich popieliszcz podniesione; wszędzie pełno mogił, nowszych i starszych, porosłych już borem. I tu, jak na Dzikich polach, nocami wstawały duchy i upiory, a starzy zaporozcy opowiadali sobie przy ognisku dziwy o tem, co się czasami działo w owych głębinach leśnych, z których dochodziły wycia niewiadomo jakich zwierząt, krzyki pół-ludzkie, pół-zwierzęce, gwary straszne, jakoby bitew lub łowów. Pod wodami odzywały się dzwony potopionych miast. Ziemia była mało gościnna i mało dostępna, miejscami zbyt rozmiękła, miejscami cierpiąca na brak wód, spalona, sucha, a do mieszkania niebezpieczna, osadników bowiem, gdy się jako tako osiedli i zagospodarowali, ścierały napady tatarskie. Odwiedzali ją tylko często zaporozcy dla gonów bobrowych, dla zwierzca i ryby, w czasie bowiem pokoju większa część niżowców rozlażiła się z Siczy na łowy, czyli, jak mówiono na „przemysł“ po wszystkich rzekach, jaraach, lasach i komyszach, bobrując w miejscach, o których istnieniu nawet mało kto wiedział.

Jednakże i życie osiadłe próbowało uwiązać się do tych ziem, jak roślina, która próbuje, gdzie może, chwycić się gruntu korzonkami i raz wraz wrywana, gdzie może, odrasta.

Powstawały na pustkach grody, osady, kolonie, słobody i futory. Ziemia była miejscami żywna, a nęciła swoboda. Ale wtedy dopiero zakwitło życie, gdy ziemie te przeszły w ręce kniazów Wiśniowieckich. Książ Michał, po ożenieniu się z Mohilanką, począł starowniej urządzać swoje zadnieprzańskie państwo; ścigał ludzi, osadzał pustki, zapewniał swobody do lat trzydziestu, budował monastery i wprowadzał prawo swoje książęce. Nawet taki osadnik, który przymknął do tych ziem niewiadomo kiedy i sądził, że siedzi na własnym gruncie, chętnie schodził do roli kniaziewego czynszownika, gdyż za ów czynsz szedł pod potężną książęcą opiekę, która go ochraniała, broniła od Tatarów i od gorszych nieraz od Tatarów niżowców. Ale prawdziwe życie zakwitło dopiero pod żelazną ręką młodego księcia Jeremiego. Za Czehrynem zaraz zaczynało się jego państwo, a kończyło het aż pod Konotopem i Romnami. Nie stanowiło ono całej kniaziewej fortuny, bo od województwa sandomierskiego począwszy, ziemie jego leżały w województwach Wołyńskiem, Ruskiem, Kijowskiem, ale nadnieprzańskie państwo było okiem w głowie zwycięzcy z pod Putywła.

Tatar długo czyhał nad Orłem, nad Worską i wietrzył jak wilk, nim ośmielił się na północ konia popędzić; — niżowcy nie próbowali zatargu. Miejscowe niepokojne watahy poszły w służbę. Dziki i rozbójniczy lud, żyjący dawniej z gwałtów i napadów, teraz ujęty w karby, zajmował „polanki“ na rubieżach i leżąc na

granicach państwa, jak brytan na łańcuchu, groził zębem najeźdźcy.

Toż zakwitło i zaroilo się wszystko. Pobudowano drogi na śladach dawnych gościńców; rzeki ujęto groblami, które sypał niewolnik Tatar lub niżowiec, schwytany z bronią w ręku na rozboju. Tam, gdzie niegdyś wiatr grywał dziko nocami na oczeretach i wyły wilki i topielcy, teraz hurkotały młyny. Przeszło czterysta kół, nie licząc rżęsiście rozsianych wiatraków, mello zboże na samem Zadnieprzu. Czterdzieści tysięcy czynszowników wносиło czynsz do kas książęcych, lasy zaroily się pasiekami, na rubieżach powstawały wsie coraz nowe, futory, slobody. Na stepach, obok tabunów dzikich, pasły się całe stada swojskiego bydła i koni. Nieprzejrzany, jednostajny widok borów i stepów ubarwił się dymami chat, złoconemi wieżami cerkwi i kościołów — pustynia zamieniła się w kraj dość ludny.

Jechał tedy pan namiestnik Skrzetuski wesoło i nie spiesząc się, jakoby swoją ziemią, mając po drodze wszelkie wczasy zapewnione. Był to dopiero początek stycznia 48 roku, ale dziwna, wyjątkowa zima, nie dawała się wcale we znaki. W powietrzu tchnęła wiosna; ziemia rozmiękla i przeświecała wodą roztopów; na polach zieleniała ruń, a słońce dogrzewało tak mocno, że w podróży o południu kozuchy prażyły grzbiet jak latem.

Orszak namiestnika zwiększył się znacznie, w Czehrynie bowiem przyłączyło się do niego poselstwo włoskie, które gospodar do Łubniów wysłał w osobie p. Rozwana Ursu. Przy poselstwie było kilkunastu karałaszów eskorty i wozy z czeladzią. Prócz tego z namiestnikiem jechał nasz znajomy pan Longinus Podbi-

pięta herbu Zerwikaptur, ze swoim długim mieczem pod pachą i z kilkoma czeladzi służbowej.

Słońce, cudna pogoda i woń zbliżającej się wiosny, napawały wesołością serca, a namiestnik tem był weselszy, że wracał z długiej podróży pod dach ksiązęcy, który był zarazem jego dachem, wracał, sprawiwszy się dobrze, więc i przyjęcia dobrego pewny.

Ale wesołość jego miała i inne powody.

Oprócz łaski księcia, którego namiestnik z całej duszy kochał, czekały go w Łubniach jeszcze i pewne czarne oczy, tak słodkie jak miód.

Oczy te należały do Anusi Borzobohatej - Krasieńskiej, panienki respektowej księżnej Gryzeldy, najpiękniejszej dziewczyny z całego fraucymeru, bałamutki wielkiej, za którą przepadali wszyscy w Łubniach, a ona za nikim. U księżnej Gryzeldy mores był wielki i surowość obyczajów niepomierna, co jednak nie przeszkadzało młodemu spoglądać na się jarzącymi oczyma i wzdychać. Pan Skrzetuski posyłał tedy swoje westchnienia ku czarnym oczom na równi z innymi, a gdy bywało zostawał sam w swojej kwaterze, wówczas chwycił lutnię w rękę i śpiewywał:

„Tys jest specyał nad specyały“.

lub też:

„Jak tatarska orda,
Bierzesz w jasyr corda!“

Ale że to był człek wesoly i przytem żołnierz wielce w swym zawodzie zamilowany, więc nie brał zbyt do serca tego, że Anusia uśmiechała się tak samo do niego jak i do pana Bychowca z chorągwi wołoskiej, jak do pana Wurcla z artyleryi, jak do pana Wołodyjowskiego

z dragonów, a nawet do pana Baranowskiego z husaryi, chociaż ten ostatni był już dobrze szpakowaty i szepenił, mając podniebienie potrzaskane kulą z samopału. Nasz namiestnik bił się już nawet raz z panem Wołodjowskim w szablę o Anusię, ale gdy przyszło za długo siedzieć w Łubniach bez jakowejś wyprawy na Tatarów, to sobie nawet i przy Anusi przykrzył, a gdy przyszło ciągnąć — to ciągnął z ochotą, bez żalu, bez wspominków.

Za to też i witał z radością. Teraz więc oto wracając z Krymu po pomyślnem rzeczy załatwieniu, podśpiewywał wesoło i czwanił koniem, jadąc obok pana Longinusa, który, siedząc na ogromnej inflanckiej kobyle, strapiony był i smutny jak zawsze. Wozy poselstwa, karalasz, eskorta, zostały znacznie za nimi.

— Jegomość poseł leży na wozie jak kawał drzewa i śpi ciągle — rzekł namiestnik. — Cudów mi naprawił o swojej Wołoszczyźnie aż i ustał. Jam też słuchał z ciekawością. Niema co! kraj bogaty, klima przednie, złota, wina, bakaliów i bydła dostatek. Pomyślałem sobie tedy, że nasz ksiązę rodzi się z Mohilanki, i że ma takie dobre prawo do hospodarskiego tronu, jak kto inny, których praw przecie ksiązę Michał dochodził. Nie nowina to naszym paniętom Wołoszczyzna. Bijali już tam i Turków, i Tatarów, i Wołochów i Siedmiogrodzian...

— Ale lud tam miększy niż u nas, o czem mi i pan Zagłoba w Czehrynie opowiadał — rzekł pan Longinus — a gdybym jemu nie wierzył, to wtedy w książkach od nabożeństwa potwierdzenie tej prawdy się znajduje.

— Jakto w książkach?

— Ja sam mam taką i mogę ją waszmości pokazać, bo ją zawsze wożę ze sobą.

To rzekłszy, odpiął troki przy terlicy i wydobywszy niewielką książeczkę, starannie w ciele oprawioną, na-przód ucałował ją pobożnie, potem przewróciwszy kilka-naście kartek, rzekł:

— Czytaj waść.

Pan Skrzetuski rozpoczął:

— „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...“ Gdzież zaś tu jest o Wołochach? co waść mówisz! — to antyfona!

— Czytaj waść dalej.

— „...Abyśmy się stali godnymi obietnic Pana Chrystusowych. Amen“.

— No, a teraz pytanie...

Skrzetuski czytał:

— „Pytanie: Dlaczego jazda wołoska zowie się lekką? Odpowiedź: Bo lekko ucieka. Amen“. — Hm! prawda! Wszelako w tej książce dziwne jest materyi pomieszanie.

— Bo to jest książka żołnierska, gdzie obok modlitw, rozmaite instructiones militares są przyłączone, z których nauczysz się waść o wszystkich nacyach, która z nich zacniejsza, która podła; co do Wołochów zaś, to się pokazuje, iż tchórzliwe z nich pacholki, a przytem zdrajcy wielcy.

— Że zdrajcy, to pewno, bo pokazuje się to i z przy-gód księcia Michała. Co prawda, to i ja słyszałem, iż żołnierz to z przyrodzenia nieszczególny. Ma przecie książę jegomość chorągiew wołoską bardzo przednią, w której pan Bychowiec porucznikuje, ale stricte to w owej wołoskiej chorągwi nie wiem, czy i dwudziestu Wołochów się znajduje.

— Jak też waszmość myślisz, panie namiestniku, siła księżę ma ludzi pod bronią?

— Będzie z ośm tysięcy, nie licząc kozaków, co po palankach stoją. Ale powiadał mi Zaćwilichowski, że teraz nowe zaciągi są czynione.

— To może Bóg da jakąś wyprawę pod księciem panem?

— Tak mówią, że wielka wojna z Turczyńcem się gotuje, i że sam król z całą potęgą Rzplitej ma ruszyć. Wiem też, że upominki Tatarom są wstrzymane, którzy przecie od strachu nie śmiają zagonu ruszyć. O tem sły-
szałem i w Krymie, gdzie bodaj dlatego przyjmowano mnie tak honeste, bo jest wieść, że gdy król z hetmany pociągnie, księżę ma na Krym uderzyć i całkiem Tatarów zetrzeć. Jakoż to jest pewna, że takowej imprezy innemu nie powierzą.

Pan Longinus podniósł do góry ręce i oczy.

— Dajże Boże miłosierny, daj taką świętą wojnę, na chwałę chrześcijaństwu i naszemu narodowi, a mnie grzesznemu pozwól w niej vota moje spełnić, abym in luctu mógł być pocieszony, albo też śmierć chwalebną znaleźć.

— To waś ślub wedle wojny uczynił?

— Tak zacnemu kawalerowi wszystkie arkana duszy mojej otworzę, choć siła mówić, ale gdy waćpan ucha chętnego skłaniasz, przeto incipiam: Wiesz waszmość, że herb mój zwie się Zerwikaptur, co z takowej przyczyny pochodzi, że gdy jeszcze pod Grunwaldem przodek mój, Stowejko Podbipięta, ujrzał trzech rycerzy w mniszych kapturach, w szeregu jadących, zajechawszy ich, ściał wszystkich trzech odrazu, o którym to sław-

nym czynie stare kroniki piszą, z wielką dla przodka mego chwałą...

— Nie łżejszą miał on przodek od waści rękę, ale i słusznie Zerwikapturem go nazwali.

— Któremu też król herb nadał, a w nim trzy kozie głowy w srebrnym polu, na pamiątkę owych rycerzy, gdyż takie same głowy były na ich tarczach wyobrażone. Ten herb, wraz z tym tu oto mieczem, przodek mój Stowejko Podbipięta przekazał potomkom swoim z zaleceniem, by starali się splendor rodu i miecza podtrzymać.

— Niema co mówić, z grzecznego rodu waszmość pochodzisz!

Tu pan Longinus zaczął wzdychać rzewnie, a gdy nakoniec ulżyło mu trochę, tak mówił dalej:

— Będąc tedy z rodu ostatni, ślubowałem w Trokach Najświętszej Pannie żyć w czystości i nie prędzej stanąć na ślubnym kobiercu, póki za sławnym przykładem przodka mego, Stowejki Podbipięty, trzech głów tymże samym mieczem od jednego zamachu nie zetnę. O Boże miłosierny, widzisz, zem wszystko uczyniłem, co było w mocy mojej. Czystości dochowałem do dnia dzisiejszego, sercu czulemu milczeć kazałem, wojny szukałem i walczyłem, ale szczęścia nie miałem...

Porucznik uśmiechnął się pod wąsem.

— I nie ściałeś waćpan trzech głów?

— Ot! nie zdarzyło się! Szczęścia niema! Po dwie nieraz bywało, ale trzech nigdy. Nie udało się zajechać, a trudno prosić wrogów, by się ustawili równo do ciecia. Bóg jeden widzi moje smutki: siła w kościach jest, fortuna jest... ale adolescentia uchodzi, czterdziestu pięciu lat dobiegam, serce do afektów się wyrывa, ród ginie,

a trzech głów jak niema, tak niema!... Taki i Zerwikaptur ze mnie. Pośmiewisko dla ludzi, jak słusznie mówi pan Zagłoba, co wszystko cierpliwie znoszę i Panu Jezusowi ofiaruję.

Litwin począł znowu tak wzdychać, że aż i jego inflancka kobyła, widać ze współczucia dla swego pana, jęła stękać i chrapać żałośnie.

— To tylko mogę waszmości powiedzieć — rzekł namiestnik — iż jeśli pod księciem Jeremim nie znajdziesz okazji, to chyba nigdy.

— Daj Boże! — odparł pan Longinus — dlatego i jadę prosić o łaskę księcia pana.

Dalszą rozmowę przerwał im nadzwyczajny łopot skrzydeł. Jako się rzekło, zimy tej ptastwo nie szło za morza, rzeki nie zamarzały, przeto szczególnie wodnego ptastwa wszędzie było pełno nad błotami. Właśnie w tej chwili porucznik z panem Longinem zbliżyli się do brzegu Kahamliku, gdy nagle zaszumiało im nad głowami całe stado żorawi, które przeciągały tak nisko, że możnaby niemal kijem do nich dorzucić. Stado leciało z wrzaskiem okrutnym i zamiast zapaść w oczerety, podniosło się niespodziewanie w górę.

— Mkną jakby gonione — rzekł pan Skrzetuski.

— A o! widzisz waść — rzekł pan Longinus, ukazując na białego ptaka, który tnąc powietrze ukośnym lotem, starał się podlecieć pod stado.

— Raróg, raróg! przeszkadza im zapaść! — wołał namiestnik. Posel ma rarogi — musiał puścić.

W tej chwili pan Rozwan Ursu nadjechał pędem na czarnym anatolskim dzianecie, a za nim kilku karaszów służbowych.

— Panie poruczniku, proszę na zabawę — rzekł.

— Czy to raróg waszej cześci?

— Tak jest, i zacny bardzo, zobaczysz waść...

Popędzili naprzód we trzech, a za nimi Wołoch sokolniczy z obręczą, który utkwivszy oczy w ptaki, krzyczał z całych sił, zachęcając raroga do walki.

Dzielny ptak zmusił już tymczasem stado do podniesienia się w górę, potem sam wzbił się jak błyskawica jeszcze wyżej i zawisł nad niem. Żórawie zbiły się w jeden ogromny wir, szumiący jak burza skrzydłami. Groźne wrzaski napelniały powietrze. Ptaki powyciągały szyje, powytykały ku górze dzioby jak włócznie i czekały ataku.

Raróg tymczasem krążył nad nimi. To zniżał się, to podnosił, jak gdyby wahał się runąć na dół, gdzie na pierś jego czekało sto ostrych dziobów. Jego białe pióra, oświecone słońcem, błyszcząły jak samo słońce na pogodnym błękiecie nieba.

Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomknął jak strzała w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów.

Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z kopyta. Poseł, sokolnik i pan Longinus poszli za jego przykładem.

Wtem na skrócie drogi namiestnik wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy. W środku gościńca leżała na boku kolaska ze złamaną osią. Odprężone konie trzymało dwóch kozaczków. Woźnicy nie było wcale, widocznie odjechał w celu szukania pomocy. Przy kolasce stały dwie niewiasty, jedna ubrana w lisi tołub i takąż czapkę z okrągłym dnem, twarzy surowej, męskiej; druga była to młoda panna, wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych. Na ra-

mieniu tej młodej pani siedział spokojnie raróg i rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dzióbem.

Namiestnik osadził konia, aż kopyta wryły się w piasek gościńca, i rękę podniósł do czapki zmieszany i nie wiedzący, co ma mówić, czy witać, czy o raroga się dopominać. Zmieszany był jeszcze i dlatego, że z pod kuniego kapturka spojrzwały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział, czarne, aksamitne, a łzawe, a mieniające się, a ogniste, przy których oczy Anusi Borzobohatej zgasłyby jak świece przy pochodniach. Nad temi oczami jedwabne ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnymi łukami, zarumienione policzki kwitnęły jak kwiat najpiękniejszy, przez malinowe wargi, trochę otwarte, widniały ząbki jak perły, z pod kapturka spływały bujne czarne warkocze. „Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?“ pomyślał namiestnik, widząc ten wzrost strzelisty, pierś wypukłą i tego białego sokoła na ramieniu. Stał tedy nasz porucznik bez czapki i zapatrzył się jak w cudowny obraz, i tylko oczy mu się świeciły, a za serce chwytalo go coś, jak ręką. I już miał rozpocząć mowę od słów: „Jeśliś jest śmiertelną istotą, a nie bóstwem...“ gdy w tej chwili nadjechał poseł i pan Longinus, a z nimi sokolnik z obręczą. Co widząc, bogini nadstawiła rarogowi rękę, na której ten zaraz, zszedłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na nogę. Namiestnik, uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen. Oto raróg, pozostawiwszy jedną nogę na rękę panny, drugą chwycił się namiestnikowej dłoni, i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać tę rękę ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć. Po namiestniku mrowie przeszło, raróg zaś dopiero wtedy dał się

przenieść na obręcz, gdy sokolnik nałożył mu kaptur na głowę. A wtem starsza pani poczęła wyrzekać:

— Rycerze! — mówiła — ktokolwiek jesteście, nie odmawiajcie pomocy białogłowom, które zostawszy na drodze bez pomocy, same nie wiedzą, co począć. Do domu nam już nie dalej jak trzy mile, ale w kolasce osie popękały i chyba nam nocować w polu przyjdzie; woźnicę posłałam do synów, by nam choć wóz przysłali, ale nim woźnica dojedzie i wróci, ciemno będzie, a na tem uroczysku strach zostać, bo tu w pobliżu mogiły.

Stara szlachcianka mówiła prędko i głosem tak grubym, że namiestnik, aż się zadziwił, wszelako odrzekł grzecznie:

— Nie dopuszczajże jejmość tej myśli, byśmy panią i nadobną jej córkę mieli bez pomocy zostawić. Jedziemy do Łubniów, gdyż żołnierzami w służbie J. O. księcia Jeremiego jesteśmy, i podobno nam droga w jedną stronę wypada, a choćby też nie, to zboczymy chętnie, byle się nasza asystencya nie uprzykrzyła. Co zaś do wozów, to ich nie mam, bo z towarzyszymi po żołniersku komunikiem idę, ale pan poseł ma, i tuszę, że jako uprzejmy kawaler, chętnie nimi pani i jejmościance służyć będzie.

Posel uchylił sobolowego kołpaka, gdyż znając mowę polską, zrozumiał o co idzie i zaraz z pięknym komplementem, jako grzeczny bojar, wystąpił, poczem rozkazał sokolniczemu skoczyć po wozy, które były znacznie z tyłu zostały. Przez ten czas namiestnik patrzył na pannę, która pozerczego wzroku jego znieść nie mogąc, opuściła oczy na ziemię, a dama o kozackiem obliczu tak mówiła dalej:

— Niech Bóg zapłaci imć panom za pomoc. A że

do Łubniów droga jeszcze daleka, nie pogardzicie moim i moich synów dachem, pod którym radzi wam będziem. My z Rozłogów-Siromachów, ja wdowa po kniaziu Kurcewiczu Bułyże, a to nie jest moja córka, jeno córka po starszym Kurcewiczu, bracie mego męża, któren sierotę swą nam na opiekę oddał. Synowie moi teraz w domu, a ja wracam z Czerkas, gdzie się do ołtarza Świętej-Przeczystej ofiarowała. Aż oto w powrocie spotkał nas ten wypadek, i gdyby nie polityka waszmościów, chybaby na drodze nocować przyszło.

Kniaziowa mówiłaby jeszcze dłużej, ale wtem zdala pokazały się wozy, nadjeżdżające kłusem, wśród gromady karałaszów poselskich i żołnierzy pana Skrzetuskiego.

— To jejmość pani wdowa po kniaziu Wasilu Kurcewiczu? — spytał namiestnik.

— Nie! — zaprzeczyła żywo i jakby gniewliwie kniahini. — Jam wdowa po Konstantynie, a to jest córka Wasila, Helena — rzekła, wskazując na pannę.

— O kniaziu Wasilu wiele w Łubniach rozpowiadają. Był to żołnierz wielki i nieboszczyka księcia Michała zaufany.

— W Łubniach nie byłam — rzekła z pewną wyniosłością Kurcewiczowa — i o jego żołnierstwie nie wiem, a o późniejszych postępkach niema co wspominać, gdyż i tak wszyscy o nich wiedzą.

Słyszając to, kniaziówna Helena zwiesiła głowę na piersi, jak kwiat podcięty kosą, a namiestnik odparł żywo:

— Tego waćpani nie mów. Książ Wasil, przez straszliwy error sprawiedliwości ludzkiej skazany na utratę gardła i mienia, musiał się ucieczką salwować, ale później wykryła się jego niewinność, którą też promulgo-

wano i do sławy go, jako cnotliwego męża, przywrócono; a sława tem większą być powinna, im większą była krzywda.

Kniahini spojrzała bystro na namiestnika, a w jej nieprzyjemnem ostrem obliczu gniew odbił się wyraźnie. Ale pan Skrzetuski, choć człowiek młody, tyle miał w sobie jakowejś powagi rycerskiej i tak jasne wejrzenie, że mu zaoponować nie śmiała, natomiast zwróciła się do kniaziówny Heleny:

— Waćpannie tego słuchać nie przystoi. Idź oto dopilnuj, aby toboły z kolaski były przełożone na wozy, na których z pozwoleniem ichmościów siedzieć będziem.

— Pozwolisz jejmość panna pomódz sobie — rzekł namiestnik.

Poszli oboje ku kolasce, ale skoro tylko stanęli naprzeciw siebie po obu stronach jej drzwiczek, jedwabne frendzle oczu kniaziówny podniosły się i wzrok jej padł na twarz porucznika, jakoby jasny, ciepły promień słoneczny.

— Jakże mam waszmości panu dziękować — rzekła głosem, którego namiestnikowi wydał się tak słodką muzyką, jak dźwięczenie lutni i fletów — jakże mam dziękować, żeś się za sławę ojca mego ujął i za tę krzywdę, która go od najbliższych krewnych spotyka.

— Mościa panno! — odpowiedział namiestnik, a czuł, że serce tak mu taje, jako śnieg na wiosnę. — Tak mi Pan Bóg dopomóż, jakobym dla takiej podzięki w ogień skoczyć gotowy, albo zgoła krew przelać, ale gdy ochota tak wielka, przeto zasługa mniejsza, dla której małości nie godzi mi się dziękczynnego żołdu z ust imć panny przyjmować.

— Jeżeli waszmość pan nim pogardzasz, to jako

uboga sierota nie mam jak inaczej wdzięczności mojej okazać.

— Nie pogardzam ja nim — mówił ze wzrastającą siłą namiestnik — ale na tak wielki fawor zarobić długą i wierną służbą pragnę i o to tylko proszę, abyś mnie imć panna przyjąć na ową służbę raczyła.

Kniaziówna, słysząc te słowa, zapłonila się, zmieszala, potem przybladła nagle i ręce do twarzy podnosząc, odrzekła żalonym głosem:

— Nieszczęścieby chyba waćpanu taka służba przynieść mogła.

A namiestnik przechylił się przez drzwiczki kolaski i tak mówił z cicha, a tkliwie:

— Przyniesie co Bóg da, a choćby też i ból, przeciwnie ja do nóg waćpanny upaść i prosić o nią gotowy.

— Nie może to być, rycerzu, abyś waćpan dopiero mnie ujrawszy, tak wielką miał do onej służby ochotę.

— Ledwem cię ujrzał, jużem o sobie zgola zapomniał i widzę, że wolnemu dotąd żołnierzowi chyba w niewolnika zmienić się przyjdzie, ale taka widać wola Boża. Afekt jest jako strzała, która niespodzianie pierś przeszywa, i oto czuję jej grot, choć wczoraj sambym nie wierzył, gdyby mi kto powiadał.

— Jeslibyś waszmość wczoraj nie wierzył, jakże ja uwierzyć dzisiaj mogę?

— Czas o tem najlepiej waćpannę przekona, a szczeroci, choćby zaraz, nietylko w słowach, ale i w obliczu dopatrzyć się możesz.

I znowu jedwabne zasłony oczu kniaziówny podniosły się, a wzrok jej napotkał męskie i szlachetne oblicze młodego żołnierza i spojrzenie tak pełne zachwytu, że ciemny rumieniec pokrył jej twarz. Ale nie spuszczała

już wzroku ku ziemi i przez chwilę on pił słodycz jej cudnych oczu. I patrzyli na siebie, jak dwie istoty, które spotkawszy się choćby na gościńcu na stepie, czują, że się wybrały odrazu, i których dusze poczynają zaraz lecieć wzajemnie ku sobie, jak dwa gołębie.

Aż tę chwilę zachwytu przerwał im ostry głos kniahini Konstantowej, wołający na kniaziównę. Wozy nadeszły. Karalaszce poczęły przenosić na nie pakunki z kolaski i za chwilę wszystko było gotowe.

Pan Rozwan Ursu, grzeczny bojar, ustąpił obydwom niewiastom własnej kolaski — namiestnik siadł na koń, ruszono w drogę.

Dzień też miał się już ku spoczynkowi. Rozlane wody Kahamliku świeciły złotem od zachodzącego słońca i purpury zorzy. Wysoko na niebie ułożyły się stada lekkich chmurek, które, czerwieniejąc, stopniowo zsuwały się zwolna ku krańcom widnokregu, jakby zmęczone lataniem po niebie, szły spać gdzieś do nieznannej koleby. Pan Skrzetuski jechał po stronie kniaziówny, ale nie zabawiał jej rozmową, bo tak z nią mówić, jak przed chwilą, przy obcych nie mógł, a blahe słowa nie chciały mu się przez usta przecisnąć. W sercu tylko czuł błogość, a w głowie szumiało mu coś, jak wino.

Cała karawana poruszała się rażno naprzód, a ciszę przerywały tylko parskanie koni, lub brzęk strzemięcia o strzemień. Potem karalaszce poczęły na tylnych wozach smutną pieśń wołoską, wkrótce jednak ustali, a natomiast rozległ się nosowy głos pana Longina, śpiewającego pobożnie: *Jam sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nieustająca i jako mgła — pokryłam wszystką ziemię.* Tymczasem zciemniało. Gwiazdki zamigotały na

niebie, a z wilgotnych łąk wstały białe tumany, jako morza bez końca.

Wjechali w las, ale zaledwie ujechali kilka staj, gdy dał się słyszeć tętent koni i pięciu jeźdźców ukazało się przed karawaną. Byli to młodzi kniaziowie, którzy zawiadomieni przez woźnicę o wypadku, jaki spotkał matkę, śpieszyli na jej spotkanie, prowadząc z sobą wóz zaprzężony w cztery konie.

— Czy to wy, synkowie? — wołała stara kniahini. Jeźdźcy przybliżyli się do wozów.

— My, matko!

— Bywajcie! Dzięki tym oto ichmościom, nie potrzebuję już pomocy. To moi synkowie, których polecam lasce MM. panów: Symeon, Jur, Andrzej i Mikołaj — a to kto piąty? — rzekła, przypatrując się pilniej — hej! jeśli stare oczy widzą po ciemku, to Bohun — co?

Kniaziowna cofnęła się nagle w głąb kolaski.

— Czołem wam, kniahini, i wam, kniaziowno Heleno! — rzekł piąty jeździec.

— Bohun! — mówiła stara. — Od pułku przybyłeś sokole? A z teorbanem? Witajże, witaj! Hej, synkowie! Prosiłam już I. M. panów na nocleg do Rozłogów, a teraz wy im się pokłońcie! Gość w dom, Bóg w dom! Bądźcież ichmościowie na nasz dom łaskawi.

Bułyhowie uchyłili czapek.

— Prosimy pokornie waszmościów w niskie progi.

— Już mi też obiecali i jego wysokość pan poseł i Imć pan namiestnik. Zacznych kawalerów będziemy przyjmować, tylko, że przywykłym do specyałów na dworach, nie wiem czyli będzie smakowała nasza uboga pasza.

— Na żołnierskim my chlebie, nie na dworskim chowani — rzekł pan Skrzetuski.

A pan Rozwan Ursu dodał:

— Próbowałem ja już gościnnego chleba w szlacheckich domach i wiem, że i dworski mu nie wyrówna.

Wozy ruszyły naprzód, a stara kniahini mówiła dalej:

— Dawno to, dawno już minęły lepsze dla nas czasy. Na Wołyniu i na Litwie są jeszcze Kurcewicze, którzy poczty trzymają i wcale po pańsku żyją, ale ci biedniejszych krewnych znać nie chcą, za co niech ich Bóg skarże. U nas prawie kozacza bieda, którą nam waszmościowie musicie wybaczyć i szczerem sercem przyjąć to, co szczerze ofiarujemy. Ja i pięciu synów siedzimy na jednej wiosce i kilkunastu slobodach, a z nami i ta jeszcze jejmościanka na opiece.

Namiestnika zdziwiły te słowa, gdyż słyszał w Łubniach, że Rozłogi były niemalą fortuną szlachecką, a powtóre, że należały ongi do kniazia Wasila, ojca Heleny. Nie zdało mu się jednak rzeczą stosowną pytać, jakim sposobem przeszły w ręce Konstantyna i jego wdowy.

— To jejmość pani pięciu masz synów? — zagadnął pan Rozwan Ursu.

— Miałam pięciu, jak lwów — rzecze kniahini — ale najstarszemu Wasilowi poganie w Białogrodzie oczy wykapali pochodniami, od czego mu też i rozum się nadwreżył. Gdy młodzi pójdą na wyprawę, ja sama w domu zostaję, z nim tylko i z jejmościanką, z którą większa bieda niż pociecha.

Pogardliwy ton, z jakim stara kniahini mówiła o swej synowicy, tak był widoczny, że nie uszedł uwagi porucznika. Piers mu zawrzała gniewem i o mało nie zaklął szpetnie, ale słowa zamarły mu na ustach, gdy spojrzawszy na kniaziównę, ujrzał przy świetle księżycy oczy jej zalane łzami...

— Co waćpannie jest? czego płaczesz? — spytał z cicha.

Kniaziówna milczała.

— Ja nie mogę znieść lez waćpanny — mówił pan Skrzetuski, i pochylił się ku niej, a widząc, że stara kniahini rozprawia z p. Rozwanem Ursu i nie patrzy w tę stronę, nalegał dalej: — Na Boga, przemów choć słowo, bo Bóg widzi, że i krew i zdrowiebym oddał, byle ciebie pocieszyć.

Nagle uczuł, że jeden z jeźdźców napiera go tak silnie, że aż konie poczynają się trzeć bokami.

Rozmowa z kniaziówną była przerwana, więc pan Skrzetuski zdziwiony, ale i rozgniewany, zwrócił się ku śmiałkowi.

Przy świetle księżycy ujrzał dwoje oczu, które patrzyły na niego zuchwale, wyzywająco i szyderczo razem.

Straszne te oczy świeciły jak ślepie wilka w ciemnym borze.

— Co u kaduka? — pomyślał namiestnik — bies czy co? — i z kolei zajrzawszy z blizka w te palające źrenice, spytał:

— A czego to waść tak koniem najeżdżasz i oczyma we mnie wierzysz?

Jeździec nie odpowiedział nic, ale patrzył wciąż równie uporczywie i zuchwale.

— Jeśli ciemno, to mogę ognia skrzesać, a jeśli gościeńiec zaciasny, to chajda w step! — rzekł już podniesionym głosem namiestnik.

— A ty odlitaj Laszku od kolaski, koły step baczysz — odparł jeździec.

Namiestnik, jako był człowiek do czynu skory, za-

miast odpowiedzieć, uderzył tak silnie nogą w brzuch konia napastnika, że rumak jęknął i w jednym szczipaku znalazł się na samym brzegu gościńca.

Jeździec osadził go na miejscu i przez chwilę zdawało się, że pragnie rzucić się na namiestnika, ale wtem zabrzmiał ostry, rozkazujący głos starej kniahini.

— Bohun, szczo z toboju!

Słowa te miały natychmiastowy skutek. Jeździec zwrócił konia młyncem i przejechał na drugą stronę kolaski do kniahini, która mówiła dalej:

— Szczo z toboju? Ej, ty nie w Perejasławiu, ani w Krymie, ale w Rozłogach — bacz na to. A teraz skocz mi naprzód i prowadź wozy, bo jar zaraz, a w jarze ciemno. Hodi Siromacha!

Pan Skrzetuski równie był zdziwiony, jak rozgniewany. Ten Bohun widocznie szukał okazji i byłby ją znalazł, ale dlaczego szukał? skąd ta niespodziewana napaść?

Przez głowę namiestnika przeleciała myśl, że tu kniaziówna wchodziła do gry, i utwierdził się w tej myśli, gdy spojrzawszy na twarz jej, ujrzał mimo mroków nocnych, że twarz ta była blada, i że widocznie malowało się na niej przerażenie.

Tymczasem Bohun ruszył z kopyta naprzód, wedle rozkazu kniahini, która spoglądając za nim, rzekła w pół do siebie, w pół do namiestnika:

— To szalona głowa i bies kozaczy.

— Widać nie spełna rozumu — odpowiedział pogardliwie p. Skrzetuski. — Czy to kozak w służbie synów imci pani?

Stara kniahini rzuciła się w tył kolaski.

— Co waćpan mówisz, to jest Bohun, podpułko-

wnik, przesławny junak, synom moim druh, a mnie jak szósty syn przybrany. Nie może też to być, abys waszmość o nazwisku jego nie słyszał, bo wszyscy o nim wiedzą.

I rzeczywiście panu Skrzetuskiemu dobrze było znane to nazwisko. Z pośród imion różnych pułkowników i atamanów kozackich, wypłynęło ono na wierzch i było na wszystkich ustach, po obu stronach Dniepru. Ślepcy śpiewali o Bohunie pieśni po jarmarkach i karczmach, na wieczornicach opowiadano dziwy o młodym watażce. Kto on był, skąd się wziął, nikt nie wiedział. To pewna, że kolebką były mu stepy, Dniepr, Porohy i Czertomelik ze swoim labiryntem cieśnin, zatok, kołbani, wysp, skał, jarów i oczeretów. Od wyrostka żył się i zespolił z tym dzikim światem.

Czasu pokoju chodził z innymi „za rybą i zwierzem“, tłuł się po zakrętach dniewprowych, brodził po bagniskach i oczeretach wraz z gromadą półnagich towarzyszków — to znów całe miesiące spędzał w głębinach leśnych. Szkołą były mu wycieczki na Dzikie pola po trzody i tabuny tatarskie, zasadzki, bitwy, wyprawy przeciw brzegowym ulusom, do Białogrodu, na Wołoszczyznę, lub czajkami na Czarne morze. Innych dni nie znał jak na koniu, innych nocy jak przy ognisku na stepie. Wcześniej stał się ulubieńcem całego Niżu, wcześniej sam zaczął wodzić innych; i wkrótce odwagą wszystkich przewyższył. Gotów był w sto koni iść choćby do Bakczysaraju i samemu chanowi zaświecić w oczy pożogą; palił ulusy i miasteczka, wycinał w pień mieszkańców, schwytych murzynów rozdzierał końmi, spadał jak burza, przechodził jak śmierć. Na morzu rzucał się jak wściekły na galery tureckie. Zapuszczał się w śro-

dek Budziaku, wlaził, jak mówiono, w paszczkę lwa. Niektóre jego wyprawy były wprost szalone. Mniej odważni, mniej ryzykowni, konali na palach w Stambule, lub gnili przy wiosłach na tureckich galerach — on zawsze wychodził zdrowo i z łupem obfitym. Mówiono, że zebrał skarby ogromne, i że trzyma je ukryte po dnieprowych komyszach, ale też nieraz go widziano, jak deptał zabłoconemi nogami po złotogłowiach i lamach, koniom słał kobierce pod kopyta, albo jak ubrany w adamaszki kąpał się w dziegciu, umyślnie kozaczą pogardę dla onych wspaniałych tkanin i ubiorów okazując. Miejsca długo nigdzie nie zagrzał. Czynami jego powodowała fantazyja. Czasem, przybywszy do Czehryna, Czerkas lub Perejasławia, hulał na śmierć z innymi zaporozcami, czasem żył jak mnich, do ludzi nie gadał, w stepy uciekał. To znów otaczał się ślepcami, których grania i pieśni po całych dniach słuchał, a samych złotem obrzucał. Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między kozakami najdzikszym kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełzana i rozszałała. Dlaczego na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu służył — sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazyi. Ta właśnie fantazyja wyróżniała go od innych watażków grubijanów i od całej rzeszy rozbójniczej, która tylko grabież miała na celu, i której za jedno było grabić Tatarów, czy swoich. Bohun brał łup, ale wolał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla własnego ich uroku; złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztę nie dbał.

Ze wszystkich watażków, on jeden najlepiej uosa-

biał kozaka-rycerza, dlatego też pieśń wybrała go sobie na kochanka, a imię jego rozślawiło się na całej Ukrainie.

W ostatnich czasach został podpułkownikiem perejasławskim, ale pułkownikowską władzę sprawował, bo stary Łoboda słabo już trzymał buławę krzepnącą dłonią.

Pan Skrzetuski dobrze tedy wiedział, kto był Bohun, a jeśli pytał starej kniahini, czy to kozak w służbie jej synów, to czynił to przez umyślną pogardę, bo przeczuł w nim wroga, a mimo całej sławy watażki, wzburzyła się krew w namiestniku, że kozak poczynał sobie z nim tak zuchwale.

Domyślał się też, że skoro się zaczęło, to się na byle czem nie skończy. Ale cięty to był jak osa człowiek pan Skrzetuski, dufny aż nadto w siebie i również nie cofający się przed niczem, a na niebezpieczeństwa chciwy prawie. Gotów był choćby i zaraz wypuścić konia za Bohunem, ale jechał przy boku kniaziówny. Zresztą wozy minęły już jar i zdala ukazały się światła w Rozłogach.

ROZDZIAŁ IV.

Kurcewicze Bułyhowie, był to stary książęcy ród, który się Kurczem pieczętował, od Koryjata wywodził, a podobno istotnie szedł od Ruryka. Z dwóch głównych linii, jedna siedziała na Litwie, druga na Wołyniu, a na Zadnieprze przeniósł się dopiero książę Wasil, jeden z licznych potomków linii wołyńskiej, który ubogim będąc, nie chciał wśród możnych krewnych zostawać i wszedł na służbę księcia Michała Wiśniowieckiego, ojca przesławnego „Jaremy“.

Okrywszy się sławą w tej służbie i znaczne posługi rycerskie księciu oddawszy, otrzymał od tegoż w dziedzictwie Krasne Rozłogi, które potem, dla wielkiej mnogości wilków, Wilczemi Rozłogami przezwano, i stałe w nich osiadł. W roku 1629 przeszedłszy na obrządek łaciński, ożenił się z Rahozianką, panną z zacnego domu szlacheckiego, którego się z Wołoszczyzny wywodził. Z małżeństwa tego, w rok później, przyszła na świat córka Helena; matka umarła przy jej urodzeniu, książę Wasil zaś, nie myśląc już o powtórnym ożenku, oddał się całkiem gospodarstwu i wychowaniu jedynaczki. Był to człowiek wielkiego charakteru i niepospolitej cnoty. Dorobiwszy się dość szybko średniej fortuny, pomyślał

zaraz o starszym swym bracie Konstantynie, któren na Wołyniu w biedzie został i odepchnięty od możnej rodziny, zmuszony był chodzić po dzierżawach. Tego wraz z żoną i pięcioma synami do Rozłogów sprowadził i każdym kawałkiem chleba się z nimi dzielił. W ten sposób obaj Kurcewicze żyli w spokoju aż do końca 1634 roku, w którym Wasil z królem Władysławem pod Smoleńsk ruszył. Tam to zaszedł ów nieszczęsny wypadek, który zgubę jego spowodował. W obozie królewskim przejęto list pisany do Szehina, podpisany nazwiskiem kniazia i przypieczętowany Kurczem. Tak jawny dowód zdrady ze strony rycerza, który aż dotąd nieskazitelnej sławy używał, zdumiał i przeraził wszystkich. Naprózno Wasil świadczył się Bogiem, że ni ręka, ni podpis na liście nie są jego — herb Kurcz na pieczęci usuwał wszelkie wątpliwości, w zgubienie zaś sygnetu, czem się kniaz tłómaczył, nikt wierzyć nie chciał — i ostatecznie nieszczęśliwy kniaz pro crimine perduellionis skazany na utratę czci i gardła, musiał się ucieczką salwować. Przybywszy nocą do Rozłogów, zaklął brata Konstantyna na wszystkie świętości, by jak ojciec opiekował się jego córką — i odjechał na zawsze. Mówiono, że raz jeszcze z Baru pisał list do księcia Jeremiego z prośbą, by nie odejmował kawałka chleba Helenie i spokojnie ją w Rozłogach na opiece Konstantyna zostawił — potem głos o nim zaginął. Były wieści, że zmarł zaraz, to że przystał do cesarskich i zginął na wojnie w Niemczech, ale któż mógł co wiedzieć na pewno? Musiał zginąć, skoro się więcej o córkę nie pytał. Wkrótce przestano o nim mówić, a przypomniano go sobie dopiero, gdy wyszła na jaw jego niewinność. Niejaki Kupcewicz, witebszczanin, umierając zeznał, jako on

pisał pod Smoleńskiem list do Szehina i znalezionym w obozie sygnetem go przypieczętował. Wobec takiego świadectwa, żalność i konsternacja ogarnęły wszystkie serca. Wyrok został zmieniony, imię księcia Wasila do sławy przywrócone, ale dla niego samego nagroda za mękę przyszła zapóźno. Co do Rozłogów, to Jeremi nie myślał ich zagarniać, bo Wiśniowieccy, znając lepiej Wasila, nigdy o jego winie nie byli zupełnie przekonani. Mógłby on być nawet zostać i drwić z wyroku pod ich potężną opieką, i jeżeli uszedł, to dlatego, że niesławny znieść nie umiał.

Helena chowała się więc spokojnie w Rozłogach, pod czułą opieką stryja — i, dopiero po jego śmierci zaczęły się dla niej ciężkie czasy. Żona Konstantyna, z rodziny wątpliwego pochodzenia, była to kobieta surowa, popędliwa, a energiczna, którą mąż jeden utrzymać w ryzie umiał. Po jego śmierci, zagarnęła w żelazne ręce rządy w Rozłogach. Służba drżała przed nią — dworzyszczowi bali się jej jak ognia, sąsiadom dała się wkrótce we znaki. W trzecim roku swych rządów, po dwakroć zbrojno najeżdżała Siwińskich w Browarkach, sama przebrana po męsku, konno przywodząc czeladzi i najętym kozakom. Gdy raz pułki księcia Jeremiego pogromiły watahę Tatarów, swawolącą koło Siedmiu ~~megil~~, kniahini na czele swoich ludzi zniosła ze szczętem kupę niedobitków, która się aż pod Rozłogi zapędziła. W Rozłogach też usadowiła się na dobre i poczęła je uważać za swoją i swoich synów własność. Synów tych kochała jak wilczyca młode, ale sama będąc prostytutką, nie pomyślała o przystojnem dla nich wychowaniu. Mnich greckiego obrządku, sprowadzony z Kijowa, wyuczył ich czytać i pisać — na czem też skończyła się

edukacya. A przecie niedaleko były Łubnie, a w nich dwór książęcy, na którymby młodzi kniaziowie mogli nabrać poloru, wyćwiczyć się w kancelaryi, w sprawach publicznych, lub, zaciągnąwszy się pod chorągwie, w szkole rycerskiej. Kniahini miała wszelako swoje powody, dla których nie oddawała ich do Łubniów.

A nużby książę Jeremi przypomniał sobie czyje są Rozłogi i wejrzał w opiekę nad Heleną, albo sam dla pamięci Wasila tę opiekę chciał sprawować? Przyszłoby chyba wówczas wynosić się z Rozłogów — wołała więc kniahini, by w Łubniach zapomniano, że jacy Kurcewiczowie żyją na świecie. Ale też za to młodzi kniaziowie hodowali się wpół-dziko i więcej po kozacku, niż po szlachecku. Pacholętami jeszcze będąc, brali udział w poswarkach starej kniahini, w zajazdach na Siwińskich, w wyprawach na kupy tatarskie. Czując wrodzony wstręt do książek i pisma, po całych dniach strzelali z luków, lub wprawiali ręce we władanie kiścieniami, szablą, w rzucanie arkanów. Nie zajmowali się nawet i gospodarstwem, bo go nie puszczała z rąk matka. I żal było patrzeć na tych potomków znakomitego rodu, w których żyłach płynęła krew książęca, ale których obyczaje były surowe i grube, a umysły i zatwardziałe serca przypominały step nieuprawny. Tymczasem wyrastali jak dęby; wiedząc wszelako to do siebie, iż są prostakami, wstydzili się żyć ze szlachtą, a natomiast milszem im było towarzystwo dzikich watażków kozackich. Wcześniej też weszli w komitywę z Niżem, gdzie ich za towarzyszków uważano. Czasem po pół roku siedzieli na Siczy; chodzili na „przemysł“ z kozakami, brali udział w wyprawach na Turków i Tatarów, które w końcu stały się głównem i ulubionem ich zajęciem. Matka nie przeci-

wiała się temu, bo często przywozili zdobycz obfitą. Wszelako na jednej z takich wypraw, najstarszy Wasil dostał się w ręce pogańskie. Bracia przy pomocy Bohuna i jego Zaporozców odbili go wprawdzie, ale z wykapanemi oczami. Od tej pory ten w domu siedzieć musiał; jako dawniej był najdzikszy, tak potem złagodniał bardzo i w rozmyślaniach a nabożeństwie się zatopił. Młodzi prowadzili dalej wojenne rzemiosło, które w końcu przydomek kniaziów-kozaków im zjednało. Dość też było spojrzeć na Rozłogi-Siromachy, by odgadnąć, jacy w nich ludzie mieszkają. Gdy poseł i pan Skrzetuski zajechali przez bramę ze swymi wozami, ujrzeli nie dwór, ale raczej obszerną szopę, z ogromnych bierwion dębowych zbitą, z wążkami, podobnemi do strzelnic oknami. Mieszkania dla czeladzi i kozaków, stajnie, śpichlerze i lamusy przytykały do tego dworu bezpośrednio, tworząc budowę nieforemną, z wielu to wyższych, to niższych części złożoną, na zewnątrz tak ubogą i prostacką, że gdyby nie światła w oknach, trudno by ją za mieszkanie ludzi poczytać. Na majdanie przed domem widać było dwa żórawie studienne, bliżej bramy słup z kołem na szczycie, na którym siadywał niedźwiedź chowany. Brama potężna, z takichże bierwion dębowych, dawała przejście na majdan, który cały był otoczony rowem i palisadą.

Widocznie było to miejsce obronne, przeciw napadom i najazdom zabezpieczone. We wszystkim też przypominało kresową pałankę kozacką, a lubo większość siedzib szlacheckich na kresach takiego, a nie innego była pokroju, ta przecie bardziej jeszcze od innych wyglądała na jakieś drapieżne gniazdo. Czeladź, która naprzeciw gości wyszła z pochodniami, podobniejsza była do zbójów, niż do ludzi służbowych. Wielkie psy na

majdanie targaly za łańcuchy, jakby chciały się urwać i rzucić na przybyłych, ze stajen dobywało się rzenie koni, młodzi Bulyhowie wraz z matką poczeli wołać na służbę, rozkazywać i przeklinać. Wśród takiego harmideru, goście weszli do środka domu, ale tu dopiero pan Rozwan Ursu, który widząc poprzednio dzikość i mizerią siedliska, prawie żałował, iż się dał zaprosić na nocleg, zdumiał prawdziwie na widok tego, co ujrzaly jego oczy. Wnętrze domu zgoła nie odpowiadało jego lichym zewnętrznym pozorom. Najprzód weszli do obszernej sieni, której ściany całkiem prawie pokryte były zbroją, orężem i skórami dzikich zwierząt.

W dwóch ogromnych grubach paliły się kłody drzewa, a przy jasnym ich blasku widać było bogate rzędy końskie, błyszczące pancerze, karaceny tureckie, na których tu i owdzie świeciły drogie kamienie, druciane koszulki ze złożonymi guzami na spięciach, półpancerze, nabruźniki, ryngrafy, stalowe harnasze wielkiej ceny, hełmy polskie i tureckie, oraz miszurki z wierzchami od srebra. Na przeciwległej ścianie wisiały tarcze, których już nie używano w wieku ówczesnym, obok nich kopie polskie i dziryty wschodnie, siecznego oręża też dosyć od szabli, aż do gindżałów i jataganów, których głównie migotały różnymi kolorami jak gwiazdki w blasku ognia. Po kątach zwieszały się wiązki skór lisich, wilczych, niedźwiedzich, kunich i gronostajowych — owoc myślistwa kniaziów. Niżej wzdłuż ścian, drzemały na obręczach jastrzębie, sokoły i wielkie berkuty, sprowadzane z dalekich stepów wschodnich, a używane do pościgu wilków.

Z sieni owej goście przeszli do wielkiej gościnnej komnaty. I tu na kominie z okapem palił się rześisty

ogień. W komnacie tej większy był jeszcze przepych, niż w sieni. Gołe belki w ścianach pookrywane były makatami, na podłodze rozścielały się przepyszne wschodnie kobierce. W pośrodku stał długi stół na krzyżowych nogach, sklecony z prostych desek, na nim zaś roztruhany całe złożone lub rznięte ze szkła weneckiego. Pod ścianami mniejsze stoły, komody i półki, na nich sepety, puzdra nabijane bronzem, mosiężne świeczniki i zegary zrabowane czasu swego przez Turków Wenecyanom, a przez kozaków Turkom. Cała komnata założona była mnóstwem przedmiotów zbytkownych, częstokroć niewiadomego dla gospodarzy użycia. Wszędzie przepych mieszał się z największą stepową prostotą. Cenne komody tureckie nabijane bronzem, hebanem, perłową macicą, stały obok nieheblowanych półek, proste drewniane krzesła obok miękkich sof, krytych kobercami. Poduszki, leżące modą wschodnią na sofach, miały pokrowce z altembasu lub bławatów, ale rzadko były wypchane kwapiem, częściej sianem lub grochowinami. Kosztowne tkaniny i zbytkowne przedmioty było to tak zwane „dobro“ tureckie, tatarskie, częścią kupione za byle co od kozaków, częścią zdobyte na licznych wojnach jeszcze przez starego kniazia Wasila, częścią w czasie wypraw z Niżowcami przez młodych Bułhów, którzy woleli puszczać się czajkami na Czarne morze, niż żenić się lub gospodarstwa pilnować. Wszystko to nie dziwiło zgoła pana Skrzetuskiego, znającego dobrze domy kresowe, ale bojar wołoski zdumiewał się, widząc wśród tego przepychu Kurcewiczów ubranych w jałowicze buty i w kozuchy niewiele lepsze od tych, jakie nosiła służba; dziwił się również i pan Longin Podbipięta, przywykły na Litwie do innych porządków.

Tymczasem młodzi kniaziowie podejmowali gości szczerze i z wielką ochotą, lubo mało otarci w świecie, czynili to manierą tak niezgrabną, iż namiestnik za ledwo mógł uśmiech powściągnąć.

Starszy Simeon mówił:

— Radziśmy waszmościom i wdzięczni za łaskę. Dom nasz — dom wasz — tak też i bądźcie, jak u siebie. Kłaniamy panom dobrodziejstwu w niskich progach.

I lubo nie znać było w tonie jego mowy żadnej pokory, ani rozumienia jakoby przyjmował wyższych od siebie, przecież kłaniał im się obyczajem kozackim w pas, a za nim kłaniali się i młodszy bracia, sądząc, że tego gościnność wymaga, i mówiąc:

— Czołem waszmościom, czołem!...

Tymczasem kniahini, szarpnąwszy Bohuna za rękaw, wyprowadziła go do innej komnaty.

— Słysz, Bohun — rzekła pośpiesznie — nie mam czasu długo gadać. Widziałam, że ty tego młodego szlachcica na ząb wziął i zaczepki z nim szukasz?

— Maty — odpowiedział kozak, całując starą w rękę. — Świat szeroki, jemu inna droga, mnie inna. Ani ja go znał, ni o nim słyszał, ale niech mi się nie pochyła do kniaziówny, bo jakem żyw, szablą w oczy zaświecę.

— Hej oszalał, oszalał! A gdzie głowa, kozacze? Co się z tobą dzieje? Czy ty chcesz zgubić nas i siebie? To jest żołnierz Wiśniowieckiego i namiestnik, człowiek znaczny, bo od księcia do chana posłował. Niech mu włos z głowy spadnie pod naszym dachem, wiesz co będzie? Oto wojewoda obróci oczy na Rozłogi, jego pomści, nas wygna na cztery wiatry, a Helenę do Łubniów zabierze — i co wówczas? Czy i z nim zadrzesz? Czy na Łubnie napadniesz? Spróbuj, jeśli chcesz pała po-

smakować, kozacze zatracony!... Chyla się szlachcic do dziewczyny, nie chyla, ale jak przyjechał, pojedzie i będzie spokój. Hamujże ty się, a nie chcesz, to ruszaj skądś przybył, bo nam tu nieszczęścia naprowadzisz!

Kozak gryzł wąż, sapał, ale zrozumiał, że kniahini ma słusność.

— Oni jutro odjadą, matko — rzekł — a ja się pohamuję, niech jedno czarnobrewa nie wychodzi do nich.

— A tobie co? Żeby myśleli, że ją więżą. Otóż wyjdzie, bo ja tego chcę. Ty mi tu w domu nie przewódź, boś nie gospodarz.

— Nie gniewajcie się, kniahini. Skoro inaczej nie można, to będę im jako tureckie bakalie słodki. Zębem nie zgrzytnę, do głowni nie sięgnę, choćby mnie gniew i pożarł, choćby dusza jęczeć miała. Niechże będzie wasza wola.

— A to tak gadaj, sokole, teorban weź, zagraj, zaśpiewaj, to ci i na duszy lżej się zrobi. A teraz chodź do gości.

Wrócili do gościnnej komnaty, w której kniazio- wie, nie wiedząc jak gości bawić, wciąż ich zapraszali, by byli sobie radzi, i kłaniali im się w pas. Tu zaraz pan Skrzetuski spojrział ostro a dumnie w oczy Bohunowi, ale nie znalazł w nich zaczepki, ni wyzwania. Twarz młodego watażki jaśniała uprzejmą wesołością, tak dobrze symulowaną, że mogłaby omylić najwpraw- niejsze oko. Namiestnik przyglądał mu się bacznie, gdyż poprzednio w ciemności nie mógł dojrzeć jego rysów. Teraz ujrzał mołojca smukłego jak topola, z obliczem smagłym, zdobnem w bujny czarny wąż, zwieszający się ku dołowi. Wesołość na tej twarzy przebijała przez ukraiń- ską zadumę, jako słońce przez mgłę. Czoło miał wa-

tażka wysokie, na które spadała czarna czupryna w postaci grzywki, ułożonej w pojedyncze kosmyki, obcięte w równe ząbki nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza i białe zęby, połyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę drapieźny, ale wogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i zawadyackiej. Nad podziw świetny ubiór wyróżniał także stepowego mołojca od przybranych w kozuchy kniaziów. Bohun miał na sobie żupan z cienkiej lamy srebrnej i czerwony kontusz, którą to barwę nosili wszyscy kozacy perejasławscy. Biodra otaczał mu pas krepowy, od którego bogata szabla zwieszała się na jedwabnych rapciach; ale i szabla i ubiór gasły przy bogactwie tureckiego gindżału, zatkniętego za pas, którego głownia tak była nasadzona kamieniami, że aż skry sypały się od niej. Tak przybranego każdyby snadnie poczytał raczej za jakie paniątko wysokiego rodu, niż za kozaka, zwłaszcza że i jego swoboda, jego wielkopańskie maniere nie zdradzały niskiego pochodzenia. Zbliżywszy się do pana Longina, wysłuchał historyi o przodku Stowejce i o ścięciu trzech krzyżaków, a potem zwrócił się do namiestnika i jak gdyby nie pomiędzy nimi nie zaszło, spytał z całą swobodą:

— Wasza mość, słyszę, z Krymu powracasz?

— Z Krymu — odparł sucho namiestnik.

— Byłem tam i ja, a chociażem się do Bachczysaraju nie zapędzał, przecie mniemam, że i tam będę, jeśli się one pomysłne wieści sprawdzą.

— O jakich wieściach waść mówisz?

— Są głosy, że jeśli król miłościwy wojnę z Turczynem zacznie, to książę wojewoda Krym ogniem i mieczem nawiedzi, od których wieści wielka jest radość na

całej Ukrainie i na Niżu, bo jeśli pod takim wodzem nie pohulamy w Bachezysaraju, tedy pod żadnym.

— Pohulamy, jak Bóg w niebie! — ozwali się Kurcewicze.

Porucznika ujął respekt, z jakim watażka odzywał się o księciu, przeto uśmiechnął się i rzekł łagodniejszym już tonem:

— Waści widzę, nie dość wypraw z niżowcami, które cię przecie sławą okryły.

— Mała wojna, mała sława; wielka wojna, wielka sława. Konaszewicz Sahajdaczny nie na czajkach, ale pod Chocimem jej nabył.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł zwolna Wasil, najstarszy z Kurcewiczów, prowadzony za rękę przez Helenę. Był to człowiek dojrzałych lat, wybladły i wychudły, z twarzą ascetyczną i smętną, przypominającą bizantyjskie obrazy świętych. Długie włosy, posiwiałe przedwcześnie od nieszczęść i bólu, spadały mu aż na ramiona, a zamiast oczu miał dwie czerwone jamy, w rękę trzymał krzyż mosiężny, którym począł żegnać komnatę i wszystkich obecnych.

— W imię Boga i Ojca, w imię Spasa i Świętej Przczystej — mówił — jeśli apostołami jesteście i dobre nowiny niesiecie, witajcie w progach chrześcijańskich. Amen!

— Wybaczcie waszmościowie — mruknęła kniahini — on ma rozum pomieszany.

Wasil zaś żegnał wciąż krzyżem i mówił dalej:

— Jako stoi w „Biesiadach apostołskich“: „którzy przeleją krew za wiarę, zbawieni będą; którzy polegną dla dóbr ziemskich, dla zysku lub zdobyczy — mają być potępieni...“ Módlmy się! gorze wam bracia! gorze mnie,

bośmy dla zdobyczy wojnę czynili! Boże, bądź miłościw nam grzesznym! Boże, bądź miłościw... A wy, mężowie, którzy przybyliście z daleka, jakie nowiny niesiecie? jesteście apostołami?

Umilkł i zdawał się czekać na odpowiedź, więc namiestnik odpowiedział po chwili:

— Daleko nam od tak wysokiej szarży. Żołnierzami tylko jesteśmy, gotowymi poedz za wiarę.

— Tedy będziecie zbawieni — rzekł ślepy — ale dla nas nie nadeszła jeszcze godzina wyzwolenia... Gorze wam, bracia! gorze mnie!

Ostatnie słowa wymówił prawie jęcząc i taka niezmierna rozpacz malowała się na jego twarzy, że goście nie wiedzieli, co mają począć. Tymczasem Helena posadziła go na krześle, sama zaś wybiegłszy do sieni, wróciła po chwili z lutnią w ręku.

Ciche dźwięki ozwały się w komnacie, a do wtóru im kniaziówna poczęła śpiewać pieśń pobożną:

I w noc i we dnie wołam do Cię Panie!
Pofolguj męce i łzom żałośliwym,
Bądź mnie grzesznemu ojcem miłościwym,
Usłysz wołanie.

Niewidomy przechylił w tył głowę i słuchał słów pieśni, które zdawały się działać jak balsam kojący, bo z twarzy znikaly mu stopniowo ból i przerażenie; nakoniec głowa spadła mu na piersi i tak pozostał jakby w pół-śnie, pół-odrętwieniu.

— Byle nie przerywać śpiewania, już on się całkiem uspokoi — rzekła z cicha kniahini. — Widzicie waszmościowie, waryacya jego polega na tem, że ciągle

czeka apostołów i byle kto do domu przyjechał, zaraz wychodzi pytać, czy nie apostołowie...

Tymczasem Helena śpiewała dalej:

Wskaż-że mi drogę, o Panie nad Pany,
Bom jako pątnik na pustyni bezdrożu,
Lub jak wśród fali na niezmiernem morzu
Korab zbłąkany.

Słodki głos jej brzmiał coraz silniej i z tą lutnią w ręku, z oczyma wzniesionemi do góry była tak cudna, że namiestnik oczu nie mógł od niej oderwać. Zapatrzył się w nią, utonął w niej — o świecie zapomniał.

Z zachwytu rozbudziły go dopiero słowa starej kniahini:

— Dosyć tego! Już on się teraz nieprędko rozbudzi. A tymczasem proszę ichmościów na wieczerzę.

— Prosimy na chleb i sól! — ozwali się za matką młodzi Bułhowie.

Pan Rozwan, jako kawaler wielkich manier, podał ramię kniahini, co widząc, pan Skrzetuski sunął zaraz do kniaziówny Heleny. Serce zmiękło w nim jak wosk, gdy czuł jej rękę na swojej, z oczu aż skry poszły — i rzekł:

— Snać już chyba i anieli w niebie cudniej nie śpiewają od waćpanny.

— Grzeszysz, rycerzu, przyrównywając moje śpiewanie do anielskiego — odpowiedziała Helena.

— Nie wiem czy grzeszę, ale to pewno, że chętnie dałbym sobie oczy wykapać, byle twego śpiewania do śmierci słuchać. Ale cóż mówię! Ślepym będąc, nie mógłbym ciebie widzieć, co również byłoby męką nieznośną.

— Nie mów tego waszmość, gdyż wyjechawszy stąd jutro, jutro zapomnisz.

— O, nie stanie się to, gdyż takem się w waćpannie rozkochał, iż po wiek żywota mego innego afektu znać nie chcę, a tego nigdy nie zapomnę.

Na to szkarłatny rumieniec oblał twarz kniaziówny, pierś poczęła falować mocniej. Chciała odpowiedzieć, ale tylko wargi jej drżały — więc pan Skrzetuski mówił dalej:

— Waćpanna raczej zapomnisz o mnie przy owym kraśnym watażce, który twemu śpiewaniu na bałabajce przygrywał będzie.

— Nigdy, nigdy! — szepnęła dziewczyna. — Ale waćpan się jego strzeż, to straszny człowiek.

— Co mi tam jeden kozak znaczy, a choćby też i cała Sicz z nim trzymała, jam się dla ciebie na wszystko ważyć gotowy. Tyś mi jest właśnie jako klejnot bez ceny, tyś mój świat, jeno niech wiem, żeś mi jest wzajemną.

— Ciche „tak“ zadźwięczało jak rajska muzyka w uszach pana Skrzetuskiego i zaraz wydało mu się, że w nim przynajmniej dziesięć serc bije; w oczach mu pojaśniało wszystko, jakoby promienie słoneczne na świat padły; uczył w sobie jakieś moce nieznanne, jakieś skrzydła u ramion. Przy wieczerzy mignęła mu kilkakroć twarz Bohuna, która była zmieniona bardzo i blada, ale namiestnik, mając wzajemność Heleny, nie dbał o tego współzawodnika. „Jechał go sęk! — myślał sobie — niechże mi w drogę nie włązi, bo go zetrę“. Zresztą myśli jego szły w inną stronę.

Czuł oto, że Helena siedzi przy nim tak blisko, iż prawie ramieniem dotyka jej ramienia, widział rumieńce

nieschodzące z jej twarzy, od których bił żar, widział pierś falującą i oczy, to skromnie spuszczone i rzęsami nakryte, to błyszczące jak dwie gwiazdy. Bo też Helena, choć zahukana przez Kurcewiczową, choć żyjąca w sieroctwie, smutku i obawie, była przecie ukraińką o krwi ognistej. Gdy tylko padły na nią ciepłe promienie miłości, zaraz zakwitła jak róża i do nowego nieznanego rozbudziła się życia. W jej twarzy zabłysło szczęście, odwaga, a te porywy, walcząc ze wstydem dziewiczym, umalowały jej policzki w śliczne kolory różane. Więc pan Skrzetuski mało ze skóry nie wyskoczył. Pił na umór, ale miód nie działał na niego, bo już był pijany miłością. Nie widział nikogo więcej przy stole, tylko swoją dziewczynę. Nie widział, że Bohun bladł coraz bardziej i coraz macał głowni swego gindżału; nie słyszał jak pan Longin opowiadał po raz trzeci o przodku Stowejce, a Kurcewicz o swoich wyprawach po „dobro tureckie“. Pili wszyscy prócz Bohuna, a najlepszy przykład dawała stara kniahini, wnosząc kusztyki to za zdrowie gości, to za zdrowie miłościwego księcia pana, to wreszcie hospodara Lupuła. Była też mowa o ślepym Wasilu, o jego dawniejszych przewagach rycerskich, o nieszczęsnej wyprawie i terażniejszej waryacyi, którą najstarszy Simeon tak tłumaczył:

— Zważcie waszmościowie, iż gdy najmniejsze zdźbło w oku patrzeć przeszkadza, jakże tedy znaczne kawały smoły, dostawszy się do rozumu, nie miały go o pomieszanie przyprowadzić?

— Bardzo to jest delikatne instrumentum — zauważył na to pan Longin.

Wtem stara kniahini spostrzegła zmienioną twarz Bohuna.

— Co tobie, sokole?

— Dusza boli, maty — rzekł posepnie — ale kozackie słowo nie dym, więc zdzierzę.

— Terpy synku, mohorycz bude.

Wieczera była skończona — ale miodu dolewano ciągle do kuszyków. Przyszli też kozackowie wezwani do tańcowania na tem większą ochotę. Zadzwięczały bałabajki i bębenek, przy których odgłosach zaspane pacholeta musiały płaszać. Później i młodzi Bułhowie poszli w prysiudy. Stara kniahini, wzięwszy się pod boki, poczęła dreptać w miejscu, a podrygiwać, a podśpiewywać, co widząc, pan Skrzetuski, sunął z Heleną do tańca. Gdy ją objął rękoma, zdawało mu się, iż kawał nieba przyciska do piersi. W zawrotach tańca długie jej warokcze omotały mu szyję, jakby dziewczyna chciała go przywiązać do siebie na zawsze. Nie wytrzymał tedy szlachcic, ale gdy rozumiał, że nikt nie patrzy, pochylił się i z całej mocy pocałował jej słodkie usta.

Późno w noc znalazłszy się sam na sam z panem Longinem w izbie, w której posłano im do spania, porucznik zamiast iść spać, siadł na tapczanie i rzekł:

— Z innym to już człowiekiem jutro waćpan do Łubniów pojedziesz!

Podbipięta, który właśnie ukończył pacierze, otworzył szeroko oczy i spytał:

— Tak bo cóż? czy waszmość tu zostanie?

— Nie ja zostanę, ale serce zostanie, a jedno dulcis recordatio ze mną pojedzie. Widzisz mnie waćpan w wielkiej alteracyi, gdyż od żądz tkliwych ledwie że tchu oribus mogę złapać.

— To waćpan zakochał się w kniaziównie?

— Nieinaczej, jako żyw tu przed waćpanem sie-

dzę. Sen ucieka mnie od powiek i jeno do wzdychania mam ochotę, od którego chyba cały w parę się rozplynę — co waćpanu powiadam dlatego, że mając serce czule i afektów głodne, snadnie mękę moją zrozumiesz.

Pan Longin sam wzdychać począł, na znak, że męczarnie miłości rozumie, po chwili zaś spytał żałośnie:

— A może waćpan takż czystość ślubował?

— Pytanie waćcine jest nie do rzeczy, bo gdyby wszyscy podobne śluby czynili, tedyby genus humanum zginąć musiał.

Wejście sługi przerwało dalszą rozmowę. Był to stary Tatar, o bystrych czarnych oczach i pomarszczonej jak suszone jabłko twarzy. Wszedłszy, rzucił znaczące spojrzenie na Skrzetuskiego i spytał:

— A czy nie trzeba czego waszmościom? może miodu po kusztyczku do poduszki?

— Nie trzeba.

Tatar zbliżył się do Skrzetuskiego i mruknął:

— Mam dla W. pana słówko od panny.

— Bądźże mi Pandarem! — zawołał radośnie namiestnik. — Możesz też mówić przy tym kawalerze, bom się przed nim spuścił z sekretu.

Tatar wydobyl z za rękawa kawałek wstążki:

— Panna przysła W. panu tę szarfę i to kazała powiedzieć, że miłuje go z całej duszy.

Porucznik porwał szarfę i począł ją z uniesieniem całować i do piersi przyciskać, a dopiero ochłonawszy nieco spytał:

— Co ci zleciła powiedzieć?

— Że miłuje waszmość pana z całej duszy.

— Naści-że talera za musztuluk. Rzekła tedy, że mię miłuje?

— Tak jest!

— Naści-że jeszcze talera. Niechże ją Bóg błogosławi, boć i ona mi najmilsza. Powiedzże jej... albo czekaj: sam do niej pisać będę; przyniesz mi jeno inkaustu, piór i papieru.

— Czego? — spytał Tatar.

— Inkaustu, piór i papieru.

— Tego u nas w domu niema. Za kniazia Wasila było — i potem, jak się młodzi kniaziewie pisać od czerńca uczyli — ale to już dawno.

Pan Skrzetuski klasnął palcami.

— Mości Podbipięto, nie masz wasze inkaustu i piór?

Litwin rozłożył ręce i wznosił oczy do góry.

— Tfy do licha! — rzecze porucznik — otom jest w kłopotcie!

Tymczasem Tatar usiadł w kuczki przed ogniem.

— Po co pisać — rzekł, grzebiąc w węglach. — Panna spać poszła. A co masz wasza miłość jej napisać, to jutro powiedzieć można.

— Kiedy tak, to co innego. Wiernyś, jak widzę, sługa kniaziewny. Naści-że trzeciego talera. — Dawno służysz?

— Ho! ho! czternaście lat temu, jako mnie kniaz Wasil w jassyr wziął — i od tej pory służyłem mu wiernie, a gdy onej nocy odjeżdżał na przepadle imię, to dziecko Konstantynu zostawił, a do mnie rzekł: Czechły! i ty nie odstąpisz dziewczyny i będziesz jej strzegł, jak oka w głowie. Łacha il Alla!

— Tak też i czynisz?

— Tak też i czynię, i patrzę.

— Mów, co widzisz? Jak tu kniaziewnie?

— Żle tu myślą o niej, bo ją chcą dać Bohunowi, któren jest pies potępiony.

— O! nie będzie z tego nic! znajdzie się komu za nią ująć!

— Tak! — rzekł stary, potrząsając palące się głownie. — Oni ją chcą dać Bohunowi, by ją wziął i poniósł jako wilk jagnię, a ich w Rozłogach zostawił — bo Rozłogi jej, nie ich, po kniaziu Wasilu. On też Bohun to uczynić gotów, bo po komyszach więcej ma złota i srebra, niżeli piasku w Rozłogach, ale ona ma go w nienawiści od pory, jak przy niej człowieka czekanem rozszczępił. Krew padła między nich i nienawiść wyrosła. Bóg jest jeden!

Namiestnik tej nocy usnąć nie mógł. Chodził po izbie, patrzył w księżyc i w myśli różne ważył postanowienia. Zrozumiał teraz grę Bulyhów. Gdyby kniaziównę szlachcic jakiś okoliczny pojął, toby się upomniał o Rozłogi i miałby słusność, bo się jej należały; a może zażądałby jeszcze rachunków z opieki. Dla tej to przyczyny i tak już skozaczeni Bulyhowie postanowili dać dziewczynę kozakowi. O czem myśląc pan Skrzetuski pięście ścisnął i miecza szukał wedle siebie. Postanowił więc rozbić te machinacye i czuł się na siłach to uczynić. Przecie opieka nad Heleną należała i do księcia Jeremiego, raz że Rozłogi były puszczone od Wiśniowieckich staremu Wasilowi, powtóre, że sam Wasil z Baru pisał list do księcia, prosząc o opiekę. Tylko nawał spraw publicznych, wojny i wielkie przedsięwzięcia mogły sprawić, że wojewoda dotąd w opiekę nie wejrzał. Ale dość będzie słowem mu przypomnieć, a sprawiedliwość uczyni.

Szaro już robiło się na świecie, gdy pan Skrzetu-

ski rzucił się na posłanie. Spał twardo i nazajutrz zbudził się z gotowem postanowieniem. Ubrali się tedy z panem Longinem śpiesznie, ile że i wozy stały już w gotowości, a żołnierze pana Skrzetuskiego siedzieli na koniach gotowi do odjazdu. W gościnnej izbie poseł pokrzepiał się polewką w towarzystwie Kurcewiczów i starej kniahini; Bohuna tylko nie było; niewiadomo: spał jeszcze, czy odjechał.

Posiliwszy się, Skrzetuski rzekł:

— Mościa pani! Tempus fugit, za chwilę na koń nam siadać trzeba, nim więc podziękujemy wdzięcznem sercem za gościnę, mam ja tu ważną sprawę, o którejbym chciał z jejmość panią i z ichmość jej synami kilka słów na osobności pomówić.

Na twarzy kniahini odmalowało się zdziwienie; spojrziała na synów, na posła i pana Longina, jakby pragnąc z ich twarzy odgadnąć o co idzie, i z pewnym niepokojem w głosie rzekła:

— Służę waszmości.

Posel chciał wstawać, ale mu nie dozwoliła, natomiast przeszli do owej sieni, pokrytej zbroją i orężem. Młodzi kniazio wie ustawili się szeregiem za matką, która, stanąwszy naprzeciw Skrzetuskiego, spytała:

— O jakiejże sprawie waćpan chcesz mówić?

Namiestnik utkwil w niej wzrok bystry, surowy prawie i rzekł:

— Wybacz jejmość i wy, młodzi kniazio wie, że przeciw zwyczajowi postępując, zamiast przez zacnych posłów mówić, sam w sprawie mej rzecznikiem będę. Ale nie może być inaczej, a gdy z musem nikt walczyć nie zdoła, przeto bez dłuższego kunktatorstwa, przedstawiam jejmość pani i ichmościom, jako opiekunom, moją

pokorną prośbę, byście mi księżniczkę Helenę za żonę oddać raczyli.

Gdyby w tej chwili, w czasie zimy, piorun runął na majdan w Rozłogach, mniejszeby sprawił wrażenie na kniahini i jej synach, niż owe słowa namiestnika. Przez chwilę spoglądali ze zdumieniem na mówiącego, który stał przed nimi wyprostowany, spokojny i dziwnie dumny, jakby nie prosić, ale rozkazywać zamierzał, i nie umieli znaleźć słowa odpowiedzi — a natomiast kniahini pytać zaczęła:

— Jako? waść? o Helenę?

— Ja, mościa pani — i to jest niewzruszony mój zamiar.

Nastała chwila milczenia.

— Czekam odpowiedzi imość pani.

— Wybacz waćpan — odrzekła, ochłonawszy, kniahini, a głos jej stał się suchy i ostry — zaszczyt do dla nas nie mały prośba takiego kawalera, ale nie może z niej nic być, gdyż Helenę obiecałam już komu innemu.

— Zważ wszelako waćpani, jako troskliwa opiekunka, czy to nie było przeciw woli kniaziówny i czym nie lepszy niżli ten, komu ją waćpani obiecałaś.

— Mości panie! Kto lepszy, mnie sądzić. Możesz być i najlepszy, wszystko nam jedno, bo cię nie znamy.

Na to namiestnik wyprostował się jeszcze dumniej, a spojrzenia jego stały się jako noże ostre, choć zimne.

— Ale ja was znam, zdrajcy! — huknął. — Chcecie krewniaczkę chłopu oddać, byle was tylko w zagarniętej nieprawnie włości zostawił...

— Sam zdrajco! — krzyknęła kniahini. — Tak to za gościnę płacisz, taką to wdzięczność w sercu żywiesz? O źmijo! Coś za jeden? skądś się wziął?

Młodzi Kurcewicze poczęli w palce trzaskać i po ścianach za bronią się oglądać, namiestnik zaś wołał:

— Poganie! zagarnęliście włość sierocą, ale nic z tego. Za dzień, księżę już o tem wiedzieć będzie.

Usłyszawszy to, kniahini rzuciła się w tył izby i chwyciwszy rohatynę, szła z nią do namiestnika. Kniazowie też, porwawszy, co który mógł, ten szablę, ten kiścień, ten nóż, otoczyli go półkolem, dysząc jak stado wilków wściekłych.

— Do księcia pójdziesz? — wołała kniahini — a wieszli, czy żyw stąd wyjdiesz? czy to nie ostatnia twoja godzina?

Skrzetuski skrzyżował ręce na piersiach i okiem nie mrugnął.

— Jako książęcy poseł z Krymu wracam — rzekł — niech tu jedną kroplę krwi uronię, a w trzy dni i popiołu z tego miejsca nie zostanie, wy zaś pognijecie w lochach lubniańskich. Jestli na świecie moc, coby was uchronić zdołała? Nie groźcie, bo was się nie boję!

— Zginiemy, ale ty pierwszej zginiesz.

— Tedy uderzaj — oto pierś moja.

Kniazowie z matką na czele, trzymali wciąż ostrza skierowane ku piersi namiestnika, ale rzekłbyś, jakieś niewidzialne łańcuchy skrępowwały im ręce. Sapiąc i zgrzytając zębami, szarpali się w bezsilnej wściekłości — wszelako nie uderzał żaden. Ubezwładniło ich straszliwe imię Wiśniowieckiego.

Namiestnik był panem położenia.

Bezsilny gniew kniahini wylał się tylko potokiem obelg:

— Przechero! szaraku! hołyszul! kniaziowej krwi ci się zachciało — ale nic z tego! Każdemu oddamy,

byle nie tobie, czego nam i sam księżę nakazać nie jest w stanie.

Na to pan Skrzetuski:

— Nie pora mi się z mego szlachectwa wywodzić, ale tak myślę, że wasze księstwo mogłoby snadnie za niem mieczyk i tarczę nosić. Zresztą skoro chłop był wam dobry, to jam lepszy. Co do fortuny mojej i ta wejść może z waszą w paragon, a że mówicie, iż mnie Heleny nie dacie, to słuchajcie co powiem: i ja ostawię was przy Rozłogach, rachunków z opieki nie żądając.

— Nie darowywuj tego, co nie twoje.

— Nie darowuję, jeno obietnicę na przyszłość daję i rycerskiem słowem ją poręczam. Tedy wybierajcie: albo rachunki księciu z opieki złożyć i z Rozłogów ustąpić, albo li mnie dziewczkę oddać, a włość zatrzymać...

Rohatyna wysuwała się zwolna z rąk kniahini. Po chwili upadła z brzękiem na podłogę.

— Wybierajcie — powtórzył pan Skrzetuski — aut pacem, aut bellum!

— Szczęście to — rzekła już łagodniej Kurcewiczowa — że Bohun z sokoły pojechał, nie chcąc na waszmości patrzeć, bo on już wczora podejrzewał. Inaczej nie byłoby tu bez krwi rozlania.

— Mościa pani, i ja szablę nie po to noszę, by mi pas obciągała.

— Uważ jednak waszmość, czy to politycznie ze strony takiego kawalera, wszedłszy po dobremu w dom, tak na ludzi nastawać i dziewczkę impetem brać, tak właśnie, jakby z niewoli tureckiej?

— Godzi się, gdy po niewoli miała być chłopu zaprzędana.

— Tego waść o Bohunie nie mów, bo on choć

rodziców nieświadom, przecie wojownik jest zawołany i rycerz sławny, a nam od dziecka znajomy, w domu jakoby krewny. Któremu za jedno, czyby mu tę dziewczkę odjąć, czyby go nożem pchnąć.

— Mościa pani, a mnie czas w drogę, wybaczenie więc, że raz jeszcze powtórzę: wybierajcie!

Kniahini zwróciła się do synów:

— A co, synkowie, mówicie na tak pokorną prośbę tego kawalera?

Bułyhowie spoglądali po sobie, tręcali się łokciami i milczeli.

Nakoniec Symeon mruknął:

— Każesz bić, maty, to będziem — każesz dać dziewczkę, to damy.

— Bić źle i dać źle.

Potem, zwracając się do Skrzetuskiego:

— Przycisnąłeś nas waść tak do ściany, że choć łopnąć. Bohun jest człowiek szalony, gotów się ważyć na wszystko. Kto nas przed jego zemstą osłoni? Sam zginie od księcia, ale nas pierwej zgubi. Co nam począć?

— Wasza głowa.

Kniahini milczała przez chwilę:

— Słuchajże, mości kawalerze. Musi to wszystko w tajemnicy zostać. Bohuna wyprawiam do Perejasławia, sami z Heleną do Łubniów zjedziem, a waść uprosisz księcia, by nam przydyum do Rozłogów przysłał. Bohun ma w pobliżu półtorasta semenów, z których część tu jest. Nie możesz Heleny zaraz brać, bo ją odbije. Inaczej to nie może być. Jedźże więc, nikomu sekretu nie powiadając, i czekaj nas.

— Byście mnie zdradzili?

— Byśmy tylko mogli! — ale nie mogę, sam to widzisz. Daj słowo, że sekret do czasu utrzymasz!

— Daję — a wy dajecie dziewczkę?

— Bo nie możemy nie dać — choć nam Bohuna żal...

— Tfy! tfy! mości panowie — rzekł nagle namiestnik, zwracając się do kniaziów — czterech was jak dębów i jednego kozaka się bojąc, zdradą go brać chcecie. Chociem wam winien dziękować, jednakże powiem: nie przystoi to zacnej szlachcie!

— Waść się w to nie mieszaj — zakrzyknęła kniahini. — Nie twoja to rzecz. Co nam począć? Ilu waść masz żołnierzów na jego półtorasta semenów? Osłoniszże nas? osłoniszże samą Helenę, którą on gwałtem porwać gotów? To nie waścina rzecz. Jedźże sobie do Łubniów, a co my poczniemy, to nam wiedzieć, byleśmy Helenę ci przywieźli.

— Czyńcie co chcecie: jedno wam tylko jeszcze powiem. Gdyby się tu krzywda kniaziównie działa — tedy biada wam!

— Nie poczynajże sobie tak z nami, byś nas do desperacyi nie przywiódł.

— Boście jej gwałt uczynić chcieli, a i teraz, sprzedając ją za Rozłogi, do głowy wam nie przyszło spytać: zali będzie jej po myśli moja persona?

— Zaczem spytamy jej wobec ciebie — rzekła kniahini, tłumiąc gniew, który na nowo poczynał wrzeć w jej piersi, czuła bowiem doskonale pogardę w słowach namiestnika. Symeon poszedł po Helenę i po chwili ukazał się wraz z nią w sieni.

Wśród tych gniewów i groźb, które zdawały się huczeć jeszcze w powietrzu, jak odgłosy przemijającej

nawałnicy; wśród tych zmarszczonych brwi, srogich spojrzeń i surowych twarzy, jej śliczne oblicze zablęzło, jakoby słońce po burzy.

— Mościa panno! — rzekła ponuro kniahini, ukazując na Skrzetuskiego — jeśli masz wolę po temu, to jest twój przyszły mąż.

Helena zbladła jak ściana, i krzyknąwszy, zakryła oczy rękoma, a potem nagle wyciągnęła je ku Skrzetuskiemu.

— Prawda li to? — szeptała w upojeniu.

W godzinę później, orszak posła i namiestnikowy posuwał się zwolna, leśnym gościńcem, w stronę Łubniów. Skrzetuski z panem Longinem Podbipiętą jechali na czele — za nimi wozy poselskie wyciągnęły się długim pasem. Namiestnik cały był pogrążony w zadumie i tęsknocie, gdy wtem z owej zadumy zbudziły go urwane słowa pieśni:

„Tużu, tużu, serce bołyt...”

W głębi lasu, na wązkiej wyjeżdżonej przez chłopów drożynie, ukazał się Bohun. Koń jego całkiem był pokryty pianą i błotem.

Widocznie kozak, wedle swego obyczaju, puścił się był na stepy i lasy, by się wiatrem spić, zgubić w dali i zapamiętać, i to, co duszę bolało — przeboleć.

Teraz wracał właśnie do Rozłogów.

Patrząc na tę przepyszną, iście rycerską postać, która mignęła tylko i znikła, pan Skrzetuski mimowoli pomyślał sobie, a nawet mruknął pod nosem:

— Wszelako to szczęście, że on człowieka przy niej rozszczepił.

Nagle jakiś żal ścisnął mu serce. Żal mu było jakoby i Bohuna, ale więcej jeszcze tego, że związawszy się słowem kniahini, nie mógł, ot teraz, popędzić za nim konia i rzec:

— Kochamy jedną, więc jednemu z nas nie żyć na świecie. Dobądź kozacze szerpetyny!

ROZDZIAŁ V.

Przybywszy do Łubniów, nie zastał pan Skrzetuski w domu księcia, który był do pana Suffczyńskiego, dawniejszego swego dworzanina, do Sieńczy na chrzciny pojechał, a z nim księżna, dwie panny Zbaraskie i wiele osób ze dworu. Dano tedy znać do Sieńczy i o powrocie z Krymu namiestnika, i o przybyciu posła, tymczasem znajomi i towarzysze witali radośnie po długiej podróży Skrzetuskiego, a zwłaszcza pan Wołodyjowski, który po ostatnim pojedynku był najbliższym naszemu namiestnikowi przyjacielem. Odznaczał się ten kawaler tem, iż ustawicznie był zakochany. Przekonawszy się o nieszczerości Anusi Borzobohatej, zwrócił był czule serce ku Anieli Leńskiej, pannie również z fraucymeru, a gdy i ta, przed miesiącem właśnie zaślubiła pana Staniszewskiego, wówczas Wołodyjowski dla pociechy jał wzdychać do starszej księżniczki Zbaraskiej, Anny, synowicy księcia Wiśniowieckiego.

Wszelako sam rozumiał, iż podniósłszy tak wysoko oczy, nie mógł choćby najmniejszą pokrzepiać się nadzieją, tembardziej, że i po księżniczkę zgłosili się już dziewosłobowie, pan Bodzyński i pan Lassota, w imieniu pana Przyjemskiego, wojewodzica łęczyckiego. Opowia-

dał więc nieszczęsny Wołodyjowski te nowe strapienia naszemu namiestnikowi, wcielając go we wszystkie sprawy i tajemnice dworskie, których ten pól uchem słuchał, mając umysł i serce czem innem zajęte. Gdyby nie owe duszne niepokoje, które z miłością, choćby wzajemną, zawsze w parze chodzić zwykły, byłby się czuł pan Skrzetuski szczęśliwym, wróciwszy po długiej nieobecności do Łubniów, gdzie otoczyły go twarze życzliwe i ów gwar życia żołnierskiego, z którym oddawna był zżyły. Albowiem Łubnie, jakkolwiek jako zamczysta rezydencya pańska, mogły pod względem wspaniałości równać się ze wszystkimi siedzibami „królewiał“, tem się wszelako od nich różniły, iż życie w nich było surowe, prawdziwie obozowe. Kto nie znał tamtejszych zwyczajów i ordynku, ten, przyjechawszy choćby w porze najspokojniejszej, mógł sądzić, że się tam jaka wyprawa wojenna gotuje. Żołnierz przeważał tam nad dworzaninem, żelazo nad złotem, dźwięk trąb obozowych nad gwarem uczt i zabaw. Wszędy panował wzorowy ład i nieznaną gdzieindziej dyscyplina; wszędy roiło się od rycerstwa z pod różnych chorągwi: pancernych, dragańskich, kozackich, tatarskich i wołoskich, pod którymi służyło nietylko całe Zadnieprze, ale ochocza szlachta ze wszystkich okolic Rzpltej. Kto się chciał w prawdziwej rycerskiej szkole wyćwiczyć, ten ciągnął do Łubniów; nie brakło więc tam obok Rusinów, ani Mazurów, ani Litwy, ani Małopolan, ba nawet i Prusaków. Piesze regimenta i artylerya, czyli tak zwany „lud ogniasty“, złożone były przeważnie z wyborowych Niemców, najętych na żold wysoki — w draganach służyli głównie miejscowi — Litwa w tatarskich chorągwiach, Małopolanie garnęli się najchętniej pod znaki pancerne. Książę

nie pozwalał też gnuśnieć rycerstwu, dlatego w obozie panował ruch ustawiczny. Jedne pułki wychodziły na zmianę do stanic i polanek, inne wchodziły do stolicy — po całych dniach odbywały się musztry i ćwiczenia. Czasem też, chociaż i spokojnie było od Tatar, księżę przedsiębrał dalekie wyprawy w głuche stepy i pustynie, by żołnierzy do pochodów przyuczyć, dotrzeć tam, gdzie nikt nie dotarł i roznieść sławę swego imienia. Tak zeszłej jesieni zapuścił się lewym brzegiem Dniepru do Kudaku, gdzie go pan Grodzicki, trzymający prezydium, jak monarchę udzielnego przyjmował; potem pociągnął obok Porohów aż do Chortycy, i na uroczyszczu Kuczkasów kazał mogiłę wielką z kamieni usypać na pamiątkę i na znak, że tamtą stroną żaden jeszcze pan nie był tak daleko ¹⁾).

Pan Bogusław Maszkiewicz, żołnierz dobry, choć młody, a zarazem człowiek uczony, który tę wyprawę, również jak i inne pochody księżęce opisał, cuda o niej opowiadał Skrzetuskiemu, co pan Wołodyjowski zaraz potwierdzał, gdyż i on brał udział w wyprawie. Widzieli tedy Porohy i dziwili im się, a zwłaszcza straszniemu Nienasytcowi, który rok rocznie, jak ongi Scylla i Charbda, po kilkadziesiąt ludzi pożerał. Potem puścili się na wschód, na spalone stepy, gdzie od niedogarków jazda postępować nie mogła i aż musieli koniom nogi skórami obwiązać. Spotkali tam mnóstwo gadzin, padalców i olbrzymie węże położy, na dziesięć łokci długie, a grube jak ramię męża. Po drodze na samotnych dobach ryli *pro aeterna rei memoria* herby księżęce, nak-

¹⁾ Są to słowa Maszkiewicza, który mógł nie wiedzieć o b

tności Samuela Zborowskiego na Siczy.

niec zaszli w tak głucho stepy, gdzie już i śladów człowieka nie było można dopatrzeć.

— Myślałem — mówił uczony pan Maszkiewicz — że nam w końcu na wzór Ulisessa i do Chadu zstąpić przyjdzie.

Na to pan Wołodyjowski:

— Przysięgali też ludzie z pod chorągwi pana strażnika Zamoyskiego, która szła na przodku, jako już widzieli owe fines, na których orbis terrarum się kończy.

Namiestnik opowiadał wzajemnie towarzyszom o Krymie, gdzie prawie pół roku spędził, czekając na respons chana jegomości, o tamtejszych miastach, pozostałych z dawnych czasów, o Tatarach i o potędze ich wojennej, a nakoniec o postrachu, w jakim żyli, usłyszawszy o walnej na Krym wyprawie, w której wszystkie siły Rzeczypospolitej miały wziąć udział.

Tak gwarząc co wieczór, oczekiwali powrotu księcia — tymczasem namiestnik przedstawiał co bliższym towarzyszom pana Longina Podbipiętę, który, jako człek słodki, odrazu pozyskał serca, a okazawszy przy próbach z mieczem nadludzką swą siłę, powszechny sobie zjednywał szacunek. Opowiedział on już temu i owemu o przodku Stowejce i o ściętych trzech głowach, zamilczał tylko o swoim ślubie, nie chcąc się na żarty narażać. Szczególniej podobali się sobie z Wołodyjowskim, a to dla zobopólnej serc czułości; po kilku też dniach chodzili razem wzdychać na wały, jeden do gwiazdki zawysoko świecącej, by ją mógł dostać, alias do księżniczki Anny — drugi do nieznanej, od której go trzy ślubowane głowy oddzielały.

Ciągnął nawet Wołodyjowski pana Longina do draganów, ale Litwin postanowił sobie koniecznie zapisać

się pod znak pancerny, by pod Skrzetuskim służyć, o którym z rozkoszą dowiedział się w Łubniach, że wszyscy mają go za rycerza pierwszej wody i jednego z najlepszych oficerów książęcych. A właśnie w chorągwi, w której pan Skrzetuski porucznikował, otwierał się wakans po panu Zakrzewskim, przezwiskiem „miserere mei“, który od dwóch tygodni obłożnie chorował i był bez nadziei życia, bo mu się wszystkie rany od wilgoci potwierały. Do trosk miłosnych namiestnika dołączył się jeszcze i smutek z grożącej straty starego towarzysza i doświadczonego przyjaciela; nie odstępował też po kilka godzin dziennie ani piędzą od jego wezglowia, pocieszając go jak umiał i krzepiąc nadzieją, że jeszcze niejedną wyprawę razem odbędą.

Ale starzec nie potrzebował pociechy. Konał sobie wesoło na twardem łożu rycerskim, obciążniętem końską skórą, i z uśmiechem prawie dziecinnym spoglądał na krucyfiks zawieszony nad łożem. Skrzetuskiemu zaś odpowiadał:

— Miserere mei, mości poruczniku, już ja sobie idę po swoją lafę niebieską. Ciało na mnie takie od ran dziurawe, że o to się tylko boję, czy święty Piotr, który jest marszałkiem Bożym i ochędóstwa w niebie doglądać musi, puści mnie do rajy w tak podziurawionej sukni. Ale mu powiem: święty Pietruńku! zaklinam cię na ucho Malchusowe, nie czynże mi wstrętu, boć to poganie tak mi popsowali szatki cielesne... miserere mei! a będzie jaka wyprawa św. Michała na potencją piekielną, to się stary Zakrzewski przyda jeszcze.

Więc porucznik, choć jako żołnierz tyle razy śmierć oglądał i sam ją zadawał, nie mógł lez wstrzymać, słu-

chając tego starca, którego zgon do pogodnego zachodu słońca był podobny.

Aż jednego ranka zabrzmiały dzwony we wszystkich kościołach i cerkwiach lubniańskich, zwiastujące śmierć pana Zakrzewskiego. Tegoż dnia ksiązę z Sieńczy przyjechał, a z nim panowie Bodzyński i Lassota, oraz cały dwór i dużo szlachty w kilkudziesięciu kolaskach, bo zjazd u pana Suffczyńskiego był niezmierny. Ksiązę wyprawili wspaniały pogrzeb, chcąc uczcić zasługi zmarłego i okazać, jak się w ludziach rycerskich kocha. Asystowały więc w pochodzie żałobnym wszystkie regimenty stojące w Łubniach, na wałach bito z hakownic i rusznic. Kawalerya szła od zamku aż do kościoła farnego w mieście bojowym ordynkiem, ale ze zwiniętymi banderyami; za nią piesze regimenta z kolbami do góry. Sam ksiązę, przybrany w żałobę, jechał za trumną w pozłocistej karecie, zaprzężonej w ośm białych jak mleko koni, mających grzywy i ogony pofarbowane na ponsowo i kiście strusich piór czarnej barwy na głowach. Przed kolaską postępował oddział janczarów, stanowiących przyboczną straż ksiązęcą, tuż za kolaską paziowie przybrani z hiszpańska na dzielnych koniach, dalej wysocy urzędnicy dworscy, dworzanie rękodajni, pokojowcy, nakoniec hajducy i pajucy. Kondukt zatrzymał się naprzód u drzwi kościoła, gdzie ksiądz Jaskólski powitał trumnę mową, poczynając się od słów: „Gdzie tak śpieszysz, mości Zakrzewski?” Potem przemawiało jeszcze kilku z towarzystwa, a między nimi i pan Skrzetuski, jako zwierzchnik i przyjaciel zmarłego. Następnie wniesiono ciało do kościoła i tu dopiero zabrał głos najwymowniejszy z wymownych: ksiądz jezuita Muchowiecki, który mówił tak górnie i ozdobnie, że

sam ksiązę zapłakał. Był to bowiem pan nadzwyczaj tkliwego serca i dla żołnierzków ojciec prawdziwy. Dyscypliny przestrzegał żelaznej, ale pod względem hojności, łaskawego traktowania ludzi i opieki, jaką otaczał nietylko ich samych, ale ich dzieci i żony, nikt się z nim nie mógł porównać. Dla buntów straszny i niemilosierny, był jednak prawdziwym dobrodziejem nietylko szlachty, ale i całego swego ludu. Gdy w czterdziestym szóstym roku szarańcza zniszczyła plony, to czynszownikom za cały rok czynsz odpuścił, poddanym kazał wydawać zboże ze śpichlerzów, a po pożarze w Chorolu wszystkich mieszczan przez dwa miesiące swoim kosztem żywił. Dzierżawcy i podstarościowie w ekonomicznych drżeli, by do uszu księcia wieść o jakowych nadużyciach lub krzywdach ludowi czynionych nie doszła. Sierotom taka była opieka zapewniona, że przeżywano je na Zadnieprzu „książęciami detynami“. Czuwała nad tem sama księżna Gryzelda, przy pomocy ojca Muchowieckiego. Ład tedy panował we wszystkich ziemiach książęcych, dostatek, sprawiedliwość, spokój, ale i strach, bo w razie najmniejszego oporu nie znał ksiązę miary w gniewie i karaniu, tak w jego naturze łączyła się wspaniałomyślność ze srogością. Ale w owych czasach i w owych krainach tylko ta srogość pozwalała się krzewić i plenić ludzkiemu życiu i pracy, jej tylko dzięki powstawały miasta i wsie, rolnik wziął górę nad hajdamaką, kupiec spokojnie towar swój prowadził, dzwony spokojnie wzywały wiernych na modlitwę, wróg nie śmiał granicy przestąpić, kupy łotrów ginęły na palach, lub zmieniały się w rządnych żołnierzy, a kraj pustyнный rozkwitał.

Dzikiej krainie i dzikim mieszkańcom takiej potrzeba było ręki, na Zadnieprze bowiem szły najniespo-

kojniejsze z Ukrainy żywiły, ciągnęli osadnicy nęceni rolą i żyznością ziemi, zbiegli chłopci ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej, przestępcy uciekający z więzień, słowem, jakoby rzekł Livius: „*pastorum convenarumque plebs transfuga ex suis populis*“. Utrzymać ich w ryzie, zmienić w spokojnych osadników i wtłoczyć w karby osiadłego życia mógł tylko taki lew, na którego ryk drżało wszystko.

Pan Longinus Podbięta pierwszy raz w życiu księcia na pogrzebie ujrzawszy, własnym oczom uwierzyć nie mógł. Słyszając bowiem tyle o sławie jego, wyobrażał sobie, że musi to być jakiś olbrzym o głowę rodzaj ludzki przewyższający, a tymczasem księżę był wzrostu prawie małego i dość szczupły. Młody był jeszcze, liczył dopiero trzydziesty szósty rok życia, ale na twarzy jego widne już były trudy wojenne. O ile bowiem w Łubniach żył jak król prawdziwy, o tyle w czasie licznych wypraw i pochodów dzielił niewczasę prostego towarzysza, jadał czarny chleb i sypiał na ziemi na wojłoku, a że większa część życia schodziła mu na pracach obozowych, więc odbiły się one na jego twarzy. Wszelako oblicze to na pierwszy rzut oka zdradzało nadzwyczajnego człowieka. Malowała się w nim żelazna, nieugięta wola i majestat, przed którym każdy mimowoli musiał uczylić głowy. Widać było, że ten człowiek zna swoją potęgę i wielkość — i gdyby mu jutro włożył koronę na głowę, nie czułby się ani zdziwionym, ani przygniecionym jej ciężarem. Oczy miał duże, spokojne, prawie słodkie, jednakże gromy zdawały się być w nich uśpione i czuleś, że biada temu, kto by je rozbudził. Nikt też znieść nie mógł spokojnego blasku tego spojrzenia i widywano posłów, wytrawnych dworaków,

którzy, stanąwszy przed Jeremim, mieszałi się i nie umieli zacząć dyskursu. Był to zresztą, na swoim Zadnieprzu król prawdziwy. Z kancelaryi jego wychodziły przywileje i nadania: „My po Bożej myłosti kniaź i hospodyn“ etc. Nie wielu też i panów za równych sobie poczytywał. Kniaziowie z krwi dawnych władców bywali u niego marszałkami. Takim był w swoim czasie i ojciec Heleny, Wasil Bułyha Kurcewicz, któren to ród przecie, jak się wyżej wspomniało, wyprowadzał się od Koryata, a w samej rzeczy od Ruryka pochodził.

Było w księciu Jeremim coś, co mimo wrodzonej mu łaskawości trzymało ludzi w oddaleniu. Kochając żołnierzów, on sam poufalił się z nimi — z nim nikt nie śmiał się poufalić. A jednakże rycerstwo, gdyby mu kazał konno w przepaście dniewprowe skoczyć, uczyniłoby to bez wahania.

Po matce, Wołoszce odziedziczył on cerę białą, tą białością rozpalonego żelaza, od której żar bije, i czarny jak skrzydło kruka włos, który na całej głowie podgolony, z przodu tylko spadał bujniej i obcięty nad brwiami, zasłaniał mu połowę czoła. — Nosił się po polsku, o ubiór niezbyt dbał i tylko na wielkie uroczystości nakładał szaty kosztowne, ale wówczas świecił cały od złota i kamieni. Pan Longin w kilka dni później był obecny na takiej uroczystości, gdy ksiązę dawał posłuchanie p. Rozwanowi Ursu. Audyencye posłów odbywały się zawsze w sali tak zwanej niebieskiej, gdyż na jej suficie firmament niebieski, wraz z gwiazdami, pendzlem Gdańszczanina Helma był wyobrażony. Zasiadał tedy ksiązę pod baldachimem z aksamitu i gronostajów, na wyniosłem krześle, do tronu podobnem, którego podnózek był blachą pozłocistą obity, za księciem zaś stał

ksiądz Muchowiecki, sekretarz, marszałek książę Woronicz, pan Bogusław Maszkiewicz, dalej paziowie i dwunastu trabantów z halabardami, przybranych po hiszpańsku; głębie sali przepelnione były rycerstwem w świetnych strojach i ubiorach. Pan Rozwan prosił w imieniu hospodara, by książę swym wpływem i grozą imienia wyrobił u chana zakaz Tatarom budziackim wpadania do Wołoszczyzny, w której corocznie straszliwe szkody i spustoszenia czynili, na co książę odpowiedział piękną łaciną, że Budziaccy nie bardzo samemu chanowi byli posłuszni, że jednakże, gdy na kwiecień spodziewa się Czausa murzy, posła chanowego u siebie, będzie przez niego upominał się u chana o krzywdy wołoskie. Pan Skrzetuski poprzednio już zdał relację ze swego poselstwa i podróży, oraz ze wszystkiego, co słyszał o Chmielnickim i jego na Sicz ucieczce. Książę postanowił posunąć kilka pułków ku Kudakowi, ale nie przywiązywał wielkiej do tej sprawy wagi. Tak więc, gdy nie zdawało się zagrażać spokojowi i potędze zadnieprzańskiego państwa, rozpoczęły się w Łubniach uroczystości i zabawy, tak z powodu bytności posła Rozwana, jak i dlatego, że panowie Bodzyński i Lassota oświadczyli się wreszcie uroczystie w imieniu wojewodzica Przyjemskiego, o rękę starszej księżniczki Anny, na którą prośbę otrzymali i od księcia i od księżnej Gryzeldy odpowiedź pomyślną.

Jeden tylko mały Wołodyjowski cierpiał nad tem niemało, a gdy Skrzetuski próbował wlać mu otuchę w serce, odpowiedział:

— Dobrze tobie, bo gdy jeno zechcesz, Anusia Borzobohata cię nie minie. Już tu ona o tobie bardzo wdzięcznie przez cały czas wspominała; rozumiałem

z początku, iż w tej myśli, by zazdrość w Bychowcu *excitare*, ale widzę, że chciała go na hak przywieść i chyba dla ciebie jednego czulszy w sercu żywi sentyment.

— Co tam Anusia! Wróćże sobie do niej — *non prohibeo*. Ale o księżniczce Annie przestań myśleć, gdyż to jest to samo, jakbyś chciał feniksa czapką, na gnieździe przykryć.

— Wiem ci to, że ona jest feniksem i dlatego z żalu po niej pewnie umrzeć mi przyjdzie.

— Żyw będziesz i wraz się zakochasz, byle jeno nie w księżniczce Barbarze, bo ci ją drugi wojewodziec z przed nosa sprzątnie.

— Zali serce jest pacholkiem, któremu rozkazać można? zali oczom zabronisz patrzeć na tak cudną istotę, jak księżniczka Barbara, której widok dzikie nawet bestye poruszyć byłby zdolny?

— Masz dyable kubrak! — wykrzyknął pan Skrzetuski. — Widzę, że się bez mojej pomocy pocieszysz, ale to powtarzam: wróć do Anusi, bo z mojej strony żadnych impedimentów mieć nie będziesz.

Anusia jednak ani myślała rzeczywiście o Wołodjowskim. Natomiast drażniła ją, zaciekawiała i gniewała obojętność pana Skrzetuskiego, który, wróciwszy po tak długiej nieobecności, prawie na nią nie spojrział. Wiezorami tedy, gdy książę z co przedniejszymi oficerami i dworzany przychodził do bawialnej komnaty księżnej, by zabawić się rozmową, Anusia, wyglądając z za pleców swej pani (bo księżna była wysoka a Anusia niska), świdrowała swemi czarnemi oczkami w twarzy namiestnika, chcąc mieć rozwiązanie tej zagadki. Ale oczy Skrzetuskiego, również jak myśl, błędziły gdzieindziej, a gdy wzrok jego padał na dziewczynę, to taki

zamyślony i szklany, jak gdyby nie na tę patrzył, do której śpiewał niegdyś:

„Jak tatarska orda,
Bierzesz w jassy corda!...“

— Co mu się stało? — pytała sama siebie rozpieszczona faworytka całego dworu i tupiąc drobną nóżką, czyniła postanowienie, rzecz tę zbadać. Nie kochała się ona wprawdzie w Skrzetuskim, ale przyzwyczajwszy się do holdów, nie mogła znieść, by na nią nie zważano i gotowa była ze złości sama się rozkochać w zuchwalcu.

Razu tedy jednego, biegnąc z motkami dla księżnej, spotkała pana Skrzetuskiego, wychodzącego z przyległej sypialnej komnaty książęcej. Naleciała na niego jak burza, prawie go potrąciła piersią i cofnąwszy się nagle, rzekła:

— Ach! jakem się przestraszyła! Dzień dobry waćpanu!

— Dzień dobry pannie Annie! Czyliż takowe monstrum ze mnie, bym aż miał pannę Annę przestraszać?

Dziewczyna stała ze spuszczoneymi oczkami, kręcąc palcami niezajętej ręki końce warkoczów, przestępując z nóżki na nóżkę i, niby zmieszana, odpowiedziała z uśmiechem:

— E nie! to, to nie... wcale nie... jak matkę kocham!

Nagle spojrzała na porucznika i znów zaraz spuściła oczy.

— Czy się waćpan gniewasz na mnie?

— Ja? Alboż panna Anna dba o mój gniew?

— Co prawda, to nie. Miałabym też o co dbać.

Może waćpan myślisz, że zaraz będę płakała? Pan Bychowiec grzeczniejszy...

— Jeśli tak, to nie pozostaje mnie nic innego, jak ustąpiwszy pola panu Bychowcowi, zejść z oczu panny Anny.

— A czy ja trzymam?

To rzekłszy, Anusia zastąpiła mu drogę.

— To waćpan z Krymu powraca? — spytała.

— Z Krymu.

— A co waćpan z Krymu przywiózł?

— Przywiozłem pana Podbipiętę. Wszakże go panna Anna widziała? Bardzo miły i stateczny kawaler.

— Pewnie, że miłszy od waćpana. A poco on tu przyjechał?

— By panna Anna miała na kim swojej mocy poprobować. Aleć radzę ostro się brać, bo wiem jeden sekret o tym kawalerze, dla którego jest on niezwyciężony... i nawet panna Anna z nim nic nie wskóra.

— Dlaczegoż to on jest niezwyciężony?

— Bo się nie może żenić.

— A co mnie to obchodzi! Czemuż to on nie może się żenić?

Skrzetuski pochylił się do ucha dziewczyny, ale rzekł bardzo głośno i dobitnie:

— Bo czystość ślubował.

— Niemądryś waćpan! — zawołała prędko Anusia i w tejże chwili furknęła jak ptak spłoszony.

Tego wieczora jednak popatrzyła pierwszy raz uważniej na pana Longina. Gości dnia tego było niemało, bo księżę wyprawiał pożegnalną ucztę dla pana Bodzyńskiego. Nasz Litwin, przybrany starannie w biały atłasowy żupan i ciemno-niebieski aksamitny kontusz,

wyglądał bardzo okazale, tembardziej, że przy boku zamiast katowskiego zerwikaptura, zwieszała mu się lekka, krzywa szabla, w pozłocistej pochwie.

Oczka Anusi strzelały na pana Longina potrochu umyślnie, na złość panu Skrzetuskiemu. Byłby tego jednakże namiestnik nie zauważył, gdyby nie Wołodyjowski, który trąciwszy go łokciem, rzekł:

— Niechże mnie jassyr spotka, jeśli Anusia nie wdzięczy się do chmielowej tyczki litewskiej.

— Powiedźże to jemu samemu.

— Pewnie że powiem. Dobrana będzie z nich para.

— Będzie ją mógł nosić zamiast spinki u żupana, taka właśnie jest między nimi proporcya.

— Albo zamiast kitki na czapce.

Wołodyjowski podszedł do Litwina:

— Mospanie — rzekł — niedawno jakieś tu przybył, ale frant widzę z waści nielada.

— A to czemu, bratenku dobrodzieju? a to czemu?

— Boś nam tu najgładszą dziewczkę z fraucymeru już zbałamucil.

— Dobrodzieju! — rzekł Podbipięta, składając ręce — co waćpan mówisz najlepszego?

— Spójrzj waszmość na pannę Annę Borzobohatą, w której się tu wszyscy kochamy, jak to ona na waści dziś oczkiem strzyże. Pilnuj się jeno, żeby z waści dudka nie wystrzygła, jako z nas powystrzygała.

To rzekłszy, Wołodyjowski zakręcił się na pięcie i odszedł, pozostawiając pana Longina w zdumieniu. Nie śmiał on nawet zrazu spojrzeć w stronę Anusi i po niej jakim dopiero czasie rzucił znienacka okiem — ale aż zadrzał. Z poza ramienia księżnej Gryzeldy dwoje jarzących ślepków patrzyło na niego istotnie z ciekawością

i uporem. „Apage satanas!“ pomyślał Litwin i oblawszy się jak zaczek rumieńcem, uciekł w drugi kąt sali.

Jednakże pokusa była ciężka. Ten szatanek wyglądający z za pleców księżnej tyle miał ponęt, te oczki tak świeciły jasno, że pana Longina aż ciągnęło coś, by w nie choć jeszcze raz tylko spojrzeć. Ale wtem wspomniał na swój ślub, w oczach stanął mu Zerwiktur, przodek Stowejko-Podbipięta, trzy ścięte głowy i strach go zdjął. Przeżegnał się i tego wieczora nie spojrział więcej.

Natomiast rankiem nazajutrz przyszedł na kwaterę Skrzetuskiego.

— Panie namiestniku, a prędko pociągniemy? Co też tam waszmość słyszał o wojnie?

— Przypiliło waści. Bądźże cierpliwy, póki się pod znak nie zaciągniesz.

Pan Podbipięta bowiem nie był jeszcze zapisany na miejsce zmarłego Zakrzewskiego. Musiał czekać z tem aż ćwierć wyjdzie, co miało nastąpić dopiero pierwszego kwietnia.

Ale było mu rzeczywiście pilno, dlatego pytał namiestnika w dalszym ciągu:

— A nicze J. O. Książę w tej materyi nie mówił?

— Nic. Król pono do śmierci nie przestanie o wojnie myśleć, ale Rzeczpospolita jej nie chce.

— A mówili w Czehrynie, że rebelia kozacka zagraża?

— Znać, że waści mocno ślub dolega. Co do rebelii, wiedźże, iż jej przed wiosną nie będzie, bo choć to zima lekka, aleć zima zimą. Mamy dopiero 15 Februarii, lada dzień mrozy jeszcze mogą nastać, a kozak w pole nie rusza, póki się nie może okopać, bo oni za

wałem biją się okrutnie, w polu zaś nie umieją dotrzymać.

— Tak i trzeba czekać nawet na kozaków?

— Zważ waćpan i to, że choćbyś w czasie rebelii swoje trzy głowy znalazł, to nie wiadomo, czy od ślubu wolnym będziesz, boć co innego Krzyżacy lub Turcy, a co innego swoi — jakoby rzecz, dzieci ejusdem matris.

— O wielki Boże! O toś mi waćpan sęka w głowę zadał. Ot desperacya! Niechże mnie ksiądz Muchowiecki te wątpliwości rozstrzygnie, bo inaczej nie będę miał i chwili spokoju.

— Pewnie, że rozstrzygnie, gdyż jest człek uczony i pobożny, ale pewnie nie powie nic innego. *Bellum civile*, to wojna braci.

— A gdyby rebelizantom obca potęga na pomoc przyszła?

— Tedy miałbyś pole. Ale teraz jedno mogę waści zalecić: czekaj i bądź cierpliwy.

Jednakże pan Skrzetuski sam nie umiał pójść za tą radą. Ogarniała go tęskność coraz większa, nudziły go uroczystości dworskie i te twarze, na które dawniej tak mile spoglądał. Panowie Bodzyński, Lassota i pan Rozwan Ursu wyjechali wreszcie, a po ich wyjeździe nastął spokój głęboki. Życie zaczęło płynąć jednostajnie. Książę zajęty był lustracyami dóbr ogromnych i co rano zamykał się z komisarzami, nadjeżdżającymi z całej Rusi i z Sandomierskiego — więc nawet i ćwiczenia wojskowe rzadko tylko mogły się odbywać. Gwarne uczyty oficerskie, na których rozprawiano o przyszłych wojnach, nużyły niewymownie Skrzetuskiego, więc z guldynką na ramieniu uciekał nad Sołonicę, gdzie ongi Żółkiewski tak strasznie Nalewajkę, Łobodę i Krępskiego

pogromił. Ślady owej bitwy już się były zatarły i w pamięci ludzkiej, i na pobojuwisku. Czasem tylko jeszcze ziemia wyrzucała z łona zbielełe kości, a za wodą sterczał nasyp kozacki, z poza którego bronili się tak rozpaczliwie zaporożcy Łobody i nalewajkowa wolnica. Ale już i na nasypie puścił się gęsto gaj zarośli. Tamto Skrzetuski chronił się przed gwarem dworskim i zamiast strzelać do ptaków, rozpamiętywał; tamto przed oczyma jego duszy stawała przywoływana pamięcią i sercem postać kochanej dziewczyny; tam wśród mgły, szumu oczeretów i melancholii owych miejsc, doznawał ulgi we własnej tęsknocie.

Ale później jeły padać obfite, zapowiadające wiosnę deszcze. Sołonica zamieniła się w topielisko, głowy z pod dachu trudno było wychylić, więc namiestnik i tej pociechy, jaką znajdował w błakaniu się samotnem, został pozbawiony. A tymczasem wzrastał jego niepokój — i słuśnie. Miał on z początku nadzieję, że Kurcewiczowa z Heleną, jeśli tylko kniahini potrafi wyprawić Bohuna, zjadą zaraz do Łubniów, a teraz i ta nadzieja zgasła. Słota zepsuła drogi, step na kilka mil, po obu brzegach Suły, stał się ogromnem bagniskiem, na przebycie którego trzeba było czekać, póki wiosenne gorące słońce nie wysie zbytku wód i wilgoci. Przez cały ten czas Helena miała pozostawać pod opieką, której Skrzetuski nie ufał, w prawdziwym wilczem gnieździe, wśród ludzi nieokrzesanych, dzikich, a Skrzetuskiemu niechętnych. Wprawdzie dla własnego dobra powinni mu byli słowa dotrzymać — i prawie nie mieli innej drogi — ale któż mógł odgadnąć, co wymyślą, na co się odważą, zwłaszcza gdy ciążył nad nimi straszliwy watażka, którego widocznie i kochali, i bali się jedno-

częśnie. Łatwoby mu przyszło i zmusić ich do oddania mu dziewczyny, bo nierzadkie były i podobne wypadki. Tak samo swego czasu towarzysz nieszczęsnego Nalewajki, Łoboda, zmusił p. Poplińską, by mu oddała za żonę swą wychowankę, choć dziewczyna była szlachcianką dobrego rodu i chociaż z całej duszy nienawidziła watażki. A jeśli było prawdą, co mówiono o niezmiernych bogactwach Bohuna, to przecie mógł im i dziewczynę i utratę Rozłogów zapłacić. A potem co? Potem — myślał p. Skrzetuski — doniosą mi szyderczo, że jest „po harapie“, a sami umkną gdzieś w puszcze litewskie lub mazowieckie, gdzie ich nawet książęca potężna ręka nie dosięgnie. Pan Skrzetuski trząsał się jak w febrze na tę myśl, targał się jak wilk na łańcuchu, żałował swego rycerskiego słowa danego kniahini — i nie wiedział, co ma począć. A był to człowiek, który nierad pozwalał się ciągnąć za brodę wypadkom. W jego naturze leżała wielka przedsiębiorczość i energia. Nie czekał on na to, co mu los zdarzy; wołał los brać za kark i zmuszać, by zdarzał fortunnie — dlatego trudniej mu było niż komu innemu, siedzieć z założonemi rękoma w Łubniach.

Postanowił więc działać. Miał on pacholika Rzędziana, szlachcica chodackowego z Podlasia, lat szesnastu, ale franta kutego na cztery nogi, z którym niejedem stary wyga nie mógł iść o lepsze, i tego postanowił wysłać do Heleny, oraz na przespiegi. Skończył się też już był luty; deszcze przestały lać, marzec zapowiadał się dość pogodnie i drogi musiały się nieco poprawić. Wybierał się więc Rzędzian w drogę. Pan Skrzetuski zaopatrzył go w list, papier, pióra i flaszkę inkaustu, której kazał mu jak oka w głowie pilnować, bo

pamiętał, że tych rzeczy niemasz w Rozłogach. Miał także chłopak poleczone, by nie powiadał od kogo jest, by udawał, że do Czehryna jedzie i pilne na wszystko zwracał oko, a zwłaszcza wywiedział się dobrze o Bohunie, gdzie jest i co porabia. Rzędzian nie dał sobie dwa razy instrukcyi powtarzać, czapkę na bakier nasunął, nahajem świsnął i pojechał.

Dla pana Skrzetuskiego rozpoczęły się ciężkie dni oczekiwania. Dla zabicia czasu ścinał się w palcaty z panem Wołodyjowskim, wielkim mistrzem w tej sztuce, lub dzirytem do pierścienia rzucał. Zdarzył się też w Łubniach wypadek, którego namiestnik o mało zdrowiem nie przypłacił. Pewnego dnia niedźwiedź, zerwawszy się z łańcucha, na podwórcu zamkowym poszczerbił dwóch masztalerzy, popłoszył konie pana komisarza Chlebowskiego i nakoniec rzucił się na namiestnika, któren szedł właśnie z cekhauzu do księcia, bez szabli przy boku, mając w rękę tylko lekki nadziak z mosiężną główką. Namiestnik byłby zginął niezawodnie, gdyby nie pan Longin, który ujrzawszy z cekhauzu co się dzieje, porwał za swój Zerwikaptur i przybiegł na ratunek. Pan Longin okazał się w zupełności godnym potomkiem przodka Stowejki, gdyż w oczach całego dworu odwalil jednym zamachem łeb niedźwiedziowy wraz z łapą, któren to dowód nadzwyczajnej siły podziwiał z okna sam księżę, i wprowadził następnie pana Longina do pokojów księżnej, gdzie Anusia Borzobohata tak wabiła go oczkiem, że nazajutrz musiał iść do spowiedzi i następnie przez trzy dni nie pokazywał się w zamku, póki żarliwą modlitwą wszelkich pokus nie odpędził.

Tymczasem upłynęło dni dziesięć, a Rzędziana nie było widać z powrotem. Nasz pan Jan schudł z oczeki-

wania i tak wymizerniał, że aż Anusia poczęła się wy-
pytywać przez posły, co mu jest — a Carboni, doktor
książęcy, zapisał mu jakąś dryakiew na melancholią.
Ale innej on dryakwi potrzebował, gdyż dniem i nocą
o swojej kniaziównie rozmyślał — i czuł coraz mocniej,
że to nie żadne płocze uczucie zagnieździło się w jego
sercu, ale miłość wielka, która musi być zaspokojona,
bo inaczej pierś ludzką, jak słabe naczynie, rozsadzić
gotowa.

Łatwo więc sobie wyobrazić radość pana Jana, gdy
pewnego dnia o świcie wszedł do jego kwatery Rzę-
dzian zablocony, zmęczony, wymizerowany, ale wesół
i z dobrą wieścią, wypisaną na czole. Namiestnik, jak
się zerwał prosto z łoża, tak przybiegłszy do niego,
chwycił go za ramiona i krzyknął:

— Listy masz?

— Mam, panie. Oto są.

Namiestnik porwał i zaczął czytać. Długi czas wąt-
pił, czy mu nawet w razie najpomyślniejszym Rzędzian
list przywiezie, gdyż nie był pewny, czy Helena pisać
umie. Kresowe niewiasty nie bywały uczone, a Helena
chowała się do tego między prostakami. Jednakże wido-
cznie ojciec nauczył ją jeszcze tej sztuki, gdyż skreśliła
długi list na cztery strony papieru. Biedaczka nie umiała
wprawdzie wyrażać się ozdobnie, retorycznie, ale wprost
od serca pisała, co następuje:

— „Już ja waćpana nigdy nie zapomnę, wać-
pan mnie prędzej, bo słyszę, że są i płosi między
wami. Ale gdyś pacholika umyślnie tyle mil drogi
przysłał, to widać żem ci miła, jak i ty mnie, za
coć sercem wdzięcznem dziękuję. Nie myśl też

waćpan, aby to nie było przeciw skromności mojej, tak ci o tem kochaniu pisać, ale snać lepiej już prawdę powiedzieć, niż zelgać, albo ją ukrywać, gdy zgoła co innego jest w sercu. Wypytywałam też Imć Rzędziana co w Łubniach porabiasz i jakie są wielkiego dworu obyczaje, a gdy mnie o urodzie i gładkości tamtejszych panien powiadał, prawie ze łzami od wielkiego smutku się zalałam...”

Tu namiestnik przerwał czytanie i spytał Rzędziana:

— Coś ty tam kpie powiadał?

— Wszystko dobrze, panie! — odpowiedział Rzędzian.

Namiestnik czytał dalej.

„...Bo jakże mnie prostacze porównywać się z niemi. Ale powiedział mi pacholek, iż waćpan na żadną patrzyć nie chcesz...”

— Toś dobrze powiedział! — rzekł namiestnik.

Rzędzian nie wiedział wprawdzie o co idzie, bo namiestnik czytał list pocichu, ale zrobił mądrą minę i chrząknął znacząco, Skrzetuski zaś czytał dalej.

„...I zaraz pocieszyłam się, prosząc Boga, by cię nadal w takowej dla mnie życzliwości utrzymał i obojgu nam błogosławił — amen. Jużem się tak też za waćpanem stęskniła, jako właśnie za matką, bo mnie sierocie smutno na świecie, ale nie przy waćpanu... Bóg patrzy na moje serce, że jest czyste, a co innego jest prostactwo, które mnie wybaczyć musisz...”

W dalszym ciągu donosiła śliczna kniaziówna, że do Łubniów ze stryjenką wyjadą, jak tylko drogi będą lepsze, i że sama kniahini chce wyjazd przyspieszyć, gdyż z Czehryna dochodzą wieści o jakichś niespokojnościach kozackich, czeka więc tylko na powrót młodych kniaziów, którzy do Bogusławia, na jarmark koński, pojechali.

„Prawdziwy z waćpana czarownik — pisała dalej Helena — żeś sobie i stryjnę zjednać umiał“.

Tu namiestnik uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem, jakimi to sposoby musiał tę stryjnę zjednywać. List kończył się zapewnieniami stałej a pocziwej miłości, jaką właśnie przyszła żona mężowi winna. Wogóle zaś przeglądało z niego istotnie serce czyste, dlatego też namiestnik odczytywał ten list serdeczny po kilkanaście razy od początku do końca, powtarzając sobie w duszy: „moja wdzięczna dziewczko! niechże mnie Bóg opuści, jeśli cię kiedy zaniecham“.

Potem zaś począł wypytywać o wszystko Rzędziana.

Sprytny pacholek zdał mu dokładnie sprawę z całej podróży. Przyjęto go uczciwie. Stara kniahini wybadwała go o namiestnika, a dowiedziawszy się, że był rycerzem znakomitym i księcia poufnym, a przytem człowiekiem zamożnym, rada była.

— Pytała mnie też — rzekł Rzędzian — czy jegomość, jak co obiecuje, zawsze słowo zdzierży, a ja jej na to: Moja mościa pan! gdyby ten wołoszynek, na którym przyjechałem, był mnie obiecany, wiedziałbym, że już mnie nie minie...

— Frant z ciebie — rzecze namiestnik — ale kie-

dyś tak za mnie zaręczył, to go już trzymaj. Nie symulowałeś tedy nic, powiedziałeś, że ja cię przysłałem?

— Powiedziałem, bom obaczył, że można, i zaraz jeszcze wdzięczniej mnie przyjęli, a szczególnie panna, która jest tak cudna, jak drugiej na świecie nie znaleźć. A dowiedziawszy się, że od jegomości jadę, już też nie wiedziała gdzie mnie posadzić i gdyby nie post, opływałbym we wszystko, jako w niebie. Czytając list jegomości, łzami go oblewała od radości.

Namiestnik zamilkł również od radości i po chwili dopiero spytał znowu:

— A o onym Bohunie niceś się nie dowiedział?

— Nie zdawało mi się panny albo pani o to pytać, alem wszedł w konfidencją ze starym Tatarem Czechły, któren choć poganin, jest wiernym panienki sługą. Ten mnie powiadał, że mruzczeni oni wszyscy na jegomości bardzo, ale potem się ustatkowali, a to gdy stało się im wiadomo, iż co prawią o skarbach tego Bohuna, to bajka.

— Jakimże sposobem o tem się przekonali?

— A to, widzi jegomość, było tak: Mieli oni dyferencją z Siwińskimi, którą potem obowiązali się spłacić. Jak przyszedł termin, tak do Bohuna: Pożycz! A on na to: Dobra tureckiego, powiada, trochę mam, ale skarbów żadnych, bo com miał, tom, powiada, rozrzucił. Jak to usłyszeli, zaraz im był tańszy — i do jegomości afekt zwrócili.

— Niema co mówić, dobrześ się o wszystkim wywiedział.

— Mój jegomość, gdybym ja się jednego wywiedział, a drugiego nie, tedyby jegomość mógł do mnie

rzec: konia mi darowałeś, a terlicyś nie dał. Coby jegomości było po koniu bez terlicy?

— No, no, to weźże i terlicę.

— Dziękuję pokornie jegomości. Oni też Bohuna do Perejasławia zaraz wyprawili, więc jakem się o tem dowiedział: tak sobie myślę: czemubym i ja nie miał do Perejasławia dotrzeć. Będzie ze mnie pan kontent, to mnie barwa prędzej dojdzie...

— Dojdzie cię na nową ćwierć. To byłeś i w Perejasławiu?

— Byłem. Alem Bohuna tam nie znalazł. Stary pułkownik Łoboda chory. Mówią, że rychło po nim Bohun pułkownikiem zostanie... Ale tam się dzieje coś dziwnego. Semenów ledwie garść przy chorągwi została — reszta, mówią, za Bohunem pociągnęła, czy też na Sicz zbiegła, i to jest, mój jegomość, ważna rzecz, bo tam się podobno jakaś rebelia knuje. Chciałem się koniecznie czegoś dowiedzieć o Bohunie, aleć tylko tyle mi powiedziano, że się na ruski brzeg¹⁾ przeprawił; a no! myślę sobie, kiedy tak, to nasza panienka od niego bezpieczna — i wróciłem.

— Dobrześ się sprawił. A przygody jakiej w podróży nie miałeś?

— Nie, mój jegomość, jeno mi się jeść okrutnie chce.

Rzędzian wyszedł, a namiestnik, zostawszy sam, zaczął nanowo odczytywać list Heleny i do ust przyciskać te literki, nie tak kształtne jak ręka, która je kreśliła. Ufność wstąpiła mu w serce — i myślał sobie: „Nie długo drogi podeschną, byle Bóg dał pogodę. Kur-

¹⁾ Prawy brzeg Dniepru nazywano ruskim, lewy tatarskim.

cewicze też, dowiedziawszy się, że Bohun hołysz, pewnie mnie już nie zdradzą. Puszczę im Rozłogi i jeszcze swego dołożę, byle onej kochanej gwiazdki dostać...“

I przybrawszy się, z jaśniejącą twarzą, z pełną od szczęścia pierśią, szedł do kaplicy, by Bogu naprzód za dobrą nowinę pokornie podziękować.

ROZDZIAŁ VI

Na całej Ukrainie i Zadnieprzu poczęły zrywać się jakieś szumy, jakoby zwiastuny burzy blizkiej; jakieś dziwne wieści przelatywały od siola do siola, od futoru do futoru, nakształt owych roślin, które jesienią wiatr po stepach żenie, a które lud perekotypolem zowie. W miastach szeptano sobie o jakiejś wielkiej wojnie, lubo nikt nie wiedział, kto i przeciwko komu ma wojować. Coś zapowiadało się wszelako. Twarze ludzkie stały się niespokojne. Rolnik niechętnie z pługiem na pole wychodził, chociaż wiosna przyszła wczesna, cicha, ciepła, a nad stepami dzwoniły od dawna skowronki. Wiezorami ludzie po siolach gromadzili się w kupy i stojąc na drodze, gwarzyli półgłosem o rzeczach strasznych. Ślepców, krążących z lirami i pieśnią, wypytywano o nowiny. Niektórym zdało się, że nocami widzą jakieś odblaski na niebie i że księżyc czerwieniszy niż zwykle podnosi się z za borów. Wróżono klęski lub śmierć królewską — a wszystko to było tem dziwniejsze, że do ziem onych, przywykłych z dawna do niepokojów, walk, najazdów, strach niełatwy miał przystęp; musiały więc jakieś wyjątkowo złowrogie wichry grać w powietrzu, skoro niepokój stał się powszechnym.

Tem ciężej, tem duszniej było, że nikt nie umiał niebezpieczeństwa wskazać. Wszelako między oznakami złej wróżby, dwie szczególnie zdawały wskazywać, że istotnie coś zagraża. Oto naprzód niesłychane mnóstwo dziadów lirników pojawiło się po wszystkich wsiach i miastach, a były między nimi jakieś postacie obce, nikomu nieznanne, o których szeptano sobie, że to są dziady fałszywe. Ci, włócząc się wszędzie, zapowiadali tajemniczo, iż dzień sądu i gniewu Bożego się zbliża. Powtóre, niżowcy poczęli pić na umor.

Druga oznaka była jeszcze niebezpieczniejszą. Sicz, w zbyt szczupłych granicach objęta, nie mogła wszystkich swych ludzi wyżywić, wyprawy nie zawsze się zdarzały, przeto stepy nie dawały chleba kozakom, mnóstwo więc niżowców rozpraszało się rok rocznie, w spokojnych czasach, po okolicach zamieszkałych. Pełno ich było na Ukrainie, ba nawet na całej Rusi. Jedni zaciągali się do pocztów starościńskich, inni szynkowali wódkę po drogach, inni trudnili się po wsiach i miastach handlem i rzemiosłami. W każdej prawie wsi stała opodal od innych chata, w której mieszkał zaporoziec. Niektórzy mieli w takich chatach żony i gospodarstwo. A zaporoziec taki, jako człek zwykle kuty i bity, był poniekąd dobrodziejstwem wsi, w której mieszkał. Nie było nad nich lepszych kowali, kołodziejów, garbarzy, wosko-bójów, rybitwów i myśliwych. Kozak wszystko umiał, wszystko zrobił, dom postawił i siodło uszył. Powszechnie jednak nie byli to osadnicy spokojni, bo żyli życiem tymczasowem. Kto chciał wyrok zbrojno wyegzekwować, na sąsiada najazd zrobić, lub się od spodziewanego obrońić, potrzebował tylko krzyknąć, a wnet mołojcy zlatywali się, jak krucy na żer gotowi. Używała ich też szla-

chta, używali panowie, wiecznie spory ze sobą wiodący, gdy jednak i takich wypraw brakło, to siedzieli cicho po wsiach, pracując do upadłego i w pocie czoła zdobywając chleb powszechni.

I trwało tak czasem rok, dwa, aż nagle przychodziła wieść o jakowejś walnej wyprawie, czy to jakiego atamana na Tatarów, czy na „lachiw“, czy wreszcie paniąt polskich na Wołoszczyznę; — i wnet ci kołodzieje, kowale, garbarze, woskoboje porzucali spokojne zajęcie i przedewszystkiem poczynali pić na śmierć we wszystkich szynkach ukraińskich.

Przepiwszy wszystko, pili dalej na borg, *ne na to szczo je, ale na to, szczo bude*. Przyszłe łupy miały zapłacić hulatykę.

Zjawisko owo powtarzało się tak stale, że później doświadczeni ludzie ukraińscy zwykli mawiać: „ocho! trzęsą się szynki od niżowców — w Ukrainie coś się gotuje“.

I starostowie wzmacniali zaraz załogi w zamkach, pilnie dając na wszystko baczenie, panowie ściągali poczty — szlachta wysyłała żony i dzieci do miast.

Owóz wiosny tej, kozacy poczeli pić jak nigdy, trwonić na ślepo wszelakie zapracowane dobro i to nie w jednym powiecie, nie w jednym województwie, ale na całej Rusi, jak długa i szeroka.

Coś się więc gotowało na prawdę, chociaż sami niżowcy nie wiedzieli zgoła co takiego. Zaczęto mówić o Chmielnickim, o jego na Sicz ucieczce, i o grodowych z Czerkas, Bogusławia, Korsunia i innych miast, zbiegłych za nim — ale powiadano też i co innego. Od lat całych krążyły już wieści o wielkiej wojnie z pogany, której król chciał, by dobrym mołojcom łupu przyspo-

sporzyć, ale Lachy nie chcieli — a teraz te wszystkie wieści pomieszały się ze sobą i zrodziły w głowach ludzkich niepokój i oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego.

Niepokój ów przedarł się i za mury lubniańskie. Na te wszystkie oznaki niepodobna było oczu zamykać, a zwłaszcza nie miał tego zwyczaju książę Jeremi. W jego państwie niepokój nie przeszedł wprawdzie we wrzenie — strach trzymał w ryzie wszystkich, ale po niejakiem czasie z Ukrainy zaczęły dolatywać słuchy, że tu i owdzie chłopci zaczynają dawać opór szlachcie, że mordują żydów, że chcą się gwałtem zaciągać do rejestru na wojnę z pogany i że liczba zbiegów na Sicz coraz się powiększa.

Porozsyłał więc książę posłańców: do pana Krakowskiego, do p. Kalinowskiego, do Łobody w Perejasławiu, — a sam ścigał stada ze stepów i wojsko z palanek. Tymczasem przyszły wieści uspokajające. Pan hetman wielki donosił wszystko co wiedział o Chmielnickim, nie uważał jednak, aby jaka zawierucha mogła z tej sprawy wyniknąć; p. hetman polny pisał, że „hultajstwo zwykle jako roje burzy się na wiosnę“. Jeden stary chorąży Zaćwilichowski przesłał list zaklinający księcia, żeby niczego nie lekceważyć, bo wielka burza idzie od Dzikich pól. O Chmielnickim donosił, że z Siczy do Krymu pognał, by chana o pomoc prosić. „A jako mnie z Siczy przyjaciele donoszą — pisał — iż tam koczowy ze wszystkich ługów i rzeczek piesze i konne wojsko ściga, nie mówiąc nikomu dlaczego to czyni, mniemam przeto, iż ta burza na nas się zwali, co jeżeli z pomocą tatarską się stanie, daj Boże, by zguby wszystkim ziemiom Ruskim nie przyniosło“.

Książę ufał Zaćwilichowskiemu więcej, niż samym

hetmanom, bo wiedział, iż nikt na całej Rusi nie zna tak kozaków i ich fortelów, postanowił więc jak najwięcej wojsk ściągnąć, a jednocześnie do gruntu prawdy dotrzeć.

Pewnego więc rana kazał przywołać do siebie pana Bychowca, porucznika chorągwi wołoskiej, i rzekł mu:

— Pojedziesz waść odemnie w poselstwie na Sicz, do pana atamana koszowego, i oddasz mu ten list z moją hospodyńską pieczęcią. Ale żebyś wiedział czego się trzymać, to ci powiem tak: list jest pozór, a zaś waga cała poselstwa w waszmościny rozumie spoczywa, abyś na wszystko patrzył, co się tam dzieje, ile wojska zwolali i czy jeszcze zwołują. To szczególnie polecam, byś sobie jakich ludzi skaptował i o Chmielnickim mi się wszystkiego dobrze wywiedział, gdzie jest i jeżeli prawda, że do Krymu pojechał Tatarów o pomoc prosić. Rozumiesz waść?

— Jakoby mi kto na dłoni wypisał.

— Pojedziesz na Czehryn, po drodze nie wytechniesz dłużej, jak noc jedną. Przybywszy, udasz się do chorążego Zaćwilichowskiego, by cię w listy do swoich przyjaciół w Siczy opatrzył, które sekretnie im oddasz. Owi wszystko ci powiedzą. Z Czehryna ruszysz bajdakiem do Kudaku, pokłonisz się odemnie panu Grodzickiemu i to pismo mu wręczysz. On cię przez Porohy każe przeprowadzić i przewoźników potrzebnych dostarczy. W Siczy też nie baw, patrz, słuchaj i wracaj, jeśli żyw będziesz, bo to ekspedycja nie łatwa.

— Wasza książęca mość jest szafarzem krwi mojej. Ludzi siła mam wziąć?

— Weźmiesz czterdziestu pocztowych. Ruszysz

dziś pod wieczór, a przed wieczorem przyjdiesz jeszcze po instrukcye. Ważną to misyę waszmości powierzam.

Pan Bychowiec wszedł uradowany; w przedpokoju spotkał Skrzetuskiego z kilkoma oficerami z artyleryi.

— A co tam? — spytali go.

— Dziś ruszam w drogę.

— Gdzie, gdzie?

— Do Czehryna, a stamtąd dalej.

— To chodźże ze mną — rzekł Skrzetuski.

I zaprowadziwszy go do kwatery, nuż molestować, by mu tę funkcję odstąpił:

— Jakesz przyjaciel, rzecze, żądam czego chcesz, konia tureckiego, dzianeta, dam, niczego nie będę żałował, bym jeno mógł jechać, bo się we mnie dusza w tamtą stronę rwie! Chcesz pieniędzy, pozwolę, byleś ustąpił. Sławyć to nie przyniesie, bo tu pierwej wojna, jeśli ma być, to się rozpocznie — a zginąć możesz. Wiem także, że ci Anusia miła, jako i innym — pojedziesz, to ci ją zbalamuca.

Ten ostatni argument lepiej od innych trafił do myśli pana Bychowca, ale jednak opierał się. Coby ksiązę powiedział, gdyby ustąpił; czyby mu nie miał za złe? Toć jest fawor ksiązęcy taka funkcya.

Usłyszawszy to, Skrzetuski polecał do księcia i natychmiast kazał się przez pazia meldować.

Po chwili paż powrócił z oznajmieniem, iż ksiązę wejść pozwala.

Namiestnikowi biło serce jak młotem z obawy, że usłyszy krótkie: „nie!“ po którym nie zostawało nic innego, jak wszystkiego poniechać.

— A co powiesz? — rzekł ksiązę, ujrzawszy namiestnika.

Skrzetuski uchylił mu się do nóg.

— Mości książę, przyszedłem błagać najpokorniej, by mnie ekspedycya na Sicz została powierzona. Bychowiec możeby ustąpił, bo mi jest przyjacielem, a mnie tak właśnie na niej, jako na samem życiu zależy — boi się tylko Bychowiec, czy Wasza Książęca Mość krzywa za to nie będziesz.

— Na Boga! — rzekł książę — toż jabym nikogo innego jak ciebie nie wysłał, ale rozumiałem, że niechętnie ruszysz, niedawno taką długą drogę odbywszy.

— Mości książę, choćbym też i codzień był wysyłany, zawsze libenter w tamtą stronę jeździć będę.

Książę popatrzył na niego przeciągle swemi czarnemi oczyma i po chwili spytał:

— Co ty tam masz?

Namiesznik stał zmieszany jak winowajca, nie mogąc znieść badawczego spoirzenia,

— Już widzę, że muszę prawdę mówić — rzekł — gdyż przed rozumem W. Ks. Mości żadne arcana ostać się nie mogą, jedno nie wiem, znaleźli łaskę w uszach W. Ks. Mości.

I tu zaczął opowiadać, jak poznał córkę kniazia Wasila, jak się w niej rozkochał i pragnąłby teraz ją odwiedzić, a za powrotem z Siczy do Łubniów ją sprowadzić, by przed zawieruchą kozacką i natarczywością Bohuna ją uchronić. Zamilczał tylko o machinacyach starej kniahini, gdyż w tem był słowem związany. Natomiast tak począł błagać księcia, iżby mu funkcyą Bychowca powierzył, iż książę rzekł:

—Jabym ci i tak jechać pozwolił i ludzi dał, ale gdyś tak wszystko mądrze ułożył, by własny afekt z oną funkcyą pogodzić, tedy muszę już to dla ciebie uczynić.

To rzekłszy, w ręce klasnął i kazał paziowi przywołać pana Bychowca.

Namiestnik ucałował z radością rękę księcia, ten zaś za głowę go ścisnął i spokojnym być rozkazał. Lubił on niezmiernie Skrzetuskiego, jako dzielnego żołnierza i oficera, na którego we wszystkim można się było spuścić. Prócz tego był między nimi ten związek, jaki wytwarza się między podwładnym, uwielbiającym z całej duszy zwierzchnika, a zwierzchnikiem, który to czuje dobrze. Około księcia kręciło się niemało dworaków, służących i schlebiających dla własnej korzyści, ale orli umysł Jeremiego wiedział dobrze, co o kim trzymać. Wiedział, że Skrzetuski, był człowiek jak Iza — cenil go więc i był mu wdzięczny za uczucie.

Z radością dowiedział się także, że jego ulubieniec pokochał córkę Wasila Kurcewicza, starego sługi Wiśniowieckich, którego pamięć była tem droższą księciu, im była żałośniejszą.

— Nie z niewdzięczności to przeciw kniaziowi — rzekł — nie dowiadywałem się o dziewczynę, ale gdy opiekunowie nie zagląдали do Łubniów i żadnych skarg na nich nie odbierałem, sądziłem, iż są poczciwi. Skoroś mi jednak teraz ją przypomniał, będę o niej jak o rodzonej pamiętał.

Skrzetuski, słysząc to, nie mógł się nadziwić dobroci tego pana, któren zdawał się sobie samemu robić wyrzuty, że wobec nawału spraw rozlicznych, nie zajął się losami dziecka dawnego żołnierza i dworzanina.

Tymczasem nadszedł pan Bychowiec.

— Mosanie — rzekł mu książę — słowo się rzekło: jeśli zechcesz, pojedziesz, aleć proszę, uczyni to dla mnie i ustąpi funkcji Skrzetuskiemu. Ma on swoje szcze-

gólne, słuszne racye, by jej pożądać, a ja o innej pomysłę dla waści rekompensie.

— Mości ksiązę — odparł Bychowiec — łaska to wysoka W. Ks. Mości, że mogąc rozkazać, na moją wolę to zdajesz, której łaski nie byłbym godzien, nie przyjmując jej najwdzięczniejszem sercem.

— Podziękujże przyjacielowi — rzekł ksiązę, zwracając się do Skrzetuskiego — i idź gotować się do drogi.

Skrzetuski istotnie dziękował gorąco Bychowcowi, a w kilka godzin potem był gotów. W Łubniach od dawna trudno już mu było wysiedzieć, a ta ekspedycya dogadzała wszelkim jego życzeniom. Naprzód miał zobaczyć Helenę, a potem — prawda, że trzeba było się od niej na dłuższy czas oddalić, ale właśnie taki czas był potrzebny, by drogi po niezmiernych deszczach stały się dla kół możliwe do przebycia. Prędszej kniahini z Heleną, nie mogły zjechać do Łubniów, musiałby więc Skrzetuski albo w Łubniach czekać, albo w Rozłogach przesiadywać, co byłoby przeciw układowi z kniahinią i co więcej — obudziłoby podejrzenia Bohuna. Helena prawdziwie bezpieczną przeciw jego zamachom mogła być dopiero w Łubniach, gdy więc musiała koniecznie jeszcze dość długo w Rozłogach pozostawać, a najlepiej wypadło Skrzetuskiemu odjechać, a za to z powrotem, już pod zasłoną siły wojskowej książęcej, ją zabrać. Tak obrachowawszy, kwapił się namiestnik z wyjazdem i ułatwiwszy wszystko, wziąwszy listy i instrukcye od księcia, a pieniądze na ekspedycyą od skarbnika, dobrze jeszcze przed nocą puścił się w drogę, mając ze sobą Rzędziana i czterdziestu semenów z kozackiej książęcej chorągwi.

ROZDZIAŁ VII.

Było to już w drugiej połowie marca. Tratwy puściły się bujno; perekotypola zakwitły, step zawrzał życiem. Rankiem namiestnik, jadąc na czele swych ludzi, jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem trawa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, kłaskań, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów: step brzmiały jak lira, na której gra ręka Boża. Nad głosami jeźdźców jastrzębie tkwiące nieruchomie w błękitach, nakształt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żórawiane; na ziemi gony źdźczących tabunów: ot, leci stado koni stepowych, widać je, jak porą trawy piersią, idą jak burza i stają jak wryte, otaczając jeźdźców półkolem, grzywy ich rozwiane, chrapy rozdęte, oczy zdziwione! Rzekłbyś, chcą roztratować nieproszonych gości. Ale chwila jeszcze i pierzchają nagle i nikną równie szybko jak przybiegły — jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą! Tętent ucichł, znowu słychać tylko granie ptactwa. Niby wesoło, a jakiś smutek wśród tej radości, niby gwarno a pusto — o! a szeroko, a przestrono! Koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki, tę pustosz, te stepy pokochać i tęskną duszą

krażyć nad nimi, na ich mogiłach spoczywać, głosu ich słuchać i odpowiadać.

Ranek był. Wielkie krople błyszczały na bylicach i burzanach, rzeźwe powiewy wiatru suszyły ziemię, na której po deszczach stały szerokie kałuże, jakoby jeziorka rozlane, w słońcu świejące. Poczёт namiestnikowy posuwał się zwolna, bo trudno było pośpieszyć, gdy konie zapadały czasem po kolana w miękkiej ziemi. Ale namiestnik mało im dawał wytchnienia po wzgórkach mogiłnych, bo śpieszył zarazem witać i żegnać. Jakoż drugiego dnia o południu, przejechawszy szmat lasu, dojrzał już wiatraki w Rozłogach, rozrzucone po wzgórzach i pobliskich mogiłach. Serce mu biło, jak młotem. Nikt go się tam nie spodziewa, nikt nie wie, że przyjedzie; co też ona powie, gdy go ujrzy? O, oto już i chaty pidsusidków, poukrywane w młodych sadach wiśniowych — dalej wieś rozrzucona dworzyszczowych, a jeszcze dalej widnieje i zóraw studzienny na dworskim majdanie. Namiestnik wspiął konia i kopnął się cwałem, a za nim pocztowi; lecieli tak przez wieś z brzękiem i gwarem. Tu i owdzie chłop wypadł z chaty, popatrzył, przeżegnał się: czorty, nie czorty? Tatary, nie Tatary? Błoto tak pryska z pod kopyt, że i nie poznasz, kto leci. A oni tymczasem dolecieli do majdanu i stanęli przed bramą zawartą.

— Hej tam! kto żyw, otwieraj!

Gwar, stukanie i ujadania psów wywołały ludzi ze dworu. Przypadli tedy do bramy wystraszeni, myśląc, że chyba najazd.

— Kto jedzie?

— Otwieraj!

— Kniaziów niema w domu.

— Otwierajże, pogański synu! My od księcia z Łubniów.

Czeladź poznała wreszcie Skrzetuskiego.

— A to wasza miłość! Zaraz, zaraz!

Otworzono bramę, a wtem i sama kniahini wyszła przed sień i przykrywszy oczy ręką, patrzyła na przybyłych.

Skrzetuski zeskoczył z konia i zbliżywszy się do niej, rzekł:

— Jejmość nie poznajesz mnie?

— Ach! to waszmość, panie namiestniku. Rozumiałam, że napad tatarski. Kłaniam i proszę do komnat.

— Dziwisz się zapewne waćpani — rzekł Skrzetuski, gdy weszli już do środka — widząc mnie w Rozłogach, a przeciwnie słowa nie złamał, gdyż to sam książę do Czehryna i dalej mnie posyła. Kazał mi przytem w Rozłogach się zatrzymać i o wasze zdrowie zapytać.

— Wdzięcznam jego książęcej mości, jako łaskawemu panu i dobrodziejowi. Prędkoż nas myśli z Rozłogów rugować?

— Nie myśli on o tem wcale, gdyż nie wie, że trzeba was rugować, a ja com powiedział, to będzie. Zostaniecie w Rozłogach; mam ja swego chleba dosyć.

Usłyszawszy to, kniahini zaraz rozpogodziła się i rzekła:

— Siadajże waszmość i bądź sobie rad, jakom ja ci rada.

— A kniaziówna zdrowa? gdzie jest?

— Wiem ci ja, żeś nie do mnie przyjechał, mój kawalerze. Zdrowa ona, zdrowa; jeszcze dziewczka od tych amatorów potłuściła. Ale wraz ci jej zawołam, a i sama się trochę ogarnę, bo mi wstyd tak gości przyjmować.

Jakoż kniahini miała na sobie suknię ze spłowiałego cycu, kozuch na wierzchu i jałowicze buty na nogach.

W tej chwili jednak Helena, choć i niewołana, wbiegła do komnaty, bo się od Tatara Czechły dowiedziała, kto przyjechał. Wbiegłszy zdyszana i kraśna jak wiśnia, tchu prawie złapać nie mogła i tylko oczy śmiały się jej szczęściem i weselem. Skrzetuski skoczył jej ręce całować, a gdy kniahini dyskretnie wyszła, całował i usta, bo był człowiek porywczy. Ona też nie bronila się bardzo, czując, że niemoc opanowuje ją ze zbytku szczęścia i radości.

— A ja się waćpana nie spodziewałam — szeptała, mrużąc swe śliczne oczy — ale już tak nie całuj, bo nie przystoi.

— Jak nie mam całować — odpowiedział rycerz — gdy mi miód nie tak słodki, jako usta twoje? Myślałem też, że już mi uschnąć przyjdzie bez ciebie, aż mnie sam ksiązę tu wyprawil.

— To ksiązę wie?

— Powiedziałem mu wszystko. A on jeszcze rad był, na kniazia Wasila wspomniawszy. Ej, chybaś ty mi co zadała, dziewczyno, że już i świata za tobą nie widzę.

— Łaska to Boża takie zaślepienie twoje.

— A pamiętasz jeno ten omen, który raróg uczynił, gdy nam ręce ku sobie ciągnął. Znać było już przeznaczenie.

— Pamiętam....

— Jakem też od tęskności chodził w Łubniach na Solonice, tom cię tak prawie jako żywą widywał, a com wyciągnął ręce, toś nikła. Ale mi więcej nie umkniesz, gdyż tak myślę, że nic nam już nie stanie na wstręcie.

— Jeśli co stanie, to nie wola moja.

— Powiedźże mi jeszcze raz, że mnie miłujesz.

Helena spuściła oczy, ale odrzekła z powagą i wyraźnie:

— Jako nikogo w świecie.

— Żeby mnie kto złotem i dostojęstwem obsypał, wołałbym takie słowa twoje, bo czuję, że prawdę mówisz, choć sam nie wiem, czem na takowe dobrodziejstwo od ciebie zarobić mogłem.

— Boś miał litość dla mnie, boś mnie przygarnął i wjmował się za mną i takimi słowy do mnie mówił, jakich wprzód nigdy nie słyszałam.

Helena zamilkła ze wzruszenia, a porucznik począł na nowo całować jej rękę.

— Panią mi będziesz, nie żoną — rzekł.

I przez chwilę milczeli, tylko on wzroku z niej nie spuszczał, chcąc sobie długie niewidzenie nagrodzić. Wydała mu się jeszcze piękniejszą, niż dawniej. Jakoż w tej ciemnawej świetlicy, w grze promieni słonecznych, rozlamujących się w tęczę na szklanych gomólkach okien, wyglądała jak owe obrazy świętych dziewic w mrocznych kościelnych kaplicach. A jednocześnie było od niej takie ciepło i życie, tyle rozkosznych niewieścich ponęt i uroków malowało się w twarzy i całej postaci, że można było głowę stracić, rozkochać się na śmierć, a kochać na wieczność.

— Od twojej gładkości chyba mi oslepnąć przyjdzie! — rzekł namiestnik.

Białe ząbki kniaziówny wesoło błysnęły w uśmiechu.

— Pewnie panną Anna Borzobohata ode mnie stokrój gładsza!

— Tak jej do ciebie, jako właśnie cynowej misie do miesiąca.

— A mnie imć Rzędzian co innego powiadał.

— Imć Rzędzian wart w gębę. Co mnie tam po onej pannie! Niech inne pszczoły z tego kwiatu miód biorą, a jest ich tam niemało.

Dalszą rozmowę przerwało wejście starego Czechły, któren przyszedł witać namiestnika. Uważał go on już za swego przyszłego pana, więc kłaniał mu się od proga, oddając mu wschodnim obyczajem salamy.

— No, stary Czechły, wezmę i ciebie z panienką. Już też jej służ do śmierci.

— Niedługo jej czekać, wasza miłość, ale póki życia, póty służby. Bóg jeden!

— Za jaki miesiąc, gdy z Siczy wrócę, ruszymy do Łubniów — rzekł namiestnik, zwracając się do Heleny — a tam ksiądz Muchowiecki ze stulą czeka.

Helena przestraszyła się:

— To ty na Sicz jedziesz?

— Książę posyła z listami. Aleć się nie bój. Osoba posła i u pogan święta. Ciebie zaś z kniahinią wyprawilbym choć zaraz do Łubniów, jeno drogi straszne. Sam widziałem — i koniem niebardzo przejedzie.

— A długo w Rozłogach zostaniesz?

— Dziś jeszcze na wieczór do Czechryna ruszam. Prędzej pożegnam, prędzej powitam. Zresztą służba księżca: nie mój czas, nie moja wola.

— Proszę na posilek, jeśli amatorów i gruchania dosyć — rzekła, wchodząc, kniahini. — Ho! ho! policzki ma dziewczyna czerwone, snąć nie próżnowałeś, panie kawalerze! No, ale się wam nie dziwię.

To rzekłszy, poklepała laskawie Helenę po ramie-

niu i poszli na obiad. Kniahini była w doskonałym humorze. Bohuna odżałowała już dawno, a teraz wszystko składało się tak, dzięki hojności namiestnika, że Rozłogi „cum boris, lasis, graniciebus et coloniis“ mogła już uważać za swoje i swoich synów.

A były to przecie dobra niemałe.

Namiestnik wypytywał o kniaziów, czy prędko wrócą.

— Lada dzień się już ich spodziewam. Gniewno im było z początku na waćpana, ale potem, zważywszy twoje postęпки, bardzo cię, jako przyszłego krewniaka, polubili, bo prawią, że takiej fantazy kawalera trudno już w dzisiejszych miękkich czasach znaleźć.

Po skończonym obiedzie namiestnik z Heleną wyszli do sadu wiśniowego, który tuż do fosy za majdanem przytykał. Sad był jako śniegiem, wczesnem kwieciem obsypany, za sadem czerniała dąbrowa, w której kukała kukulka.

— Na szczęśliwą to nam wróżbę — rzekł pan Skrzetuski — ale trzeba się popytać.

I zwróciwszy się ku dąbrowie, pytał:

— Zazulu nieboże, a ile lat będziem żyć w stadle z tą oto panną?

Kukulka poczęła kukać i kukać. Naliczyli pięćdziesiąt i więcej.

— Dajże tak Boże!

— Zazule zawsze prawdę mówią — zauważyła Helena.

— A kiedy tak, to jeszcze będę pytał! — rzekł rozochocony namiestnik.

I pytał:

— Zazulu nieboże, a siła mieć będziem chłopczyków?



Kukułka, jakby zamówiona, zaraz poczęła odpowiadać i wykukala ni mniej ni więcej, jak dwanaście.

Pan Skrzetuski nie posiadał się z radości.

— Ot, starostą zostanę, jak mnie Bóg miły! Słyszałaś waćpanna? he?

— Zgola nie słyszałam — odpowiedziała czerwona jak wiśnia Helena — nawet nie wiem, o coś pytał.

— To może powtórzyć?

— I tego nie trzeba.

Na takich rozmowach i zabawach zeszedł im dzień jak sen. Wieczorem nadeszła chwila czulego, długiego pożegnania — i namiestnik ruszył ku Czehrynowi.

ROZDZIAŁ VIII.

W Czehrynie zastał pan Skrzetuski starego Zaćwilichowskiego w wielkiem wzruszeniu i gorączce; wyglądał on niecierpliwie książęcego posłańca, bo z Siczy coraz groźniejsze dochodziły wieści. Nie ulegało już wątpliwości, że Chmielnicki gotował się zbrojną ręką swoich krzywd i dawnych kozackich przywilejów dochodzić. Zaćwilichowski miał o nim wiadomości, iż w Krymie bawił u chana, żebrząc pomocy tatarskiej, z którą już lada dzień był w Siczy spodziewany. Gotowała się tedy walna z Niżu do Rzeczypospolitej wyprawa, która przy pomocy tatarskiej mogła być zgubną. Burza rysowała się coraz bliżej, wyraźniej, straszniej. Już nie głuche, nieokreślone trwogi przebiegały Ukrainę, ale poprostu pewność rzezi i wojny. Hetman wielki, który z początku niewiele sobie z całej sprawy robił, przysunął się teraz z wojskiem do Czerkas; wysunięte placówki wojsk koronnych dochodziły aż do Czehryna, a to głównie, by zbiegostwo powstrzymać, kozacy bowiem grodowi i czerni, masami poczęli na Sicz uciekać. Szlachta kupiła się po miastach. Mówiono, że pospolite ruszenie ma być w południowych województwach ogłoszone. Niektórzy też i nie czekając na wici, odsyłali żony i dzieci do zamków,

a sami ciągnęli pod Czerkasy. Nieszczęsna Ukraina rozdzieliła się na dwie połowy; jedna śpieszyła na Sicz, druga do obozu koronnego; jedna opowiadała się przy istniejącym porządku rzeczy, druga przy dzikiej swobodzie; jedna pragnęła zachować to, co było owocem wiekowej pracy, druga pragnęła jej owo dobro odjąć. Obie wkrótce miały bratnie ręce we własnych wnętrznościach ubroczyć. Straszliwy zatarg, zanim wyszukał sobie hasel religijnych, które dla Nizu obce były zupełnie, zrywał się jako wojna socyalna.

Ale jakkolwiek czarne chmury skłębiły się na widnokręgu ukraińskim, jakkolwiek padała od nich noc złowroga, jakkolwiek we wnętrzu ich kłębiło się i hucało, a grzmoty przewalały się z końca w koniec, ludzie nie zdawali sobie jeszcze sprawy, do jakiego stopnia burza się rozpęta. Może nie zdawał sobie z tego sprawy i sam Chmielnicki, który tymczasem słał listy do pana Krakowskiego, do komisarza kozackiego i do chorążego koronnego, pełne skarg i biadań, a zarazem zakłębć wierności dla Władysława IV i Rzplitej. Chciałli zyskać na czasie, czy też przypuszczał, że jaki układ może jeszcze koniec zatargowi położyć? różni różnie sądzili — dwóch tylko ludzi nie ludziło się ani przez jedną godzinę.

Ludźmi tymi byli Zaćwilichowski i stary Barabasz.

Stary pułkownik odebrał również list od Chmielnickiego. List był szyderczy, groźny i pełen obelg. „Zaczniemy z całym wojskiem zaporozkiem — pisal Chmielnicki — gorąco prosić i apelować, by stało się zadość onym przywilejom, które wasza miłość u siebie tailęś. A żeś je tail dla własnych korzyści i pożytków, przeto całe wojsko zaporozkie czyni cię godnym pułkownikować owcom, albo świniom, nie ludziom. Ja zaś proszę o prze-

baczenie waszej miłości, jeśli w czem mu nie wygodziłem w ubogim domu moim w Czehrynie, na prazniku św. Mikołaja — i żem odjechał na Zaporozże bez wiadomości i pozwolenia“.

— Patrzcie waszmościowie — mówił do Zaćwilichowskiego i Skrzetuskiego Barabasz — jak to naigrawa się ze mnie, a przecież jam to go wojny uczył i prawie ojcem mu byłem.

— Zapowiada tedy, że z całym wojskiem zaporozkiem upominać się o przywileje będzie — rzekł Zaćwilichowski. — Wojna to jest poprostu domowa, od wszystkich wojen straszniejsza.

Na to Skrzetuski:

— Widzę, że mi się trzeba śpieszyć; dajcie mi waszmościowie listy do tych, z którymi w komitywę wejść mi przyjdzie.

— Do atamana koszowego masz waść?

— Mam od samego księcia.

— Dam ci tedy do jednego kurzeniowego, a imię Barabasz ma tam też krewniaka Barabasza; od nich dowiesz się wszystkiego. A kto wie, czy to już nie zapóźno na takową ekspedycję. Chce księżę wiedzieć, co tam naprawdę słychać? — krótka odpowiedź: źle słychać! a chce wiedzieć czego się trzymać? — krótka rada: zebrać jak najwięcej wojska i z hetmany się połączyć.

— To pchnijcie do księcia gonca z odpowiedzią i radą — rzekł pan Skrzetuski. — Ja muszę jechać, bom tam posłan i decyzji księżęcej zmieniać nie mogę.

— A czy wiesz waść, że to okrutnie niebezpieczna wyprawa? — rzekł Zaćwilichowski. — Tu już lud tak wzburzony, że osiedzieć się trudno. Gdyby nie bliskość

koronnego wojska, czerń rzuciłaby się na nas. A cóż dopiero tam! Leziesz jakoby smokowi w gardło.

— Mości chorąży! Jonasz był już w brzuchu wielorybim, nie w gardle, a za pomocą Bożą wylazł zdrowo.

— Jedź tedy. Chwałę twoją rezolucję. Do Kudaku możesz waść dojechać bezpiecznie, tam się rozpatrzysz, eo ci dalej czynić przystoi. Grodzicki stary żołnierz, on najlepsze da ci instrukcyę. A do księcia ja sam pewnie ruszę; jeśli się mam bić na swoje stare lata, to wolę pod nim, niż pod kim innym. Tymczasem bajdak albo dombazę i przewoźników dla waści przygotowuję, którzy cię do Kudaku zawiozą.

Skrzetuski wyszedł i udał się prosto do swojej kwatery na rynek, do domu księcia, by ostatnie poczynić przygotowania. Mimo niebezpieczeństw tej podróży, o których mu prawił Zaćwilichowski, namiestnik nie bez pewnego ukontentowania myślał o niej. Miał zobaczyć Dniepr w całej niemal długości, aż do Niżu, i porohy, a była to dla ówczesnego rycerstwa ziemia jakby zaczarowana, tajemnicza, do której ciągnął wszelki duch przygód chciwy. Niejeden całe życie na Ukrainie strawił, a nie mógł się pochwalić, by Sicz widział — chyba żeby chciał zapisać się do bractwa, a do tego mniej już między szlachtą było ochotników. Czasy Samka Zborowskiego przeszły i nie miały wrócić więcej. Rozbrat między Siczą a Rzeczpospolitą, który powstał za czasów Nalewajki i Pawluka, nietylko nie ustawał, ale zwiększał się coraz bardziej i napływ na Sicz herbowego ludu, nietylko polskiego ale i ruskiego, nie różniącego się od Niżowców ni mową ni wiarą, znacznie był mniejszy. Tacy Bułyhowie Kurcewicze nie wielu znajdowali naśladowców; wogóle na Niż, do bractwa, gnało

teraz szlachtę chyba nieszczęście, banicya, słowem winy do odpokutowania niepodobne.

To też jakaś tajemnica nieprzenikniona, jako mgły Dnieprowe, otoczyła drapieżną niżową, rzeczpospolitą. Opowiadano o niej cuda, które pan Skrzetuski własnymi oczyma ciekaw był oglądać.

Nie spodziewał się też, co prawda, stamtąd nie wrócić. Co poseł, to poseł, zwłaszcza od księcia Jeremiego.

Tak rozmyślając, wyglądał przez okno ze swej kwatery na rynek. Tymczasem upłynęła jedna godzina i druga, gdy nagle Skrzetuskiemu wydało się, że spostrzega dwie jakieś znane postacie, zmierzające ku Dzwoniekiemu kątowi, gdzie był sklep Wołocha Dopyły.

Przypatrzył się pilniej: był to p. Zagłoba z Bohunem.

Szli, trzymając się pod ręce, i wkrótce znikli w ciemnych drzwiach, nad którymi sterczała wiecha, oznaczająca szynk i winiarnię.

Namiestnika zdziwiła i bytność Bohuna w Czehrynie i przyjaźń jego z panem Zagłobą.

— Rzędzian! sam tu! — zawołał na pachółka.

Pacholek ukazał się we drzwiach przyległej izby.

— Słuchajno, Rzędzian, pójdziesz do winiarni, ot, tam pod wiechę; znajdziesz tam grubego szlachcica z dziurą w czele i powiesz mu, że ktoś, co ma pilną do niego sprawę, chce go widzieć. A jeśliby pytał kto, nie mów.

Rzędzian skoczył i po jakimś czasie namiestnik ujrzał go wracającego w towarzystwie pana Zagłoby.

— Witaj waszmość — rzekł pan Skrzetuski, gdy szlachcic ukazał się we drzwiach izby — czy mnie sobie przypominasz?

— Czy sobie przypominam? Niechże mnie Tatarzy na Iój przetopią i świece ze mnie do meczetów porobią, jeślim zapomniał. Waśc to kilka miesięcy temu otworzyłeś drzwi u Dopuła Czaplińskim, co mnie szczególnie do smaku przypadło, gdyż takim samym sposobem uwolniłem się raz z więzienia w Stambule. A co porabia pan Powsinoga herbu Zerwipludry, razem ze swoją innocencyą i mieczem? Czy zawsze mu wróble na głowie siedzą, biorąc go za uschłe drzewo?

— Pan Podbipięta zdrow i kazał się kłaniać waszmości.

— Wielce to jest bogaty szlachcic, ale srodze głupi. Jeśli zetnie takie trzy głowy jak jego własna, to mu to uczyni dopiero półtoorej, bo zetnie trzech półgłówek. Tfu! jakie gorąco, choć to dopiero marzec. Język w gardle zasycha.

— Mam ja trojniak bardzo przedni, może waśc kusztyczek pozwoli?

— Kiep odmawia, gdy nie kiep prosi. Właśnie mi cyrulik miód pić zalecił, żeby mi melankolię od głowy odciągnęło. Ciężkie bo to czasy na szlachtę się zbliżają: *dies irae et calamitatis*. Czapliński zdechl ze strachu, do Dopuła nie chodzi, bo tam starszyzna kozacka pije. Ja jeden stawiam mężnie czoło niebezpieczeństwom i dostrzymuję onym pułkownikom kompanii, choć ich pułkownictwo dziegciem śmierdzi. Dobry miód! istotnie bardzo przedni. Skąd go waśc masz?

— Z Łubniów. To dużo starszyny tu jest?

— Kogo tu niema? Fedor Jakubowicz jest, stary Filon Dziedziała jest, Daniel Neczaj jest, a z nimi ich oczko w głowie. Bohun, który stał mi się przyjacielem od czasu, jakem go przepił i obiecałem go adoptować.

Wszyscy oni śmierzdzą teraz w Czehrynie i patrzą, w którą stronę się obrócić, bo nie śmiają jeszcze otwarcie przy Chmielnickim się opowiedzieć. Ale jeśli się nie opowiedzą, to będzie moja zasługa.

— A to jakim sposobem?

— Bo pijąc z nimi, dla Rzeczypospolitej ich kaptuję i do wierności namawiam. Jeśli król nie da mnie za to starostwa, to wierzaj waćpan, niema justycyi w tej Rzeczypospolitej, ani rekompensy dla zasług, i lepiej pono kury sadzać, niż głowę *pro publico bono* narażać.

— Lepiejbyś waćpan narażał bijąc się z nimi, ale widzi mi się, że pieniądze tylko próżno wyrzucasz na traktamenty, bo tą drogą ich nie skaptujesz.

— Ja pieniądze wyrzucam? Za kogo mnie waszmość masz? To niedość, że pospolituję się z chamami, żebym jeszcze za nich miał płacić? Za fawor to uważam, że im pozwalam płacić za siebie.

— A ówże Bohun, co tu porabia?

— On? Nadstawia ucha, co od Siczy słychać, jak i inni. Poto tu przybył. To kochanek wszystkich kozaków. Wdzięczą się oni do niego naksztalt małpów, bo to jest pewna, że perejasławski pułk za nim, nie za Łobodą pójdzie. A kto wie także, za kim rejestrowi Krzczowskiego pociągną? Brat Bohun Niżowcom, jak trzeba iść na Turka lub Tatara, ale teraz bardzo kalkuluje, bo mi po pijanemu wyznał, iż się w szlachciance kocha i chce się z nią żenić, przeto nie wypada mu w wigilię ślubu z chłopcy się bratać. Toć on chce, bym go adoptował i do herbu przypuścił. Bardzo przedni ten waszmościów trojniak!

— Wypijże waść jeszcze.

— Wypiję, wypiję. Nie pod wiechami to taki troj-
niak przedają.

— Nie pytałeś się też wasze, jak się nazywa owa
szlachcianka, z którą Bohun chce się żenić?

— Mospanie, a co mnie obchodzi jej nazwisko?
Wiem tylko, że jak Bohunowi rogi przyprawię, to się
będzie nazywać pani jeleniowa.

Namiestnik uczuł nagle wielką ochotę trzepnąć
w ucho pana Zagłobę, ten zaś, nie spostrzegłszy się na
niczem, mówił dalej:

— Za młodych lat był ze mnie gładysz nielada.
Żebym tylko waści opowiedział, za co palmę w Galacie
otrzymałem! Widzisz tę dziurę na mojem czele? Dość
gdy ci powiem, że mi ją rzezańcy w seraju tamecznego
baszy wybili.

— A mówiłeś, że kula rozbójnicka?

— Mówiłem? Tom dobrze mówił! każdy Turczyn
rozbójnik — tak mnie Panie Boże dopomóż!

Dalszą rozmowę przerwało wejście Zaćwilichow-
skiego.

— No, mości namiestniku — rzekł stary chorąży —
bajdaki gotowe, przewoźników masz ludzi pewnych: ru-
szajże w imię Boże, choćby i zaraz. A oto listy.

— To każę ludziom zaraz ruszać na brzeg.

— A gdzie waść się wybierasz? — spytał pan Za-
głoba.

— Do Kudaku.

— Gorąco tam ci będzie.

Ale namiestnik nie słyszał już przepowiedni, bo
wyszedł z izby na podwórzec, gdzie przy koniach stali
semenowie, prawie już gotowi do podróży.

— Na koń i na brzeg! — zakomenderował pan

Skrzetuski. — Konie wprowadzać na statki i czekać na mnie!

Tymczasem w izbie stary chorąży rzekł do Zagłoby:

— Słyszałem, że podobno waść teraz pułkownikom kozackim dworujesz i z nimi pijesz.

— *Pro publico bono*, mości chorąży.

— Obrotny masz waść dowcip i podobno od wstydu większy. Chcesz sobie kozaków *in poculis* skonwinkować, by przyjaciółmi ci byli w razie zwycięstwa.

— Choćbym też, będąc męczennikiem tureckim, nie chciał zostać i kozackim, nie byłoby nic dziwnego, bo dwa grzyby mogą najlepszy barszcz popsować. A co do wstydu, nikogo nie zapraszam, by go pił ze mną — sam go wypiję, i da Bóg, że mi nie będzie gorzej od tego miodu smakował. Zasługa, jako olej, musi na wierzch wypłynąć.

W tej chwili wrócił Skrzetuski.

— Ludzie już ruszają — rzekł.

Zaćwilichowski nalał miarękę:

— Za szczęśliwą podróż!

— I zdrowy powrót! — dodał pan Zagłoba.

— Będzie się wam dobrze jechało, bo woda ogromna.

— Siadajcie waszmościowie, wypijem resztę. Nie-wielki to antalek.

Siedli i pili.

— Ciekawy kraj waść zobaczysz — mówił Zaćwilichowski. — A kłaniaj się panu Grodzickiemu w Kudaku! Ej, żołnierz to, żołnierz! Na końcu świata siedzi, daleko od hetmańskich oczu, a porządek u niego taki, że daj Boże w całej Rzeczypospolitej podobny. Znam ja dobrze Kudak i porohy. Za dawnych lat częściej się

tam jeździło, i aż duszy smutno, gdy się pomyśli, że to przeszło, minęło, a teraz...

Tu chorąży wsparł mleczną głowę na rękę i zadumał się głęboko. Nastąpiła chwila ciszy, słychać było tylko tupot koński w bramie, bo ostatek ludzi pana Skrzetuskiego wyjeżdżał na brzeg ku bajdakom.

— Mój Boże — mówił, ocknąwszy się z zadumy, Zaćwilichowski — a jednak dawniej, choć i wśród rozterków, lepsze bywały czasy. Ot, pamiętam jak dziś, pod Chocimiem, dwadzieścia siedem lat temu! Gdy husaryja szła pod Lubomirskim do ataku na janczarów, to mołojcy w swoim okopie rzucali czapki w górę i krzyczeli aż ziemia drżała do Sahajdacznego: „puskaj bat'ku z Lachami umiraty!“ A dziś co? Dziś Niż, który winien być przedmurzem chrześcijaństwa, puszcza Tatarów w granice Rzeczypospolitej, by się na nich rzucić dopiero wtedy, gdy z łupem będą wracać. Dziś gorzej: bo oto Chmielnicki łączy się wprost z Tatary, z którymi chrześcijan będzie do kompanii mordował...

— Wypijmy na ten smutek! — przerwał Zagłoba. — Co to za trojniak!

— Dajże Boże jak najprędzej mogiłę, by na wojnę domową nie patrzeć — mówił dalej stary chorąży. — Wspólne winy mają się we krwi obmywać, aleć nie będzie to krew odkupienia, boć tu i brat brata będzie mordował. Kto na Niżu? Rusini, a kto w wojsku księcia Jaremy? Kto w pocztach pańskich? Rusini. A małoż ich w obozie koronnym? A ja sam kto taki? Hej, nieszczęsna Ukraino! krymscy poganie włożą ci łańcuch na szyję i na galerach tureckich wiosłować będziesz!

— Nie biadajcież tak, mości chorąży! — rzecze

pan Skrzetuski — bo już chyba służy z oczu nam pójdą. Może też jeszcze pogodne słońce nam zaświeci!

Ale słońce zachodziło właśnie, a ostatnie jego promienie padały czerwonym blaskiem na białe włosy Chorążego.

W mieście dzwoniło na Anioł Pański i na Pochwalnię.

Wyszli. Pan Skrzetuski poszedł do kościoła, pan Zaćwilichowski do cerkwi, a pan Zagłoba do Dopyły w Dzwoniecki kąt.

Ciemno już było, gdy się znowu zeszli nad brzegiem taśminowej przystani. Ludzie pana Skrzetuskiego siedzieli już w bajdakach. Przewoźnicy wnosili jeszcze ładunki. Zimny wiatr ciągnął od poblizkiego ujścia do Dniepru i noc obiecywała być niezbyt pogodna. Przy świetle ognia palącego się nad brzegiem, woda rzeki polyskiwała krwawo i zdawała się z niezmierną chyżością uciekać gdzieś w nieznaną ciemność.

— No, szczęśliwej drogi! — mówił chorąży, ściskając serdecznie dłoń młodzieńca. — A pilnuj się waść!

— Nie zaniecham niczego. Bóg da, że niedługo się zobaczymy.

— Chyba w Łubniach, albo w obozie książęcym.

— To waszmość już koniecznie do księcia?

Zaćwilichowski podniósł ramiona w górę:

— A co mnie? kiedy wojna, to wojna!

— Zostawajże waszmość w dobrem zdrowiu, mości chorąży.

— Niechże cię Bóg strzeże!

— *Vive, valeque!* — wołał Zagłoba. — A jeśli woda aż do Stambułu waści zanieśie, to kłaniaj się sultanowi.

Albo też: jechał go sęk! Bardzo to zacny był trojniak!
Brr! jak tu zimno!

— Do widziska!

— Do obaczyska!

— Niech Bóg prowadzi!

Zaskrzypiały wiosła i plusnęły o wodę, bajdaki popłynęły. Ogień palący się na brzegu zaczął oddalać się szybko. Przez długi czas Skrzetuski widział jeszcze sędziwą postać chorążego, oświeconą płomieniem stosu, i jakiś smutek ścisnął mu nagle serce. Niesie go ta woda, niesie, ale oddala od serc życzliwych i od ukochanej, od krain znanych; niesie go nieubłaganie, jak przeznaczenie, ale w dzikie strony, w ciemność...

Wyłynęli z ujścia taśminowego na Dniepr.

Wiatr świstał, wiosła wydawały plusk jednostajny, a smutny. Przewoźnicy poczęli śpiewać:

„Oj to te pili, pilili,
Ne tumany ustawali“.

Skrzetuski obwinał się w burkę i położył na posłaniu, które umościli dla niego żołnierze. Począł myśleć o Helenie, o tem, że ona dotąd nie w Łubniach, że Bohun został, a on odjeżdża. Obawa, złe przeczucia, troski, obsiadły go, jak kruki. Począł mocować się z niemi, aż się znużył, myśli mu się mąciły, zmieszały się jakoś dziwnie z poświstem wiatru, z pluskiem wiosel, z pieśniami rybaków — i usnął.

ROZDZIAŁ IX.

Nazajutrz zbudził się świeży, zdrów i z weselszą myślą. Pogoda była cudna. Szeroko rozlane wody marszczyły się w drobne zmarszczki od lekkiego i ciepłego powiewu.

Brzegi były w tumanie i zlewały się z płaszczyzną wód w jedną nieprzejrzaną równinę. Rzędzian, zbudziwszy się i przetarłszy oczy, aż się przestraszył. Spojrzał zdziwionemi oczyma dookoła, a nie widząc nigdzie brzegu, rzekł:

— O dla Boga! mój jegomość, to my już chyba na morzu jesteśmy...

— Rzeka to tak potężna, nie morze — odpowiedział Skrzetuski — a brzegi obaczysz, gdy mgła opadnie.

— Myślę, że niedługo już nam i na Turecczyzną wędrować przyjdzie.

— Powędrujemy, jeśli nam każą; widzisz zresztą, że nie sami płyniemy.

Jakoż w promieniu oka widać było kilkanaście bajdaków, dombaz czyli tumbasów — i wązkich czarnych czółen kozackich, obszytych sitowiem, a zwanych pospolicie czajkami. Jedne z tych statków płynęły z wodą, unoszone bystrym prądem, inne pięły się pracowicie

w górę rzeki, wspomagane wiosłami i żaglem. Wiozły one rybę, wosk, sól i suszone wiśnie do miast brzegowych, lub też wracały z okolic zamieszkałych, obładowane zapasami żywności dla Kudaku i towarem, który chętny znajdował pokup na Kramnym bazarze w Sicz. Brzegi Dnieprowe były już od ujścia Pszoły zupełnie pustynią, na której gdzieś tylko bieleły kozackie zimowniki, ale rzeka stanowiła gościniec, łączący Sicz z resztą świata, więc też i ruch bywał na niej dość znaczny, zwłaszcza gdy przybór wody ułatwiał żeglugę i gdy nawet Porohy, prócz Nienasytca, stawały się dla statków idących w dół rzeki możliwe dla przebycia.

Namiestnik przypatrywał się z ciekawością temu życiu rzeczemu, a tymczasem bajdaki jego mknęły szybko ku Kudakowi. Mgła opadła, brzegi zarysowały się wyraźnie. Nad głowami płynących ulatywały miliony ptactwa wodnego, pelikanów, dzikich gęsi, żórawi, kaczek i czajek, kulonów i rybitew; w oczeretach przybrzeżnych słyhać było taki gwar, takie kotłowanie się wody i szum skrzydeł, że rzekłbyś, iż odbywają się tam sejmy lub wojny ptasie.

Brzegi za Krzemieńczugiem stały się niższe i otwarte.

— Patrzno jegomość! — wykrzyknął nagle Rzędzian — dyć to niby to słońce piecze, a śnieg leży na polach.

Skrzetuski spojrział: istotnie jak okiem sięgnął, jakiś biały pokład błyszczał w promieniach słońca po obu stronach rzeki.

— Hej, starszy! a co to się tam bieli? — spytał rotmana.

— Wiszni, pane! — odpowiedział starszy.

Były to istotnie lasy wiśniowe, złożone z karłowatych drzew, któremi oba brzegi szeroko były za ujściem Pszoły porośnięte. Owoc ich słodki i wielki, dostarczał jesienią pożywienia ptactwu, zwierzętom i ludziom zbłąkanym w pustyni, a zarazem stanowił przedmiot handlu, który wożono bajdakami aż do Kijowa i dalej. Teraz lasy osypane były kwieciem. Gdy zbliżyli się do brzegu, by ludziom wiosłującym dać wypoczynek, namiestnik z Rzędzianem wysiedli, chcąc się bliżej owym gajom przypatrzeć. Ogarnął ich tak upajający zapach, iż zaledwie mogli oddychać. Mnóstwo płatków leżało już na ziemi. Miejscami drzewka stanowiły gąszcz nieprzenikniony. Między wiśniami rosły także obficie dzikie karłowate migdały, okryte kwieciem różowem, wydającym jeszcze silniejszy zapach. Miliony trzmiełow, pszczoł i barwnych motylów unosiły się nad owym pstrzem morzem kwiatów, którego końca nie można było dojrzeć.

— Cuda to, panie, cuda — mówił Rzędzian. — I czemu tu ludzie nie mieszkają? Zwierza tu także widzę dostatek.

Jakoż między krzakami wiśniowymi smykały zające szare, białe i niezliczone stada wielkich błękitnonych przepiórek, których kilka Rzędzian z guldynki ustrzelił, ale ku wielkiemu umartwieniu dowiedział się potem od *starszego*, że mięso ich jest trucizną.

Na miękkiej ziemi widać też było ślady jeleni i suhaków, a z dala dochodziły odgłosy podobne do rechtań dzikich świń.

Podróżnicy, napatrzwszy się i odpocząwszy, ruszyli dalej. Brzegi to wznosiły się, to stawały się płaskie, odkrywając widok na śliczne dąbrowy, lasy, uroczyska, mogiły i rozłożyste stepy. Okolica wydawała się

tak przepyszną, że Skrzetuski mimo woli powtarzał sobie pytanie Rzędziana: czemu tu ludzie nie mieszkają? Ale na to trzeba było, by jaki drugi Jeremi Wiśniowiecki objął te pustynie, urządził i bronił od napadów Tatarów i niżowych. Miejscami rzeka tworzyła łachy, zakręty, zalewała jary, biła spienioną falą o skały brzeżne i wypełniała wodą ciemne jaskinie skalne. W takich to jaskiniach i zakrętach bywały kryjówki i schowania kozacze. Ujścia rzek, pokryte lasem sitowia, oczeretów i szuwarów, aż czerniły się od mnogości ptactwa, słowem: świat dziki, przepaścisty, miejscami zapadły a pusty i tajemniczy, roztoczył się przed oczyma naszych wędrowców.

Żegluga stała się przykrą, bo z powodu ciepłego dnia pokazywały się roje zjadliwych komarów i rozmaitych nieznanych na suchym stepie insektów, a niektóre z nich na palec grube, ciurkiem krew po ukąszeniu puszczały.

Wieczorem przybyli do wyspy Romanówki, której ognie z daleka było widać, i zatrzymali się na nocleg. Rybacy, którzy przybiegli popatrzeć na poczet namiestnika, mieli koszule, twarz i ręce całkiem pomazane dziegciem dla obrony od ukąszeń. Byli to ludzie grubych obyczajów i dzicy: na wiosnę zjeżdżali się tu tłumnie dla polowu i wędzenia ryb, które potem rozwozili do Czehryna, Czerkas, Perejasławia i Kijowa. Rzemiosło ich było trudne, ale zyskowne z powodu obfitości ryb, które latem stawały się nawet klęską tych okolic, zdychając bowiem dla braku wody po łachach i tak zwanych „cichych kątach“ zarażały zgnilizną powietrze.

Dowiedział się od rybaków namiestnik, że wszyscy niżowcy, którzy również zajmowali się tu polowem, od kilku dni opuścili wyspę i udali się na Niż, wezwani

przez atamana koszowego. Co noc też widywano z wyspy ogień, które palili na stepie zbiegowie na Sicz podążający. Rybacy wiedzieli, że gotuje się wyprawa „na Lachiw“, i wcale nie ukrywali się z tem przed namiestnikiem. Widział tedy pan Skrzetuski, że jego ekspedycya może istotnie jest spóźnioną, może nim dojedzie do Sicy, pułki mołojców ruszą już na północ, ale kazano mu jechać, więc jako prawy żołnierz nie rozumował i postanowił dotrzeć choćby w środek zaporoskiego obozu.

Nazajutrz rano wyruszyli w dalszą drogę. Pominęli cudny Tareński róg, Suchą górę i Koński ostróg, sławny ze swoich bagien i mnóstwa gadzin, które go niezdatnym do mieszkania czyniły. Wszystko tu już, i dzikość okolicy i zwiększony pęd wód, zwiastowało bliskość porohów. Aż wreszcie wieża kudacka zarysowała się na widnokregu — pierwsza część podróży była skończona.

Namiestnik jednak nie dostał się tego wieczora do zamku, bo pan Grodzicki zaprowadził taki porządek, że gdy przed zachodem słońca wybito hasło, nie wpuszczano nikogo z zamku i do zamku, i gdyby nawet sam król przyjechał, musiałby nocować w Słobódce, stojącej pod wałami fortecy.

Tak też uczynił i namiestnik. Nocleg to był niezbyt wygodny, bo chaty w Słobódce, których znajdowało się ze sześćdziesiąt, ulepione z gliny, tak były szczupłe, iż do niektórych okrakiem trzeba było wlaźć. Innych też nie oplaciło się budować, bo je forteca za każdym napadem tatarskim w perzynę obracała, a to dlatego, by nie dawały napastnikom zasłony i bezpiecznego do wałów przystępu. Mieszkali w onej Słobódce ludzie „zachozi“, to jest przybłędowie z Polski, Rusi, Krymu i Wołoszy. Każden tu był niemal innej wiary, ale tam o to

nikt nie pytał. Gruntów nie wyrabiali dla niebezpieczeństwa od Ordy, żywili się rybą i zbożem dostawianem z Ukrainy, pili palankę z prosa, a trudnili się rzemiosłami, dla których w zamku ich ceniono.

Namiestnik oka prawie zmrużyć nie mógł dla nieznośnego zapachu końskich skór, z których rzemienie w Słobódce wyprawiano. Nazajutrz, świtanem, jak tylko wydzwoniono i na trąbach wygrano „rozbudzenie“, dał znać do zamku, iż posel książęcy przybył i prosi o przyjęcie. Grodzicki, który świeżo miał w pamięci wizytę książęcą, sam na jego spotkanie wyszedł. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, jednooki jak cyklop, posepny, bo siedząc w pustyni na końcu świata i nie widując ludzi, zdziczał, a sprawując nieograniczoną władzę, nabral powagi i surowości. Twarz mu przytem zeszpeciła ospa, a ozdobiły nacięcia szabel i blizny od strzał tatarskich, podobne do białych piętn na ciemnej skórze. Był to jednak żołnierz szczery, czujny jak żóraw, który ustawicznie oczy miał w stronę Tatarów i kozaków wytężone. Pijał tylko wodę, nie sypiał jak siedm godzin na dobę, częstokroć zrywał się w nocy, by obaczyć, czy straż dobrze wałów pilnują, i za najmniejsze niedbalstwo porywał na śmierć żołnierzy. Dla kozaków wyrozumiały, choć groźny, zyskał sobie ich szacunek. Gdy zimą głodno bywało na Siczy, zbożem ich wspomagał. Był to Rusin, pokroju tych, którzy swego czasu z Przeclawem Lanckorońskim i Samkiem Zborowskim w stepy chodzili.

— To tedy waszmość na Sicz jedziesz? — pytał Skrzetuskiego, wprowadziwszy go poprzednio do zamku i uczęstowawszy gościnnie.

— Na Sicz. Jakie waszmość, mości komendancie, masz stamtąd nowiny?

— Wojna! Ataman kozowy ze wszystkich ługów, rzeczek i wysp ściaga kozaków. Zbiegi z Ukrainy idą, którym przeszkadzam jak mogę. Wojska tam już jest na trzydzieści tysięcy, albo i więcej. Gdy na Ukrainę ruszą, gdy się z nimi grodowi kozacy i czerni połączą, będzie ich sto tysięcy.

— A Chmielnicki?

— Lada dzień z Krymu z Tatarami spodziewany. Może już jest; prawdę rzec, niepotrzebnie waszmość do Siczy chcesz jechać, bo wkrótce tu ich się doczekasz; że zaś Kudaku nie miną, ani go za sobą nie zostawią, to pewno.

— A obronisz się waszmość?

Grodzicki popatrzył na namiestnika posępnie i odrzekł dobitnym spokojnym głosem:

— A ja się nie obronię...

— Jaktó?

— Bo prochów nie mam. Mało dwadzieścia członów posłałem, by mi choć trochę przysłano — i nie przysłano. Nie wiem-li: przejęto gońców — czy sami nie mają — wiem, że dotąd nie przysłano. Mam na dwa tygodnie — na dłużej nie. Gdybym miał dosyć, pierwajbym Kudak i siebie w powietrze wysadził, nimby tu noga kozacza postala. Kazano mi tu leżeć — leżę, kazano czuwać — czuwam, kazano zęby wyszczerzać — wyszczerzam, a gdy zginąć przyjdzie — raz maty rodyła — i to potrafię.

— A samże waszmość nie możesz prochów robić?

— Od dwóch już miesięcy zaporożcy saletry mi nie puszczają, którą od Czarnego morza przywozić trzeba. Wszystko jedno. Zginę!

— Uczyć się nam od was starych żołnierzów. A gdybyś sam waszmość po prochy ruszył?

— Mosanie, ja Kudaku nie zostawię i zostawić nie mogę; tu mi było życie, tu niech śmierć będzie. Waść nie myśl także, że na bankiety i wspaniałe recepcyje jedziesz, jakimi gdzieindziej posłów witają, albo że cię tam godność poselska osłoni. Toż oni własnych atamanów mordują, i od czasu, jak tu siedzę, nie pamiętam, by który zczezł swoją śmiercią. Zginiesz i ty.

Skrzetuski milczał.

— Widzę, że duch w waćpanu gaśnie. To lepiej nie jedź.

— Mój mości komendancie — rzekł na to z gniewem namiestnik — wymyślże co lepszego, by mnie przestraszyć, bo to, co mi powiadasz, jużem słyszał z dzieścięć razy, a kiedy mi radzisz nie jechać, to widzę, sambyś na mojem miejscu nie jechał — zważ przeto, czy ci nietylko prochów, ale i fantazyi do obrony Kudaku zbraknie.

Grodzicki, zamiast się rozgniewać, spojrział jaśniej na namiestnika.

— Zubastaja szczuka! — mruknął po rusińsku. — Przebacz mi waszmość. Z odpowiedzi twojej miarkuję, że potrafisz dignitatem księcia i stanu szlacheckiego utrzymać. Dam ci tedy parę czajek, bo bajdakami porohów nie przejedziesz.

— O to też przybyłem prosić waszmości.

— Koło Nienasytca każesz je lądem ciągnąć, bo choć woda duża, ale tam nigdy przejechać nie można. Ledwie się jakie małe czólenko przemknie. A gdy już będziesz na niskich wodach, tedy się pilnuj, by cię nie zaskoczono, i pamiętaj, że żelazo a ołów od słów wymowniejsze. Tam tylko śmiałych ludzi cenią. Czajki będą

na jutro gotowe, każe tylko drugie rudle poprzyprawiać, bo jednego na porohach mało.

To rzekłszy, Grodzicki wyprowadził z izby namiestnika, by mu zamek i jego porządki pokazać. Wszędy panował wzorowy ład i karność. Straże dniem i nocą gęsto czuwały na wałach, które jeńcy tatarscy musieli bez przestanku wzmacniać i poprawiać.

— Co rok na lokiec wyżej wału sypię — rzekł pan Grodzicki — to też tak już urósł, że gdybym miał prochów dostatek, i we sto tysięcy nicby mi nie zrobili; ale bez strzelby nie obronię, gdy przemoc przyjdzie.

Forteca była istotnie nie do zdobycia, bo prócz armat, broniły jej Dnieprowe przepaście i niedostępne skały pionowo zeskakujące w wodę; nie potrzebowała nawet wielkiej załogi. To też w zamku nie stało więcej nad sześćset ludzi, ale za to co najprzebrańszego żołnierza, uzbrojonego w muszkiety i samopały. Dniepr, płynąc w tem miejscu ściśniętem korytem, tak był wązki, że rzucona z wałów strzała przelatywała daleko na drugi brzeg. Działa zamkowe panowały nad oboma brzegami i nad całą okolicą. Prócz tego o pół mili od zamku stała wysoka wieża, z której ośm mil wokoło widać było, a w niej stu żołnierzy, do których pan Grodzicki każdego dnia zaglądał. Ci, spostrzegłszy w okolicy lud jaki, dawali natychmiast znać do zamku, a wówczas bito w dzwony i cała załoga wnet stawiała pod bronią.

— Prawie tygodnia niema — mówił pan Grodzicki — bez jakowegoś alarmu, bo Tatarzy, jak wilki stadami, często po kilka tysięcy tu się włóczą, których z dział strychujemy jak można, a częstokroć tabuny dzikich koni strażę biorą za Tatarów.

— I nie przykrzy się waszmości siedzieć na takim bezludziu? — pytał pan Skrzetuski.

— Choćby mi też na pokojach królewskich miejsce dano, tobym tu wolał. Więcej ja stąd świata widzę, niżeli król ze swego okna w Warszawie.

Jakoż istotnie z wałów widać było niezmierną przestrzeń stepów, które teraz wydawały się jednym morzem zieloności; na północ ujście Samary, a na południe cały bieg Dnieprowy, skały, przepaście, lasy, aż do pian drugiego porohu, Surskiego.

Pod wieczór zwiedzili jeszcze wieżę, gdyż Skrzetuski, pierwszy raz widząc tę zaginioną w stepach fortecę, wszystkiego był ciekawy. Tymczasem przygotowywano dla niego w Słobódce czajki, które opatrzone rudlami po obu końcach, stawały się zwrotniejsze. Naza jutrz rankiem miał wyruszyć. Ale przez noc nie kładł się prawie wcale spać, rozmyślając, co mu czynić przystoi wobec niechybnej zguby, którą mu groziło posłowanie do straszliwej Siczy. Życie uśmiechało mu się wprawdzie, bo był młody, i kochał, i miał żyć obok ukochanej: wszelako od życia więcej honor i sławę kochał. Ale przyszło mu do głowy, że wojna blizka, że Helena, czekając na niego w Rozlogach, może być ogarnięta najokropniejszym pożarem, wystawiona na zapędy nietylko Bohuna, ale rozpętanej i dzikiej czerni, więc duszę porywała mu trwoga o nią i ból. Stepy musiały już podeschnąć, możnaby już pewno do Łubniów z Rozlogów jechać, a tymczasem on sam kazał Helenie i kniahini na swój powrót czekać, bo nie spodziewał się, by burza mogła wybuchnąć tak prędko, nie wiedział, czem grozi jazda do Siczy. Chodził więc teraz szybkimi krokami po zamkowej izbie, brodę targał i ręce łamał. Co miał

począć, jak postąpić. W myśli widział już Rozłogi w ogniu, otoczone wyjąca czernią, więcej do szatanów, niż do ludzi podobną. Własne jego kroki odbijały się posepnem echem pod sklepieniem zamkowym, a jemu wydało się, że to już złe moce po Helenę idą. Na wałach trąbiono gaszenie światła, a jemu zdało się, że to odłos Bohunowego rogu, i zębami zgrzytał i za głownię szabli imał. Ach! czemuż to on naparł się tej ekspedycji i Bychowca jej pozbawił!

Zauważył tę alteracją pana Rzędzian, śpiący w progu, więc wstał, oczy przetarł, objaśnił pochodnie palące się w żelaznych obręczach i począł kręcić się po komnacie, chcąc zwrócić uwagę pana.

Ale namiestnik utonął całkowicie w swoich bolesnych myślach i chodził dalej, budząc krokami uśpione echa.

— Jegomość! hej jegomość!... — rzekł Rzędzian.

Skrzetuski popatrzył na niego szklanym wzrokiem. Nagle zbudził się z zamyślenia.

— Rzędzian, boisz ty się śmierci? — spytał.

— Kogo? jako śmierci? co jegomość mówi?

— Bo kto na Sicz jedzie, ten nie wraca.

— A to czemu jegomość jedzie?

— Moja wola, ty się w to nie wtrącaj, ale ciebie mi żal, boś dzieciuch, a chociażś frant, tam się frantowstwem nie wykręcisz. Wracaj do Czehryna, a potem do Łubniów.

Rzędzian zaczął się drapać w głowę.

— Mój jegomość, juści śmierci się boję, bo ktoby się jej nie bał, toby się Boga nie bał, gdyż Jego to wola żywić kogoś, albo umorzyć, ale skoro jegomość dobrowolnie na śmierć leziesz, to już jegomościna będzie grzech

jako pana, nie mój jako sługi, przeto ja jegomości nie opuszczę, bom też nie chłop żaden, jeno szlachcic, choć ubogi, ale też nie bez ambicyjej.

— Wiedziałem, żeś dobry pacholek, powiem ci jednak: nie chcesz po dobrej woli jechać, pojedziesz z rozkazu, bo już inaczej nie może być.

— Choćby mnie jegomość zabił, nie pojedę. Co to jegomość sobie myśli, że jest Judasz jaki, czy co, że-
bym jegomości miał na śmierć wydawać?

Tu Rzędzian podniósł ręce do oczu i począł bu-
czeć głośno, widział więc pan Skrzetuski, że tą drogą do niego nie trafi, a rozkazywać groźnie nie chciał, bo mu było chłopca żal.

— Słuchaj — rzekł do niego — pomocy mi żadnej nie dasz, ja przecie także dobrowolnie głowy pod miecz kłaść nie będę, a do Rozłogów listy zawieszysz, na których mnie więcej, niż na samym żywocie zależy. Powiesz tam jejmości i kniaziom, by zaraz, bez najmniejszej zwłoki, panienkę do Łubniów odwieźli, bo ich inaczej rebelia zaskoczy — sam też dopilnujesz, by się to stało. Ważną ci funkcją powierzam, przyjaciela godną, nie sługi.

— To niech jegomość kogo innego wysle; z listem każdy pojedzie.

— A kogo ja tu mam zaufanego? czyś zgłupiał!
To ci powtarzam: uratuj mi podwakroć życie, a jeszcze mi takowej przysługi nie oddasz, gdyż w męce żyję, myśląc, co może się stać, i od boleści skóra na mnie potnieje.

— O dla Boga! widzę, że muszę jechać, ale mi tak jegomości żal, że choćbyś mi jegomość ten kropiasty pas darował, zgołabym się nie pocieszył.

— Będziesz pas miał, jeno spraw się dobrze.

— Nie chcę i pasa, byleś mi jegomość jechać ze sobą dozwolił.

— Jutro wrócisz czajką, którą pan Grodzicki do Czehryna wysyła, dalej bez zwłoki ni odoczynku ruszysz prosto do Rozłogów. Tam kniahini nic nie mów, czy mi co grozi, ani panience, prosz tylko, by zaraz choćby konno do Łubniów jechały, choćby bez tobołów żadnych. Oto masz trzos na drogę, listy zaraz ci napiszę.

Rzędzian padł do nóg namiestnika.

— Panie mój, zali nie mam cię ujrzyć więcej?

— Jak Bóg da, jak Bóg da! — odparł, podnosząc go, namiestnik — ale w Rozłogach wesolą twarz pokazuj. Teraz idź spać.

Reszta nocy zeszła Skrzetuskiemu na pisaniu listów i żarliwej modlitwie, po której zaraz przyleciał do niego anioł uspokojenia. Tymczasem noc zbladła i świt ubielił wązkie okienka od wschodu. Dniało — aż i różowe błaski wkradły się do komnaty. Na wieży i zamku poczęto grać poranne „wstawaj“. Wkrótce potem Grodzicki pojawił się w komnacie.

— Mości namiestniku, czajki gotowe.

— I jam też gotów — rzekł spokojnie Skrzetuski.

ROZDZIAŁ X.

Lotne czajki mknęły z wodą jak jaskółki, niosąc młodego rycerza i jego losy. Z powodu wysokich wód porohy nie przedstawiały wielkiego niebezpieczeństwa. Minęli Surski, Łochanny, szczęśliwa fala przerzuciła ich przez Woronową zaborę, zgrzytnęły trochę czółna na Kniażym i Strzelczym, ale jeno się otarły, nie rozbiły, aż wreszcie w oddali ujrzeli piany i wiry straszego Nienasytca. Tu już trzeba było wysiadać i czółna lądem ciągnąć. Praca długa i ciężka, zwykle zabierająca dzień cały. Na szczęście widocznie po dawnych przeprawach, na całym brzegu leżało mnóstwo kłoców, które podkładano pod czółna, dla łatwiejszego toczenia ich po ziemi. W całej okolicy i na stepach nie było widać żywego ducha, na rzece ani jednej czajki, bo już nie mogły płynąć do Siczy inne, jak te jedynie, które pan Grodzicki przez Kudak przepuścił a pan Grodzicki umyślnie odciał Zaporozę od reszty świata. Ciszę przerywał więc tylko huk fali o skały Nienasytca. Przez czas, gdy ludzie toczyli czółna, pan Skrzetuski przypatrywał się temu dziwowisku natury. Straszny widok uderzył jego oczy. Przez całą szerokość rzeki biegło w poprzek siedm grobel skalistych sterczących nad wodą, czarnych, poszar-

panych przez fale, które powylały w nich jakoby bramy i przejścia. Rzeka całym ciężarem wód tłukła o owe groble i odbijała się o nie, rozszalała, wściekła, zbita na białą, spienioną miazgę, usiłowała je przeskoczyć jak rumak rozhukany. Ale odparta raz jeszcze, nim mogła lunąć przez otwory, rzekłbyś, gryzła zębem skały, skręcała się w bezsilnym gniewie w potworne wiry, wybuchała słupami w górę, wrzała jak ukrop, ziała ze zmęczenia jak dziki zwierz. A potem znów huk jakby stu dział, wycie całych stad wilków, chrapanie, wysilenia i przy każdej grobli tak sama walka, tenże sam zamęt. Nad otchłanią wrzask ptactwa, jak przerażonego widokiem, między groblami posępne cienie skał, drgające na kolbani, nakształt złych duchów.

Ludzie ciągnący czołna, lubo przyzwyczajeni, żegnali się pobożnie, przestrzegając namiestnika, by się zbyt nie zbliżał do brzegu. Były bowiem podania, że kto zbyt długo patrzył na Nienasytec, ten w końcu ujrzał coś takiego, od czego rozum mu się mieszał; twierdzono również, że czasem z wirów wynurzały się czarne długie ręce i chwytaly nieostrożnych, którzy zanadto się zbliżyli, a wtedy straszne śmiechy rozlegały się w przepaściach. Nocami nawet zaporozcy nie śmieli czołen przeciągać.

Do bractwa na Niżu nikt nie mógł być jako towarzysz przyjęty, kto porohów samotnie czołnem nie przebył, ale dla Nienasytca czyniono wyjątek, gdyż skały jego nigdy nie bywały zalewane. O jednym Bohunie ślepcy śpiewali, jakoby i przez Nienasytec się przekradł, wszelako nie dawano temu wiary.

Przeciąganie czołen zajęło blisko dzień czasu i słońce poczęło zachodzić, gdy namiestnik wsiadł znów do lo-

dzi. Zato następne porohy przebyli z łatwością, bo całym były pokryte, i wreszcie wpłynęli na „ciche wody niżowe“.

Po drodze widział pan Skrzetuski na uroczyszczu kuczkasów olbrzymią mogiłę z białych kamieni, którą księżę na pamiątkę swego pobytu kazał usypać, a o której pan Bogusław Maszkiewicz w Łubniach mu opowiadał. Do Siczy stąd nie było już daleko, ale że namiestnik nie chciał nocą wjeżdżać w czertomelicki labirynt, postanowił więc zanocować na Chortycy.

Chciał także spotkać jaką żywą duszę zaporoską i dać uprzednio znać o sobie, by wiadano, iż posel, a nie kto inny przyjeżdża. Chortycyca jednak zdawała się być pustą, co niemało zdziwiło namiestnika, wiedział bowiem od Grodzickiego, że tam zawsze stawała załoga kozacka od inkursyi tatarskiej. Puścił się nawet sam z kilkoma ludźmi dość daleko od brzegu na zwiady, ale całej wyspy przejść nie mógł, miała bowiem przeszło milę długości, a noc zapadała już ciemna i niezbyt pogodna, wrócił więc do czajek, które tymczasem powyciągano na piasek i porozpalano ognie na nocleg od komarów.

Większa część nocy zeszła spokojnie. Semenowie i przewodnicy pospili się przy ogniach — czuwały tylko strażę, a z nimi i namiestnik, którego od wyjazdu z Kudaku dręczyła straszna bezsenność. Czuł także, że trawi go gorączka. Chwilami zdawało mu się, że słyszy zbliżające się kroki z głębi wyspy, to znów jakieś dziwne odgłosy, podobne do odległego beczenia kóz. Ale myślał, że ucho go zwodzi.

Nagle, dobrze już ku świtaniu, stanęła przed nim jakaś ciemna postać.

Był to czeladnik ze straży.

— Panie, idą! — rzekł pośpiesznie.

— Kto taki?

— Pewnie niżowi: idzie ich ze czterdziestu.

— Dobrze. To niewielu. Zbudź ludzi! Ognia podpalic!

Semenowie wnet porwali się na nogi. Podsycony płomień buchnął w górę i oświecił czajki i garść żołnierzy namiestnika. Inni strażnicy przybiegli również do koła.

Tymczasem nieregularne kroki gromady ludzi dały się już rozróżnić wyraźnie, kroki te zatrzymały się w pewnym oddaleniu; natomiast jakiś głos spytał z akcentem groźby:

— A kto na brzegu?

— A wy kto? — odparł wachmistrz.

— Odpowiadaj, wraży synu, a nie, to z samopału zapytam!

— Jego wysokość pan poseł od J. O. księcia Jeremiego Wiśniowieckiego do atamana kozowego — wygłosił donośnie wachmistrz.

Głosy w gromadzie umilkły; widocznie trwała tam krótka narada.

— A chodź jeno sam tu! — zawołał wachmistrz; — nie bój się. Posłów nie biją, ale i posły nie biją!

Kroki znów ozwały się i po chwili kilkadziesiąt postaci wynurzyło się z cienia. Po śniadej cerze, niskim wzroście i kożuchach wełną do góry, namiestnik od pierwszego wejrzenia poznał, że po większej części byli to Tatarzy; kozaków znajdowało się tylko kilkunastu. Przez głowę pana Skrzetuskiego przeleciała jak błyska-

wica myśl, że skoro Tatarzy są na Chortycy, więc Chmielnicki musiał już wrócić z Krymu.

Na czele gromady stał stary zaporoziec olbrzymiego wzrostu, o twarzy dzikiej i okrutnej. Ten, zbliżywszy się do ogniska, spytał:

— A który tu poseł?

Silny zapach gorzałki rozszedł się dookoła — zaporoziec był widocznie pijany.

— Który tu poseł? — powtórzył.

— Jam jest — rzekł dumnie pan Skrzetuski.

— Ty?

— A cóżem ci brat, że mnie „ty“ mówisz?

— Znaj grubijanie politykę — poderwał wachmistrz — mówi się: Jasnie wielmożny pan poseł!

— Na pohybelże wam, czortowy syny! szc zob was Sierpiachowa smert! jasno wielmożny syny. A wy poco do atamana?

— Nie twoja sprawa! wiedz jeno, że szyja twoja w tem, bym się do atamana najprędzej dostał.

W tej chwili drugi zaporoziec wysunął się z gromady.

— My tu z woli atamana — rzekł — pilnujem, by się nikt od „Lachiw“ nie zbliżał, a kto się zbliży, mamy wiązać i dostawiać, co też uczynim.

— Kto dobrowolnie jedzie, tego nie będziesz wiązał.

— Budu, bo takij nakaz.

— A wiesz, chłopie, co to osoba posła? a wiesz kogo tu przedstawiam?

W tem stary olbrzym przerwał:

— Zawedem posła, ale za borodu — ot tak!

To rzekłszy, sięgnął ręką do brody namiestnika.

Ale w tej chwili jęknął i, jakby gromem rażony, zwałił się na ziemię.

Namiestnik roztrzaskał mu głowę czekanem.

— Koli, koli! — zawyły wściekle głosy w gromadzie. — Semenowie książęcy sypnęli się na ratunek swego wodza; huknęły samopały, wrzaski: „koli! koli!“ zlały się ze szczękiem żelaza. Wszczęła się bitwa bezładna. Zdeptane w zamieszaniu ogniska zgasły i ciemność ogarnęła walczących. Wkrótce jedni i drudzy zwarli się tak, że zabrakło miejsca do cięcia, a noże, pięści i zęby zastąpiły szable.

Nagle z głębi wyspy ozwały się liczne, nowe nawoływania i krzyki; napastnikom nadchodziła pomoc.

Chwila jeszcze, a byłaby przyszła zapóźno, gdyż karni semenowie brali już górę nad ciżbą.

— Do czólen! — krzyknął grzmiącym głosem namiestnik.

Pocztowi wykonali rozkaz w mgnieniu oka. Na nieszczęście czajki, zbyt silnie wciągnięte na piasek, nie dawały się teraz zepchnąć w wodę.

Tymczasem nieprzyjaciół skoczył z furją ku brzegowi.

— Ognia! — skomenderował pan Skrzetuski.

Salwa z muszkietów wnet powstrzymała napastników, którzy mieszały się, skłębili i cofnęli w nieładzie, zostawiając kilkanaście ciał rozciągniętych na piasku; niektóre z tych ciał rzucały się konwulsyjnie, naksztalt ryb wyłowionych z wody i porzuconych na brzegu.

Jednocześnie przewoźnicy, wspomagani przez kilkunastu semenów, wsparłszy wiosła o ziemię, dobywali ostatnich sił, by zepchnąć statki na wodę — ale napróżno.

Nieprzyjaciół rozpoczął atak z daleka. Pluskanie kul

po wodzie zmieszało się ze świstem strzał i jękami rannych.

Tatarzy, allachując coraz przeraźliwiej, zachęcali się wzajemnie; odpowiadały im krzyki kozaków: „koli! koli!” i spokojny głos pana Skrzetuskiego, powtarzający coraz częściej komendę:

— Ognia!

Pierwszy brzask oświecił bladym światłem walkę. Od strony lądu widać było ciżbę kozacką i Tatarów, jednych z twarzami przy kolbach *piszczeli*, drugich przegiętych w tył i ciągnących ciężki luków — od strony wody dwie czajki dymiące i świecące ustawicznymi salwami wystrzałów. W środku leżały ciała, spokojnie już poroziągane po piasku.

W jednym z członów stał pan Skrzetuski, wyższy nad innych, dumny, spokojny, z porucznikowskim buzdyanem w rękę i z gołą głową, bo mu strzała tatarska zerwała czapkę.

Wachmistrz zbliżył się ku niemu i szepnął:

— Panie, nie wytrzymamy — kupa za wielka!

Ale namiestnikowi chodziło już o to tylko, by poselstwo swoje krwią przypieczętować, pohańbienia godności nie dopuścić i zginąć nie bez sławy. Dlatego też, podczas gdy semenowie poczynili sobie z worów z żywnością rodzaj zasłon, z poza których razili nieprzyjaciela, on stał widny i na pociski wystawiony.

— Dobrze! — rzekł — wyginem do ostatniego.

— Wyginem, batku! — krzyknęli semenowie.

— Ognia!

Czajki znów zadymiły. Z głębi wyspy poczęły napływać nowe tłumy zbrojne w spisy i koły. Napastnicy rozdzielili się na dwie kupy. Jedna podtrzymywała ogień,

druga złożona z dwustu przeszło molojców i Tatarów czekała tylko chwili stosownej do ręcznego ataku. Jednocześnie z szuwarów wyspy wysunęły się cztery czółna, które miały uderzyć na namiestnika z tyłu i z obu boków.

Zrobiło się już widno zupełnie. Dymy tylko porozciągały się długimi pasmami w spokojnem powietrzu i przesłaniały pobojuwisko.

Namiestnik kazał zwrócić się dwudziestu semenom ku atakującym statkom, które, gnane wiosłami, pędziły z chyżością ptactwa po spokojnej wodzie rzecznej. Ogień, skierowany ku Tatarom i kozakom, idącym z głębi wyspy, osłabił przez to znacznie.

Tego też zdawali się czekać.

Wachmistrz znów zbliżył się ku namiestnikowi.

— Panie! Tatarzy biorą handzary w zęby; zaraz rzucą się na nas.

Jakoż trzystu blisko ordyńców z szablami w rękę, z nożami w zębach, gotowało się do ataku. Towarzyżyło im kilkudziesięciu zaporozców zbrojnych w kosy.

Atak miał się rozpocząć ze wszystkich stron, bo napastnicze czółna przyplęły już na strzał. Boki ich zakwitły dymami. Kule jak grad poczęły się sypać na ludzi namiestnika. Obie czajki napełniły się jękami. Po upływie kilkunastu minut połowa semenów poległa, reszta bronila się jeszcze rozpaczliwie. Twarze ich były zczerniałe od dymu, ręce ustawały, wzrok mącił się, krew zalewała oczy, rury muszkietów poczynaly parzyć dłonie. Większa część była rannych.

W tej chwili wrzask straszny i wycie rozdarło powietrze. To ordyńcy ruszyli do ataku.

Dymy, spędzone ruchem masy ciał, rozproszyły się nagle i odsłoniły oczom dwie czajki namiestnika, po-

kryte czarniawym tłumem Tatarów, niby dwa trupy końskie, rozdierane przez stada wilków. Tłum ten parł, kotłował się, wyl, wspinał, zdawał się walczyć sam ze sobą i ginął. Kilkunastu semenów dawało jeszcze odpór, a pod masztem stał pan Skrzetuski, z zakrwawioną twarzą, ze strzałą utkwioną aż po brzechwę w lewym ramieniu, i bronił się z wściekłością. Postać jego wydawała się olbrzymią wśród otaczającego go tłumu, szabla migotała jak błyskawica. Uderzeniom odpowiadały jęki i wycie. Wachmistrz z drugim semenem pilnowali mu obu boków i tłum cofał się chwilami z przerażeniem przed tą trójką, ale pchany z tyłu, pchał się sam i marł pod ciosami szabel.

— Żywych brać do atamana — wrzeszczały głosy w tłumie. — Poddaj się!

Ale pan Skrzetuski poddawał się już tylko Bogu, bo oto pobladł nagle, zachwiał się i runął na dno statku.

— Proszczaj bat'ku! — ryknął z rozpaczą wachmistrz.

Ale po chwili padł także. Ruchliwa masa napastników pokryła czajki zupełnie.

ROZDZIAŁ XI.

W chacie kantarzeja ¹⁾ wojskowego, na przedmieściu Hassan Basza w Siczy, siedziało przy stole dwóch zaporozców, pokrzepiając się palanką z prosa, którą czerpali ustawicznie z drewnianego szaflika, stojącego na środku stołu. Jeden, stary, już prawie zgrzybiały, był to Fylyp Zachar, sam kantarzej, drugi Anton Tatarczuk, ataman czechryńskiego kurzenia, człowiek około lat czterdziestu, wysoki, silny, z dzikim wyrazem twarzy i skośnymi tatarskimi oczyma. Obaj mówili z sobą z cicha, jakby w obawie, żeby ich kto nie podsłuchał.

— Więc to dziś? — spytał kantarzej.

— Ledwie nie zaraz — odpowiedział Tatarczuk. — Czekają tylko na koszowego i Tuhaj-beja, który z samym Chmielem pojechał na Bazawłuk, bo tam stoi orda. Towarzystwo zebrało się już na majdanie, a kurzeniowi jeszcze przed wieczorem zbiorą się na radę. Nim noc nastanie, będzie wszystko wiadomo.

¹⁾ Urzędnik wojskowy na Zaporozżu, czuwający nad miarami i wagami w kramach, znajdujących się na tak zwanym Kramnym Bazarze w Siczy.

— Hm! może być źle! — mruknął stary Fylyp Zachar.

— Słysz, kantarzeju, a ty wiedział, że było pismo i do mnie?

— Juści wiedziałem, bom sam listy odnosił do koszowego, a jam człowiek piśmienny. Znaleźli przy Lachu trzy pisma; jedno do samego koszowego, drugie do ciebie, trzecie do młodego Barabasza. Wszyscy już w Siczy wiedzą o tem.

— A kto pisał? nie wiesz?

— Do koszowego pisał ksiązę, bo na liście była pieczęć; kto do was, niewiadomo.

— Sochroni Bih!

— Jeślić cię tam jawnie przyjacielem Lachów nie nazywają, to nic nie będzie.

— Sochroni Bih! — powtórzył Tatarczuk.

— Widać się poczuwasz.

— Tfu! Do niczego się nie poczuwam.

— Może też koszowy wszystkie listy skręci, bo mu i o własny łeb chodzi. Było tak dobrze do niego pismo, jak do was.

— A może.

— Ale jeśli się poczuwasz, to...

Tu stary kantarzej zniżył głos jeszcze bardziej:

— Uchodź!

— Ale jak? i gdzie? — pytał niespokojnie Tatarczuk. — Koszowy na wszystkich ostrowach straż postawił, żeby się nikt do Lachów nie wymknął, i nie dał znać, co się dzieje. Na Bazawłuku pilnują Tatarzy. Ryba się nie przecisnie, ptak nie przeleci.

— To się skryj w samej Siczy, gdzie możesz.

— Znajdą. Chyba ty mnie schowasz między beczkami w bazarze? ty mój krewniak!

— I brata rodzonego nie chowałbym. Boisz się śmierci, to się upij; pijany ani poczujesz.

— A może w listach nic niema?

— Może...

— Ot bieda! ot bieda! — rzekł Tatarczuk. — Nie czuję się do niczego. Ja dobry młojec, Lachom wróg. Ale choćby i nic w liście nie było, czort wie, co Lach powie przed radą? Może mnie zgubić.

— To serdyty Lach; on nic nie powie!

— Bylesz dziś u niego?

— Bylem. Pomazałem mu rany dziegciem; nalałem gorzałki z popiołem w gardło. Będzie zdrow. To serdyty Lach! Mówią, że Tatarów narznął na Chortycy, nim go wzięli, jak świń. Ty o Lacha bądź spokojny.

Ponury odgłos kotłów, w które bito na koszowym majdanie, przerwał dalszą rozmowę. Tatarczuk, usłyszawszy ten odgłos, drgnął i zerwał się na równe nogi. Nadzwyczajny niepokój malował się w jego twarzy i ruchach.

— Biją wezwanie na radę — rzekł, lowiąc ustami oddech. — Sochroni Bih! Ty, Fylyp, nie mów, o czym ja z tobą tu gadał. Sochroni Bih!

To rzekłszy, Tatarczuk chwycił szaflik z palanką, przechylił go obiema rękami do ust i pił, pił, jakby chciał się na śmierć zapić.

— Chodźmy! — rzekł kantarzej.

Odgłos kotłów huczał coraz donośniej.

Wyszli. Przedmieście Hassan Basza oddzielone było od majdanu tylko wałem opasującym kosz właściwy i bramą z wysoką basztą, na której widać było paszcze zatoczonych dział. W środku przedmieścia stał dom kantarzeja i chaty atamanów kramnych, naokół zaś dość

obszernego placu szopy, w których mieściły się kramy. Były to wogóle nędzne budowle, klecone z bierwion dębowych, których w obfitości dostarczała Chortyca, a posyte gałęziami i oczeretem. Same chaty, nie wyłączając kantarzejowej, podobniejsze były do szałasów, bo tylko dachy ich wznosiły się nad ziemią. Dachy te były czarne i zakopcone, gdyż jeżeli w chacie palono ogień, dym wydobywał się nie tylko górnym otworem dachu, ale i przez całe poszycie, a wówczas można było mniemać, że to nie chata, jeno kupa gałęzi i oczeretów, w której wytapiają smołę. W chatach panowała wieczna ciemność, dlatego podtrzymywano w nich ustawicznie ogień z łuczywa i ze skarp dębowych. Szop kramnych było kilkadziesiąt i dzieliły się na kurzeniowe, to jest stanowiące własność pojedynczych kurzeniów i gościnne, w których w chwilach spokoju handlowali niekiedy Tatarzy i Wołosi, jedni skórami, tkaninami wschodnimi, bronią i wszelkiego rodzaju zdobyczą, inni przeważnie winem. Ale gościnne kramy rzadko były zajęte, gdyż kupno zmieniało się najczęściej w tem dzielnym gnieździe na rabunek, od którego kantarzej, ani kramni atamanowie, nie mogli tłumów powstrzymać. Między szopami stało także trzydzieści ośm szynków kurzeniowych, a przed nimi leżeli zawsze wśród śmieci, wiórów, kłód dębowych i kup końskiego nawozu półmartwi z przepicia się zaporozcy, jedni w kamiennym śnie pogrążeni, drudzy z pianą na ustach, w konwulsjach lub atakach delirium. Inni półpijani, wyjąc kozackie pieśni, spluwając, bijąc się lub całując, przeklinając kozaczy los, lub płacząc na kozaczą biedę, deptali po głowach i piersiach leżących. Dopiero z chwilą, gdy wyruszała jaka wyprawa na Tatarów lub Ruś, nakazywano trzeźwość

i wówczas należących do wyprawy śmiercią karano za pijaństwo. Ale w zwykłych czasach, zwłaszcza na Kramnym bazarze, prawie wszyscy byli pijani: kantarzej i atamanowie kramni, sprzedający i kupujący. Kwaśny zapach nieszumowanej wódki, w połączeniu z zapachem smoły, ryb, dymu i końskich skór, nasyczał wiecznie powietrze na całym przedmieściu, które wogóle pstrocizną kramów, przypominało jakąś mieścinę turecką lub tatarską. Sprzedawano w nich wszystko, co się gdziekolwiek w Krymie, na Wołoszczyźnie lub wybrzeżach anatolskich dało zrabować. Więc jaskrawe tkaniny wschodnie, lamy, altembasy, złotogłowa, sukno, cyc, drelich i płótno, potrzaskane działa śpiżowe i żelazne, skóry, futra, suszoną rybę, wiśnie i bakalie tureckie, naczynia kościelne, mosiężne półksiężycy złupione z minaretów i pozłacane krzyże zdarte z cerkwi¹⁾, proch i broń sieczną, kije do spis i siodła. A między tą mieszaniną przedmiotów i barw kręcili się ludzie, poprzebierani w szczałki najrozmaitszej odzieży, latem półnaczy, zawsze półdzicy, okopceni od dymu, czarni, uwalani w błocie, pełni ciekących ran od ukąszeń olbrzymich komarów, których miryady unosiły się nad Czertomelikiem, i jako się rzekło wyżej: wiecznie pijani.

W tej chwili całe Hassan Basza jeszcze pełniejsze było ludzi, niż zwykle; zamykano bramy i szynki, wszyscy zaś śpieszyli na majdan siczowy, na którym

¹⁾ Zaporozcy w czasie swych napadów nie oszczędzali nikogo i niczego. Do czasów Chmielnickiego nie było wcale cerkwi w Sicz. Pierwszą właśnie Chmielnicki wystawił; nie pytano tam również nikogo o wyznanie i to, co opowiadają o religijnym nastroju niżowców, jest bajką.

miała się odbywać rada. Fylyp Zachar i Anton Tatarczuk szli z innymi, ale ten ostatni ociągał się, szedł leniwo i pozwalał się wyprzedzać tłumom. Coraz żywszy niepokój malował się w jego twarzy. Tymczasem przeszli przez most na fosie, następnie przez bramę i znaleźli się na obszernym obronnym majdanie, otoczonym przez trzydzieści ośm wielkich drewnianych budynków. Były to kurzenie, a raczej domy kurzeniowe, rodzaj koszar wojskowych, w których mieszkali kozacy. Kurzenie owe, jednej wielkości i miary, niczem nie różniły się od siebie, chyba nazwami przybranymi od rozmaitych miast ukraińskich, od których brały nazwę także i pułki. W jednym kącie majdanu wznosił się dom radny; zasiadali w nim atamani pod wodzą koszowego, tłumy zaś, czyli tak zwane „towarzystwo” obradowało pod gołym niebem, wysyłając co chwilę deputacje do starszyny, a czasem wdzierając się gwałtem do radnego domu i terroryzując obrady.

Na majdanie ciżba już była ogromna, poprzednio bowiem ataman koszowy pościągał do Siczy wszystkie wojska rozproszone po wyspach, rzeczkach i „ługach”, *towarzystwo* zatem było liczniejsze, niż zwykle. Słońce kłoniło się ku zachodowi, więc wcześniej zapalono kilkanaście beczek ze smołą; tu i owdzie stały także beczki z wódką, które każdy kurzeń dla siebie wytaczał, a które niemało dodawały energii obradom. Porządku między kurzeniami pilnowali esaulowie, zbrojni w tęgie kije dębowe, dla hamowania obradujących, i w pistolety, dla obrony własnego życia, które często bywało w niebezpieczeństwie.

Fylyp Zachar i Tatarczuk weszli prosto do domu obrad, gdyż jeden jako kantarzej, drugi jako ataman

kurzeniowy mieli prawo zasiadać między starszyzną. W izbie radnej był tylko jeden mały stół, przed którym siedział pisarz wojskowy. Atamanowie i koszowy mieli swoje miejsca na skórach pod ścianami. Ale w tej chwili miejsca nie były jeszcze zajęte. Koszowy chodził wielkimi krokami po izbie, kurzeniowi zaś, zebrani w małe gromadki, rozmawiali z cicha, przerywając sobie kiedy niekiedy głośniejszemi klątwami. Tatarczuk zauważył, że znajomi nawet i przyjaciele udają, iż go nie widzą, zbliżył się przeto zaraz do młodego Barabasz, który mniej więcej w takim samem był położeniu. Inni spoglądali na nich z podelbów, z czego młody Barabasz niewiele sobie robił, nie rozumiejąc dobrze, o co idzie. Był to człowiek wielkiej piękności i nadzwyczajnej siły, której jedynie zawdzięczał swój stopień kurzeniowego atamana, bo zresztą słynął w całej Siczy ze swej głupoty. Zjednała mu ona przydomek Durnego atamana i przywilej budzenia śmiechów każdym słowem między starczyzną.

— Poczekawszy trochę, taj może i pójdziem z kamieniem u szyi w wodę! — szepnął mu Tatarczuk.

— A poco? — spytał Barabasz.

— A to nie wiesz o listach?

— Trastia joho maty mordowała! Czy to ja pisałem jakie listy?

— Obacz jak spoglądają na nas z podelbów.

— Kolyb ja kotroho o leb, toby nie patrzył, boby mu ślepie wypłynęły.

Tymczasem krzyki z zewnątrz dały znać, że coś zaszło. Jakoż drzwi izby radnej otwarły się szeroko i wszedł Chmielnicki z Tuhaj-bejem. Ich to witano tak radośnie. Kilka miesięcy temu, Tuhaj-bej, jako najwa-

leczniejszy z murzów i postrach niżowców, był przedmiotem strasznej nienawiści w Siczy — teraz „towarzystwo“ rzucało czapki w górę na jego widok, uważając go jako dobrego przyjaciela Chmielnickiego i zaporozców.

Tuhaj-bej wszedł naprzód, a za nim Chmielnicki z buławą w rękę, jako hetman wojsk zaporoskich. Godność tę piastował od czasu, jak wrócił z Krymu, z wyjednanymi od chana posiłkami. Tłumy porwały go wówczas na ręce i odbiwszy skarbnicę wojskową, przyniosły mu buławę, chorągiew i pieczęć, które zwykle przed hetmanem noszono. To też zmienił się niemało. Widać było, że nosił w sobie straszliwą siłę całego Zaporozża. Nie był to już Chmielnicki pokrzywdzony, uciekający na Sicz przez Dzikie pola, ale Chmielnicki hetman, krwawy duch, olbrzym, mściciel własnej krzywdy na milionach.

A jednak nie zerwał łańcuchów, włożył tylko nowe, cięższe. Widać to było z jego stosunku z Tuhaj-bejem. Ten hetman Zaporozża w sercu Zaporozża brał drugie miejsce za Tatarem, znosił w pokorze jego dumę i pogardliwe nad wszelki wyraz obejście. Był to stosunek lennika do zwierzchniego pana. Ale tak musiało być. Chmielnicki cały swój kredyt u kozaków zawdzięczał Tatarom i lasce chanowej, której przedstawicielem był dziki i wściekły Tuhaj-bej. Ale Chmielnicki umiał godzić dumę rozsadzającą mu pierś z pokorą, tak dobrze, jak odwagę z chytrnością. Był to lew i lis, orzeł i wąż. Pierwszy to raz od początku kozaczyzny, Tatar poczynał sobie jak pan w środku Siczy — ale takie czasy przyszły. „Towarzystwo“ rzucało przecie czapki w górę na widok pohańca. Takie czasy nadeszły.

Narada się rozpoczęła. Tuhaj-bej zasiadł w środku, na grubszym pęku skór, i podwinąwszy nogi, począł gryźć suszone ziarnka słoneczników i wypluwać żółte skorupki przed siebie na środek izby. Po prawej jego stronie zasiadł Chmielnicki z buławą, po lewej kozzowy, a ataman i deputacya od „towarzystwa“ dalej pod ścianami. Uciszyły się rozmowy, z zewnątrz tylko przychodził gwar i głuchy szum tłuszczy, obradującej pod gołem niebem, podobny do szumu fal. Chmielnicki począł mówić ¹⁾:

— Mości panowie! Z łaski, przychylności, i „dyskrecyi“ najjaśniejszego carza krymskiego, pana wielu ludów, pokrewnego ciałom niebieskim, z pozwolenia miłościwego króla polskiego Władysława, naszego pana, i dobrej ochoty odważnych wojsk zaporoskich, ufni w naszą niewinność i sprawiedliwość Bożą, idziemy pomścić strasznych i okrutnych krzywd naszych, które po chrześcijańsku cierpieliśmy, pókiśmy mogli, od nieszczerých Lachów, komisarzy, starostów i ekonomów, całej szlachty i żydów. Nad któremi krzywdami jużście mości panowie i całe wojsko zaporoskie wiele łez wyleli i mnie dlatego buławę dali, abym się za niewinność naszą i całych wojsk snadniej mógł upominać. Co ja uważając za wielką łaskę mości panów dobrodziei moich, najjaśniejszego carza o pomoc prosić jechałem, którą nam ofiarował. Ale będąc w gotowości i ochocie, niemalom się zasmucił, słysząc, iż mogą być między nami zdrajcy. którzy z nieszczerými Lachami w komitywę wchodzą i o naszej gotowości im donoszą — co jeśliby tak było.

¹⁾ Sposób obradowania na Siczy, opisany jest w dyaryuszu Eryka Lassoty, posła cesarskiego na Zaporozie w r. 1594.

tedy ukarani być mają wedle woli i dyszkrecyi mości panów. A my prosim, abyscie listów wysłuchali, które tu poseł od *niedruga* naszego, księcia Wiśniowieckiego przywiózł, nie poslem, ale szpiegiem będąc i gotowość naszą i dobrą ochotę Tuhaj-beja naszego przyjaciela chcąc podpatrzeć i przed Lachami zdradzić. Co, abyscie także osądzili, jeśli ma być ukarany, jak i ci, do których listy przywiózł, a o których koszowy, jako wierny przyjaciel mój, Tuhaj-beja i całego wojska, zaraz nas uwiadomił.

Chmielnicki umilkł; gwar za oknami powiększał się coraz bardziej, więc pisarz wojskowy wstał i zaczął czytać naprzód pismo książęce do koszowego atamana, zaczynające się od słów: „My po Bożej myłości, książę i hospodyn na Łubniach, Chorolu, Przyłuce, Hadziaczu etc., wojewoda ruski etc., starosta etc.“ Pismo było czysto urzędowe. Książę, zasłyszawszy, iż wojska z „Ługów“ są ściągane, pytał atamana, czyby to była prawda, i wzywał go zarazem, aby tego dla spokojności krajów chrześcijańskich zaniechał. Chmielnickiego zaś, jeśliby Sicz podburzał, aby komisarzom wydał, którzy sami się o to upomną. Drugi list był pana Grodzickiego, również do wielkiego atamana, trzeci i czwarty Zaćwilichowskiego i starego pułkownika czerkaskiego do Tatarczuka i Barabasza. We wszystkich nie znajdowało się nic, coby mogło podawać w podejrzenie osoby, do których były adresowane. Zaćwilichowski prosił jedynie Tatarczuka, aby zaopiekował się oddawcą listu, i aby ułatwił mu wszystko, czegoby poseł zażądał.

Tatarczuk odetchnął.

— Co mówicie, mości panowie, o tych pismach?—
spytał Chmielnicki.

Kozacy milczeli. Wszelkie obrady, dopóki wódka nie rozgrzała głów, zaczynały się zawsze w ten sposób, iż żaden z atamanów nie chciał pierwszy głosu zabrać. Jako ludzie prości a chytry, czynili to głównie z obawy wyrwania się z głupstwem, któreby mogło wnioskodawcę na śmiech narazić, lub zjednać mu na całe życie szyderczy przydomek. Bo tak i było w Siczy, gdzie wśród największego prostactwa, zmysł do przedrwiwania niesłychanie był rozwinięty, również jak obawa przed szyderstwem.

Kozacy tedy milczeli. Chmielnicki znowu głos zabrał:

— Ataman koszowy, brat nasz i szczerzy przyjaciel. Ja atamanowi tak wierzę, jak duszy własnej, a kto by co innego powiadał, ten by sam zdradę zamyślał. Ataman stary druh i żołnierz.

To rzekłszy, wstał i ucałował koszowego.

— Mości panowie! — rzekł na to koszowy — ja wojska ściągam, a hetman niech prowadzi; co do posła, kiedy go do mnie przysłali, to on mój, a kiedy mój, to wam go daruję.

— Wy, mości panowie deputacya, pokłońcie się atamanowi — rzekł Chmielnicki — bo on sprawiedliwy człowiek, i idźcie powiedzieć „towarzystwu“, że jeśli kto jest zdrajca, to nie on zdrajca; on pierwszy strażę postawił, on sam kazał łapać zdrajców, coby do Lachów szli. Wy panowie-deputacya powiedzcie, że nie on zdrajca, że on najlepszy z nas wszystkich.

Panowie - deputacya pokłonili się w pas naprzód Tuhaj-bejowi, który przez cały czas z największą obojętnością żuł swoje ziarenka słoneczników, następnie Chmielnickiemu, koszowemu — i wyszli z izby.

Po chwili wrzaski radosne za oknami dały znać, że deputacya spełniła polecenie.

— Niech żyje nasz koszowy! niech żyje koszowy! — wołały chrapliwe głosy z taką siłą, że aż ściany izby zdawały się drżeć w posadach.

Jednocześnie huknęły wystrzały z samopalów i piszczeli.

Deputacya wróciła i znowu zasiadła w kącie izby.

— Mości panowie! — rzekł Chmielnicki, gdy uciszyło się cokolwiek za oknami. — Już wy mądrze osądzili, że koszowy ataman człowiek sprawiedliwy. Ale jeśli ataman nie zdrajca, to kto zdrajca? Kto ma przyjaciół między Lachami, z kim oni w konszachty wchodzi, do kogo listy pisują? komu osobę posła zlecają? kto zdrajca?

To mówiąc, Chmielnicki podnosił głos coraz wyżej i strzygł złowrogo oczyma w stronę Tatarczuka i młodego Barabasa, jakby chciał ich wskazać wyraźnie. W izbie powstał szmer, kilka głosów poczęło wołać: „Barabas i Tatarczuk!“ Niektórzy kurzeniowi postali z miejsc, między deputacyą dały się słyszeć wołania: „na pohibel!“

Tatarczuk zbladł, a młody Barabas począł spoglądać zdumionemi oczyma po obecnych. Leniwa myśl jego silła się przez niejaki czas odgadnąć, za co go oskarżają, nakoniec rzekł:

— Ne bude sobaka miasa isty!

To rzekłszy, wybuchnął śmiechem idyoty, a za nim i inni. I nagle większa część kurzeniowych poczęła się śmiać dziko, sama nie wiedząc dlaczego.

Z za okna dochodziły krzyki coraz głośniejsze; wi-

dać tam wódka poczęła rozgrzewać już głowy. Szum fali ludzkiej potężniał z każdą chwilą.

Ale Anton Tatarczuk wstał i zwróciwszy się do Chmielnickiego, począł mówić:

— Co ja wam zrobił, mości hetmanie zaporoski, że na śmierć moją nastajecie? W czym ja wam winien? Pisał do mnie komisar Zaćwilichowski list — taj co? To i kniaź pisał do koszowego! A czy ja odebrał list? Nie! A jakby odebrał, tak coby zrobił? Ot poszedłby do *pysara* i kazałby sobie przeczytać, *bo ni pisaty, ni czytaty ne umiju*. I wyby zawsze wiedzieli, co w liście. A Lacha ja i na oczy nie widział. Tak czy ja zdrajca? Hej, bracia zaporoscy, Tatarczuk chodził z wami do Krymu, a jak chodzili na Wołoszę, to chodził na Wołoszę; jak chodzili pod Smoleńsk, to chodził pod Smoleńsk, bił się z wami, dobrymi mołojcami, żył z wami, dobrymi mołojcami — i krew przelewał z wami, dobrymi mołojcami — i głodem marł z wami, dobrymi mołojcami, tak on nie Lach, nie zdrajca, ale kozak, wasz brat, a jeśli pan hetman na śmierć jego nastaje, to niech powie, czemu nastaje! Co ja mu zrobił, w czym nieszczerłość okazał? — a wy, bracia, pomilujcie i sądźcie sprawiedliwie!

— Tatarczuk dobry mołojec! Tatarczuk sprawiedliwy człowiek! — ozwało się kilka głosów.

— Ty Tatarczuk dobry mołojec — rzekł Chmielnicki — i ja na ciebie nie nastaję, boś ty mój druh i nie Lach, ale kozak, nasz brat. Bo gdyby Lach był zdrajca, to jabym się nie smucił i nie płakał, ale jeśli dobry mołojec zdrajca, mój druh zdrajca, to mnie ciężko na sercu i żal dobrego mołojca. A skoroś w Krymie i na Wołoszy i pod Smoleńskiem bywał, to jeszcze więk-

szy twój grzech, żeś teraz nieszczerze chciał gotowość i ochotę wojsk zaporoskich przed Lachem zdradzić! Tobie pisali, byś ty mu ułatwił, czegooby zażądał, a powiedzcie, mości panowie atamani, czegooby Lach mógł żądać? Czy nie śmierci mojej i mojego życzliwego przyjaciela Tuhaj-beja? Czy nie zguby wojsk zaporoskich? Tak, ty Tatarczuk winien i już niczego innego nie dokążesz. A do Barabasza pisał stryj jego, pułkownik czerkaski, Czaplinskiemu druh i Lachom druh, któren przywileje u siebie chował, by ich wojsko zaporoskie nie dostało, co gdy tak jest, a klęę się Bogiem, że nie inaczej jest, więc wy oba winni i proście pomilowania atamanów, a ja z wami prosić będę, chociaż ciężka wasza wina i zdrada jawna.

Tymczasem z za okna dochodził już nie szum i gwar, ale jakby loskot jaki burzy. Towarzystwo chciało wiedzieć, co się dzieje w izbie radnej, i wysłało nową deputacyę.

Tatarczuk poczuł, że jest zgubiony. Teraz przypomniał sobie, że tydzień temu przemawiał wśród atamanów przeciw oddaniu buławy Chmielnickiemu i przymerzu z Tatarami. Zimne krople potu wystąpiły mu na czoło: zrozumiał, że już niema ratunku. Co do młodego Barabasza, jasnym było, iż gubiąc go, Chmielnicki chciał zemścić się nad starym pułkownikiem czerkaskim, któren synowca swego kochał głęboko. Jednakże Tatarczuk nie chciał umierać. Nie bladłby on przed szablą, przed kulą, nawet przed palem — ale śmierć taka, jaka go czekała, przerażała go do szpiku kości, więc korzystając z chwili ciszy, która zapanowała po słowach Chmielnickiego, krzyknął przeraźliwe:

— Na imię Chrystal bracia atamany, druhy ser-

deczne, nie gubcie niewinnego, toż ja Lacha nie widział, nie gadał z nim! Pomilujcie bracia! Nie wiem, czego by Lach ode mnie chciał, spytajcie go sami! Ja klnę się Chrystem, Spasem, Świętą Przczystą, Świętym Mikołajem cudotwórcą, Świętym Michałem Archaniołem, że duszę niewinną zgubicie!

— Przyprować Lacha! — zawołał starszy kantarzej.

— Lacha tu, Lacha! — wołali kurzeniowi.

Wszczęło się zamieszanie; jedni rzucili się do przyległej izby, w której więzień był zamknięty, by przywieść go przed radę, inni zbliżali się groźnie do Tatarczuka i Barabasza. Pierwszy Hładki, ataman mirgorodzkiego kurzenia, krzyknął: „na pohybel!“ Deputacya powtórzyła okrzyk, Czarnota zaś skoczył ku drzwiom i otworzywszy je, wołał do zgromadzonego tłumu:

— Mości panowie towarzystwo, Tatarczuk zdrajca i Barabasz zdrajca — na pohybel im!

Tłuszcza odpowiedziała wyciem straszliwem. W izbie wszczęło się zamieszanie. Wszyscy kurzeniowi powstali ze swych miejsc. Jedni wołali: „Lacha! Lacha!“ inni starali się rozruch uciszyć, a wtem drzwi pod naciskiem tłumu roztworzyły się na oścież i do środka wpadła tłuszcza obradująca na dworze. Straszliwe postacie, upojone wściekłością, napelniły izbę, wrzeszcząc, wywijając rękoma, zgrzytając zębami i zionąc zapach gorzalki: „Smert Tatarczuku! i Barabasz na pohybel! Dawajcie zdrajców! na majdan z nimi!“ krzyczały pijane głosy. „Bij! ubij!“ i setki rąk wyciągnęły się w tej chwili po nieszczęsne ofiary. Tatarczuk nie stawiał oporu, jęczał tylko przeraźliwie, ale młody Barabasz począł bronić się ze straszną siłą. Zrozumiał nakoniec, że go chcą zamor-

dować; strach, rozpacz i wściekłość odbiły się na jego twarzy; piana okryła mu wargi, z piersi wydobył się ryk zwierzęcy. Po dwakroć wyrwał się z rąk oprawców i po dwakroć ręce ich chwytaly go za ramiona, za piersi, za brodę i oseledec; on szamotał się, kąsał, ryczał, upadał na ziemię i znów podnosił się okrwawiony, straszny. Podarto na nim ubranie, wyrwano mu oseledec z głowy, wybito oko, nakoniec przygniecionemu do ściany złamano rękę. Wówczas padł. Oprawcy porwali go za nogi i wraz z Tatarczukiem wywlekli na majdan. Tam dopiero, przy blasku smolistych beczek i stosów ognia, rozpoczęła się doraźna egzekucya. Kilka tysięcy ludzi rzuciło się na skazanych i darło ich w sztuki, wyjąc i walcząc ze sobą o przystęp do ofiar. Deptano ich nogami, wyrwano kawały ciała; ciżba tłoczyła się koło nich tym strasznym konwulsyjnym ruchem rozszalałych mas. Chwilowo krwawe ręce podnosiły w górę dwie bezkształtne niepodobne już do ludzkich postaci bryły, to znowu ciskano je na ziemię. Dalej stojący wrzeszczeli w niebogłosy, jedni, żeby wrzucić ofiary w wodę, drudzy, by je wtłoczyć w beczki palącej się smoły. Pijani rozpoczęli bójkę ze sobą. Z szaleństwa zapalono dwie kufy z wódką, które oświeciły tę piekielną scenę drgającym, błękitnem światłem. Z nieba patrzył na nią także księżyc cichy, jasny pogodny.

Tak „towarzystwo“ karało swoich zdrajców.

A w izbie radnej, z chwilą, jak kozactwo wywlekło za drzwi Tatarczuka i młodego Barabasza, uciszyło się znowu i atamani zajęli dawne miejsca pod ścianami, bo z przyległego alkierza przyprowadzono więźnia.

Cień padał na jego twarz, gdyż i ogień na kominię przygasł — i w pół-świetle widać było tylko wy-

niosła postać, trzymającą się prosto i dumnie, choć ręce jej związane były łykiem. Ale Hładki dorzucił wiązkę lucywa, po chwili bujny płomień strzelił w górę i oblał jasnym światłem oblicze więźnia, który zwrócił się ku Chmielnickiemu.

Ujrawszy go, Chmielnicki drgnął.

Więzień — był to pan Skrzetuski.

Tuhaj-bej wypluł luskwiny słoneczników i mruknął po rusińsku:

— Ja toho Lacha znaju — on buw u Krymu.

— Na pohybel mu! — zawołał Hładki.

— Na pohybel! — powtórzył Czarnota.

Chmielnicki opanował już wrażenie. Powiódł tylko oczyma po Hładkim i Czarnocie, którzy pod wpływem tego wzroku umilkli, następnie zwróciwszy się do koszowego, rzekł:

— I ja jeho znaju.

— Ty skąd? — spytał koszowy Skrzetuskiego.

— W poselstwie jechał do ciebie, atamanie koszowy, gdy mnie zbójcy na Chortycy napadli i wbrew obyczajom, obserwowanym u najdzikszych narodów, ludzi mi wybili, a mnie, nie bacząc na godność mą poselską i urodzenie, zranili, znieważyli, i jako jeńca tu przywiedli, o co pan mój J. O. książę Jeremi Wiśniowiecki będzie się umiał u ciebie, atamanie koszowy, upomnieć.

— A czego ty nieszczerłość swoją okazał? czemu ty dobrego mołojca obuchem rozszczepił? czemu ty ludzi nabił, we czworo tyle, ile was wszystkich było? A tu z listem do mnie jechał, by na gotowość naszą spoglądać i Lachom o niej donosić? Wiemy także, że ty i do zdrajców wojska zaporoskiego miał listy, aby

z nimi zgubę wszystkiego wojska knować, zaczem nie jako poseł, ale jako zdrajca będziesz przyjęty i sprawiedliwie ukarany.

— Mylisz się, atamanie koszowy, i ty, mości hetmanie samozwańczy — rzekł namiestnik, zwracając się do Chmielnickiego. — Jeślim listy miał, to czyni tak każdy poseł, który w obce strony jedzie, że od znajomych do znajomych listy bierze, by i sam miał przez to komitywę. A jam tu jechał z pismem księżcem, nie zgubę waszą knować, ale takowych was postępków powstrzymać, które nieznośny paroksyzm na Rzeczpospolitą, a na was i na całe wojsko zaporoskie ostatnią zagładę ściągną. Na kogóż to bowiem bezbożną rękę podnosicie? Przeciw komu, wy, co się obrońcami chrześcijaństwa nazywacie, z pogany przymierze czynicie? Przeciw królowi, przeciw stanowi szlacheckiemu i całej Rzeczypospolitej. Wy przeto, nie ja, zdrajcami jesteście i to wam powiadam, iż jeśli pokorą i posłuszeństwem nie zgladzicie win waszych, tedy biada wam! Zaliż dawne to czasy Pawluka i Nalewajki? Zali wyszła już wam z pamięci ich kara? Pomnijcie tedy, że patientia Rzeczypospolitej już wyczerpana i miecz wisi nad głowami waszemi.

— Łajesz, wraży synu, by się wykręcić i śmierci ująć! — zawołał koszowy — aleć ci nie pomoże ni groźba, ni wasza łacina lacka.

Inni też atamanowie poczęli zębami zgrzytać i trzaskać w szable, a pan Skrzetuski podniósł głowę jeszcze wyżej i tak mówił:

— Nie myśl, atamanie koszowy, bym się śmierci obawiał, albo żywota bronił, albo się z mej niewinności wywodził. Szlachcicem będąc, od równych tylko sobie

sądzon być mogę i nie przed sędziami tu stoję, jeno przed zbójcami; nie przed szlachtą, jeno przed chłopstwem; nie przed rycerstwem, jeno przed barbarzyństwem, i wiem dobrze, że się od śmierci nie wybiegam, którą wy też dopełnicie miary swej nieprawości. Przede mną jest śmierć i męka, ale za mną moc i zemsta całej Rzeczypospolitej, przed którą drżycie wszyscy.

Jakoż wyniosła postawa, wzniosłość mowy i imię Rzeczypospolitej silne zrobiły wrażenie. Atamanowie spoglądali na siebie, milcząc. Przez chwilę wydało im się, że przed nimi stoi nie jeniec, ale groźny poseł potężnego narodu; Tuhaj-bej zaś mruknął:

— Serdytyj Lach!

— Serdytyj Lach! — powtórzył Chmielnicki.

Gwałtowne dobijanie się do drzwi przerwało dalszą ich rozmowę. Na majdanie egzekucya szczątków Tatarczuka i Barabasza była właśnie skończoną; towarzystwo wysyłało nową deputacyę.

Kilkunastu kozaków okrwawionych, zziajanych, okrytych potem, pijanych, weszło do izby. Stanęli przy drzwiach i wyciągając ręce, jeszcze dymiące od krwi, poczęli mówić:

— Towarzystwo kłania się panom starszyźnie — tu pokłonili się wszyscy w pas — i prosi, żeby im wydać tego Lacha, *szczob z nym pohrały, jak z Barabasom i Tatarczukom.*

— Wydać im Lacha! — krzyknął Czarnota.

— Nie wydawać — wołał inny. — Niech czekają! On poseł!

— Na pohybel mu! — ozwały się różne głosy.

Następnie ucichli wszyscy, czekając, co powiedzą koszowy i Chmielnicki.

— Towarzystwo prosi; a nie, to samo weźmie — powtórzyli deputaci.

Zdawało się, że pan Skrzetuski zgubiony jest bez ratunku, gdy wtem Chmielnicki pochylił się do ucha Tuhaj-beja.

— To twój jeniec — szepnął — jego Tatarzy wzięli, on twój. Dasz-li go sobie zabrać? To bogaty szlachcic, a i bez tego kniaź Jerema złotem za niego zapłaci.

— Dawajcie Lacha — wołali coraz groźniej kozacy.

Tuhaj-bej przeciągnął się na swoim siedzeniu i wstał. Twarz zmieniła mu się w jednej chwili, oczy rozszerzyły się jak u żbika, zęby poczęły błyskać. Nagle skoczył jak tygrys przed mołojców, dopominających się o jeńca.

— Precz, capy, psy niewierne! niewolnicy! swynojady! — ryknął, chwytając za brody dwóch zaporozców i targając niemi z wściekłością — precz pijanice, bydłeta nieczyste! gady plugawe! wy mnie jasyr zabierać przyszli, a ot, ja wam tak! capy! — To mówiąc, targał za brody coraz innych mołojców, nakoniec zważywszy jednego, począł go deptać nogami. — Na twarz, niewolnicy! bo was w jasyr zapędzę, bo Sicz całą nogami tak zdepczę, jak was! z dymami puszcę, ścierwem waszem pokryję!

Deputaci cofali się przerażeni — straszliwy przyjaciel pokazał, co umie.

I dziwna rzecz: na Bazawłuku stało tylko sześć tysięcy Ordy! Prawda, że za nimi stał jeszcze chan z całą potęgą krymską, ale w samej Siczy było kilkanaście tysięcy mołojców, prócz tych, których Chmielnicki wysłał był już na Tomakówkę — a jednakże, ani

jeden głos protestacyi nie podniósł się przeciw Tuhaj-bejowi. Zdawaćby się mogło, że sposób, w jaki groźny murza obronił jeńca, był jedynie skuteczny, że trafił odrazu do przekonania zaporoźców, którym tatarska pomoc była w tej chwili niezbędną. Deputacya wypadła na majdan, krzycząc do tłumów, że nie będą z Lachem igrały, bo to jeniec Tuhaj-beja, a Tuhaj-bej, każe, rozserdywsia! „Brody nam powyrywał!“ wołali. Na majdanie też poczęto zaraz powtarzać: „Tuhaj-bej rozserdywsia!“ — „Rozserdywsia!“ — wołały żałośnie tłumy — „rozserdywsia! rozserdywsia!“ — a w kilka chwil jakiś przeraźliwy głos jał śpiewać koło ogniska:

Hej, hej!
Tuhaj-bej
Rozserdywsia duże,
Hej, hej,
Tuhaj-bej
Ne serdysia družę!

Wnet tysiące głosów powtórzyło: „Hej-hej! Tuhaj-bej“ — i oto powstawała jedna z tych pieśni, które potem, rzekłbyś, wicher roznosił po całej Ukrainie i trącał niemi o struny lir i teorbanów.

Ale nagle i pieśń została przerwana, bo przez bramę, od strony Hasan-Basza, wpadło kilkunastu ludzi i przedzierając się przez tłum, krzycząc: „z drogi! z drogi!“ dążyło co sił w stronę radnego domu. Atamani zabierali się już do wyjścia, gdy nowi ci goście wpadli do izby.

— *Pyśmo* do hetmana! — wołał stary kozak.

— Skąd wy?

— My czehyńcy. Dzień i noc *z piśmóm jidem*.
Oto jest.

Chmielnicki wziął list z rąk kozaka i począł czytać. Nagle twarz zmieniła mu się, przerwał czytanie i rzekł donośnym głosem:

— Mości panowie atamani! Hetman wielki wysła syna Stefana z wojskiem na nas. Wojna!

W izbie powstał dziwny szmer; niewiadomo, czy szmer radości, czy przerażenia. Chmielnicki wystąpił na środek izby, wsparł się pod boki, oczy jego miotaly błyskawice, a głos brzmiał groźnie i rozkazująco:

— Kurzeniowi do kurzeniów! Uderzyć z dział na wieży! Rozbić beczki z wódką! Jutro świtanem ruszamy!

Od tej chwili kończyły się na Siczy obrady zbiorowe, rządy atamanów, sejmy i przewaga towarzystwa. Chmielnicki brał w ręce nieograniczoną władzę. Oto przed chwilą, z obawy, aby głos jego nie został niewysłuchany przez burzliwe towarzystwo, musiał jeńca podstępem bronić i podstępem gubić niechętnych; teraz był panem życia i śmierci wszystkich. Tak zawsze bywało. Przed i po wyprawie, choćby hetman już był obrany, tłum narzucał jeszcze atamanom i koszowemu swoją wolę, której niebezpiecznie było się opierać. Ale gdy tylko wyprawa została otrąbioną, towarzystwo stawało się wojskiem, podlegało wojskowej dyscyplinie, kurzeniowi oficerami, a hetman wodzem-dyktatorem.

Dlatego też usłyszawszy rozkazy Chmielnickiego, atamanowie wypadli natychmiast do swoich kurzeniów. Narada była skończona.

Po chwili huk dział z bramy, prowadzącej z Has-

san-Basza do siczowego majdanu, zatrzęsł ścianami izby i rozległ się posepnem echem po całym Czertomeliku, zwiastując wojnę.

Rozpoczynał on także epokę w dziejach dwóch narodów, ale o tem nie wiedzieli ni pijani siczowcy, ni sam hetman zaporoski.

ROZDZIAŁ XII.

Chmielnicki ze Skrzetuskim poszli na nocleg do koszowego, a z nimi i Tuhaj-bej, któremu zapóźno było wracać na Bazawłuk. Dziki bej traktował namiestnika jako jeńca, który miał być za wysoką cenę wykupiony, zatem nie jak niewolnika i z respektem, większym nawet może niż kozaków, bo go w swoim czasie, jako książęcego posła na dworze chanowym, widywał. Co widząc, koszowy zaprosił go do swej chaty i również zmienił z nim postępowanie. Stary ataman był to człowiek duszą i ciałem oddany Chmielnickiemu, który go zawojował i owładnął — owóz zauważył, że Chmielnickiemu chodziło widocznie podczas narad o ocalenie jeńca. Ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy, zaledwie zasiedli w chacie, Chmielnicki zwrócił się do Tuhaj-beja.

— Tuhaj-beju! — rzekł — ile myślisz wziąć wykupna za tego jeńca?

Tuhaj-bej popatrzył na Skrzetuskiego i rzekł:

— Tyś mówił, że to znaczny człowiek, a ja wiem, że to poseł straszego kniazia, a straszny kniaź kocha swoich. Bismillah! jeden zapłaci i drugi zapłaci — razem...

Tu Tuhaj-bej zamyślił się:

— Dwa tysiące talerów.

Chmielnicki na to:

— Dam ci dwa tysiące talerów.

Tatar myślał przez chwilę. Jego skośne oczy zdawały się nawskróś przenikać Chmielnickiego.

— Ty dasz trzy — rzekł.

— Dlaczego mam dać trzy, gdyś sam dwa żądał?

— Bo jeśli go chcesz mieć, to tobie na tem zależy, a jeśli ci zależy, to dasz trzy.

— On mnie życie ocalił.

— Alla! to warte tysiąc więcej.

Tu Skrzetuski wtrącił się do targu.

— Tuhaj-beju! — rzekł z gniewem — z książęcego skarbca nie mogę ci nic obiecywać, ale choćbym miał fortunę własną poszarpać, to sam dam trzy. Mam też blisko tyle u księcia na prowizyi i wioskę dobrą, co starczy. A temu hetmanowi nie chcę wolności i zdrowia zawdzięczać.

— A skąd ty wiesz, co ja z tobą uczynię? — rzekł Chmielnicki. A potem, zwróciwszy się do Tuhaj-beja, mówił:

— Wojna się rozpocznie. Poślesz do kniazia, ale nim poseł wróci, dużo wody w Dnieprze upłynie, a ja ci jutro na Bazawłuk odwiozę sam pieniądze.

— Daj cztery, to i nie będę z Lachem gadał — odparł niecierpliwie Tuhaj.

— Dam cztery, na twoje słowo.

— Mości hetmanie — rzekł koszowy — chcesz, to ci zaraz wyliczę. Mam tu pod ścianą, może i więcej.

— Jutro powiesz na Bazawłuk — rzekł Chmielnicki.

Tuhaj-bej przeciągnął się i ziewnął.

— Spać mi się chce — rzekł. — Jutro też przed-
dnem na Bazawłuk muszę ruszyć. Gdzie mam spać?

Koszowy ukazał mu pęk skór owczych pod ścianą.

Tatar rzucił się na posłanie. Po niejakiem czasie
począł chrapać, jak koń.

Chmielnicki przeszedł się kilkakrotnie po wąskiej
izbie i rzekł:

— Sen ucieka mnie od powiek. Nie usnę. Daj się
czego napić, moście koszowy.

— Gorzalki, czy wina?

— Gorzalki. Nie usnę.

— Na niebie już kurki — rzekł koszowy.

— Późno! Idź i ty spać, stary druhu. Napij się i idź.

— Na sławę i szczęście!

— Na szczęście!

— Koszowy obtarł głowę rękawem, następnie podał
rękę Chmielnickiemu i, odszedłszy w drugi koniec izby,
zakopał się niemal w owcze skóry, krew bowiem miał
już przez wiek ostudzoną.

Wkrótce chrapanie jego zawtórowało chrapaniu
Tuhaj-beja.

Chmielnicki siedział za stołem, pogrążony w mil-
czeniu.

Nagle rozbudził się, spojrzał na Skrzetuskiego
i rzekł:

— Mości namiestniku, jesteś wolny.

— Wdzięcznym ci, mości hetmanie zaporoski, lu-
boć, nie ukrywam, że wołałbym komu innemu za wol-
ność dziękować.

— Tedy nie dziękuj. Ocaliłeś mi życie, jam ci też
dobrem odplacił, teraz kwita. A i to ci muszę jeszcze
powiedzieć, iż cię zaraz nie puszczę, chyba mi słowo

rycerskie dasz, iż wróciwszy, nie powiesz ni słowa ani o naszej gotowości, ani o siłach, ani o niczem, coś tu w Siczy widział.

— Widzę jedno to, żeś mi niepotrzebnie fructum wolności dał posmakować, bo ci takiego słowa nie dam, gdyż dając je, takbym właśnie postąpił, jako ci, którzy do nieprzyjaciela przechodzą.

— Gardło moje i zdrowie całego wojska zaporoskiego w tem, aby się na nas hetman wielki ze wszystkimi siłami nie ruszył, czegoby nie omieszkał, gdybyś go o potędze naszej powiadomił, nie dziw się więc, że jeśli słowa nie chcesz dać, to cię nie puszczę, póki o sobie bezpiecznym nie będę. Wiem, na com się porwał; wiem, jako straszna jest siła przeciw mnie: obaj hetmani, twój straszny książ, któren sam za całe wojsko stanie, a Zasławscy, a Koniecpolscy, a wszystkie owe królewięta, które na szyi kozackiej nogę trzymają! Zaprawdę, niemalom ja musiał napracować się i listów rozpisać, nim zdołałem ich czujność uspić — toć nie mogę teraz dozwolić, byś ją rozbudził. Gdy i czernń, i kozacy grodowi i wszyscy uciśnieni w wierze i wolności, tak się po mojej opowiedzą stronie, jako wojsko zaporoskie i miłościwy chan krymski, tuszę, że nieprzyjaciółom sprostam, bo i moja siła znaczną będzie, ale najwięcej ufam Bogu, któren widział krzywdy, a patrzył na niewinność moją.

Tu Chmielnicki wychylił szklankę wódki i zaczął chodzić niespokojnie koło stołu, pan Skrzetuski zaś zmierzyl go oczyma i rzekł z mocą:

— Nie bluźnijże, hetmanie zaporoski, na Boga i Jego najwyższą opiekę się powołując, bo zaiste gniew tylko Boży i prędsze karanie na siebie ściągniesz. Tobież to godzi się Najwyższego na swą obronę wzywać, tobie, któ-

ren dla swych krzywd i prywatnych zatargów, taką straszliwą burzę podnosisz, i płomień wojny domowej rozpalasz i z pogany przeciw chrześcijanom się łączysz? Cóż się bowiem stanie? Zwyciężysz-li, czy będziesz zwyciężony, morze ludzkiej krwi i lez wylejesz, gorzej szarańczy kraj spustoszysz, krew własną poganom w jassyr oddasz, Rzeczpospolitą wstrząśniesz, na majestat rękę podniesiesz, ołtarze pańskie pohańbisz, a wszystko dlatego, że Czapliński futór ci zabrał, że ci po pijanemu wygrażał! Na cóż się więc nie targniesz? Czego dla prywaty nie poświęcisz? Boga wzywasz? — a ja zaprawdę, choć jestem w twojej mocy, chociaż mnie żywota i wolności pozbawić możesz — powiadam ci: szatana ty, nie Boga, na pomoc wzywaj, bo tylko jedno piekło sekundować ci może!

Chmielnicki sponsowiał — za rękojęść się porwał i patrzył tak na namiestnika, jak lew, który wnet ma ryknąć i rzucić się na swą ofiarę — ale się pohamował. Szczęściem nie był jeszcze pijany. Może też ogarnął go jakiś niepokój, może jakieś głosy zawołały mu w duszy: zawróć z drogi! Bo nagle, jakby się chciał przed własnymi myślami bronić, lub samego siebie przekonywać, tak mówić począł:

— Od innego nie ścierpiałbym takiej mowy, ale i ty bacz, aby twa śmiałość mej cierpliwości nie pożarła. Piekłem mnie straszysz, o prywatę i zdradę mnie pomawiasz, a skądże wiesz, jeśli własne tylko krzywdy mścić idę? Gdzieżtobym znalazł pomocników, gdzie owe tysiące, które się już za mną opowiedziały i opowiedzą, gdybym jeno własnych ucisków chciał dochodzić? Spójrz, co się dzieje na Ukrainie? Hej! ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona, a kto w niej jutra pewien? kto w niej

szczęśliw? kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran, kto w niej nie płacze i nie wzdycha? Sami jeno Wiśniowieccy, a Potoccy, a Zasławscy, a Kalinowscy, a Koniecpolscy i szlachty garść! Dla nich starostwa, dostojęstwa, ziemia i ludzie, dla nich szczęście i złota wolność, a reszta narodu ręce we łzach do nieba wyciąga, czekając Bożego zmiłowania, bo i królewskie nie pomoże! Ileż to szlachty nawet, nieznośnego ich ucisku wytrzymać nie mogąc, na Sicz ucieka, jako ja sam uciekłem? Nie chcę też wojny z królem, nie chcę z Rzeczpospolitą! Ona mać, on ojciec: Król miłościwy pan, ale królewieża! Z nimi nam nie żyć; ich to zdzierstwa, ich to arendy, stawszczyzny, pojemszczyzny, suchomielszczyzny, oczkowe i rogo-we; ich to tyrania i uciski przez żydów czynione o zemstę do nieba wołają. Jakiejże to wdzięczności doznało wojsko zaporoskie za tak wielkie zasługi, w licznych wojnach oddane? Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewieża odjęli. Nalewajko poćwiertowan! Pawluk w miedzianym wole spalon! Krew nie obeschła po ranach, które nam szabla Żółkiewskiego i Koniecpolskiego zadała! Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych, na pal wsadzonych, — a teraz — patrz! co świeci na niebie — tu Chmielnicki wskazał przez okienko na płonącą kometę — gniew Boży! bicz Boży! — Więc jeśli ja mam nim być na ziemi — to dziej się wola Boża! wezmę ten ciężar na barki.

To rzekłszy, ręce ku górze wyciągnął i zdawał się płonąć cały, jak wielka pochodnia zemsty, i drzeć począł, a potem padł na ławę, jakby ciężarem swych przeznaczeń przygnieciony.

Nastąpiło milczenie, przerywane tylko chrapaniem

Tuhaj-beja i koszowego — a w jednym kącie chaty świerszcz ćwirkał żałośnie.

Namiestnik siedział ze spuszczoną głową. Rzekłbyś, szukał odpowiedzi na słowa Chmielnickiego, tak ciężkie jak bryły granitu; nakoniec tak mówić począł głosem cichym i smutnym:

— Ach! choćby to była i prawda, ktoś ty hetmanie jest, abys się sędzią i katem kreował? Jakież cię okrucieństwo, jaka pycha unosi? Czemu ty Bogu sądu i kary nie zostawisz? Jać złych nie bronię, krzywd nie pochwalam, ucisków prawem nie mianuję, ale wejrzyjże i ty w siebie, hetmanie! Na ucisk od królewiał narzekasz, mówisz, że króla ni prawa słuchać nie chcą, dumę ich ganisz, a czy sam jej próżen jesteś? Czy sam nie ściągasz ręki na Rzeczpospolitą, prawo i majestat? Tyranią paniąt i szlachty widzisz, ale tego nie widzisz, że gdyby nie ich piersi, nie ich pancerze, nie ich moc, nie ich zamki, nie ich działa i hufce, tedyby ta ziemia, mlekiem i miodem płynąca, pod stokroć cięższem jarzmem tureckiem albo tatarskiem jęczała! Kto bowiem by jej bronił? Czyją to opieką i mocą dzieci wasze w janczarach nie służą, a niewiasty do sprośnych haremów nie są porywane? Kto osadza pustynie, zakłada wsie i miasta, wznosi świątynie boże?..

Tu głos pana Skrzetuskiego potężniał coraz bardziej, a Chmielnicki utkwil ponuro oczy we flaszkę z wódką, zaciśnięte pięście na stole położył i milczał, jakby się sam ze sobą pasował.

— I któż są oni? — mówił dalej pan Skrzetuski — czy to tu z Niemiec przyszli, albo od Turczeh? Nie krew że to z krwi, nie kość z kości waszej? Nie waszaże to szlachta, nie wasi książęta? Co, gdy tak jest, tedy ci biada,

hetmanie, bo ty młodszych braci na starszych uzbrajasz i parricidów z nich czynisz. O dla Boga! choćby też i źli byli, choćby wszyscy, co przecie nie jest, deptali prawa, gwałcili przywileje — niechże ich Bóg sędzi w niebie, a sejmy na ziemi, ale nie ty, hetmanie! Możesz-li bowiem rzec, że między wami są tylko sprawiedliwi? zalicie nigdy nie przewinili, zali macie prawo rzucić kamieniem na cudzą zmazę? A żeś mię pytał, gdzie są przywileje kozackie, tedy ci odpowiem: nie królewęża je zdradzili, ale zaporozcy, ale Łoboda, Sasko, Nalewajko i Pawluk, o którym zmyślasz, że był w wole miedzianym usmażon, bo wiesz dobrze, że tak nie było? Zdarły je bunty wasze, zdarły niespokojności i napady, nakształt tatarskich czynione. Kto Tatarów w granice Rzeczypospolitej puszczał, by dopiero na powracających i łupem obciążonych dla zysków napadać? — wy! Kto — przebóg! — lud chrześcijański, własny, w jassy oddawał? Kto największe warchoły czynił? — wy! Przed kim ni szlachciec, ni kupiec, ni kmieć nie jest bezpieczny? — przed wami! Kto wojny domowe rozpalal, z dymem puszczał wsie i miasta ukraiinne, łupil świątynie Boże, gwałcił niewiasty — wy i wy! Czego tedy chcesz? Czy aby wam przywileje na wojnę domową i łupiestwo zostały wydane? Zaiste więcej wam przebaczone, niżli odjęto! Chciano membra putrida leczyć, nie wycinać¹⁾ i nie wiem — jest-li na świecie potencya, prócz Rzeczypospolitej, któraby taki wrzód we własnem łonie tolerując, tyle cierpliwości i klemencyi znalazła! A w odwet za to, jaka wdzięczność? Ot, tu śpi twój sprzymierzeniec, ale Rzeczypospolitej wróg zaciekły; twój przyjaciel, ale nie-

¹⁾ Słowa historyczne Żółkiewskiego.

przyjaciel krzyża i chrześcijaństwa — nie królewiatko ukraińskie, ale murza krymski — z nim to pójdiesz palić własne gniazdo — z nim sądzić braci! Ale on też ci od-tąd panować będzie, jemu strzemię podawać musisz!

Chmielnicki wychylił nową szklanę wódki.

— Gdyśmy z Barabaszem czasu swego u króla miłościwego byli — odparł ponuro — i gdyśmy na krzy-wdy i uciski nasze płakali, pan nasz rzekł: a to nie ma-cie samopalów i szabli przy boku?

— Gdybyś przed królem królów stanął, tenby rzekł: aza przebaczyłeś nieprzyjaciółom swoim, jakom ja swoim przebaczył?

— Z Rzeczpospolitą wojny nie chcę!

— Jeno jej miecz do gardła przykładasz!

— Idę kozaków z waszych okowów uwolnić.

— By ich w tatarskie łyka skrępować!

— Wiary chcę bronić.

— Z pohańcem w parze.

— Preczże ty, boś nie jest głosem sumienia mego!

Precz! mówię ci!

— Krew przelana ci zaciąży, lzy ludzkie oskarżą, śmierć cię czeka, sąd czeka!

— Puszczyk! — zawołał z wściekłością Chmielnicki i nożem przed piersią namiestnikową błysnął.

— Zabij! — rzekł pan Skrzetuski.

I znowu nastala chwila ciszy, znowu słyhać było tylko chrapanie śpiących i żalosne skrzypienie świerszcza.

Chmielnicki stał przez chwilę, z nożem przy piersi Skrzetuskiego; nagle się wstrząsnął, opamiętał, nóż upu-ścił, a natomiast porwawszy gąsiorek z wódką, pić po-czął. Wypił aż do dna i siadł ciężko na ławie.

— Nie mogę go pchnąć! — mrucał — nie mogę!

Późno już... czy to już świt?... Ale i z drogi zawracać późno... Co ty mnie o sądzie i krwi mówisz?

Poprzednio wypił już wiele, teraz wódka uderzała mu do głowy; stopniowo coraz bardziej tracił przytomność.

— Jaki tam sąd? co? Chan obiecał mi posiłki, Tuhaj-bej tu śpi! Jutro mołojcy ruszą... Z nami święty Michał-zwycięzca!... A jeśliby... jeśliby... to... Ja cię wykupił u Tuhaj-beja — ty to pamiętaj i powiedz... Ot! boli coś... boli! Z drogi zawracać... późno! sąd... Nalewajko... Pawluk...

Nagle wyprostował się, oczy z przerażeniem wytrzeszczył i zakrzyknął:

— Kto tu?

— Kto tu? — powtórzył nawpół rozbudzony koszowy.

Ale Chmielnicki głowę na piersi spuścił, kiwnął się raz drugi, mruknął: jaki sąd? — i usnął.

Pan Skrzetuski od ran niedawno otrzymanych i wzruszenia rozmowy pobladł bardzo i zesłabł, więc pomyślał, że to może śmierć nadlatuje, i zaczął się modlić głośno.

ROZDZIAŁ XIII.

Nazajutrz, rankiem, piesze i konne wojska kozackie ruszyły z Siczy. Lubo krew nie splamiła jeszcze stepów, wojna była już rozpoczęta. Pułki szły za pułkami, rzekł-byś, szarańcza, przygrzana słońcem wiosennem, wyroiła się z oczeretów Czertomeliku i leci na ukraińskie niwy. W lesie, za Bazawłukiem, czekali już gotowi do pochodu ordyńcy. Sześć tysięcy co przebrańszych wojowników, zbrojnych nierównie lepiej od zwykłych czambułowich rabusiów, stanowiło pomoc, którą chan przysłał zaporozcom i Chmielnickiemu. Mołojcy na ich widok wyrzucili czapki w górę. Zagrzmiały rusznice i samopały. Wrzaski kozackie, pomieszane z hallahowaniem tatarskim, uderzyły o sklepienie niebios. Chmielnicki i Tuhaj-bej, obaj pod buńczukami, skoczyli ku sobie końmi i powitali się ceremonialnie.

Sprawiono szyk pochodowy ze zwykłą Tatarom i kozakom chyżością, poczem wojska ruszyły naprzód. Ordyńcy zajęli oba skrzydła kozackie, środek zawałił Chmielnicki z jazdą, za którą postępowała straszna piechota zaporoska ¹⁾, dalej „puszkary“ z armatami, dalej

¹⁾ Wbrew ogólnemu mniemaniu dzisiejszemu, Bauplan twierdzy, iż piechota zaporoska niezmiernie przewyższała jazdę. Wedle

tabor, wozy, na nich służba obozowa, zapasy żywności, wreszcie czabanowie z zapaśnemi stadami i bydłem.

Przebywszy bazawłucki las, pułki wypłynęły na stepy. Dzień był pogodny. Stropu nieba nie plamila żadna chmurka. Lekki wiatr podmuchiwał z północy ku morzu, słońce grało na spisach i kwiatach pustyni. Roztoczyły się przed wojskiem Dzikie pola, jako morze bez końca, a na ten widok radość ogarnęła kozackie serca. Wielka malinowa chorągiew z Archaniołem zniżyła się po kilkakroć, witając step rodzimy, a za jej przykładem pochyliły się wszystkie buńczuki i pułkowe znamiona. Jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

Pułki rozwinęły się swobodnie, „Dowbysze“ i teorbaniści wyjechali na czoło wojska; huknęły kotły, zadźwięczały litaury i teorbany, a do wtóru im pieśń, przez tysiące głosów śpiewana, wstrząsnęła powietrzem i stepem:

„Hej wy stepy, wy rydnyje,
„Krasnym cwitom pysanyje,
„Jako more szyrokiye.

Teorbaniści puścili cugle i przechyleni w tył na kulbakach, z oczyma utkwionemi w niebo, uderzali o struny teorbanów; litauryści, wyciągnąwszy ręce nad głowami, bili w swoje miedziane kręgi, dowbysze grzmieli w kotły, a te wszystkie odgłosy, wraz z monotonnemi słowami pieśni i przeraźliwym, niesfornym świstem piszczałek tatarskich, zlały się w jakąś nutę ogromną, dziką, a smętną jak sama pustynia. Upojenie ogarnęło

Bauplana, 200 Polaków rozbijało z łatwością 2,000 jazdy zaporoskiej, ale natomiast 100 pieszych kozaków mogło długo bronić się z zaskokowi Polaków.

wszystkie pułki; głowy chwiały się w takt pieśni, i wreszcie zdawało się, że cały step rozśpiewany, kołysze się razem z ludźmi, końmi i chorągwiami.

Spłoszone stada ptactwa zerwały się ze stepu i leciały przed wojskiem, jak drugie wojsko powietrzne.

Chwilami pieśń i muzyka milkły, a wówczas słychać było łopot chorągwi, tętent i parskanie koni i skrzywienie wozów taborowych, podobne do krzyku labędzi lub żórawi.

Na czele, pod wielką chorągwią malinową i pod buńczukiem, jechał Chmielnicki, przybrany w czerwień na białym koniu, z pozłocistą buławą w ręku.

Cały tabor poruszał się zwolna i ciągnął na północ, pokrywając jak groźna fala rzeczki, dąbrowy i mogiły, napelniając szumem i gwarem pustosz stepową.

A od Czehryna, z północnego krańca pustyni płynęła przeciw tej fali inna fala wojsk koronnych, pod wodzą młodego Potockiego. Tu zaporozcy i Tatarzy szli jakoby na wesele, z pieśnią radosną na ustach; tam poważna hussarya postępowała w posępnem milczeniu, idąc niechętnie na tę walkę bez sławy. Tu pod malinową chorągwią stary, doświadczony wódz potrząsał groźnie buławą, jakby pewien zwycięstwa i zemsty; tam na czele jechał młodzieniec z twarzą zamyśloną, jakby świadom swych smutnych, a blizkich przeznaczeń.

Dzieliła ich jeszcze wielka przestrzeń stepu.

Chmielnicki nie śpieszył się. Liczył bowiem, że im bardziej pograży się młody Potocki w pustynię, im dalej odsunie się od obu hetmanów, tem łatwiej będzie mógł być pokonany. A tymczasem, coraz nowi zbiegowie z Czehryna, Powołoczy i wszystkich brzegowych miast ukraińskich, zwiększali codziennie siły zaporoskie,

przynosząc zarazem wieści z przeciwnego obozu. Dowiedział się z nich Chmielnicki, że stary hetman wysłał syna z dwoma tylko tysiącami ładem ¹⁾, a zaś sześć tysięcy semenów i tysiąc niemieckiej piechoty, bajdakami Dnieprem. Obie te siły miały rozkaz stałą ze sobą utrzymać łączność, ale rozkaz został już pierwszego dnia złamany, bo bajdaki porwane bystrym prądem Dnieprowym, wyprzedziły znacznie hussaryą idącą brzegiem, której pochód opóźniały niezmiernie przeprawy przez wszystkie rzeczki wpadające do Dniepru.

Chmielnicki więc, pragnąc, by ten rozdział powiększył się jeszcze bardziej, nie śpieszył się. Trzeciego dnia pochodu, zaległ taborem koło Komyszej wody i odpoczywał.

Tymczasem podjazdy Tuhaj-beja sprowadziły języka. Było to dwóch dragonów, którzy zaraz za Czehrynem zbiegli z taboru Potockiego. Pędząc dzień i noc, zdolali znacznie wyprzedzić swój obóz. Stawiono ich natomiast przed Chmielnickim.

Opowiadania ich potwierdziły to, co było już Chmielnickiemu wiadome o siłach młodego Stefana Potockiego; natomiast przynieśli mu nową wiadomość, że przywódcami semenów, płynących wraz z piechotą niemiecką na bajdakach, byli stary Barabasza i Krzeczowski.

Usłyszawszy to ostatnie nazwisko, Chmielnicki porwał się na równe nogi.

— Krzeczowski? pułkownik rejestrowych perejaślawskich?

¹⁾ Źródła rusińskie, np. Samoił Weliczko, podają ilość wojsk koronnych na 22.000. Cyfra to oczywiście fałszywa.

— On sam, jaśnie wielmożny hetmanie! — **od-**
wiedzieli dragoni.

Chmielnicki zwrócił się do otaczających go puł-
kowników:

— W pochód! — zakomenderował grzmiącym
głosem.

W niespełna godzinę później, tabor ruszył naprzód,
choć słońce już zachodziło i noc nie obiecywała być
pogodną. Jakieś straszne, rude chmurzyska, porozwalały
się na zachodniej stronie nieba, podobne do smoków,
do lewiatanów, i zbliżały się ku sobie, jakby chcąc sto-
czyć walkę.

Tabor posuwał się w lewo, ku brzegowi Dniepru.
Szli teraz cicho, bez pieśni, bez bicia w kotły, w litau-
ry i szybko, o ile pozwalały im trawy, tak bujne w tej
okolicy, że pogrążone w nich pułki chwilami traciły się
z oczu, a różnobarwne chorągwie zdawały się same
płynąć po stepie. Jazda torowała drogę wozom i pie-
chocie, które, postępując z trudnością, wkrótce pozostały
znacznie w tyle. Tymczasem noc pokryła stepy. Ogromny
czerwony księżyc wytoczył się zwolna na niebo, ale
przesłaniany co chwila chmurami, rozpalał się i gasł,
jak lampa, tłumiona powiewami wiatru.

Było już dobrze z północy, gdy oczom kozaków
i Tatarów ukazały się czarne olbrzymie masy, odrzyna-
jące się wyraźnie na ciemnym tle nieba.

Były to mury Kudaku.

Podjazdy, zakryte ciemnością, zbliżyły się pod za-
mek tak ostrożnie i cicho, jak wilcy lub plectwo nocne.
A nuż możnaby ubiedz niespodzianie senną fortecą!

Ale nagle błyskawica na wałach rozdarła ciemno-
ści, huk straszliwy wstrząsnął skałami Dniepru i kula

ognista, zatoczywszy jaskrawy łuk na niebie, upadła w trawy stepowe.

Posępny cyklop Grodzicki dawał znać, że czuwa.

— Pies jednooki! — mruknął do Tuhaj-beja Chmielnicki — widzi w nocy.

Kozacy pominęli zamek — o którego wzięciu, w chwili, gdy przeciw nim samym ciągnęły wojska koronne, nie mogli myśleć — i ruszyli dalej. Ale pan Grodzicki walił za nimi z dział, aż się mury zamkowe trzęsły, nie tyle, by im szkody przyczynić, gdyż przechodzili w znacznej odległości, ale by ostrzedz wojska nadpływające Dnieprem, które mogły znajdować się już niedaleko.

Przedewszystkiem jednak huk dział kudackich odbił się w sercu i uszach pana Skrzetuskiego. Młody rycerz, prowadzony z rozkazu Chmiela z taborem kozackim, drugiego dnia zachorował ciężko. W walce na Chorotyca nie otrzymał on wprawdzie żadnej śmiertelnej rany, ale utracił tyle krwi, że niewiele w nim życia zostało. Rany jego opatrzone po kozacku przez starego kantarzeja, otworzyły się, owładnęła nim gorączka i nocy owej leżał w pół przytomny na kozackiej teledze, nie wiedząc o świecie Bożym. Zbudziły go dopiero działa kudackie. Roztworzył oczy, podniósł się na wozie i począł rozglądać się naokoło. Kozacki tabor przemykał się w ciemnościach, jak korowód mar, a zamek huczał i świecił różowemi dymami; kule ogniste podskakiwały po stepie, charkocząc i warcząc, jak psy rozzłoszczone, więc na ten widok taka żalność, taka tęsknota ogarnęły pana Skrzetuskiego, że gotów był i umrzeć zaraz, byle choć duszą ulecieć do swoich. Wojna! wojna! a oto on w obozie wrogów, bezbronny, chory, z woza niemogący się podnieść. Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, on

zaś nie leci jej ratować! A tam, w Łubniach, wojska pewno już ruszają. Księżę z błyskawicami w oczach lata przed szeregami, a w którą stronę buławą skinie, tam wnet trzysta kopii, jakby trzysta gromów uderzy. Tu rozmaite znajome twarze zaczęły namiestnikowi stawać przed oczy. Mały Wołodyjowski leci na czele draganów ze swoją cienką szabelką w rękę, ale to fehmistrz nad fehmistrze, z kim ją skrzyżuje, ten jakby leżał w mogile; tam znów pan Podbipięta wznosi swój katowski zerwikaptur! Zetnie trzy głowy, czy nie zetnie? Książdz Jaskólski ogania chorągwie i modli się z rękami do góry, lecz to dawny żołnierz, więc nie mogąc wytrzymać, huknie czasem: bij zabij! a owo pancerni kładą już glewie w pól końskiego ucha, pułki ruszają naprzód, rozpędzają się, pędzą, bitwa, zawierucha!

Nagle widzenie się zmienia. Przed namiestnikiem staje Helena, blada, z rozpuszczonym włosom, i woła: „Ratuj, bo mnie Bohun goni!” Pan Skrzetuski zrywa się z wozu, aż jakiś głos, ale już rzeczywisty, mówi do niego:

— Leżże *detyno*, bo związę.

To *essaul taborowy*, Zachar, któremu Chmielnicki kazał pilnować namiestnika jak oka w głowie, układa go napowrót na wozie, okrywa końską skórą i pyta jeszcze:

— Szczo z toboju?

Więc pan Skrzetuski przytomnieje zupełnie. Mary pierzchają. Wozy ciągną samym brzegiem dniewprowym. Chłodny powiew dochodzi od rzeki i noc blednie. Ptactwo wodne rozpoczyna gwar poranny.

— Słuchaj, Zachar! to my już minęli Kudak? — pyta pan Skrzetuski.

— Minęli! — odpowiada zaporozec.

— A dokąd ciagniecie?

— Ne znaju. Bitwa, każe, bude, ale ne znaju.

Na te słowa serce uderzyło radośnie w piersiach pana Skrzetuskiego. Sądził on, że Chmielnicki będzie oblegał Kudak, i że od tego wojnę zacznie. Tymczasem pośpiech, z jakim kozacy szli naprzód, pozwalał wnosić, że wojska koronne były już blisko, i że właśnie Chmielnicki dlatego pominął fortecę, by nie być zmuszonym do bitwy pod jej działami. „Dziś jeszcze może wolny będę“, pomyślał namiestnik i wzniósł oczy dziękczynnie ku niebu.

ROZDZIAŁ XIV.

Huk dział kudackich sływały również wojska, płynące bajdakami pod wodzą starego Barabasza i Krzczowskiego.

Składały się one z sześciu tysięcy kozaków rejestrowych i jednego regimentu wybornej piechoty niemieckiej, której pułkownikował Hans Flik.

Pan Mikołaj Potocki długo się wahał, zanim kozaków przeciw Chmielnickiemu wyprawil, ale że Krzczowski miał na nich wpływ ogromny, a Krzczowskiemu hetman ufał bez granic, więc tylko semenom kazał przysięgę wierności złożyć — i wyprawil ich w imię Boże.

Krzcowski, żołnierz pelen doświadczenia i wielce w poprzednich wojnach wsławiony, był klientem domu Potockich, którym wszystko zawdzięczał i pułkownikostwo i szlachectwo, gdyż mu je na sejmie wyrobili, i nakoniec obszerne posiadłości, położone przy zbiegu Dniestru i Ladawy, które dożywotnio od nich trzymał.

Tyle tedy węzłów łączyło go z Rzeczpospolitą i z Potockimi, że cień nieufności nie mógł zrodzić się w duszy hetmańskiej. Był to przytem człowiek w sile dni, bo zaledwie pięćdziesiąt lat liczący — i wielka przyszłość otwierała się przed nim na usługach krajowi. Nie-

którzy chcieli w nim widzieć następcę Stefana Chmieleckiego, który, rozpoczynając zawód, jako prosty rycerz stepowy, skończył go jako wojewoda kijowski i senator Rzeczypospolitej. Od Krzeczowskiego zależało pójść tą samą drogą, na którą pchało go męstwo, dzika energia i niepokonana ambicja, głodna zarówno bogactw, jak i dostojęstw. Gwoli tej to ambicji, silnie przed niedawnym czasem zabiegał o starostwo lityńskie, a gdy nakoniec otrzymał je pan Korbut, Krzeczowski głęboko zakopał w sercu zawód, ale prawie że odchorował z zawści i zmartwienia. Teraz zdawał mu się los na nowo uśmiechać, gdyż otrzymawszy od hetmana w. tak ważną funkcję wojskową, śmiało mógł liczyć, że imię jego obje się o uszy królewskie. A było to rzeczą ważną, bo następnie należało tylko pokłonić się panu, aby otrzymać przywilej z milemi duszy szlacheckiej słowami: „bił nam czołom i prosił szczerob jego podaryty, a my, pomniawszy jeho usługi, dajem“ etc. Tą drogą zdobywało się na Rusi bogactwa i dostojęstwa; tą drogą ogromne obszary pustych stepów, które przedtem należały do Boga i Rzpltej, przechodziły w ręce prywatne; tą drogą chudopacholek na pana wyrastał i mógł krzepić się nadzieją, że potomkowie jego między senatory zasiądą.

Krzeczowskiego gryzła jeno to, że w owej powierzonej mu funkcji musiał dzielić władzę z Barabaszem, ale był to podział tylko nominalny. W rzeczywistości, stary pułkownik czerkaski, zwłaszcza w ostatnich czasach, tak się postarzał i zgrzybiał, że już ciałem jedynie do tej ziemi należał, a dusza jego i umysł pogrążone były ustawicznie w odrętwieniu i martwocie, które zwykle śmierć prawdziwą poprzedzają. Z początku wyprawy rozbudził się i począł się krzątać dość raźnie, rzekłbyś

na odgłos surm wojennych stara żołnierska krew poczęła w nim krążyć silniej, bo był to przecie czasu swego wślawiony rycerz i wódz stepowy; ale zaraz po wyruszeniu, ukołysał go plusk wiosel, uspiły pieśni semenów i lagodny ruch bajdaków, więc zapomniał o świecie bożym. Krzczowski wszystkim rządził i zawiadywał, Barabasz zaś budził się tylko do jedzenia; najadłszy się, pytał ze zwyczaju o to i owo — zbywano go ładającą odpowiedzią, w końcu wzdychał i mawiał: „Ot radby ja z inną wojną do mogiły się kłaść, ale wola Boża!“

Tymczasem łączność z wojskiem koronnem, idącym pod wodzą Stefana Potockiego, została od razu przerwana. Krzczowski narzekał, że hussarya i dragonia za wolno idą, że nadto u przepraw marudzą, że młody syn hetmański nie ma wojskowego doświadczenia, ale z tem wszystkim kazał wiosłować i płynąć naprzód.

Bajdaki płynęły więc z biegiem dniewnym ku Kudakowi, oddalając się coraz bardziej od wojsk koronnych.

Nareszcie zasłyszano pewnej nocy huk dział.

Barabasz spał i nie obudził się — natomiast Flik, który płynął naprzód, wsiadł w podjazdkę i udał się do Krzczowskiego.

— Mości pułkowniku — rzekł — to kudackie armaty! — Co mam czynić?

— Zatrzymaj waś bajdaki. Zostaniemy przez noc w oczeretach.

— Chmielnicki widocznie zamek oblega. Mojem zdaniem należałoby pośpieszyć z odsieczą.

— Ja waści o zdanie nie pytam, jeno rozkaz daję. Przy mnie komenda.

— Mości pułkowniku!...

— Stać i czekać! — rzekł Krzczowski.

Ale widząc, że energiczny Niemiec szarpie swoją żółtą brodę i ustępować bez racyi nie myśli, dodał lagodniej:

— Kasztelan do jutra rana może z jazdą nadciągnąć, a fortocy przez jedną noc nie wezmą.

— A jeśli nie nadciągnie?

— Będziem czekać choćby dwa dni. Waść nie znasz Kudaku! Połamią oni sobie zęby o jego mury, a ja bez kasztelana na odsiecz nie będę ciągnął, bo i prawa do tego nie mam. Jego to rzecz.

Wszelka słuszność zdawała się być po stronie Krzczowskiego, więc Flik nie nalegał dłużej i oddalił się do swoich Niemców. Po chwili bajdaki poczęły zbliżać się ku prawemu brzegowi i zasuwać w oczerety, które więcej jak na staję pokrywały szeroko w tem miejscu rozlaną rzekę. Nakoniec plusk wiosel ustał, statki skryły się całkowicie w szuwarach, a rzeka zdawała się być pustą zupełnie. Krzczowski zakazał palenia ogni, śpiewania pieśni i rozmów, więc okolicę zaległa cisza, przerywana tylko dalekim odgłosem dział kudackich.

Wszelako na statkach nikt, prócz jednego Barabasza, nie zmrużył oka. Flik, człowiek rycerski i boju chciwy, chciałby ptakiem lecieć pod Kudak. Semenowie pytali się siebie z cicha, co też się może zdarzyć z fortocą? Wytrzyma, czy nie wytrzyma? A tymczasem huk wzmagał się coraz bardziej. Wszyscy byli przekonani, że zamek odpiera szturm gwałtowny. „Chmiel nie żartuje, ale i Grodzicki nie żartuje!” szeptali kozacy. A co to jutro będzie?

To samo pytanie zadawał sobie prawdopodobnie Krzczowski, który, siadłszy na przedzie swego bajdaku,

zamyslił się głęboko. Chmielnickiego znał on dobrze i dawno, uważał go zawsze aż dotąd za człowieka nadzwyczajnych zdolności, któremu tylko pola brakło, by wyleciał jak orzeł w górę, a teraz Krzczowski wątpił o tem. Działa grzmiały ciągle, a zatem chyba Chmielnicki naprawdę Kudak oblegał?

— Jeśli tak jest — myślał Krzczowski — to jest człowiek zgubiony!

Jako? więc podniósłszy Zaporozę, zapewniwszy sobie pomoc chanową, zebrawszy siły, jakimi żaden z watażków dotychczas nie rozporządzał, zamiast iść co najspieszniej na Ukrainę, zamiast pobudzić czernń, przeciągnąć grodowych, zgnieść co prędzej hetmanów i opanować cały kraj, nimby na obronę jego nowe wojska nadeszły, on, Chmielnicki, on stary żołnierz, szturmuje do niezdobytej fortecy, która przez rok może go trzymać? I pozwoli na to, by najlepsze siły jego tak rozbiły się o mury Kudaku, jak fala dniewrowa rozbija się o skały porohów? I będzie czekał pod Kudakiem, aż się hetmani wzmocnią i oblegną go jak Nalewajkę pod Solonicą?...

— To człowiek zgubiony! — powtórzył raz jeszcze pan Krzczowski. — Właśni kozacy go wydadzą. Nieudany szturm wywoła zniechęcenie i popłoch. Iskra buntu zagaśnie w samym zarodku, — a Chmielnicki nie będzie straszniejszy niż miecz, który się ułamał przy rękojeści.

To głupiec!

— Ergo? — pomyślał pan Krzczowski — ergo jutro wysadzę na brzeg moich semenów i Niemców, a następnej nocy, na osłabionego szturmami niespodziewanie uderzę, zaporozców w pień wyrznię, a Chmielnickiego

związanego pod nogi hetmańskie rzuć. Jego to własna wina, bo mogło się zdarzyć inaczej.

Tu rozkielznana ambicyja pana Krzczowskiego wzbila się na sokolich skrzydłach w górę. Wiedział on dobrze, że młody Potocki żadną miarą do jutrzejszej nocy przyciągnąć nie może, więc kto urwie głowę hydrze? Krzczowski! Kto zgasi bunt, który straszliwym pożarem mógłby ogarnąć całą Ukrainę? Krzczowski! Może stary hetman będzie krzyw trochę, że się to stanie bez udziału synala, ale się wysapie prędko, a tymczasem wszystkie promienie sławy i łaski królewskiej oświecą czoło zwycięzcy.

Nie! Trzeba się jednak będzie podzielić sławą ze starym Barabaszem i z Grodzickim! Pan Krzczowski zasępił się mocno, ale wnet wypogodził się. Wszakże tę starą kłodę, Barabasa, lada dzień zakopią w ziemię, a Grodzicki, byle mógł w Kudaku siedzieć i Tatarów kiedy niekiedy z dział przepłoszyć, niczego więcej nie pragnie; pozostaje jeden Krzczowski.

Byle hetmaństwo ukraińskie mógł otrzymać!

Gwiazdy migotały na niebie, a pułkownikowi zdawało się, że to klejnoty w buławie; wiatr szumiał w oczekach, a jemu zdało się, że to szumi buńczuk hetmański.

Działa Kudaku grzmiały ciągle.

— Chmielnicki da gardło pod miecz — myślał dalej pułkownik — ale to jego własna wina! Mogło być inaczej! Gdyby poszedł od razu na Ukrainę!... Mogło być inaczej! Tam wre i huczy wszystko, tam leżą prochy, czekające tylko na iskrę. Rzeczpospolita jest potężna, ale na Ukrainie sił nie ma, a król niemłody, schorowany!

Jedna, wygrana przez zaporozców bitwa, spowodowałaby nieobliczone skutki...

Krzeczowski ukrył twarz w dłoniach i siedział nieruchomy, a tymczasem gwiazdy staczały się niżej i niżej i zachodziły zwolna na step. Przepiórki, ukryte w trawach, poczęły się nawoływać. Niezadługo miało zaświtać.

Nakoniec rozmyślania pułkownika skrzepli w niewzruszony zamiar. Jutro uderzy na Chmielnickiego i zetrze go w proch. Po jego trupie dojdzie do bogactw i dostojęństw, stanie się narzędziem kary w ręku Rzeczypospolitej, jej obrońcą, w przyszłości jej dygnitarzem i senatorem. Po zwycięstwie nad Zaporozem i Tatarami, nie odmówią mu niczego.

A jednak — nie dano mu starostwa lityńskiego.

Na to wspomnienie Krzeczowski ścisnął pięście. Nie dano mu starostwa, mimo potężnego wpływu jego protektorów, Potockich, mimo jego zasług wojennych, dlatego tylko, że był homo novus, a jego przeciwnik od kniaziów ród wywodził. W tej Rzeczypospolitej niedość było zostać szlachcicem, należało jeszcze czekać, by to szlachectwo pokryło się pleśnią jak wino, by zardzewiało jak żelazo.

Chmielnicki jeden mógł zaprowadzić nowy porządek rzeczy, któremu bogdaj że i sam królby sprzyjał — ale nieszczęśnik, wolał oto rozbijać głowę o skały kudackie.

Pułkownik uspokajał się zwolna. Odmówili mu raz starostwa — cóż z tego? Tembardziej będą się starali go wynagrodzić, zwłaszcza po zwycięstwie i zgaszeniu buntu, po uwolnieniu od wojny domowej Ukrainy, ba! całej Rzeczypospolitej! Wówczas niczego mu nie odmówią, wówczas nie będzie potrzebował nawet i Potockich...

Senna głowa schyliła się na piersi — i usnął, marząc o starostwach, o kasztelaniach, o nadaniach królewskich i sejmowych...

Gdy się zbudził, był brzask. Na bajdakach spało jeszcze wszystko. W dali polyskiwały w bładem, rozpierchłem światło wody dniewrowe. Naokoło panowała absolutna cisza. Ta właśnie cisza zbudziła go.

Działa kudackie przestały huczeć.

— Co to? — pomyślał Krzczowski. — Pierwszy szturm odparty, czy może Kudak wzięty?

Ale to niepodobna!

Nie! po prostu zbici kozacy leżą gdzieś zdala od zamku i rany liżą, a jednooki Grodzicki pogląda na nich przez strzelnicę, rychtując na nowo działa.

Jutro szturm powtórzą i znowu zęby połamią.

Tymczasem rozedniało. Krzczowski zbudził ludzi na swym bajdaku i posłał czólna po Flika.

Flik przybył niebawem.

— Mości pułkownik! — rzekł mu Krzczowski — jeśli do wieczora kasztelan nie nadciągnie, a z nocą szturm się powtórzy, ruszymy fortecy w pomoc.

— Moi ludzie gotowi — odparł Flik.

— Rozdajże im prochy i kule.

— Rozdane.

— W nocy wysiadziemy na brzeg i ruszymy jak najciszej stepem. Zejdziemy ich niespodzianie.

— Gut, sehr gut! ale czyby się nie przysunąć trochę bajdakami? Do fortecy mil ze cztery. Trochę daleko dla piechoty.

— Piechota siędzie na konie semenów.

— Sehr gut!

— Ludzie niech leżą cicho w sitowiaach, na brzeg nie wychodzą i hałasów nie sprawują. Ogniów nie palić, bo dymyby nas zdradziły. Nie powinni o nas wiedzieć.

— Mgła taka, że i dymów nie ujrzą.

Rzeczywiście rzeka, łacha porośnięta oczeretem, w której stały bajdaki i stopy były pokryte, jak okiem sięgnąć, białym nieprzeniknionym tumanem. Ale że był to dopiero świt, więc mgły mogły jeszcze opaść i odsłonić stepowe przestrzenie.

Flik odjechał. Ludzie na bajdakach budzili się z wolna; wnet ogłoszono rozkazy Krzczowskiego, by się zachować cicho — więc zabierali się do rannego posiłku bez żołnierskiego gwaru. Ktoby przechodził brzegiem, lub płynął środkiem rzeki, aniby się domyślił, że w przyległej łasze ukrywa się kilka tysięcy ludzi. Koniom dawano jeść z ręki, by nie rżały. Bajdaki, zakryte mgłą, leżały przyczajone w lesie szuwarów. Gdziekolwiek tylko przemylała się mała „pidizdka“ o dwóch wiosłach, rozwożąc suchary i rozkazy, zresztą wszędzie panowało grobowe milczenie.

Nagle w trawach, trzcinach, szuwarach i zaroślach przybrzeżnych, naokoło całej łachy, rozlegały się dziwne, a bardzo liczne głosy, wołające:

— Pugu! pugu!...

Cisza...

— Pugu! pugu!

I znowu nastąpiło milczenie, jak gdyby owe głosy, wołające na brzegach, oczekiwały na odpowiedź.

Ale odpowiedzi nie było. Wołania zabrzmiały po raz trzeci, ale szybsze i niecierpliwsze.

— Pugu! pugu!

Wówczas od strony statków rozległ się wśród mgły głos Krzczowskiego:

— A kto taki?

— Kozak z Ługu!

Semenom ukrytym na bajdakach serca zabiły niepokojnie. Tajemnicze owo wołanie było im znane dobrze. W ten sposób zaporozcy porozumiewali się z sobą na zimowiskach, w ten także sposób w czasie wojen zapraszali na rozmowę braci kozaków rejestrowych i grodowych, między którymi bywało wielu należących sekretnie do bractwa.

Głos Krzczowskiego rozległ się znowu:

— Czego chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski, oznajmia, że działa na lachę są obrócone.

— Powiedzcie hetmanowi zaporoskiemu, że nasze obrócone na brzegi.

— Pugu! pugu!

— Czego jeszcze chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski, prosi na rozmowę swojego przyjaciela, pana Krzczowskiego pułkownika.

— Niech jeno da zakładników.

— Dziesięciu kurzeniowych.

— Zgoda!

W tej chwili brzegi lachy zakwitły, jakby kwieciami, zaporozcami, którzy popowstawali z pośród traw, między którymi leżeli ukryci. Zdala od stepów nadciągała ich konnica i armaty, ukazały się dziesiątki i setki chorągwi, znamion, buńczuków. Szli ze śpiewaniem i biciem w kotły. Wszystko to razem podobniejsze było do radosnego powitania, niż zetknięcia się wrogich potęg.

Semenowie z bajdaków odpowiedzieli okrzykami. Tymczasem przybyły czółna, wiozące atamanów kurzeniowych. Krzczowski wsiadł w jedno z nich i odjechał

na brzeg. Tam podano mu konia i przeprowadzono natychmiast do Chmielnickiego.

Chmielnicki, ujrawszy go, uchylił czapki, a następnie powitał go serdecznie.

— Mości pułkowniku — rzekł — stary przyjacielu mój i kumie! Gdy pan hetman koronny kazał ci mnie łapać i do obozu odstawić, tyś tego uczynić nie chciał, jeno mię ostrzegłeś, bym się ucieczką salwował, dla którego uczynku winienem ci wdzięczność i miłość braterską.

To mówiąc, rękę uprzejmie wyciągał, ale czarniawa twarz Krzeczowskiego pozostała jak lód zimna.

— Teraz zaś, gdyś się wyratował, mości hetmanie — rzekł — rebelią podniosłeś.

— O swoje to, twoje i całej Ukrainy krzywdy idę się upomnieć, z przywilejami królewskimi w rękę, i w tej nadziei, że pan nasz miłosiwy za złe mi tego nie poczyta.

Krzeczowski począł patrzeć bystro w oczy Chmielnickiemu i rzekł z przyciskiem:

— Kudak obległeś?

— Ja? Chybabym był z rozumu obran. Kudak mi-
nąłem i anim wystrzelił, choć mnie stary ślepiec arma-
tami oznajmiał. Mnie na Ukrainę było pilno, nie do Ku-
daku, i do ciebie było pilno, do starego druha, dobro-
dzieja.

— Czego tedy odemnie chcesz?

— Jedź ze mną trochę w step, to się rozmówim.

Ruszyli końmi i pojechali. Bawili z godzinę. Po powrocie twarz Krzeczowskiego była blada i straszna. Wnet też zaczął żegnać się z Chmielnickim, który rzekł mu na drogę:

— Dwóch nas będzie na Ukrainie, a nad nami jeno król i nikt więcej.

Krzeczowski wrócił do bajdaków. Stary Barabasz, Flik i starszyzna oczekiwali go niecierpliwie.

— Co tam? co tam? — pytano go ze wszystkich stron.

— Wysiadać na brzeg! — odpowiedział rozkazującym głosem Krzeczowski.

Barabasz podniósł senne powieki; jakiś dziwny płomień błysnął mu w oczach.

— Jako? — rzekł.

— Wysiadać na brzeg, poddajem się!

Fala krwi buchnęła na bladą i pożółkłą twarz Barabasza. Wstał z kotła, na którym siedział, wyprostował się i nagle ten zgięty, zgrzybiały starzec zmienił się w olbrzyma, pełnego życia i siły.

— Zdrada! — ryknął.

— Zdrada! — powtórzył Flik, chwytając za rękę jeść rapiera.

Ale nim go wydobył, pan Krzeczowski świsnął szablą i jednym zamachem rozciągnął go na pomoście.

Następnie skoczył z bajdaku w podjazdę tuż stojącą, w której siedziało czterech zaporozców z wiosłami w ręku — i krzyknął:

— Między bajdaki!

Czołno pomknęło jak strzała, pan Krzeczowski zaś, stojąc w środku, z czapką na okrwawionej szabli, z oczyma jak płomienie, krzyczał potężnym głosem:

— Dzieci! nie będziem swoich mordować! Niech żyje Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski!

— Niech żyje! — powtórzyły setne i tysięczne głosy.

— Na pohybel Lachom!

— Na pohybel!!

Wrzaskom z bajdaków odpowiadały okrzyki zaporożców na brzegach. Ale wielu ludzi ze statków, stojących dalej, nie wiedziało jeszcze o co chodzi, dopiero gdy wszędzie rozbiegła się wieść, że pan Krzczowski przechodzi do zaporożców, prawdziwy szal radości ogarnął semenów. Sześć tysięcy czapek wyleciało w górę, sześć tysięcy rusznic huknęło wystrzałami. Bajdaki zatrzęsły się pod stopami mołojców. Powstał tumult i zamieszanie. Wszelako radość owa musiała być krwią oblaną, bo stary Barabasz wolał ginąć, niż zdradzić chorażew, pod którą wiek życia przesłużył. Kilkudziesięciu ludzi czerkaskich opowiedziało się przy nim i wszczęła się bitwa krótka, straszna — jak wszystkie walki, w których garść ludzi, pożądana nie łaski, ale śmierci, broni się tłumom. Ani Krzczowski, ani nikt z kozaków nie spodziewał się takiego oporu. W starym pułkowniku rozbudził się dawny lew. Na wezwanie, by broń złożył, odpowiadał strzałami — i widziano go z buławą w ręku, z rozwianymi białymi włosami, wydającego rozkazy grzmiącym głosem i z młodzieńczą energią. Statek jego otoczono ze wszystkich stron. Ludzie z tych bajdaków, które nie mogły się docisnąć, wskakiwali w wodę i płynąc lub brodząc między oczeretami, chwytając następnie za krawędź statku, wdzierali się nań z wściekłością. Opór był krótki. Wierni Barabaszowi semenowie, sklóci, zrąbani lub porozrywani rękami, zalegli trupem pomost — stary z szablą w ręku bronił się jeszcze.

Krzczowski przedarł się ku niemu.

— Poddaj się! — krzyknął.

— Zdrajco! na pohybel! — odparł Barabasz i wznosił szablę do cięcia.

Krzeczowski cofnął się szybko w tłum.

— Bij! — zawołał do kozaków.

Ale zdawało się, że nikt nie chce pierwszy podnieść ręki na starca. Na nieszczęście jednak pułkownik poślizgnął się we krwi i upadł.

Leżący nie wzbudzał już tego szacunku, czy też przestachu, i wnet kilkanaście ostrzów pograżyło się w jego ciało. Starzec zdołał tylko wykrzyknąć: „Jezus Marya!“.

Zaczęto siekać leżącego i rozsiekano w kawałki. Uciętą głowę przrzucano z bajdaku do bajdaku, bawiąc się nią jak piłką, dopóty, dopóki po niezręcznym rzuceniu nie wpadła w wodę.

Pozostawali jeszcze Niemcy, z którymi trudniejsza była sprawa, bo regiment składał się z tysiąca starego i wyćwiczonego w różnych wojnach żołnierza.

Dzielny Flik poległ wprawdzie z ręki Krzeczowskiego, ale na czele regimentu pozostał Johan Werner, podpułkownik, weteran jeszcze z trzydziestoletniej wojny.

Krzeczowski pewny był prawie zwycięstwa, gdyż bajdaki niemieckie otoczone były ze wszystkich stron kozackimi, chciał jednak zachować dla Chmielnickiego tak znaczny zastęp niezrównanej i doskonale uzbrojonej piechoty, dlatego wołał z nimi rozpocząć układy.

Zdawało się przez jakiś czas, że Werner zgadza się na nie, gdyż rozmawiał spokojnie z Krzeczowskim i słuchał uważnie wszelkich obietnic, jakich mu przeniewierczy pułkownik nie szczędził. Żold, z którym Rzeczpospolita była zaległa, miał być natychmiast za ubiegły

czas i za rok jeszcze z góry wyplacony. Po roku knechtowie mogli się udać, gdzieby chcieli, choćby nawet do obozu koronnego.

Werner niby namyślał się, ale tymczasem wydał cicho rozkazy, by bajdaki przysunąć do siebie tak, aby utworzyły jedno zwarte koło. Na okręgu tego koła stanął mur piechurów, ludzi rosłych i silnych, przybranych w żółte kolety i takiejże barwy kapelusze, w zupełnym szyku bojowym, z lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału i z muszkietami przy prawym boku.

Werner z obnażoną szpadą w ręku stał w pierwszym szeregu i namyślał się długo.

Nakoniec podniósł głowę.

— Herr Hauptmann! — rzekł — zgadzamy się!

— Nie straciecie na nowej służbie — zawołał z radością Krzeczowski.

— Ale pod warunkiem...

— Zgadzam się z góry.

— Jeżeli tak, to i dobrze. Nasza służba u Rzeczypospolitej kończy się w czerwcu. Od czerwca pójdziemy do was.

Przekleństwo wyrwało się z ust Krzeczowskiego, powstrzymał jednak wybuch.

— Czy kpisz, mości lejtnancie? — spytał.

— Nie! — odparł z flegmą Werner. — Nasza cześć żołnierska każe nam układu dotrzymać. Służba kończy się w czerwcu. Służymy za pieniądze, ale nie jesteśmy zdrajcami. Inaczej niktby nas nie najmował, a i wy sami nie ufalibyście nam, bo ktoby wam ręczył, że w pierwszej bitwie nie przejdziem znowu do hetmanów.

— Czego tedy chcecie?

— Byście nam dali odejść.

— Nie będzie z tego nic, szalony człowiecze! Każę was w pień wyciąć.

— A ilu swoich stracisz?

— Noga z was nie ujdzie.

— Połowa z was nie zostanie.

Obaj mówili prawdę, dlatego Krzeczowski, chociaż flegma Niemca wzburzyła w nim wszystką krew, a wściekłość poczynała go dławić, nie chciał jeszcze rozpocząć bitwy.

— Nim słońce zejdzie z lachy — zawołał — namyślcie się, poczem każę cyngłów ruszać!

I odjechał pośpiesznie w swojej podjazdce, by się z Chmielnickim naradzić.

Nastąpiła chwila oczekiwania. Bajdaki kozackie otoczyły ciasniejszym pierścieniem Niemców, którzy zachowywali chłodną postawę, jaką tylko stary i bardzo wyćwiczony żołnierz zdoła zachować wobec niebezpieczeństwa. Na groźby i obelgi, wybuchające co chwila z kozackich bajdaków, odpowiadali pogardliwym milczeniem. Był to prawdziwie imponujący widok tego spokoju wśród coraz silniejszych wybuchów wściekłości ze strony młojców, którzy, potrząsając groźnie spisami i „piszczelami“, zgrzytając zębem i klnąc, oczekiwali niecierpliwie hasła do boju.

Tymczasem słońce, skręcając od południa ku zachodniej stronie nieba, zdejmowało zwolna swoje złote blaski z lachy, która stopniowo pogrążała się w cieniu.

Nakoniec pogrążyła się zupełnie.

Wówczas zagrała trąbka, a zaraz potem głos Krzeczowskiego ozwał się z daleka:

— Słońce zeszło! czy już namyśliliście się?

— Już! — odparł Werner. — I zwróciwszy się ku żołnierzom, machnął obnażoną szpadą.

— Feuer! — skomenderował spokojnym, flegmatycznym głosem.

Huknęło! Plusk ciał wpadających do wody, okrzyki wściekłości i gorączkowa strzelanina odpowiadały na głos niemieckich muszkietów. Armaty zatoczone na brzeg ozwały się basem i poczęły ziać kule na niemieckie bajdaki. Dymy przesłoniły lachę zupełnie — i tylko wśród krzyków, huku, poświstu strzał tatarskich, grzechotania „piszczeli“ i samopałów, regularne salwy muszkietów zwiastowały, że Niemcy bronią się ciągle.

O zachodzie słońca bitwa wrzała jeszcze, ale zdawała się słabnąć. Chmielnicki, w towarzystwie Krzeczowskiego, Tuhaj-beja i kilkunastu atamanów, przyjechał na sam brzeg rekognoskować walkę. Rozdęte jego nozdrza wciągały dym z prochu, a uszy napawały się z lubością wrzaskiem tonących i mordowanych Niemców. Wszyscy trzej wodzowie patrzyli na rzeź, jakby na widowisko, które zarazem stanowiło pomyslną dla nich wróżbę.

Walka ustawała. Wystrzały umilkły, a natomiast coraz głośniejsze okrzyki kozackiego tryumfu biły o niebo.

— Tuhaj-beju! — rzekł Chmielnicki — to dzień pierwszego zwycięstwa.

— Jassyru niema! — oburknął murza — nie chcę takich zwycięstw!

— Weźmiesz go na Ukrainie. Cały Stambuł i Galatę napelnisz swymi jeńcami!

— Wezmę choć ciebie, jak nie będzie kogo!

fnięte. Tymczasem stało się inaczej. Chmielnicki wzmo-
cnił się przez zdradę Krzeczowskiego kilkoma tysiącami
ludzi, a nad młodym Potockim zawisło straszliwe nie-
bezpieczeństwo. Pozbawionego pomocy i zabląkanego
w pustyniach, łatwo teraz mógł Chmielnicki otoczyć
i zgnieść zupełnie.

W bólach od ran, w niepokoju, w czasie nocy bez-
sennych, pocieszał się Skrzetuski tylko myślą o księciu.
Gwiazda Chmielnickiego musi przecie zblednąć, gdy księżę
podniesie się w swoich Łubniach. A któż może wiedzieć,
czy on już nie połączył się z hetmany? Jakkolwiek zna-
czne były siły Chmielnickiego, jakkolwiek początki po-
chodu pomyślne, jakkolwiek szedł z nim Tuhaj-bej,
a w razie niepowodzenia obiecał ruszyć w pomoc sam
„carz“ krymski, Skrzetuskiemu ani w głowie nie po-
wstała myśl, by ta zawierucha mogła trwać długo, by
jeden kozak mógł wstrząsnąć całą Rzeczpospolitą i zła-
mac groźną jej siłę. U progów ukraińnych ta fala się
rozbije — myślał namiestnik. Jakże to bowiem kończyły
się wszystkie bunty kozackie? Wybuchaly jak płomień
i gasły po pierwszym zetknięciu się z hetmanami. Tak
było aż dotąd. Gdy z jednej strony stawało do boju
gniazdo drapieżników niżowych, z drugiej potęga, której
brzegi oblewały dwa morza — rozwiązanie łatwem było
do przewidzenia. Burza nie może być trwałą, więc przejdzie
— i nastanie pogoda. Ta myśl krzepiła pana Skrze-
tuskiego i, można rzec, utrzymywała go na nogach, bo
zresztą ciężyło na nim brzemie tak ciężkie, jakiego ni-
gdy dotąd w życiu nie dźwigał. Burza choć przejdzie,
może spustoszyć pola, zburzyć domy i naczynić szkód
niepowetowanych. Oto z przyczyny tej burzy, on sam
o mało życia nie stracił, sił się zbawił i popadł w gorzką

ROZDZIAŁ XV.

Namiestnik, słysząc bitwę, wyczekiwał ze drżeniem jej końca, sądząc początkowo, że Chmielnicki potyka się ze wszystkimi siłami hetmanów.

Ale pod wieczór, stary Zachar wyprowadził go z błędu. Wieść o zdradzie semenów pod wodzą Krzeczowskiego i wycięciu Niemców wzburzyła do głębi duszy młodego rycerza, była bowiem zapowiedzią przyszłych zrad, a namiestnik wiedział doskonale, że nie mała część wojsk hetmańskich składa się przeważnie z kozaków.

Udręczenia namiestnika wzrastały, a tryumf w zaporoskim obozie dorzucał jeszcze do nich goryczy. Wszystko zapowiadało się jak najgorzej. O księciu nie było wieści — a hetmani popełnili widocznie straszny błąd, gdyż zamiast ruszyć wszystką potęgą ku Kudakowi, albo zresztą czekać nieprzyjaciela w warownych obozach na Ukrainie, rozdzielili siły, osłabili się dobrowolnie, dali szerokie pole wiarołomstwu i zdradzie. W obozie zaporoskim mówiono wprawdzie już poprzednio o panu Krzeczowskim i o osobnem wysłaniu wojsk pod wodzą Stefana Potockiego, ale namiestnik nie dawał wiary tym wieściom. Sądził, że to są silne podjazdy, które w porę będą co-

na milę i dalej od obozu mając¹⁾). Tak zbliżył się ku Żółtej wodzie. Złapano znowu dwóch języków. Ci potwierdzili szczupłość sił koronnych i donieśli, iż kasztelan przeprowił się już przez Żółtą wodę. Zasłyszawszy to, Chmielnicki stanął jak wryty na miejscu i okopał się wałami.

Serce mu biło radośnie. Jeżeli Potocki odważy się na szturm, tedy musi być pobity. Kozacy nie umieją dostać w polu pancernym, ale z za wału biją się doskonale i w tak wielkiej przewadze sił szturmie niechybnie odeprą. Chmielnicki liczył na młodość i niedoświadczenie Potockiego. Ale przy młodym kasztelanie był doświadczony żołnierz, staroście żywiecki, pan Stefan Czarniecki, pułkownik usarski. Ten spostrzegł niebezpieczeństwo i skłonił kasztelana, by cofnął się napowrót za Żółtą wodę.

Chmielnickiemu nie pozostało nic innego, jak ruszyć za nimi. Drugiego dnia przeprowiwszy się przez topieliska żółtowodzkie, oba wojska stanęły sobie oko w oko.

Ale żaden z wodzów nie chciał uderzyć pierwszy. Nieprzyjazne obozy poczęły pośpiesznie otaczać się szanćcami. Była to sobota, dzień 5-ty maja. Cały dzień deszcz lał obficie. Chmury zawałyły tak niebo, iż od południa panował mrok, jakoby w dniu zimowym. Pod wieczór ulewa zwiększyła się jeszcze. Chmielnicki ręce zacierał z radości.

— Niech jeno step rozmięknie — mówił do Krzeczowskiego — a nie będę się wahał wstępnym bojem i z usaryą się potkać, gdyż oni w swych ciężkich zbrojach w błocie potoną.

¹⁾ Samoił Weliczko, 62.

A deszcz padał i padał, jakby samo niebo chciało Zaporozu przyjść w pomoc.

Wojska okopywały się leniwie i posepnie, wśród strug wody. Ognia nie można było rozpalić. Kilka tysięcy ordynców wyszło z obozu pilnować, aby tabor polski, korzystając z mgły, fali i nocy, nie próbował się wymknąć. Poczem zapadła cisza głęboka. Słychać było tylko szelest ulewy i szum wiatru. Zapewne też nikt nie spał w obu obozach.

Nad ranem trąby zagrały w polskim obozie długo i żałośnie, jakby na trwogę, potem bębny tu i owdzie zaczęły warczeć. Dzień wstawał smutny, ciemny, wilgotny, nawałnica ustała, ale padał jeszcze drobny deszczyk, jakoby przesiewany przez sito.

Chmielnicki kazał uderzyć z działa.

Za niem wnet ozwało się drugie, trzecie, dziesiąte, i gdy z obozu do obozu zaczęła się zwykła z armat „korespondencya“, pan Skrzetuski rzekł do swego kozackiego anioła stróża:

— Zachar, wyprowadź mię na szaniec, abym zaś mógł widzieć, co się dzieje.

Zachar sam był ciekawy, więc nie stawiał oporu. Poszli na wysoki narożnik, skąd widać było jak na dłoni zakłęśłą nieco dolinę stepową, topieliska żółtowodzkie i oba wojska. Ale zaledwie pan Skrzetuski spojrział, wraz się uchwycił za głowę i wykrzyknął:

— Na Boga żywego! toż to jest podjazd, nic więcej!

Rzeczywiście, wały obozu kozackiego rozciągały się blisko na ćwierć mili, gdy tymczasem polski wyglądał w porównaniu z nim, jak szaniec tylko. Nierówność sił była tak wielka, że zwycięstwo kozaków nie mogło być wątpliwem.

Ból ścisnął serce namiestnika. Nie nadeszła więc jeszcze godzina upadku dla pychy i buntu, a ta, co nadejdzie, ma być nowym jego tryumfem! Tak się przynajmniej zdawało.

Harce pod ogniem dział były już rozpoczęte. Z narożnika widać było pojedynczych jeźdźców, albo gromadki ich, ścierające się ze sobą. To Tatarzy harcowali z semenami Potockich, przybrzanymi w granatowe i żółte barwy. Jeźdźcy dopadali do siebie i odskakiwali szybko, zajeżdżali się wzajemnie z boków, godzili w siebie z pistoletów i luków, lub włóczniami starali się chwycić wzajemnie na arkany. Utarczki owe wydawały się z daleka raczej zabawą, i tylko konie, biegające tu i owdzie bez jeźdźców po błoniu, wskazywały, że tam przecie chodzi o śmierć i życie.

Tatarów wysypywało się coraz więcej. Wkrótce błonie zaczęło się od zbitych ich mas, wówczas też i z obozu polskiego poczęły wysuwać się coraz nowe chorągwie i ustawiać się w szyku bojowym przed okopem. Było tak blisko, że pan Skrzetuski bystrym swym wzrokiem odróżnić mógł wyraźnie znaki, buńczuki, a nawet rotmistrzów i namiestników, którzy stawali koźmi trochę bokiem przy chorągwiach.

Serce poczęło w nim skakać, na bladą twarz były rumieńce i jak gdyby mógł znaleźć wdzięcznych słuchaczy w Zacharze i kozakach, stojących przy działach na narożniku, wołał z uniesieniem, w miarę jak chorągwie wysuwały się z za okopu:

— To dragonia pana Bałabana, widziałem ich w Czerkasach!

— To wołoska chorągiew; krzyż mają w znaku!

— O! ono piechota zstępuje z wałów!

Poczem jeszcze z większem uniesieniem, otworzywszy ręce:

— Usarya! usarya pana Czarnieckiego!

Istotnie ukazała się i husarya, nad nią chmura skrzydeł i sterczący w górę las włóczni, zdobnych w złotawe kitajki i w długie zielono-czarne proporce. Wyjechali szóstkami z okopu i ustawili się pod wałem, a na widok ich spokoju, powagi i sprawności, aż lzy radośne ukazały się w oczach pana Skrzetuskiego i zaćmiły mu wzrok na chwilę.

Choć siły były tak nierówne, choć naprzeciwno tych kilku chorągwi czerniała cała lawa zaporożców i Tatarów, którzy jak zwykle zajęli skrzydła, choć szyki ich tak rozciągnęły się po stepie, że końca ich trudno było dojrzeć, pan Skrzetuski wierzył już w zwycięstwo. Twarz mu się śmiała, siły wróciły, oczy wytężone na błonie strzelały ogniem, jeno na miejscu ustać nie mógł.

— Hej, *detyno!* — mruknął stary Zachar — chciałyby dusza do raju!

Tymczasem kilka luźnych oddziałów tatarskich, z krzykiem i hallakowaniem, rzuciło się naprzód. Z obozu odpowiedziano strzałami. Ale był to tylko postrach. Tatarzy, nie dobiegłszy nawet do polskich chorągwi, pierzchnęli na obie strony ku swoim i znikli w tłumie.

Wtem ozwał się wielki bęben siczowy, a na jego głos wnet olbrzymi półksiężyc kozacko-tatarski ruszył z kopyta naprzód. Chmielnicki próbował widocznie, czy jednym zamachem nie zdoła zgnieść owych chorągwi i zająć obozu. W razie popłochu byłoby to możliwem. Wszelako nic podobnego nie okazywało się między polskimi chorągwiami. Stały one spokojnie, rozwinięte w dość długą linią, której tył zasłaniał okop, boki zaś

działa taborowe, tak, że można było na nią uderzyć tylko z frontu. Przez chwilę zdawało się, że przyjmą bitwę na miejscu, ale gdy półksiężyc przebiegł już połowę błonia, ozwały się w okopie trąbki do ataku — i nagle płot kopii, sterczących aż dotąd ku górze, zniżył się od razu do głów końskich.

— Usarya uderza! — krzyknął pan Skrzetuski.

Jakoż pochylili się w siodłach i ruszyli naprzód, a zaraz za nimi dragońskie chorągwie i cała linia bojowa.

Uderzenie husarzy było straszne. W pierwszym impecie trafili na trzy kurzenie, dwa Steblowskie i Mirhorodzki — i starli je w mgnieniu oka. Wycie doszło aż do uszu pana Skrzetuskiego. Konie i ludzie zwaleni z nóg olbrzymim ciężarem żelaznych jeźdźców, padli jak łan pod tchnieniem burzy. Opór trwał tak krótko, że Skrzetuskiemu zdało się, iż jakiś olbrzymi smok połknął jednym haustem te trzy pułki. A był to przecie najzaciętszy żołnierz siczowy. Przerażone szumem skrzydeł konie zaczęły roznosić popłoch w szeregach zaporoskich. Pułki Irklejewski, Kałnibołocki, Miński, Szkuryński i Titorowski zmieszały się zupełnie, a naciskane przez masy pierzchających, jęły i same ustępować bezładnie. A tymczasem dragonia dognała husarzy i rozpoczęła wraz z nimi krwawe żniwo. Kurzeń Wiasiuryński pierzchnął po zaciętym, ale krótkim oporze i gnał w dzikim popłochu aż do samych okopów kozackich. Środek sił Chmielnickiego chwiał się coraz bardziej i bity, spędzany w bezładne gromady, cięży mieczami, party żelazną nawalą, nie mógł uchwycić chwili, by przystanąć i sprawić się na nowo.

— Czorty, ne Lachy! — krzyknął stary Zachar.

Skrzetuski był jakby w obląkaniu. Chorym będąc,

nie umiał panować nad sobą, więc śmiał się i płakał jednocześnie, a chwilami krzychał słowa komendy, jakby sam chorągiew prowadził. Zachar trzymał go za poły i innych w pomoc musiał wołać.

Bitwa przybliżyła się tak do taboru kozackiego, że niemal twarze można było już rozeznaczyć. Z okopów bito z dział, ale kule kozackie, kładąc zarówno swoich, jak nieprzyjaciół, powiększały jeszcze zamieszanie.

Husary natknęła się na kurzeń Paszkowski, który stanowią gwardyą hetmańską i w środku którego był sam Chmielnicki. Nagle krzyk straszny rozległ się po wszystkich szeregach zaporoskich: wielka chorągiew malinowa zachwiała się i padła.

Ale w tej chwili Krzeczowski na czele pięciu tysięcy swoich semenów ruszył do boju. Siedząc na bułanym ogromnym koniu, leciał w pierwszym szeregu, bez czapki, z szablą nad głową, zgarniając przed sobą rozproszonych niżowców, którzy, spostrzegłszy nadchodzącą pomoc, choć i bez ordynku, wracali do ataku. Bitwa zawrzała w środku linii na nowo.

Na obu skrzydłach szczęście również nie dopisało Chmielnickiemu. Tatarzy, po dwakroć odparci przez wołoskie chorągwie i semenów Potockich, stracili całkiem ochotę do boju. Pod Tuhaj-bejem ubito dwa konie. Zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę młodego Potockiego.

Bitwa jednak nie trwała już długo. Ulewa, która od niejakiego czasu wzrastała coraz bardziej, wkrótce zwiększyła się do tego stopnia, że przez fale dżdżowe świata nie było widać. Już nie strugi, ale potoki deszczu spadały na ziemię z otwartych upustów niebieskich. Step zmienił się w jezioro. Zrobiło się tak ciemno, że o kilka

kroków człowiek człowieka nie odróżniał. Szum deszczu głuszył komendę. Zamoczone muszkiety i samopaly umilkły. Samo niebo położyło koniec rzezi.

Chmielnicki przemoczony do nitki, wściekły, wpadł do swego taboru. Nie przemówił do nikogo ani słowa. Rozbito mu namiocik ze skór wielbłądzych, pod który schroniwszy się, siedział samotny, przezuwając gorzkie myśli.

Ogarniała go rozpacz. Teraz dopiero pojął, jakiego to jął się dzieła. Oto był pobity, odparty, niemal złamany, w bitwie z tak małymi siłami, że słusznie mógł je za podjazd uważać. Wiedział on, jak wielką była siła odporna wojsk Rzeczypospolitej, i brał to w rachubę, gdy się na wojnę odważył, a przecie przeliczył się. Tak przynajmniej zdawało mu się w tej chwili, więc chwycił się za podgolony łeb i pragnął rozbić go o pierwsze spotkane działo. Cóż dopiero, gdy przyjdzie mieć sprawę z hetmanami i z całą Rzeczpospolitą?

Rozmyślania przerwało wejście Tuhaj-beja.

Oczy Tatara pałały wściekłością, twarz była biała, a zęby błyskały z za warg nieobrosłym wąsem.

— Gdzie łupy, gdzie jeńcy, gdzie głowy wodzów, gdzie zwycięstwo? — pytał ochryplym głosem.

Chmielnicki zerwał się z miejsca.

— Tam! — odparł gromko, ukazując w stronę koronnego taboru.

— Idźże tam! — ryknął Tuhaj-bej — a nie pójdziesz, to cię na sznurze do Krymu powiodę.

— Pójdę! — rzekł Chmielnicki — pójdę dziś jeszcze! łupy wezmę i jeńców wezmę, ale ty zdasz sprawę chanowi, bo łupu chcesz, a boju unikasz!

— Psie! — zawył Tuhaj-bej — ty gubisz wojsko chanowe!

I chwilę stali naprzeciw siebie, parszając nozdrzami. Ochłonął pierwszy Chmielnicki.

— Tuhaj-beju uspokój się! — rzekł. — Fala prze-
rwała bitwę, gdy Krzczowski złamał już dragonią. Ja
ich znam! Jutro już z mniejszą furją bić się będą. Step
rozmięknie do reszty. Husaryja ulegnie. Jutro wszyscy
będą nasi.

— Rzekłeś! — burknął Tuhaj-bej.

— I dotrzymam. Tuhaj-beju, mój przyjacielu, chan
mi cię na pomoc przysłał, nie na biedę.

— Przymkniesz zwycięstwa, nie klęski.

— Wzięto trochę jeńców z dragonii, których ci
oddam.

— Oddaj. Każę ich na pal powbijać.

— Nie czyn tego. Puść ich wolno. To ludzie
ukrainni z pod chorągwi Bałabana, pošlem ich, by dra-
ganów na naszą stronę przeciagnęli. Będzie tak, jak
z Krzczowskim.

Tuhaj-bej udobruchał się; spojrział bystro na Chmiel-
nickiego i mruknął:

— Wężu...

— Chytróść tyle co męstwo warta. Jeśli draganów
do zdrady namówim, noga z taboru nie ujdzie — ro-
zumiesz!

— Potockiego ja wezmę.

— Dam ci go — i Czarnieckiego także.

— Daj teraz gorzałki, bo zimno.

— Zgoda.

W tej chwili wszedł Krzczowski. Pułkownik był
ponury, jak noc. Przyszłe požądane starostwa, kasztela-

nie, zamki i skarby zasunęły się jakby mgłą po dzisiejszej bitwie. Jutro mogą zniknąć całkowicie; a może z owej mgły wynurzy się, zamiast nich, strycek lub szubienica. Gdyby nie to, że pułkownik, wyciąwszy Niemców hetmańskich, spalił za sobą mosty — byłby z pewnością teraz rozmyślał, jak z kolei zdradzić Chmielnickiego, a przejść z semenami do obozu Potockiego.

Ale było to już niemożliwe.

Siedli tedy we trzech nad gąsiorem gorzałki i poczęli pić w milczeniu. Szum ulewy ustawał zwolna.

Zmierzchało.

Pan Skrzetuski, wyczerpany z radości, osłabły, blady, leżał nieruchomie na teledze. Zachar, który go pokochał, kazał swoim kozakom rozpiąć i nad nim wojłokowy daszek. Namiestnik słuchał posępnego szumu ulewy, ale w duszy było mu widno, jasno, błogo. Oto jego husarze pokazali co umieją, oto jego Rzeczpospolita dała opór godny swego majestatu, oto pierwszy impet kozackiej burzy rozbił się już na ostrzach włóczni wojsk koronnych. A przecie są jeszcze hetmani, jest książę Jeremi i tylu panów, tyle szlachty; tyle potęgi, nad tem wszystkim zaś król — primus inter pares.

Duma podnosiła piersi pana Skrzetuskiego, jak gdyby cała potęga była w nim teraz.

W poczuciu jej, po raz pierwszy od czasu utraty wolności na Siczy, poczuł pewną litość nad kozakami: winni są, ale i zaślepieni, gdy z motyką na słońce się porwali — pomyślał. Winni są, ale nieszczęśni, gdy dali się porwać jednemu człowiekowi, który ich na oczywistą zgubę prowadzi.

Potem myśl jego wędrowała dalej. Nastanie spokój, a wówczas każdy o swem prywatnem szczęściu bę-

dzie miał prawo pomyśleć. Tu pamięcią i duszą zawisnął nad Rozlogami. Tam, w bliskości lwiej jamy musi być cicho jak makiem siał. Tam bunt nigdy głowy nie podniesie, a choćby podniósł — Helena już w Łubniach niezawodnie.

Nagle huk dział przerwał złote nici jego rozmyślań.

To Chmielnicki, upiwszy się, wyprowadził znowu pułki do ataku.

Ale skończyło się na grze z dział. Krzeczowski pohamował hetmana.

Nazajutrz była niedziela. Cały dzień zeszedł spokojnie i bez wystrzału. Obozy leżały naprzeciw siebie, jakby obozy dwóch wojsk sprzymierzonych.

Skrzetuski przypisywał tę ciszę zniechęceniu kozaków. Niestety! nie wiedział, że tymczasem Chmielnicki, „mnogiemi oczyma swego umu patrząc przed siebie“, pracował nad przeciągnięciem na swą stronę draganów Bałabana.

W poniedziałek bitwa zawrzała od świtu. Skrzetuski patrzył na nią, jak i pierwej, z uśmiechniętą, wesołą twarzą. I znowu pułki koronne wystąpiły przed okop, tym jednak razem nie puszczając się do ataku, dawały wstręt nieprzyjacielowi z miejsca. Step rozmoknął nie tylko na powierzchni, jak pierwszego dnia bitwy, ale do głębi. Ciężka jazda nie mogła się prawie poruszać, co od razu dało przewagę lotnym chorągwiom zaporoskim i tatarskim. Uśmiech zwolna ginął z ust Skrzetuskiego. Pod polskim okopem nawałnica atakujących pokryła prawie zupełnie wązkie pasmo chorągwi koronnych. Zdawało się, że lada moment łańcuch ów rozerwany zostanie i rozpocznie się atak wprost do okopów. Pan Skrzetuski nie widział ani połowy tego ani-

muszu, tej ochoty bojowej, z jaką chorągwie walczyły dnia pierwszego. Broniły się i dziś z zaciętością, ale nie uderzyły pierwsze, nie rozbijały w puch kurzeniów, nie zmiatały pola przed sobą, jak huragan. Grunt stepowy, rozmiękły nie na powierzchni tylko, ale do głębi, uniemożliwiał furją i rzeczywiście przygwoździł ciężką jazdę pod okopem. Rozpęd stanowił jej siłę i rozstrzygał o zwycięstwie, a tymczasem teraz musiała stać w miejscu. Chmielnicki zaś wprowadzał coraz nowe pułki do boju. Sam był wszędzie. Każdy kurzeń osobiście wiódł do ataku i wycofywał się dopiero tuż przed szablami nieprzyjaciół. Zapal jego udzielał się stopniowo zaporożcom, więc choć padali gęstym trupem, biegli na wysięgi pod okop, z krzykiem i wyciem. Uderzali o mur żelaznych piersi, o ostrza włóczni, i rozbici, zdziesiątkowani, wracali znowu do ataku. Pod tym naporem chorągwie poczęły się kolebać, uginać, miejscami cofać, tak właśnie, jak zapaśnik chwycony w żelazne ramiona przeciwnika, to słabnie, to się znów wysila i wzmaga.

Przed południem wszystkie niemal siły zaporoskie były w ogniu i w bitwie. Walka wrzała tak zacięcie, że między dwoma liniami walczących, utworzył się jak gdyby nowy wał — trupów końskich i ludzkich.

Co chwila do okopów kozackich wracały z bitwy gromady wojowników rannych, pokrwawionych, pokrytych błotem, zziajanych, upadających ze zmęczenia. Ale wracali ze śpiewaniem na ustach. Z twarzy ich bił żar bitwy i pewność zwycięstwa. Mdlejąc, wołali jeszcze: „na pohybel!“ Załoga zostawiona w obozie rwała się do boju.

Pan Skrzetuski sposepniał. Chorągwie polskie poczęły się zmykać do okopów. Nie mogły już wytrzymać, a w odwrócenie ich znać było gorączkowy pośpiech. Na

ten widok dwadzieścia kilka tysięcy ust wrzasnęło radośnie. Impet ataku zdwoił się. Zaporozcy siedli na kark semenom Potockich, którzy zasłaniali odwrót.

Ale armaty i grad kul muszkietowych odrzucili ich w tył. Bitwa na chwilę ustała. W obozie polskim rozległ się odgłos trąbki parlamentarskiej.

Chmielnicki jednak nie chciał już parlamentować. Dwanaście kurzeniów zsiadło z koni, by wspólnie z piechotą i Tatarami rozpocząć szturm do wałów.

Krzeczowski w trzy tysiące piechoty miał im przyjść w pomoc w chwili stanowczej. Wszystkie kotły, bębny, litaury i trąby ozwały się naraz, głusząc okrzyki i salwy muszkietów.

Pan Skrzetuski ze drżeniem patrzył na głębokie szeregi niezrównanej piechoty zaporoskiej, biegnącej ku wałom i otaczającej je coraz ciasniejszym pierścieniem. Długie smugi białego dymu wybuchały ku niej z okopów, jakby jakaś olbrzymia pierś chciała oddmuchać tę szarańczę, cisnącą się nieubłaganie ze wszystkich stron. Kule armatnie ryły w niej bruzdy, strzały samopalów stały się coraz szybsze. Huk nie ustawał ani na chwilę — mrowie topniało w oczach, skręcało się miejscami konwulsyjnie, jak olbrzymi wąż zraniony, ale szło naprzód. Już, już dobiegają! już są pod okopem! — armaty już im szkodzić nie mogą! Pan Skrzetuski przymknął powieki.

I teraz, pytania szybkie jak błyskawice przelatywały mu przez głowę: gdy otworzy oczy, czy dojrzy jeszcze polskie proporce na wałach? Dojrzy — nie dojrzy? Tam gwar coraz większy, tam wrzask jakiś niezwykły. Musiało się coś stać? Krzyki dochodzą ze środka obozu. Co to jest? Co się stało?

— Boże wszechmocny!

Okrzyk ten wyrwał się z ust pana Skrzetuskiego, gdy otworzywszy oczy, ujrzał na wałach, zamiast wielkiej złotej chorągwi koronnej, malinową z Archaniołem.

Obóz był zdobyty.

Wieczorem dopiero dowiedział się od Zachara namiestnik o całym przebiegu szturm. Nie próżno Tuhajbej nazywał Chmielnickiego wężem, bo oto w chwili najzaciętszej obrony, podmówiona przez niego Bałabonowa dragonia, przeszła do kozaków i rzuciwszy się z tyłu na swoje chorągwie, dopomogła do wytępienia ich ze szczętem.

Wieczorem widział namiestnik jeńców i był przy śmierci młodego Potockiego, który, mając gardło przebite strzałą, żył tylko kilka godzin po bitwie i umarł na rękę pana Stefana Czarnieckiego: „Powiedźcie ojcu — szeptał w ostatniej chwili młody kasztelan — powiedźcie ojcu — żem... jako rycerz...” i nie mógł nic więcej dodać. Dusza jego opuściła ciało i uleciała ku niebu. Skrzetuski długo potem pamiętał tę bladą twarz i te błękitne oczy, wzniesione w chwili śmierci. Pan Czarniecki ślub czynił nad stygnącym ciałem, że da-li mu Bóg wolność odzyskać, a potokami krwi śmierć przyjaciela i hańbę klęski obmyje. I ani łza nie ciekła po surowem jego obliczu, bo to był rycerz żelazny, wielce już czynami odwagi wsławiony i człowiek żadnem nieszczęściem nieugięty. Jakoż śluby spełnił. Teraz zamiast desperacyi się poddawać, pierwszy krzepił Skrzetuskiego, któren cierpiał strasznie nad klęską i hańbą Rzeczypospolitej. Rzeczpospolita niejedną klęskę poniosła, mówił pan Czarniecki, ale ma ona w sobie siłę niespożytą. Nie złamała jej dotąd żadna potęga, nie złamią i bunty chłopów, których

Bóg sam pokarze, gdyż występując przeciw zwierchności, Jego to woli się oponują. A co do klęski, prawda, iż jest żalną — ale któż tę klęskę poniósł? hetmani? wojska koronne? — nie! Po odlączeniu się i zdradzie Krzeczowskiego, oddział ów, którego prowadził Potocki, tylko za podjazd mógł być uważany. Bunt niechybnie rozejdzie się po całej Ukrainie, gdyż chłopstwo tam harde i do boju wprawione, ale bunt tam, to przecie nie pierwszozna. Zgaszą go hetmani z księciem Jeremim, których siły nieporuszone dotąd stoją — im zaś potężniej wybuchnie, tem, raz zgaszony na dłużej, a może na zawsze, ucichnie. Małej wiary i małego serca człowiekiem byłby ten, ktoby mógł przypuszczać, iż jakiś watażka kozacki, na wspólną z jednym murzą tatarskim, naprawdę mogą potężnemu narodowi zagrozić. Żeby było z Rzeczpospolitą, gdyby prosta zawierucha chłopska miała stanowić o jej losie, o jej egzystencji. Zaiste, z pogardą ciągnęliśmy na ową wyprawę — kończył pan Czarniecki — a choć podjazd starto, mniemam, że hetmani nie mieczem, nie bronią, ale batogami mogą ten bunt przytłumić.

I gdy tak mówił, zdawało się, że to mówi nie jeńiec, nie żołnierz po przegranej bitwie, ale dumny hetman pewny jutrzejszego zwycięstwa. Ta wielkość duszy i wiara w Rzeczpospolitą, spłynęły jako balsam na rany namiestnika. Patrzył on z blizka na potęgę Chmielnickiego, więc go też i osłepiła trochę, tembardziej, że aż dotąd szły za nią powodzenia. Ale pan Czarniecki musiał mieć słusność. Siły hetmanów stoją jeszcze nieporuszone, a za nimi cała potęga Rzeczypospolitej, zatem prawa, władzy i woli Boskiej. Odchodził tedy namiestnik bardzo na duszy pokrzepion i weselszy, a odchodząc, spytał

jeszcze pana Czarnieckiego, czyby nie chciał zaraz układow z Chmielnickim o wolność rozpocząć.

— Tuhaj-bejowym jestem jeńcem — rzekł pan Stefan — jemu też okup zapłacę, a z tym watażką nie chcę mieć do czynienia i katu go oddaję.

Zachar, który panu Skrzetuskiemu ułatwił widzenie się z więźniami, odprowadzając go do telegi, również go po drodze pocieszał:

— Nie z młodym Potockim trudno — mówił — z hetmany będzie trudno. Dzieło dopiero poczęte, a jaki będzie koniec — Bóg wie! Hej, nabrali kozacy i Tatarzy polskiego dobra, ale wziąć, a zachować, inna rzecz. A ty się, *detyno*, nie martw, nie *sumuj*, bo i tak wolność odzyskasz — ty ruszysz do swoich, a stary będzie już tużył po tobie. Na starość najgorzej samemu na świecie. Z hetmany będzie trudno, oj! trudno!“

Rzeczywiście, zwycięstwo, jakkolwiek świetne, nie rozstrzygało bynajmniej sprawy na korzyść Chmielnickiego. Mogło mu ono nawet wypaść na niekorzyść, bo łatwo było przewidzieć, że teraz hetman wielki, mszcząc śmierć syna, ze szczególną zawziętością nastawać będzie na zaporozców i niczego nie omieszka, żeby ich zgnieść od razu. Hetman wielki oto, żywił pewną niechęć do księcia Jeremiego, która choć pokrywana grzecznością, niemniej objawiała się dość często w rozmaitych okolicznościach. Chmielnicki, wiedząc o tem doskonale, przypuszczał, że teraz niechęć ta ustanie, i że teraz pan krakowski pierwszy wyciągnie rękę do zgody, która zapewni mu pomoc wsławionego wojownika i jego potężnych zastępów. A z tak połączonymi siłami, pod takim wodzem jak książę, Chmielnicki jeszcze mierzyć się nie śmiał, bo sobie jeszcze dostatecznie nie ufał. Postanowił

więc śpieszyć się, by razem z wieścią o klęsce żółtowodzkiej stanąć na Ukrainie i uderzyć na hetmanów, nimby pomoc książęca nadejść mogła.

Nie dał więc wypoczynku wojskom i drugiego dnia po bitwie, świtanem, ruszono w pochód. Pochód to był tak szybki, jak gdyby hetman uciekał. Rzekłbyś, że powódź step zalewa, i pędzi naprzód i wzbiera wszystkimi wodami po drodze. Mijano lasy, dąbrowy, mogiły, przeprawiano się przez rzeki bez wytchnienia. Siły kozackie wzrastały po drodze, bo coraz nowe gromady chłopów, uciekających z Ukrainy, łączyły się z nimi ustawicznie. Chłopi przynosili i wieści o hetmanach — ale sprzeczne. Jedni mówili, że książę siedzi jeszcze za Dnieprem; inni, że już połączył się z wojskami koronnymi. Natomiast wszyscy twierdzili, że Ukraina już w ogniu. Chłopi nie tylko uciekali na spotkanie Chmielnickiego w Dzikie pola, ale palili wsie i miasta, rzucali się na swych panów i uzbrajali powszechnie. Wojska koronne były się już od dwóch tygodni. Wycięto Steblew, pod Derenhowcami zaś przyszło do krwawej bitwy. Kozacy grodowi gdzieniegdzie już przerzucili się na stronę czerni, a wszędzie czekali tylko hasła. Chmielnicki liczył na to wszystko i śpieszył się tembardziej.

Nakoniec stanął u proga. Czehryn otworzył mu wrota na rozcież. Załoga kozacka przeszła natychmiast pod jego chorągiew. Zburzono dom Czaplńskiego, wyrznięto garść szlachty, szukającej schronienia w mieście. Radosne krzyki, bicie we dzwony i procesye nie ustawały ani na chwilę. Pożar ogarnął zaraz całą okolicę. Co żyło, chwytalo za kosy, piki i łączyło się z Zaporozem. Tłumy niezmierne czerni splywały do obozu ze wszystkich stron — doszły także i radosne, bo pewne

wieści, że ksiązę Jeremi ofiarował wprawdzie pomoc hetmanom, ale jeszcze się z nimi nie połączył.

Chmielnicki odetchnął.

Ruszył bez zwłoki naprzód i szedł już wśród buntu, rzezi i ognia. Świadczyły o tem zgliszcza i trupy. Szedł jak lawina, niszcząc wszystko po drodze. Kraj przed nim powstawał, za nim pustoszał. Szedł jak mściciel, jak legendowy smok. Kroki jego wyciskały krew, oddech wzniecał pożary.

W Czerkasach zatrzymał się z głównymi siłami, wysławszy naprzód Tatarów pod Tuhaj-bejem i dzikiego Krzywonosą, którzy dogнали hetmanów pod Korsuniem i uderzyli na nich bez wahania. Ale śmiałość drogo musieli spłacić. Odparci, zdziesiątkowani, zbici na miazgę, cofnęli się w popłochu.

Chmielnicki zerwał się i szedł im w pomoc. Po drodze doszła go wieść, że pan Sieniawski w kilka chorągwi połączył się z hetmanami, którzy opuścili Korsuń i ciągną do Bohusławia. Było to prawdą. Chmiel zajął Korsuń bez oporu i pozostawiwszy w nim wozy, zapasy żywności, słowem cały tabór, komunikiem pognął się za nimi.

Nie potrzebował gonić długo, gdyż nie uszli jeszcze daleko. Pod Krutą Bałką przednie jego stráže natknęły się na polski tabór.

Panu Skrzetuskiemu nie było danem widzieć bitwy, gdyż wraz z taborem został w Korsuniu. Zachar umieścił go w rynku, w domu pana Zabokrzyckiego, którego czerń poprzednio powiesiła — i postawił straż z niedobitków Mirhorodzkiego kurzenia, bo tłuszcza ciągle rabowała domy i mordowała każdego, kto się jej wydał Lachem. Przez wybite okna widział pan Skrzetu-

ski gromady pijanych chłopów, krwawych, z pozawijanymi rękawami u koszul, włóczących się od domu do domu, od sklepu do sklepu i przeszukujących wszystkie kąty, strychy, poddasza — od czasu do czasu wrzask straszliwy oznajmiał, że znaleziono szlachcica, żyda, mężczyznę, kobietę lub dziecko. Wyciągano ofiarę na rynek i pastwiono się nad nią w sposób najstraszliwszy. Tłuszcza biła się ze sobą o resztki ciała, obmazywała sobie z rozkoszą krwią twarze i piersi, okręcała szyje dymiąciami jeszcze trzewiami. Chłopi chwyтали małe żydźki za nogi i rozdierali wśród szalonego śmiechu tłumów. Rzucano się i na domy otoczone strażą, w których zamknięci byli znakomitsi jeńcy, zostawieni przy życiu dlatego, że spodziewano się po nich znacznego okupu. Wówczas zaporożcy lub Tatarzy, stojący na straży, odpierali tłum, grzmocąc po łbach napastników drzewcami od pik, łukami lub batami z byczej skóry. Tak było przy domu pana Skrzetuskiego. Zachar kazał ćwiczyć chłopstwo bez miłosierdzia, a mirhorodcy spełniali z rozkoszą rozkaz, niżowi bowiem przyjmowali chętnie w czasie buntów pomoc czerni, ale pogardzali nią bez porównania więcej od szlachty. Przecie niepróżno zwali się: „szlachetne urożonymi kozakami!“ Sam Chmielnicki darowywał potem niejednokrotnie znaczną ilość czerni Tatarom, którzy gnali ją do Krymu i stamtąd sprzedawali do Turcyi i Azyi Mniejszej.

Tłum więc szalał na rynku i dochodził do tak dziękiego opętania, że w końcu począł się wzajemnie mordować. Dzień zapadał. Zapalono całą jedną stronę rynku, cerkiew i dom parocha. Szczęściem wiatr zwiewał ogień ku polu i przeszkadzał szerzeniu się pożaru. Ale luna olbrzymia oświeciła rynek tak jasno, jak promienie słońca

czne. Zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Zdała dochodził straszliwy huk dział — widocznie bitwa pod Krutą Bałką stawała się coraz zaciętsza.

— Gorąco tam musi być naszym! — mrucał stary Zachar. — Hetmani nie żartują. Hej! pan Potocki szczerzy *sołnir*.

Potem wskazał przez okno na czerń.

— No! — rzekł — oni teraz hulają, ale jeśli Chmiel będzie pobity, to i nad nim pohulają!

W tej chwili rozległ się tętent i na rynek wpadło na spienionych koniach kilkudziesięciu jeźdźców. Twarze ich zczerniały od prochu, odzież w nieładzie i poobwiązywane szmatami głowy niektórych, świadczyły, iż pędzą wprost z bitwy.

— Ludi! kto w Boha wiryt, spasajtes! Lachy bijut naszych! — krzyczeli w niebogłosy.

Podniósł się wrzask i zamieszanie. Tłum rozkołysał się jak fala, targnięta wichrem. Nagle dziki popłoch opanował wszystkich. Rzucono się do ucieczki, ale że ulice były zatłoczone wozami, a jedna część rynku w ogniu, więc nie było gdzie uciekać.

Czerń poczęła się tłoczyć, krzyżeć, bić, dusić i wyc o miłosierdzie, choć nieprzyjaciel był jeszcze daleko.

Namiestnik, zasłyszawszy, co się dzieje, mało nie oszalał z radości; począł biegać po izbie jak obłąkany, rękami bić się w piersi z całej siły i wołać:

— Wiedziałem, że tak się stanie! wiedziałem! jakom żyw! To z hetmany sprawa! to z całą Rzeczapo-politą! Godzina kary nadeszła! Co to?

Znów rozległ się tętent i tym razem do kilkuset jeźdźców, samych Tatarów, pojawiło się na rynku. Uciekali widocznie na ślepo. Tłum zastępował im drogę,

oni rzucili się w tłum, tratowali go, bili, rozpędzali, siekli, prac końmi ku gościńcowi wiodącemu do Czerkas.

— Uciekają jak wicher — zawołał Zachar.

Ledwo wymówił, przeleciał drugi oddział, za nim trzeci. Zdawało się, że ucieczka jest powszechną. Straże przy domach poczęły kręcić się i również okazywać chęć ucieczki. Zachar wypadł przed ganek.

— Stać! — krzyknął na swych mirhorodców.

Dym, gorąco, zamieszanie, tętent koni, głosy trwogi, wycie tłumów oświeconych pożarem, wszystko to znalazło się w jeden piekielny obraz, na który namiestnik z okna spoglądał.

— Co tam za pogrom być musi! co tam za pogrom! — wołał do Zachara, nie zważając, iż ten radości jego nie mógł dzielić.

Tymczasem znów oddział uciekających przemknął się, jak błyskawica.

Huk dział wstrząsał posadami domów korsuńskich.

Nagle jakiś głos przeraźliwy, tuż pod domem, począł krzyczeć:

— Ratujcie się! Chmiel zabit! Krzeczowski zabit! Tuhaj-bej zabit!

Na rynku nastąpił prawdziwy koniec świata.

Ludzie w obląkaniu rzucali się w płomienie. Namiestnik padł na kolana i ręce wznosił do góry:

— Boże wszechmocny! Boże wielki i sprawiedliwy — chwała Tobie na wysokościach!

Zachar przerwał mu modlitwę, wpadłszy z przed sieni do izby.

— A bywajno, *detyno!* — zawołał zdyszany — wyjdź i obiecuj łaskę mirhorodcom, bo chcą uchodzić — a jak ujdą, czerń tu wpadnie!

Skrzetuski wyszedł na ganek. Mirhorodcy kręcili się niespokojnie przed domem, okazując nieklamana ochotę opuścić stanowisko i pierzchnąć gościńcem wiodącym do Czerkas. Strach opanował wszystkich w mieście. Raz wraz nowe oddziały rozbitków nadlatywały jakby na skrzydłach od strony Krutej Bałki. Uciekali chłopci, Tatarzy, kozacy grodowi i zaporoscy w największym pomieszaniu. A jednak główne siły Chmielnickiego musiały jeszcze dawać opór, bitwa nie musiała być jeszcze rozstrzygniętą, gdyż działa grały ze zdwojoną siłą.

Skrzetuski zwrócił się ku mirhorodcom.

— Za to, iżecie strzegli wiernie osoby mojej — rzekł wyniosłe — nie potrzebujecie ucieczką się ratować, gdyż obiecuję wam instancją i łaskę u hetmana.

Mirhorodcy, co do jednego, odkryli głowy, a on ujął się pod boki i spoglądał dumnie na nich i na rynek, który pustoszał coraz bardziej. Co za zmiana losu! Oto pan Skrzetuski, niedawno jeniec wleczony za kozackim taborem, stał teraz między zuchwałem kozactwem, jako pan między poddaństwem, jako szlachcic między gminem, jako husarz z pancernego znaku między obozowymi ciury. On — jeniec — łaskę teraz obiecywał — i głowy odkrywały się na jego widok, a pokorne głosy wołały tym posępnym, przeciągłym, oznaczającym przestrasz i podanie się tonem:

— Pomyłujcie, pane!

— Jakom powiedział, tak się stanie! — rzekł namiestnik.

Jakoż istotnie pewien był swej instancyi u hetmana, któremu był znajomy, bo nieraz do niego listy od księcia Jeremiego woził i względy jego umiał pozyskać. Stał

tedy, trzymając się pod boki i radość biła mu z oblicza, oświeconego jasno blaskiem pożaru.

— Ot, wojna skończona! ot, fala u progu rozbita! — myślał. — Pan Czarniecki miał słuszność: niepożyta jest siła Rzeczypospolitej, niezachwianą jej potęgą.

A gdy tak myślał, duma rozsadzała mu piersi; nie niska duma, płynąca ze spodziewanego nasycenia zemsty, z upokorzenia wroga, ani z odzyskania wolności, której za chwilę już się spodziewał, ani z tego, że czapковано przed nim teraz, ale czuł się dumnym, że jest synem Rzeczypospolitej zwycięskiej, przepotężnej, o której bramy wszelka złość, wszelki zamach, wszelkie ciosy tak rozbijają się i kruszą, jako mocy piekielne o bramy nieba. Czuł się dumnym, jako szlachcic-patryota, że w zwątpieniu został pokrzepion, a w wierze nie zawiedzion. Zemsty już nie pragnął.

— Pogromiła jak królowa, przebaczy jak matka — myślał.

Tymczasem huk dział zmienił się w grzmot nieustający.

Kopyta końskie zaszczękały znów po pustych ulicach. Na rynek wleciał jak piorun, na nieosiodłanym koniu, kozak bez czapki, w jednej koszuli, z twarzą rozciętą mieczem i buchającą krwią. Wleciał, konia osadził, ręce rozkrzyżował i chwytając oddech otwartymi usty, krzyczeć począł:

— Chmiel bije Lachiw! Pobyty jasno welmożny pany, hetmany i pułkownyki, lycari i kawalery!

To rzekłszy, zachwiał się i na ziemię runął. Mirhorodcy skoczyli mu na pomoc.

Płomień i bladeść przeleciały przez oblicze pana Skrzetuskiego.

— Co on mówi? — rzekł gorączkowo do Zachara. — Co się stało? Nie może to być. Na Boga żywego! nie może to być!

Cisza! tylko płomienie syczą na przeciwległej stronie rynku, trzaskają snopy iskier, a czasem przepalone domostwo runie z łoskotem.

Aż oto nowi jacyś gońce lecą.

— Pobyty Lachy! pobyty!

Za nimi ciągnie oddział Tatarów — idą z wolna, bo otaczają pieszych, widocznie jeńców.

Pan Skrzetuski oczom nie wierzy. Poznaje doskonale na jeńcach barwę hetmańskiej husaryi — więc w ręce plaszcze i jakimś dziwnym, nieswoim głosem powtarza uporczywie:

— Nie może być! nie może być!

Huk armat słychać jeszcze. Bitwa nieskończona. Przez wszystkie niepopalone ulice napływają jednak tłumy zaporozców i Tatarów. Twarze ich czarne, piersi dyszą ciężko — ale wracają jakby upojeni, śpiewają pieśni!

Tak wracają żołnierze po zwycięstwie.

Namiestnik pobladł jak trup.

— Nie może być! — powtarzał coraz chrapliwiej — nie może być... Rzeczpospolita...

Nowy przedmiot zwraca jego uwagę.

Wchodzą semenowie Krzeczowskiego, niosąc całe pęki chorągwi. Przyjeżdżają na środek rynku i rzucają je na ziemię.

Niestety — polskie!

Huk armat słabnie, w oddali słychać turkot nadchodzących wozów. Jedzie naprzód jedna, wysoka, kozacka telega, za nią szereg innych, wszystkie otoczone przez kozaków Paszkowskiego kurzenia, w żółtych czapkach;

przechodzą tuż koło domu, przy którym mirhorodcy. Pan Skrzetuski rękę do czoła przytknął, bo go blask pożaru oślepił, i wpatrzył się w postacie jeńców, siedzących na pierwszym wozie.

Nagle cofnął się w tył, rękami począł bić powietrze, jak człowiek trafiony strzałą w piersi, z ust zaś wyrwał mu się krzyk straszny, nadludzki:

— Jezus, Marya! to hetmani!

I padł na ręce Zachara, oczy zasłży mu blachmanem, a twarz stężała i zakrzepła, tak jak u ludzi umarłych.

W kilka chwil później, trzech jeźdźców na czele niezliczonych pułków wjeżdżało na rynek korsuński. Środkowy, ubrany w czerwień, siedział na białym koniu i wspierając się pod bok pozłocistą buławą, spoglądał dumnie jak król.

Był to Chmielnicki. Po obu jego stronach jechali Tuhaj-bej i Krzeczowski.

Rzeczpospolita leżała w prochu i krwi u nóg kozaka.

ROZDZIAŁ XVI.

Upłynęło kilka dni. Ludziom zdawało się, że sklepienie runęło nagle na Rzeczpospolitą. Żółte wody, Korsuń, zniesienie wojsk koronnych, zawsze dotąd w walkach z kozakami zwycięskich, wzięcie hetmanów, pożar straszliwy na całej Ukrainie, rzezie, mordy niesłychane od początku świata, wszystko to zważyło się tak nagle, że ludzie prawie wierzyć nie chcieli, aby tyle klęsk mogło przyjść na jeden kraj od razu. Wielu też nie wierzyło, inni odrętwieli z przerażenia, inni dostali obłąkania, inni przepowiadali przyjście antychrysta i bliskość sądu ostatecznego. Przerwały się wszystkie węzły społeczne, wszelkie stosunki ludzkie i rodzinne. Ustała wszelka władza, znikły różnice między ludźmi. Piekło odcepilo z łańcuchów wszystkie zbrodnie i puściło je na świat, by pohulały: więc mord, grabież, wiarołomstwo, rozbastwienie się, gwałt, rozbój i szaleństwo zastąpiło pracę, uczciwość, wiarę i sumienie. Zdawało się, że odtąd ludzkość już nie dobrem, ale złem tylko żyć będzie; że się przeinaczyły serca i umysły i poczytują to za święte, co dawniej było bezecnem, a za bezecne, co dawniej było świętem. Słońce nie świeciło już nad ziemią, bo je zasłaniały dymy pożarów, a nocami, zamiast gwiazd i księżyca, świeciły po-

żogi. Płonęły miasta, wsie, kościoły, dwory, lasy. Ludzie przestali mówić, jeno jęczeli, albo wyli, jak psy. Życie straciło wartość. Tysiące ginęły bez echa, bez wspomnienia. ~~A~~ z tych wszystkich klęsk, mordów, jęków, dymów i pożarów podnosił się tylko jeden człowiek coraz wyżej i wyżej, olbrzymiał coraz straszliwiej, zaciemniał już niemal światło dzienne, rzucał cień od morza do morza.

Był to Bohdan Chmielnicki.

Dwieście tysięcy ludzi zbrojnych i upojonych zwycięstw, stało teraz gotowych na jego skinienie. Czern powstawała wszędzie; kozacy grodowi łączyli się z nim po wszystkich miastach. Kraj od Prypeci do krańców pustyń był w ogniu. Powstanie szerzyło się w województwach: Ruskiem, Podolskiem, Wołyńskiem, Braclawskiem, Kijowskiem i Czernihowskiem. Potęga hetmana rosła codziennie. Nigdy Rzeczpospolita nie wystawiła przeciw najstraszniejszemu wrogowi połowy tych sił, któremi on teraz rozporządzał. Równych nie miał w gotowości i cesarz niemiecki. Burza przeszła wszelkie oczekiwania. Sam hetman początkowo nie zeznawał własnej potęgi i nie rozumiał, jak wyrósł już wysoko. Sprawiedliwością, prawem i wiernością dla Rzpltej jeszcze się osłaniał, bo nie wiedział, że te wyrazy, jako czcze wyrazy, mógł już deptać. Wszelako, w miarę sił, wzrastał w nim i ów niezmierny, bezwiedny egoizm, któremu równego historia nie przedstawia. Pojęcia złego i dobrego, zbrodni i cnoty, gwałtu i sprawiedliwości zlały się w duszy Chmielnickiego w jedno z pojęciami własnej krzywdy, lub własnego dobra. Ten mu był cny, kto był z nim; ten zbrodniarz, kto przeciw niemu. Gotów był biadać na słońce i poczytywać to sobie za osobistą krzywdę, gdyby nie świeciło wówczas, gdy on potrzebował. Ludzi, wypadki

i świat cały mierzył własnem ja. I mimo całej chytryści, całej hypokryzyi hetmana, była jakaś potworna dobra wiara w takowym jego poglądzie. Wypływały zeń wszystkie występki Chmielnickiego, ale i czyny dobre; bo jeśli nie znał miary w znęcaniu się i okrucieństwie nā wrogiem, natomiast umiał być wdzięcznym za wszystkie, choćby mimowolne usługi, które mu oddawano.

Tylko gdy był pijany, wówczas zapominał i o dobrodziejstwach, i rycząc z szaleństwa, wydawał spienionemi usty krwawe rozkazy, których żałował później. A w miarę jak rosło jego powodzenie, pijany bywał coraz częściej, bo coraz większy ogarniał go niepokój. Zdałoby się mogło, że tryumfy zaprowadziły go na takie wyżyny, na które sam wstąpić nie chciał. Jego potęga przerażała innych, ale i jego samego. Olbrzymia rzeka buntu, porwawszy go, niosła z błyskawicową szybkością i nieubłaganie, ale dokąd? Jak się to wszystko miało skończyć? Poczynając bunt w imię krzywd własnych, mógł ten kozacki dyplomata liczyć, że po pierwszych powodzeniach, lub nawet po klęskach, rozpocznie układy, że zaofiarują mu przebaczenie, zadosyćuczynienie i nagrodę za krzywdy i szkody. Znał on dobrze Rzeczpospolitą, jej cierpliwość tak nieprzebraną jako morze, jej miłosierdzie nieznające granic i miary, które płynęło nie tylko ze słabości, boć przecie Nalewajce, otoczonemu już i zgubionemu, jeszcze ofiarowano przebaczenie. Wszelako teraz, po zwycięstwie na Żółtych wodach, po zniesieniu hetmanów, po rozpaleniu wojny domowej we wszystkich południowych województwach, rzeczy zaszły zbyt daleko, wypadki przerosły wszelkie oczekiwanie — teraz walka musiała się toczyć na śmierć i życie.

A na czyją stronę miało paść zwycięstwo?

Chmielnicki pytał wróżbitów i gwiazd się radził i sam wyteżał oczy w przyszłość — ale widział przed sobą tylko ciemność. Więc czasem straszny niepokój podnosił mu włosy na głowie, a w piersi zrywała się rozpacz, jak wicher. Co będzie, co będzie? Bo Chmielnicki, patrząc bystrzej od innych, rozumiał zarazem lepiej od wielu, że Rzeczpospolita nie umie użyć swych sił i sama o nich nie wie, ale jest potęgą olbrzymią. Gdyby jaki człowiek schwycił w ręce tę potęgę, wtedy ktoby mu się oparł? A któż mógł zgadnąć, czy straszne niebezpieczeństwo, czy bliskość przepaści i zguby nie potłumi zamieszek, niezgody wewnętrznej, prywaty, zawiści panów, warcholstwa, gadanin sejmowych, swawoli szlacheckiej, bezsilności króla? Wtedyby pół miliona, samego tylko herbowego ludu, mogło wyruszyć w pole i zgnieść Chmielnickiego, choćby go nietylko chan krymski, ale i sam sultan turecki wspomagał.

O tej uśpionej potędze Rzpltej wiedział prócz Chmielnickiego i zmarły król Władysław i dlatego całe życie pracował nad tem, by z największym w świecie mocarzem rozpocząć walkę na śmierć, bo tylko w ten sposób potęga owa przywołaną do życia być mogła. Gwoli temu przekonaniu nie wahał się król rzucać iskier i na prochy kozackie. Było-li przeznaczonem istotnie kozakom wywołać tę powódź, by w niej utonął nareszcie?

Chmielnicki rozumiał i to także, jak, mimo całej słabości, straszny był odpór tej Rzeczypospolitej. W taką bezładną, źle powiazaną, rozdartą, swawolną, nierządną, były przecie, najgroźniejsze ze wszystkich, fale tureckie — i rozbijały się o nią, jak o skałę. Tak było pod Chocimem, na co własnymi niemal oczyma patrzył. Jednak ta Rzeczpospolita, nawet w chwilach swej słabości, zaty-

kała swe chorągwie na wałach obcych stolic. Jakiż tedy da odpór? czego nie dokaże przywiedziona do rozpaczy, gdy będzie musiała umrzeć, albo zwyciężyć?

Wobec tego każdy tryumf Chmielnickiego był nowem dla niego niebezpieczeństwem, bo zbliżał chwilę przebudzenia się lwa drzemiącego i czynił bardziej niemożliwymi układy. W każdym zwycięstwie leżała przyszła klęska, w każdym upojeniu na dnie — gorycz. Teraz na burzę kozacką miała przyjść burza Rzeczypospolitej. Chmielnickiemu wydawało się, że już słyszy jej głuchy, daleki huk.

Oto z Wielkopolski, Prus, rojnego Mazowsza, Małopolski i Litwy nadejdą tłumy wojowników — trzeba im tylko wodza.

Chmielnicki wziął w niewolę hetmanów, ale i przez tę szczęśliwość przeglądała jakby zasadzka losu. Hetmani byli doświadczonymi wojownikami, ale żaden z nich nie był człowiekiem, jakiego wymaga ta chwila grozy, przeżycia, klęski.

Wodzem mógł być teraz jeden tylko człowiek.

Zwał się on: ksiązę Jeremi Wiśniowiecki.

Właśnie dlatego, że hetmani poszli w niewolę, wybór prawdopodobnie miał paść na księcia. Chmielnicki nie wątpił o tem, narówni ze wszystkimi.

A tymczasem, do Korsunia, w którym hetman zaporoski zatrzymał się po bitwie dla odpoczynku, dolaływały z Zadnieprza wieści, że straszny ksiązę ruszył już z Łubniów, że po drodze depce bunt niemilosierne, że po przejściu jego znikają wsie, slobody, chutory i miasteczka, a natomiast jeżą się krwawe pale i szubienice. Przestach dwoił i troił liczbę sił jego. Mówiono, że prowadzi piętnaście tysięcy wojowników najlepszego wojska, jakie być mogło w całej Rzeczypospolitej.

W obozie kozackim spodziewano się go lada chwila. Wkrótce po bitwie pod Krutą Bałką okrzyk: „Jarema idzie!” rozległ się między kozakami i rzucił popłoch między czerń, która poczęła ślepo uciekać. Popłoch ten zastanowił głęboko Chmielnickiego.

Miał teraz do wyboru: albo ruszyć z całą potęgą przeciw księciu i szukać go na Zadnieprzu, albo, zostawiwszy część sił na zdobywanie zamków ukraińskich, ruszyć w głąb Rzeczypospolitej.

Wyprawa na księcia była niebezpieczną. Mając do czynienia z tak wslawionym wodzem, Chmielnicki, mimo całej przewagi swych sił, mógł ponieść klęskę w walnej bitwie i wówczas wszystko byłoby straconem od razu. Czern, która stanowiła ogromną większość, złożyła świadectwo, że zmyka na samo imię Jaremy. Trzeba było czasu, żeby ją zmienić w wojsko, mogące stawić czoło książęcyim regimentom.

Z drugiej strony książę prawdopodobnie nie przyjąłby walnej bitwy, ale poprzestał na obronie w zamkach i częściowej wojnie, która w takim razie musiałaby trwać całe miesiące, jeżeli nie lata, a przez ten czas Rzeczpospolita zebrałaby niechybnie nowe siły i ruszyła w pomoc księciu.

Chmielnicki więc postanowił pozostawić Wiśniowieckiego na Zadnieprzu, a samemu umocnić się na Ukrainie, zorganizować swe siły i następnie, ruszywszy do Rzeczypospolitej, zmusić ją do układów. Liczył on na to, że gaszenie buntu na samem tylko Zadnieprzu zajmie na długo wszystkie siły książęce, a jemu da wolne pole. Bunt zaś na Zadnieprzu obiecywał sobie podsycać, wysyłając pojedyncze pułki w pomoc czerni.

Nakoniec sądził, że będzie można ludzi księcia

układami i zwłóczyć, czekając, póki się jego siły nie wykruszą. W tym celu przypomniał sobie Skrzetuskiego.

W kilka dni tedy po Krutej Balce, a w sam dzień popłochu między czernią, kazał przyzwać przed siebie pana Skrzetuskiego.

Przyjął go w domu starościńskim, w asystencyi jednego tylko pana Krzeczowskiego, który Skrzetuskiemu był z dawna znajomy, i powitawszy łaskawie, choć nie bez wyniosłości, odpowiedniej dzisiejszej jego szarzy, rzekł:

— Mości poruczniku Skrzetuski, za usługę, którą mi wyświadczyłeś, wykupiłem cię od Tuhaj-beja i obiecałem wolność. Teraz godzina nadeszła. Dam ci pier-nacz ¹⁾, byś mógł swobodnie przejechać, jeśli cię wojska jakie spotkały, i strażę do obrony od czerni. Możesz wracać do swego księcia.

Skrzetuski milczał. Żaden uśmiech radości nie pojawił się na jego twarzy.

— Możeszże ruszyć w drogę? bo widzę, że ci coś choroba z oczu przegląda?

Rzeczywiście pan Skrzetuski wyglądał jak cień. Rany i ostatnie wypadki zwały z nóg tego olbrzymiego młodziana, który takie teraz miał pozory, jakby nie obiecywał jutra dożyć. Twarz mu pożółkła, a czarna broda, niestrzyżona od dawna, podnosiła jeszcze mizeryą oblicza. Pochodziło to z utrapień wewnętrznych. Rycerz omal się nie zagryzł. Wleczony za obozem kozackim, był przecie świadkiem wszystkiego, co się od wyruszenia z Siczy zdarzyło. Widział hańbę i klęskę Rzeczypospolitej, hetma-

¹⁾ Buława pułkownikowska kozacka, która zastępowała między kozakami list żelazny.

nów w niewoli; widział tryumfy kozackie, piramidy pokładane z głów odciętych poległym żołnierzom, szlachtę wieszaną za żebra, odrzynane piersi niewiast, profanację panien, widział rozpacz odwagi, ale i nikczemność strachu — widział wszystko — przecierpiał wszystko i cierpiał tembardziej, że mu w głowie i piersiach utkwiała nożem myśl, że to on sam pośredni sprawca, bo przecie on, nie kto inny, oderżnął Chmielnickiego od powroza. Ale czy mógł się spodziewać rycerz chrześcijański, że ratunek podany bliźniemu takie wyda owoce? Więc ból jego nie miał dna.

A gdy się siebie spytał, co się dzieje z Heleną, i gdy pomyślał, co mogło się zdarzyć, jeśli zle losy zatrzymały ją w Rozłogach, to ręce ku niebu wyciągał i wołał głosem, w którym drgała bezdenna rozpacz i groźba: „Boże! weźże duszę moją, bo już tu mam więcej, niżem zasłużył!“ Potem postrzegal się, że bluźni, więc na twarz padał i prosił o ratunek, o przebaczenie, o zmiłowanie nad ojczyzną i nad onym gołębiem niewinnym, co może tam napróżno wzywał Bożej i jego pomocy. Krótko mówiąc, przebolewał tak, że go już teraz nie uradowała darowana wolność, a ten hetman zaporoski, ten tryumfator, który chciał być wspaniałym, łaskę mu swoją okazując, nie imponował mu już zgoła; w czem spostrzegłszy się, Chmielnicki zmarszczył się i rzekł:

— Śpieszże się korzystać z łaski, abym zaś się nie rozmyślił, gdyż cnota tylko moja i ufność w dobrą sprawę czyni mnie tak nieopatrznym, że wroga sobie przysparzam, bo to wiem dobrze, że przeciw mnie walczyć będziesz.

Na to pan Skrzetuski:

— Jeśli Bóg da sił.

I spojrzal tak na Chmielnickiego, że aż mu w głąb duszy zajrzal, a hetman, wzroku tego znieść nie mogąc, utkwil oczy w ziemię i dopiero po chwili ozwał się:

— Mniejsza z tem. Zbyt potężny jestem, by mi jeden cherlak coś znaczył. Opowiesz też księciu, swojemu panu, coś tu widział, i przestrzeżesz go, by sobie mniej zuchwale poczynał, bo gdy mnie cierpliwości nie stanie, to go odwiedzę na Zadnieprzu, a nie wiem, czyby mu była miłą moja wizyta.

Skrzetuski milczał.

— Mówilem i powtarzam raz jeszcze — mówił dalej Chmielnicki — nie z Rzeczpospolitą, ale z panięty wojnę prowadzę, a księżę między niemi w pierwszym rzędzie. Wróg to mój i ludu ruskiego, odszczepieniec od naszego kościoła i okrutnik. Słyszę, bunt we krwi gasi, niech baczy, by swojej nie przelał.

Tak mówiąc, podniecał się coraz bardziej, aż też krew jęła mu do twarzy uderzać, a oczy ciskały płomienie. Widno było, że chwyta go paroksyzm gniewu i złości, w których tracił pamięć i przytomność całkowicie.

— Na powrozie każę go tu Krzywonosowi przywieść! — krzyczał — pod nogi go sobie zegnę, na konia po jego grzbiecie wsiadać będę!

Skrzetuski patrzył z góry na miotającego się Chmielnickiego, poczem odrzekł spokojnie:

— Zwycięż go wprzód.

— J. W. hetmanie! — rzecze Krzeczowski — niechże ten zuchwały szlachcic już jedzie, bo nie wypada dla twojej godności, byś się gniewem przeciw niemu unosił, a gdy mu wolność obiecałeś, liczy on na to, że albo słowo złamiesz, albo jego inwektyw słuchać musisz.

Chmielnicki opamiętał się, posapał chwilę, poczem rzekł:

— Niechże tedy jedzie, aby zaś wiedział, iż Chmielnicki dobrem za dobre płaci, dać mu piernacz, jakom rzekł, i sorokę Tatarów, którzy go do samego obozu odprowadzą.

Poczem, zwracając się do Skrzetuskiego, dodał:

— Ty zaś wiedz, że teraz kwita. Polubiłem cię, mimo twej zuchwałości, ale gdy się jeszcze raz w moje ręce dostaniesz, nie wywiniesz się.

Skrzetuski wyszedł z Krzeczowskim.

— Gdy cię hetman puszcza z całą szyją — rzekł Krzeczowski — i możesz jechać gdzie chcesz, tedy ci powiem po starej znajomości, salwuj się choćby do Warszawy, nie na Zadnieprze, bo stamtąd żywa noga wasza nie ujdzie. Wasze czasy minęły. Gdybyś miał rozum, do nasbyś przystał, ale wiem, że próżno ci to mówić. Poszedłbyś wysoko, jak my pójdziemy.

— Na szubienicę — mruknął Skrzetuski.

— Nie chcieli mnie dać starostwa lityńskiego, a teraz sam nie jedno, ale dziesięć wezmę. Wypędzimy precz panów Koniecpolskich, a Kalinowskich, a Potockich, a Lubomirskich i Wiśniowieckich, Zasławskich i wszystką szlachtę, i sami się ich majątnościami podzielimy, co też i po Bożej musi być myśli, gdy nam już dwie tak znaczne dał wiktorye.

Skrzetuski, nie słuchając gadaniny pułkownika, zamyslił się o czem innem, ten zaś mówił dalej:

— Gdym po bitwie i naszej wiktoryi widział w tuhajowej kwaterze w łydkach mego pana i dobrodzieja, JW. hetmana koronnego, zaraz on mnie niewdzięcznikiem i Judaszem mianować raczył. A ja mu na to:

JW. wojewodo! nie jestem ja niewdzięcznikiem, bo gdy już w twoich zamkach i dobrach zasięde — przyrzecz mi jeno, że się nie będziesz napijał — to cię podstarościm swoim zrobię. Ho! ho! obłowi się Tuhaj-bej na tych ptakach, które połapał — i dlatego ich szczędzi — gdyby nie to, inaczejbyśmy z Chmielnickim z nimi pogadali. Ale ot! wóz dla ciebie gotowy i Tatarzy już w ordynku. Gdzie tedy życzysz jechać?

— Do Czehryna.

— Jak sobie pościelesz, tak się wypisz. Ordyńcy odwiodą cię choćby do samych Łubniów, bo taki mają rozkaz. Staraj się jeno, żeby ich twój książę na pal nie kazał powsadzać, coby z kozakami pewno uczynił. Dlatego też i dali ci Tatarów. Hetman ci i konia twego kazał oddać. Bywajże zdrow, a wspominaj nas dobrze i księciu kłaniaj się od naszego hetmana, a jeśli będziesz mógł, to go namów, by przyjechał Chmielnickiemu się pokłonić. Może łaskę znajdzie. Bywaj zdrow!

Skrzetuski siadł na wóz, który ordyńcy otoczyli zaraz dokoła — i ruszono w drogę. Przez rynek trudno było przejechać, bo cały zapchany był zaporozcami i czernią. Jedni i drudzy warzyli sobie kaszę, śpiewając pieśni o zwycięstwie żółtowodzkim i korsuńskim, ułożone już przez ślepców, lirników, których mnóstwo pościagało ze wsząd do obozu. Między ogniami, obejmującymi kotły z kaszą, leżały tu i ówdzie ciała pomordowanych kobiet, nad którymi odbywała się w nocy orgia, lub sterczały piramidki z głów, uciętych po bitwie zabitym i rannym żołnierzom. Ciała owe i głowy poczynały się już psuć i wydawać zgnily zapach, który jednakże nie zdawał się być wcale przykrym dla zgromadzonych tłumów. Miasto nosiło na sobie ślady spustoszeń i dzikiej swawoli zapo-

rożców, okna i drzwi były powyrywane; zdruzgotane szczątki tysiącznych przedmiotów, pomieszane z kwapiem i słomą, zawały rynek. Okapy domów przybrane były wisielcami, po większej części z żydowstwa, a tłuszcza bawiła się tu i owdzie, czepiając się nóg wisielców i huśtając się na nich.

W jednej stronie rynku czerniały zgliszcza pogorzonych domów, a między niemi farnego kościoła; od zgliszcz było jeszcze gorąco i podnosiły się dymy. Woń spalenizny przenikała powietrze. Za spalonymi domami stał kosz, obok którego pan Skrzetuski musiał przejeżdżać, i tłumy jassyru, pilnowane przez gęste straże tatarskie. Kto się z okolic Czehryna, Czerkas i Korsunia nie zdołał schronić, lub nie padł pod siekierą czerni, ten poszedł w lyka. Byli więc między jeńcami i żołnierze wzięci w niewolę w obu bitwach, i mieszkańcy okoliczni, którzy się dotąd nie mogli lub nie chcieli do buntu przyłączyć, ludzie ze szlachty osiadłej lub z szlacheckiego gminu, podstarościowie, oficjaliści, chutornicy, drobna szlachta z zaścianków, obojej płci i dzieci. Starców nie było, bo ich, jako niezdatnych na sprzedaż, Tatarzy mordowali. Pozagarniali oni również całe wsie i osady ruskie, czemu Chmielnicki nie śmiał się sprzeciwić. W wielu miejscowościach zdarzyło się, że mężowie poszli do obozu kozackiego, a w nagrodę za to Tatarzy popalili ich chaty i pobrali żony i dzieci. Ale w ogólnem rozpętaniu się i zdziczeniu dusz nikt o to nie pytał, nikt się nie upominał. Czernń, która chwytala za broń, wyrzekała się wiossek rodzinnych, żon i dzieci. Brali im żony, brali i oni — i lepsze, bo „Laszki“, które, po nasyceniu się ich wdziękami, mordowali lub odprzedawali ordyńcom. Między jeńcami nie brakło też „mołodyć“ ukraińskich, powiąza-

nych po trzy, po cztery na jednym stryczku, wraz z paniami szlacheckich domów. Niewola i niedola równała stany. Widok tych istot wstrząsał do głębi duszę i budził żądzę zemsty. Poobdzierane, pół nagie, narażone na sromotne żarty pohańców, włóczących się gromadami przez ciekawość po majdanie, potrącane, bite, lub całowane ohydny usty, traciły pamięć, wolę. Niektóre szlochały lub zawodziły głośno, inne z oczyma w ślup, z oblakaniem w twarzy i otwartymi ustami poddawały się biernie wszystkiemu, co je spotykało. Tu i owdzie zrywał się wrzask jeńca mordowanego bez litości za wybuch rozpaczego oporu. Świst bizunów z byczej skóry rozlegał się między gromadami mężczyzn i zlewał się z okrzykami bóleści i piskiem dzieci, ryczeniem bydła i rzeniem koni. Jassyr nie był jeszcze rozdzielony i ustawiony w pochodowym porządku, więc wszędzie panowało największe zamieszanie. Wozy, konie, bydło rogate, wielbłądy, owce, kobiety, mężczyźni, stosy złupionych ubiorów, naczyń, makat, broni, wszystko to natłoczone w jeden ogromny tabór, oczekiwało dopiero podziału i ordynku. Raz wraz podjazdy przypędzały nowe gromady ludzi i bydła, naładowane promy płynęły przez Roś, z głównego zaś kosza przybywali coraz nowi goście, by nasycić oczy widokiem zebranych bogactw. Niektórzy, pijani kumysem lub gorzalką, poprzebierani w dziwaczne stroje, bo w ornaty, komże, ruskie rjasy lub nawet suknie kobiece, poczynali już spory, klótnie i jarmarczny wrzask o to, co komu będzie należało. Czabanowie tatarscy, siedząc na ziemi między stadami, zabawiali się, jedni wygwizdywaniem na piszczałkach przeraźliwych melodyj, inni grą w kości i okładaniem się wzajemnie

kijami. Gromady psów, które przyciągnęły tu za swymi panami, ujadaly i wyły żałośnie.

Pan Skrzetuski minął wreszcie tę Gehennę ludzką, pełną jęków, łez, niedoli i piekielnych wrzasków; myślał tedy, że już odetchnie swobodniej, aliści zaraz za taborem nowy straszny widok uderzył jego oczy. W dali szarzał kosz właściwy, od którego dochodziło ustawiczne rżenie koni, i mrowił się tysiącami Tatarów, bliżej zaś, na polu tuż koło gościńca, wiodącego do Czerkas, młodzi wojownicy zabawiali się strzelaniem dla wprawy z łuków do jeńców słabszych lub chorych, którzyby nie mogli wytrzymać długiej drogi do Krymu. Kilkadziesiąt ciał leżało wyrzuconych już na drogę i podziurawionych jak sita, niektóre z nich drgały jeszcze konwulsyjnie. Ci, do których strzelano, wisieli przywiązani za ręce do drzew przydrożnych. Były między nimi i stare kobiety. Śmiechom zadowolenia po trafnych strzałach towarzyszyły okrzyki.

— Jaksze iegit! — Dobrze chłopcy!

— Uk jaksze kol! — Łuk w dobrych rękach!

Koło głównego kosza oprawiano tysiące bydła i koni na pokarm wojownikom. Ziemia była złana krwią. Mdłe wyziewy surowizny tłumily oddech w piersiach, a między kupami mięsa kręcili się czerwoni ordyńcy z nożami w ręku. Dzień był skwarny, słońce piekło. Ledwie po godzinie drogi wydostał się pan Skrzetuski wraz z swoją eskortą na czyste pola, ale z oddali dochodził długo jeszcze z głównego kosza gwar i ryk bydła. Po drodze widniały ślady przejścia drapieżników. Tu i owdzie popalone sadyby, sterczące kominy futorów, potratowana ruń zbóż, drzewa połamane, sady wiśniowe przy chatkach wycięte na ogień. Na gościńcu raz wraz leżały to

trupy końskie, to ludzkie, pokaleczone okropnie, sine, nabrzmiałe, a na nich i nad nimi stada wron i kruzków, zrywające się z wrzaskiem i szumem przed ludźmi. Krwawe dzieło Chmielnickiego rzucało się wszędy w oczy i trudno było zrozumieć, przeciw komu ten człowiek rękę podniósł, bo jego własny kraj jęczał przedewszystkiem pod brzemieniem niedoli.

W Mlejowie spotkali podjazdy tatarskie, pędzące nowe tłumy jeńców. Horodyszczę było spalone do cna. Sterczała tylko murowana dzwonnica kościelna i stary dąb stojący na środku rynku, pokryty strasznym owocem, bo wisiało na nim kilkadziesiąt małych żydźiąt, powieszonych przed trzema dniami. Wymordowano tu również dużo szlachty z Konoplanki, Starosiela, Więzowka, Bałakleja i Wodaczewa. Samo miasteczko było puste, bo mężczyźni poszli do Chmielnickiego, a niewiasty, dzieci i starcy uciekli do lasów przed spodziewanem najściem wojsk księcia Jeremiego. Z Horodyszczu jechał pan Skrzetuski na Smiłę, Zobotyn i Nowosielce do Czehryna, zatrzymując się tylko tyle po drodze, ile trzeba było na wypoczynek dla koni. Wjechali do miasta na drugi dzień z południa. Wojna oszczędziła miasto, niektóre tylko domy były zburzone, a między niemi Czaplńskiego z ziemią zrównany. W grodzie stał podpułkownik Naokółpalec, a z nim tysiąc mołojców, ale i on, i mołojcy, i cała ludność żyła w największem przerażeniu, gdyż tu, jak i wszędzie po drodze, wszyscy byli pewni, że książę lada chwila nadciągnie i wyrze zemstę, o jakiej świat nie słyszał. Niewiadomo było, kto puszcza te wieści, skąd one przychodzą; może je tworzył przestרח, dość, że ustawicznie powtarzano to, że książę płynie już Sulą, to, że już jest nad Dnleprem, że spalił Wasiutyńce, że wy-

ciał ludność w Borysach, i każde zbliżenie się jeźdźców, lub pieszego ludu, wywoływało popłoch bez granic. Pan Skrzetuski chwycił chciwie te wieści, bo rozumiał, że choćby nie były prawdziwe, to jednak tamowały szerzenie się buntu na Zadnieprzu, nad którym ręka ksiączęca ciążyła bezpośrednio.

Skrzetuski chciał dowiedzieć się czegoś pewniejszego od Naokoło-palca, ale pokazało się, że podpułkownik, narówni z innymi, nic nie wiedział o księciu i jeszcze sam byłby rad zasięgnąć jakich wiadomości od Skrzetuskiego. A ponieważ przeciągnięto na tę stronę wszystkie bajdaki, czółna i podjazdki, więc i zbiegowie z drugiego brzegu nie przybywali do Czehryna.

Skrzetuski więc, nie bawiąc dłużej w Czehrynie, kazał się przeprowadzić i ruszył bez zwłoki do Rozłogów. Pewność, że wkrótce sam przekona się, co stało się z Heleną, i nadzieja, że może jest ocalona, albo też ukryła się wraz ze stryjną i kniaziami w Łubniach, wróciła mu siły i zdrowie. Przesiadł się z wozu na koń i gnał bez litości swoich Tatarów, którzy, uważając go za posła, a siebie za przystawów, oddanych pod jego komendę, nie śmieli mu stawić oporu. Lecieli tedy, jakby ich goniono, a za nimi złote kłęby kurzawy, wzbijanej kopytami bachmatów. Mijali sadyby, chutory i wioski. Kraj był pusty, siedziby wyludnione tak, że długo nie mogli spotkać żywej duszy. Prawdopodobnie też kryli się wszyscy przed nimi. Tu i owdzie kazał pan Skrzetuski szukać w sadach, pasiekach, po zapolach i strzechach stodół, ale nie mogli znaleźć nikogo.

Dopiero za Pohrebami jeden z Tatarów dostrzegł jakąś postać ludzką, usiłującą skryć się między szuwarami, obrastającymi brzegi Kahamliku.

Tatarzy skoczyli ku rzece i w kilka minut później przywieśli przed pana Skrzetuskiego dwóch ludzi całkiem nagich.

Jeden z nich był to starzec, drugi wysmukły, może piętnasto lub szesnastoletni wyrostek. Obaj kłapali zębami ze strachu i długi czas nie mogli ni słowa przemówić.

— Skąd wy? — spytał pan Skrzetuski.

— My znikąd, panie! — odpowiedział starzec. — Po prośbie chodzimy — z lirą, a ot, ten niemowa mnie prowadzi.

— Skąd idziecie teraz, z jakiej wsi? Mów śmiało, nic ci nie będzie.

— My, panie, po wszystkich wsiach chodzili, aż nas tu jakiś czort obdarł. Buty mieli dobre, wziął — czapki mieli dobre, wziął — sukmany z litości ludzkiej dobre, wziął, i liry nie zostawił.

— Pytam się kpie, z jakiej wsi idziesz?

— Nie znaju panie — ja did. Ot my nadzy, nocą marzniem, we dnie szukamy litościwych, coby okryli i nakarmili, my głodni!

— Słuchaj tedy, chłopie, odpowiadaj, o co pytam, bo każę powiesić.

— Ja niczoho nie znaju, panie. Kołyb ja szczo, abo szczo, abo bude szczo, to niechaj mini, oto szczo!

Widocznem było, że dziad, nie mogąc sobie zdać sprawy, coby za jeden był ten, kto go pyta, postanowił nie dawać żadnych odpowiedzi.

— A w Rozłogach byleś, tam gdzie kniaziewie Kurcewicze mieszkają?

— Nie znaju, panie.

— Powiesić go! — krzyknął pan Skrzetuski.

— Buw, pane! — zawołał dziad, widząc, że niema żartów.

— Coś tam widział?

— My tam byli pięć dni temu, a potem w Browarkach słyszeli, że tam *lycari prijszły*.

— Jacy rycerze?

— Nie znaju, pane! Odin, każe, Lachy; drugi, każe, kozaki.

— W konie! — krzyknął na Tatarów pan Skrzetuski.

Poczet pomknął. Słońce zachodziło, zupełnie jak wówczas, gdy namiestnik po spotkaniu Heleny i kniahini na drodze jechał obok nich przy rozwanowej karocy. Kahamlik tak samo świecił purpurą, dzień kładł się do snu jeszcze cichszy, pogodniejszy, cieplejszy. Tylko wówczas jechał pan Skrzetuski z pierśią pełną szczęścia i budzących się lubych uczuć, a teraz pędził jak potępieniec, gnany wichrem niepokoju i złych przeczuć. Głos rozpaczcy wołał mu w duszy: „to Bohun ją porwał! już jej nie ujrzysz więcej!“, a głos nadziei: „to księżę! ocalona!“ I te głosy tak go rozrywały między siebie, że ledwo nie rozerwały mu serca. Pędzili resztą sił końskich. Uplynęła jedna godzina i druga. Księżyc zeszedł i wytaczając się coraz wyżej, bladł coraz bardziej. Konie pokryły się pianą i chrapały ciężko. Wpadli w las, mignął jak błyskawica, wpadli w jar, za jarem tuż Rozłogi. Chwila jeszcze, a losy rycerza się rozstrzygną. Tymczasem wiatr świszcząc mu w uszach od pędu, czapka spadła mu z głowy, koń pod nim jęczy, jakby miał paść zaraz. Chwila jeszcze, skok jeszcze i jar się otworzy. Już! już!

Nagle krzyk nieludzki, straszny, wyrwał się z piersi pana Skrzetuskiego.

Dwór, lamusy, stajnie, stodoły, częstokół i sad wiśniowy — wszystko znikło.

Blady księżyc oświecał wzgórze, a na niem kupę czarnych zgliszcz, które przestały już nawet i dymić.

Milczenia nie przerywał żaden odgłos.

Pan Skrzetuski stanął przed fosą niemy, ręce tylko do góry podniósł, patrzył, patrzył, i głową jakoś dziwnie potrząsał. Tatarzy wstrzymali konie. On zsiadł, odszukał resztek spalonego mostu, przeszedł rów po belce poprzecznej i siadł na kamieniu, leżącym na środku majdanu. Siadłszy, począł się oglądać dokoła jak człowiek, który pierwszy raz na jakimem miejscu będąc, usiłuje się z niem zapoznać. Opuściła go przytomność. Nie wydał ani jęku. Po chwili ręce na kolanach wsparłszy, głowę spuścił i pozostał w nieruchomej postawie, tak, że mogło się zdawać, że usnął. Jakoż jeśli nie usnął, to odrętwiał — przez głowę, zamiast myśli, przelatywały mu tylko niejasne obrazy. Widział więc naprzód Helenę taką, jaką ją był pożegnał przed ostatnią podróżą, jeno twarz miała jakby przesłoniętą przez mgłę, tak jej rysów nie można było rozpoznać. On ją chciał z tego mglistego obłoku wydostać i nie mógł. Więc odjechał z ciężkiem sercem. Potem przez głowę mignął mu rynek czehryński, stary Zaćwilichowski i bezczelna twarz Zagłoby; twarz ta ze szczególnym uporem stawała mu przed oczyma, aż wreszcie zastąpiło ją ponure oblicze Grodzickiego. Potem widział jeszcze Kudak, porohy, walkę na Chortycy, Sicz, całą podróż i wszystkie wypadki, aż do dnia ostatniego, aż do ostatniej godziny. Ale dalej już ciemność! Co się z nim teraz działo, nie rozpoznawał. Miał tylko jakieś niewyraźne przecucie, że do Heleny, do Rozłogów jedzie, ale sił mu brakło, więc odpoczywa na zgli-

szczach. Chciałby już ot, podnieść się i jechać dalej, ale jakieś niezmierne osłabienie przykuwa go do miejsca tak, jakby mu stufuntowe kule do nóg przywiązywano.

Siedział więc i siedział. Noc upływała. Tatarzy roz-tarasowali się na nocleg i rozłożywszy ogieniek, poczęli przypiekać przy nim kawałki końskiego ścierwa, następnie nasyceni, pokładli się na ziemi.

Ale nie upłynęła i godzina, gdy zerwali się na równe nogi.

Zdala dochodził gwar podobny do odgłosów, jakie wydaje wielka liczba jazdy, idącej śpiesznym marszem.

Tatarzy zatknęli co prędzej na żerdź białą płachtę i podsycili obficie płomień, tak, aby zdala mogli być rozpoznani, jako wysłańcy pokojowi.

Tętent koni, parskanie i brzęk szabel zbliżał się coraz bardziej i wkrótce na drodze ukazał się oddział jazdy, który wnet otoczył Tatarów.

Rozpoczęła się krótka rozmowa. Tatarzy wskazali na postać siedzącą na wzgórzu, którą zresztą widać było doskonale, bo padało na nią światło księżyca, i oświadczyli, że prowadzą posła, a od kogo, to on najlepiej powie.

Wówczas dowódca oddziału, wraz z kilkoma towarzyszami, udał się na wzgórze, ale zaledwie zbliżył się i spojrzał w twarz siedzącemu, gdy ręce rozkrzyżował i wykrzyknął:

— Skrzetuski! Na Boga żywego, to Skrzetuski! Namiestnik ani drgnął.

— Mości namiestniku, nie poznajesz-że mnie? jam jest Bychowiec. Co ci jest.

Namiestnik milczał.

— Zbudźże się, na Boga! Hej, towarzysze, a by-wajcie-no!

Istotnie był to pan Bychowiec, który szedł w awangardzie przed wszystką potęgą księcia Jeremiego.

Tymczasem nadciągnęły i inne pułki. Wieść o odnalezieniu Skrzetuskiego rozbiegła się piorunem po chorażwiach, więc wszyscy śpieszyli powitać milego towarzysza. Mały Wołodyjowski, dwaj Sleszyńscy, Dzik, Orpiszewski, Migurski, Jakubowicz, Lenc, pan Longinus Podbipięta i mnóstwo innych oficerów biegło na wyścigi na wzgórzu. Ale próżno przemawiali do niego, wołali po imieniu, szarpali za ramiona, usiłowali podnieść — pan Skrzetuski patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma i nie rozpoznawał nikogo. A raczej przeciwnie! zdawało się, że ich rozpoznaje, tylko że mu są już zupełnie obojętni. Wtedy ci, co wiedzieli o jego miłości dla Heleny, a prawie wszyscy już wiedzieli, przypomniawszy sobie, w jakim to właśnie są miejscu, spojrzawszy na czarne zgliszcze i siwe popioły, zrozumieli wszystko.

— Od boleści się zapamiętał — szeptał jeden.

— Desperacya mentem mu pomieszała.

— Zaprowadźcie go do księcia. Może jak jego zobaczy, to się ocknie!

Pan Longinus ręce łamał. Wszyscy otoczyli kołem namiestnika i spoglądali na niego ze współczuciem. Niektórzy obcierali lzy rękawicami, inni wzdychałi żalownie. Aż nagle z koła wysunęła się jakaś wyniosła postać i zbliżywszy się zwolna do namiestnika, położyła mu na głowie obie ręce.

Był to ksiądz Muchowiecki.

Wszyscy umilkli i poklękali, jakby w oczekiwaniu cudu, ale ksiądz cudu nie czynił, jeno wciąż trzymając ręce na głowie Skrzetuskiego, podniósł oczy ku niebu, pełnemu blasków miesięcznych, i począł mówić głośno:

— Pater noster, qui es in coelis! sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum, fiat voluntas Tua...

Tu przerwał i po chwili powtórzył głośniej i uroczyściej:

— ...Fiat voluntas Tua!...

Cisza zapanowała głęboka.

— ...Fiat voluntas Tua!... — powtórzył ksiądz po raz trzeci.

Wtedy z ust Skrzetuskiego wyszedł głos niezmiernego bólu i rezygnacyi:

— Sicut in coelo, et in terra!

I rycerz rzucił się na ziemię ze szlochaniem.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

1001-5

3 2044 005 01

THE BORROWER WILL BE CHARGED AN OVERDUE FEE IF THIS BOOK IS NOT RETURNED TO THE LIBRARY ON OR BEFORE THE LAST DATE STAMPED BELOW. NON-RECEIPT OF OVERDUE NOTICES DOES NOT EXEMPT THE BORROWER FROM OVERDUE FEES.

WIDENER

BOOK DUE

CANCELLED

FEB 17 1992

